PRZEGLĄD

POWSZECHNY

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO
Ps. 143.

ROK TRZYDZIESTY TRZECI. — TOM CXXX.

KWIECIEŃ, MAJ, CZERWIEC.

1916.

KRAKÓW.
DRUK EUGENIUSZA i Dra KAZIMIERZA KOZIAŃSKICH,
1916.

Religijne znamię miłości ojczyzny.

Jeśli cię zapomnę, Jeruzalem, niech zapomniana będzie prawica moja! [1]). Takie zaklęcie wydobywało się z piersi Izraelitów, kiedy, siedząc nad brzegami rzeki Babilonu, zwracali ku Sionowi wzrok zbolałej swej duszy. Naprożno Assyrya roztacza przed ich oczyma świetność swych grodów, wspaniałość swych uroczystości; naprożno cudzoziemiec nalega, by zapamiętali ziemi spustoszałej, stolicy zburzonej, świątyni w gruzach: izrael na pokusy zobojętnienia i ułud spoczynku odpowiada spotęgowanemi wzdychaniami do miejsc, w których żyli jego ojcowie; a skupiając w jednym krzyku miłości wszystką energię swej duszy, woła wobec zdumionych zwycięzców: *Jeśli cię zapomnę, Jeruzalem, niech zapomniana będzie prawica moja! Niechaj przyschnie język mój do podniebienia mego, jeśl.bym na cię nie wspomniał; jeślibym nie pokładał Jeruzalem na początku wesela mego* (nie przenosił Jeruzalem nad najwyższą radość)!

Jakże te słowa wiernym są wyrazem uczuć, jakie i nas Polaków ożywiają. Czyż i my, gdziekolwiek los nas zapędzi, zdala od ziemi ojczystej nie zwracamy wciąż ku niej żałobnej naszej duszy, i najgorętszych uczuć zbolałych serc naszych? Naprożno obca nam kraina roztacza przed nami czary swej wielkości i ułudy swej świetności: nic nie zdoła wymazać

[1]) Ps. CXXXVI 5.

z naszej pamięci tej myśli, że jest na ziemi dla nas miejsce, którego nic innego zastąpić nie potrafi.

Religia, Kościół Chrystusowy, nie może pozostawać obojętnym na tę wierność serc i uczuć naszych. Ma on, jak Boski jego założyciel, pociechy i zachęty dla wszelkiej doli i niedoli życiowej. Niezawodnie, religia katolicka unosi się na wyżynie, z której góruje nad wypadkami tego świata; burze życia politycznego aż tam nie dochodzą. Ale właśnie dlatego, że przebywa w regionach spokoju i pogody, — że się zapatruje na rzeczy ziemskie w świetle wiary, czerpie swój swobodny i pogodny pogląd ze swego wzniesienia.

Zgodnie więc z nauką Kościoła Chrystusowego twierdzę, że ta miłość ojczyzny, która każe nam opłakiwać jej nieszczęścia, wyczekiwać lepszej doli i pracować dla niej, *jest uczuciem szlachetnem, słusznem, iście chrześcijańskiem.*

Głębsze uczucia wymagają jasno określonego przedmiotu; poświęcenie i miłość domagają się żyjącej, rzucającej się w oczy rzeczywistości. Czemże jest ojczyzna? Cóż ją stanowi? Jestże to jakaś myślna abstrakcya? jakieś odgraniczenie geograficzne lub polityczne? Bezsprzecznie nie. Nie poświęcamy się, nie niesiemy życia w ofierze wytworowi wyobraźni. Zresztą, czyż niemasz ojczyzn, jak nasza, uciemiężonych, wtłoczonych przemocą w jedności państwowe?

Cóż to ojczyzna? Kiedy człowiek na ziemską wstępuje widownię, ma on przed sobą pierwsze społeczeństwo, które go z radością, z uniesieniem wita, przyjmuje. Jest to społeczeństwo domowe. Ten przybysz z woli Opatrzności żyje, rozwija się przy domowem ognisku, pomiędzy miłością ojca i tkliwością matki; do nich przywiązuje się jak bluszcz do dębu, by się piąć coraz wyżej. Rodzice dzielą z nim chleb obfitości czy ubóstwa; jak oni pije on z kielicha szczęścia lub niedoli. Odtąd na życie i na śmierć jest on złączony z rodziną, w którą go Bóg wcielił. Może go fala przeznaczeń daleko zapędzi na świata oceanie, — atoli w chwilach smutku zwróci on swą duszę ku rodzinnym pieleszom, przypomni sobie dni dziecięctwa swego, stawi sobie przed oczy swego starego rodzica

i ukochaną swą matkę, powita choć sercem tylko swego brata, swą siostrę, a po łzach, które zroszą jego powieki, namacalnie odczuje, że jest dla niego miejsce na ziemi, gdzie pozostała część jego duszy i życia; a jeżeli śmierć nieubłagalna zdala od swoich wykopie mogiłę dla niego, pozostanie mu wspomnienie miejsca urodzenia i łez matki wylanych nad jego kolebką. Oto pierwsza społeczność, w którą podobało się Bogu wcielić człowieka.

Wszelako poza społecznością domową, poza rodziną, jest druga, która również przy naszem wejściu na świat życzliwe ku nam wyciąga dłonie. Rodzimy się pod niebem, które było niebem ojców naszych; rodzimy się na ziemi, którą nasi przodkowie nie małym trudem objęli w posiadanie, zdobyli; rodzimy się potomkami tych, którzy przekazali nam jako spuściznę kraj, historyę, narodowość, religię, słowem wszystko, co stanowi ojczyznę. Bo też ojczyzna nie jest czem innem, jak przedłużeniem i rozszerzeniem rodziny. Człowiek ma powinności względem jednej i drugiej. I ojczyźnie winien swe mienie, swe ramię, wrazie potrzeby, swą krew, swe życie. Od dnia, w którym otrzymał z życiem ojczyznę, dzielić będzie jej losy: będzie promieniał chwałą z nią — chwałą promienną —; będzie się czuł poniżonym z jej poniżeniem. Kiedy ujrzy najeźdcę dumną stopą depczącego zagony zroszone potem i krwią ojców swoich, odczuwać będzie jej pohańbienie... Kiedy ojczyzna skroń swą zwycięskim okryje wawrzynem i on podniesie głowę. Nad utraconą ojczyzną będzie z Izraelem zawodził żale, a nie żale tylko, ale i przemyśliwać nie omieszka, w jaki sposób mógłby najlepiej nieść jej pomoc, w czem mógłby się przyczynić do jej odrodzenia...

W naszych czasach, kiedy wszystkie niemal pojęcia dobra i zła zostały zachwiane, idea ojczyzny została również wstrząśniona. Tak zwany humanitaryzm chciałby osłabić w duszach tę sprężynę, która je czyni zdolne do wielkich rzeczy. Wedle niego, miłość ojczyzny miałaby być ciasnem uczuciem, które niebawem zgaśnie, by zrobić miejsce wyłącznej szerokiej miłości ludzkości.

Bezsprzecznie, każdy człowiek jest członkiem wielkiego ciała ludzkości. Jest to chwałą chrystyanizmu, że nauczył świat prawdziwego bohaterstwa, przekraczającego rubieże pewnego terytorium, lub mury jakiegoś grodu, by się nie zatrzymać, aż na świata krańcach. Ale czemże jest ludzkość sama? Zrzeszeniem rodzin, ludów, mających swą ziemię, swój język, swe podania... a te grupy historyczne powstające z zestroju, ze zgodności charakteru i interesów, rozwijają w każdym odłamie rodu ludzkiego wszystkie swe zasoby życiowe i swe energie. To, co powszechne, w rzeczywistości na ziemi nie istnieje. Tylko religia może być powszechną. Czemu? Bo będąc wyniesiona ponad interesy doczesne, zmienne, przemienne, ma za zadanie prowadzić ród ludzki do tegoż samego ostatecznego kresu tymiż samymi środkami. Dlatego Kościół katolicki jest wspólną ojczyzną, w której wszystkie narody mają się spotkać, by znaleźć w nim to, co je jednoczy, nie tracąc tego, co je różniczkuje, co niebawem więcej wyjaśnię.

Czem jest ojczyzna wypowiedział w lubym wierszyku Władysław Bełza:

Ojczyzna, dziecię, to bracia twoi,
Twoi ojcowie i twoje matki;
Dawni rycerze w skrzydlatej zbroi,
Dumne pałace i kmiece chatki!
Ojczyzna, dziecię, to łany twoje
To groby przodków skryte żałobą,
Rodzinne gaje, łąki i zdroje
I te niebiosa, co lśnią nad tobą!
Ojczyzna twoja, chłopię sarmackie:
To pieśń i wolność i łzy tułackie.

Zwyczajnie trzy rozróżniamy stopnie czyli rodzaje miłości ojczyzny. Opisał je barwnie nowoczesny nasz Skarga.[1])

„Pierwszy, mówi, czuły, instynktowy, dziwnie silny, rzewny, tęskny, choć ciemny i nie pojmujący się jeszcze. Człowiek organiczna i duchowa istota, przychodząc na świat, nim

[1]) Zob. Kajsiewicz: O trojakiem życiu.

swe władze psychiczne rozwinie, żyje wyłącznie w stosunku blizkim, bezpośrednim z przyrodą, ze wszystkiem, co go otacza. Między organizmem zatem człowieka a miejscem w którem się urodził, powietrzem, którem oddycha, sympatyczny wytwarza się stosunek. Krajobrazy, które oglądał za młodu, wzgórza czy góry o śnieżnych szczytach, szumiące lasy, źwierciadlane jeziora, huczące morze, szare czy błękitne niebo, aż do barw zieleni, do śpiewu ptaków, do nuty nańki — wszystko to dziwnie się wpija w pamięć, w wyobraźnię i stanowi niejako tło i krajobraz, do któregośmy nawykli, bez którego dziwnie żyć trudno, boleśnie i często niepodobna.

Ale czyż taka miłość ojczyzny wystarcza? Nie! bo i zwierzę w pewnej mierze ją odczuwa.

Drugim wyższym stopniem miłości ojczyzny jest patryotyzm umysłowy czyli rozumowy, który nie wyklucza tego, co w pierwszym jest pięknego i tkliwego, tylko się więcej zna i posiada. Ten polega głównie na zakochaniu się w życiu historycznem, umysłowem i moralnem swego narodu, w pewnem utożsamieniu z nim własnej istoty. Podścieliskiem i żywiołem tego patryotyzmu są głównie dzieje, język, piśmiennictwo, sztuki, prawodawstwo, wspomnienia.

Atoli w miarę skażenia się, psucia narodu, a raczej w miarę wzrostu samolubstwa u wybitniejszych jednostek, ojczyzna przestaje być, w praktyce przynajmniej, przedmiotem miłości; staje się nim sam sobie człowiek. Ojczyzna wtedy zostaje środkiem tylko czyli punktem podpory, podstawą działań dla jednostek, usiłujących ją przetworzyć na obraz i podobieństwo swoje, słowem z oblubienicy uwielbianej ojczyzna zostaje służebnicą. Niejeden poświęciłby wszystko dla ojczyzny, ale też sam jeden chce nią rządzić. Tyle i dopóty jej służy, dopóki może kierować i rządzić podług woli swojej...

Aby uniknąć tego indywidualizmem i sobkostwem skrzywionego, niepłodnego patryotyzmu, trzeba kochać ojczyznę nie dla niej samej tylko, a tem mniej dla siebie samego, ale ją kochać w Bogu i dla Boga. Jak człowiek pojedynczy, tak naród, tak ludzkość cała, nie mają dwóch oso-

bnych, doczesnego i wiecznego, ale jedno tylko przeznaczenie wobec Boga, mające dwie strony, doczesną i wieczną, które się sobie nie powinny przeciwić, jeno godzić się nawzajem w Tym, w którym wszystko jest jednością i harmonią. Celem ludzkości i narodów jak pojedynczego człowieka jest ostatecznie Królestwo Boże, a narodowość, naród, jak cała natura stworzona, jest podścieliskiem, materyą, ciałem, w którem się ta najświętsza sprawa Boża ma pełnić.

Królestwo ziemskie, samo w sobie uważane bez stosunku do niebiańskiego, ojczyzna sama w sobie jest pogańskiem bożyszczem, które strąca w proch Ten, któremu narody służyć mają i muszą. A narody Bóg stworzył; człowiek zaś może tylko ulepić państwo, to jest sztuczną mozaikę lub mieszaninę ludów. Narody mają w tem życiu przechodnem odmienne stanowisko, osobne powołanie, które spełniać winny pod karą potępienia ziemskiego na czas lub na zawsze, jako osoby samoistne.

Czem więc jest, w myśli Bożej, każdy pojedynczy naród? Jest to jakby osobny ton w wielkiej harmonii Bożej, odgrywającej się w dziejach świata; jest niby gwiazdą osobną w wielkiej konstelacyi idei Boskich o ludzkim rodzaju. A ludzki rodzaj, o ile jest czynny, żywy, o ile część światła ludzkości oświecana i wierna światłu Bożemu, mieści się w Kościele katolickim, zajmuje wszystkich katolików, wiedzących czy nie wiedzących o sobie, należących wedle wyrażenia teologii do ciała lub duszy Kościoła. Czem więc są narodowości katolickie? Są to jakby słupy, na których się opiera i wznosi ku niebu kopuła jedności katolickiej, uwieńczona krzyżem Zbawiciela i wiąże różność w jedność harmonijną, tak, iż narodowości katolickie nie będąc warunkiem trwania Kościoła, wchodzą w nim w całość wspaniałą. Stąd ich dzielność, niespożytość i nieśmiertelność doczesna.

Czem więc jest miłość ojczyzny w Bogu, w pojęciu katolickiem? Zrazu jest to uczucie mieszane — u szczytu zaś swego zlewa się z czysto już duchową miłością matki naszej Kościoła, a następnie z samą duchową miłością niebiańskiego

jej Oblubieńca, Głowy i Pana, Chrystusa. Reszta ludzkości stanowi cień, przyćmioną część obrazu. Jest to materyał, który już należał albo ma należeć do życia Kościoła, są to wulkany wygasłe lub gwiazdy, które jeszcze nie weszły. Dzieje świata uczą, że albo naród jakiś w swej historyi stanowił cząstkę Świętych dziejów Kościoła, wcielając je w dzieje swoje albo stawał się jego wrogiem, antychrystem.

Oto trzy stopnie, po których patryotyzm nasz wznieść się winien; oto trzy rodzaje miłości jakieśmy ojczyźnie winni. Nasza miłość ojczyzny wznieść się powinna na ten najwyższy stopień miłowania jej w Bogu, dla Boga. Miłość ojczyzny winna być podporządkowaną miłości wyższej: najprzód Bożej, następnie Kościoła. Kościół, ojczyzna duchowa, niebieska o tyle wyżej stoi nad ojczyzną ziemską, o ile dusza góruje nad ciałem, niebo nad ziemią. Nie godzi się przeto kłaść ojczyzny ponad Boga i religię, tem mniej czynić z niej jakieś bożyszcze, któremubyśmy przysięgali miłość wyłączną i ofiarę z wszystkiego, nawet z wiary i sumienia! Nie godzi się kłaść ojczyzny na równi z Bogiem tak, iżbyśmy byli gotowi dla rzekomego jej dobra opuścić Boga i sprzeniewierzyć się najświętszej Jego woli. Nie godzi się w widokach patryotycznych dopuszczać się jakiejkolwiek zbrodni, bo cel, choćby najszlachetniejszy złych środków nie uświęca.

Miłości ojczyzny sam Twórca ojczyzn, Bóg, wymaga i nakazuje; Pismo św. ją uświęca, zaleca. Patrzmy na lud żydowski, na tego starodawnego, typowego przodka ludów chrześcijańskich. Cóż czyni Bóg, by dać Hebrejczykom ojczyznę? Porusza niebo i ziemię, — wydobywa ich z ucisku, rozdziela morze przed nimi, mnoży dla nich cuda, bierze ich jakby za rękę i wiedzie do ziemi, jaką im naznaczył, jako dopełnienie konieczne ich narodowości; a tej narodowości bronić nakazuje aż do krwi przelewu. To też za każdym razem kiedy nieprzyjaciel napada na ich ziemię ojczystą, wszystek Izrael powstaje jak jeden mąż, od Dan do Bersabee, by zachować swą niezależność. Obowiązek bronienia ojczystej ziemi Bóg przepisuje w prawie, przypomina go od wieku do wieku przez Pro-

roków, tych największych i najgorętszych patryotów, co naród swój tą potrójną miłowali miłością, o której przed chwilą mówiłem. Stąd ta miłość ojczyzny tak żywa i głęboka u Hebrejczyków; stąd te walki heroiczne małego ludu opierającego się nawale azyatyckiej, przez piętnaście wieków walczącego o skromny zakątek, jaki Opatrzność naznaczyła ich przodkom. Ani klęski nie nużą ich odwagi, ani niewola nie gasi ich nadziei; a kiedy na schyłku ich dziejów, prześladowanie oparte na zdradzie mniema, że ich wysiłki wyczerpnięte, z jego łona powstaje ród bohaterów, synowie Matatyasza; skupiają oni wszystką energię narodu, który zwycięsko z ruin się dźwiga.

Widzimy zatem, że samo Pismo Boże otacza chwałą to męskie, to chrobre przywiązanie do ziemi, do narodowości: Narodowość bowiem to nierozerwalny sojusz ludu z ziemią. Niezawodnie, Izrael był uprzywilejowanym narodem; postawiony na straży depozytu nadziei rodu ludzkiego, nie mógł wypełniać swego posłannictwa bez zachowania nienaruszonej swej narodowości. Ale czyż jak jednostka tak i narody, tak naród każdy nie ma właściwego sobie posłannictwa, swego szczególnego powołania? A skoro tak jest, czyż nie powinien rozwinąć dla swego zachowania wszystkiej swej energii, jaką czerpie w jasnej lub mniej wyrazistej świadomości swej misyi? Czyż nie powinien bronić swego bytu, swego terytorium z tą samą troskliwością, z jaką pojedynczy człowiek broni swego mienia i życia?

To też miłość ojczyzny żyła w sercu wszystkich ludów godnych tego imienia. To właśnie stanowi piękną stronę pogańskiej starożytności. Co dodaje wielkości nikczemności ich dziejów, — co ich karty zapełnia czynami heroicznymi szlachetnego poświęcenia to to, iż Grek i Rzymianin w gruncie rzeczy miał miłość ojczyzny przed oczyma. Nie bez wzruszenia patrzymy na garstkę Greków przykutych namiętnie do skały Atyki, odpychających z niepokonalną siłą wielokrotne zapędy wschodniego despotyzmu i barbarzyństwa.

Boski założyciel chrześcijaństwa bynajmniej nie wymazał z serc ludzkich tego uczucia. Wprawdzie Ewangelia nie za-

wiera pod tym względem żadnego szczególnego przepisu; miłość ojczyzny wchodzi w powszechne prawo miłości bliźniego i z niem się zlewa. Atoli, jeśli prawo Chrystusowe nakazuje nam miłować wszystkich braci naszych, tedy obowiązek ten ściślej nas wiąże z tymi, którzy więcej są do nas zbliżeni wspólnymi prawami, krwią, interesami... Zresztą miłość ojczyzny tak jest naturalną sercu ludzkiemu, że występek nawet nie może jej z niego wyrugować. Religia chrześcijańska przez ducha ofiary, jaki w nas tchnie, raczej potęguje w nas tę miłość, oczyszczając ją w swych przeczystych i ożywczych źródłach.

Sam Boski nasz Zbawca swoim przykładem pouczył nas jak mamy miłować nasz naród, naszą ojczyznę. Przedewszystkiem Chrystus Pan wykonywał powinności dobrego obywatela. Przewidując klęski, jakie na swą ojczyznę spaść miały, chciał im zapobiedz: *Jeruzalem, Jeruzalem, które zabijasz proroki i kamienujesz te, które do ciebie są posłami, ilekroć chciałem zgromadzić syny twoje jako kokosz kurczęta swoje pod skrzydła swe zgromadza, a nie chciałoś.*[1]) Upór niewdzięcznej ojczyzny, biegnącej w zaślepieniu ku swej ruinie, wyciska łzy z oczu Boga Wcielonego. Zbliżając się do Jeruzalem, spojrzał na nie; płakał: *Gdybyś, wołał, i ty poznało i w ten dzień twój, co ku pokojowi twemu a teraz zakryte jest od oczu twoich.*[2]) Wśród największych boleści to uczucie nie opuszcza Jezusa; zapomina o swych cierpieniach, by opłakiwać klęski swej ojczyzny. *Córki Jerozolimskie,* rzekł do załzawionych niewiast idących za Nim na drodze kalwaryjskiej, *nie płaczcie nademną, ale same nad sobą płaczcie, albowiem oto przyjdą dni*[3]) nieszczęścia dla was. Te Boskie słowa nas chrześcijan uczą, byśmy za nic poczytywali nasze prywatne rachunki i boleści wobec spraw i cierpień wspólnych ojczyzny?

Na wzór Boskiego Mistrza, w pierwszych wiekach ery chrześcijańskiej, chrześcijanie poświęcają się z miłości dla oj-

[1]) Mat. XXIII. 36. 37.
[2]) Łuk. XIX. 42.
[3]) Tamże XXIII. 28.

czyzny. Podczas gdy społeczeństwo, którego byli członkami, posługiwało się najwyszukańszemi okrucieństwami, oni, dalecy od tego, iżby mieli złorzeczyć państwu rzymskiemu, które im nie ofiarowało nic prócz katuszy i śmierci haniebnej, mśc i się na swej ojczyźnie najwierniejszą dla niej służbą. Oni modlili się za cezarów, walczyli na polach chwały, przelewali swą krew w obronie granic. Państwo nie miało lepszych żołnierzy nad tych, którzy pod wodzą Maurycych, Sebastyanów, Eustachych, szli przeciw barbarzyńcom, jak szli na męczeństwo. Tertulian dając wyraz powszechnemu uczuciu, jakie ożywiało chrześcijan, mógł powiedzieć Cezarom, że wysyłali na śmierć najwierniejszych swoich poddanych. „Wzamian za okrutne obchodzenie się z nami, my prosimy Boga o długie dla was życie, o spokojne panowanie, o bezpieczeństwo w waszych pałacach, o wierność w waszym senacie, o cnoty waszych ludów, o waleczność waszych wojsk, o pokój na świecie". — Tak silny węzeł przywiązywał chrześcijan do ojczyzny, że i najsroższe prześladowania nie były zdolne go rozerwać.

Z upadkiem państwa rzymskiego powstają narody chrześcijańskie. I cóż widzimy? Oto ta miłość ojczyzny wznosi się i rośnie z posłannictwem, jakie Opatrzność każdemu z tych narodów naznaczyła.

Bóg stworzył narody i wytknął każdemu granice — a wśród narodów tak różniących się usposobieniem wewnętrznem i stosunkami zewnętrznymi wzniósł Kościół swój święty, jako ten słup ognisty, co prowadził Izraela wśród puszc i jemu oddał w opiekę kraje i ludy. Jako ze słońca wypływają wszystkie promienie, tak z Kościoła wszystkie tegoczesne wypłynęły narody. I te tak różne narodowości, Kościół-Matka, — bo takie dzieło matka tylko wykonać wydoła — w jedną spoił całość i miłość. Związek narodu z Kościołem tj. związek narodu z Bogiem, jest kamieniem węgielnym wszelkiej narodowości, bo jest kamieniem węgielnym siły moralnej, która wszystko uszlachetnia, uświęca, która w sercu rozwija ten nadziemski, szlachetny, zbawienny patryotyzm nie przemijającego, chwilowego szału i przelotnej egzaltacyi, który po

sobie tylko echo głośno brzmiących słów zostawia, — ale patryotyzm wytrwałości, poświęcenia, jedności, miłości, dojrzałości w pomyśle i tęgości w działaniu, dusi on tego piekielnego węża sobkostwa, niezgody, próżności... rozwija siłę żywotną, siłę nieprzełamaną, która choć na jakiś czas odrętwiałą się wydaje, gdy wybije godzina od Boga oznaczona, jak olbrzym z grobu powstaje, wyciąga wolne ku niebu ramiona; jako orzeł wzbija się pod obłoki, pije rosę Boskich natchnień. Ta siła — to ten mądry, przezorny, roztropny budowniczy, co się bierze do wielkiego dzieła, do odbudowania gmachu narodowego życia, opartego na wierze i cnocie...

Bóg stosuje do władz umysłowych i charakteru narodów powinności, jakie im nakłada. Tak ongi od jednego wymagał, by stanął silną stopą naprzeciw Afryki muzułmańskiej, jako placówka wysunięta, mająca baczne oko na wroga. Napadnięty z nienacka, ulega przemocy. Atoli niebawem rozpoczyna z nim walkę bohaterską, którą toczy przez siedm stuleci, walkę, która rozwija w narodzie hiszpańskim olbrzymie siły żywotne, jakie zużytkuje w nowym świecie, by go podbić dla Chrystusa i Ewangielii.

Ponad Hiszpanią inny naród zapoczątkowuje wielkie swe dzieje. Francya, zrodzona jako pierworodna córa wśród narodów katolickich, powstrzymuje napór mahometański potężnym mieczem, jaki Bóg włożył w jej dłonie ku obronie sprawiedliwości i prawdy. Ma ona bronić papiestwa i służyć mu za puklerz i szaniec. Ożywiona duchem inicyatywy, stawa na czele wielkiego ruchu, porywającego przez trzy wieki Europę ku Azyi, w celu oswobodzenia grobu Chrystusowego.

Z takiem wytyczonem sobie posłannictwem, miłość ojczyzny w narodach katolickich czerpała we wierze zapał i nową energię. Dla chrześcijanina bronić i kochać swą ojczyznę, to nie jest tylko miłować i bronić terytorium, dobra, interesy doczesne; — ale miłować i bronić całą przeszłość, cały spadek chwały i wielkości religijnej, wysiłki poświęcone w obronie wiary, walki podjęte dla Chrystusa i Kościoła.

I naszemu narodowi Opatrzność wielkie naznaczyła po-

słannictwo. Polska postawiona na rubieżach chrześcijaństwa była jego przedmurzem, o które rozbijały się zapędy wrogów wiary Chrystusowej. Pogaństwo, zwyciężone przez Ewangelię, zalewa Europę hordami tatarskiemi. Atoli Polska występuje do boju w roli rycerza-obrońcy katolickiego Kościoła jak i własnych swych dzierżaw. Po tatarach islamizm usiłuje wytępić chrześcijaństwo; sztandar Proroka zwycięzko posuwa się wzdłuż Dunaju. Węgry upadają, cesarstwo niemieckie chwieje się; ale Polska stoi; — krew jej strugami popłynęła już w obronie wiary pod Warną, pod Chocimem i na innych polach; teraz wojenny geniusz Sobieskiego najświetniejszem zwycięstwem koronuje dawne walki zwycięskie — oswobadza Wiedeń, zbawia chrześcijaństwo.

Ale oto protestantyzm buntowniczą podnosi głowę i grozi Kościołowi; z drugiej strony schizma od wschodu i południa napiera na nasz naród. Polska ostatecznie odpycha jednych i walczy z drugimi. Wszelako sprzeniewierzywszy się w ostatniej dziejów swych dobie posłannictwu swojemu, napadnięta od przemożnych nieprzyjaciół od Północy, Wschodu i Południa — Polska politycznie żyć przestaje, ale nie ustaje nasza dla niej miłość, owszem potężnieje bez miary.

Zanim podam wskazówki, w jaki sposób, my, droższą nad życie ojczyznę miłować winni, muszę rozprószyć zarzut, jaki nam katolikom i nauce Kościoła niesłusznie czynią pewni patryoci. Twierdzą oni, że nauka katolicka, duch katolicki nie licuje, ani się da pogodzić z patryotyzmem. Patryotyzm widzi tylko ojczyznę, i z niej tylko czerpie swe natchnienie. Katolicyzm zaś, jak już jego imię zaznacza, patrzy dalej niż kraju ojczystego rubieże, — suponuje on inne interesy aniżeli wyłącznie krajowe; szuka nachnień i haseł z poza rodzinnego kraju — z obczyzny!

Z obczyzny? Ale pytam, zali Bóg gdziekolwiek jest obcym?

Kościół Chrystusowy, to jakby sam Chrystus przedłużony, Bóg w osłonach ludzkich żyjący na ziemi. Namiestnik

Chrystusowy, jak Jezus, jak Bóg, jest obywatelem wszystkich chrześcijańskich krajów, jest on z prawa Bożego naturalizowany u wszystkich narodów uznających Chrystusa. Wieki zrobiły Papieża królem, by uczcić i zapewnić niezbędne mu niezależne stanowisko. Można było zburzyć dzieło chrześcijańskich stuleci. Głowa Kościoła, może w rzeczy samej być królem tronu pozbawionym, ale Namiestnik Chrystusowy nie może być niczyim poddanym. Dlaczego? Bo gdyby był poddanym jakiegoś państwa, już tem samem byłby gdzieindziej o b c y m; co niemożliwe. Ojciec wielkiej rodziny chrześcijańskiej nie może być obcym żadnemu z dzieci swoich. Papież pozbawiony dzierżaw swoich, tułacz, przechodzeń, nosiłby na całej ziemi chrześcijańskiej z swą niezależnością, z swym osobistym przywilejem powszechne prawo obywatelstwa.

O nie; pomiędzy interesem katolickim a interesem ojczyzny przeciwieństwa niema; bo czyż interes katolicyzmu może być w sprzeczności, lub poza tem, co dobre, co sprawiedliwe? Nie, — we wspólnym terenie słuszności interes katolicki i narodowy mogą się tylko spotkać, na to, by się skojarzyć i wzajemnie wzmocnić. Wprawdzie katolicyzm jest szerszy, rozleglejszy niż patryotyzm, bo go nie ścieśniają granice ani się kończy tam, gdzie są świata kończyny, on bowiem świat z niebem zespola, kojarzy.

Zauważymy, że dwie są zasady, dwie siły, wręcz sobie przeciwne, które nakłaniają patryotyzm do wyjścia poza granice rodzinnego kraju: z jednej strony m i ł o ś ć c h r z e ś c i j a ń s k a, z drugiej k o s m o p o l i t y c z n y r a d y k a l i z m. Nic sprzeczniejszego nad te dwie zasady, a jednak na pierwszy rzut oka ich dążność i działalność wydają się podobne do siebie, — widocznie druga pierwszą naśladuje w samem jej zwalczaniu.

M i ł o ś ć c h r z e ś c i j a ń s k a, katolicka widzi we wszystkich ludziach braci, — więcej niż braci z krwi i rasy — bo braci z ducha i z nadprzyrodzonych przeznaczeń. Jej ideałem jest j e d n a o w c z a r n i a p o d j e d n y m P a s t e r z e m, je-

dna adoptowana przez Ojca niebieskiego, przy wspólnym wszystkich bracie Jezusie, Pierworodnym odkupionej i przebóstwionej ludzkości. Tak uczy wiara; — a chociaż to braterstwo jest duchowe, wszelako niepodobna, by porządek „domowy“ nie odczuwał zbawiennego jego wpływu.

Przeciwnie radykalizm wiele robi hałasu z braterstwa ludzkiego: mówi niekiedy o Stanach zjednoczonych Europy, może i świata; ma on swoje międzynarodowe, kosmopolityczne, humanitarne zamysły, swe zrzeszenia dawniej ukryte, które dziś otwarcie uznają się za niezależne od jakiejkolwiek ojczyzny, rzekomo wyższe nad wszelakie widoki ciaśniejsze niż świat i ludzkość.

Tak więc, że z jednej i drugiej strony ujawnia się dążność do zjednoczenia, rozleglejszego niż są narody i państwa; ale tu chcą tę dążność urzeczywistnić w imię człowieka; tam zaś w imię Boga..

Jakież stanowisko ma zająć patryotyzm postawiony pomiędzy temi dwiema dążnościami na pozór podobnemi a w gruncie sprzecznemi? Zali ma się on bronić przed katolicyzmem — a nie raczej przed kosmopolitycznym radykalizmem? czy, jak chcą niektórzy, przed jednym i drugim?

Odpowiedź na to jasna i prosta. Pod względem patryotyzmu dwa są poglądy: jeden ciasny, nizki, — drugi szeroki i szlachetny. Jest pewne poświęcenie się, które czyni z jednostki ofiarę dla dobra publicznego; poświęca obywatela na ołtarzu ojczyzny; ale może też być egoizm zbiorowy, egoizm korporacyjny i narodowy, który podburza naród przeciw narodowi kosztem ludzkości.

Jaką rolę odgrywa radykalizm kosmopolityczny, rzekomo humanitarny? Obniżając rodzinę, burząc ołtarze, niwecząc tradycye, znicestwia on i znosi patryotyzm z tem wszystkiem, co stanowi ojczyznę. Nie dość tego; jeżeli poświęcenie się nie ma już swego jasno określonego przedmiotu, w człowieku zanika zdolność do niego. — Radykalizm wyniósł nad miarę pożądliwości indywidualne, tak, że o zaparciu się, o miłości nie-

masz już tu mowy; dla obrony kraju nikt już zbroić się nie zechce; a jeżeli wymagać tego będzie interes obywatela, będą się zbroili na jego ruinę. Poucza o tem mistrzyni życia, historya.

A cóż się dzieje z tak zachwalanem braterstwem ludów? Czyż odkąd radykalizm szumniej przemówił, mniej krwi płynie na świecie? Bynajmniej; wzajemne zdradzanie jest na porządku dziennym. — Socyalizm nie braterstwo powszechne gotuje, lecz powszechne sprzysiężenie proletaryatu przeciw posiadającym. — Tak więc radykalizm zabił poświęcenie, które czyni patryotę; a kiedy chce wrzekomo rozszerzyć serce ludzkie do rozmiaru ludzkości, umie on tylko zawierać związki pomiędzy zawistnymi w celu dokonania olbrzymiego bratobójstwa.

Przypatrzmy się bliżej teoryi filantropii kosmopolitycznego radykalizmu. Jego zwolennicy pomijając z pozytywistami życie przyszłe i indywidualną nieśmiertelność, zapatrują się na ludzkość jako na olbrzymie ognisko, wiecznie wprawdzie gorejące, ale podsycane przez coraz to świeże żywioły, które przyczyniwszy się na chwilę, kosztem swego jestestwa, do podtrzymania światła i ciepła owego ogniska, rozpryskują się w drobne iskierki i gasną w przestworze, nie zostawiając po sobie nic, prócz chwilowego wspomnienia. W tak pojętej ludzkości nie dziw, iż los pojedynczych ludzi, a nawet całych pokoleń nie wiele obchodzi tych rzekomych filantropów, których główną troską jest los całego ogniska; rzeczą główną rozszerzenie światła i dobroczynnego ciepła na ziemi.

Wszystko, co przytłumia światło myśli, lub mrozi żarzące się łono ludzkości, jest wrogiem filantropii, powinno zatem być poświęcone na jej ołtarzu. Poszukiwanie prawdy musi mieć nieograniczoną swobodę, wszystko więc, co chce nakładać wędzidło na wolność myśli i słowa, działa na szkodę ludzkości musi przeto być dla jej szczęścia poświęcone. A że wszelka religia objawiona, w imię Boga głoszona, ma pretensyę do prawdy bezwzględnej i narzuca tę prawdę ludziom, w imię powagi, a nie rozumu, najpierwszym przeto kozłem ofiarnym

filantropii musi być wszelka religia, co głosi nieomylne dogmata wiary i niezmienne moralności prawa.

Ludzie są braćmi, więc po bratersku muszą się kochać nawzajem; tymczasem w epokach barbarzyństwa i ciemnoty, samolubne tyrany i ich poplecznicy, korzystając ze swej siły i zręczności, pokrajali ziemię na szmaty, a podzieliwszy ją między siebie, ustanowili granice, wojska i twierdze, tak iż państwo stanęło przeciw państwu, jako wrogie sobie potęgi, stan wojny i narodowej nienawiści zastąpił ów błogi stan pierwotnego braterstwa! Dla dobra przeto ludzkości filantropia musi obalić granice państw i zniszczyć ów antagonizm, co pod imieniem patryotyzmu płodzi tylko niesnaski i waśnie międzynarodowe.

W tak zjednoczonej przez nas ludzkości trzeba ustanowić prawa, któreby zabezpieczały na sztandarze naszym wypisane nasze hasła: *wolność*, *równość* i *braterstwo* od nowych zamachów, bądź teokratów, bądź patryotów, bądź monarchistów lub arystokratów. Zabezpieczenie zaś to dać może wyłącznie forma rządu republikańska, na wszechwładztwie ludu oparta; precz więc berła i trony, precz kasty i przywileje, precz wszelka nieodpowiedzialna przed ludem i nieodwołalna w każdej chwili władza, precz wszelka powaga, co domaga się posłannictwa i rządzić w imię jakiejbądź zasady pragnie!

Ale cóż kiedy przed naszą szlachetną i szczytną teoryą piętrzą się przeszkody: między braćmi są jeszcze ubodzy i bogaci; są wybrańcy losu, co dostawszy ładną żonę, monopol na miłość jej nakładają; są zacofani rodzice, co usiłują wpajać swym dzieciom zgubne obskurantyzmu zasady; społeczeństwo postępowe ścierpieć tego nie powinno, tą bowiem drogą wszystkie dawne nadużycia przemycić by można. Precz więc z własnością osobistą, niech wszystko będzie wspólne; precz z małżeństwem, by miłość wyzwoliła się wreszcie z więzów kodeksu i rytuału; precz z rodziną, gdyż tylko państwo może dać dzieciom potrzebne dla szczęścia ludzkości wychowanie. I oto program uszczęśliwienia ludzkości całkiem gotowy.

Ale jak go wykonać, jak w czyn wprowadzić? Niestety

liczba filantropów, co tak gruntownie warunki prawdziwej pomyślności ludu zbadali, bardzo jest ograniczona, — przeciw niej stanie Kościół z całym zastępem klerykałów, staną patryoci przywiązani do swej ciasnej ojczyzny i swej ograniczonej narodowości; staną rządy wsparte armią biurokratów z jednej, a legionami żołnierzy z drugiej strony; staną zacofane małżeńskie stadła i ojcowie rodzin; staną wreszcie ci wszyscy, co choć tyle posiadają, że przy powszechnej likwidacyi więcej otrzymać nadziei nie mają; a tego wszystkiego setki milionów się zbierze. Co robić? Jakaż na to rada? Nasi filantropowie z pod czerwonego sztandaru zanadto kochają ludzkość, by przed jakąbądź cofnęli się przeszkodą tam, gdzie o jej uszczęśliwienie chodzi. Przecież i my, wołają, mamy miliony, które do czynu powołać zdołamy: owe miliony zgłodniałe i nagie, co na przewrocie społecznym najwięcej mają do zyskania; być może zbyt są one zbydlęcone, by całą wzniosłość naszych idei wyrozumieć, ale na przynętę złota, a nawet chleba, obiecanego bez pracy, w ogień pójść gotowe. W prawdzie nagie ich piersi nie zasłonią ich od bagnetów, gołe ręce twierdz nie zdobędą, ale od czegóż nauka? Przyjdzie im w pomoc, niosąc na ich usługi niszczącą własność petreolu i dynamitu, te czynniki rozsadzą lub obrócą w perzynę wszystko, czego ramieniem zdobyć nie potrafi. Będą wprawdzie ofiar stosy, ale cóż znaczy chwilowe cierpienie, chociażby milionów, w obec nieskończonego szeregu wieków szczęścia, jakie ludzkości w darze przyniesiemy? Pracowita dłoń zwycięzcy uprzątnie zgliszcza i mogiły, my zaś urządzim odrodzone we krwi posłannictwo we wzorową wszechświetną rzeczpospolitę.

Oto treściwy obraz przyszłości, jaką zwodziciele ludu całemu rodzajowi ludzkiemu gotują — w imię dobra ludzkości. Wobec dokonanych już tu i ówdzie próbek, potrzebaż dowodzić rzeczywistości grożącego z tej strony niebezpieczeństwa? Niedawne dzieje francuskiej komuny i rosyjskiego nihilizmu uwalniają mię od wszelkich nad tą teoryą komentarzy.

Katolicyzm inaczej pojmuje patryotyzm jednostki i bra-

terstwo internacyonalne. Kościół, matka nowożytnych narodów, uczynił je braćmi prawdziwymi w tej wielkiej rodzinie ludów zwanej chrześcijaństwem. W niemożności zapobieżenia wszystkim wojnom, Kościół przyjął raczej niż narzucił swe rozjemstwo, o którego dobroczynności świadczą dzieje ludów. Kościół katolicki nieustannie usiłuje osłodzić i złagodzić to, co patryotyzm mieści w sobie okrutnego i wyłącznego; a równocześnie rozwija wielkiemi siłami to, co w patryotyzmie jest szlachetnego i wzniosłego. Słowem katolicyzm jest w pełnem słowa tego znaczeniu szkołą patryotyzmu, bo szkołą zaparcia się i poświęcenia.

Niezawodnie, będziemy dobrymi Polakami, jak długo prawymi pozostaniemy katolikami. W najoczywistszym błędzie byłby ten, coby sądził, iż chrystyanizm potępia wszelkie uczucia przyrodzone, przeto że nie są wykwitem i owocem łaski. Chrystyanizm potępia tylko wszelką złą wolę, uczucia zaś, które sam Stwórca wlał w serce nasze, stara się tylko podnieść do godności nadprzyrodzonej cnoty. Ukazując nam Boga jako ostateczny kres całego stworzenia, wolę Jego jako najwyższe prawo, miłość zaś jako jedyne źródło wszelkiej cnoty, wiara objawiona stawia wszystkie przyrodzone uczucia na właściwem miejscu, nie potępiając ich, ani wykorzeniając z serca, lecz zamykając je w zakresie przykazań i uświęcając nadprzyrodzonym pierwiastkiem. Miłość w tej formie, o jakiej marzy radykalizm o którym wyżej wspomniałem, tj. jako miłość wiekuistego, wciąż ku wyższej doskonałości materyalnej i wyższemu ziemskiemu szczęściu o własnych siłach postępującego społeczeństwa, w chrześcijańskiem pojęciu wcale nie istnieje, a to nie z powodu niegodziwości uczucia, tylko że sam przedmiot jego jest urojony. Jakież są przyczyny, dla których chrześcijanin musi uważać za mrzonkę tak pojętą ludzkość? Dwie główne: najpierw wiarą w skończenie świata, która nas upewnia, iż w przewidzianym przez Opatrzność czasie życie społeczeństwa ludzkiego na tym planecie ustanie, a więc i postęp się jego zatrzyma; a powtóre, że samo skażenie ludzkiej natury czyni już ustawiczny i normalny postęp

w obecnych warunkach niemożebnym, z jednej bowiem strony omylność upadłego rozumu sprowadza ludzi najlepszej nawet woli na fałszywe drogi, gdzie zamiast kroczyć naprzód, błąkają się tylko po manowcach lub wstecz cofają — z drugiej złość i przewrotność serca wtrącają społeczeństwo w odmęt anarchii lub kałużę występku, gdzie giną nieraz w krótkiej chwili nagromadzone przez wieki moralne i społeczne skarby.

Jakkolwiek więc prawy chrześcijanin niepodziela takich filantropicznych poglądów na ludzkość, nie wynika stąd bynajmniej, by rodzaju ludzkiego szczerze nie miłował i nie był gotów dla rzeczywistego jego szczęścia wszelkiej ponieść ofiary. Owszem, bez wahania twierdzić można, iż serce kochające Boga, zdolniejsze jest do poświęceń od najgorętszych filantropów, tylko że cel ofiary zmienia się tu ze zmianą poglądu na ludzką naturę i na ostateczny kres człowieka. I tak: miłość ludzkości, pod tchnieniem wiary, zmienia się w miłość bliźniego, która, nie mniej jak tamta, ogarnia świat cały, nie wyłączając jednego człowieka; ale ma nad nią tę ogromną przewagę, że ma na oku szczęście rzeczywiste i wieczne każdego indywiduum i udoskonalenie każdego pojedynczego społeczeństwa, a nie ową pomyślność zbiorową ludzkiego rodzaju, możebną tylko w teoryi, w praktycznem zaś zastosowaniu doprowadzającą do anarchii i zniszczenia... Stawiając Boga ponad wszystko stworzone, religia spycha wprawdzie ludzkość z owego świętokradzkiego ołtarza, na którym ją stawia bałwochwalcze pochlebstwo filantropów ; ale za to łącząc wszystkich ludzi wspólną miłością Boga w jeden Kościół, a sam Kościół łącząc z Chrystusem tak ściśle, jak ciało połączone jest z duszą, podnosi ona znowu ród ludzi do tak wysokiej godności, o jakiej ani marzyło się filantropom. Kościół domaga się tylko od swych dzieci, by kochały Boga nadewszystko, stworzenia zaś w Bogu tylko i po Bożemu tj. zgodnie z myślą Bożą o nich, i tak, jak je Bóg miłuje.

Ojczyzna w pojęciu wiary, jest to, jak wyżej mówiłem, jednostka społeczna, mająca swą indywidualną samoistność, tj. swój język, swój charakter narodowy i swe odrębne wa-

runki bytu. Ten sam Bóg, co stworzył pojedynczych ludzi i każdemu wytyczył drogę, po której ma zdążać do ostatecznego celu, stworzył też pojedyncze narody i dał każdemu pewne zadanie do spełnienia, co stanowi posłannictwo jego na ziemi. Pojedynczy przezto obywatele kraju mają nie tylko prawo, lecz i obowiązek kochać swą ziemską ojczyznę, gdyż w niej tylko i przez nią mogą się wywiązać z doczesnego posłannictwa swego. Ojczyzna to jakby olbrzymi warsztat, na którym miliony ludzi w ciągu długiego nieraz szeregu stuleci snują zbiorowemi siłami nieprzerwany wątek tej myśli Bożej, którą Stwórca wrzucił jak drobne ziarnko w łono narodu, w chwili jego poczęcia i które długo kiełkowało bezwiednie w sercu ludu, zanim rozwój dziejowych wypadków nie przywiódł do świadomości narodowego sumienia, dając mu wreszcie sformułować ideę, której zawdzięcza swe istnienie. „Ciało, mówi Ks. Arcyb. Feliński, w którem mieszka myśl Boża, świętem być winno i nietykalnem, chociaż z natury swej jest śmiertelnem. Jak zbrodnią jest odjąć życie człowiekowi pojedynczemu, bądź samobójstwem, bądź morderczem żelazem, tak niemniej zbrodniczym jest czynem zamordować naród, bądź własnym bezrządem, bądź nadużyciem zewnętrznej siły. Najsłabszy nawet naród ma równie święte prawo do niepodległego bytu i samorządu jak i najpotężniejsze państwo, gdyż w obu mieszka zarówno myśl Boża i oba mają własne do spełnienia posłannictwo. To też ciężka czeka odpowiedzialność przed Sądem Bożym tak chciwych panowania najezdców, co przemocą wolny ujarzmiają naród, jak i owych zdrajców narodowej idei, co dla prywatnej korzyści wtrącają w przepaść własną ojczyznę. Wewnętrzny wszakże rozkład i upadek ducha w narodzie stokroć straszniejszą jest klęską niż wojenny podbój; zewnętrzne bowiem okowy prysną przy pierwszym ich osłabieniu, skoro żywotne siły narodu nie sterane, — podczas gdy śmierć ducha na zawsze niemożebnem czyni narodowe zmartwychwstanie. Doświadczenie wieków to stwierdza, iż te jedynie narody bez powstania giną, co sprzeniewierzyły się myśli Bożej i zdradziwszy swe

posłannictwo, umiłowały swe jarzmo i dobrowolnie do obcych duchowi swemu zmierzać poczęły celów; lecz gdzie duch narodu zachowa swą żywotność i pozostanie wiernym przeszłości swojej, wtłoczone na ciało kajdany nigdy go zabić nie zdołają, gdyż organiczna jego idea jako siła Boża, przy życiu go zachowa".[1])

To też najpierwszym obowiązkiem prawego obywatela jest wystrzegać się, tak w życiu prywatnem jak i publicznem, wszelkiej niegodziwości i wszelkiego czynu przeciwnego idei narodowej, tj. myśli Bożej o narodzie. Prawodawstwo zwłaszcza i cały ustrój społeczny winny być oparte na prawdzie, sprawiedliwości i miłości, — i w tymże duchu winna być prowadzona polityka zewnętrzna. „Za najazd i zabór niepodległego państwa rząd najezdniczy odpowie przed Bogiem, wówczas nawet kiedy skrzywdzony naród sprzeniewierzył się posłannictwu swemu i skaził swój wewnętrzny organizm; obowiązkiem bowiem innych narodów w takim razie jest dopomożenie zbłąkanemu bratu do odnalezienia zagubionej ścieżki swych przeznaczeń a nie samolubne korzystanie z jego słabości, co nigdy nie przestanie być zbrodnią narodową.

Jedyną godziwą wojną jest odparcie napadu, albo obrona niesłusznie pokrzywdzonych społeczeństw; jedynie zaś godziwym po zwycięstwie odwetem jest wynagrodzenie sobie poniesionych szkód materyalnych i zabezpieczenie się na przyszłość; lecz wcielanie krajów lub prowincyj, wbrew woli ich mieszkańców, chociażby ci sprzeniewierzyli się chwilowo swemu posłannictwu, nigdy w obec idei chrześcijańskiej usprawiedliwionem być nie może".[2])

W ten sposób pojęty patryotyzm nietylko nie sprzeciwia się w niczem miłości Bożej, lecz jest raczej koniecznem jej następstwem; jak więc niepodobna kochać Boga nie miłując bliźniego, co jest jego obrazem, tak niepodobna też, miłując Boga, nie ukochać myśli Jego wcielonej w narodowy organizm, zwłaszcza zaś tej myśli, do której urzeczywistnie-

---

[1]) Konfer. duch. [2]) Tamże.

nia my sami zostaliśmy wezwani. Taki patryota nie zna ani zazdrości, ani współzawodnictwa o potęgę narodową; bo mu nie chodzi o rozszerzenie panowania swego kraju, lecz o wierne wywiązanie się jego z własnego posłannictwa. Nie zna też nienawiści do tych, co krzywdzą jego naród.

Jeśli krzywdzony i odarty praw się swych dopomina i panowania przemocy nie uznaje, to nie z nienawiści lub chęci zemsty, lecz dlatego jedynie, iż w narodowem sumieniu swem czuje, iż stokroć jest lepiej męczeńską zginąć śmiercią, niż z bojaźni lub chciwości zaprzeć się posłannictwa swego i myśl Bożą zdradzić. Umie patryota chrześcijański przebaczać swym prześladowcom, jak Zbawiciel oprawcom swoim przebaczył, w przypuszczeniu, iż nie wiedzą co czynią; lecz nigdy przemoc nie zdoła go spodlić i do zrzeczenia się praw narodowych doprowadzić, gdyż prawa te nie są osobistą jego własnością, lecz są najdroższym upominkiem darowanym przez Stwórcę narodowi. Przez co jeszcze nie twierdzę jakobyśmy my katolicy przypisywali sobie monopol patryotyzmu. Inni, mniej bogaci w wiarę pójdą za nami na drodze poświęcenia. A kiedy tak za nami kroczyć będą, czy świadomie czy nieświadomie będą to czynić mocą pierwiastku chrześcijańskiego i siłą zachowaną chrześcijańskiego nałogu; a nadto w patryotyzmie katolika z czynu jest światło, jest ogień, jest radość, których tamci poza katolicyzmem nie znają.

Że katolicyzm wytwarza szczerego patryotę, świadczą o tem dzieje narodów, naszego osobliwie. Legie najwierniejsze ojczyznie, jak wyżej zauważyłem, były to legie nawskróś chrześcijańskie. Jak długo ojcowie nasi z czynu byli katolikami, byli też patryotami nie z nazwy tylko, a nasi wojownicy w i a r u s a m i, a Polska przedmurzem chrześcijaństwa.

(Dok. nast.).

Ks. J. St Adamski.

Etyka a polityka.

Wyraz „polityka“ ma wielorakie znaczenie. Używa się go gdy chodzi o naukę o państwie, nazywa się jednak polityką także teoryę działań mających dobro państwa na celu; wreszcie działanie samo, praktykę, czyn, którego celem właśnie to dobro, określa się także jako politykę. Ja tutaj nie mam zamiaru zajmować się nauką o państwie, ani też jakiemikolwiek teoryami działań nazywanych politycznemi mam na myśli wyłącznie działanie samo. Praktyczna czynna polityka oto, co ma być przedmiotem moich rozważań.

Przedewszystkiem należy zapytać: czem jest polityka w znaczeniu praktycznem jako działanie, czyn? Otóż i pod tym względem poglądy nie są ani jasne ani zgodne. Jedni nazywają polityką zajmowanie się sprawami państwowemi. Inni nazywają polityką dążenie do władzy. Niedawno czytałem takie określenie polityki: „Polityka jestto najwyższe napięcie sił narodowych i doprowadzenie interesów narodowych za pomocą środków, jakiemi rozporządza władza państwowa tak na wewnątrz jak na zewnątrz do pełnego urzeczywistnienia“. Wszystkie tego rodzaju określenia nie są wyczerpujące. Gdyby polityką było tylko zajmowanie się sprawami państwa, dążenie do władzy, lub skupianie sił narodowych przy pomocy państwa, to jakże mogłaby być mowa n. p. o polityce kościelnej, albo o polityce ekonomicznej, agrarnej, handlowej,

przemysłowej, oświatowej, mieszkaniowej, stanowej, międzynarodowej i t. d.? Czy, gdy się mówi o polityce n. p. agrarnej lub oświatowej ma się na myśli władzę lub wyłącznie interesy państwa? Bynajmniej! Ma się wówczas na myśli interesy pewnych warstw społecznych, lub w drugim wypadku interesy młodszych pokoleń, albo dobro pewnych grup ludności. W najszerszem tego słowa znaczeniu można przeto dać takie określenie polityki: „*Polityka jestto z planem i z metodą podejmywane działanie, zmierzające do urzeczywistnienia pewnych celów i zadań uznawanych za posiadające wartość dla zbiorowego życia czy to różnych oddzielnych grup lub organizacyj społecznych* (a więc n. p. dla państwa, kościoła, narodu, dla rolników, mieszczan, przemysłowców, handlowców, młodzieży i t. d.) *czy też nawet dla całego społeczeństwa ludzkiego, a to przez pozyskiwanie wpływu na czynniki, od których to zbiorowe życie zależy*". Pod takie określenie da się, jak mniemam, podciągnąć wszelkie działanie polityczne, a równocześnie od jakichkolwiek innych działań wyróżnić.

Stwierdzam teraz dalej, że wszelkie z planem i z metodą podejmywane, a więc świadome i rozumne działania ludzkie podlegają normom i ocenom etycznym. Jestto prawda niezbita, powszechna nie mogąca żadnej ulegać wątpliwości. Dlaczego tak jest, zkąd się to bierze, jakie jest tego faktu pochodzenie w „rozbiór tych zagadnień wdawać się tutaj nie mogę, to by mnie za daleko zaprowadziło, wypadałoby bowiem wniknąć i rozpatrzyć istotę i genezę moralności. Tutaj wystarczy jednak stwierdzić, że tak jest. Faktem jest, że człowiek ma sumienie, że się poczuwa do obowiązków, szczególnie zaś do szanowania pewnych przepisów nazywanych moralnemi, a dających się skupić i zgrupować około następujących zasad głównych: około tego, co Rzymianie oznaczali wyrazem „*pietas*" (poszanowanie wszelkiego rodzaju powszechnie uznawanych i czczonych świętości, ideałów, urządzeń i t. d.), który to wyraz na żaden język przełożyć się nieda, dalej szczerość, sprawiedliwość, miłość bliźniego, panowanie nad samym sobą. Nie wszystkie rozumne działania ludzkie są mo-

ralne, to znaczy zgodne z wymienionemi właśnie najwyższemi zasadami, owszem wielka ich część jest z niemi wcale niezgodna, ale z drugiej strony jestto faktem niezaprzeczalnym, że wszystkie ocenom moralnym w myśl przytoczonych powyżej najwyższych zasad podlegają. Skoro więc tak jest, to działania polityczne powinny im również podlegać.

Tymczasem widzimy, że w rzeczywistości jest inaczej. Działania ludzkie o ile wchodzą w zakres życia jednostkowego, osobistego ulegają bezwarunkowo ocenom etycznym. Nikomu przez myśl nawet nie przyjdzie nazywać kłamstwa, kradzieży, morderstwa inaczej jak czynami niemoralnymi. Skoro jednakże wkroczymy w dziedzinę działań politycznych to zaraz rzecz przedstawi się nam inaczej. W ogromnej liczbie wypadków nie przykłada się do działań politycznych norm etycznych, a przynajmniej nie przykłada się ich w tym stopniu jak się to dzieje w zakresie życia osobistego, lecz przykłada się normy inne. Skoro działalność polityka jest zręczną, stanowczą, skoro ją wieńczy powodzenie, to ocenia się ją zwykle dodatnio, bez względu na środki jakimi się polityk posługiwał. Wybacza mu się czyny wysoce niemoralne, jeżeli tylko doprowadziły do celu. Polityk może kłamać udawać, niemoralnymi środkami zdobywać wpływ, łamać przyrzeczenia i umowy, knować spiski, dopuszczać się nawet morderstw, jeżeli tylko cel osiągnie, to zawsze znajdzie się jakaś grupa ludzka, wśród której uzyska on poklask i uznanie, będzie uchodził za wielkiego polityka, za dobroczyńcę swojego państwa, narodu, i t. d. Wytknie mu się wprawdzie ten lub ów postępek, zastosowanie tego lub owego środka, ale ocena wypadnie bez porównania łagodniej, aniżeli przy czynach, których przedmiotem stosunki osobiste. Mówi się nieraz: Prawdą jest, że ta jakaś działalność polityczna nie była zgodną z kodeksem moralnym, ale trudno ów polityk nie mógł postąpić inaczej, za to osiągnął takie to a takie wspaniałe wyniki.

Atoli z drugiej strony patrzymy i na to także, jak politycy sami powołują się na prawa moralne, jak twierdzą, że postępują w myśl wielkich ideałów i haseł moralnych. Naj-

większy mistrz realnej polityki bez skrupułów Machavelli dowodził, że dla polityka jest wielce pożycznem, jeżeli potrafi wydać się pobożnym, wiernym, ludzkim, bogobojnym, uczciwym. Wszystko, co od mądrego polityka pochodzi, powinno promienieć miłosierdziem, wiernością, ludzkością, uczciwością, pobożnością, ale nadewszystko potrzebny jest pozór owych cnót. A więc muszą one jednak posiadać dla polityki jakąś wartość.

Wielcy politycy mieli sami nieraz skrupuły, co do moralnej strony ich działań i to im nieraz mocno dokuczało. Znakomity włoski mąż stanu Cavour powiedział pewnego razu o sobie: „Nie wiem nawet czy

mam prawo zaliczać się do ludzi honoru dlatego, że ugruntowałem jedność mojej ojczyzny". Istnieje przeto, jak widzimy, między etyką a polityką pewnego rodzaju napięcie. Wydaje się jakby te dwie dziedziny były niewymierne, jakby panowała między niemi z jednej strony sprzeczność z drugiej pewna spójnia. Jak to sobie wyjaśnić?

Pochodzi to ztąd, że normy moralne stosowane w życiu osobistem nie przykrywają się w zupełności z normami, które należy zastosowywać przy ocenie objawów życia zbiorowego. Normy te nie zawsze i nie we wszystkich wypadkach mogą być jednakie. Że tak jest można wykazać na przykładach. Wszyscy uznają to, że pokora, cierpliwość, ustąpliwość, wyrozumiałość wobec nieprzyjaciół są w życiu osobistem godnemi uwielbienia cnotami, w życiu jednak zbiorowem mogą one łatwo uzyskiwać cechy czynów niemoralnych. Gdyby polityk wobec złego sąsiada zastowywał cnotę pokusy i ustępliwości i narażał przez to na szwank bezpieczeństwo i całość własnego państwa i narodu, to niepostępowałby cnotliwie, przeciwne postępowanie jego zasługiwałoby nawet ze stanowiska moralnego na naganę. Gdyby n. p. na Sejmie Grodzieńskim był się znalazł jakiś poseł z tak gołębią prostotą i niewinnością serca, iż byłby powiedział tak: „Krzywdy należy znosić z poddaniem się i z cierpliwością, przemocy nie należy się sprzeciwiać, skoro więc Rosya domaga się ziem polskich to niech bierze". Czy tego rodzaju postępek możnaby nazwać moralnym? Przenigdy! A dlaczego? Oto dlatego, że zupełnie co innego jest odpowiedzialność za siebie, a za zbiorowość. Jednostka ludzka praktykując cnoty takie jak n. p. cierpliwość, pokora, ustępliwość czyni to w tym celu, aby zyskać wyższe dobra duchowe, tymczasem gdy chodzi o interesa państw, lub narodów może uległość powodować nieobliczalne klęski, może stać się przyczyną upadku moralnego i materyalnego milionów ludzi. Polityk przeto, któryby pozwolił sąsiadom robić z jego państwem co zechcą, byłby nietylko złym politykiem, ale nadto obciążałby w wysokiem stopniu swoje sumienie, postępowałby niemoralnie.

Jak z powyższego wynika to etyka osobista i etyka polityczna nie przykrywają się w zupełności, dzieje się to zaś z następujących powodów:

1). Jednostka ma nad sobą w zorganizowanem społeczeństwie wyższą opiekę prawa, którego stróżem jest państwo, tymczasem państwo samo takiej wyższej opieki nad sobą nie posiada; państwo musi sobie nieraz sprawiedliwość wyrządzać, nie ma bowiem do kogo apelować, a czekać nie może.

2). Prawa jednostki są ustalone i zkodyfikowane, prawa zaś państw i narodów nie. Na tem polu panuje niesłychana anarchia tu wszystko jeszcze w stanie płynnym.

3). Polityka odpowiedzialną jest za miliony, na jej sumieniu jest nieraz dobro i przyszłość licznych pokoleń; tymczasem jednostkowa moralność ma na względzie tylko osobiste dobro, lub, co najwyżej, dobro swoich najbliższych, tymczasem osobiste życie to nie całe życie. Gdyby więc n. p. państwo chciało cierpieć krzywdy, spełniałoby przez to najwyższe bezprawie grzeszyłoby przeciw sprawiedliwości.

4). Jeżeli polityka nie może cierpieć bezprawia, to z drugiej strony znajdzie się ona nieraz w położeniu, że musi chwycić się siły aby wyższemu prawu naprawdę moralnemu dopomódz do zwycięstwa. Są wyższe prawa, dla których musi polityk poświęcić szacunek dla prawa niższego. (Myśl tą wspaniale uwydatnił Sofokles w Antygonie). Polityka n. p. narodowa musi nieraz stanąć nad państwową i może domagać się nieuwzględniania praw i nakazów państwa.

Okazuje się więc, że polityka wcale nie jest wolną od przestrzegania zasad moralnych, ale stosunek działań politycznych do etyki przedstawia się inaczej aniżeli działań należących do zakresu życia jednostkowego. Ponieważ zaś, jak widzimy, moralność osobista nie zupełnie pokrywa się z moralnością polityczną, ztąd wyprowadzają niektórzy pisarze polityczni wniosek, że w dziedzinie polityki moralność wcale nie obowiązuje. Tymczasem tak nie jest, głos ogółu, sumienie powszechne domaga się czego innego. Aby zatem tego sumienia powszechnego nie obrażać radzą sobie politycy zachowywa-

niem pozorów, mają bowiem to przekonanie, że powołując się na hasła etyczne, czynią sprawę swoją mocniejszą.

Na zakończenie pozostaje mi jeszcze jedno do rozpatrzenia pytanie, a mianowicie w jakim zakresie; w jakim kierunku powinna etyka obowiązywać w polityce? Otóż w dwojakim kierunku i zakresie:

1). Cele politycznego działania powinny być moralne, należy módz je usprawiedliwić przed trybunałem sumienia. Ich moralna strona może przedstawiać się nieraz inaczej aniżeli z punktu widzenia moralności prywatnej; jednakże powinny one bezwarunkowo być zgodne z najwyższemi zasadami moralności. Nie ma i nie może być wypadku, w. którym dałby się w politycznem działaniu usprawiedliwić niemoralny cel. Taki cel nie może też nigdy leżeć w interesie państwa lub narodu. Przeciwnie, dążenie do niemoralnych celów, a szczególnie do celów niezgodnych ze sprawiedliwością mści się później na polityce. Naturalnie, że przy ocenie strony moralnej politycznych celów należy być bardzo ostrożnym i krytycznym. Moim zdaniem dobrym politykiem potrafi być tylko ten, u kogo w służbie publicznej góruje nad wszystkiem głos obowiązku, taki w ocenie celów politycznego działania na pewno nigdy się nie pomyli.

2). Dobór środków w polityce powinien być taki iżby mogły uchodzić za godziwe. Prawdą jest, że polityk nie zawsze może chadzać otwartą drogą, z tego jednak nie wynika, aby miał prawo posługiwać się środkami brudnemi i podłemi. Pod tym więc dwojakim względem może i powinno przyjść do umoralnienia polityki. Postęp w tej mierze jest już nawet widoczny. Dowodzi tego najlepiej fakt, że wybitni politycy i kierujący mężowie stanu na hasła moralne się powołują, mają bowiem to przekonanie, że polityce swojej nadają przez to większą moc i siłę. Widocznie więc jest etyka dla polityki sprzymierzeńcem, na którego wartości ona się już poznała. Im ściślej i gruntowniej one wzajemnie się przenikną tem większa z tego wyniknie dla politycznego działania korzyść.

Do tego potrzeba jednak, aby z jednej strony zrozumiano, że zasady etyki muszą być do działania politycznego stosowane inaczej aniżeli do czynów wchodzących w zakres życia osobistego, z drugiej strony należy domagać się od polityków, aby hasłami etycznemi posługiwali się nie tylko w mowie, ale aby także całe ich działanie przenikał pierwiastek etyczny.

Dr. Maurycy Straszewski.

Cud Jozuego.[1]

Hipoteza egzegetyczna.

Księga Jozuego podnosi dwa cuda, którymi Pan wsparł walczącego Izraela[2]). Pierwszym z nich był grad podobny do dużych kamieni, który spuścił Pan z nieba na wojska nieprzyjacielskie, a który prażył je od stoku Bethorońskiego aż do Azeki, to jest na przestrzeni 25-ciu wiorst z górą, i sprawił w szeregach ich daleko większe spustoszenie, aniżeli miecz izraelitów. — Grad, chociażby największy, sam z siebie nie jest cudem, jak nie były cudem same przez się przepiórki, które spadały na obóz izraelski na puszczy (ob. Ex. 16, 13, Num. 11, 31, 32); ale że czarna chmura gradowa zawisła nagle nad Bethoronem w chwili, kiedy nieprzyjaciel w ucieczce swej zawracał ku siedzibom swoim i tu sypnęła na niego ciężkiemi bryłami lodu (porówn. Ps. 147, 17), a następnie posu-

[1]) Ustęp z komentarza do Księgi Jozuego, przygotowanego do druku.

[2]) Odnośny tekst pisma św. opiewa: rozdz. 10, 11—14. — 11. A gdy umykali oni synom Izraelowym, i pędzili na dół po stoku Bethorońskim, spuścił Pan na nich z nieba kamienie wielkie, które biły ich aż do Azeki: i było tych, którzy zginęli od kamieni gradowych, daleko więcej, niżli tych, których pobili mieczem synowie Izraelowi. 12. Na ten czas mówił Jozue do Pana, dnia, którego podał Amorrejczyków przed oczyma synów Izraelowych, i rzekł wobec nich: Słońce, nie ruszaj się przeciw Gabaonowi: a ty, księżycu, przeciw dolinie Ajalon! — 13. I stanęły słońce i księżyc — aż się pomścił naród nad nieprzyjaciółmi swymi. Czyż nie jest to napisane w księdze Sprawiedliwych? — Stanęło tedy słońce w pośrodku nieba — i nie spieszyło się zapaść przez dzień jeden. 14. Nie było ani przedtem ani potem dnia tak długiego, jako ten, kiedy Pan usłuchał głosu człowieka, i walczył za Izraela. 15. I wrócił się Jozue ze wszystkim Izraelem do obozu w Galgali.

wając się nad nim na ogromnej przestrzeni, raziła go od czasu do czasu nowymi pociskami, nie dotykając wcale goniących go izraelitów, w tem wszystkiem był już wyraźny cud Boży, taki sam zupełnie, jak niegdyś w Egipcie. (Ob. Ex. 10. 9. 13—26).

Drugim cudem, który tamże w Bethoronie równocześnie z gradem zdziałał był Pan przez Jozuego, było to, co zwykliśmy nazywać zatrzymaniem słońca i księżyca. Cudu tego sam nasz Autor nie opisuje, a tylko przytacza krótki wyjątek z księgi za jego czasów dobrze wszystkim znanej, która miała tytuł S e f e r h a j j a s z a r — Księga sprawiedliwych. Księga ta dawno już zaginęła; pozostało nam z niej dwa tylko krótkie wyjątki: jeden przytoczony w tem miejscu księgi Jozuego, a drugi 2 Król, 1, 18 i nn.

Oba te wyjątki mają formę poetyczną, skąd wnoszą powszechnie, że owa księga zawierała w sobie zbiór pieśni napisanych przez rozmaitych poetów na cześć ludzi sławnych i świętych w Izraelu. Była tam tedy i pieśń na cześć Jozuego, a w niej strofa jedna poświęcona cudownemu zatrzymaniu słońca przez niego.

Ustęp w hebrajskim tekscie Masoretów dosłownię opiewa tak: „Na ten czas mówił Jozue do Jahwy, dnia, którego podał Jahwe Amorrejczyka przed synami Izraelowymi: i rzekł przed oczyma Izraela: Słońce, zatrzymaj się w Gibeonie, a (ty) księżycu, w dolinie Ajjalon! I zatrzymało się słońce, i stanął księżyc, aż się pomścił naród nad nieprzyjaciołmi swymi. — Czyż nie jest to napisane w księdze sprawiedliwych? — I stanęło słońce w pośród nieba, i nie kwapiło się zajść jakoby dzień cały. I nie było ani przed tem ani potem dnia podobnego, w którym usłuchał Jahwe głosu człowieka: bo Jahwe walczył za Izraela". = A oto, jak tenże sam ustęp przedstawia się w najdawniejszej wersyi greckiej LXX: „Na ten czas mówił Jozue do Pana, dnia, którego podał Bóg Amorrejczyka w ręce Izraela, kiedy ich starł w Gabaonie — i zostali starci z przed oczu synów Izraelowych — i rzekł Jezus (tak w wersyi greckiej zowie się Jozue): Stań, słońce, nad Gabaonem, i (ty) księżycu, nad doliną Ajlon. I stanęło słońce i księżyc

na miejscu, aż pomścił się Bóg nad nieprzyjaciołmi ich. I stanęło słońce w pośrodku nieba: nie podążało zachodzić do końca dnia jednego. I nie było dnia podobnego ani przedtem ani potem, iżby Bóg usłuchał człowieka, albowiem Pan walczył za Izraela. — Łatwo stąd widzieć, w czem od obu tych tekstów różni się nasza Wulgata. Pomiędzy innemi różnicami ona jedna o owym dniu słynnym powiada, że nie było nigdy dnia t a k d ł u g i e g o. (Porównaj Eklez. 46, 5.).

Na ten czas — po hebrajsku *az*. Autor nasz dodał to od siebie raz dlatego, aby przytaczany urywek z poety połączył z opowiadaniem swojem; a powtóre w celu bliższego określenia owego dnia, o którym on mówi. Strofa u poety, jak tego wymaga rytm hebrajski, musiała się zaczynać wprost: W a j d a b b e r J e h o s z u a J a h w e h = *I mówił Jozue do Pana* itd. Był to więc ten sam dzień, którego Jozue nad rankiem pobiwszy Amorrejczyków pod Gabaonem, ścigał ich najprzód wiorst siedm do Bet-horonu, a potem wiorst ze trzydzieści pięć do Makedy, i kiedy Pan przy spuszczaniu się ich z Bet-horonu górnego do Bet-horonu dolnego począł ich bić gradem z nieba. Wynika stąd samo przez się, że cud zatrzymania słońca przez Jozuego był w ścisłym związku z burzą, która niosła z sobą chmurę gradową. Chmury takie pędzą zwykle dość nizko nad ziemią i bywają tak czarne, iż jasny dzień zamieniają w noc czarną. Patrz opis takiej burzy w Palestynie Ps. 17 (18), 8–16. — O jakiej było to porze dnia, dowiadujemy się ze słów Jozuego: *Słońce, nie ruszaj się* itd., z których widać, że słońce świeciło wówczas nad Gabaonem, więc na wschód od Bet-horonu, a księżyc unosił się nad doliną Ajalońską, a więc na zachód od Bet-horonu; w takiem zaś położeniu mogły znajdować się względem siebie oba te ciała niebieskie tylko w ostatniej kwadrze księżyca w godzinach rannych. Pomimo tej pory rannej, amorrejczyków z powodu zawisłej nad nimi chmury gradowej ogarnęły były ciemności nocne; a lada chwila taż sama chmura takiemiż ciemnościami mogła ogarnąć także i wojsko izraelskie, przerwać jego pogoń za umykającym nieprzyjacielem i udaremnić od-

niesione nad nim zwycięstwo pod Gabaonem. Innemi słowy: Słońce, które już zaszło dla amorrejczyków, spieszyło się zajść także i dla izraelitów. Jozue zmierzył grożące mu niebezpieczeństwo i zwrócił się do Pana z gorącą prośbą, by, ścigając amorrejczyków chmurą gradową, zatrzymał nad Izraelem słońce i księżyc na miejscach, kędy mu one jeszsze świeciły. Jeżeli nie takiego samego, to bardzo podobnego cudu sam był on świadkiem niegdyś w Egipcie. Ob. Ex. 10, 21—23. —. *Mówił Jozue do Pana.* Właściwie mówił Jozue do słońca i do księżyca, lecz poeta bardzo słusznie widział w tem przemowę do Tego, któremu posłuszne są słońce i księżyc. — Że Jozue zwracając się do słońca, mówił *Stań!* szedł on w tem za powszechnym zwyczajem, podług którego do dziś dnia sami nawet astronomowie zwykli mówić, że słońce wschodzi i zachodzi, że się na niebie podnosi i chyli itp. Tegoż samego zwyczaju trzymali się i Pisarze święci. Wogóle o zjawiskach przyrodzonych mówili oni podług tego, jak one przedstawiają się zmysłom naszym, nie wchodząc w ich przyczyny wewnętrze.

Słońce, nie ruszaj się przeciw Gabaonowi itd. Godnem tu jest uwagi, iż Jozue nie mówił: Słońce, nie ruszaj się, ani ty księżycu; lecz: Słońce, nie ruszaj się *przeciw Gabaonowi*, a ty księżycu, *przeciw dolinie Ajalońskiej*, to bowiem pokazuje, że szło mu nie o zupełne unieruchomienie słońca i księżyca, a tylko o wstrzymanie ich ruchu w kierunku, który uważał on za zgubny dla siebie, bo mu groził nocą przedwczesną. Przedewszystkiem chodziło oczywiście o słońce, które pozornie spieszyło się ku Bet-horonowi, gdzie wisiała chmura gradowa, i miało lada moment zapaść za nią; przytem jednak i tego on nie chciał, iżby burza szła w kierunku zachodnim, gdzie był księżyc, nieprzyjaciel bowiem z Bet-horonu zawracał na południe. *I stanęły słońce i księżyc:* rozumie się, w tem znaczeniu, w jakiem Jozue rozkazał im stanąć. Pozostały one na horyzoncie widome całemu wojsku izraelskiemu. Niżej powtarza się to o samem tylko słońcu, z dodatkiem, że stanęło ono *w pośrodku nieba*, co ze względu

na porę ranną, w której działo się to wszystko, należy brać w tem samem znaczeniu, jak gdy mówimy w p o ś r o d k u m o r z a, w p o ś r o d k u l a s u itp. O stanięciu księżyca nic się już tym razem nie mówi, bo ten zaszedł był dość rychło. Jak długo zaś stało słońce na horyzoncie, to tłómaczy nam sam poeta, gdy mówi: *I nie spieszyło się zapaść przez dzień jeden* — w hebrajskim: j a k b y p r z e z d z i e ń c a ł y, czyli jak to przekładają tłumacze greccy, d o k o ń c a d n i a j e d n e g o. Dla izraelitów zapadło ono za chmurę, a może i za horyzont, gdy się kończył dzień naturalny. Jeżeli przeto Autor księgi Ekklezyastyka, który miał przed sobą tenże sam tekst hebrajski księgi Jozuego, co i my dzisiaj, mówiąc o tym dniu pamiętnym (46, 5), nazwał go dniem j a k o b y p o d w ó j n y m, to oczywiście miał na widoku to tylko, iż słońce dnia onego zaszło było dla izraelitów dwa razy później, niż dla amorrejczyków. Dla tych był to dzień bardzo krótki, a dla izraelitów względnie bardzo długi. — Zdawałoby się tedy, że w tekście świętym, przynajmniej w brzmieniu jego hebrajskim, nic niema takiego, coby zmuszało nas do uważania tego dnia za podwójny dzień naturalny i do zaciekania się następnie w przyczyny tak niezwykłego zjawiska, jak czynią to ci, którzy w tem zatrzymaniu słońca i księżyca upatrują cud astronomiczny: wstrzymanie obrotu ziemi około swej osi i obrotu księżyca około ziemi. Że u Pana Boga nic niema niepodobnego, o tem juściż nikt z wierzących wątpić nie może; lecz żeby dla pobicia kilku szejków amorrejskich lub chociażby dla okazania i im i izraelitom wszechmocności swojej, potrzebował był uciekać się do cudu tak nadzwyczajnego, o tem można powątpiewać, zwłaszcza, gdy i same księgi święte nic o takim cudzie wyraźnie nie mówią. Bardzo znamiennem, acz nie decydującem, jest pod tym względem to, że św. Paweł mówiąc w liście do Żydów o zdumiewających czynach dokonanych w Starym Zakonie przez ludzi wielkiej wiary, doszedłszy z kolei do Jozuego, podnosi tylko cudowne runięcie murów Jerycha, a przy niem cudowne ocalenie nierządnicy Rachak, o zatrzymaniu zaś obrotu

ziemi około swej osi, które byłoby cudem w dziejach ludzkości jedynym, nic zgoła nie wspomina. Ob. Żyd. 11, 30. 31. Kościół św. również nic w tej mierze nie orzekł. Dawniejsi egzegeci i teologowie katoliccy idąc za zdaniem niegdyś powszechnem, jakoby słońce obracało się około ziemi, w cudzie Jozuego upatrywali stwierdzenie tego zdania przez samych nawet Pisarzy świętych, skutkiem czego Kongregacya św. Officyum, kiedy Kopernik, Galilei, Kepler i inni astronomowie poczęli dowodzić zdania wręcz przeciwnego, uznała to była za błąd przeciwny księgom świętym i wierze katolickiej, później jednak, po bliższem zbadaniu tej sprawy, wyrok swój cofnęła; przyczem samego cudu Jozuego, jak go rozumieć należy, wcale już nie dotykała. Z egzegetów dzisiejszych jedni są za cudem wszechświatowym astronomicznym, drudzy za cudem miejscowym atmosferycznym, i tak jedni jak drudzy zdanie swoje tłómaczą w sposób najrozmaitszy.

Arcybiskup Fr. A. Symon.

Teorya rozwoju wojny.

VI.

Rozwój wojny przedstawia mi się przedewszystkiem jako jej racyonalizacya stopniowa, ale nie nieprzerwana. Za jej główny, najbardziej oczywisty wykładnik uważam zmiany w celowości działań wojennych. Przedłużanie się łańcucha teleologicznego nie wyczerpuje całej racyonalizacyi wojny. Chcę ją uwypuklić na tle zmian, które zaszły w stosunku wojny do zasadniczych przejawów rozwoju dziejowego.

Mam na myśli, z biegiem stuleci coraz to większe, przesiąknięcie wojny pierwiastkami indywidualistycznymi, demokratycznymi, humanitarnymi. Postęp ku wolności, równości, większe poczucie braterstwa między ludźmi są zjawiskami w pewnej mierze związanymi z rozwojem racyonalizacyi życia ludzkiego. Są zjawiskami, wyciskającymi silniejsze piętno na życiu ludzkiem w czasach pokoju, atoli wzrastający wpływ tych idei i uczuć odnajdziemy także w rozwoju dziejowym wojen. Zmiany w prawie międzynarodowem są także w pewnej mierze przejawem racyonalizacyi wojny, są formalnym wyrazem wszelakiego rozwoju wojny. Bez ich krótkiego omówienia, rzecz o rozwoju wojny nie byłaby zupełną.

Zachodzi pytanie, czy i jak wyraził się w rozwoju wojny wzrost dążności indywidualistycznych i liberalnych? Niewątpliwie także i w obrębie zjawisk wojennych zaznaczył się prąd

indywidualistyczny, ale słabiej, niż w innych dziedzinach życia ludzkiego. Mimo pewnej racyonalizacyi wojny, wojna nie stała się zjawiskiem równie racyonalnem, jak wiele innych. Coś podobnego można powiedzieć o rozwoju indywidualizmu i wojny. Wchłonęła w siebie pewne pierwiastki indywidualistyczne, ale jest ciągle jeszcze czynnikiem w wysokim stopniu wstrzymującym rozwój indywidualistycznego ustroju społecznego. Wojna jest okresem reakcyi w duchu wprost przeciwnym. Jest z istoty swej anti-liberalna. Skuteczne przeprowadzenie działań wojennych wymaga daleko sięgającego ograniczenia wolności nieprzyjaciela i własnych poddanych. Prawa konstytucyjne obywateli ulegają zawieszeniu na czas trwania wojny. Niepomiernie wzrasta zakres działania władz państwowych. Maleje wpływ innych związków społecznych. Mieszkańcy tracą poniekąd charakter obywateli. Stają się coraz bardziej poddanymi państwa. Wojna jest spotęgowaniem łączności państwowej. W czasie wojny mieszkańcy ponoszą więcej ofiar we krwi, w pracy, w mieniu na rzecz państwa, niż w okresach pokoju. Jednostka jest w wyższym stopniu częścią całości społecznej. A przecie wzrost indywidualizmu zaznaczył się w pewnej mierze w rozwoju wojny.

Zaznaczył się zarówno w stosunku ludzi do ludzi, jakniemniej w stosunku ludzi do rzeczy. Wojna także i dziś w wysokim stopniu krępuje swobodę jednostek. Nie przywraca niewoli. We wojnie współczesnej podobnie, jak w dawniejszych, jedni zwyciężają, drudzy ponoszą ciężar przegranej. Dziś — w przeciwstawieniu do przeszłości — jeden z największych tryumfów myśli i uczuć ludzkich, zniesienie niewoli, zwycięża obie strony wojujące. Jeńcom wojennym już nie grozi niewola. W tej zmianie stanowiska jeńca przebija się większe poszanowanie cudzej osobowości, nawet nieprzyjaciela. Jego wyrazem są także znane nam już zmiany w celowości zabijania nieprzyjaciela, które są ograniczeniem działań wojennych tego rodzaju, niewątpliwie sprzecznych z poszanowaniem cudzej osobowości, stanowiącem istotny współczynnik indywidualizmu. Objawem tego samego rzędu jest pomoc,

udzielana rannym i chorym jeńcom, obca starożytności greckiej i rzymskiej, obca średniowieczu.

Silnym wyrazem postępów indywidualizmu jest wyodrębnienie państwa od społeczeństwa, objawiające się w sferze działań wojennych stopniowem przyjęciem zasady, że wojnę prowadzą państwa, a nie społeczeństwa, której pierwszy, jeśli się nie mylę, bronił Jean Jacques Rousseau. Dziś działania wojenne w zasadzie zwracają się wyłącznie przeciwko żołnierzom nieprzyjacielskim. Bezbronna ludność cywilna nie jest ich przedmiotem, o ile tego nie wymagają konieczności wojenne. Państwa nie zmuszają w ciągu wojny do pełnienia zbrojnej służby wojennej ani jeńców, ani poddanych nieprzyjacielskich, którzy w toku wypadków wojennych przeszli pod ich władzę przez zwycięskie opanowanie części nieprzyjacielskiego kraju.

W stosunkach ludzi do rzeczy wyrazem stosowania zasady: „Wojnę prowadzą państwa, a nie społeczeństwa“ jest nietykalność własności prywatnej na lądzie w toku wojny, dawniej zupełnie nieznana, i dziś nieobowiązująca na morzu, a ograniczona na lądzie licznymi wyjątkami. Państwo nieprzyjacielskie może zająć ze względu na potrzeby wojenne (ale nie ze względu na inne — tak stanowią prawa międzynarodowe, praktyka niezawsze jest zgodną z tym przepisem) własność prywatną nieprzyjacielskich poddanych, ale za odpowiedniem wynagrodzeniem.

W zasadzie: „wojnę prowadzą państwa, a nie społeczeństwa“ tkwi uznanie w jednostce podwójnego charakteru: jest poddanym państwa, a nadto osobą, której państwa przyznają pewne uprawnienia i obiecują szanować je w miarę możności. Wydzielają jej pewną sferę osobistą, indywidualną, mało zależną od państwa. W stopniowem przyjęciu zasady, o której mowa, tkwi rozszerzenie stosowania pierwiastku indywidualistycznego w sferze wojny.

Za przejaw podobnego nastroju można poniekąd uważać większe względy okazywane w nowszych czasach przez strony wojujące państwom, niebiorącym udziału w walce i ich oby-

watelom. Zdarzało się niejednokrotnie w ostatnich stuleciach, że państwa większe osobnymi układami poręczały nietykalność państw mniejszych, poszanowanie ich niezależności. Przyrzekały wzajemnie sobie i państwu mniejszemu, że będą unikać zbrojnego starcia z tem państwem mniejszem i zawikłania go w wojny, któreby mogły między nimi wybuchnąć. Uważano za znaczny postęp, przywiązywano wielkie nadzieje do układów o neutralność. Widziano w nich zadatek większego poszanowania prawa i sprawiedliwości w czasie wojny. Spodziewano się, że obszary zneutralizowane już nigdy nie staną się widownią wojny. Zawikłania wojenne, które obecnie przeżywamy, okazały, że nadzieje były conajmniej przedwczesne. Byłoby jednak przesadą niezgodną z rzeczywistością odmawiać wszelkiego znaczenia układom o neutralność i przeczyć istnieniu jakiejkolwiek zmiany.

Tukydides w księdze piątej swego dzieła opowiada okoliczności, które doprowadziły do wciągnięcia w wojnę Aten ze Spartą, dotąd neutralnych, Melijczyków. Flota i wojsko lądowe ateńskie zjawia się na wyspie Melos. Wodzowie oświadczają: Przynosi ujmę powadze Aten wobec ich sprzymierzeńców, że nie popieracie Aten w walce ze Spartą. Żądamy przystąpienia do związku z nami, polegającego na płaceniu corocznej daniny pieniężnej. Jeżeli odmówicie, użyjemy przemocy. Mieszkańcy Melos w odpowiedzi powołują się na swą dotychczasową, nienaganną neutralność wobec obu stron, na swe prawo zachowania nadal niezależności państwowej, uświęconej długoletnią tradycyą, i neutralności. Odmawiają. Rozpoczyna się oblężenie. I dziś jesteśmy widzami wciągania w wir wojny państw neutralnych. Ale przecie zaszły pewne, coprawda niewielkie, zmiany. Ateńczycy uważali zmuszanie innych państw do współudziału w wojnie za dozwolone temu, kto mógł je poprzeć odpowiednią siłą zbrojną. Dziś uchodzi naruszenie praw neutralnych za zło konieczne, dopuszczalne jedynie w ostateczności. Jeszcze nie doszło do żądania od państw neutralnych czynnego poparcia dla wojujących. Można stwierdzić pewien rozwój w kierunku większego poszanowania cudzej neutralności.

Tkwi w nim większe uznanie praw przysługujących innym państwom, oraz osobowości ich obywateli, która obecnie uchodzi w mniejszej mierze za środek osiągnięcia własnych celów.

Wojna współczesna stała się — w znacznej mierze pod wpływem czynników religijnych — bardziej ludzką, bardziej humanitarną, niż dawniejsze. Rozwój cywilizacyi jest także zwiększonem stosowaniem w życiu uczuć humanitarnych. Czy to chodzi o zmiany w stanowisku kobiety, w wychowaniu dzieci, w opiece prywatnej i władz wobec uboższych, o zmiany w sposobach karania przestępców, czy też o inne sfery życia, wszędzie widzimy ślady zwiększonego wpływu uczuć humanitarnych. Ich skuteczność wobec wojny objawia się zapewne najsilniej o tyle, o ile przyczyniają się do coraz to rzadszego prowadzenia wojen. W toku wojny ich praktyczny wpływ prawdopodobnie przejawia się słabiej, niż w innych działaniach ludzkich, ale przecie nie można zaprzeczyć istnieniu rozwoju w kierunku większego stosowania się stron wojujących do wskazań uzasadnionych w poczuciu humanitarnem, przez co nie chcę powiedzieć, że uważam ów postęp za znaczny, za szybki, za wystarczający.

Rozwój wojny, który poprzednio przedstawiłem, jest w mniejszym lub większym stopniu odbiciem coraz bardziej humanitarnych nastrojów duszy ludzkiej. Ich odbiciem jest także zniesienie tortur i poniekąd postęp w indywidualizmie. Zwracałem uwagę na łączność racyonalizmu z indywidualizmem. Doszlibyśmy do zupełnie błędnej oceny indywidualizmu, gdybyśmy go uważali za prąd wyłącznie rozumowy, którego postępy w dziejach są wynikiem litylko z biegiem czasu coraz to bardziej wyrozumowanego myślenia i działania ludzkiego. Prąd indywidualistyczny czerpie swą siłę także i ze wzrastającego poszanowania cudzej osobowości, ze wzrostu życzliwości wobec bliźnich.

Zwycięstwa humanitaryzmu zawierają w sobie obok pierwiastków indywidualistycznych także i racyonalistyczne. Zniesienie tortur jest wynikiem wzrostu uczuć humanitarnych i rozpowszechniającego się przeświadczenia o ich bezużyte-

czności, a nawet szkodliwości dla chwytającego się podobnych środków. Względy okazywane nieprzyjacielowi są po części wyrazem dążenia do zapewnienia sobie korzyści, płynących z wzajemności strony przeciwnej. Zazwyczaj okazuje się je tylko dopóty, dopóki nieprzyjaciel trzyma się podobnych zasad w swem postępowaniu.

Humanitaryzm jest z istoty swej czynnikiem demokratycznym. Zasada: równe obowiązki i prawa dla wszystkich jest dążeniem, głęboko uzasadnionem w uczuciach humanitarnych. Indywidualizm jest liberalnym, w mniejszym stopniu demokratycznym. W toku dziejów przesiąkł humanitarnem hasłem równości. Domaga się umożliwienia wszystkim członkom społeczeństwa swobodnego rozwoju swych sił i uzdolnień, a z dążeniami demokratów staje w sprzeczności tylko wtedy, gdy chcą swój program urzeczywistnić środkami anti-liberalnymi.

Pisząc o stosunku rozwoju indywidualistycznego do ewolucyi wojny, chcę także zastanowić się nad pytaniem, czy wojna nie zdemokratyzowała się z biegiem stuleci? Wojna jest po dziś dzień główną przeszkodą urzeczywistnienia ideałów humanitarnych, indywidualistycznych i demokratycznych. Jest sprzeczna z zasadą równości, bo stwarza, zwiększa podporządkowanie jednych drugim, pobitych zwycięscy, ludności cywilnej wojskowym, wojskowych niższego rzędu wojskowym wyższego stopnia, bo zmienia rozdział dochodu społecznego na niekorzyść warstw uboższych. Demokratyzacya nowoczesnych społeczeństw urzeczywistniła się w znacznej mierze przez rozszerzenie prawa wyborczego do parlamentu na coraz to szersze warstwy i przez zwiększenie wpływu parlamentu na tok spraw publicznych. Na przygotowanie dyplomatyczne i wojskowe na wypowiedzenie i prowadzenie wojny parlamenty mają w różnych państwach różny wpływ, ale nawet w najbardziej parlamentarnie rządzonych ich współudział w sprawach dyplomatycznych i wojskowych jest mniejszy, niż w innych.

A przecie dziś wojna jest demokratyczniejsza, niż dawniej. W średnich wiekach szlachcic płacił podatek krwi, chłop — mienia. Szlachcic szedł na wojnę, chłop nie miał prawa no-

szenia broni. Na szlachcie wyłącznie ciążył obowiązek służby wojskowej, za którego spełnianie wymawiała sobie odpowiednią zapłatę: wolność od podatków, wyłączny udział w rządzie, stanowiący źródło różnych dochodów gospodarczych. Dziś w Europie kontynentalnej, (w Europie z wyłączeniem Anglii) zaprowadzono prawie wszędzie przymusowy, powszechny obowiązek służby wojskowej. Zniesiono przywileje polityczne. Warstwy niższe uzyskały większy współudział w rządzie. Dziś wojna jest w mniejszym stopniu, niż dawniej, prowadzona w interesie nielicznych wpływowych jednostek lub warstw rządzących. Interes ogółu w wypowiedzeniu i prowadzeniu wojskowem i skarbowo-gospodarczem wojny odgrywa nieco większą rolę, niż dawniej. Powszechny obowiązek służby wojskowej ludności, której także warstwy niższe są bardziej oświecone i zamożne, niż onegdaj, współdziałał niezawodnie w pewnej mierze w zdemokratyzowaniu politycznem i ekonomicznem nowszych społeczeństw.

Nie jest koniecznym warunkiem zdemokratyzowania. Anglia zadawalnia się po dziś dzień wojskiem zaciężnem, złożonem z ochotników, w części zwabionych chęcią uzyskania stosunkowo znacznego żołdu — system bardziej wolnościowy, ale mniej demokratyczny, niż przymus służby wojskowej, narzucany swym poddanym przez europejskie państwa kontynentalne. Jeżeli weźmiemy pod uwagę nie część wojskową, ale całokształt stosunków społecznych, to przecie widoczną jest większa przewaga pierwiastku demokratycznego w Anglii, w kraju najbardziej demokratycznego opodatkowania, niż w Niemczech, w Rosyi, w Austro-Węgrzech, a nawet we Francyi.

Dziś wojnę prowadzą państwa, a nie społeczeństwa, ale prowadzą ją w wyższym stopniu dla społeczeństwa, niż dawniej. Wojny stały się mniej dynastyczne, bardziej demokratyczne, co prawda w różnym stopniu w różnych państwach. Dawniej i dziś dynastya, prowadząc wojnę, liczy się z opinią warstw najbardziej wpływowych. Dziś uzyskały wpływ także warstwy szersze. Ich interes dziś waży więcej na szali wypad-

ków. Dawniej można było wojować w interesie szczupłego grona jednostek żądnych sławy czy zdobyczy wojennej. Dziś państwa wojnę rozpoczynając, prowadząc i kończąc liczą się więcej z ogólnem dobrem społeczeństwa.

Stawanie się wojny więcej racyonalistyczną, w pewnej mierze bardziej zgodną z dążeniami indywidualistycznymi, humanitarnymi i demokratycznymi znalazło swój wyraz w rozwoju prawa międzynarodowego.

Gdy mowa o rzeczywistem znaczeniu prawa międzynarodowego, nasuwają się wątpliwości, uzasadnione w licznych wykroczeniach przeciwko jego przepisom.

Właściwe znaczenie aż nadto częstych odstępstw od zasad prawa międzynarodowego, stwierdzanych w toku wojen, potrafimy ocenić należycie tylko wtedy, jeżeli będziemy pamiętali o licznych wypadkach, w których strony wojujące postępowały zgodnie z postanowieniami prawa międzynarodowego. Znaczące są ciągłe, wzajemne wypominania sobie w czasie wojny naruszeń prawa międzynarodowego. Świadczą o przekonaniu, że przez odwoływanie się na przepisy prawa międzynarodowego można wywrzeć pewien wpływ na przebieg działań wojennych, że w nim tkwi rzeczywista siła i moc obowiązująca, choć tylko moralna. Nie można przejść do porządku dziennego nad usiłowaniami prawnego ograniczenia działań wojennych powołaniem się na częste wypadki przekraczania przepisów międzynarodowego prawa wojennego. Dowodem żywotności tej idei powstawanie umowne nowych przepisów prawnych międzynarodowych, ograniczających sposoby prowadzenia wojen także i w toku obecnej wojny. Mam na myśli umowy Niemiec i Stanów Zjednoczonych, ograniczające skutecznie zatapianie okrętów handlowych przez łodzie podwodne nałożeniem na kapitanów łodzi podwodnej obowiązku nie zatapiania okrętu zanim załoga i podróżni nie przesiądą się do łodzi ratunkowych.

Od dawien dawna działania wojenne były zwyczajowo ograniczone. Istniało przekonanie, że w danym wypadku należy postąpić w ten, a nie w inny sposób, w sposób zgodny

z postępowaniem przodków w podobnych wypadkach: Wolno było zabijać nieprzyjaciół, składających broń, ale nie w obrębie świątyń, do których się schronili. Przekonania tego rodzaju miały w sobie dużą moc obowiązującą. Strony wojujące często przestrzegały owych zwyczajów, licząc się z powagą odwiecznej tradycyi, licząc na wzajemność ze strony przeciwnika, zapewniającą znaczne korzyści. Z biegiem czasu rozszerzał się zakres spraw objętych zwyczajowymi przepisami z powodu rozciągnięcia ich na działania wojenne, dotąd zwyczajowo nieunormowane lub przedtem nieznane. Równolegle dokonywał się inny doniosły przewrót. Zwyczaje zamieniały się w pisane prawa, stawały się wyraźnie stwierdzonymi umowami międzynarodowymi. Wojna współczesna różni się od dawniejszej tem, że jej międzynarodowe prawo jest spisane, obejmuje większy zakres działań wojennych, jest bardziej szczegółowe, jest ściślej i jaśniej określone. Dziś łatwiej orzec, co za przepis w danym wypadku obowiązuje?

Ten przebieg zjawisk nazywamy kodyfikacyą prawa międzynarodowego. Przejście od zwyczaju do pisanego prawa i tworzenie nowych przepisów prawnych jest w pewnej mierze procesem racyonalizującym. Rozrost zwyczaju w prawo może być poprostu zmianą więcej formalną, niepołączoną z przekształceniem treści przepisu. Często bywa inaczej. Proces spisywania prawa staje się krytycznem usystemizowaniem w mniejwięcej jednolitą, logiczną całość dawnych, tradycyjnych przepisów, które powstawały powoli, dość niezależnie od siebie, bez wewnętrznego związku. Staje się usunięciem sprzeczności w nich zawartych. Ich rewizya przy sposobności kodyfikacyi okazuje się zazwyczaj konieczną gwoli dostosowania do potrzeb nowoczesnych, nieraz wielce odmiennych od tych, które istniały w chwili powstawania owych zwyczajów. Także i tworzenie nowego prawa jest w pewnej mierze procesem racyonalizującym. Jeżeli ma być stosowane zgodnie z zamiarami, zawartymi w przepisach, musi tworzyć pewną logiczną całość. Jeżeli jest odbiciem racyonalizujących się sto-

sunków życiowych, toć zawiera w sobie pewien pierwiastek racyonalistyczny, który znowu ze swej strony oddziaływuje na życie.

Rozpatrując bliżej gospodarczy rozwój wojny, okaże się, że wojna w czasach nowszych zapewnia zwycięscy mniejszy zysk, niż dawniej. Z tej i z innych przyczyn wojny w latach 1815—1914 były mało liczne i krótkie w porównaniu z przeszłością, a walka zanikła niemal doszczętnie. Działalność pokojowa rozrastała się silnie. Mimo dalszego trwania wojen można uprawdopodobnić, że ludzkość w pewnej mierze stała się bardziej pokojową.

Adam Krzyżanowski.

Z cyklu: „Opowieści Chrystusowe".

Wiara i... wiara.

I.

Zasnuły horyzont zwały czarnych chmur, od czasu do czasu, krwawa błyskawica upiornym blaskiem rozświecała ponure, poszarpane góry Judei i głucho huczał daleki grom, odbijając się przeciągłem echem od skały do skały. Spękana posuchą ziemia, piła potoki deszczu każdą szczeliną, jakgdyby milionami spragnionych ust. Wązka droga, pomiędzy górami zmieniła się w mgnieniu oka w rwący, spieniony potok, brodziło nim z trudem kilku mężczyzn, w płaszczach zarzuconych na głowę.

— O Rabbi! Cóż za cudowny deszcz, odżyje, zakwitnie po nim Judea cała.

Doprawdy, aż mi się dusza raduje, gdy o zasiewach i winnicach myślę — dźwięczał z za osłony płaszcza głęboki głos Szymona-Piotra a jego szare, bystre oczy patrzyły uważnie do koła: — Zdaje się, że tam, na wzgórzu... chata jest, wypoczniemy w niej przez noc. Czy bardzo przemokłeś Rabbi? — dorzucił z serdeczną troską.

— Jako i ty Piotrze

W osłonie rozłożystego, oliwnego drzewa tuliła się le-

pianka o płaskim z żółkłymi trawami porosłym, dachu. Jezus z Nazareatu pochylił swoją wyniosłą a smukłą postać wchodząc do wnętrza. Ciemność izby rozświetlała słabo lampka oliwna, drgający jej blask pełzał po zakopconych, czarnych ścianach, po olbrzymich naczyniach z połyskliwej gliny, w których przechowywano zapasy zboża, tworzyły one przegrodę z za której dolatywał cichy, monotonny śpiew kobiecy i szept żaren mielących zboże. Na macie rozłożonej obok skrzyni, na której barwnym wieku płonęła lampa, spoczywało dwóch mężczyzn. Starszy kosz z wikliny wyplatał, młodszy zwrócony plecyma do wejścia, z głową opartą na dłoniach, słuchał owego kobiecego śpiewu w milczeniu.

Za wejściem obcych, stary człowiek z maty się zerwał, niespokojne spojrzenie jego małych, błękitnych oczu objęło nieufnie szare, ociekające deszczem postacie, ale Jezus z Nazareatu zrzucił mokry płaszcz a jego miękki, łagodny głos zadźwięczał w mroku izby:

— Pokój z tobą gospodarzu i pokój domowi twemu!

— Pokój, miłosierdzie i błogosławieństwo Boże z tobą obcy wędrowcze — odrzucił gospodarz schylając głowę i dłoń podnosząc do serca a Jezus z Nazaretu mówił dalej:

— Pozwolisz mnie i towarzyszom moim, przeczekać deszcz i zanocować pod twoim dachem? Jestem Jezus z Nazareatu, z nad Jordanu z uczniami memi do Galilei idę.

— Skądkolwiek i dokądkolwiek idziesz Rabbi, błogosławione niech będzie wejście i wyjście twoje, mój dom twoim jest domem — gestem zapraszającym, stary człowiek wskazał na rozpostarte na ziemi maty: — Zaraz Debora rozpali ogień, to i płaszcze wyschną.

W dłonie plasnął, z za przegrody naczyń, ukazała się zwiędła twarz kobiety z oczyma podciemnionemi „kulem“ [1]) a może więcej jeszcze łzami. Ciekawem spojrzeniem obrzuciła zrzucających płaszcze i sandały gości, nieśmiało do smukłej postaci Jezusa podeszła i mówiła lękliwie:

[1]) „Kul“ palona pszenica zmięszana z oliwą, niewiasty w Palestynie podciemniają sobie nim oczy.

— O Rabbi... błogosławione niech będzie przybycie twoje a przebacz, iż syn nasz na powitanie twoje nie powstał, ale słaby jest jeszcze, z ciężkiej choroby wyszedł niedawno — roztkliwiwszy się wspomnieniem załkała: — O Rabbi... tyle troski o niego miałam, tyle lęku... Troje dzieci młodszych zmarło mi niedawno na gorączki złośliwe a tego najstarszego, ostatniego pociechę i podporę naszą, omało, iż bandyci nie ubili, gdy z Jeruzalemu wracał sprzedawszy kosze. Zrabowali mu pieniądze, poranili i porzucili w krzakach przydrożnych... O Rabbi! Rabbi! tak ciężko dziecko urodzić ale ciężej tysiąckroć wychować.

— Matko...

— Deboro!... Wybacz Rabbi — niewiasta moja, jako każda niewiasta, dużo mówić nawykła a zaprawdę, w ostatnich czasach zaciążyła nad nami dłoń Najwyższego... Imię Jego niech będzie błogosławione, nad siły prawie.

— Och nad siły — szeptała ocierając łzy kobieta.

Błękitne oczy Pana łagodnie, współczująco patrzyły w owe dwie starcze, wzruszeniem rozedrgane twarze, potem spojrzały po nędzy izdebki i zwróciły się uważnie na bladą schorzałą twarz człowieka, który z maty nie powstał. Był to młodzieniec bezbrody jeszcze, przez krótko ostrzyżoną czuprynę, przez białe otwarte czoło, ciągnęła się świeża, czerwona blizna, druga podobna zniekształciła usta, które od czasu do czasu drgały nerwowo, czarne, łagodne oczy podkrążyła przebyta choroba głębokiemi, błękitnemi cieniami. A tymczasem kobieta mówiła dalej:

— Zaraz ogień rozpalę i wody do umycia nóg przyniosę. Obcy Rabbi daruje, że jeno ryż z prażoną cebulą podać mogę ale biedni jesteśmy. Pójdź o Joelu — zwróciła się do męża i dopomóż mi ogień rozpalić... a ty o Eli opowiedz przygodę twoją.

Jezus z Nazareatu usiadł na macie i kładąc smukłą dłoń na wychudłej, ciemnej ręce młodzieńca mówił łagodnie a zachęcająco:

— Tak, opowiedz nam przygodę twoją o Eli...

Do bladej twarzy ozdrowieńca uderzył rumieniec, nabiegłe krwią blizny zapłonęły purpurą, spojrzał po otaczających go twarzach przybyszów: z mroku izby wychylały się ku niemu męzkie, wichrem i słońcem spalone oblicza, szerokie ramiona, silne, muskularne dłonie a tuż obok niego rysowała się młodzieńcza, lekko pochylona głowa i błękitne, jak niebo w dzień pogodny oczy obcego nauczyciela.

— Jako matka rzekła, sprzedawszy w Jeruzalemie koszyki, których wyplataniem zajmuje się cała rodzina nasza, wracałem z resztą towaru, pragnąc go sprzedać na targu w Jerycho. Przed wieczorem miałem nadzieję, iż się dostanę do najbliższej osady, zapóźniłem się jednak, osiołek mój wbił sobie cierń w nogę i wlókł się tak wolno, że noc zaskoczyła nas w górskim wąwozie. Nagle otoczyły mnie jakieś ciemne, rosłe postacie, olśnił jaskrawy blask pochodni... Pamiętam błysk broni... ból... jakaś potężna ręka usiłowała mi wydrzeć woreczek z pieniądzmi, broniłem go, rozpoczęło się wściekłe szamotanie, zmaganie i nagle usłyszałem nakazujący głos: Zwal go po łbie! A potem... zdawało mi się, że mi czaszka pęka... tysiące błysków zawirowało mi przed oczyma i odniosłem wrażenie, że zapadam się w jakąś noc nieskończoną... Zbudził mnie ból... godzinami leżeć już musiałem, bo blady świt wstawał na niebie. Pierwszy mój ruch był do woreczka z pieniądzmi — był to przecież grosz rodziny mojej... odarto mnie ze wszystkiego, nawet szat nie zostawiono, leżałem przy drodze nagi zupełnie. W głowie czułem straszny, palący ból, rękę złamałem upadając, usta miałem pełne zakrzepłej krwi a w duszy taki lęk i... takie dzikie pragnienie życia! A jednak, ból był chwilami silniejszy odemnie i przeklinałem chłód poranku, który mi omdleć na nowo nie dał.

Młodzieniec urwał na mgnienie, rękawem pot z czoła otarł i ciągnął dalej:

— Nie mogłem wołać głośno, bo usta miałem poranione, więc jeno jęczałem z cicha... Nie wiem już jak długo tak leżałem, to błagając Najwyższego o zlitowanie; to... własnemu złorzecząc nieszczęściu, gdy nagle usłyszałem stąpanie koni...

Zamajaczyła w mroku wstającego dnia zjawa wozu dążącego ku Jerozolimie... zacząłem wołać, błagać... Ach! głos mój nie miał już nic ludzkiego w sobie... było to wycie i krakanie razem. Siedzący na wozie człowiek, kapłan to był, nieraz odkupywał odemnie kosze w Jeruzalemie, spojrzał w moją stronę i wyciągnął rękę jakgdyby odpychał lub błogosławił ale wozu zatrzymać nie kazał. O Panie! a mnie się zdawało, iż z tą postacią ludzką odchodzi odemnie życia nadzieja. Z wysiłkiem, bo każde poruszenie było dla mnie nadludzką męką, doczołgałem się na środek drogi i leżałem tam, w pyle gościńca nagi, poraniony i zwolna obumierało we mnie nawet pragnienie życia. I raz jeszcze przejechał obok mnie jakiś człowiek, ale cóż mu był, taki „am-haarec“ konający na drodze, jemu co nosił płaszcz faryzeusza i lewitą był. Coraz silniej paliło słońce a ból zaczął przechodzić w jakiś dziwny stan bezwoli i zobojętnienia. I tylko czasem zwidywało mi się wnętrze ojcowskiej chaty i myślałem: jak moi starzy czekać będą... czekać na próżno. Zbudził mnie do życia szept słów, jakaś obca opalona twarz chyliła się nademną, świeża kryniczna woda chłodziła piekący ból ran a potem moją biedną, obolałą głowę tak łagodnie objęły jakieś silne dłonie, lejąc na rany kojący jakiś płyn. O Rabbi! W oczach tego obcego człowieka widziałem łzy nad moją nędzą a ręce jego takie troskliwe były i uważne... jak matki dłonie. A był to człowiek obcy... obcy.. z ludu do którego my, żydzi, zwracamy się z pogardą i nienawiścią, mój wybawca pochodził z Samaryi!

Eli urwał na mgnienie, odkaszlnął, bo w nizkiej izbie, snuł się ku wyjściu dym rozpalonego ogniska czarną, żałobną smugą.

— Obcy ten mąż na osła swojego mnie wsadził, obandażowawszy wprzódy troskliwie, do najbliższej osady dowiózł... i nie dość jeszcze, dwa złote denary dał za mnie właścicielowi gospody aby o mnie staranie miał, aż mi się poprawi o tyle, iż do domu wrócić będę mógł. A gdy przyniósł mi jeszcze wypakowany z juk balsam i wino i rychłego wyzdrowienia życzył, pytałem go wtedy o imię jego, bym wiedział

komu błogosławić, komu dziękować, to on mi jeno rzekł: brat, bratu to uczynił w imię Jedynego.

Młodzieniec skończył, na pochylonej twarzy Jezusa z Nazareatu odbiła się głęboka radość, jasny uśmiech na młodych ustach drżał, wilgotnym błyskiem wezbrała głębia oczu błękitnych, gdy patrząc w twarze uczni rzekł radośnie:

— Zaprawdę, powiadam wam, co uczynicie najmniejszemu z braci waszych, mnie uczynicie, nie przejdzie bez nagrody czyn człowieka onego.

Eli nie zrozumiał słów Nauczyciela, jego szczupłe ręce dotknęły spoczywającej na kolanach dłoni Jezusa:

— Rabbi... poradź mi... jako się mogę wywdzięczyć temu człowiekowi, co tyle miłosierdzia nademną miał?

— Czyniąc innym, jako on uczynił tobie.

Jezus z Nazareatu spojrzał w krąg na poważne, wzruszone, skupione twarze uczni i rzekł z mocą:

— Do Galilei... pójdziemy przez Samaryę.

Cisza zapanowała, słychać było jeno skwierczenie oliwnej lampy, trzask płomienia obejmującego drzewo i przyspieszone wzruszeniem oddechy. Niepokój spowił twarze uczni, nawet młodzieńcze oblicze Jana Zebedeuszowego syna spochmurniało na mgnienie i stało się w izbie ciężko od niewymówionych słów.

Wreszcie Piotr, odrzucając energicznym ruchem opadłą na czoło czuprynę, rzekł śmiało:

— Rabbi... droga przez Samaryę nigdy pewną nie była dla żydów. Od zdrady Jeroboama nie było i nie ma nic wspólnego pomiędzy żydami a mieszkańcami Samaryi... Panie...

— Piotr prawdę mówi — zaszeptano w krąg.

Z bezmiarem politowania spojrzały ku uczniom błękitne oczy Pana, gdy prostując swą wyniosłą postać rzekł:

— Piotrze... Samarytanin ten znalazłszy nagiego, ranami okrytego człowieka na drodze, nie pytał niosąc mu pomoc, żali czci on Jedynego w Jeruzalemie, czy też na górze Garazim... Ty zaś chcesz, bym ja pytał, znalazłszy ranami i męką okrytą duszę narodu, tak bliską zgonu a tak pragnącą, jakie

zbrodnie i występki popełniła ona, miast ukojenie jej dać a łaknącym jej ustom napój? Byłożby to słusznem, Piotrze?

Do ciemnej twarzy Piotra uderzyła purpura rumieńca, wstrząsnął głową i rzekł szorstko a otwarcie:

— Zbłądziłem Panie!

A Jezus podniósł się, do drzwi podszedł i opierając się o nie mówił wolno:

— O zaprawdę zbłądziłeś Piotrze... bo miłować należy nie nienawidzić. Mówisz, iż nic wspólnego nie ma między Samarytany a Żydami... czyż nie jedna moc powołała was do życia? Nie jesteście sobie braćmi w doli i niedoli, w cierpieniach i błędach, w chorobie i śmierci? Obyście niemi i w duchu byli! „Słyszeliście, iż rzeczono starym: nie będziesz zabijał a ktokolwiek by zabił będzie winien sądu. A ja wam powiadam, iż każdy, kto się na brata swego gniewa bez przyczyny, będzie winien sądu a kto rzecze bratu swemu „Racha", będzie winien rady, a gdy kto rzecze „błaźnie" będzie winien ognia piekielnego. I dlatego jeźlibyś ofiarował dar twój na ołtarzu a tambyś wspomniał, iż brat twój ma coś przeciwko tobie, to zostaw dar twój przed ołtarzem, odejdź, pierwej pojednaj się z bratem a potem ofiaruj dar twój". Bo duch ofiary tworzy ofiarę!

Cisza nastała w chacie... zdaleka doleciał trzask gromu a purpurowa błyskawica, na mgnienie jaskrawym światłem oblała wnętrze i wspartą o drzwi rozwarte postać Jezusa z Nazareatu. Wiatr igrał z jego prostą, szarą szatą, pieszczotliwie muskał złote, miękkie loki. W ciemności drgały krótkie, widmowe ognie błyskawic, rozpalały na tysiączną sekundy część nagie wzgórza Judei a na tle tej szalejącej burzy, odcinała się smukła postać Pana bezmiernie piękną, spokoju pełną sylwetką.

Płomienne oczy Elego nie mogły się oderwać od tej postaci. Wbrew zwyczajowi pociągnął za szatę Piotrową, pytając do szeptu zniżonym głosem:

— Kim jest nauczyciel ten... nie Jan ci to, bo Jana sły-

szałem i widziałem w dolinie Jordanu, głos jego był jako grom a ten... obcy Rabbi...

— Ten ci jest którego Jan poprzedzał. — Piotr na chwilę urwał, by dokończyć zdławionym od wzruszenia głosem — Messyasz obiecany.

— Tyle miłości było w jego słowach, tyle dobroci. — Eli zadumane, wilgotne oczy utkwił w smukłej postaci stojącej w progu i pytał z żalem. — Dlaczego... o dlaczego Rabbi wasz idzie z Judei?

— Słyszałeś pewno, iż Jana uwięziono a Herodyanie i Faryzeusze nienawiść swoją zwrócili teraz przeciwko Niemu.

Po szczupłej twarzy Elego spłynęły dwie łzy.

— Biedna Judea moja... biedna Judea... Och! gdybym był zdrowy, jakże pragnąłbym iść z wami!

Jezus z Nazareatu usłyszał wykrzyknik i nie odwracając spojrzenia od gór, rzucił łagodnie a z mocą:

— I pójdziesz Eli!

II.

Snuł się przestrzenią rzewny ton fletu.

Na stoku góry Garazim siedział smagły, oberwany pasterz i grał. Echo wichru i burzy, pogody i słońca, tęsknota życia, potęga pragnienia, duszy zmęczonej błagalne wołanie snuło się w pieśni, odbijało od gruzów, złomów kamiennych, kolumn strzaskanych i wracało odzewem zaświatowych łkań, kwileniem cichem, skargą rzewną. Zdawało się pasterzowi, że o mocy życia gra a tony wśród kamiennych zwalisk dawnej świątyni gwarzyły o śmierci i zapomnieniu, o bolu i łzach.

Stado biało-wełnistych owiec pasło się na zboczu, skubiąc młodziuchne, wątłe źdźbła traw, blado liliowe krokusy słały się jak barwne kobierce a wśród nich płomienne tulipany lśniły jak krew żywa.

Na obalonej kolumnie siedziała w modlitwie pogrążona kobieta, ciemne, spracowane dłonie na kolanach splotła, przymknęła zmęczone powieki. Tęskna, życiem szalejąca, pragnie-

niem tętniąca pieśń, budziła w jej duszy takie dalekie, zapomniane niemal echa.

Hej!... jak życie idzie, idzie a w mgle zapomnienia tonie zwolna wszystko przeżyte i wydaje się w końcu tak dalekiem i obojętnem jak senne widziadła.

Ale czasem zakołatała do duszy przeszłość: pieśnią, rankiem wiosennym, słońca promieniem i rzuci ciche: pamiętasz jeszcze? A wtedy odległy sen życiem się staje na nowo, potężnem, mocarnem i jako niegdyś bolem serce rwie... jako niegdyś krew w ogień zamienia w żyłach.

Przeszłość...

Gdy te siwe włosy, czarnemi były jeszcze jako skrzydła krucze a te splecione na kolanach chude i twarde dłonie, takie miękkie były i wonne jako kwiaty dwa.

Przeszłość...

Gdy w życie szła tęskna i płomienna a cały świat był dla niej jednem tajemniczem misterium obietnic, zagadką, cudem.

Blady, smutny pół uśmiech drgnął na szczupłej twarzy...

Jak to już dawno temu, gdy pierwszy raz żoną została... tajemnicza noc ludzkiego szczęścia i świt rozczarowań, zbyt krótka by życiu starczyć, zbyt długa, bo zdąży stargać cały świat marzeń i snów.

Gdyby była matką została, wszystko zapewne byłoby inaczej, odmówił jej tego los.

I dlatego może, zostało coś wspólnego pomiędzy ową giętką, smukłą, jedwabiem szat i złotem maneli dźwięczącą Thamarą a tą kobietą w szarej, prostej szacie zbierającą zioła kuracyjne po wzgórzach Samaryi. Wtedy i dziś... krwawą tęsknotę wlokła za sobą jej dusza, wtedy i dziś napróżno szukała zupełnego zadowolenia na drogach życia i bywały chwile w których Thamar lat dawnych z dziką rozpaczą prężyła ramiona wołając: po co? a Thamar dzisiejszej dłonie wśród pracy opadały bezwolnie a w duszy pytań zrywało się tysiące: Boże... po co?

Jeno, że wówczas zdawało się jej, że zapomnienie i cel

dać jej mogą ludzkie ramiona, cichy miłości szept, ust kochających pieczęć paląca a dziś przeczuwała, iż dać je może wiara i praca.

Małżeństwo jej z zamożnym kupcem w Samaryi, było wiecznem ścieraniem się dwóch krańcowo różnych natur, siła uporu była im jedynie wspólną i bezgraniczna duma, ona to uniemożliwiała wszelkie porozumienie, zmieniała życie w dziki bój. W letnich miesiącach w Samaryi gościł dwór Heroda wielkiego... a wtedy ona... żona występna, ona... Thamar życia spragniona, wionęła ku rozkoszom ziemi jak ćma ku światłu.

I nawet on... największy wówczas w Izraelu, ponury jak stary lew pustynny, Herod pragnął ją przygarnąć w swoje potężne wówczas już wysileniem drżące ramiona. A ona... miotało nią życie z piersi na piers a w duszy miała dziwny głód niezaspokojonych pragnień, tęsknot, snów... tę samą jeno coraz krwawszą mękę.

Aż raz gdy z młodzieńczych ramion Aleksandra wróciła do domu, wydało się jej, że się ze snu jakiegoś męczącego zbudziła i przysięgła sobie, że to już jej ostatni błąd... Tyle dobrych postanowień miała wtedy w duszy, taką chciała być pokorną i cichą, uległą i dobrą... I w ową noc przyniesiono jej zwłoki męża z roztrzaskaną głową, zabił go jeden z miłośników jej.

Że nie oszalała wtedy!

Uciekła z Samaryi, ze zjawą tej krwawej, strasznej, roztrzaskanej głowy, ze wspomnieniem tych ust otwartych jakgdyby do przekleństw i oczu pełnych grozy.

Znały ciche ruiny świątyni te lata bolu, szału, rozpaczy, pokuty, tę mękę duszy obijającej się do krwi o klatkę życia i to jedno, jedyne pragnienie zapomnienia, spokoju.

Została pasterką owiec i żyła z dala od ludzi, z bolem swoim jeno... z bolem spóźnionym, który zmartwych do życia nie wraca. Nie była już więcej ową Thamar jako wiosenny poranek świeżą, jako motyl bezmyślną, dumną aż do zbrodni, upartą aż do występku, spaliło słońce jej lica białe,

stwardniała skóra jej rąk, ponuro dzikim smutkiem płonęły oczy.

Wiele nocy minęło w bolu i pokucie, ile dni w smutku nie wiedziała, przestała rachować, czasem się jej zdawało, iż wszystko to wczoraj się stało a czasem, że przed wiekami.

Raz zaraza wybuchnęła wśród trzody i wtedy stary pasterz posłał ją w dolinę do pana stada, dowiedziała się wtedy, że był nim Adoniasz daleki krewny jej męża. Gdy stanęła przed nim, zbrakło jej słów, bo zdawało się jej, że męża swego zmarłego ujrzała raz jeszcze, były to te same orle rysy też oczy czarne pod ciężką powieką i usta wydatne, jeno, że w Adoniaszu wszystko było dziwne uszlachetnione chorobą, miał bowiem nogi sparaliżowane od lat i poruszać się nie mógł o własnej sile.

Z niespokojnem drżeniem ust patrzył na obcą, milczącą niewiastę, powtarzając raz trzeci pytanie: po co przyszła! A ją zmogło wzruszenie i rzucając mu się do stóp powiedziała kim jest. W potoku gwałtownych słów z rzuciła z duszy wszystko co jej ciążyło od lat, całą krwawą duszę swoją obnażyła przed nim i czekała, że ową żonę występną zmarłego krewniaka za bramę wyrzucić każe... A on milczał i gdy wzniosła ku niemu oczekujące przesmutne oczy, rzekł jej łagodnie, drżącym od wzruszenia głosem:

— Mówisz... jakgdyby to wszystko wczoraj się stało niewiasto... Czy wiesz, że od owego czasu szesnasty rok już mija... Thamar...

— Szesnasty rok... — załkało jej w duszy echem bolesnem.

— Zostań w domu moim Thamar, odkąd matka moja zmarła, nie ma w domu moim niewiasty a ja chory jestem i opieki potrzebuję.

Znalazła w jego domu ciszę, spokój, pracę a po roku, gdy w taki cichy wieczór jesienny niosła go z pod oliwnego drzewa do domu na łoże, w swych jeszcze zawsze silnych ramionach rzekł jej:

— Nie mam nikogo co by życie ze mną dzielił, zostań żoną moją z imienia... Thamar.

Mijały lata a ona pielęgnowała we dnie i w nocy swego Adoniasza i kochała go coraz silniej, tą jedyną prawdziwą miłością, która nie z ziemi jest.

Z trwogą myślała jedynie, iż nadejdzie czas, gdy ta ukochana przez nią dusza, odejdzie od niej na zawsze, wszak mimo starań jej z każdym rokiem to ciało więcej się stawało bezcielesnem. A gdy on odejdzie, jakaż pustka w jej życiu zostanie straszna, niczem nie zapełniona.

Zwilgotniały jej powieki, otarła je dłonią:

— Osiemnaście już niemal lat... tak wielki przeciąg czasu. Dzisiaj, gdy go rano odeszła idąc na Garazim, by się pomodlić i ziół kuracyjnych narwać, wyglądał już we śnie jak trup, tak ostro rysował się nos, w takich głębokich jamach leżały oczy a oddech był taki nierówny, jak dogasającej lampy oliwnej błysk.

Podniosła się, zerwała krokusów więź, dwa płomienne tulipany i zioła wzmacniające w róg szaty wzięła, czy podtrzymają jeszcze to życie gasnące... szczęście gasnące.

Wracała wolno ku domowi a za nią leciały tony dzikiej pieśni pastuszej, życia pieśni potężnej i dźwięczały w niej echem grobu i łez.

W progu komnaty Adoniasza, stara sługa powitała ją szeptem:

— Pan śpi jeszcze...

Prześliznęła się więc bezszelestnie, jak cień do jego łoża i kwiaty włożyła do stojącej obok wazy kamiennej i znowu ból sercem jej szarpnął... dziś jeszcze... jutro może.

O Jahwe!

Czyż w życiu zawsze, zawsze musi nadejść rozstanie.

Wzięła gliniany dzban i szła przez wioskę, do studni Jakubowej. Słońce już było wysoko, mijający ludzie witali ją z szacunkiem, pozdrowieniem życzliwem, wszak ziołami swemi nie jednemu ulgę przyniosła w cierpieniu, nieraz nawet spędzała noce przy ciężej chorych. Nie zatrzymywano jej jednak,

wszyscy wiedzieli, że Adoniasz coraz słabszym się czuł a z pochylonej jej twarzy ocienionej białą zawijką biła taka żałoba i smutek bezbrzeżny.

Do studni doszła, na chwilę wsparła się o jej kamienny brzeg, znużonym ruchem. Z zadumy wyrwał ją spokojny męzk głos:

— Daj mi proszę wody niewiasto.

Podniosła głowę, zamglone łzami jej oczy spoczęły na męzkiej twarzy obcego wędrowca... żyd, poznała po akcencie mowy. I na nowo, w głębi duszy zerwał się ów ból z przed lat trzydziestu a w głosie jej dźwięczał bezmierny żal i niechęć, gdy rzekła:

— „Jakoż ty, będąc żydem żądasz napoju odemnie niewiasty Samarytanki?"

— „Gdybyś wiedziała niewiasto, jaki dar Boży do dania mam i kim jestem, prosiłabyś: daj mi pić a ja dałbym ci wodę żywą".

Łagodny, miękki ton głosu spływał na jej duszę cierpiącą jak balsam kojący a jednak drwiący pół uśmiech drgnął na jej ustach, gdy splatając ręce na brzegu dzbana, mówiła szyderczo:

— „Nie masz i czem naczerpać panie, studnia jest głęboka skądże więc masz tę wodę żywą? Żaliś ty większy jest niżeli ojciec nasz Jakub, który nam dał tę studnię i sam z niej pił, z synami i z dobytkiem".

— „Każdy kto pije tę wodę niewiasto, znów pragnąć będzie... lecz ktoby pił ową wodę, którą ja mu dam nie będzie pragnął na wieki, bo stanie się ona w niem zdrojem wytryskającym ku żywotowi wiecznemu".

Wstrząsnęła głową i napełniając dzban, uśmiechnęła się:

— „Panie! Daj mi tej wody, abym nie pragnęła, ani tu czerpać chodziła". W moim wieku trud to nie mały.

Drgnęła, płomienne, błękitne oczy obcego męża wpiły się w nią spojrzeniem, była w nich potęga i moc.

— „Idź, zawołaj męża twego i przyjdź tu".

Szorstko i nieprzystępnie odrzuciła, podnosząc dzban na ramię i zwracając się do odejścia.

— „Nie mam męża"...

— „Dobrześ rzekła: nie mam męża... albowiem pięciu mężów miałaś a teraz ten którego masz, nie jest mężem twoim, toś prawdę powiedziała".

Cofnęła się o krok, szeroko rozwartemi, przerażonemi oczyma patrząc w smukłą sylwetkę stojącego u studni wędrowca... pięciu mężów, skąd o tem co jeno jej i Adoniaszowi wiadomem było, wie on mąż obcy?

Skąd wie?

Żali jej hańbę wichry rozniosły, drzewa rozszumiały, iż znaną jest w Judei nawet?

O Jahwe!

Przez mgnienie zachwiały się pod nią kolana, drżącemi dłońmi rozszalałe przycisnęła serce, gdy z pobladłych ust urywane spłynęły słowa:

— „Panie... widzę... iżeś ty prorok!"

I stawiając z powrotem dzban, mówiła wskazując na stoki Garazimu:

— Ojcowie nasi na tej górze chwalili Boga a wy powiacie, iż w Jeruzalem chwalić go należy".

A w źrenicach jej i w całej postaci, był niedomówionych słów wyraz, dumy owej dawnej ostatni błysk, szalonego uporu echo: cóż wam Żydom, do nas Samarytan!

Ale Jezus z Nazareatu po za tą nieprzystępną maską starej, życiem zmęczonej a dumnej kobiety, widział ową Thamar co łzami bolu i pokuty skrapiała swoje posłanie z ziół w noce bezsenne, aż czasu zapomniała, ową Thamar co od lat osiemnastu myślała jeno i żyła dobrem drugich i dlatego mówił dalej zniżonym, łagodnym, pełnym serdecznego ciepła głosem:

— „Niewiasto! wierz mi, iż idzie godzina, gdy ani na tej górze, ani w Jeruzalemie nie będziecie chwalili Ojca. Wy chwalicie co nie wiecie a my chwalemy co wiemy, albowiem zbawienie jest z żydów. Ale nadejdzie godzina, nadeszła już, gdy prawdziwi wyznawcy będą wielbić Ojca w duchu i prawdzie.

Bo i Ojciec takowych szuka, którzyby go tak chwalili. Bóg, duchem jest a ci którzy go wyznają muszą to czynić w duchu i prawdzie".

Pochyliła głowę... dziwne wzruszenie owładnęło nią, chłonęła pytającymi, niespokojnemi oczyma ową młodzieńczą, smukłą postać.

Niósłże on, jej duszy pragnącej naprawdę ukojenie? ciszę... spokój...

Och, jakże pragnęła w tej chwili rzucić mu się do stóp i błagać:

O daj mi w pustkę mojego życia, w mękę moich wątpień, światło i cel... O daj mi ową wodę życia Panie!

A mówiła:

— „Wiem ci ja, że przyjdzie kiedyś Messyasz Chrystusem zwany a gdy on przyjdzie oznajmi nam wszystko".

A pełne męki i łez jej oczy pytały:

— Tyżeś to jest obcy wędrowcze, tyżeś to jest?!

A Chrystus spojrzał ku niej, tymi oczyma przez które przeglądała cisza nieba i rzekł:

— „Jam nim jest! Ja.. który z tobą mówię niewiasto!"

Przyklękła, oparła głowę o kamienny brzeg dzbana a oczy jej pełne pokory i błagania wzniosły się ku Niemu, gdy głos szeptem rwał się urywanym:

— Rabbi... Rabbi... nie chciałam tobie, pragnącemu wody dać a ty dobrem nagradzasz mój czyn niemiłosierny. O bądź litościwym... przebacz mi, dusze nasze pragną i czekają przyjścia twego, od wieków czeka cię Samarya Panie... A w moim domu... o gdybyż Adoniasz mój... mógł przed śmiercią poznać naukę twoją Panie — z niepokojem pochwyciła kraj jego szarej szaty i tuląc ją do ust gorących błagała. Przyjdziesz do nas Panie... przyjdziesz?

— Przyjdę do domu i do narodu twego Thamar.

— Panie mój!

Zerwała się, raz jeszcze do szaty jego przytuliła usta i zapomniawszy dzbana ku wsi biegła, jakgdyby nagle odzyskała zwinność lat młodych. Przebiegła obok grupy wracają-

cych uczni, przez wieś, do chaty swojej wpadła. Adoniasz na łożu siedział i w bladych, bezkrwistych dłoniach liliowe krokusy trzymał i tulipanów płomienną purpurę. Przypadła mu do tych biednych, bezwładnych nóg i oplatając ramionami to gasnące szczęście swoje, opowiadała o Chrystusie. Słuchał a jego przygasłe, w inny już świat zapatrzone oczy, rozbłysły:

— O Thamar... idź zawołaj wszystkich mieszkańców Sychar, opowiedz im co mnie rzekłaś i idź wraz z niemi do wędrowca tego i proś go... proś, by nam naukę swoją dał, by nas nauczył kochać i wyznawać Jedynego w duchu i prawdzie...

— Adoniaszu... żali i ty wierzysz, iż to Chrystus?

Szczupłe jego dłonie objęły jej spracowane ręce:

— Wierzę Thamar!

— Jeżelić to Chrystus — urwała.

Zrozumiał mowę jej oczu łzawych, myślała, że cuda działać może, zdrowie, życie przywracać. Blady uśmiech przesunął się po jego schorowanej twarzy, gdy prosił:

— Nie droga... nie... jeno o naukę jego Go proś... nie o cuda... o naukę jego Thamar, bo światła, światła pragnie dusza moja, by dojść mogła do Stwórcy swego... światła Thamar.

— Dobrze Adoniaszu.

Kobieta w niej, w tej chwili, ostatnią ziemską pochowała nadzieję a dusza czekała Boga.

III.

— Widziałeś Jezusa Judo?

— Widziałem — ciemne ręce tkacza szybciej przerzucały czółno, ponure błyski w czarnych gorzały źrenicach a Jakub, najmłodszy z ciotecznych braci Jezusa, mówił półgłosem wpatrzony w gasnącą nad górami łunę zachodu:

— Żaliś słyszał co mówią o nim uczniowie jego? Jako w Jeruzalem uzdrawiał, w Samaryi kazał... w prawdzie tam żadnego cudu nie zdziałał ale uwierzył weń cały lud. A przed kilkoma dniami, będąc w Kanie, uzdrowił z ciężkiej choroby

syna królewskiego urzędnika i to nie wszedł nawet pod jego dach, rzekł jeno: „Idź, syn twój żywie!“ a w onej godzinie ozdrowiało dziecię. Jak myślisz bracie, żali jednak Józef, w godzinie śmierci, nie słusznie miał, nakazując nam wierzyć w niego i za nim iść? Słyszałem wczoraj jako Jezus mówił... i...

— Obłąkał i ciebie! — ironiczny uśmiech starszego brata zadźwięczał w ciszy wieczoru, jak szatanów chór, czółno migotało w zręcznych rękach, gdy nie podnosząc oczu od nici barwnej osnowy mówił: — Pamiętaj Jakubie, że iść za nim, to tyle co zerwać z rodziną... dość nam już jednego... szalonego!

— Judo! — w okrzyku dźwięczało oburzenie, ponure oczy starszego brata wpiły się badawczo w młodszego, gdy mówił twardo:

— Słuchaj Jakubie... Messyasz, którego ja czekam a ze mną naród Izraelski, nie urodzi się w lepiance i nie będzie chodził nauczając w pyle i słońcu po drogach Galilei, głos jego będzie jako grom, jak ogień i miecz. Messyasz, którego ja czekam, doda każdemu z nas sił nadludzkich, runą w proch wrogowie, na drgających ich trupach naród Izraelski zatknie chorągiew zwycięstwa. Ziemi całej władcą będzie Messyasz co wyjdzie z łona Izraela a przez niego rządy całego świata spoczną w naszych rękach. Jestże takim Messyaszem Jezus z Nazareatu?

— Nie.

— To też ja go nie wyznam i zaręczam ci Jakubie, iż żaden myślący jako ja, prawy syn Judei, kochający ojczyznę swoją co mu żywot dała i pragnący pogromu Rzymu, nie wyzna go.

— Judo... a jednak Jan mu dał świadectwo... Jan uwierzył w niego... Jutro jest sabbatu święty dzień, jutro Jezus zapewne nauczać będzie w synagodze, przyjdź i posłuchaj, za n m odwrócisz się od niego... Judo.

— Dobrze... zobaczę ile wasz prorok w Nazareacie cudów uczyni i my mamy chorych i upośledzonych.

— Judo... jeżeli zamyślasz coś złego...

Czarne oczy tkacza zapłonęły, podniósł się i zwijając warsztat mówił:

— Czy boisz się dla twego Messyasza, mnie, Judy, tkacza z Nazareatu? Po cóż twój lęk? Bóg nie potrzebuje obawiać się człowieka... Proszę, pomóż mi wnieść warsztat do domu, słońce za chwilę zgaśnie i święty dzień sabatu wejdzie nad ziemię.

* *
*

Przez łukowe okna świątyni snuł się błysk słońca, promienie jego padały na modlitewnie schyloną głowę Jezusa z Nazareatu, jakgdyby potęgą blasku wyróżnić chciały tę smukłą, młodzieńczą postać od otaczającego ją tłumu i rzec: ten ci jest!

A Jezus właśnie modlitwę ukończył i wszedł na stopnie, skąd nauczyciele zwykle „Pismo“ tłumaczyli ludowi, odebrał z rąk służącego synagogi księgę Izaasza proroka a jego błękitne oczy przesunęły się uważnem spojrzeniem po tych twarzach ciekawych a niespokojnych. Każdego z tych ludzi znał, począwszy od tego starca co się drżącemi dłońmi na kiju wspiera i uśmiech niedowierzania na zwiędłych wargach ma, do tego wyrostka, którego życiem płomienne oczy tysiącem pytań ku niemu się rwą. Tam w cieniu filarów kupi się ciotecznych jego braci gromadka, patrzą ku niemu jasne oczy Jakuba pełne troski i oczekiwania, czarne, ponure oczy Judy... A tam, dalej z za krat kobiecego oddziału słodka, wzruszeniem blada twarz matki jawi się synowi.

Rozwarł księgę a jego jasny, łagodny głos płynął nad tłumem obietnicą, gdy czytał:

„Duch Pański nademną, przeto mnie pomazał abym opowiadał ewangielią ubogim, posłał mnie abym uzdrawiał skruszone na sercu. abym zwiastował pojmanym wyzwolenie, ślepym przejrzenie, bym wypuścił uciśnione na wolność a opowiadał rok Pański przyjemny.

Zawarł księgę, spojrzeniem rozbłysłych oczu obejmując tłum rzekł z mocą:

— „Dziś się wypełniło to pismo w uszach waszych!"

— Jakoż to być może?

— Co on prawi?

A Jezus mówił, każde jego słowo było potęgą światła rzucanego w mrok. Oto Bóg, do dzieci swoich wyciągał ramiona, on który gromić mógł, zniżał, miłością i litością zdjęty, głos swój do prośby. Wskazywał tym uciśnionym ojczyznę właściwą w bezkresach, wybranemu narodowi właśnie w chwili gdy mu doczesna groziła niewola, prawił o zupełnem wyzwoleniu. Owe chore, słabe dusze uzdrowić pragnął, oderwać ich wzrok od ziemi, dać im wszystkim udział w królestwie ducha. I potęga była w jego słowach a bezmiar miłości w błękitnych wilgotnych oczach, gdy mówił im o tych skarbach ducha których nie psuje mól, ni rdza, o tem królestwie, w którym udział nie bogactwem się opłaca, ni dóbr ziemskich ilością, jeno rozmiarem spełnionego dobra, życia czystością, ducha potęgą... zwycięstwem.

Juda słuchał słów Jezusa i znowu krwawa zazdrość i nienawiść szarpała mu duszą, szyderczy grymas krzywił usta gdy mruczał:

— Tak więc, tu męcz się, pracuj, przymieraj głodem, patrz jako inni pałace mają i dni spędzają jak we śnie, ogryzaj kości spadłe ze stołu bogatych pogan w pokorze i skarb sobie zasługi tam, gdzieś... po śmierci. I patrz spokojnie jako pęta zakłada Rzym na wolny naród twój... jako głodem mrze twój lud... po śmierci wolnym będziesz... Ech!

Zwrócił głowę i do cisnącej się do koła niego gromadki zgłuszonym szeptem rzekł:

— Żali ten człowiek nie jest synem Józefa cieśli, brata matki mojej? Za syna Bożego się ma... niechże skruszy potęgę Rzymu, niech Izraelowi dawną przywróci chwałę i świat odda w ręce żydów. Bóg wszystko może... niech nam da przedsmak onych skarbów niebieskich tutaj... władzę i panowanie!

Świątynią snuć się zaczęły szepty, z początku ciche jak oddalonego wichru szum, potem coraz wyraźniejsze a prze-

strzenią płynął teraz młody, silny głos Jezusa ale karcący, ostrzegający i groźny:

— „Zaprawdę mówię wam, nikt nie może dwom panom służyć, gdyż albo jednego będzie miał w nienawiści a drugiego miłował będzie, jednego wyzna a drugim pogardzi. Nie możecie Bogu służyć i mamonie!“

A z fali głosów dobiegały pół urwane wykrzykniki pytania.

— Skądże mu mądrość taka i moc?

— Żaliż to nie syn Józefa cieśli?

— Żaliż nie patrzyliśmy na młodość jego? Nie wyrósłże on pośród nas?

— Nie sąż jego braćmi Juda, Jozes, Szymon i Jakub?

— Maryę, córkę Anny matką zwie a o Jedynym mówi: ojciec?

Jezus słuchał, splótł dłonie na staroświeckiego krzesła rzeźbionej poręczy i patrzył w te twarze rozognione, rozgorączkowane, w te oczy błyszczące niechęcią i niezrozumieniem i promienne jego źrenice zmierzchły smutkiem, litość w nich była i ból. Naprożno więc z miłowaniem swojem do nich szedł... daremnie wzywał... pójdźcie za mną w światło.

A szept rósł, stawał się okrzyków urywanych nawałą, ochrypłych głosów dźwiękiem, oskarżenia się w nich snuły, domagania, warunki... Ludzie to byli... ludzi przywiązani do ziemskich dróg, tak zżyci z ciemnością, iż zamykali oczy na światło, bo im sprawiało niemal ból, wyrośli w błędnem oczekiwaniu Messyasza co potęgę ziemską im da, wybranemu narodowi możność uciskania drugich, rozprężenie władzy od krańca do krańca. Cóż im był, ów Messyasz w szarej szacie pielgrzyma, im co śnili o jego krwawej, królewskiej purpurze, rozgwarze puzonów i trąb? Z pogardą i szyderstwem odtrącali miłośnie wyciągnięte ramiona Boga, który wybranemu narodowi mówił, iż wszystkich ludzi kochać należy jak braci a krzyk się rwał:

— Jeśliś Syn Jedynego, to uwolń nas z kajdan Rzymu!

— Wolność nam daj i władzę!

— Wolność i władzę!

Smutnie pochylił Jezus jasną głowę a z jego warg spłynęły ciche słowa:

— „Pewnie mi rzeczecie ową przypowieść: Lekarzu, ulecz samego siebie! Cośmy słyszeli żeś uczynił w Kapernaum uczyń i tu, w ojczyźnie swojej... Zaprawdę! powiadam wam żaden prorok nie jest przyjemny w ojczyźnie swojej". — I nagle przyciszony smutkiem jego głos, zaziemską zadźwięczał siłą, wyprostował smukłą postać a z jego ciemnych teraz jak bławaty oczu, padły w tłum gromowe błyski gniewu: „Zaprawdę! powiadam wam, że wiele było wdów za dni Eliaszowych w ludu Izraelskim, gdy zamknione było niebo; przez trzy lata i sześć miesięcy, tak iż był głód wielki na wszystkiej ziemi. Wszakże do żadnej nich nie był posłany Eliasz, tylko do Sarepty miasta Sydońskiego, do jednej wdowy... I wielu było trędowatych za Eliasza proroka w ludu Izraelskim, wszakże żaden z nich nie był oczyszczony tylko Naaman Syrejczyk!!"

Oczy Jezusa złagodniały na mgnienie, bo spoczęły w tej chwili na twarzy najmłodszego z siostrzeńców Józefa, Jakub stał wsparty o ciemną ścianę synagogi, na jego bladej jak płótno twarzy była męka duszy na rozdrożu, staczającej bój nad siły prawie... I oto spłynęło mu w duszę spojrzenie Pana wezwaniem.

A po nad tłumem dźwięczał ostry, rozkazujący głos:

— Rozstąpcie się!

Odruchowo, pod wpływem tego głosu i spojrzenia, tłum cofnął się jak pies karcony, warcząc groźnie i stworzył wolne przejście dla tej młodzieńczej, smukłej, jasnej postaci.

Juda ochłonął pierwszy, jak szalony rzucił się w tłum, wołając drżącemi, pieniącemi się od gniewu wargami:

— Synowie Nazareatu! Żalisz pozwolicie by on, was, do trędowatych równał, do występnych, nieczystych, niegodnych łaski Najwyższego? Śmierć mu!

— Śmierć mu! — zawyła tłuszcza wysypując się falą z murów synagogi.

— Z góry go zrzucić!

— Śmierć!

— Śmierć!

Jezus z Nazaretu zatrzymał się i stał tak na środku słonecznej drogi wysoki, smukły, oczekujący, a po nad głowy nadbiegającego tłumu, spojrzał żałośnie na nędzne domki Nazareatu tulące się do wzgórz, jak gniazda jaskółcze a potem w owe twarze groźne, zmienione nienawiścią, wściekłe, na wzniesione pięści, na cały ten tłum kotłujący do koła niego, wrzeszczący, nędzny tłum.

Jakże oni mali, zaślepieni, biedni...

Ale pomiędzy Nim a niemi nie ma już nic wspólnego... albowiem wybrali.

Fala ludzka pchała go ku urwisku, gorące oddechy muskały mu twarz, dzikie, straszne głosy wyły do koła:

— Śmierć!

I nagle... krzyk zamarł szalonemu tłumowi na ustach rozwartych, zawisły w przestrzeni mordercze, krwi głodne dłonie, albowiem jasna postać Jezusa z Nazareatu zniknęła z pośród nich.

* * *

Drogą wiodącą do Kapernaum szedł samotny wędrowiec, w około blada zieleń młodych traw rwała się ku słońcu, rozkwitały blade anemony, płomieniły się i złociły tulipany, deszczem ocucona ziemia pulsowała budzącem się życiem, ale na pochylonem, młodzieńczem obliczu smutek był.

Nagle, na kamienistej ścieżce rozległ się kroków spiesznych tupot, dopadła do nóg Jezusowych postać mężka, drżące dłonie stopy mu oplotły a młody głos rwał się łkaniem z piersi wzburzonej:

— Jezusie... pozwól mi iść z tobą! Niema w duszy mojej wątpienia, jeno wiara!

Błękitne oczy Pana spojrzały w bladą od wzruszenia twarz Jakuba, najmłodszego z siostrzeńców Józefa i chyląc się ku niemu rzekł cicho i miękko:

— Bracie...

Marya Czeska.

Modernizm w książce polskiej.

Mam tu na myśli książkę prof. M. Zdziechowskiego p. t. „*Pessymizm, romantyzm a podstawy chrześcijaństwa*“ [1]) i to nie całą, ale tylko jej IV. część p. t.: „*Nowe prądy myśli katolickiej*“. Autor daje sprawozdanie, nawiasem mówiąc wierne, poglądów Modernistów na różne kwestye religijne. Te poglądy będą przedmiotem niniejszej oceny. Niestety i nasz Autor stoi w swej książce zupełnie po stronie Modernizmu, więc i jego nasze uwagi dotyczą. Dla łatwiejszej oryentacyi zgrupowaliśmy zdania Modernistów i Autora około najważniejszych kwestyj religijnych, w książce poruszonych i w tym także porządku postępuje nasza argumentacya. Zaznaczamy dla ścisłości, że przytoczone w cudzysłowie zdania są poglądami Modernistów, choć między nimi znaczną część, może nawet większą zajmują poglądy Autora. Trzeba jeszcze i to dodać, że nasz Autor przytaczając poglądy Modernistów niemal zawsze je podziela tak, że trudno nieraz odróżnić, co mówią Moderniści a co Autor. Gdzieniegdzie tylko ozwie się z umiarkowaną krytyką poglądu tego lub owego Modernisty, zato na wielu miejscach, jakby z obawy, by nie odbiegł zbytnio od ich poglądów, kruszy kopię w obronie poglądów modernistycznych niezgorzej od samych Modernistów. Wobec tego nie uważaliśmy za ko-

[1]) Pełny tytuł dzieła: M. Zdziechowski, Pessymizm, romantyzm a podstawy chrześcijaństwa, 2 tomy, Kraków 1915.

nieczne zaznaczać w cytatach, które są Modernistów a które Autora. Zresztą wszędzie przy cytatach podaliśmy sumiennie stronę, na której się cytat znajduje. Czerpiemy potrzebny materyał przeważnie z tomu II. bo tam się mieści część dzieła, którą omawiamy.

I.

Intellektualizm w religii.

Nasz Autor jest bezwzględnym przeciwnikiem intellektualizmu w religii. Udowadnianie rozumowe istnienia Boga lub prawd przez niego objawionych jest zdaniem Autora daremnym trudem i stratą czasu. Dlaczego? Bo „żadna dyalektyka nie doprowadzi do Boga“ (wstęp str. XII). „Bezsilne i bezowocne są wszelkie apologie“ (t. II. str. 170). „Dowodzenie w rzeczach wiary taką samą jest niedorzecznością, jak tortury“. (173). Na innych miejscach swej książki ścieśnia nieco zakres tych ludzi, na których nie oddziaływują w religii argumenta rozumowe. Takimi są agnostycy i pozytywiści. „Przeciw agnostycyzmowi absolutnie bezsilną jest wszelka dyalektyka racyonalistyczna“ (143). Intellektualizm teologiczny „siląc się na rozumowe uzasadnienie wiary, zupełnie bezsilnym jest wobec pozytywistycznego racyonalizmu naukowego“ (210).

Czemu argumenta rozumu skazane są w religii na taką bezpłodność? Stara się Szan. Autor i na to pytanie odpowiedzieć. W rzeczach religii mówi „rozum bezpośrednio kieruje się w stronę niewiary“ i żadna prawda choćby najświętsza nie ostoi się na długo wobec jego napaści (143). „W miarę lat, im dalej w życie i świat szedłem, mówi Autor o sobie, tem wyraźniej i boleśniej uświadamiałem sobie, że świat ten, gdy go myślą jako całość objąć bezładem jest i bezrozumem, nie zaś, jak nas uczą, dziełem rozumu: nie z ręki Boga on wyszedł... Niema Boga głosem wielkim wołają i natura i historya“. „Fakt istnienia Boga, to coś przekraczającego zakres myśli światem zewnętrznym zajętej, to cud“ (str. XIII). „Świat jest irracyonalny... jest bezrozumny i świadczy przeciw Bogu i ze stanowiska świata Bóg jest niemożliwością“ (XV). Wszyst-

kie wywody apologetyki, że Bóg istnieje były dla Autora pobudką do nowych wątpień (str. XII). Wiarę w Boga żywego „zachwiewali w nim nauczyciele religii ze swym suchym racyonalizmem, z Bogiem zegarmistrzem i ze zrobionym przez Boga tego a doskonale we wszystkich szczegółach obmyślanym i opracowanym światem-zegarem" (X).

Dowody rozumowe nie mają siły przekonania, bo każdy je pojmuje według własnego usposobienia i według stanu jego duszy na niego oddziaływają. Każdy ma swoją „logikę personalną" (str. 173). „Gdyby rozum był bezwzględnie objektywny, gdyby człowiek każdy nie wkładał w rozumowanie swoje, zwłaszcza w rzeczach religii, czegoś specyficznie osobistego, to, sądzi Autor, wszyscy myśleliby to samo i religia wraz z teologią byłaby jedną dla wszystkich" (382); do wiary nie potrzebaby było wtedy łaski (181).

Do reszty stara się Autor zbrzydzić każdemu intellektualizm w religii wyliczeniem fatalnych skutków jakie sprowadza na religię i kościół.

Intellektualizm w religii prowadzi do „antropomorfizacyi Boga w najgrubszem tego wyrazu znaczeniu, do przekształcenia Jego w despotę a Kościół w policyę prześladującą poddanych tego despoty kodeksem przepisów o oddawaniu Jemu należnej czci". (259). Z racyonalistycznem pojmowaniem religii łączy się „tak głęboko zakorzeniona zarówno u teologów jak i wierzących prostaczków skłonność do wyobrażania Boga w postaci monarchy, wydającego z góry rozkazy poddanym swoim. Z tem zaś najściślej się łączy powszechnie a słusznie zarzucana katolicyzmowi biurokracya kościoła podług wzoru absolutystycznie rządzonego państwa, w którym papież jest samowładnym despotą, księża urzędnikami jego, a świecoy poddanymi bez prawa głosu" (244).

Prawda jest nieskończoną, dlatego nie może być „ostatecznie poznaną i zawartą w systemie wykończonym" (257). Choćby nawet rozumowaniem można było dojść do prawdy, to w ten sposób nabyta prawda „nie obudziłaby w nas miłości" do siebie, nie pozostawiałyby nam autonomii, każdy z nas

przestałby być osobą, indywidualnością (246). „Prawda narzucona gwałtem (przez objawienie) lub narzucająca się sama, tą swoją niby matematyczną ścisłością i bezwzględnością wywoływałaby w nas zamiast rozkwitu — zastyganie życia“ (256). Racyonalizm w religii jest przyczyną agnostycyzmu. (362).

Oto jakie spustoszenia w umysłach i w sercach ludzkich i w samej religii ma sprowadzać intellektualizm scholastyczny w religii. Stąd nie dziwić się twierdzeniu Tyrella, iż „światło prawdy wiekuistej nawet w wyznaniach religij skażonych, świeci jaśniej niż w pojęciach umysłów, usiłujących w formy rozumowe ująć to, co nieujęte jest i niedocieczone“ (283). Czy wobec niedorzeczności systemu racyonalistycznego, wobec tylu fatalnych skutków jakie na religię sprowadza, nie należałoby tępić tego systemu z dziedziny religii jak się tępi największych szkodników?

Tak każdy nieobeznany bliżej ze systemem scholastycznym pomyśli po przeczytaniu książki Szanownego Autora. Czy atoli intellektualizm w religii jest w rzeczy samej tak niedorzeczny i szkodliwy, pozwolimy sobie powątpiewać wbrew kategorycznym zapewnieniom Autora. Czy istotnie człowiek nie jest w stanie rozumem poznać Boga i niektóre przynajmniej jego przymioty?

* * *

1. Gdyby Moderniści i zdeklarowany ich zwolennik nasz Szan. Autor, respektowali dogmatyczne orzeczenia Soborów, to pozwolilibyśmy sobie zwrócić im uwagę na Conc. Vaticanum Sess. III. can. 1. gdzie postanowiono:. „Gdyby ktoś powiedział, iż Boga jednego i prawdziwego, stwórcę i pana naszego, z tego co uczynionem zostało (ze świata) naturalnem światłem rozumu ludzkiego na pewne nie można poznać, niech będzie wyklętym“. Orzeczenie jest jasne. Ze świata nas otaczającego, przez rozumowe wnioskowanie można pewnie (certo) Boga poznać jako Pana i Stwórcę naszego. Nie nastajemy jednak na ten autorytet, nawiasem mówiąc dla katolika wierzącego najwyższy i decydujący, gdyż nasz Autor orzeczenia nawet do-

gmatyczne Soborów stawia widocznie na równi z opiniami ludzi prywatnych, kiedy inne orzeczenie dogmatyczne tego samego Soboru nazywa „krzyczącą tautologią logiczną“ (str. 388).

Moderniści a nasz Autor z nimi często, na poparcie swych twierdzeń cytują Pismo św. Posłuchajmy przeto, co mówi Pismo św. o zdolności rozumu w sprawie religii.

Oto św. Paweł, na którego scholastyka nie mogła przecie jeszcze swego ujemnego wpływu wywrzeć, potępiając bezbożność pogan powiada, iż nie mogą się zasłaniać nieznajomością Boga nie otrzymawszy jak żydzi objawienia, bo i oni mieli lub mogli mieć i bez ojawienia dostateczną znajomość Boga, zaczerpniętą ze świata widzialnego. Oto słowa Apostoła: „Co wiadomo o Bogu jest im jawno. Albowiem Bóg im objawił. Bo rzeczy jego niewidzialne od stworzenia świata *przez te rzeczy które są uczynione zrozumiane*, bywają poznane; wieczna też moc jego i bóstwo, tak, iż nie mogą być wymówieni“. (Rom. 1, 19). Księga Mądrości nazywa głupimi tych, którzy patrząc na piękności świata nie poznali Boga. „A ludzie wszyscy są nikczemni (vani = głupi), w których nie masz znajomości Bożej: *i z tych rzeczy dobrych, które widzą nie mogli zrozumieć tego, który jest*, ani przypatrując się sprawom obaczyli, ktoby był sprawcą“. I podaje racyę swego potępienia: „Z których piękności kochając się, niechże wiedzą, jako nad nie piękniejszy jest panujący nad nimi: gdyż sprawca piękności to wszystko stworzył. Albo jeśli się mocy i sprawom ich dziwowali, niech rozumieją z nich, iż mocniejszy jest ten, który je uczynił. Z wielkości bowiem ozdoby *jaśnie* stworzyciel tych rzeczy poznany być może... bo jeśli tak wiele umieć mogli, iż świat mogli rozumem ogarnąć, jakoż Pana jego nie łacniej naleźli“ (Sap. 13, 1. 59).

A więc nie scholastycy pierwsi ze świata widzialnego, z jego piękności, wielkości wnioskowali na istnienie Boga i jego przymioty! Droga wewnętrznych doświadczeń nie jest tedy jedyną, wiodącą do Boga.

Psalmista wychodząc z tej samej zasady, iż z przymiotów stworzeń można poznać przymioty Stwórcy potępia odma-

wiających Bogu znajomości spraw ludzkich. „I mówili (bezbożni): Nie ujrzy Pan, ani zrozumie Bóg Jakóba, a bezrozumni miejcież kiedy rozum. Który wszczepił ucho nie usłyszy? albo, który uformował oko nie ujrzy?“ Tenże Psalmista podziwiając wielkość i piękność dzieł Bożych z zachwytem śpiewa: „Niebiosa rozpowiadają chwałę Boga, a dzieła rąk jego oznajmuje utwierdzenie. Dzień dniowi opowiada słowa (chwały Bożej), a noc nocy okazuje znajomość. Nie masz języków, ani mów, któreby nie słyszały głosów ich. Na wszystką ziemię wyszedł głos ich, i na kończyny okręgu ziemi słowa ich“. (Ps. 18. 1—5). Autor pięknie mówi: „Głos (niewiary) ginie w harmonii psalmów i hymnów“ (str. XIII), a oto Psalmy głosem potężnem i natchnionem wołają, iż niebiosa rozpowiadają chwałę Boga. Jedno z dwojga wobec tego trzeba będzie zrobić: albo pójść za głosem psalmów i skorygować swą teoryę o niepoznawalności Boga ze świata widzialnego, albo autorytet psalmów zaliczyć do przestarzałych opinii ludzkich. Dla katolika wybór nie będzie trudny. Bo twierdzić, iż teksty przytoczone należy rozumieć metaforycznie, symbolicznie, analogicznie — są to schroniska Modernistów przed ostrzem tekstów Pisma św. przeciw nim zwróconych — jest dla miłośnika prawdy wprost czemś nieznośnem. Teksty są tak proste, tak jasno podkreślają stosunek stworzeń do Boga jako skutków do swej przyczyny, tak dosadnie pouczają, iż z przymiotów stworzeń trzeba wnioskować na przymioty Stwórcy, że chcieć je mimo to tłómaczyć metaforycznie znaczyłoby konsekwentnie wyeliminować pismo jako środek porozumiewania się. Pismo św. przemawia tedy stanowczo przeciw Modernistom!

Nieraz nasz Autor powołuje się na Ojców Kościoła, najczęściej na św. Augustyna. Zobaczmy tedy, jakie też jest w naszej kwestyi zdanie przynajmniej niektórych Ojców z pierwszych epok Kościoła. Ojcowie o których zdanie się zapytamy, to ludzie bardzo utalentowani, wykształceni wszechstronnie, ludzie święci, a więc zdaniem Modernistów na przodowników w Kościele i na organ Ducha św. jakby stworzeni, ludzie niezbyt odlegli od czasów Apostolskich i Chrystusa, żyjący

w starożytnej epoce Kościoła, kiedy organizacya nadana Kościołowi przez Chrystusa nie mogła jeszcze uledz takiej gruntownej zmianie jakiej dziś dopatrują się w Kościele Modernişci — słowem są to ludzie jakby powołani na świadków tradycyi kościelnej swoich czasów. Co oni sądzą o sposobie poznania Boga, czy świat zewnętrzny ich zdaniem prowadzi do Boga, czy też do niewiary wiedzie?

Św. Atanazy († 373) przyrównuje świat do wielkiej księgi „która ładem i porządkiem rzeczy stworzonych ukazuje i głosi Pana i Stwórcę swego" (orat. c. gent. n. 34). Największy mówca kościelny św. Jan Chryzostom († 407), mąż niezłomny, gdy idzie o obronę prawd Chrystusowych, zastanawia się, w jaki sposób poganie mogli poznać Boga, skoro objawienia nie znali i tak odpowiada: „Postawił (Bóg) świat stworzony przed nimi, tak, że mądry i idyota, scyta i barbarzyniec z samego widoku piękna rzeczy widzialnych do Boga dojść może. I dla tego na sądzie, czy będą mogli poganie powiedzieć Bogu: nie znaliśmy Cię? Jakto odpowie im, alboście to nie słyszeli głosu nieba, kiedyście nań patrzyli? to nie słyszeliście jak harmonia wszechświata głośniej od trąby woła... i wszystko stworzenie przez swą piękność opowiada Stwórcę swego?" (Hom. 3. in ep. ad Rom. n. 2). Jeszcze choć jednego wielkiego Ojca Wschodu przytoczymy. Św. Cyryl Aleksandryjski († 444) pisze: „Przepiękne i znakomite dzieła boże, choć głosu pozbawione, przecież ogłaszają na swój sposób mądrość swego Twórcy, którą na sobie odbijają" (c. Julian l. 2. c. 73). Z Ojcami Wschodu nasz Autor więcej sympatyzuje niż Zachodu, bo zdaniem jego na tych ostatnich systematyczność i racyonalizm geniuszu rzymskiego państwa wycisnęły swe piętno, Wschodni zaś tym wpływom nie ulegli. A oto jak widzieliśmy poglądy Ojców Wschodu niczem się w naszej kwestyi nie różnią od poglądów Ojców Zachodnich, co więcej w niczem od nauki dzisiejszych, rzekomo według Autora racyonalizujących teologów i papieży.

Posłuchajmy, jeszcze św. Augustyna († 430). Pyta się ten Święty, w jaki sposób Bóg objawił się poganom i odpo-

wiada: „Zapytaj świata, ozdoby nieba, zapytaj świecących gwiazd, słońca dnia, księżyca, pociechy nocy: zapytaj ziemi, wydającej zioła i drzewa, przepełnionej zwierzem, zdobnej w ludzi: zapytaj morza, o iluż to i jak wielkimi pływakami jest napełnione: zapytaj powietrze, o ileż to ptactwa ono posiada, pytaj wszystko stworzenie, a zobaczysz, czy ci każde na swój sposób nie odpowie: Bóg nas uczynił" (serm. 141. n. 1. de philosophis).

Nasz Autor kilka razy w swej książce z ironią odzywa się o argumencie scholastyków, dowodzących z porządku panującego w świecie, istnienia Boga, tak jak ład i porządek w zegarku dowodzi rozumnego twórcy zegarka, ironizuje ten argument, a oto wielcy Ojcowie Kościoła tak Wschodu jak i Zachodu takim samym w zasadzie posługują się argumentem. Autor zapewnia, że „świat ten bezładem jest i bezrozumem", według niego „głosem wielkim wołają i natura i historya: nie ma Boga", a z Ojców największy św. Augustyn mówi, iż wszystko stworzenie, każde na swój sposób woła: Bóg nas uczynił, a słowom tym wtórują jak słyszeliśmy najwybitniejsi Ojcowie Wschodu.

Naukę Ojców i całego Kościoła podjęli Scholastycy, ujęli ją w system i głęboko filozoficznie ugruntowali. Przyszła reakcya przeciw scholastyce. Wywołały ją nie tyle braki rzeczywiste tego systemu, jego pewne wyjałowienie, ile nowe metody wprowadzone na polu badań przyrodniczych. W badaniach tych zastosowano bardzo szczęśliwie metodę doświadczalną. Wydała ona w rzeczy samej niesłychane rezultaty. Rezultaty te podbiły umysły wszystkich dla metody doświadczalnej. Wszystkie gałęzie wiedzy ludzkiej chciano na niej oprzeć. Na metodę deduktywną którą przeważnie posługiwała się scholastyka poczęto patrzeć z politowaniem, z niechęcią, z lekceważeniem. Metafizyce odmówiono tytułu do nazwy umiejętności. Przyszedł Kant i dla tych poglądów filozoficzne stworzył podstawy. W „krytyce czystego rozumu" odmówił zasadzie przyczynowości objektywnej wartości, a zrobił ją jedną z kategoryj subjektywnych do podporządkowania zjawisk

przyrody przeznaczonej. Zasadą przyczynowości posługiwano się dotąd, by ze świata zjawisk dostać się do samej istoty rzeczy i dalej jeszcze w świat ducha, aż do Boga. Kant usunął ten łącznik, bo zdaniem jego wszelkie rozumowanie na zasadzie przyczynowości oparte ma tylko idealną, nie realną subjektywną tylko wartość, nawet do poznania istoty rzeczy widzialnych nie prowadzi, a już całkiem jest nieprzydatne do poznania Boga i świata nadprzyrodzonego. Swą teoryę przeciął wszelką komunikacyę rozumu z Bogiem.

System Kanta ponieważ tak bardzo odpowiadał duchowi czasu, zamykającemu się w dziedzinie zjawisk, przytem zmaterializowanemu i z wiarą pokłóconemu, a więc niechętnemu wszystkiemu co duchowe, nadprzyrodzone, boże, przyjęty został przez bardzo wielu z entuzyazmem za pewnik filozoficzny; filozofia Kanta stała się filozofią metody doświadczalnej. Filozofia nowoczesna, poza scholastyczną, stała się gałęzią nauk przyrodniczych. Wszystko co przypominało metodę scholastyczną sprawiało odrazę, było z góry pomijane lub wprost odrzucane jako nienaukowe. Kanta systemu w obozie pozytywistycznym nie krytykowano, ale z góry za normę wszelkiego filozofowania uznano.

Nic więc dziwnego, że w takim usposobieniu umysłów argumenta scholastyczne na istnienie Boga, wogóle dowody rozumowe w religii, na metafizyce oparte, musiały się wydać niefilozoficznymi, bo nie metodą doświadczalną prowadzone, a że tylko tą metodą ma się jedynie prawdę zdobywać, więc każda inna jest conajmniej nieużyteczną w poszukiwaniu prawdy. Dlatego i religię chcą dzisiejsi Moderniści oprzeć na metodzie doświadczalnej sądząc, że jedynie tylko w ten sposób religijne podstawy staną na wyżynie dzisiejszej nauki, a świat inteligentny pojedna się z religią i wiarą.

Argumentów scholastycznych przeciwnicy scholastyki nie zbijają, nie wykazują w czem ich słabe strony mają polegać, ale z góry odmawiają im wartości dowodowej. Tak postępuje i nasz Autor. Zamiast gołosłownie twierdzić, iż dowody rozumowe nie prowadzą nas do Boga, niechby choć raz przyto-

czył któryś z dowodów rozumowych na istnienie Boga, wykazał spokojnie i rzeczowo, w czem tkwi jego niedorzeczność, sofisterya czy brak logiki. Naszemu Autorowi wystarczy zamiast tego, iż dowód taki jest na metafizyce oparty i metodą scholastyczną przeprowadzony, aby go odsądzić od wszelkiej wartości i użyteczności. Wszystko złe jakie na polu religijnem popełnili ludzie, czy to z głupoty czy ze złości, czy ze słabości ludzkiej, złe nie tylko rzeczywiste, ale i urojone, sprowadziła scholastyka przez swe racyonalizowanie religii. Nie pominie nasz Autor żadnej sposobności, by nie przypiąć łatki temu kierunkowi. Najpiękniejsze ustępy w książce Autora muszą się kończyć katonowskiem: *Caeterum censeo scholasticam delendam esse.* W miejsce scholastyki oprzeć religię na doświadczeniu, jak zalecają Moderniści, a wszystko będzie dobrze. Ku Kościołowi katolickiemu popłyną fale ludzi z obozów dotąd pokłóconych z religią, wtedy zostanie „kultura ochrzczoną przez Kościół i stanie się środkiem do urzeczywistnienia łączności między doczesnością a porządkiem wyższym" (str. XVI).

2. Na dnie wszystkich racyj, dlaczego rozum nie prowadzi do Boga, to przedstawione wyżej zapatrywanie Kanta na zadanie rozumu, zapatrywanie któremu hołduje nasz Autor. Rozum w rzeczach religii nic nie może, bo rozum do istoty rzeczy „*das Ding an sich*" dotrzeć nie jest w stanie, jego działalność obraca się tylko w dziedzinie zjawisk. Zasada przyczynowości jest tworem czysto subjektywnym, bez wartości objektywnej, służy tylko do porządkowania w umyśle zjawisk, stąd znowu nie może prowadzić do Boga jako istoty nadzmysłowej. Wszystkie rozumowania na tej zasadzie oparte prowadzą nas tylko do idei Boga, ale nie do Boga realnie istniejącego.

Ale czy twierdzenia Kanta, na których się jakby na podwalinach wspierają wywody Autora przeciw intellektualizacyi religii, są prawdziwe? (C. d. n).

Ks. Dr. M. Sieniatycki

Civitas Dei na przełomie wieków.

(Ciąg dalszy).

W miarę jak łupieżne bandy barbarzyńców, wyprzedzające regularne hufce wojowników, zalewają kraj, biskupi afrykańscy pracują niestrudzenie nad tem, by przedewszystkiem zażegnać wojnę domową. Rychło też dzięki ich staraniom Bonifacy pogodził się z dworem i zwrócił całą swoją siłę zbrojną przeciwko Wandalom.

Układy ugodowe z Bonifacym przeprowadził z ramienia cesarzowej komes Daryusz, „chrześcijanin nie tylko powierzchowny, ale pełen miłości chrześcijańskiej", jak się wyraża św. Augustyn, który uradowany jego misyą pokojową serdecznym listem wita go w progach Afryki:

Pokonać wroga i przynieść pokój — czytamy tam — to rzecz wielka, ale na większą chwałę zasługują ci, co słowem uśmierzają wojnę i środkami miłości chrześcijańskiej utrwają pokój. „Wielkie szczęście dostało się ci w udziale przez to, że nie zmusza cię do krwi przelewu twarda konieczność i w ręce twoje tak wielką i piękną złożono sprawę. Oby Bóg zatwierdził to, co uczynił nam przez ciebie".

Na list ten odpowiada uradowany dyplomata: „Moja chwała jest nieodłączna od dobra ogółu... módl się tylko, oj-

cze, za imperyum i rzeczpospolitą rzymską i za tych, których uznasz za godnych i przekaż to potomnym i następnym wiekom".[1])

Nadzieja wszelako pokoju, która chwilami zabłysła na ponurem tle krwawego najazdu barbarzyńców, rychło przygasła. Układy bowiem Bonifacego z Wandalami spełzły na niczem. Barbarzyńcy, omamieni nieprzebranem bogactwem Afryki, usiłują zająć kraj cały i prą do krwawej rozprawy. Bonifacy uległ we walce i cofnął się do miasta Hippo, gdzie się silnie obwarował. W roku 430 pod koniec maja Wandalowie otoczyli miasto ze strony lądu i morza. Bonifacy, mając przy boku schorzałego, ale zadufanego w moc Bożą i wieczność Romy św. Augustyna, broni się dzielnie. Wandalowie chcą głodem zająć miasto, ale po 14 miesięcznem oblężeniu sami przynagleni brakiem środków żywności, cofają się, rozlewając się wzdłuż i wszerz po kraju.

W sierpniu 430 r. umiera św. Augustyn w 76 roku życia. Kilka rysów charakterystycznych i pięknych momentów z ostatnich chwil jego życia, przytłoczonego krwawem brzemieniem wojennem, przytaczą nam nieodstępny przyjaciel jego biskup Posydiusz.

W czasie tym, opowiada, Augustyn św. „często bardzo rozmawiał z nami i rozważał straszne sądy Boże, które się rozgrywały przed oczyma naszemi mawiając: *justus es Domine et rectum judicium tuum.*

ogą żeni w bólu, z drżeniem duszy i łzami modliliśmy się do miłościwego Boga, żeby w smutku naszym raczył nas pokrzepić". Tylko, że smutek ten zawsze był opromieniony światłem wieczności i z bólu wybłyskiwała jasna nadzieja i tajemnicza myśl Opatrzności Bożej: „on z wysoka patrzył się na wszystko, mówi Posydiusz i głębiej rozważał i przewidywał przedewszystkiem niebezpieczeństwa i niemoc śmiertelną, zagrażające duszom ludzkim... i wobec nieszczęść zwykł był się pocieszać aforyzmem jakiegoś mędrca *non erit magnus ma-*

[1]) Ep. 229, II; 230, III.

gnum putans, quod cadunt ligna et lapides, et moriuntur mortales".[1])

Smętne obrazy tych rozważań, które przesuwały się przed jasnym umysłem schorzałego i gasnącego starca, to spustoszenie Afryki przez Wandalów, to walące się w gruzy państwo rzymskie pod ciosami barbarzyńców, to straszne sądy Boże, odbywające się nad spoganiałem społeczeństwem rzymskiem. Przeżywali je i ubolewali nad tem wszyscy wybitni chrześcijanie współcześni.

„Groza przejmuje umysł, pisze św. Hieronim, na widok walących się w gruzy czasów naszych. Dwadzieścia lat już z okładem płynie bezustannie krew Rzymian na rozległych obszarach pomiędzy Konstantynopolem a Alpami. Gotowie, Kwadowie, Sarmaci, Hunowie, Wandalowie i Markomanowie szerzą spustoszenie i rabunek, roznoszą śmierć po Scytyi, Tracyi, Macedonii, Dardanii i Dacyi, roznoszą pożogę po Tesalii, Achai, w Epirze, Dalmacyi, Panonii.

Ileż szlachetnych Rzymian, ile matron i dziewic padło ofiarą ich łupieżności i chuci cielesnych! Biskupi trzymani po więzieniach, kapłani i klerycy giną od miecza. Kościoły spustoszone a ołtarze zamieniono na żłoby dla koni, relikwie męczenników rozproszono. Wszędzie smutek i jęki, wszędzie roztacza się obraz śmierci...

Długo już smagają nas plagi zagniewanego Boga a nie myślimy wcale o tem, żeby go przebłagać. Grzechy nasze sprawiły, że barbarzyńcy biorą górę, grzechy nasze pokonały armie rzymskie. Nieszczęśliwi my, wywołujemy tylko gniew Boga! Barbarzyńcy są tylko narzędziem gniewu jego. Legiony rzymskie podbiły w moc cały okrąg ziemi, a teraz obrońcy nasi ulegają bezładnym tłumom, tak, że sam widok wroga już napełnia ich trwogą".[2])

Okrutne zwaliły się na nas zewsząd nieszczęścia, woła Savianus z Marseille w połowie V wieku „a jednak mimo

[1]) Vita 5. Aurelii Augustini, auctore Possidio, c. 28.

[2]) Ep. 60 ad Heliodorum n. 16, 17. (Migne, P. L. 22, 601).

wszystko cały świat rzymski oddaje się dalej w nędzy swojej rozpuście. Na żebraków zeszli Rzymianie, a bawią się. Jutro pójdą w twardą niewolę, a myślą tylko o cyrku. Kto przejęty jest trwogą śmierci, naprawdę, nie jest skory do śmiechu. Mimo wszystko, choć stoimy tuż przed jarzmem niewoli, choć przedśmiertny smętek nas ogarnia, my bawimy się i bierzemy udział w grach publicznych! Śmierć przechadza się pomiędzy nami, a my śmiejemy się! Mniemałby kto, że cały lud rzymski karmi się zielskiem sardonicznem, bo nie może się wstrzymać od śmiechu. Ze śmiercią idzie w parze śmiech".[1])

„Z powodu życia rozpustnego Bóg oddał nas w moc barbarzyńców. Nasze grzechy to sprawiły, że Bóg ludy barbarzyńskie posłał przeciwko nam z najodleglejszych kątów ziemi że oddał w ich moc prowincye i miasta. Afryka za morzem nie uszła kary Bożej".[2])

Na Kartaginę przedewszystkiem, gdzie światowy koncentrował się ruch handlowy, Salvianus, lubujący się w barwach jaskrawych, rzuca gromy swego oburzenia. „Spływa tam brud wszystkich miast. Kartagina, kwitnąca bogactwem, pełna jest rabunku i rozpusty, roi się od chwiejących się opojów i rozpustników uwieńczonych, od hulaków, wonnościami pachnących".[3])

Ale bo też w Kartaginie i w czasie najcięższej klęski i zawieruchy wojennej wesoło bawi się publiczność i szaleją uchodźcy wojenni. „Czasy potomne nie uwierzą, mówi z żrącą ironią św. Augustyn, że i uchodźcy w Kartaginie, na wygnaniu szukając pomocy, codziennie oklaskują brudne i wyuzdane widowiska na scenie. Skąd ten dziki szał dla widowisk w tak ciężkich czasach? Nic dziwnego, bogowie wasi nauczyli was tych przywar. Jesteście przecie przekonani, że bogowie wprowadzili te zabawy".[4])

---

[1]) Lib. 6, c. 18.

[2]) Mon. Germ. De Gubernatione Dei, lib. 7. c. 5. 12.

[3]) Lib. 7, c. 16.

[4]) De civ. Dei 1, c. 33. O mentes amentes, quis est hic tantus non error sed furor?

Ale bo też napróżno, tłumaczy Salvianus, szukałbyś wśród ludów barbarzyńskich takich brudów moralnych, jakie u nas raz po raz się znachodzą. „Czy coś podobnego mogłoby ujść bezkarnie wśród Wandalów? Nie, oni sami ze wstrętem patrzą się na te grzechy, popełniane w Afryce przez Rzymian, wyznających chrześcijaństwo".

„Gotowie są obłudni, ale odznaczają się czystością; Alanowie słyną z rozpusty, ale przynajmniej nie są tak chytrymi; Frankowie kłamią, ale są gościnni; Sasi są okrutni, ale nie oddają się rozpuście. Wszyscy ci barbarzyńcy mają złe przywary, ale posiadają też wiele dobrego w swoim charakterze".[1])

„Miasta, w których kwitnie moralność, to chyba te, nad któremi już barbarzyńcy rozpostarli swoje rządy. I my tonąc w bagnie srómotnem, dziwimy się jeszcze naszemu nieszczęściu? Dziwimy się, że wrogowie nasi, którzy nas wstydliwością i cnotą przechodzą, nas pokonali bronią swoją? Dziwimy się, że własność nasza przechodzi w ręce wojowników, którzy brzydzą się naszymi nałogami? Co uczyniło ich zwycięzcami, co spowodowało nasz upadek, wierzajcie mi, to nie przewaga ich siły zbrojnej, to nie brak sił obronnych i dowództwa... jedynie zdziczenie moralne powaliło nas do stóp barbarzyńców".[2])

Te i tym podobne rozważania, właściwe wyższym umysłom współczesnym, snuły się przed jasnym wzrokiem gasnącego Augustyna, patrzącego się na wydarzenia światowe „z wysoka".

Czy on przeczuwał podobnie, jak po śmierci jego wyżej przytoczony Salvianus, że ludy te młode i żartkie mają swoją krwią i duchem, oczyszczonym w ogniu Chrystusowym, odmłodzić konający świat rzymski, że przez zrękowiny odwiecznej Romy z barbarzyństwem powstanie nowy porządek rzeczy i zakwitnie chrześcijańska kultura?

Niewątpliwie. Myśl ta już od Stylichona począwszy i już wcześniej żłobiła sobie zwolna łożysko dziejowe w sercach i umysłach współczesnych, w jej służbie pracowali wielcy wodzowie i mężowie stanu chylącego się do upadku państwa.

[1]) Lib. 7, c. 22. [2]) Lib. 7, c. 23.

„Dziwisz się, że świat się zachwiał? Dziw się raczej, że świat się zestarzał. Świat to człowiek, rodzi się, rozwija i starzeje... powiało po nim tchnienie zgrzybiałości. Nie bój się, młodość twoja odnowi się młodością orła... Roma nie zginie, jeżeli Rzymianie nie zginą. A nie zginą, jeżeli Boga trzymać się będą".

„Razu jednego opowiada Posydiusz, gdy swobodnie gawędziliśmy przy stole, odezwał się święty: wiecie iż w strasznym tym czasie prosiłem Boga, aby raczył uwolnić miasto z rąk nieprzyjaciół, albo, jeżeli już taka wola jego, aby nam dodał siły do spełnienia kielicha, lub wreszcie, by raczył mnie powołać ze świata tego do siebie...

I oto w trzecim miesiącu oblężenia zapadł Augustyn na febrę, która w śmiertelną zamieniła się niemoc".[1])

Przedśmiertną chorobę swą uważał święty w myśl Kościoła za karę pokutną. W tym celu polecił odpisać sobie psalmy pokutne i umieścić je nad łóżkiem, żeby mógł je rozważać podczas choroby. Ażeby zaś nikt nie przerywał i nie mącił rzewnych jego rozmyślań, obficie skrapianych łzami, „w 10 dni przed śmiercią prosił nas, by nikt nie wchodził do niego, wyjąwszy w czasie, gdy przychodzili medycy albo przynoszono mu posiłek".[2])

* * *

Po cofnięciu się barbarzyńców z pod Hippony Bonifacy, wzmocniony posiłkami z Italii i z Konstantynopola, raz jeszcze przeciwstawił się Genzerykowi, ale został pobity. Ale mimo tych klęsk Wandalowie rychło ulegliby zjednoczonej potędze państwa rzymskiego, gdyby nie intrygi Aecyusza, który po śmierci zbrojmistrza Feliksa nową rozpętał wojnę domową w Italii.

Ażeby poskromić zbuntowanego wodza Placydya powołała Bonifacego (432) z Afryki, czyniąc go wodzem naczelnym

---

[1]) Possidius c. 29.
[2]) C. 31.

całej siły zbrojnej państwa. Bonifacy pokonał swego rywala, ale zmarł wkrótce z ran odniesionych.

Teraz Genzeryk wolną ma rękę i podbija w moc swoją wszystkie miasta w Afryce, wyjąwszy Cyrtę i Kartaginę. Mimo przewagi jednak zawiera sojusz w r. 435 z cezarem, na mocy którego oprócz Kartaginy otrzymuje podobnie jak Burgundowie i Wizygotowie w Gallii całą prawie Afrykę na stałe siedziby. Haracz tylko płacony w naturze wskazywał na luźną jego zależność od państwa rzymskiego.

Ale sojusz ten trwał krótko tylko. „Genzeryk, opowiada Prosper, był w przyjacielskiem porozumieniu z dworem w Rzymie. Cesarz tedy, ufając Wandalom, odesłał Genzerykowi syna Huneryka, który był zakładnikiem sojuszowym. Ale pokój trwał chwilę tylko, bo niebawem król Wandalów bez jakiegokolwiek wypowiedzenia wojny ruszył na Kartaginę w r. 439 i zajął miasto".[1])

Tak Afryka rychło stała się niezawisłem królestwem wandalskiem. Część ziemi rozdzielono pomiędzy wojowników, drugą część dano królowi w posiadanie. Wywłaszczonym zaś Rzymianom pozostawiono dział najgorszy. Niebawem państwo wandalskie ze stolicą Kartaginą na czele, rozciągnęło panowanie swoje od oceanu Atlantyckiego aż po Cyrenejkę.

Ale okrutny Genzeryk, który z żelazną energią łączył dalsze plany na przyszłość, marzył nadto o stworzeniu potęgi morskiej i przybrał sobie tytuł „pana lądu i morza". Wkrótce też flota jego, złożona z organizacyi korsarskich, podbijając w moc swoją wszystkie prawie wyspy ważniejsze, rozszerzyła panowanie swoje nad całem zachodniem morzem śródziemnem. Była to wszelako flota przedewszystkiem korsarska, która trudniła się rozbójnictwem morskiem i pustoszyła brzegi Italii, Grecyi i Illyryi. Złupienie Rzymu w r. 455 przez Wandalów odzywa się dziś jeszcze przeciągłem echem w słowie „wandalizm" i przypomina nam dzikie i bezmyślne barbarzyństwo ludu tego.

---

[1]) Prosper Chronicon t. I. p. 52.

W roku 533, a więc po stu latach istnienia i kwitnącej potęgi dzieło Genzeryka rozpada się w gruzy pod ciosami armii Belizara. Upadek zachodniego państwa rzymskiego pogrzebał też w ruinach państwo Wandalów.

Gorący klimat afrykański i bogactwo kraju i zmysłowa cywilizacya konającego świata rzymskiego rychło osłabiły i ubezwładniły żartkie siły barbarzyńskiego ludu tego. „Ze wszystkich plemion barbarzyńskich, mówi Prokop, najbardziej zniewieściałym stał się lud wandalski. Rozparł się wygodnie w wspaniałych willach i ogrodach i oddaje się rozkoszom pijaństwa i rozpusty". Nic więc dziwnego, że Maurowie coraz śmielej zapuszczają szerokie po kraju zagony, aż po Kartaginę, że kilka tysięcy wojowników w ciągu trzech miesięcy pokonało doszczętnie światowe mocarstwo.

Ale wróćmy już do Aecyusza, drugiego bohatera rzymskiej tragedyi, która rozgrywała się na schyłku historyi państwa rzymskiego.

Po walce z Bonifacym udał się Aecyusz do Panonii w celu zapewnienia sobie pomocy Hunów. Snadź z Hunami łączyły go stosunki przyjacielskie jak przed 9 laty za uzurpatora Jana, gdy zbrojne ich hufce prowadził przeciwko Placydyi i legionom cezara z Konstantynopola.

Przy pomocy też czy za pośrednictwem Hunów, którzy podówczas i z zachodniem państwem rzymskiem przyjazne zachowywali stosunki, on przywrócony został wbrew woli cezara i Placydyi do łaski dworu i otrzymał tytuł patrycyusza rzymskiego i po Bonifacym naczelne dowództwo nad całą siłą zbrojną państwa (*magister militum*). Dwór, przywykły do ustępstw wobec buntujących się raz po raz wodzów z konieczności jakby w przeczuciu krwawego huraganu, idącego ze wschodu, i z dziwną ufnością, że on jeden potrafi poprzez burze wieku ocalić Romę nieśmiertelną, powierza w energiczne i zręczne ręce jego ster skołatanej nawy państwowej.

I Aecyusz nie zawiódł nadziei w nim pokładanych i spełnił olbrzymie zadanie, jakiego domagało się od niego państwo rzymskie i Opatrzność historyi, panująca wypadkom.

Mamy tu na myśli ocalenie państwa rzymskiego i Europy przed najazdem Hunów.

Uprzytomnijmy sobie tylko całą grozę położenia.

Z jednej strony mamy państwo rzymskie, skołatane zamieszkami wewnętrznemi i burzami zewnętrznemi, i Kościół katolicki i cywilizacyę chrześcijańską. W obrębie granic tego państwa osiedliły się ludy i powstały drogą układów państwa teutońskie, wśród których z rokiem każdym rośnie i wzmaga się poczucie jedności plemiennej. Rzymianie odwykli już oddawna od rzemiosła wojennego, legiony rzymskie składały się wyłącznie z żołnierzy germańskich.

Z drugiej strony toczą się rwistym pędem niszczące fale Hunów pod wodzą Attyli, bicza Bożego, wraz z Ostrogotami i Gepidami i innymi ludami, napotykanymi na drodze ku zachodnim krajom Europy.

Na pustym stepie panońskim wśród zbrojnych hufców wojowników huńskich już oddawna krążyły wieści, podawane z ust do ust, o nieprzebranych bogactwach Zachodu, o rozchwianem i skołatanem państwie rzymskiem, o wspaniałych miastach, kapiących od złota. Łupieżną myśl tę i rojenia ludu pochwycił Attyla, który z żelazną energią łączył przezorność i bystrość taktyczną wielkiego wodza, i przetopił ją na wielki plan wojenny, który zmierzał do zbudowania światowego państwa huńskiego na gruzach zachodniego państwa rzymskiego:

Ażeby zaś usprawiedliwić swój najazd na państwo, z którem dotąd w przyjacielskiem był porozumieniu, wysyła poselstwo do Walentyniana z zapewnieniem i prośbą, iż on przychodzi jako przyjaciel i sojusznik Romy, by wziąć w posiadanie dziedzictwo Honoryi, siostry cezara, która mu ofiarowała swą rękę, i wkracza do Gallii tylko po to, żeby ukarać Wizygotów, zagrażających Wandalom.

Przeciwko Wizygotom tedy występuje Attyla jako sprzymierzeniec Wandalów, od Walentyniana zaś domaga się połowy państwa na mocy rzekomego prawa spadkowego. Historya zawsze łojną dłonią rozrzuca różne pozory i okazye i możliwości, z których Attyla, jako zręczny polityk skorzystał,

żeby zrealizować swoje światoburcze plany. Pierwsza racya błaha, druga zwraca się przeciwko polityce Aecyusza, zmierzającej do zniszczenia królestwa Genzeryka, mieniącego się „królem lądu i morza".

Aecyusz bowiem po pacyfikacyi Gallii pchnął Wizygotów przeciwko Swewom i Wandalom, aby Hiszpanię i Afrykę znowu zdobyć dla Rzymu. Król Wizygotów Teodoryk atoli rychło wskutek chwilowego niepowodzenia oręża, przerzucił się na stronę wrogów i połączył związkami krwi ze Swewami i Wandalami, wydając jedną córkę za syna Genzeryka w Kartaginie a drugą za króla Swewów. Tak niespostrzeżenie wytwarza się na Zachodzie groźna liga trzech potęg aryańskich, która w gruncie rzeczy wprost godziła w egzystencyę państwa rzymskiego i Kościoła katolickiego. Plany tedy Aecyusza, starannie przygotowane, zwróciły się przeciwko państwu, któremu on chciał służyć. Na szczęście groźna liga rozbija się rychło o nowy czynnik nieobliczalny. Oto ponury Genzeryk powziął podejrzenie, że młoda synowa knuje zdradę przeciwko niemu na dworze jego i z okaleczałą twarzą odsyła ją ojcu. Następstwem tej zniewagi była nowa koalicya Swewów, Wizygotów i Rzymian, ale tym razem zwrócona przeciwko okrutnemu zdobywcy Afryki, który zagrożony w swojej egzystencyi wzywa pomocy Attyli. W końcu i odłam Franków szuka pomocy u Hunów przeciwko panującej dynastyi Merowingów.

W gruncie rzeczy nie chodziło tu o spory spadkowe, ani tronowe, ani o obronę pokrzywdzonych, ale o odwieczną walkę pomiędzy barbarzyństwem a cywilizacyą, pomiędzy kosmosem a chaosem, Europą a Azyą, chrześcijaństwem i pogaństwem.

Jakiż bowiem cel miał Attyla, dokąd zmierzały zbrojne jego hufce i niszczące fale ludów barbarzyńskich, które przez Ren przedarły się do Gallii? Wnieść rozkiełznanie i spustoszenie do Gallii i Italii, stłumić wyłaniające się z barbaryi młode życie ludów teutońskich, zniszczyć pracę wieków i cywilizacyę chrześcijańską.

Wyobraźmy sobie, co stałoby się z Zachodem, gdyby Attyla był zwyciężył, jaką postać przybrałaby Europa, gdyby

Attyla był zasiadł na tronie w Rzymie lub Rawennie? Co stałoby się z Wizygotami, którzy rzucili fundament pod naród hiszpański, co z Frankami, którzy w średnich wiekach mieli objąć spuściznę polityczną po rzymskich cezarach, co z innymi ludami, które jeszcze przez długie wieki musiały się kształcić w szkole polityki i cywilizacyi rzymskiej, aby się uzdolnić do życia samodzielnego, co stałoby się z Kościołem katolickim, gdyby Attyla był zapanował nad Zachodem?

W świetle tych rozważań dopiero należycie ocenić można zadanie i zwycięstwo Aecyusza na polach katalońskich.

Zwycięstwo Aecyusza miało nie tylko dla państwa rzymskiego i Kościoła katolickiego, ale i dla młodych ludów germańskich, wdrażających się do życia państwowego, dla ukształtowania się Europy i dla cywilizacyi wogóle, doniosłe i decydujące niemal znaczenie.

Teodoryk, król Wizygotów, zrazu nie ogarnął całej grozy położenia, ale Avitus, emisaryusz Aecyusza, wytłómaczył mu jak na dłoni i przekonał, że chcąc ocalić swój naród, winien połączyć się z Rzymianami przeciwko Hunom. Do walki przeciwko wspólnemu wrogowi przyłączyli się nadto Burgundowie i Frankowie.

Ostrogotowie natomiast pod wodzą Walamira, Gepidowie pod dowództwem Ardaryka i Turyngowie, garstka Burgundów, Franków i Swewów walczą po stronie Attyli, ale były to ludy, które przechodziły nieraz dzikością Hunów, nie miały stałych siedzib i były im podległe.

W roku 451 po śmierci Placydyi Attyla na czele olbrzymiej masy zbrojnych hufców i luźnych tłumów posuwając się wzdłuż Dunaju przeprawia się przez Ren i zamienia w gruzy Metz i Reims. Paryż, gdzie młodziutka i bohaterka święta odtrzymuje ducha i ufność ludu, tylko modłom publicznym zawdzięcza swoje ocalenie. Orléans przetrwał grozę i burzę oblężenia, ale tu po raz pierwszy przeciwstawiają się Attyli wojska przymierzonych.

Wielka bitwa odbyła się na rozległych równinach Szampanii w pobliżu miasta Troyes i trwała trzy dni. Podanie nie-

sie, że nikły potok tam płynący, w czasie bitwy wzbierając krwią, leniwym pędem krwawe toczył fale.

W gruncie rzeczy bitwa pozostała nierozstrzygniętą. Obie strony walczyły długo i ciężko, ale bez widocznego rezultatu. Hunów i przymierzonych była moc nieprzebrana, siły natomiast przeciwne były nieduże. Ale zwycięstwo Aecyusza i Wizygotów polegało na tem, że pochód Attyli załamał się i jego nieprzezwyciężoność rozwiała się, że niszczące fale dziczy azyatyckiej cofnęły się.

To fakt, że mała stosunkowo armia Wizygotów i sprzymierzonych stawiła zwycięski opór i powstrzymała nieprzeliczone hufce Hunów i sprzymierzonych. Zwycięstwo rozstrzygnął „patrycyusz Aecyusz, który, jak opowiada Grzegórz z Tours, przez szybkie skupienie około siebie z różnych stron wielkich sił zdołał przeciwstawić masie wrogów równą siłę". I pisarz ten dodaje, „iż do Rzymu dotarło echo *Romam sonus adiit*, że gdy Aecyusz wśród wrogich hufców w największem znajdował się niebezpieczeństwie, żona jego (córka gotyckiego wodza) w lęku i przygnębieniu bezustannie odwiedzała bazylikę św. Apostołów, modląc się, by jej mąż wrócił zdrowo z krwawej tej drogi *de hac via*".[1])

Bitwa była tak zacięta i krwawa, że znalazła, jak lud sobie opowiadał, swoje odbicie na niebie. Gdy bowiem wojownicy w krwawych zapasach potykali się na ziemi, dusze poległych kontynuowały walkę na niebie pod wodzą króla Teodoryka, opromienionego wieczną chwałą obrońcy Rzymu i cywilizacyi.

Upokorzony Attyla, cofając się zburzył Trewir, a następnego roku, uzupełniwszy swoje wojska, ruszył na Italię, gdzie Aecyusz zaniedbał obsadzić przejścia górskie.

Akwilea legła w gruzach, Medyolan i Pawia wpadły w ręce barbarzyńców. Attyla gotuje się już do pochodu łupieżnego na Rzym. Na miasto wieczne pada znowu groza oblężenia i rabunku, mieszkańcy tłumnie opuszczają Italię, nawet cezar w silnie umocnionej Rawennie drży o swój los.

[1]) Grzegorz z Tours II, 7.

W tej groźnej dla państwa chwili papież Leon Wielki podejmuje się pośrednictwa w imieniu Walentynianina III.

Okrutny Attyla dał posłuch słowom męża Bożego „uradowany, jak opowiada Prosper, obecnością Arcykapłana i wydał rozkaz zawieszenia broni i przyobiecał zawrzeć pokój *promissa pace*. Poczem cofnął swoje wojska za Dunaj.

Co przynagliło Attylę do tak niespodziewanego odwrotu? Jeden z współczesnych opowiada, że nagła śmierć Alaryka, pogromcy wiecznego miasta, rzucała cień i tajemniczy lęk na otoczenie Attyli.[1]) Inny kronikarz dodaje „że Bóg zesłał na Hunów głód, zarazę i plagi niebieskie".[2])

Dość, że na skutek poselstwa papieża Leona Wielkiego Attyla w r. 452 cofnął swoje wojska i przystąpił do układów pokojowych. W roku następnym zaś przyszła wieść o nagłej śmierci jego.

Świat rzymski zadrżał z radości, bo teraz dopiero minęło niebezpieczeństwo ponownego najazdu tłumów barbarzyńskich na Rzym i chrześcijaństwo.

Dla dzikich zaś ludów germańskich, żyjących pod jarzmem Hunów śmierć jego stała się hasłem wyzwolenia. Rychło też ludy te skruszyły swe jarzmo i wypierając swoich władców na rozległe stepy nad morzem Czarnem, same wzięły w posiadanie kraje nizinne wzdłuż Dunaju.

Aecyusz, zwycięzca Attyli, i razem z papieżem Leonem Wielkim obrońca zagrożonej przez Wschód barbarzyński cywilizacyi europejskiej, pada w roku 454 z ręki cezara Walentyniana III, a wkrótce po nim i samego cezara dosięgła ręka mordercy.

Teraz już nieodwłocznie pod koniec ma się zachodniemu państwu rzymskiemu, bo z Aecyuszem legł w grobie ostatni rzymianin, który zdołał powstrzymać jego ruinę.

(C. d. n.).

Ks. Leonard Lipke.

---

[1]) Jordanis, Getica c. 42, ed. Mommsen.

[2]) Hydatius, Chronicon, ed. Mommsen. Mon. Germ.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Pierwsza apologetyka polska z XVI wieku.

Marcina Kromera Rozmowy Dworzanina z Mnichem (1551—1554(Wydał Jan Łoś. Kraków 1915. Nakładem Akademii Umiejętności, 8⁰ str. XIV. 449.

Marcin Kromer znany był dotąd w naszej literaturze, jako autor dzieła wydanego r. 1555 w Bazylei p. t. *De origine et rebus gestis Polonorum*, które przyniosło mu ten niezwykły zaszczyt, że sejm publicznie mu dziękował. Natomiast jako teolog nie był wcale znany, bo jego „Rozmowy“ stały się taką rzadkością bibliograficzną, że Akademia nasza z wielkim odszukała je mozołem a profesor Łoś bardzo starannie wydał. Tem większa zasługa, i należyta wdzięczność, że teologia polska odzyskuje po 364 latach pierwsze dzieło apologetyczne, zupełnie nieznane, a tak doskonałe i napisane w naszym języku. Właśnie ta rzadkość bibliograficzna dzieła, a raczej czterech książek — mimo kilkakrotnych wydań i tłómaczenia na języki obce, tj. niemiecki i łaciński, dowodzi, jak bardzo było rozchwytane. Teraz też dopiero można się domyśleć, jak wielki wpływ musiało wywrzeć na ówczesne stosunki kościelno-polityczne w Polsce, czego dotąd nie mógł podnieść żaden z naszych historyków, którzy o reformacyi, a raczej rewolucyi kościelnej w Polsce pisali.

Osobliwego znaczenia nadaje temu dziełu sama chwila ukazania się pierwszej „Rozmowy“ r. 1551 i ogłaszanie następnych

co rok, bez przerwy do r. 1554, bo przez to nabierały one właśnie tego, co dzisiaj aktualnością nazywamy. Trzeba bowiem przypomnieć, że Zygmunt Stary trzymał żelazną rękę na nowatorstwie, którego zgubne skutki widział, nietylko w Niemczech, lecz i u swojego siostrzeńca Albrechta w Prusiech Książęcych. Jeszcze krótko przed śmiercią (1548) wygnał Zygmunt Braci Czeskich z Wielkopolski, a przed tem groził karaniem starostom za niedbałe wykonywanie edyktów, które wydał przeciwko heretykom. Doczekał się tego, że na 2 lata przed jego śmiercią (1546) pomarli dwaj główni reformatorzy niemieccy, Melanchton i Luter, który na łożu śmiertelnem tem się najbardziej trapił, że Sobór trydencki, jak młotem w proch kruszył i kanonami anatemizował pojedyncze artykuły jego nauki, a o nim samym nawet nie wspomniał. Herezya została więc bez głównych wodzów, lecz trzymała ją chciwość na dobra kościelne, których grabież nazywano „reformowaniem“ — i została chęć panowania nad sumieniami poddanych, które protestantyzm dawał w rękę niemieckim książętom, na mocy zasady: „*cuius regio, illius religio*“.

W Polsce otwierała reformacya te widoki wszystkim wielkim panom, a w ślad za tem każdemu szlachcicowi, bo dawała im prawo „reformowania“ w swoich dobrach, tj. zabierania majątków kościelnych i reformowania wiary chłopów poddanych. Pierwszy przykład dali też wielcy panowie, jak Mikołaj Czarny Radziwiłł, który w Wilnie, na Łukiszkach, urządził (1550) luterskie nabożeństwo. Komunię przyjmowano tam siedząco, lecz po komunii dawał książe sute śniadanie, więc przez to dużo osób z Wilna i okolicy na to nowe nabożeństwo zwabiał. — Poddani w jego dobrach, jak w Otyce, musieli przyjąć „luterszczyznę“, a kiedy książe niebawem gust zmienił i przyjął kalwińskie wyznanie, również i poddanym reformował ponownie wiarę. — Tak samo robili inni panowie w tym samym czasie. Stanisław Mateusz Stadnicki „*omnis divini et humani iuris contemptor*“, sprowadził (1550) z Dubiecka głośnego heretyka, Wojciecha z Iłży, który siekierą rozbił cyboryum w parafialnym kościele. Tegoż roku wygnał Mikołaj Oleśnicki Paulinów z Pinczowa, a w klasztorze ich założył szkołę. Nauczycielem zrobił Stankara i tutaj odbył się też pierwszy soborczyk kalwiński (1551).

Tego Stankara sprowadził z Maratrzy do Krakowa Samuel Maciejowski na profesora języka hebrajskiego. Kiedy je-

dnak rektor uniwersytetu Mikołaj Szadek przekonał się, że głosi herezye, został Stankar skazany *ad carceres* do Lipowca. Lecz ułatwili mu ucieczkę możni panowie, bo pogłaskał ich chciwość swojemi *Canones Reformatorii*, w których uczył, że im wolno „reformować“ tj. grabić dobra kościelne. Do tego Stankara jeszcze raz wrócimy.

Zewsząd też spieszyły do Polski różne duchowne „wywłoki“ i „wykapturzone“ mnichy, ufni w opiekę możnych panów i licząc na to, że Zygmunt August, wychowany przez heretyka, trzymał stale na swoim dworze dwóch głośnych heretyków. Co gorsza, wiedzieli, że i niektórzy biskupi trzymali na swoich dworach heretyków, o co nawet z Rzymu monita otrzymali. Zapowiadała się więc sroga burza na rok następny 1551, na który prymas Dzierzgowski zwołał synod do Piotrkowa.

W takiej to dziejowej chwili ogłasza Kromer swoją pierwszą „*Rozmowę Dworzanina z Mnichem: O wierze y nauce Luterskyey*“, i rzuca rękawicę innowiercom książką, pisaną w polskim języku, podczas gdy tamci dotąd tylko po łacinie pisma swoje ogłaszali. Czyni to zaś z otwartą przyłbicą, bo podpisuje się imieniem i nazwiskiem. To zaś ma znaczenie tem większe, że w szranki wstępuje szermierz zbrojny w głęboką naukę, znany już z prac humanistycznych, ogłaszanych w łacińskim i greckim języku, a przytem sekretarz królewski. Wprawdzie to tylko mieszczanin z Biecza, a nie szlachcic, lecz za nim stoją osoby wielkiego znaczenia, a nawet osoba najwyższa, bo sam król.

Marcin Kromer miał wtedy 39 lat, kiedy tę książkę ogłosił, lecz całą młodość spędził na pracy i nauce. — Uzyskawszy stopień bakałarza w Krakowie (1530), pracował w kancelaryi królewskiej, aż wysłany przez biskupa Chojewskiego na nauki za granicę, zyskał w Bolonii doktorat obojga praw i uczył się w Rzymie (1540). Pracował następnie w kancelaryi biskupa Gamrata, a wiemy, że w krakowskim konsystorzu kształcili się wszyscy duchowni prawnicy na całą Polskę. Jeździł następnie Kromer dwukrotnie do Rzymu, wysłany przez Gamrata (r. 1543 i 1544). Następnego roku (1545) towarzyszył królowi do Wilna. Nic więc dziwnego, że go Zygmunt August wysłał do Rzymu, po śmierci ojca (1548), ze złożeniem hołdu papieżowi Pawłowi III. Wiadomo bowiem, że Polska liczyła się do państw lennych św. Piotra, przeto każdy nowy król składał hołd i posyłał świę-

topietrze papieżowi jako lenno. Na co papież zwykle odsyłał królowi kosztowny upominek. — Za powrotem ze Rzymu mianowany został Kromer sekretarzem królewskim w miejsce Hozyusza, który właśnie (1849) został biskupem chełmińskim. Obydwóch łączyła ścisła przyjaźń, jak to jeszcze następnie zobaczymy,

Rok 1549, w którym Kromer mianowany został sekretarzem królewskim, ma doniosłe w dziejach znaczenie. Jest to pierwszy rok panowania Zygmunta Augusta i pierwsze przykre starcie ze stanami, które chciały unieważnić jego małżeństwo z Barbarą. Wyratował króla z tej przykrej sytuacyi Samuel Maciejowski, biskup krakowski i wielki kanclerz koronny, a król zrażony do innowierców, nie tylko oddalił od siebie heretyków, Jana z Koźmina i Wawrzyńca Prasznysza, zwanego Discordia, lecz nadto ponowił (1550) przywilej Jagiełły (1438) przyznający biskupom sądy w sprawach religii. Wszelako tegoż roku umiera Samuel Maciejowski, wielka pieczęć wakuje przez kilka lat, aż ją obejmuje gorliwy katolik Jan Ocieski, a tymczasem rządzi kancelaryą Jan Przerębski, późniejszy prymas, jako podkanclerzy, równie gorliwy katolik, jak Hozyusz i Kromer.

„Rozmowa" pierwsza gotowa była do druku już r. 1550. lecz Kromer, doskonale oceniając ważność tego przedsięwzięcia, posłał rękopis przyjacielowi Hozyuszowi do przejrzenia i prosił, żeby porobił uwagi. Nie przyznał się jednak do autorstwa, lecz udał, że książkę napisał wspólny ich przyjaciel. Hozyusz nie był więc niczem krępowany w krytyce i odsyłając rękopis (13. listopada 1550) zwracał uwagę, między innemi na to, że styl jest rozwlekły (*Asianum dicendi genus*). Jest to wyrażenie wzięte z Plauta i oznaczać może także zaniedbany styl. Ten też zarzut uważałbym za trafniejszy. Kromer bowiem nic nie pisał dotąd po polsku, a wiadomo, że wówczas polscy kaznodzieje nawet kazania pisali po łacinie — i tylko wokabuły polskie tu i ówdzie dodawali w rękopisie. Autor sam też mówi, w przedmowie do czwartej Rozmowy (str. 317): „A niechaj cię nie obraża trudność, jeśli która jest, której się trudno ustrzedz, mówiąc, albo pisząc o rzeczach takich i tak ważnych, a nie bardzo zwyczajnych w języku naszym". — Ważniejszy byłby jednak zarzut, podniesiony przez Hozyusza, że autor przytaczał mnóstwo cytatów z Pisma św. — bo właśnie to samo czynili innowiercy, na po-

parcie swoich błędów. — Skorzystał z tej uwagi Kromer i następnie do niej się stosował, lecz pierwszej „Rozmowy“ już nie zmienił. — Może jednak najtrafniejszy zarzut zrobił Hozyusz, że „Rozmowa“, chociaż pospolitym pisana językiem, nie zawsze stosuje się do poziomu pojęć pospólstwa *(non ad vulgi captum pleraque sunt, quamvis vulgari lingua perscripta)*, tak, że na stu czytelników ledwie może jeden by się znalazł, któryby wszystko rozumiał. Trzeba tu jednak zauważyć, że Kromer nie miał na oku pospólstwa, pisząc te księgi, lecz głównie gmin szlachecki, który — jak to u nas bywa — nowością olśniony, miał nowość za coś mądrzejszego od starej wiary. — Trafnie to autor wyraża (str. 62) „Nam się Polakom i Litwie teraz tych nowinek zachciało, a jako i w strojach, także i w wierze, co inni porzucą, tego my się dopiero imujemy. A z przyrodzenia to mamy, iż na nowiny mrzemy. Acz mam ja nadzieję w panu Bogu, iż jako nas i przodki nasze od przyjęcia wiary krześcijańskiej aż do tych miast, blizko przez sześć set lat, w całości a stałości wiary swej a w jedności kościoła pospolitego zachował, tak i na potomne czasy zachować raczy. Tożci przed stem laty niemało ślachty i zacnych ludzi poczęło się było imować czeskiej wiary, jednak to rychło ustało. Jedno iż niedziwowali się temu król i rada koronna, tak świecka, jako duchowna; nie dali się złemu wkorzenić, niemając względu ani na powinność, ani na zacność. Strzeżono sie pirwej takich i karano je, którzy chcieli wszetecznie wiarą szermować. Nie zasiadali ani obcowali snimi dobrzy a stateczni ludzie; a dziś to sobie za dworstwo mają. A jakoby nie dworzanin ani wyczosany, który około wiary przekwiecać nie umie, albo nie chce. Także panowie dworzanie porzuciliście rycerskie ćwiczenia przodków swoich, a teologiejście się jęli, a przetciwszy książki za dwa albo za trzy grosze, albo też usłyszawszy jedno co na biesiedzie od drugiego, także dwugroszowego doktora, śmiele a upornie o wierze sie gadacie“.

Każdy może pomiędzy liniami w tym ustępie spostrzedz przytyk, dany biskupom polskim za to, że wobec niemieckiej wiary zajęli inne stanowisko, niż to zrobili ich poprzednicy w XV. wieku wobec husytyzmu, chociaż im przywilej krakowski (r. 1438), zdobyty na Jagielle przez Zbigniewa Oleśnickiego, dawał w rękę moc sądzenia i karania heretyków. Dosyć wspomnieć, że Oleśnicki rozgromił pod Grotnikami husycką szlachtę

a interdyktem, rzuconym na Kraków, przerwał układy, nawiązane przez króla z delegowanymi Husytów. — Tak samo biskup poznański, Andrzej Bniński, zdobył szturmem zamek w Zbąszyniu i husyckich wysłańców żywcem kazał spalić. — Nie wchodząc bliżej w kwestyę tolerancyi, nadmienić trzeba, że energii tych biskupów zawdzięcza Polska to, że uniknęła nieszczęścia, jakie sprowadzili Husyci, na Czechy, które zamienili w pustynię. Mimochodem też dodać trzeba, że t. zw. nadreńskie prowincye i Westfalia zawdzięczają to, że pozostały katolickie, tylko orężnej obronie książąt biskupów niemieckich. Albowiem nowatorzy właśnie dlatego nosili nazwę protestantów, że już na sejmie w Spirze (1529) podnieśli protest przeciwko uchwalonej tolerancyi. — Ustęp powyżej przytoczony dowodzi więc, że Kromer zajmował takie samo stanowisko wobec protestantów, jak przyjaciel jego Hozyusz.

Kromer przeznaczył te książki swoje w pierwszym rzędzie dla szlachty a ponieważ typem „oczosanego“ szlachcica był wówczas dworzanin, przeto rozmowy toczą się między „Dworzaninem“, który heretyckich nauk broni, a Mnichem, bo stan zakonny był wówczas najbardziej znienawidzony i wzgardzony. Miarę tego daje sam wstęp, którym Kromer rozpoczyna pierwszą „Rozmowę“. — Przytoczę ten początek dosłownie.

Dworzanin. Słysz, ty licemierniku, Ancykrystów sługo, nieprzyjacielu prawdy i krzyża Krystusowego. — Mnich. Kogo ten woła tak pięknymi przezwiski? — D. Tobie mówię, wilku w owczej postawie, ty w błazeńskim odzieniu, któryś się po błazeńsku ogolił. — M. Ku mnie ten mówi. Musi być człowiek tej nowej wiary, która niedawno w Niemczech powstała. Znać, iż dworzanin. Pójdę przedsie, jakoby nie bacząc, abych guzu nie dostał, bo za takim gromem rad piorun bije. — D. Mnichu, mnichu! — M. Ozwę mu sie. Wszak mnie nie zje. A, mnie wołasz, dobry panie? — D. Jakoby nie słyszał, albo nierozumiał! — M. Dziwnemi mnie imiony krzcisz, a nic nie więzujesz. — D. Wej mnicha! Brałby. Owa kiedybyć kto co wwiązał, przekrzciłby sie i zrzuciwszy tę błazeńską kapicę, ze wszystkiemi zabobony licemierniczymi, przyjąłbyś ewangelią. — M. Czemu nie? — D. Owoć łakomstwo panuje. — M. Niewiem, komu więcej panuje: mnieli, który na swej kapicy przestawam, czyli tym, którzy dla tego, żeby niedawać, co czyje jest, albo i cudze brać, od wiary i świę-

tych obyczajów i ustaw przodków swych odstępują. — D. Nie wiem, kto taki. — M. A za nie ci, którzy sie tej nowej ewangeliej jęli, aby kościoły złupili, księżą uciskali, dziesięcin nie dawali, czynszów niepłacili, role, łąki, wsi kościelne odejmowali?" (str. 5).

Dworzanin odpowiada na to, że katoliccy panowie „waszy bożkowie niektórzy, którzy obrazy liżą" — to samo robią, w czem widzi dowód, że stan duchowny źle dóbr kościelnych używa. — Na to daje Mnich ciętą odpowiedź, że i stan szlachecki nie pełni obowiązków swoich. „Już wam też barzo miecze i groty pordzewiały". — „Mógłbychci ja też przypomnieć wasze i waszych żon łańcuchy, bramy, rzezanie, sznurkowanie, pirze, durkowanie, haftowanie, gry, psy i inne stroje, marności i utraty, Nie z nabożeństwać też pochodzi, iżeście nam drwa zdrożyli. A jednak ja tego wam, wszem wobiec nieprzypisuję. Jest wiele cnych, dobrych i statecznych dworzanów i rycerzów, którzy nie winni za złe a niestateczne cierpieć. Także by też panowie dworzanie o księżej rozumieć mieli. Ale stara przypowieść: kto w piecku lega, ten drugiego ożogiem maca. — D. Ale my wżdy swe utracamy, wy ubogich parteke (cząstkę), a pot naszych poddanych. — M. Tenże wy też pot utracacie. A jużeście je tak ucisnęli i udręczyli ciężkimi a ustawicznymi robotami i winami, iż musi się Bóg nad wami, za ich wzdychanim i płaczem, ich krzywdy pomścić" (str. 7).

Dzisiaj, po 365 latach, czyta się to, jak historyczne wspomnienie, ale wówczas, kiedy ta „Rozmowa" ogłoszona została drukiem, czytało się to całkiem inaczej, a wrażenie musiało być tem większe, że tak śmiało i bez ogródki pisał sekretarz królewski. Przytem przewracał na nice całą naukę reformatorów niemieckich z taką bezwzględnością a z taką znajomością ich literatury, że musiało to wywołać zdumienie. Krok za krokiem przechodzi Kromer sporne kwestye i artykuły wiary, które reformatorzy uczą inaczej, niż kościół katolicki, lecz równocześnie wykazuje, ze nietylko sami między sobą się różnią i kłócą, ale że nawet o jednem i tem samem rozmaicie każdy z nich uczy. Tak n. p. Luter raz dowodzi (w dyspucie lipskiej), że nietylko wierzy, ale nawet wie, że jest czyściec, a następnie dowodzi, że go wcale niema: „dziś tak uczy, jutro inak; co dziś stanowi, jutro kazi; a co skaził, to zasie buduje".

Wykazuje dalej Kromer, że niezgoda we wierze doszła do tego, że „niema dwóch miast w Niemczech, któreby się w wierze zgadzały“ — a nawet niezgoda idzie tak daleko, że „w jednym mieście inaczej uczą u jednej, inaczej u drugiej fary uczą“ (str. 33). Takich sprzeczności przytacza całe mnóstwo i na to cytuje dzieła protestanckie, a co ważniejsza, wykazuje, że w wyznaniu augsburskiem (1530) ogłosili artykuły swojej wiary, a każdy inaczej je wykłada.

Jest to świetnie napisane dzieło teologii polemicznej i musiało zrobić niesłychane wrażenie. Jednakże słusznie zauważył Hozyusz, że autor za mądrze napisał. Trzeba bowiem doskonale znać historyę tych obrzydliwych kłótni i sporów, jakie w Niemczech się toczyły pomiędzy „reformatorami“, żeby podążyć za autorem i wiedzieć, kogo rozumie przez: Munsterskich doktorów, Norberskie ustawy, szkołę Krolewiecką; kto są: Pikarci, Kielisznicy, Szwermerowie, Sakramentarze, Ozyandryste, Illirycyanie itd. Można jednak sobie tłómaczyć, że to wszystko było wówczas jeszcze w świeżej pamięci, ze społeczeństwo polskie tem się zajmowało bardziej, niż dzisiaj po półczwarta wieku, kiedy cała ta „reformacya“ poszła pomiędzy rupiecie i nikt się już o te sporne kwestye nie kłopoce. Przy tem dodaje autor swojej polemice pieprzyku tem, że ją przeplata aluzyami do stosunków w Polsce panujących, jakeśmy to już poprzednio widzieli i że wspomina pisma polskich nowatorów. Tak n. p. czyni aluzyę do Stankara i pisze (str. 51): „Na tym też gruncie i Włoch niejaki, nie wiem co jest, mnich zbiegły czyli żyd, błędy swoje sadzi... A wżdy są ci ludzie u nas w Polszcze, którzy takiego z inąd od mądrych i dobrych ludzi wygnanego, foldrują i mało nie na ręku piastują, nie dlaczego innego, jedno, iż się z Kościołem pospolitym nie zgadza, którym nie dostawało by tak rozumu i śmiałości, by nie kościelne dobra“.

Dworzanin wreszcie mówi: „już mi się tak pomieszało w głowie, że nie wiem, czego się dzierzeć“ — na co odpowiada Mnich: „ukażę ja tobie, czego się masz dzierzeć, a nie zbłądzisz“. Zmawiają się więc nazajutrz na godzinę dwunastą (szóstą po południu) w „kruczganku“ kościoła, a Dworzanin żegna Mnicha grzecznie; „Bodaście zdrowo spali“ (str. 75).

Kromer dotrzymał obietnicy, bo następnego r. (1552) wydał drugą rozmowę p. t. „Czego się krześciański człowyek dzyerzeć

ma. Mnicha z Dworzaninem Rozmowa wtora" (str. 78—170). Rozmowa ta jest przeszło dwa razy dłuższa od pierwszej, ale za to też daleko przystępniej napisana. Wychodząc z tego, że słowo Boże jest gruntem zbawienia, wywodzi autor że pismo św. do tego samo nie wystarcza, że niezbędna jest tradycya i urząd nauczycielski Kościoła, który sam ma Ducha św. i moc tłumaczenia słowa Bożego, ustanawiania i zmieniania tego, co zostało postanowione. To wszystko popiera nawet dowodami z pism samych reformatorów. Dworzanin, powołując się też na to, iż Luteranowie i drudzy kacerzowie zgadzają się na to, że kościół prawdziwy nie błądzi, jednakże dodaje: „ale gdzie ten kościół, tu sęk" — albowiem oni też sobie je przywłaszczają. — Dlatego Mnich obiecuje następną Rozmowę o kościele. — Wyszła też następnego r. 1553 p. t. „O kościele Bożym albo Krystusowym. Mnicha z Dworzaninem Rozmowa trzecya" (str. 172—313).

Ta trzecia Rozmowa jest najdłuższa i może najstaranniej napisana, dlatego, że i polscy nowatorzy na ten temat już pisma ogłosili. Kromer uniewinnia się nawet w przedmowie: „a niechaj się tym nikt nie obraża, iż się nieco greckich słów a polskich niezwyczajnych i też filozofiej wtaczało. Za potrzebą się to działo a nie z wszetecznosci albo bucenia jakiego" (str. 173). — Hozyusz przeglądał rękopis i odesłał (13. kwietnia 1553) porobiwszy uwagi.

Autor dowodzi prawdziwości kościoła powszechnego czterema znakami, które go znamionują. Przechodzi więc najpierw krytycznie te znaki prawdziwości, które wymieniali heretycy, a między innemi i te, które podał Jan Łaski w swojej książce o kościele. wydanej w Londynie r. 1551. O tych trzech znakach mówi Kromer że są „mym zdaniem, sprostniejsze a niepewniejsze, niźli ony dwa Luterskie acz poniekąd ktemuż się ściągają". Rozbiera przytem ustrój hierarchiczny kościoła i pojedyncze stopnie aż do papieża, o którym Dworzanin twierdzi, że jest jeden „z pięciu patryarch" i nie ma większej władzy, lecz ją sobie „dekretalmi" przywłaszczył (str. 272). Mnich natomiast wywodzi, że papież jest „namiestkiem a porucznikim Krystusowym" — i daje doskonały wywód historyczny ustanowienia i potrzeby prymatu.

Czwarta Rozmowa była gotowa do druku r. 1553, a Hozyusz odesłał rękopis 14. września t. r. Wyszła więc prawdopodobnie już na początku 1554 r. p. t. „O nauce Kościoła świe-

cego. Dworzanina z Mnichem Rozmowa czwarta y ostateczna. W Krako. przez Lázárzá Andryso. Liiii". — Naukę Kościoła powszechnego przyrównuje autor do kłębka Aryadory, który Tezeusza z labiryntu wyprowadził — i daje wykład jasny i prosty urzędu nauczycielskiego Kościoła, naukę o soborach, nieomylności papieża (str 383), przyczem zbija zarzuty przeciwko tejże nieomylności z historycznych zdarzeń przytaczane.

Charakterystyczna jest przepowiednia, którą przepowiedział Kromer (str. 414) „tak wielki roztyrk i tak wiele wiar się narodziło, iż się trzeba bać, aby na koniec, porzuciwszy karność kościelną, i pana Krystusa nie porzucili". — Wiadomo że przepowiednia ta spełniła się już dosłownie, bo w „dogmatycznego Chrystusa" nie wierzyli już dawno, a teraz nawet przestali wierzyć w „historycznego Chrystusa", bo istnienie jego zaliczyli między legendy.

Kromer przestrzega też ziomków swoich, żeby się nauki Kościoła trzymali, nie oglądali się na takich, którzy „o każdej rzeczy mądrze świegecą, jako kiedy w nadętą macharzynę trzy ziarna grochu włoży", — lecz żeby słuchali takich, którzy „w zakonie Pańskim rozmyślają spokorą a nie nadętą pychą, których rozsądkowi ja też wszystkie rozmowy tu poddawam". —W końcu dodaje: „Wyszły teraz księgi pod imieniem Synodu naszego polskiego, po łacinie napisane, barzo pożyteczne ku czytaniu w tych niniejszych zabiegach i gadkach i wątpliwościach około wiary i sprawy zakonu naszego krześcijańskiego. Tam cie biskupi nauczą, czego ci tu Mnich niedouozy" (str. 317). Autor ma tu na myśli Hozyusza *Confessio fidei*, której właśnie wtedy (r. 1553) wyszły dwa pierwsze traktaty, lecz całość wyszła dopiero po 4 latach (1557) w Moguncyi.

Powstanie tego wiekopomnego dzieła, którego jeszcze za życia Hozyusza wyszło 30 wydań, wiąże się ściśle z „Rozmowami" Kromera. Dosyć tu będzie wspomnieć, że podkanclerzym był wtenczas X. Jan Przerębski, a sekretarzem Kromer, obydwóch więc łączyły ścisłe stosunki, tak że Przerębski musiał wiedzieć o przygotowującej się do druku pierwszej „Rozmowie". Równocześnie był Przerębski administratorem dyecezyi krakowskiej, po śmierci Samuela Maciejowskiego († 1550) i on też zwołał (27. listopada 1550) kapitułę i uniwersytet na naradę, na której ułożony został ów pamiętny memoryał, jakiego świat katolicki

nigdy pierwej nie widział (Acta hist. T. I. p. 477, 39). Nazwano go rewolucyą duchowieństwa przeciwko episkopatowi, lecz rewolucya opierała się na gruncie zasad katolickich, o które ówcześni biskupi polscy nie wszyscy się troszczyli. Tymczasem właśnie wtedy (1551) groźna zapowiadała się burza. Mówiliśmy już, że heretycy zwołali nawet (1551) pierwszy zborczyk do Pińczowa, a sejmiki odbywające się w kwietniu 1550, grzmiały od inwektyw na duchowieństwo. W takiej sytuacyi zbiera się synod w Piotrkowie (1551), zwołany przez prymasa Dzierzgowskiego i biskupi muszą kolejno, pod przysięgą, odpowiadać na szereg pytań (30) ułożonych przez kapitułę krakowską n. p. czy wyznają wiarę katolicką, czy heretyków i książek ich u siebie nie przechowują? Synod idzie dalej, bo żąda nawet, żeby biskupi nietylko składali wyznanie wiary, lecz przysięgali na to, że wierzą z kościołem we wszystkie sporne kwestye, które były przez nowatorów poruszane. Te kwestye układa Hozyusz i biskupi składają na nie wyznanie wiary. Synod polecił Hozyuszowi, żeby do tych pytań napisał objaśnienia, a następnie dał mu polecenie, żeby napisał wyznanie wiary katolickiej, z uwzględnieniem tych właśnie kwestyi spornych. Tak powstała *Confessio fidei*, a ten który stał w ukryciu, lecz był potężną tego ruchu sprężyną, którego pierwsza „Rozmowa" właśnie r. 1551 wyszła, Marcin Kromer, otrzymał od króla szlachectwo (1552).

Do tej nagrody, zdaje się, czyni też aluzyę, na końcu drugiej Rozmowy, która wyszła r. 1552, bo Dworzanin mówi: „A ja się też za tę pracę wdzięcznym przeciw tobie okażę". — M. odpowiada: „Nie trzeba. Bóg to zapłaci. Acz ja z powinności to czynię" (st. 170).

Zapłacił Bóg Kromerowi tem, że „Rozmowy" jego, pisane po polsku, poszły pomiędzy duchowieństwo parafialne, dla którego wówczas nie było jeszcze seminaryów, a wykształcenie teologiczne stało na bardzo niskim poziomie. Można też bez przesady przypuszczać, że gruntowna ta jego praca, przyczyniła się do tego, że nuncyusz Lipomani, który już uważał Polskę za straconą dla Kościoła (1555) przekonał się, że duchowieństwo parafialne stało zwartym szeregiem, wiernie przy Kościele. — Może też właśnie dlatego stały się te „Rozmowy" taką bibliograficzną rzadkością, że się kryły po plebaniach.

X. Wł. Chotkowski.

Z piśmiennictw obcych.

Deutsche Kultur, Katholizismus und Weltkrieg. Eine Abwehr des Buches „La Guerre Allemande et le Catholicisme". In Verbindung mit G. Briefs, G. J. Ebers, M. von Faulhaber, H. Finke. H. von Grauert, K. Hoeber, F. X. Kiefl, A. Knöpfler, P. Lippert, J. Mausbach, A. Meister, K. Muth, A. Pieper, H. Platz, J. Sauer, F. Sawicki, J. Schmidlin, H. Schrörs, W. B. Świtalski herausgegeben von *Georg Pfeilschifter*, Professor der Theologie an der Universität Freiburg i. Br. gr. 8-o Elftes bis dreizehntes Tausend. (VIII u. 494 S.) Mk. 5.

Dwudziestu uczonych katolickich złożyło się na pomnikowe dzieło, pomyślane jako apologia katolicyzmu w Niemczech. W stosunkowo krótkim czasie, bo w przeciągu kilku miesięcy, powstała ta nadzwyczaj ciekawa i gruntowna książka staraniem założonego w sierpniu 1915 r. „Wydziału dla obrony niemieckich i katolickich interesów w czasie światowej wojny". Wydanie tej zbiorowej „obrony" spowodowała literacka ofenzywa katolików francuskich przeciw niemieckiej kulturze, podjęta przez „Katolicki komitet francuskiej propagandy zagranicznej" *(Comité Catholique de Propagande Française à l' Etranger)* w dziele: *„La Guerre Allemande et le Catholicisme", ouvrage publié sous la direction de Mgr. Alfred Baudrillart, recteur de l' Institut Catholique de Paris*, w kwietniu 1915 r. Wprawdzie na oskarżenia francuskie odpowiedziano odrazu ze strony katolików niemieckich „memoryałem" oraz gruntowną repliką prof. Rosenberga: *„Der deutsche Krieg und der Katholizismus"* (Berlin 1915, Germania), w której na sformułowane w siedmiu rozdziałach zarzuty francuskie dano przeważnie na dokumentach opartą, i w chrześcijańskim na wskróś tonie utrzymaną odpowiedź, — ale nie można było poprzestać na odparciu tylko ataku francuskiego. Zarzuty podniesione przez komitet katolicki francuski, składający się nie z podrzędnych i prywatnych tylko osobistości, ale z oficyalnych przedstawicieli katolickiej Francyi, mianowicie 2 kardynałów, 9 biskupów, licznych członków Akademii francuskiej i innych naukowych korporacyi — tak były bolesne i krzywdzące, że uczony świat katolicki w Niemczech, wyraźnie zaatakowany pod względem stanowiska swego wobec Kościoła, uważał obszerniejsze apologetyczne usprawiedliwienie katolicyzmu w Niemczech za obowiązek

wprost honorowy. Francuskie oskarżenia streszczają się w tezie, że Niemcy są w teoryi i praktyce wrogami katolicyzmu, a częstokroć i całego chrześcijaństwa oraz, że wojnę obecną pojmują i prowadzą jako wojnę na zabój przeciw katolicyzmowi i chrześcijaństwu. Na dowód tego wskazują autorowie francuscy nie tylko na rzekome okrucieństwa w prowadzeniu wojny, ale nadto na zasadnicze, często ateistyczne i pogańskie poglądy niektórych duchowych przewodników narodu niemieckiego, a więc jego filozofów, myślicieli i uczonych. Barbarzyństwo niemieckiego wojska,— tak zarzuca Bernard Gaudeau w rozdziale: *Les lois Chrétiennes de la Guerre*, — wypływa z filozofii, którą przeczy wszelkim chrześcijańskim zasadom prawa i moralności i osadza na tronie brutalną swawolę i siłę, co więcej, stawia na miejscu Boga „ubóstwioną jaźń niemieckości". Moralność wojsk niemieckich nosi na sobie, według zdania Fr. Veuillota, piętno „antyreligijnego sadyzmu" i „szatańskiej nienawiści". Katolicyzm natomiast nie posiada w Niemczech potrzebnej energii i żywotności, aby módz się oprzeć antychrześcijańskiemu prądowi niemieckiej kultury i spowodowanemu przezeń „wykoślawieniu ducha i serca". Oto próbka francuskich zarzutów, którym autorowie „Obrony" przeciwstawiają dorobek kulturalny i polityczno-społeczny katolicyzmu w Niemczech, zadający kłam niesprawiedliwym insynuacyom.

Na wstępie kreśli prof dr. Mausbach niejako program całego dzieła, rozpatrując spokojnie i wnikając w psychologię narodowych waśni *„literackie wypowiedzenie wojny francuskich katolików"*. Po tym wstępie rozwija radca dworu i prof. uniw. Fryburskiego, dr. H. Finke temat zasadniczy: *„Uprawnienie i konieczność światowej wojny"*, a prof. uniw. w Bonn, Dr. H. Schrörs odpowiada wyczerpująco na pytanie: *„Czy wojna obecna jest wojną religijną?"*

W ściślejszym związku z genezą i uzasadnieniem tej wojny omawia radca dworu i prof. uniw. w Monachium, dr. H. v. Grauert: *„Światowe panowanie Niemiec"*, przy czem na podstawie rozległej swej historycznej wiedzy dochodzi do wniosku, że obecne Niemcy nie dążyły nigdy do wszechwładztwa światowego, jakie im wrogowie ich przypisują. Uzupełnia to studyum Dr. Briefs z Fryburga w pracy: *„Państwo, polityczna wolność i militaryzm w Niemczech"*. Inne rozprawy odnoszą

się do poszczególnych punktów oskarżenia, jak artykuł prof. uniw. i dr. praw Ebers'a z Monasteru: „*Neutralność Belgii i jej zniweczenie*", — praca bardzo sumienna, oparta na faktach i dokumentach, lub rozdział: „*Wojna a kłamstwo*" z pod pióra prof. uniw. w Monasterze, dr. A. Meistera, albo wiążący się z poprzednim tematem traktacik p. t. „*Psychologia wieści o okrucieństwach*", którego autorem jest prof. uniw. w Brunsberdze, dr. Władysław Świtalski. Znamiennem zwłaszcza dla charakterystyki namiętnego patryotyzmu katolików francuskich jest zestawienie „*niemieckich i francuskich listów pasterskich podczas wojny*", dokonane przez radcę dworu i prof. uniw. w Monachium, dr. A. Knöpflera, znanego historyka. Najobszerniejszym referatem jest ustęp dziewiąty: „*Sztuka i miejsca święte na wojnie*". Prof. uniw. w Fryburgu, dr. J. Sauer, poddaje w nim dokładnemu roztrząsaniu liczne tendencyjne oskarżenia niemieckich wojsk o rozmyślne i systematyczne burzenie kościołów i pomników sztuki. Sumienne zbadanie wydarzeń w Lowanium może uchodzić za wzór spokojnego i beznamiętnego sprawdzania faktów. Arcydziełem pod względem gruntowności i ścisłości ujęcia jest rozprawa prof. gimn. Dr. Platza w Düsseldorfie, w której analizuje „*francuską i niemiecką walkę przeciw Kościołowi* (= Kulturkampf) *w swych przyczynach i skutkach*. Nagromadził tu autor olbrzymi materyał na 27 stronach bez uszczerbku dla przejrzystości. Do najpiękniejszych ustępów całego dzieła zaliczyć trzeba pracę ks. prałata, dr. Kiefla z Ratysbonu, wyświetlającą wzajemny stosunek „*katolicyzmu i protestantyzmu w dzisiejszych Niemczech*". Kiefl wskazuje na zasadniczą zmianę, która od czasu kulturkampfu zaszła w łonie protestantyzmu, i która pod względem irenicznym spowodowała doniosłe w stosunkach międzywyznaniowych następstwa, w szczególności korzystniejszą ocenę katolicyzmu ze strony koryfeuszów protestanckiej teologii. Pokrewny temat, ważny i trudny, obrobił Dr. Karol Hoeber z Kolonii, wykazując w artykule: „*Państwo, cesarz i równouprawnienie*", że państwo niemieckie opiera się na zasadzie równouprawnienia wyznań, które też cesarz otwarcie i szczerze uznaje.

Szereg zasadniczych i poglądowych rozpraw, nie mających tyle charakteru polemicznego, ile znaczenia kulturalnego, przedstawia imponujący obraz żywotności katolicyzmu w Niemczech Należą do tej kategoryi prace następujące: „*Cześć Boża w na-*

rodzie niemieckim", przez ks. Lipperta T. J., „*Nasza kultura religijna*" przez biskupa ze Spiry, dr. Faulhaber'a, „*Duszpasterstwo i życie religijne w wojsku niemieckiem*" przez prof. uniw. w Fryburgu, dr. Pfeilschifter'a, „*Niemiecka kultura socyalna*", przez prałata Dr. Pieper'a, generalnego dyrektora „Volksverein für das kath. Deutschland, „*Niemcy katolickie a misye wśród pogan*" przez prof. uniw. w Monasterze, dr. Schmidlin'a. Wynika z tych prac jasno, że religijności i moralności narodu niemieckiego nie można mierzyć według teoryi filozofów, na których opierają Francuzi swoje zarzuty. Zresztą nietylko w Niemczech, ale niemniej we Francyi i Anglii, jak wogóle wszędzie, gdzie nowożytna kultura się rozpostarła, znajdujemy też ducha antychrześcijańskiego w literaturze i w życiu. Każdy kraj ma właściwe sobie źródła niewiary i niemoralności. Jeśli francuscy katolicy upadek chrystyanizmu we Francyi chcą przypisać ujemnemu wpływowi niemieckiej filozofii, to nie powinni też zapominać, że Niemcy były dla francuskich myślicieli nie tylko nauczycielami, ale też ich uczniami. Wykazuje to w trafnem studyum: „*Filozofia niemiecka a światowa wojna*" — prof. dr. Sawicki z Pelplina, udowadniając zarazem, że nie można bez oszczerstwa zarzucić filozofii niemieckiej, że podcina podstawy moralnego życia.

Dzieło, któreśmy omówili, ma trwałą wartość, bo zasadza się na przedmiotowym materyale faktów oraz spokojnych i dojrzałych refleksyach. Bezsprzecznie przebija się tu i ówdzie dążność do usprawiedliwienia nieuniknionych gwałtów na wojnie, ale ta obrona nigdy nie wychodzi poza słuszną miarę, nie zaprzecza rzeczywistych wad i win, a przedewszystkiem wystrzega się wszelkiego samochwalstwa. Apologia ta może w niektórych szczegółach jest zbyt pobłażliwa i nieco jednostronna, — na ogół jest słuszna i chlubnie świadcząca o żywotności i sile katolicyzmu w Niemczech, a przemawiają tu głównie czyny.

Dzieło ukaże się w tłumaczeniu angielskiem, francuskiem, holenderskiem, włoskiem, portugalskiem i hiszpańskiem.

Jedną z najpiękniejszych zalet tej zbiorowej pracy stanowi pełen godności spokój, którego autorowie przestrzegają, nie uchybiając nigdy dobremu tonowi, jaki powinien być cechą mężów nauki wogóle, a uczonych katolickich w szczególności.

Ks. E. Matzel.

Unsere Lebensideale und die Kultur der Gegenwart von *P. Dr. I. Chrys. Schulte O. M. C.* Freiburg im Breisgau 1914. Herdersche Verlagshandlung.

Najżywotniejsze i najaktualniejsze zagadnienia z dziedziny religijno-moralnej, społeczno-gospodarczej, naukowej i pedagogicznej ujmuje autor w powyższem dziele, będącem zbiorem odczytów, które miał w różnych miejscach i porach dla wykształconej publiczności.

Każdy z tych siedmiu odczytów stanowi odrębną całość, omawiającą poszczególne kwestye wymienionych zagadnień, ale wszystkie łączą się harmonijnie, dając pełny obraz duchowego życia współczesnego z nurtującemi je prądami wątpliwości religijnych, bolączek społecznych, zawikłań etycznych, niespokojnych rwań serca do ideałów ogólno ludzkich, udręczeń w poszukiwaniu nowych dróg i środków. — Prócz tych bolesnych i burzliwych, ale wielkich i szlachetnych zmagań się ducha, znajdujemy w tym obrazie, który autor rzuca na ekran umysłowy przed oczy czytelnika, cienie pełzających, przyziemnych ludzkich małostek i nędzot: lenistwa, złośliwości, ciasnoty pojęć i t. p. hamulców w dążeniu do szerzenia panowania królestwa Bożego na ziemi.

Mimowoli nasuwa się myśl, że jednym z tych hamulców jest dziwny wstręt, który okazuje na ogół społeczeństwo do książek w rodzaju omawianej tu właśnie. Doprawdy ma się nieraz wrażenie, że bardzo duża, zbyt duża część naszej inteligencyi to dzieci w dojrzałych ciałach, którym trzeba obrazkowej, błyskotliwej szaty zewnętrznej, a bardzo uperfumowanej treści, aby zechciały przyjąć jakąś poważniejszą myśl z literatury. A zaznajomienie się z tego rodzaju lekturą wpłynęłoby na pogłębienie sądu o stosunkach społecznych. Autor omawianych tu rozważań (szczegółowy przegląd treści każdego rozdziału umieszczony na początku książki, ułatwia w zoryentowaniu się czytelnika w bogatym i różnorodnym materyale dzieła) ujmuje je ze stanowiska myśliciela katolika, który, przetrawiwszy gruntownie i bezstronnie znajomość zawiłych stosunków na wielkiej arenie światowej, umysłem oświeconym wiarą, uzbrojonym nauką, posługującym się logiką i krytyką, uwydatnia konieczność pracowania w duchu Chrystusa na każdem polu działalności ludzkiej, od najwyższych do najzwyklejszych. Jasnem,

rzeczowem, a wielkoduszną tolerancyą owianem przedstawieniem swych myśli zasadniczych przyczyni się zapewne Dr. Schulte do ułatwienia niejednemu umysłowi tej wcale niełatwej i uciążliwej pracy, jaką jest wytrwałe dążenie do światła, poprzez wszystkie zasadzki i przeszkody doczesnego życia. *Zofia Korczyńska.*

An Autobiography. *Theodore Roosevelt.* London, Macmillan. 1913, str. XII, 647.

Od r. 1914 wypadki następują po sobie tak szybko, że obecna recenzya może wydawać się spóźnioną, a o książce samej sądzićby można, że odnosi się ona do bardzo odległych czasów. Wyjawia nam ona jednak charakter wybitnego, żyjącego obecnie męża, z którym Europa może mieć jeszcze do czynienia i to wcale nie w dalekiej przyszłości. Odsuwając na bok niektóre wybitnie naiwne, lecz zarazem bardzo amerykańskie przykłady polecania samego siebie — jak np. rozmaite „poświadczenia" odwagi i zdolności Roosevelta w wojnie hiszpańskiej (Dod. do roz. VII) — mamy przed sobą życie człowieka poważnego i bezinteresownego, który będąc reformatorem niezmiernie licznych nadużyć i surowym bojownikiem moralności, jest pełen zdrowego rozsądku, i ani nie jest utopistą, ani człowiekiem niepraktycznym.

W krótkiem omówieniu niemożemy dostatecznie roztrząsnąć książki o 631 stronach wielkiej ósemki: lecz przynajmniej możemy zwrócić uwagę na kilka najwybitniejszych cech charakterystycznych Roosevelta, jak on sam nam je pokazuje. O jego zamiłowaniu do szportu i „polowania na grubą zwierzynę" nietrzeba chyba wspominać, powszechnie są one znane: lecz dodać należy, że pochodziły one ze świadomego postanowienia człowieka delikatnej budowy i o krótkim wzroku, by w ćwiczeniach na wolnem powietrzu szukać zdrowia. Zdaje się, że ojciec jego, „człowiek najlepszy, jakiego kiedykolwiek znał", troszczył się więcej o jego wartość moralną, niż o jego zdrowie i siły. „Domagał się on tego samego poziomu czystości życia od swych synów, co i od córek" i „niechciał przyznać, by to, co jest złem u dziewczyny, mogło być dobrem u chłopca". To daje nam klucz do dalszej karyery Roosevelta. Możnaby tu wyrazić pewne zdziwienie nad stanem społeczeństwa, w którem człowiek, wyznający takie zasady, nie stał się — jak to mogłoby się zdarzyć w nie-

których innych społeczeństwach, chełpiących się ze swego chrystyanizmu — przedmiotem ogólnego pośmiewiska i wzgardy. Prawda, niebyła to tylko moralność, lecz twarda jak dyament odwaga, której dał dowody w swych pierwszych walkach z miejscowem zepsuciem: jego opowiadanie o tem (str. 83), jak odłamana od stołka noga była mu raz pożyteczną w debacie z ludźmi przywykłymi do „bijących" argumentów, jest pod tym względem charakterystyczną. Lecz poza walką z siłą brutalną, musiał często demaskować hypokryzyą. Interesującym jest ten ustęp (str. 89) gdzie z oburzeniem przytacza decyzyą trybunału przeciwko prawu, które reformując hygienę mieszkaniową, rzekomo ograniczało „uświęcony wpływ domu"; domu, składającego się z jednej izby, w której „spały, jadły i pracowały dwie rodziny i stołownik"! Niemniejszem jest oburzenie R. na pełne hypokryzyi zachowanie się tych, którzy udają, że nie szukają urzędów. Czego on sam na urzędach nie szukał, i wiedział, że nie szuka, to siebie samego. Lecz cały system rządowych posad był zepsuty panującym w Stanach Zjednoczonych zwyczajem, dawania je nie za zasługi, lecz za usługi polityczne. Od początku R. odczuwał dotkliwie niesprawiedliwość wyrzucania dobrych urzędników wyłącznie dlatego, że stronnictwo jego poniosło klęskę, a łupy przypadały zwycięzcom; i gdy został prezydentem, usunął tę praktykę, do czego nikt inny przed nim nieposiadał dostatecznej siły. Lecz od komisarza policyi nowojorskiej do rządcy tego miasta; od pułkownika w wojnie hiszpańskiej, gdzie odznaczył się na czele swych „dzikich jeźdźców" (Rough Riders), — do wiceprezydenta a następnie dwukrotnie prezydenta, znachodzimy ten sam, nieprzerwany ciąg walk: przeciwko wymuszaniu i przekupstwu policyi, przeciwko domom zepsucia i jaskiniom gry, przeciwko działaniu wszechpotężnemu Tamany Hall — przyczem zasługa jego była tem większą, że klika ta potężna stanowiła podporę jego własnego stronnictwa — przeciwko nadużyciom kapitalistów, bezprawiom i wyuzdaniu anarchistów; a na korzyść rolnictwa: zalesienie wielkich obszarów kraju, i nawodnienie jałowych stepów dzikiego zachodu. Takie były ustawicznie jego cele. Metoda w dążeniu do nich polegała na tem, by jak sam się wyraża „obiecywać mało, lecz wiernie dotrzymywać każdej obietnicy; mówić łagodnie, lecz nosić gruby kij".

Sam szczery protestant, mimo to cieszy się przyjaźnią li-

cznych księży katolickich, między którymi wymienia księdza Doyle i Curran, a nienawiścią do handlarzy białemi niewolnicami z pewnością im dorównuje. W końcu jeszcze jeden godny zanotowania szczegół, który R. opowiada odnośnie do wojny hiszpańskiej; niewymaga on komentarza, chociaż wielu niełatwo mu uwierzy. Oświadcza tam: „podczas całej tej służby wojennej, nie padło przy stole oficerskiem ani jedno słowo nieprzyzwoite lub nieczyste; mówię to w znaczeniu dosłownem".

M. Dziewicki[1]).

Dictionnaire d' archéologie chrétienne et de liturgie, publié parle R-me dom *Fernand Cabrol* abbé de Farnborough avec le concours d' un grand nombre de colloborateurs. — Tome II. (B—Céséne); Paris, Letourey et Ané.

Z tomu pierwszego tego wydawnictwa, wychodzącego dzięki prawdziwie benedyktyńskiej pracowitości, zdawaliśmy sprawę z początkiem 1910 r.; obecnie mamy przed sobą tom II. obejmujący artykuły na B. i część ich na C. — Kolumn druku (dwie na każdą stronę) liczy ten wolumin 3332, więc już ta sama cyfra może dowodzić obszerności i dokładności artykułów, frazesów bowiem pisanych jedynie dla ozdoby stylu w tem dziale niema. — Rozmiarami swymi odznaczają się szczególniej prace o bibliotekach, o Byzancyum, sztuce bizantyńskiej, kielichu, Katakumbach, Kartaginie, Sztuce katakumbowej, o sztuce cetyckiej. — W artykułach tych i mnóstwie innych znaleźć można przeróżne szczegóły mało znane lub mylnie dotychczas pojmowane. I tak w art. *Biscandens, Bisomus* dowiadujemy się, że słowa te odnoszą się do różnego sposobu chowania umarłych zależnie od tego, czy spoczywali oni w katakumbach, czy na cmentarzach pod gołem niebem. Art. *Capitolium* poucza nas, że religia Etrusków wymagała do prawdziwego założenia miasta, by ono miało świątynię Jowisza, Junony i Minerwy; bóstwa te mogły być czczone i w jednej świątyni, byle ona się mieściła na jakimś wyniosłym punkcie, z którego miasto można było objąć wzrokiem; to nam objaśnia, dlaczego i w innych niektórych miastach, prócz Rzymu, napotykamy Kapitol. — Z art. *Caput ieiunii* dowiadujemy się

[1]) Tłómaczył z angielskiego ks. F. Hortyński.

o dniu rozpoczęcia W. Postu, a z art. *Carême*, dlaczego w dni postu Msza św. konwencka ma się odprawiać po Nonie.

Nieraz się słyszy, że na wschodzie jest tylko jeden zakon Bazylianów, żyjący według reguły św. Bazylego W. — Tymczasem o. Pargoire, Assumpcyonista w Konstantynopolu powiada stanowczo: 1) że niema reguły św. Bazylego, bo to, co za nią uchodzi, to są wskazówki życia zakonnego i czytania duchowne dla mnichów, ale nie jakiś kodeks jednolity prawa zakonnego; 2) że wiele klasztorów na Wschodzie już za czasów św. Biskupa cezaryjskiego powstało niezależnie od niego; 3) że w wielu monasterach podstawą życia zakonnego nie był Ἀσκητικόν bazyliański, jedno inne pismo duchowe. Autor zwiedzał ławrę św. Sabby, rozmawiał z mnichami różnych nazw na górze Athos, ale każdy z nich byłby się dziwił, gdyby go nazwał Bazylianem. — O. Pargoire zastrzega się jednak, że niema tu na myśli tych mnichów obrządku wschodniego, którzy przyjęli unię z Kościołem katolickim, mając regułę ułożoną na podstawie Ὅρα św. Bazylego, słusznie noszą miano Bazylianów.

Wiadomo, że zakon Karmelitów dawnej obserwy ma odmienną od rzymskiej liturgię noszącą nazwę *jerozolimskiej*. Otóż Dykcyonarz w mowie będący uczy nas, że zakon Karmelitów otrzymawszy regułę od św, Alberta, patryarchy jerozolimskiego, trzymał się zwyczajów liturgicznych kościoła św. Grobu jerozolimskiego, które znowu swój początek wywodzą ze zwyczajów dyecezyj środkowej Francyi, co łatwo da się zrozumieć, jeżeli sobie przypomnimy, że kapituła jerozolimska powstała z duchowieństwa towarzyszącego krzyżowcom. Do liturgii tej późniejsze kapituły zakonu wprowadziły pewne zmiany i dodatki, szczególniej odnoszące się do czci Najśw. Panny Maryi, Patronki Karmelitów.

Art. o rycerzach w przedsionku kościoła (*cavaliers au portail des églises*) tłómaczy nam, że te płaskorzeźby po kościołach akwitańskich są ozdobą na wzór starożytnych figur cesarzów rzymskich a przedstawiają prawdopodobnie Konstantyna W. zwycięzcę pogaństwa. Dwie rozprawy traktują o św. Cecylii i o jej krypcie i bazylice, odnowionej niedawno z wielkim splendorem kosztem ś. p. Kard. Rampolli, którego ten kościół był tytułem kardynalskim. W artykule o samejże świętej, dom Guentin opat ze Solesmes, tłómaczy powstanie jej patronatu nad muzyką; opiera się on na jednej z antyfon brewiarza zaczerpniętej wpra-

wdzie z historyi męczeństwa św. Cecylii, ale z wypuszczeniem trzech słów: *in corde suo*, których w antyfonie: *Cantentibus organis Caecilia virgo soli Domino decantebat* niemasz.

Dykcyonarz nie ogranicza się do liturgii rzymskiej; jakoż artykuły: *Benedykcye, Kanon, Kantyki, Caput ieiunii* oparte są na studyach porównawczych, a oprócz wiadomości o liturgii karmelickiej znajdujemy obszerny traktat o *liturgiach celtyckich*, będących w użyciu u Celtów zamieszkałych w Bretonii oraz na wyspach dzisiejszego trójkrólestwa.

Jeżeli z pojęciem encyklopedyzmu łączy się nieraz zarzut powierzchowności, a artykuły po encyklopedyach są często bardziej lub mniej udatnemi kompilacyami, ale nie pracami oryginalnemi, źródłowemi, to te spostrzeżenia nie wspólnego z naszym dykcyonarzem mieć nie mogą. — Wbrew zwyczajowi, przyjętemu po encyklopedyach, do artykułów dodanym jest u dołu w postaci not aparat naukowy; następnie każda prawie rozprawa kończy się podaniem obfitym bibliografii odnośnej: dość wymienić takie artykuły, jak *Chrzest, Broda, Bazyliki, Biblioteki, Brewiarz, Kanon, Kartagina, Cambridge, Katecheza;* żal też nam, że w art. *Celibat* nie wspomniano o dwutomowem dziele ś. p. Biskupa Janiszewskiego: *Bezżeństwo kapłańskie*. Celem naszego Dykcyonarza jest również zachęcenie do dalszych studyów; zaczem podaje on wiadomości, jakie manuskrypta będące źródłami do liturgii i jakie zabytki sztuki starożytnej, gdzie i w których miastach, można znaleźć; dowiadujemy się więc, jakie skarby posiada Bamberg, Berlin, Berno, Besançon, Bobio, Bolonie, Wrocław (Breslau), Brescia, Bretania, Cambridge, i co wydało *Bradshaw Society*, stowarzyszenie założone w 1890 r. przez Henryka Bradshaw, bibliotekarza Uniwersytetu w Cambridge, celem wydawania rękopisów lub rzadkich ksiąg liturgicznych, tych zwłaszcza, które się odnoszą do Anglii.

Znajomość literatury liturgicznej ułatwiają wiadomości o uczonych pisarzach na tem polu; jak n. p. Benedykt XIV. (Prosper Lambertini); Bernold z Konstancyi, którego od niedawna uważają za autora *Mikrologu*, cennego dziełka liturgicznego z XI. w.; Franciszek i Józef Bianchini; Binterim autor znanych *Denkwürdigkeiten der christkatholischen Kirche;* Kard. *Bona* uczony Cysters; *Bosio*, ojciec nauki o katakumbach; *Cavedoni* ogromnej erudycyi na polu numizmatyki, epigrafii i archeologii chrześcijańskiej; *Cavalieri*, Augustynianin autor komentarza do dekretów

Kongregacyi obrzędów, które zasłużyły na największe uznanie uczonego liturgisty Benedykta XIV. Cechą wspólną artykułów o pisarzach liturgicznych jest to, że dokładne ale treściwe w datach biograficznych obszerniej się rozwodzą nad samemi ich dziełami.

Liczne bardzo ryciny a wśród nich kilka kolorowanych, objaśniają i zdobią to znakomite dzieło, którego znajomość rzeczywiście ułatwia ogromnie znajomość i studya w zakresie archeologii chrześcijańskiej i liturgii i jest w tym zakresie prawie nieodzownem.

Maryan Bartynowski.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Orędzie pasterskie Ks. Biskupa Chomyszyna.

Dnia 15. lutego wydał Biskup Stanisławowskiej dyecezyi grecko-katolickiej, Ks. Grzegorz Chomyszyn, list pasterski, który słusznie nazwano w naszej prasie historycznym dokumentem niemałej doniosłości nietylko dla dyececzyan, ale dla całego społeczeństwa ruskiego. Przebija z każdego zdania tego orędzia gorące przywiązanie do wiary i Kościoła św., szczera i rozumna miłość narodu, nadzwyczajna apostolska energia i niczem nie nadwątlone poczucie obowiązku wobec trudnych zadań pasterskich, przed któremi postawiły Ks. Biskupa wydarzenia w czasie inwazyi rosyjskiej. Charakteryzuje je wybornie hasło, które Dostojny Pasterz wypisał na czele swego listu: „Na straży mojej stać będę, i zastanowię się na zamku: a przypatrzę się, żebym ujrzał co mi rzeką, i co mam odpowiedzieć strofującemu mię". (Habak. 2, 1.), Istotnie z wysokiej warty, na której go postawiła nie tylko godność i powinność pasterska, ale nie mniej żywa świadomość wyższego przeznaczenia ruskiej cerkwi i ruskiego narodu, śledził Ks. Biskup Chomyszyn wypadki, wsłuchał się w wymowny głos czasu, będącego głosem Boga, rozważył w duszy biskupi swój obowiązek i wydał swoje polecenia, nie licząc się w niczem z gniewem ludzkim, jedno z gniewem Bożym.

Orędzie pasterskie opiera się na historyozoficznej podstawie

posłannictwa ruskiej cerkwi, którego wyrazem są słowa Urbana VIII., wypowiedziane do Unitów: „O moi Rusini, przez was ja, Wschód spodziewam się nawrócić". Z żalem stwierdza Ks. Biskup, że naród ruski nie umiał niestety stanąć na straży wysokiego tego posłannictwa, jakie mu Opatrzność powierzyła. W zaniedbaniu tego obowiązku upatruje przyczynę wszelkich niepowodzeń i nieszczęść narodowych, w szczególności ciężkich dopustów Bożych w obecnych czasach, kiedy naród tonie we łzach i krwi. Nie minęła jednak jeszcze godzina Bożego powołania dla Kościoła i narodu ruskiego. Obecna niedola jest karą Bożą, ale karą miłosierdzia, nie odrzucenia. Zesłał ją Bóg dla upamiętania się narodu i dla podźwignienia go z niedbalstwa i zobojętnienia względem doniosłej misyi. Na podstawie takiego na wskróś religijnego i kościelnego poglądu dochodzi Dostojny Pasterz do wniosku, że jest to dziś zadaniem narodu: zrozumieć dług zaciągnięty przed Sprawiedliwością Bożą, uznać swą winę i wziąć się do pracy nad urzeczywistnieniem myśli Bożej. Do tego celu mają dążyć wszystkie rozporządzenia, które w swem orędziu pasterskiem ogłasza. Mają one nosić na sobie cechę zadośćuczynienia za dawne zaniedbania i tem samem przedstawić jakby ofenzywę duchowną dla przebłagania Boga i uproszenia zwycięstwa nad wrogiem i osiągnięcia szczęśliwego pokoju.

Pracę w duchu posłannictwa wyżej określonego pojmuje Ks. Biskup Chomyszyn znowu ze stanowiska na wskróś katolickiego i nadprzyrodzonego. Niema w całym liście pasterskim ani słowa o jakiejś misyjnej działalności na zewnątrz, lecz wszystkie jego wskazania odnoszą się do wewnętrznego odrodzenia Kościoła ruskiego, które musi być podstawą wszelkiej prawdziwie zbożnej pracy na zewnątrz. Życie zaś wewnętrzne Kościoła katolickiego skupia się około dwóch ognisk: około prymatu papieskiego i około Eucharystyi. Ścisła łączność z papieżem zapewnia Kościołowi nieomylność i jednolitość nauki wiary i obyczajów, oraz zjednoczenie wszystkich sił katolickich dla osiągnięcia jak najobfitszych owoców w pracy nad obroną katolickiej wiary i nad rozszerzeniem jej zbawiennego wpływu na wszystkie dziedziny życia religijnego. Eucharystya znowu jest owem ukrytem źródłem, z którego płynie wszelka siła użyźniająca szerokie niwy katolickiej działalności. W istocie historya Kościoła ostatnich pięćdziesięciu lat ukazuje nam coraz większe skupianie się katolików około

Osoby Namiestnika Chrystusowego na ziemi przeciw atakom wrogów zewnętrznych, a wzrastające z dniem każdym zacieśnianie węzłów, łączących szerokie katolickie warstwy z Eucharystyą dla opierania się prądom rozkładowym, które zagrażają życiu wewnętrznemu jednostek i mas z powodu zmateryalizowania życia i wpływów wybujałego indywidualizmu naszych czasów. Odrodzenie cerkwi ruskiej musi polegać na ściślejszej łączności z tem podwójnem środowiskiem wewnętrznej siły i żywotności katolicyzmu: to przekonanie jasno przebija z całego orędzia Ks. Biskupa Chomyszyna. Widać że podyktowało mu je poczucie obowiązku duchownego, i z tego stanowiska należy je ocenić.

„Żywotnych sił nie zdobędziemy inaczej, jak tylko przy źródle wody, tryskającej ze skały Piotrowej... Trzeba więc przejąć się na wskróś duchem katolickich uczuć, trzeba nam połączyć się jak najściślej z Kościołem katolickim". — Z tej przesłanki wysnuwa orędzie wniosek praktyczny, narzucający się siłą konsekwencyi: „Powinniśmy imać się wszystkiego, co może zacieśnić i wzmocnić naszą łączność z papieżem i Kościołem katolickim, — a z drugiej strony wszystko, co mogłoby ten związek, nie powiem, rozerwać, ale choćby tylko osłabić, należy nam odrzucić jako szkodliwe i niebezpieczne". Wypadki wojenne uwidoczniły pod tym względem konieczność pewnych zarządzeń. Sprawy na pozór drobne, nie zasługujące nawet na uwagę, nabrały obecnie wielkiego znaczenia, skoro „wrogowie katolickiego Kościoła, oraz państwa i narodu ruskiego tak silnie na nie nastawali i przez nie zdołali zadać narodowi tyle ran, sprowadzić wielu na manowce i złowić w zgubne swe sieci". Mimo Unii z Rzymem zachowały się w księgach liturgicznych pewne wyrażenia, które się wielce przyczyniły do obałamucenia ludu ruskiego w czasie inwazyi. Nie odróżniano mianowicie jasno prawosławia od cerkwi unickiej, która w liturgii także używa wyrazu „prawosławnej wiary". Modlono się za mało w kościelnych nabożeństwach za Ojca św., nie wspominano nawet imienia papieża tam, gdzie wymieniano w modlitwach nawet służbę kościelną. Również w starych księgach cerkiewnych używano tam, gdzie się wspomina panującego świeckiego bez jego imienia, słowa „car", które w mowie potocznej oznacza cara rosyjskiego. Wszystkie te braki usuwa obecnie rozporządzenie Ks. Biskupa Chomyszyna w obrębie dyecezyi Stanisławowskiej, której jest pasterzem. We wszystkich modlitwach za monarchę

każe słowo „car" zastąpić słowem „Imperator" a wyraz „prawosławny" wyrazem „prawowierny", We wszystkich także modlitwach, gdzie dotychczas wspominano tylko imię cesarza, należy odtąd na pierwszem miejscu wymieniać imię papieża. Nadto znosi orędzie pasterskie święto, które obchodzono ku pamięci pierwszych siedmiu soborów, gdyż Kościół katolicki liczy już 20 soborów powszechnych, mających tę samą powagę, co pierwsze siedem soborów, uznane także przez schyzmatyków.

Do wzmocnienia łączności z Kościołem rzymskim ma służyć także zaprowadzenie kalendarza Gregoryańskiego zamiast dotychczas będącego w użyciu kalendarza Juliańskiego. Kalendarz nie ma wprawdzie bezpośredniego związku z wiarą katolicką, ale w praktyce obchodzenie świąt razem ze schyzmatykami, a odrębnie od Kościoła powszechnego narażało już nieraz prostaczków na utratę wiary. Zwłaszcza pielgrzymki w dnie świąteczne do miejscowości schyzmatyckich, jak do Suczawy na Bukowinie i do Poczajowa w Rosyi, doprowadzały raz po raz do odstępstwa od prawdziwego Kościoła. Nie jest też budującem dla katolickiego świata, że w cerkwi ruskiej obchodzi się pamiątkę najważniejszych tajemnic św. wiary razem ze schyzmatykami, że zatem w powszechnej modlitwie całego Kościoła w onych dniach brak głosu ruskiego Kościoła! „Czy nie rzucamy podejrzenia na nasz katolicyzm, — pyta Ks. Biskup — gdy uroczystość Ducha Św. obchodzimy z tymi, którzy przekręcają dogmat o Św. Trójcy? albo gdy obchodzimy święto Niepokalanego Poczęcia wraz z tymi, którzy w sposób bluźnierczy z niego szydzą?" Że z powodu zaprowadzenia kalendarza Gregoryańskiego nie należy się obawiać ani latynizacyi ani wynarodowienia, na to wskazuje już przyklad protestantów niemieckich, którzy na początku XVIII wieku przyjęli kalendarz Gregoryański, a nie ulegli z tego powodu żadnym podobnym wpływom.

Skostnienie schyzmatyckiego kościoła objawia się przedewszystkiem w braku należytego kultu Przenajśw. Eucharystyi. Ojcowie wschodniego Kościoła odznaczali się głęboką czcią dla tej najwznioślejszej tajemnicy, jak świadczą wymownie wspaniałe homilie św. Jana Chryzostoma, któremu przyznano zaszczytne imię „Doktora Eucharystycznego". Z nastaniem schyzmy ostygła wiara w Eucharystyę. Martwe obrazy odbierały i odbierają większą cześć, aniżeli żywy Chrystus pod postaciami chleba i wina.

Martwota ta znaczyła także ślady w cerkwi ruskiej, co wnosić można z braku jasnego i głębszego uświadomienia ludu co do tajemnicy Eucharystyi, tudzież z pewnego ospalstwa i chłodu względem tego Sakramentu. W ostatnich dopiero czasach kult Eucharystyczny został w cerkwi ruskiej bardziej rozbudzony i ożywiony, ale nie dotrzymał kroku rozwojowi tegoż kultu w Kościele zachodnim. Tymczasem „Najświętsza Eucharystya jest słońcem i ośrodkiem całego kultu i życia religijnego, a tem samem ożywieniem życia narodowego i rozwoju kultury. Gdzie niema prawdziwego zrozumienia i należnej czci dla Najśw. Eucharystyi, tam całe nabożeństwo schodzi na pustą obrzędowość, tam niema ciepła i życia religijnego, tam też zastój pod względem kultury. Trzeba w końcu zauważyć, że jak martwota eucharystyczna jest znamieniem schyzmy, tak żywy i rozbudzony kult eucharystyczny jest znamieniem katolicyzmu". Dla podniesienia czci Przenajśw. Eucharystyi postanawia przeto Ks. Biskup, aby uroczystość Bożego Ciała na przyszłość obchodzono uroczyście w ten sam dzień, na który przypada, nie przenosząc obchodu na następną niedzielę, jak to dotąd bywało.

Ostatnie rozporządzenie odnosi się do czci św. Józafata, który dotąd w cerkwi był pozbawiony należnego kultu. „Św. Józafat, — czytamy w liście pasterskim, — to nasz najbliższy Święty. Jesteśmy z nim złączeni nietylko duchem, ale krwią i ciałem. On jest kością z kości i krwią z krwi naszej. On walczył za wiarę katolicką w naszym narodzie. On jasno głosił połączenie z Kościołem katolickim nie krętemi ścieżkami, nie ludzką dyplomacyą, ale śmiało i otwarcie stanął po stronie najwyższego dobra swego ludu i przypieczętował to krwią męczeńską, zamordowany przez schyzmatyków. Wstyd dla nas i wielki wstyd, że zapomnieliśmy o tym Świętym i nie czciliśmy go tak jak należy.... Aby to naprawić, ogłośmy go naszym patronem i obrońcą i naśladujmy go w otwartości i stałości wyznawania wiary katolickiej".

Na końcu listu pasterskiego uprzedza Ks. Biskup niektóre zarzuty, które mogłyby być podniesione przeciw tym rozporządzeniom. Znamiennem jest tu zapatrywanie, z pewnością słuszne i prawdziwe, że zbliżając się w obrzędach do schyzmatyków Unici nie tylko nie nawrócą schyzmatyków, lecz raczej utwierdzą ich jeszcze w schyzmie. Pokazało się to dobitnie w czasie na-

jazdu, ale jest to już z natury rzeczy jasnem, że w obronie prawdy dochodzi się najlepiej do celu, występując z otwartą przyłbicą w imię zdeklarowanego katolicyzmu. Zastrzega się także Ks. Biskup przeciw zarzutowi, że chcąc zbliżyć się w ten sposób do Kościoła rzymskiego należałoby poprostu cały obrządek wschodni usunąć, który w istotnych sprawach jest wspólny ze schyzmatykami. Rozróżnia w tym celu obrzędy, które są wprost rażące i niebezpieczne dla katolicyzmu, lub też są jakby znamieniem schyzmy, od tych, które w niczem nie naruszają wiary i nie wystawiają jej na niebezpieczeństwo. Słowa „obrzęd" i „obrzędowość", powiada orędzie pasterskie, są u nas wciąż na ustach i w pismach, co wskazuje na to, że sprawa obrzędowa źle u nas stoi i że zajmujemy się więcej sprawami obrzędowemi, aniżeli wiarą... Nie nad obrzędem trzeba nam głównie czuwać, ale nad wiarą; nie nad tem więc zastanawiajmy się tylko, aby obrządek nie poniósł jakiej szkody, ale z całem wytężeniem sił strzeżmy przedewszystkiem najcenniejszego skarbu prawdziwej wiary".

Z całego orędzia biskupiego Ks. Chomyszyna wieje, jak to już zaznaczyliśmy, duch żywej wiary i gorącego przywiązania do Kościoła św., jakkolwiek nie pomija, że te wymagania cerkwi ze stanowiska czysto religijnego są równocześnie wysoce doniosłe dla całej kultury narodu ruskiego. Rozum, wiara i miłość narodu złożyły się wspólnie na ten wspaniały dokument. Podziw wzbudziła energia, z jaką Ks. Biskup Chomyszyn zdecydował się na zaprowadzenie tak daleko idących zmian, któreby w czasach spokojnych wymagały uchwały synodu prowincyonalnego, gdyż jednolitość kultu w całej prowincyi kościelnej jest bez wątpienia wskazaną. Zwołanie synodu, jak słusznie zauważa Ks Biskup, jest nie łatwą rzeczą, wymaga długiego przygotowania, wielu zabiegów, i dlatego rzadko tylko odbywają się synody. Dowodem tego, że po synodzie Zamojskim w r. 1720 trzeba było czekać na synod Lwowski r. 1891 aż 171 lat. Obecnie taki synod choćby dlatego jest niemożliwym, że dwie dyecezye, metropolia Lwowska i dyecezya Przemyska, pozbawione są pasterzy. Z drugiej strony trzeba było działać prędko, bo doświadczenia wojenne domagały się jasnego i stanowczego odróżnienia się od schyzmy także na zewnątrz, namacalnie, że tak powiem, dla prostego i nie dość uświadomionego ludu. Nie działał zresztą Ks. Biskup Chomyszyn bez należytej rozwagi: nad wydaniem swych rozporządzeń długo rozmyślał

i przedłożył je uprzednio kapitule, która jednomyślnie oświadczyła się za niemi. Zasięgał także rady pewnych osób świeckich i duchownych, i wszystkie pochwalały ich treść. Zawiadomił wreszcie o tych postanowieniach Ordynaryaty Lwowski i Przemyski, które pochwaliły również te zarządzenia, choć się nie uważały za uprawnione do zaprowadzenia tych samych reform w czasie sieroctwa dyecezyi. „Domagać się zaś, aby czekać z poruszeniem tych spraw aż do prawincyonalnego synodu, powiada Ks. Biskup, znaczyłoby to tyle, ile zgoła odstąpić od nich. Wiedzmy jednak, że wtedy Chrystus i nas odstąpi.

Reforma kalendarza w dyecezyi Stanisławowskiej gr. obrz.

O ile nam wiadomo, rozporządzenia Ks. Biskupa Chomyszyna nie natrafiły na ogół na opór ze strony Rusinów z wyjątkiem sprawy przemiany prastarego juliańskiego kalendarza na kalendarz późniejszy, Gregoryański. Warto się wobec tego bliżej przypatrzeć tej sprawie, niezmiernie zresztą doniosłej.

Zaraz przy zawarciu Unii w Brześciu r. 1595 miał nowy kalendarz Gregoryański być przyjętym przez Rusinów, jak to oświadczył biskup Cyryl Terlecki wobec duchowieństwa łacińskiego w Warszawie. Przeszkodziły jednak temu agitacye księcia Konstantyna Ostrogskiego, tudzież odmienne zapatrywania pewnej części przyjaciół Unii, wobec czego projekt ten upadł już przed drugim synodem Brzeskim, odbytym w październiku 1596 r. Sądzono mianowicie, że zaprowadzenie nowego kalendarza dałoby schyzmatykom pochop do tem gorliwszego zwalczania i zohydzania Unii. Nie tykano odtąd sprawy reformy kalendarzowej przez dwa blizko stulecia. Dopiero po pierwszym rozbiorze Polski rząd austryacki dał pod tym względem nową inicyatywę. W odpowiedzi na zapytanie galicyjskiej władzy krajowej w tej kwestyi zaznaczył biskup Lwowski Leon Szeptycki pod d. 30 grudnia 1773 w liście do hr. Pergena, gubernatora Galicyi, że tak Stolica Apostolska, jako też król polski przyznali Rusinom zatrzymanie kalendarza Juliańskiego, od którego odstąpić nie można bez narażania się ze strony schyzmatyków na nowe podejrzenia i szkalowania Unii. Skutkiem tego stanowiska Rusinów nie nalegano dalej na reformę kalendarza, owszem zarówno Józef II, jak i Leopold II pozwolili r. 1787 i 1790 na dawny kalendarz Juliański.

W r. 1798 rząd galicyjski domagał się ponownie oświadczenia konsystorzy ruskich odnośnie do zaprowadzenia kalendarza Gregoryańskiego. I wówczas biskupi ruscy oświadczyli się przeciw reformie, zwracając uwagę na trudności, z jakiemi sprawa ta byłaby połączoną. Z tym samym skutkiem i później poruszano ponownie tę kwestyę. Widzimy, że reforma kalendarza jest sprawą, która nigdy nie przestawała być aktualną w cerkwi ruskiej i która domaga się raz już ostatecznego rozwiązania. Przyznają to zresztą nawet ci, którzy obecnie zwalczają zarządzenie Ks. Biskupa Chomyszyna: „Wiele poważnych gmin, pisze np. *„Dilo“* w liście z Wiednia, podnosi wątpliwość, że przez taki jednostronny akt daleko idącej zmiany tradycyjnego cerkiewnego kalendarza, sprawa w zasadzie z pewnością słuszna, może się powikłać i wywołać niepożądane nieporozumienia w szerokich kołach wiernych“. W tej samej zresztą korespondencyi znajdujemy znamienną uwagę, że rząd austryacki w czasie tej obecnej wojny zwrócił się do ogólnej Rady Ukraińskiej w tej właśnie sprawie. Rada Ukraińska miała na to odpowiedzieć, że uważa tę sprawę przedewszystkiem za sprawę cerkiewną, i dlatego odroczyć ją trzeba aż do powrotu metrepolity i do możliwości zwołania synodu, bo tylko na tej drodze, po odpowiedniem przygotowaniu ludności i odpowiedniem wyjaśnieniu niedomagań starego systemu kalendarzowego, można w całej prowincyi galicyjskiej przeprowadzić reformę kalendarza w nowożytnym zachodnio-europejskim duchu“.

Stanowisko ogólnej Rady Ukraińskiej wcale nie jest jasnem. Z jednej bowiem strony uważa sprawę zmiany kalendarza głównie za kwestyę cerkiewną, i na tej podstawie uchyla się wobec rządu przed jej załatwieniem, z drugiej jednak strony miesza się właśnie do tej cerkiewnej sprawy, przepisując, w jaki sposób władza duchowna rozwiązać ją powinna. Jeśli z powodu zaprowadzenia kalendarza Gregoryańskiego w jednej tylko dyecezyi powstaną pewne trudności w stosunkach wzajemnych między ludnością na pograniczu dyecezyi, to z drugiej strony znów w obrębie tych samych gmin upraszcza się niezmiernie ten stosunek między katolikami wschodniego i zachodniego Kościoła. Protesty Rady Ukraińskiej byłyby zrozumiałe, gdyby nie ze stanowiska cerkiewnego je umotywowano. Zresztą odroczenie sprawy do synodu jest, jak już widzieliśmy, odłożeniem jej *ad calendas graecas*. Dzienniki niedawno temu doniosły, że prezydent Buko-

winy, hr. Meran, uwiadomiony przez Ks. Biskupa Chomyszyna o sprawie zmiany kalendarza w dyecezyi Stanisławowskiej, zwrócił się do centralnego rządu z protestem przeciw tej reformie „ze względu na wojenny czas oraz z uwagi na przyszłe interesy i zadania Austryi wśród ukraińskiego narodu". Tak samo doniosło „Ukraińskie Słowo", z dnia 24. marca b. r., że „chrześcijańsko-społeczna partya wysłała do prezydenta ministrów hr. Stürgkha i min. oświaty, dr. Hussarka, deputacyę pod przewodnictwem krajowego marszałka Dolnej Austryi ks. Lichtensteina i b. min. Gessmanna dla założenia protestu w sprawie zmiany kalendarza w dyecezyi Stanisławowskiej". Trudno zaiste to zrozumieć wobec powyższej deklaracyi Rady Ukraińskiej, że rząd właśnie w czasie wojny i z pewnością nie ze szkodą własnych interesów zwrócił się do niej w sprawie zmiany kalendarza. To zatem pewna, że doniesienia dziennikarskie w tej kwestyi są tendencyjne i wcale nie konsekwentne. Przyszłość pokaże, czy mądre rozporządzenia odniosą zwycięstwo. W każdym razie gruntownemu uzasadnieniu tej reformy przeciwnicy jej. nie zdołali przeciwstawić żadnych poważnych zarzutów.

Ks. Ernest Matzel.

Kronika ekonomiczna.

Drożyzna ogarnęła kraje wojujące i neutralne. — Szwecya zawiesiła wolność wybijania złota. — Dlaczego drożyzna środków pożywienia szczególnie wielka. — Czy towary zbytkowe potaniały w czasie wojny. — Ceny i gaże aktorskie w teatrze krakowskim. — Zwyżka nominalna płac roboczych i poborów urzędniczych. — Mieszkania i sklepy nie podrożały. — Kto zyskał, a kto stracił na drożyźnie wojennej? — Miasto i wieś, biedni i bogaci wobec drożyzny. — Przeważają zyski, czy straty? — Majątek i dochód społeczny w czasie wojny.

W poprzedniej kronice pisząc o różnicy między drożyzną pokojową a wojenną, zauważyłem, że w czasie wojny niema wyrównania między dodatnimi i ujemnymi skutkami drożyzny, dzięki któremu drożyzna pokojowa jest często objawem korzystnym, a w najgorszym razie stosunkowo mało szkodliwym dla ogółu. Brak wyrównania uzasadniałem odmiennem oddziaływaniem na wytwórczość gospodarczą drożyzny wojennej w przeciwstawieniu

do pokojowej. Obecnie mam zamiar brak owego wyrównania uwydatnić z innego punktu widzenia.

Drożyzna pokojowa była niemal powszechną. Ogarniała przeważną część towarów i usług niemal we wszystkich krajach. Nie wyrażała się równomiernie w zwyżce ich cen. Drożyzna wojenna różni się od pokojowej mniejszą powszechnością i większą nierównomiernością w kształtowaniu się cen. Różnica polegająca na mniejszej powszechności zaciera się w miarę przedłużania się wojny. Drożyzna ogarnia także i kraje niewmięszane w wojnę, Obejmuje coraz to więcej towarów i usług. Słowem upowszechnia się. Natomiast większa nierównomierność w kształtowaniu się cen trwa nadal. Drożyzna wojenna objawiła się najpierw w państwach wojujących. Objawiła się silniej wśród ludności mocarstw centralnych. W mniejszym stopniu u ich przeciwników. Złączone z wojną znaczne zmniejszenie dowozu zamorskiego i dowozu z państw nieprzyjacielskich wywołało zwyżkę cen wielu towarów, zwłaszcza środków pożywienia. Drożyzna objawiła się silniej w Niemczech, niż w Austro-Węgrzech. O ile chodzi o nasilenie drożyzny w poszczególnych państwach w stosunku do drożyzny w innych, wojenna drożyzna nie różni się zasadniczo od pokojowej. W latach 1873—1897 niemal we wszystkich państwach przeważały czynniki, sprzyjające niezbyt wielkiej zniżce cen. Od roku 1897 rozpoczyna się niemal wszędzie okres zwyżki cen silniejszy w Niemczech, niż w Anglii i Francyi. W Austro-Węgrzech zwyżka cen doszła do rozmiarów większych, niż w Niemczech. W czasie wojny stosunek ten nie uległ zasadniczym zmianom. Jest objawem znamiennym, że na Węgrzech środki pożywienia są droższe, niż w Austryi. Wielką drożyznę węgierskich wytworów rolniczych tłumaczę sobie znacznym wpływem wielkich właścicieli ziemskich, zarabiających na zwyżce cen, oraz mało udoskonaloną organizacyą handlu i innych gałęzi życia gospodarczego.

Niski poziom ustroju gospodarczego jest jednym z powodów silniejszego napięcia dążności zwyżkowej w Austryi, niż w Niemczech. Oddziałał wyraźnie na drożyznę wojenną w Rosyi. Zdawałoby się, że kraj tak wybitnie rolniczy jak Rosya, kraj zazwyczaj wywożący dużo zboża, obecnie pozostającego w kraju z powodu zamknięcia granic, wywołanego wypadkami wojennymi, niedozna drożyzny środków pożywienia. A jednak

w Petersburgu i Moskwie, w szeregu innych miejscowości wysokie ceny wielu towarów rolniczych dały się dotkliwie we znaki. Obok mało rozwiniętego handlu działały w tym kierunku przedewszystkiem trudności przewozowe. Rosya posiada stosunkowo mało kilometrów kolei i mało wagonów, skutkiem czego w żadnym z państw wojujących koleje nie są w tym stopniu oddane na usługi wojska, co właśnie w Rosyi. W kierunku zwyżkowym działa w Rosyi zwiększająca się ilość pieniędzy, która w każdem z państw wojujących, co prawda w różnym stopniu zależnie i od ilości pieniędzy, puszczonych w obieg w czasie wojny, i zależnie od innych okoliczności, przyczynia się do zwyżki cen. Może najmniej w Anglii. Wcale znaczna drożyzna angielska prawdopodobnie pochodzi z innych przyczyn. Ogromnie podrożały koszta przewozu morzem. Rząd angielski zajął wiele okrętów celem przewozu wojska. Zdolność przewozowa floty angielskiej obniżyła się o $^1/_3$. Bardzo znacznie podrożały premie asekuracyjne pod wpływem działań nieprzyjacielskich łodzi podwodnych.

Drożyzna związana z wojną upowszechnia się. Zagościła także i w krajach neutralnych po części z podobnych przyczyn. Ilość pieniędzy zwiększyła się znacznie w wielu krajach neutralnych. Wzrosła ilość złota a nie papieru, w czem oczywiście tkwi pewne podobieństwo, a równocześnie znaczna różnica. W Holandyi ilość złota wzrosła w dwójnasób. W Szwecyi zawieszono na sześć miesięcy obowiązek banku emisyjnego przyjmowania każdej ilości złota w zamian za banknoty szwedzkie. Szwedzi mają za dużo złota. Chcą powstrzymać jego przypływ; spodziewają się, że w ten sposób obniżą ceny. Drożyzna w krajach neutralnych ma i inne przyczyny. Mieszkańcy Stanów Zjednoczonych każą Anglikom drogo płacić za zboże, za proch, za działa, bo wiedzą, że Anglicy znajdują się w położeniu przymusowem. Współczesna drożyzna w krajach neutralnych różni się rozmiarami i skutkami znacznie od drożyzny w krajach wojujących. Przeważają znamiona drożyzny pokojowej w krajach neutralnych. Równoważą się korzystnie dobre i złe skutki.

W upowszechnianiu się drożyzny, polegającem na jej mniej więcej równoczesnem pojawieniu się w różnych krajach tkwi pewien czynnik, wyrównujący jej skutki. Działa jednak obecnie słabiej, niż przed wojną. Stosunki handlowe między poszczegól-

nemi państwami, uległy ograniczeniom. Pomniejszyły się. Wyrównaniu przeciwdziała skutecznie nierównomierność w zwyżce cen, większa niż w czasach pokojowych. Zaraz po wybuchu wojny pewne towary znacznie podskoczyły w cenie. Inne pozostały na dawnym poziomie, a nawet spadły. Przed wojną mawiano, że drożyzna jest zyskiem wytwórcy, stratą konsumenta. Istotnie wówczas prawie każdy wytwórca zyskiwał, bo drożały niemal wszystkie towary. Zyski nie były wielkie, bo koszta wytwarzania wzrastały skutkiem drożenia robocizny, surowców w najszerszem tego słowa znaczeniu. Przeważna część ludzi jest równocześnie wytwórcami i konsumentami. Równocześnie zyskuje w charakterze wytwórców, traci jako konsument. W tym przebiegu wypadków tkwi pewne wyrównanie skutków drożyzny. W czasie wojny stan rzeczy jest odmienny. Założenie: na drożyźnie zyskują wytwórcy wymaga ograniczenia, bo część wytwórców początkowo musi zadowolnić się mniejszemi cenami. Później zwyżka ogarnia towary i usługi początkowo odporne wobec niej, ale pozostaje nadal bardziej nierównomierną, niż pokojowa. Jej skutki mniej się wyrównują.

Pod wpływem wojny podrożały przedewszystkiem środki pożywienia. Przeważna część ludzi posiadała pewne zapasy w ubraniach. Postanowiła przedłużyć czasokres ich noszenia. Odroczyć chwilę zakupna nowych. Wielu ograniczyło wydatki na książki, na teatr. Przeważna część ludzi nie miała zamiaru oszczędzać na pożywieniu. Chcąc sobie zabezpieczyć przyszłość, postanowiła starać się o zapasy żywności. Wynikiem — chęć kupna normalnego zapotrzebowania, a nadto zapasów czyli chęć kupna środków pożywienia w ilościach, przewyższających dawniejszy popyt. Oszczędności, uskutecznione przez ograniczenie zakupna innych towarów, zużyło na nabywanie żywności. Podrożały towary uznawane za niezbędne, spadły — zbytkowe. W Krakowie teatr po dziś dzień jest tańszy niż w czasach pokojowych, a pobory aktorów obniżyły się podwójnie. Otrzymują mniej koron. Otrzymują korony, których siła kupna spadła.

Chcę nawiasowo wtrącić kilka uwag dla wyjaśnienia pytania, czy istotnie towary zbytkowe potaniały? Zaraz po wybuchu wojny nastąpił wyraźny spadek towarów zbytkowych. Obecnie mnożą się spostrzeżenia niezgodne z tą dążnością. Zdarzają się wypadki drożenia towarów zbytkowych. Piszą o zwyżce cen

dyamentów i kamieni szlachetnych. Ten objaw jest w związku nietyle z chęcią zaspakajania potrzeb zbytkowych, raczej ze spekulacyą na dalszą zwyżkę. W czasie wojny wielu zyskało szybko godziwie lub niegodziwie znaczny zapas gotówki. Nie chcą jej złożyć do banku, bo obawiają się dalszego spadku wartości pieniądza. Zamieniliby ją najchętniej na nieruchomości. Ponieważ jednak ich nabycie jest trudne w czasie wojny, przeto szukają innych sposobów pozbycia się gotówki. Kupują dyamenty po wysokich cenach, licząc na ich zwyżkę. Tego rodzaju drożyzną ma charakter więcej spekulacyjny, niż zbytkowy. Oczywiście tego rodzaju spekulacya nie byłaby możliwą, gdyby przypuszczano, że popyt za towarami zbytkowymi znacznie osłabnie. Zresztą zdarzają się inne wypadki drożenia towarów zbytkowych, których związek ze spekulacyą jest o wiele luźniejszy.

Zaraz po wybuchu wojny nie można było stwierdzić ogólnego obniżenia się wartości pieniądza. W miarę coraz to dłuższego trwania wojny ogólna zniżka wartości pieniądza staje się coraz widoczniejszą czyli drożyzna ogarnia coraz to więcej towarów i usług. Obecne ceny w teatrze krakowskim są jeszcze ciągle niższe, niż pokojowe. Są wyższe, niż ustanowione zaraz po wybuchu wojny. W ciągu roku 1915 zarząd nieznacznie je podwyższył. Drugim ważnym powodem zwyżki towarów i usług zbytkowych jest mnożenie się dorobkiewiczów, szybkie wzbogacanie się dostawców wojskowych. Szereg ludzi, rozporządzających przedtem małymi dochodami, nagle stał się panem znacznych dochodów, które zużywa zbytkownie.

Mimo to należy stwierdzić, że towary zbytkowe potaniały, ogólnie rzecz biorąc. Bliżsi będziemy prawdy, jeżeli powiemy, że towary zbytkowe podrożały mniej, niż inne, czyli potaniały w stosunku do innych. Mięso podrożało bardzo znacznie, ale mięso pierwszorzędnej jakości podrożało mniej, niż inne. Odwrotny był przebieg drożenia mąki różnej jakości. Najlepsza mąka podrożała więcej. Stało się to pod wpływem środków przymusowych, zarządzonych przez państwo. Tam, gdzie mamy do czynienia z wolnem współzawodnictwem, towary lepszej jakości drożeją mniej. Hotele pierwszorzędne podwyższyły ceny w mniejszym stopniu, niż inne. Koszta życia ludzi bogatych zwiększyły się stosunkowo mniej, niż ludzi ubogich i średnio zamożnych. Zdarza się wprawdzie, że człowiek bogaty wydaje więcej koron,

a człowiek ubogi i średnio zamożny tyle koron co przed wojną, ale jest to wynikiem zmniejszenia konsumcyi wśród warstw niższych, których dochód nie wzrasta, podczas gdy bogaci są w stanie podwyższyć kwoty przeznaczane na utrzymanie gwoli zaspakajania potrzeb równego dotychczasowym zwyczajom. Gdyby ubodzy i średnio zamożni chcieli utrzymać się na poprzednim poziomie zaspakajania potrzeb, musieliby w tym celu zwiększyć swe wydatki w stopniu wyższym, niż bogaci.

Małem złagodzeniem, ale nie istotną zmianą tego stanu rzeczy jest podrożenie robocizny i zwyżka płac urzędniczych. Zaraz po wybuchu wojny płace robocze nie doznawały większych, ogólniejszych zmian. Później, w miarę powoływania pod broń coraz to liczniejszych zastępów, w miarę coraz to większego zapotrzebowania różnych towarów przemysłowych na cele wojskowe wzrasta popyt za robotnikiem, obniża się podaż rąk roboczych. Płaca rośnie. Nie brak bolesnych wyjątków. Z powodu braku surowca trzeba było ograniczyć ruch w fabrykach, przerabiających bawełnę. Rządy w Niemczech i w Austro-Węgrzech udzielają zasiłków robotnikom, którzy stracili zarobek. Udzielają zasiłków, nie przewyższających dotychczasowych płac. Powszechnie wiadomo, że ani zwyżka płac roboczych, ani dodatki udzielane przez rząd w Austryi urzędnikom niższych i średnich stopni, począwszy od Nowego Roku, nie wyrównują podrożeniu życia. Są w pewnej mierze czynnikiem, podtrzymującym drożyznę, bo zwiększającym zdolność konsumcyjną warstw robotniczych i urzędniczych.

Nie podrożały mieszkania i sklepy. Koszt wynajmywania mieszkań staje się od dawien dawna coraz większym. Renta gruntowa z nieruchomości miejskich wzrasta szybciej, niż renta posiadłości rolniczych. W latach 1873—1898 przeważała dążność zniżkowa cen. Zboże spadało, ale czynsze miejskie stanowiły wyjątek. Szły w górę przed i po roku 1897. Wybuch wojny powstrzymał ich zwyżkę. Ruch budowlany ustał. Podaż mieszkań przestała wzrastać. Drożyzna staje się coraz ogólniejszą. Mimo tego mieszkania i sklepy nie drożeją. Dlaczego? Powołania wojskowe zmniejszają popyt. Ludność miejska ogranicza swe potrzeby pomieszkania pod naciskiem stosunków. Okazuje gotowość zadawalniania się mniejszymi lub z innych względów mniej dogodnymi pomieszkaniami. Ten nastrój przeszkadza drożeniu.

Na tle tych uwag przystępuję do dania odpowiedzi na

pytanie: Które warstwy zyskały, które straciły w związku z drożyzną wojenną? Rolnicy wyszli obronną ręką — oto uwaga najważniejsza, bo obejmująca najszersze koło ludzi. W wielu częściach Austro-Węgier ludność rolnicza stanowi przeszło połowę, w Galicyi blisko $^3/_4$ ogółu ludności. Jej przedstawiciele tworzą większość w budapeszteńskiej i wiedeńskiej radzie państwa. Rolnikom dzieje się w czasie wojny stosunkowo dobrze. Prawdopodobnie gorzej, niż w czasach pokoju. Przed wojną drożały płody rolnicze i potrzeby gospodarcze rolnika: narzędzia, sztuczne nawozy, sztuczne pokarmy dla zwierząt domowych itd. Wytwory gospodarstwa drożały w wyższym stopniu. Różnica drożenia jednego i drugiego wypadała na korzyść rolnika. Dowodem zmiany w cenach ziemi, stanowiących kapitalizacyę czystych dochodów. Ceny ziemi szły w górę, bo wzrastały czyste dochody. Trudniej orzec, czy w czasie wojny wzrost dochodów brutto, wynikający ze sprzedaży po wyższych cenach zboża, ziemniaków, zwierząt i innych płodów gospodarstwa, wystarcza na pokrycie zwiększonych kosztów produkcyi? Trudniej orzec, czy w czasie wojny rosną dochody czyste rolników? Rolnicy w czasie wojny z powodu trudnych warunków mniej wytwarzają i mniej sprzedają, a koszta znacznie wzrosły. Nie brak wśród rolników jednostek, które dużo zarobiły, ale chodzi o ogół. Obrót ziemią zmniejszył się. Wartość ziemi jest jak gdyby w zawieszeniu. Dopiero po zawarciu pokoju okaże się, jak wysoko ludzie cenią dochody z ziemi i ziemię samą? O przyszłych cenach ziemi pozwala dobrze wróżyć obecny kurs listów zastawnych stosunkowo niezwykle pomyślny, nieco wyższy, niż kurs listów przed wybuchem wojny, bardzo korzystny w porównaniu z kursem innych papierów pupilarnych.

Rolnicy zyskali w charakterze dłużników. Wobec zniżki siły kupna pieniądza (za sto koron kupujemy dziś mniej towarów, niż dawniej) rzeczywista wartość ich długów spadła. Rolnik, którego majątek był hypotecznie obciążony trzydziestoma tysiącami koron jest nadal winien 30000 koron wierzycielom, o ile ich nie spłacił. Ale spadła wartość korony. Obniżyła się istotna wartość jego długu. Rolnicy są mniej zadłużeni, niż byli przed wojną.

Pamiętając o zniżce siły kupna pieniądza, należy przypuszczać, że czyste dochody ogółu rolników może nie wzrosły,

ale bądź co bądź spadły mniej, niż dochody innych warstw. W czasie wojny dochód społeczeństwa całego rzeczywisty (w przeciwstawieniu do nominalnego, wyrażanego w koronach) spadł. Zmienił się rozdział dochodu. Z ogólnego dochodu dziś więcej przypada w udziale na rzecz rolników. Ich dochód wzrósł w stosunku do dochodu innych warstw. Oczywiście nie mam na myśli rolników gospodarujących w obszarach bezpośrednio nawiepzonych wojną, którym zniszczono inwentarze żywe i martwe niejednokrotnie bez odszkodowania. Z tem zastrzeżeniem zwracam uwagę na różne zachowanie się wobec wojny ludności miejskiej i wiejskiej. W miastach wojna budzi więcej niezadowolenia, bo toczy się w wyższym stopniu kosztem miast, niż wsi, kapitału ruchomego, niż nieruchomego, przemysłu i handlu, niż rolnictwa, w wyższym stopniu kosztem biednych, niż bogatych.

O losach gospodarczych rolnictwa mogliśmy mówić jako o całości. Trudniej coś powiedzieć o losach gospodarczych całego przemysłu, ponieważ niektóre gałęzie przemysłu dużo zarobiły, inne dużo straciły pod wpływem stosunków wojennych. W czasach pokojowych drożyzna była zyskiem niemal dla wszystkich wytwórców. Wojenna drożyzna nie jest zyskiem ogółu rolniczych wytwórców, ale tylko części przemysłowców. Zacznijmy od strat. Wielcy przemysłowcy wyszli lepiej na rozwoju stosunków, niż mali. Także i pod tym względem przebieg wypadków w obrębie rolnictwa jest odmienny od przebiegu wydarzeń w zakresie przemysłu. W okolicach bezpośrednio dotkniętych wojną, w Galicyi, w Królestwie, chłop ucierpiał znacznie mniej niż dwór. W innych częściach Austro-Węgier i Niemiec nie można zauważyć wyraźnej różnicy między małym, a wielkim rolnikiem. Na obojgu wpływ wypadków wojennych odbił się mniej więcej jednakowo. Inaczej w przemyśle. Zdaje się, że wielki przemysł okazał się odporniejszym wobec przesilenia wojennego dzięki większej zasobności. Łatwiej mu przyszło przerzucić się do wyrobu towarów potrzebnych na cele wojskowe.

Straty poniósł przemysł inwestycyjny, maszynowy, a zwłaszcza budowlany. Wobec niepewnej przyszłości ludzie stali się nader ostrożni w uskutecznianiu jakichkolwiek nakładów. Ograniczyli zamawianie maszyn. Zastanowili niemal zupełnie ruch budowlany. Bardzo mało powstaje nowych budynków. Podobno we Wiedniu kończą budowle rozpoczęte. W Galicyi przerwano

pracę około budowli już rozpoczętych. Stracili dostawcy przemysłu budowlanego. Ucierpiał przemysł zbytkowy i wywozowy. Bilans handlowy pogorszył się, ponieważ pod wpływem stosunków wojennych wywóz spadł silniej, niż przywóz. Straty poniosły gałęzie przemysłu zależne od dostawy surowców zagranicznych lub miejscowych, których nagle zabrakło mimo możności korzystnego zbytu ich wytworów. Jest rzeczą wątpliwą czy podwyższenie cen towarów, przez nich sprzedawanych wyrównało straty, płynące z ograniczenia produkcyi. Zabrakło jęczmienia browarom, bawełny fabrykom przerabiającym ten surowiec.

Znaczna część fabryk, zwłaszcza większe, zdołały uniknąć strat przez dostosowanie się do potrzeb chwili. Porzuciły wyrób towarów, niemających zbytu, a rozpoczęły wyrabiać pociski, kuchnie polowe lub inne towary zamawiane przez władze wojskowe. Olbrzymie zapotrzebowanie armii lądowej i floty stało się źródłem rozlicznych zysków przemysłowych.

A handel? Kupcy w wielu wypadkach zarabiali więcej, niż przedtem, ale obroty niejednokrotnie zmniejszyły się z powodu braku towarów lub zmniejszenia się zdolności konsumcyjnej ludności. I dla kupca i dla całego społeczeństwa jest korzyścią, gdy kupiec sprzeda dużo towarów z małym zyskiem na sztuce. Gorzej, gdy sprzedaje mało towarów, gdy stara się na każdej sztuce zarobić jaknajwięcej. Podczas wojny ta druga możliwość rozpowszechnia się.

Straty ponieśli właściciele kamienic czynszowych w miastach, oraz ludzie o stałych dochodach. Kapitalista, któremu kasa oszczędności wypłacała przed wojną tysiąc koron rocznie od kapitału 25000 koron złożonego przezeń w kasie, pobiera nadal tysiąc koron, ale koszt utrzymania wzrósł o około 50% jeśli nie o więcej, czyli jego tysiąc koron przedstawia obecnie wartość 666·66 Kor. Tysiąc koron musi dać obecnie za towary, które przedtem kosztowały 666·66 kor. Podobne straty ponieśli właściciele listów zastawnych, słowem wszyscy kapitaliści o stałych dochodach. Społecznie dotkliwsze są straty i urzędników i robotników, których dochody okazały się mało zmienne. W lepszem położeniu znaleźli się kapitaliści, którzy obecnie wypożyczają pieniądze na procent wyższy, niż w czasach pokojowych. Przypominam w tej chwili korzystną lokacyę w rentach państwowych.

Może nie weźmie mi to Czytelnik za złe, że wtrącę uwagę

etycznej natury do kroniki ekonomicznej. Zyski i straty wojenne są bardziej przypadkowe niż pokojowe. Ich związek ze zdolnościami, z pracą, z uczciwością jest dosyć luźny. Mnożą się zarobki niegodziwe, bo ubywa sposobności do godziwych, spekulacyjne, bo ubywa zarobków normalnych.

Ostatecznie okazuje się, że wielu zyskało, wielu straciło. Ale co przeważa? Straty przeważają stanowczo. Zmniejszył się majątek społeczeństwa a jeszcze silniej dochód. W czasach drożyzny pokojowej majątek i dochód społeczeństwa wzrastały. Maleją w okresie drożyzny wojennej. Skąd ta pewność? Nie należy majątku i dochodu obliczać w pieniądzach, bo to nie prowadzi do uchwytnych wyników zwłaszcza w czasach wojennych, albowiem wówczas wartość pieniądza ulega szybkim zmianom, których wielkość jest mało obliczalna. Należy oceniać majątek i dochód wedle ilości dóbr, któremi społeczeństwo rozporządza dla zaspokojenia swych potrzeb. W czasach pokojowych wzrastał stale majątek ludzkich społeczeństw zarówno użytkowy, jak zarobkowy (względnie wytwórczy). Społeczeństwa kultury zachodnioeuropejskiej były oszczędne i przewidujące. Ich uczestnicy na ogół wydawali znacznie mniej, niż zarabiali. Obliczano, że mieszkańcy Francyi, Niemiec, Anglii, Stanów Zjednoczonych oszczędzali rocznie po kilka miliardów franków. Mnożyli majątek użytkowy, kupując dużo dóbr trwałych, przeznaczonych na własny użytek, n. p. obrazy, meble. Gospodarczo ważniejszem było ciągłe pomnażanie warsztatu wytwórczego przez rozszerzanie istniejących, zakładanie nowych fabryk, przez inwestycye rolnicze i inne. W czasie wojny stosunki uległy ogromnej zmianie. Przedtem przemieniano dochód w majątek, obecnie jesteśmy świadkami odwrotnego procesu. Wobec małych dochodów okazała się konieczność czerpania z majątku.

Te wypadki dały powód do wygłaszania wielu sprzecznych i bałamutnych sądów, pochodzących z pomięszania kapitału (majątku zarobkowego, względnie wytwórczego) rzeczowego (maszyny, surowce, budynki fabryczne itd.) z pieniężnym. W czasach pokoju wzrastał kapitał jeden i drugi, w czasie wojny wzrasta tylko pieniężny, który jest drugorzędnym w stosunku do rzeczowego. Wzrost kapitału pieniężnego nominalnego w czasie wojny jest niewątpliwy, ale należy przestrzedz przed przecenianiem jego rzeczywistego wzrostu. Kasa oszczędności m. Krakowa

miała przed wojną około 30 milionów koron wkładek. Obecnie przybyło około kilka milionów koron. Przypuśćmy, że posiada około 33 miliony koron. Wedle rachunku poprzednio podanego siła kupna tych 33 milionów jest równa sile kupna 22 milionów koron przed wojną. Nominalnie majątek złożony w kasie wzrósł o 3 miliony czyli o 10%, w rzeczywistości pomniejszył się o 8 milionów koron czyli o $26^2/_3\%$. Gdyby wkładki złożone w kasie wzrosły były do 45 milionów, dopiero wówczas możnaby stwierdzić, że majątek złożony w kasie nie uległ pomniejszeniu. Zdaje się, że w żadnym banku, ani w żadnej kasie oszczędności wkładki nie wzrosły w tym stosunku. Natomiast przybyło dużo kapitałów pieniężnych w formie pożyczek udzielanych państwu na prowadzenie wojny.

Trudno osądzić, czy wzrost kapitałów pieniężnych jest tylko nominalnym, czy też jest wzrostem siły kupna? Jedno jest pewnem, że narazie nie przysparza społeczeństwu nowego majątku rzeczowego. Po ukończeniu wojny objawi się niewątpliwie dążność zamiany kapitału pieniężnego na rzeczowy. Właściciele kapitału pieniężnego zapragną zapewnić sobie w ten sposób jego odpowiednie oprocentowanie. Na razie działalność inwestycyjna jest ścieśniona, niemal zanikła. Rolnicy wycinają lasy w wyższym stopniu, niż przedtem. Często wojna je niszczy. Kupcy i przemysłowcy mają dziś więcej gotówki, ale mniejsze zapasy surowca. W gorzelniach kotły miedziane mają być zastąpione żelaznymi, bo miedź jest potrzebna dla wyrobu pocisków. Ubyło złota. Równocześnie wzrasta majątek społeczeństwa. Wybudowano nowe koleje w czasie wojny, które później staną się źródłem pewnych korzyści gospodarczych. Trudno stwierdzić stanowczy ubytek społecznego majątku, ale jest pewnem, że majątek rzeczowy społeczeństwa, a w szczególności warsztat wytwórczy przestał wzrastać.

Dlaczego? Bo ubyło dochodów. Obecne nie wystarczają na mnożenie majątku. W Niemczech produkcya węgla, żelaza, stali mimo ogromnego zapotrzebowania wojskowego tych towarów spadła o $^1/_3$ dawniejszej ilości. Niemieccy ekonomiści obliczają ubytek całego niemieckiego dochodu społecznego na około $^1/_3$, co odpowiada cyfrze powołanych pod broń. Dziś w Niemczech $^1/_3$ osób zarobkujących przed wojną służy w wojsku. Jeżeli znaczna część ludności przestała pracować w fabrykach, w skle-

pach, na roli, a rozpoczęła budować rowy strzeleckie, pomniejszenie wytwórczości owych gospodarstw rolnych, przemysłowych, kupieckich jest nieuniknionem następstwem tego stanu rzeczy. Wojna oderwała szereg rąk od pracy gospodarczej. Stworzyła także szereg innych utrudnień. W tych warunkach zniżka dochodu o $^1/_3$ jest wynikiem korzystnym. Dobrze świadczy o rozwoju organizacyi społecznej, że zniżka nie przybrała większych rozmiarów. *A. Krzyżanowski.*

Z wydawnictw pedagogicznych.

Leksykon pedagogiczny opracowany przez fachowych pedagogów i uczonych niemieckich pod kierunkiem Prof. Dr. Willmann'a[1]), wydany we Fryburgu, omawia w 1200 rozdziałach najżywotniejsze kwestye współczesnego wychowania wogóle, ze stanowiska poglądów katolickich, uwzględniając szczególnie rozwój kultury i pedagogii niemieckiej,

Przy wielkiej ilości i równorodności tematów, zawartych w ramach względnie małych (5 tomów), jędrność myśli i stylu, cechująca tę pracę, ułatwia oryentowanie się w dziedzinie umiejętnej pedagogii nowożytnej. Bogactwo treści powoduje konieczną miejscami pobieżność w traktowaniu niektórych szczegółów, za to znakomicie pomyślany dobór materyału, stanowi zaokrągloną całość, wyczerpującą dziś tak bardzo żywotną kwestyę wychowania.

Encyklopedya ta, to bardzo dobry podręcznik i poradnik dla każdego wychowawcy i mniej nawet zaznajomieni z przedmiotem mogą tam znaleźć wskazówki do poważniejszych studyów samodzielnych, bo nie brak wiadomości bibliograficznych; najwięcej wprawdzie przytoczonych autorów niemieckich, są jednak wzmianki i o poważniejszych pisarzach innych narodów na tem polu.

Zakres pracy w dziedzinie nauk pokrewnych pedagogii, zamierzony przez Leksykon, zaznacza się wyraźnie w rozdziałach pod wyrazami: „*Erziehung*“ str. 1156—1162, „*Hilfswissenschaften*

[1]) Lexikon der Pädagogik (I. II. III. Band) Im Verein mit Fachmännern u. unter besonderer Mitwirkung von Hofrat Prof. Dr. Otto Willmann — herausgegeben von Ernst Roloff Lateinschuldirektor a. D. Freiburg in Breisgau 1913—1914 Herder.

der Pädagogik" str. 788—792 i „*Encyklopädie der Pädagogik*" str. 1070—1074.

Ustępy te wykazują jasno, że o ile praca wychowawcza jest tak dawną jak ród ludzki, o tyle pedagogia umiejętna jest nauką zupełnie nową, jeszcze nieskrystalizowaną, która walczy wprawdzie usilnie o stanowisko samodzielne, tymczasem jednak opierać się musi o wiele innych umiejętności i dlatego w wielu razach waha między rozmaitymi systemami filozoficznymi, przekonaniami społecznemi; chwyta się niejednokrotnie problemów wątpliwej wartości, a stąd rozbieżność jej poglądów, niepewność twierdzeń, która z teoryi przesiąkając w praktykę, powoduje mnóstwo błędów w dzisiejszem wychowaniu, a przez to wyrządza nieraz dotkliwe szkody w życiu i rozwoju narodów.

Pedagogia współczesna, wywalczając sobie samodzielność, a jednostce każdej indywidualną wolność, posiłkując się rozmaitemi teoryami wyzwala się niestety coraz bardziej z pod wpływu religii, co nietylko pozbawia ją wielu środków wychowawczych, ale i podstawowych zasad życiowych, a zerwanie z przeszłością i z poglądami metafizycznymi staje się powodem braku jednolitości w myśli i działalności nowej pedagogii.

Leksykon omawiany znajduje radę na tę chwiejność i niepewność pedagogów, dając im punkt oparcia w zasadach i prawdach wiary katolickiej.

Tam znajdą prawdę i dobro, te dwa źródła mądrości dla swej pracy — tam zrozumieją cel życia i drogi, które doń prowadzą — a z takich wychodząc założeń znajdą właściwy wątek myśli własnej i właściwą ocenę teoryi.

Leksykon więc obok wiadomości z zakresu: fizyologii, biologii, higieny, psychologii, logiki, historyi pedagogii itp., uwydatnia doniosłość nowego, w ostatnich czasach się pojawiającego działu pedagogii pod nazwą „szkoły pracy" t. I. str. 204—212 (*Arbeitsschule*); omawia postępy i zdobycze na polu „psychologii" i „pedagogii doświadczalnej" daje rys historyczny rozwoju szkolnictwa i stanu jego dzisiejszego w krajach świata cywilizowanego; podaje wykaz praw, ustaw i władz szkolnych Niemiec i Austryi; zestawia różnorodne teorye filozoficzne: nie brak też wiadomości z zakresu nauki religii z uwzględnieniem rozmaitych jej działów.

Kwestye metodyczno-dydaktyczne, rozrzucone wszędzie, przeważają w tomie trzecim, gdzie obszernie rozwinięto i opraco-

wano ustępy dotyczące „pedagogii naukowej“ i „filologii“, uwzględniając wydatnie badania doświadczalne inteligencyi dzieci (ich sposoby), laboratorya i przyrządy.

Ustępy treści etycznej są owiane duchem wiary katolickiej. Rozdziały od str. 1098—1136 obejmują pogląd na rozwój dzisiejszej metody katechetyki. Między autorami obok profesorów uniwersytetów widnieją nazwiska duszpasterzy, prałatów i biskupów; obok życiorysów sławnych uczonych — spotykamy żywoty Świętych.

Rozdział pod tytułem „*Christentum als höchste Bildungskraft*“ (str. 664) w kilku ustępach dowodzi, że zaprowadzenie chrześcijaństwa jest w historyi wychowania największem wydarzeniem, które pokazało ludzkości nowe cele i otwarło do nich drogi. Dowodzi też konieczność „autorytetu“ w wychowaniu, i że ten autorytet powszechny to chrześcijaństwo, które dziś jest przeciwwagą wobec wybujałego indywidualizmu i materyalizmu. Pośród odcieni chrześcijańskich wyznań, katolicyzmowi przyznano tu pierwszeństwo. Teologię chrześcijańską widzimy na pierwszem miejscu w rzędzie nauk pomocniczych pedagogii z zastrzeżeniem, że wartość jej nadaje nietylko sama nauka ewangeliczna, ale doniosłość dogmatów zatwierdzonych przez nieomylną władzę Kościoła (str. 1137).

O wartości naukowej dykcyonarza omawianego świadczy również i ta okoliczność, że mimo jego zupełnie katolickiego stanowiska, znajduje uznanie nawet u protestantów, czego dowodem chlubne sprawozdanie recenzentów protestanckich, rozrzucone po czasopismach niemieckich.

Dotąd wyszły dopiero trzy tomy tego niezaprzeczenie wartościowego Leksykonu; z upragnieniem oczekujemy dalszego wydawnictwa, które zapewnie nadal utrzyma się na widocznie dziś zakreślonym poziomie.

Leksykon ten powinien się znaleźć na pułkach bibliotek szkolnych i domowych ku wielkiej wygodzie nauczycielstwa i rodziców. Charakter dzieła informacyjny i orientacyjny w zakresie kwestyi dziś tak żywotnych a często spornych, stanowi dla wychowawcy polskiego przegląd rozwoju kultury powszechnej, względnie zachodnio-europejskiej obok naszej „Encyklopedyi wychowawczej“ polskiej, która zaczęła wychodzić przed 30 laty w Warszawie (wydaw. dziś jeszcze nieskończone), a w której znajdziemy

uzupełnienie wielu w Leksykonie szkicowo zaznaczonych wiadomości i która na razie nie obejmuje najświeższych zdobyczy naukowych, ale za to rozwija nasze narodowe ideały, śledzi rozwój naszej rodzimej kultury, jej oryginalne rysy, przez co wskazuje wychowawcy polskiemu, co ma brać z kultury obcej i jak z niej korzystać, by w wychowanku swoim przygotował Ojczyźnie lepszą przyszłość i należne jej stanowisko wśród ludzkości.

Sebalda Münnichowa.

Opieka nad sierotami wojennemi.

Jedną z najbardziej aktualnych dzisiaj kwestyj, którą wypadki wojenne wysunęły na pierwszy plan, jest sprawa ratowania sierót wojennych. Sprawa ta we wszystkich państwach, prowadzących wojnę, nie schodzi z porządku dziennego, najbardziej zaś chyba piekącą jest jednak w Polsce. Wszystkie bowiem ziemie polskie były, względnie dziś jeszcze są, terenem straszliwych walk. To też liczba nieszczęśliwych sierót, pozbawionych ojca, a i często matki, zdanych na łaskę twardego losu, tułających się i żebrzących o chleb, jest bezwątpienia w naszym kraju największą. Sprawie tej poświęcają przeto koła kierujące we wszystkich trzech zaborach baczną uwagę.

Ratowania polskich sierót wojennych podjęły się w Galicyi w porozumieniu z namiestnictwem, dyecezalne komitety opieki nad sierotami wojennemi, utworzone przy dyecezalnych delegacyach K. B. K. Namiestnictwo wydelegowało niedawno p. radcę dworu Brücknera do zbadania kwestyi sieroctwa wojennego i na podstawie jego autopsyi i konferencyi zadecydował rząd krajowy że doraźna pomoc dla sierót wojennych przyjść może do skutku w całym kraju głównie przy pomocy duchowieństwa, wychodząc z założenia, że jeśli niedola ludzka już w zwykłych czasach szuka i znachodzi naturalnego opiekuna w duchowieństwie, to tembardziej może na tę opiekę liczyć w czasach tak wyjątkowych.

W tej myśli też namiestnictwo wystosowało pismo do zwierzchników z upoważnieniem zorganizowania komitetów dyecezalnych i podległych im komitetów powiatowych, delegując do nich swych przedstawicieli, którzy mają współdziałać z komite-

tami i przedkładać namiestnictwu uchwały, dotyczące nakładów pieniężnych.

Akcyę opieki nad sierotami wojennemi w dyecezyi lwowskiej złożyło namiestnictwo w ręce ks. arcybiskupa Bilczewskiego. Pod jego przewodnictwem odbyło się dnia 23. marca zebranie lwowskiej Delegacyi K. B. K. i przedstawicieli rządu, miasta, sądu opiekuńczego i instytucyj humanitarnych w celu zawiązania lwowskiego dyecezalnego komitetu opieki nad sierotami wojennemi. Po omówieniu spraw merytorycznych i organizacyjnych nastąpiło zawiązanie komitetu pod prezesurą ks. arcybiskupa Bilczewskiego. Reprezentantem rządu w komitecie jest p. starosta i komisarz rządowy m. Lwowa Adam Grabowski. Członkami komitetu są członkowie K. B. K., przedstawicielem sądu opiekuńczego p. prezydent sądu radca dworu Wł. Małaczyński, dalej należą do komitetu przedstawicielka Związku kół ziemianek księżna Władysławowa Sapieżyna i p. Zofia Mrozowiecka, jako reprezentantka „Ochrony Dziecka". Postanowiono utworzyć biuro komitetu przy biurach lwowskiej delegacyi K. B. K. ul. Mickiewicza 26 i zorganizować komitety powiatowe i parafialne.

Dla zebrania wykazów sierót rozesłał już komitet do wszystkich urzędów parafialnych specyalne kwestyonaryusze. Gdyby który z urzędów kwestyonaryuszy tych nie otrzymał, zechce się po nie zwrócić pod powyższym adresem.

Dla Lwowa utworzony zostanie specyalny komitet przy współudziale delegata zarządu miasta i przedstawicieli czynnych instytucyj sierocych i humanitarnych. Fundusze na tę akcyę czerpać będzie komitet z subwencyj rządowych i z ofiar publicznych. Akcya ta będzie miała charakter przejściowy na czas wojny; po wojnie sprawa sierót wojennych ma być unormowana ustawowo.

Za sieroty wojenne uważa komitet: 1) dzieci, które straciły oboje rodziców wskutek bezpośrednich wypadków wojennych lub następstw, jakie wojna za sobą pociąga (śmierć na polu walki, śmierć wskutek szerzących się epidemii lub chorób, wynikłych z dzisiejszych stosunków i t. d.); 2) dzieci, które z powyższych powodów straciły tylko jedno z rodziców — ojca lub matkę; 3) dzieci, których rodzice lub jedno z nich żyją wprawdzie, które jednak wskutek wypadków wojennych zostały przez rodziców opuszczone i pozbawione opieki rodzicielskiej. Powodami

opuszczenia dzieci mogą być n. p. służba wojskowa ojca, uprowadzenie rodziców, zaginienie rodziców przy ewakuacyi, w czasie popłochu, bitwy i t. d., nieuleczalna choroba, wynikła wskutek wypadków wojennych, niezdolność do pracy, utrata całego mienia z powodu wojny, a więc brak środków na utrzymanie i wychowanie dzieci i t. p.; 4) dzieci, które już dawniej (przed wojną) straciły rodziców, względnie ojca lub matkę, a które obecnie z powodów podanych pod 1 i 3 straciły również swych opiekunów, którzy utrzymywali je i wychowywali.

Polski komitet dyecezalny zajmować się będzie dziatwą wyznania rzymsko-katolickiego, umieszczając ją w ochronkach, przytuliskach, zakładach i t. p. lub u zaufanych osób prywatnych, które opieki nad dziećmi podejmą się z poczucia miłosierdzia ludzkiego, a nie z chęci zarobku i wyzysku.

Do opieki nad sierotami wyznania grecko-kat. i mojżeszowego powołane zostały specyalne komitety ruskie i żydowskie.

W ostatniej chwili przychodzi wiadomość, że analogiczny oddział opieki utworzył się w Krakowskim Komitecie Biskupim pod prezydencyą Księcia-Biskupa.

Zadanie względem przyszłego pokolenia w dobie obecnej.

Straszne dzisiejsze czasy miną, a pozostanie konieczność pracy twórczej, by odbudować, co zniszczało, a to, co pozostało, rozwinąć, udoskonalić, ugruntować, poprowadzić na wyżyny rozwoju i potęgi.

Stąd obowiązkiem społeczeństwa tworzyć, wychowywać, dostarczyć w dostatecznej liczbie żywotnych sił dla tej upragnionej i świetlanej przyszłości narodu naszego.

Najważniejszemi siłami żywotnemi tak w teraźniejszości jak i przyszłości — to dzieci i młodzież. Zachowanie młodzieży wśród tej zawieruchy dziejowej i wychowanie jej najkorzystniejsze dla przyszłości narodu, to sądzę, najważniejsze zadanie społeczeństwa polskiego w obecnej dobie.

Wiele jest zadań w obecnej chwili względem dzieci i młodzieży. Chodzi więc o to, jak ująć i co wybrać i co postawić jako najważniejszą sprawę w obecnej dobie.

Przejdziemy pokrótce potrzeby i zadania naszej młodzieży w obecnej dobie.

A najpierw trzeba nam sobie uprzytomnić, jakie są kategorye młodzieży, wśród których potrzeba troski i pracy:

1. Obojga płci młodzież sieroca.
2. Młodzież biedna.

3. Młodzież fizycznie upośledzona (kaleki).
4. Młodzież umysłowo dotknięta (matołki).
5. Młodzież zaniedbana.
6. Zwyrodniała (przestępna młodzież).
7. Młodzież moralna, zdrowa i dobra.
8. Młodzież wybitna i zdolna do rozmaitych działów pracy i stanowisk na wszystkich polach społecznych.

Każda kategorya potrzebuje specyalnych środków, specyalnej troski i opieki, specyalnych kierowników i pedagogów, specyalnych metod zastosowanych do wieku, płci, stopnia, stanu, stanowiska i innych warunków miejscowych i narodowych itd.

Zaznaczono głównych osiem kategoryi. Jasna rzecz, że do tych 8 kategoryi młodzieży można podciągnąć jeszcze inne, więcej specyalne działy młodzieży.

U nas na ziemiach Polskich nieprzeliczone legiony są młodzieży sierocej, ubogiej, fizycznie i umysłowo upośledzonej, zaniedbanej, częściowo lub całkowicie zwyrodniałej.

Kto u nas po naszych miastach i miasteczkach, nawet po najmniejszych wsiach i wioskach policzy te całe tłumy bez opieki wystarczającej i potrzebnej, wyrzucone na ulicę, i których ulica żywi, utrzymuje i wychowuje. A liczba ich zwiększyła się jeszcze w skutek tej strasznej wojny, gdy przemarsze wojsk, głód, choroby i nieraz ostatnia nędza sprowadziły jeszcze większy upadek moralny młodzieży, i jeszcze większe braki fizyczne, umysłowe i duchowe młodzieży wszystkich kategoryi.

Dzisiejsza młodzież stała się widownią nieznanej dotąd ani u nas, tembardziej u innych narodów, nędzy materyalnej i upadku moralnego i rozpętania wszelkiego zła w wychowaniu.

Wytworzyło się przytem takie zamięszanie tak u rodziców jak i opiekunów w sprawie ratowania i wychowania młodzieży, że właściwie każdy chodzi jak chce, każdy robi jak chce, każdy robi jak może i jak potrafi. A wielu wcale zu-

pełnie nic nie robi. Sama przeważnie się młodzież, a właściwie ulica ją wychowuje.

Nadto, może najfatalniejszym błędem i największym nieszczęściem, że nawet czynniki społeczne, co mają obowiązek umiejętnej opieki, troski i pracy w ratowaniu i wychowaniu młodzieży, też w wielu wypadkach, w sobie mają jakieś zarodki chorobliwe, wydające ze siebie n i e p r o d u k t y w n o ś ć.

U nas bardzo dużo się robi. Pomaga państwo, pomaga kraj, pomagają gminy. Jest prawodawstwo pupilarne i opieka państwowa i krajowa. A dobroczynność i miłosierdzie prywatne też jest bardzo liczne. Dowodem tego rozmaite działy tej opieki prywatnej po naszych miastach i wsiach, a zwłaszcza w Krakowie; choćby tylko przejrzeć broszurę Radcy M. Szybalskiego: *„Krakowskie zakłady poświęcone ochronie dzieci"*.

Bezwątpienia, tem co niżej powiemy, nie chcemy wszystkiego i wszystkiej pracy około polskiej młodzieży w czambuł potępić, i od czci i wiary odsądzić, bo rzeczywiście wiele jest instytucyi i prac, które odpowiadają celowi i spełniają swe zadanie, o ile mogą je spełnić w danych warunkach. Jednak z drugiej strony nie powinno chodzić każdej z osobna instytucyi lub poszczególnej pracy o wypełnienie jako tako swego celu, ale o wydobycie, ze wspólnej akcyi i pracy około ochrony i wychowania młodzieży, jak największej sumy dodatnich, pożytecznych, trwałych rezultatów dla wspólnego zdrowia, równowagi, rozwoju i świetności całego narodu.

Po tem zastrzeżeniu, musimy mimo to uznać, że u nas w tej pracy coś tkwi wadliwego i chorobliwego.

Uderza nas w tej pracy, czy publicznej, czy krajowej, czy prywatnej, czy w innych rozmaitych typach pracy około dzieci i młodzieży:

1). Po pierwsze: za mała opieka, za szczupła troska krajowa i publiczna, za mała liczba instytucyi i organizacyi prywatnych w sprawie ratunku, ochrony i wychowania młodzieży w stosunku do potrzeb wszystkich kategoryi młodzieży.

2). Następnie uderza nas brak ścisłej, silnej i fundamentalnej na wszystkich polach organizacyi, tak, by ta praca nie

była zależna li tylko od osób, od wewnętrznych i zewnętrznych przypadkowych czynników, ale sama w sobie miała oparcie, siłę, życie, możność i twórczość życia, trwania, rozwijania się i udoskonalania się. Większość tych instytucyi, zakładów, towarzystw uposażenie ma niewystarczające, wegetuje, spi, zamiera. A już rzadko która praca nad młodzieżą, choć długie lata istnieje, podaje do wiadomości publicznej statystykę i rezultaty swej pracy wychowanych jednostek na stanowiskach życiowych.

3). Jeszcze uderza nas, że ta praca publiczna, czy prywatna około młodzieży nie rozwiązuje wszechstronnie problematów, w żadnej z tych wyżej wspomnianych kategoryi.

N. p. weźmy kategoryę młodzieży fizycznie upośledzonej. My, pomimo rozmaitych usiłowań i prób, nie potrafiliśmy utworzyć dobrze urządzonych ognisk dla ślepych, głuchych, niemych, kulawych, garbatych, sparaliżowanych i t. p. A przecież na ziemiach polskich całe tysiące były i są fizycznie upośledzonej młodzieży, we wszystkich formach i odmianach upośledzenia i kalectwa.

4) Po czwarte uderza nas to ustawiczne zaczynanie na nowo każdej pracy w sprawie ochrony i wychowania młodzieży.

Jedni drugich wciąż krytykują, jedni drugich pracę obalają i na nowo według swego widzimisię, w ciasnem kółku zaczynają. Jedni drugich pracę uważają za wadliwą i nieodpowiednią, a więc zatem jako nieodpowiednią trzeba ją porzucić, a nową tworzyć. I tak bez końca. Zamiast budować coraz więcej, silniej, spoiściej, doskonalej, to my wciąż stawiamy od początku, lub poprawiamy, przerabiamy, a częstokroć z karykatury robimy jeszcze większą karykaturę i taką nieraz pracę pokiereszowaną, na wszystkie strony rozpoczętą, a nigdzie nie wykończoną, zostawiamy następcom.

Jasna rzecz, i siłą konsekwencyi, takiej pracy rezultat jest k o ł o w a c i z n ą.

Istotnie — robi to wrażenie z „Wesela Wyspiańskiego“ — owego tańca z chochołem.

Otóż ważne pytanie, co nam trzeba zrobić, by na wszystkich polach i zagonach społecznych w ratunku i wychowaniu dzieci i młodzieży obecną wieloliczną działalność, bądź co bądź w wielu wypadkach pożyteczną, nietylko utrzymać, błędy i wady z niej pousuwać, ale przedewszystkiem tak ją stworzyć i ustalić, by wreszcie stanęła na silnych fundamentach istnienia, rozwoju, udoskonalenia się i wydawania ze siebie pożytecznych i trwałych, coraz doskonalszych i ulepszonych rezultatów.

Ale ponieważ trudno o wszystkiem mówić i wszystko naraz przeprowadzić, bo byśmy się zgubili w tym dziewiczym lesie, — i nie wydobyli się z tych powikłanych ugorów i zarośli, — dlatego potrzeba sobie zdać sprawę, jakie jest pierwsze zadanie społeczeństwa polskiego względem przyszłego pokolenia w obecnej dobie.

Otóż dla jasnego postawienia kwestyi należy w jedno słowo, w jedną myśl, w jedną tezę ująć to zadanie społeczeństwa naszego względem przyszłego pokolenia w obecnej dobie.

Otóż trzeba nam *planowej akcyi*, mającej na celu wyłącznie ochronę dzieci i młodzieży we wszystkich kategoryach, okresach i warunkach życiowych, i całkowite przez wszystkie okresy i stopnie życia, aż do zdobycia odpowiedniego stanowiska społecznego.

A więc n. p. — zaopiekowano się nieznanem niemowlęciem. Otóż trzeba je przeprowadzić przez wszystkie okresy życia. Ma być więc sprawa ratunku i wychowania na pożytecznego obywatela, czy obywatelkę, tak przeprowadzana w tem niemowlęciu osierocałem umiejętnie i celowo, tak w okresie niemowlęctwa, potem dziecięctwa, a potem w okresie młodzieńczym tak długo, aż stanie na odpowiedniem stanowisku pożytecznej, własnej i społecznej produktywności. I tak trzeba postąpić z każdym rodzajem młodzieży, potrzebującym państwa, kraju i społeczeństwa, ratunku i wychowania.

A i to ujęcie kwestyi młodzieży jest za ogólne, i takie postawienie sprawy zawsze, a w szczególniejszy sposób w obecnej dobie nie wykonalne.

Więc schodząc do szczegółowej akcyi planowej w obecnej dobie, dla przyszłego pokolenia, uważać należy pierwsze i najważniejsze zadanie:

1. Domy poprawcze w odpowiedniej liczbie, dla zaniedbanej i zepsutej młodzieży obojga płci.

2. Następnie, dla dzieci i młodszej młodzieży sierocej i ubogiej, w odpowiedniej liczbie ochrony i domy wychowawcze.

3. Dla starszej zaś młodzieży w odpowiedniej liczbie, po wszystkich miastach i wsiach organizacye wraz z sekretaryatami.

Na czem każde zadanie w szczególności polega:

1). Najpierw rozbierzmy sprawę *domów poprawczych*. Planową ich akcyę na pewnych zasadniczych i wytycznych podstawach należy zbudować.

a) Najpierw trzeba dobrze rozróżnić domy poprawcze od domów wychowawczych.

b) Domy poprawcze niech staną w odpowiedniej liczbie. A gdy warunki potem pozwolą i stan zaniedbania i zwyrodnienia moralnego się zmniejszy z powodu planowej, systematycznej i wytrwałej i umiejętnej akcyi, to pewną liczbę domów poprawczych będzie można zamienić na domy wychowawcze lub im podobne instytucye.

c) Domy poprawcze niech będą zbudowane i urządzone raczej w systemie familijnym. Jakkolwiek i system familijny ma swe braki, bo — *nihil perfectum in mundo* — jednak tak ze względów apriorystycznych, jak z rezultatów doświadczalnych, raczej trzeba się skłaniać ku systemowi familijnemu.

d) Sprawy domów poprawczych jako sprawy nadwyraz ważnej i potrzebnej w obecnej chwili nie odkładać, *ale ponad wszystkie inne sprawy dać jej pierwszeństwo*, i użyć wszystkich środków i sposobów, do jaknajprędszego ich przeprowadzenia.

Od 30 lat w kraju ta sprawa się toczy. Przez te 30 lat ile było narad, uchwał, zebrań, komisyi i t. d. Kto to policzy? I dopiero wreszcie po tylu latach, na podstawie wniosku komisyi administracyjnej i uchwały sejmu z roku 1905, Wydział

Krajowy nabył majątek — Przedzielnica — obok Dobromila, na osadę poprawczą dla zepsutej młodzieży. Uchwałą zaś z dnia 12 października 1907 r. Sejm Galicyjski celem uczczenia 60-go jubileuszu panowania Cesarza Franciszka Józefa I., przeznaczył sumę $1^1/_2$ miliona Koron, na założenie krajowej osady poprawczej i polecił Wydziałowi krajowemu, aby poczynił odpowiednie kroki przygotowawcze, celem wprowadzenia tej osady w życie.

I znowu kilka lat upłynęło.

Nastał rok 1914, a osada ta poprawcza w całej pełni, nie weszła w życie. Nastała wojna i znowu zastój. — Jakże wielka i niepowetowana szkoda, to dopiero teraz się pokazuje, a zwłaszcza baraki choceńskie w całej pełni ten smutny fakt stwierdzają, jak wiele całe nasze społeczeństwo traci, że nie ma domów wychowawczo-poprawczych.

A przy tem jeszcze ważna uwaga. Wprawdzie pod Dobromilem, znajdzie może pomieszczenie w niedalekiej przyszłości 200 moralnie zepsutych chłopców. A z resztą chłopców i dziewcząt co będzie? których jeszcze może kilka set, a może i tysiące są, całkowicie lub częściowo zwyrodniałych. Albo marnie zginą, albo co jeszcze gorsze, szerzyć będą dokoła zgubną demoralizacyę, i straszne zwyrodnienie moralne, na niepowetowaną szkodę polskiego społeczeństwa.

To też sprawa domów poprawczych, nie głosem wstydu i boleści, ale wprost krzykiem ostatniej rozpaczy woła do społeczeństwa polskiego, o ratunek i szybkie załatwienie tej arcyważnej i może najważniejszej sprawy w dobie obecnej dla zdrowej przyszłości narodu.

2. *Domy wychowawcze sierót i ubogiej młodzieży.*

a) Tu najważniejszy postulat to odpowiednia liczba tych domów, któraby odpowiadała obecnym potrzebom i obecnej chwili. Tem więcej ta kwestya potrzebuje szybkiego załatwienia zawsze, a zwłaszcza obecnie, że z powodu wojny, chorób, nędzy, tułactwa, zaniedbania, dzieci tysiącami marnieją i mrą. Na dowód choćby tylko jeden przykład: to cmentarz choceński, który pozostanie na wieczną pamiątkę, ile polskich nie-

mowląt i dzieci zginęło i wciąż ginie. Sprawa ta ważna jest także ze względu na przyszłość. Stąd wszelkie żłóbki, ochronki, bursy, internaty i t. d. jednem słowem, *domy czysto wychowawcze*, ratujące ubogie dzieci i ubogą młodzież — otóż znowu kwestya, co w obecnej dobie, też wybija się na jedno z pierwszych miejsc.

b) Następnie przeprowadzenie kwestyi segregacyi w takich domach. *Absolutnie do domów czysto wychowawczych nie przyjmować ani dzieci, ani młodzieży zepsutej lub matołkowatej.*

c) Wychowawcze te domy, oprzeć o wyszkolone i umiejętne zasady wychowawcze, i urządzenia odpowiednie wychowaniu na nasze czasy i według potrzeb narodu naszego. Dziś, niektóre domy wychowawcze w naszym kraju wprost urągają wszelkim prymitywnym potrzebom i urządzeniom domów wychowawczych. W tych zakładach przeprowadzić gruntowną sanacyę i otoczyć je rzetelną opieką i umiejętną kontrolą.

3. *Organizacya starszej młodzieży po wszystkich miastach i wsiach wraz z sekretaryatami.*

a) Jeden z największych błędów i braków w sprawie ochrony młodzieży i jej wychowania, to zaniedbane i wadliwe zajęcie się starszą młodzieżą.[1])

Daremne będą wszędzie prace i trudy społeczeństwa, gdy sprawy wychowawczej organizacyi starszej młodzieży nie ujmie się w umiejętne i wyszkolone ręce.

b) Otóż trzeba koniecznie i bezwzględnie starszą młodzież wszystkich stanów, tak po miastach, jak po wsiach, zorganizować, zwłaszcza jej życie pozaszkolne i pozarodzinne.

c) Dalej zaprowadzić przy jednem z takich stowarzyszeń sekretaryat, przynajmniej jeden na całą okolicę. W naszem społeczeństwie dlatego tak wiele marnieje młodzieży dla produktywnej przyszłości narodowej, że tak rodzice jak opiekunowie, a nawet inne czynniki społeczne: jak szkoły i odpowiednie społeczne organizacye, wybór przyszłego stanowiska u starszej młodzieży pozostawiają przeważnie przypadkowi

[1]) Ktoby chciał gruntowniej zapoznać się z tą kwestyą niech przeczyta broszurę tegoż samego autora: „*W sprawie pracy w rozstrzygającym okresie*".

a nie planowej akcyi, któraby wskazała i pokierowała starszą młodzieżą, jak, i jaką drogą, i za pomocą jakich środków i sposobów może zdobyć sobie dana młoda jednostka odpowiednio do swych warunków i zdolności stanowisko społeczne.

d) Zadaniem takiego sekretaryatu właśnie przedewszystkiem byłoby zajęcie się i kierowanie przyszłem stanowiskiem starszej młodzieży. Czy dana jednostka nadaje się do gimnazyum, czy do realnej szkoły, czy ma pójść na rolę, czy do rzemiosła i przemysłu, czy do handlu, czy do innych zawodów. Nadto te sekretaryaty i biura mogłyby też się zająć, czy dany chłopiec lub dziewczyna nadaje się do domów poprawczych, czy do domów wychowawczych. Takie sekretaryaty miałyby kontakt i stosunki z wszelkiemi instytucyami i działami prac społecznych, na polu ratunku i wychowania młodzieży. Przeprowadzałyby wymiany i zamiany młodzieży z odpowiedniemi instytucyami. Zajęłyby się odpowiedniem umieszczaniem młodzieży po zakładach szkolnych czy wychowawczych, tak państwowych i krajowych, jako też podjętych przez prywatną humanitarną działalność.

Jak te sekretaryaty i biura dla młodzieży są potrzebne, to dowodem jest sekretaryat krakowski, przez który w krótkim czasie nie setki, ale tysiące osób przeszło li tylko w sprawach przyszłego stanowiska młodzieży.

e) Sekretaryaty i biura dla młodzieży wprost kolosalne przysługi by wyświadczyły, w obecnej dobie, dla przyszłości zdrowej i potężnej całego społeczeństwa, boby nad wyraz podniosły pożyteczną i wszechstronną, *produktywność ilościową* jednostek na wszystkich polach w całem społeczeństwie.

Pomijając inne różnorodne i wieloliczne korzyści, sekretaryaty te i biura mogą wielkie usługi oddawać tem, że polską młodzieżą pokierują w kierunku wytworzenia produktywnych sił wytwórczych na roli, w przemyśle i handlu. Jest to postulat pracy wychowawczej może najważniejszy doby obecnej, by wreszcie wyleczyć nasze społeczeństwo z przestarzałych i wadliwych zapatrywań i ze wstrętu kształcenia swych

synów i córek na zdolnych rolników, przemysłowców, rękodzielników i kupców.

Sekretaryaty te i biura szerzyłyby i podtrzymywałyby uświadomienie społeczeństwa naszego, że młodzież naszą trzeba za młodu pouczać, wpajać, przekonać, że ideał publicznej posady urzędniczej nie jest najwyższym ideałem społecznym, ale że ideał dzielnego rolnika, rękodzielnika, przemysłowca, kupca, również jest ważnym i zyskownym, nawet pod pewnym względem i w wielu okolicznościach ważniejszym i zyskowniejszym, niż stanowiska urzędników, adwokatów, lekarzy i t. d. Przez podniesienie rolnictwa, przemysłu i handlu szersze i liczniejsze warstwy społeczne znajdą zajęcie, utrzymanie, stanowisko, a przez to *z powodu więcej równomiernego rozdziału dóbr materyalnych, i wolności osobistej*, da się szerokim warstwom „średni", tak zwany przez socyologów „złoty dobrobyt", zawierający w sobie znakomite lekarstwo przeciw nędzy materyalnej, i moralnym upadkom szerokich warstw naszego społeczeństwa.

Dobre i konieczne są u nas w kraju dla podniesienia rolnictwa, przemysłu i handlu: szkoły, kasy oszczędnościowe, kooperatywy, zapomogi państwowe i krajowe, towarzystwa mające na celu powstrzymanie od sprzedaży, zwłaszcza po miastach, realności, placów, gruntów, domów w obce ręce itp. *Wszystko to dobre, ale bez wychowania i wykształcenia z młodzieży rzetelnych, sumiennych, wyszkolonych sił wytwórczych, na polu rolnictwa, przemysłu i handlu, wszystkie powyższe środki i sposoby będą zawodzić wciąż*, przy tem sprawa będzie się wikłać, opóźniać i obracać się jak w zaczarowanem kole.

Równoczesne wraz z innemi środkami wytworzenie i wykształcenie w odpowiedniej liczbie wyszkolonych sił wytwórczych, postawi dopiero silne fundamenta dla rozwoju u nas rolnictwa, przemysłu i handlu a tem samem postawi też silne fundamenta równowagi, zdrowia i potęgi narodu.

A teraz nasuwa się pytanie, kto w powyższym potrójnym kierunku akcyę planową ma ująć w swe ręce i jak ją przeprowadzić?

Odpowiedź krótka.

Wszystkie czynniki społeczne muszą sobie podać ręce. Państwo, kraj, gminy, humanitarna działalność, tak publiczna jak prywatna.

W szczególności pod rozwagę i zastanowienie oddaje się następujący projekt praktycznego ujęcia sprawy ratunku i wychowania młodzieży, by przynajmniej w przyszłości była lepszą i by raz wreszcie w całej pełni planowa akcya miała w sobie podstawy trwałego życia i ciągłego rozwoju.

Czyby nie należało stworzyć Krajowej Opiekuńczej Rady dla ratunku i wychowania młodzieży obojga płci, któraby nie mieszając społecznej i humanitarnej działalności nad starszymi, *wyłącznie zajęła się li tylko ratowaniem i wychowaniem wszelkiej kategoryi dzieci i młodzieży na całej ziemi Polskiej*. Przy współudziale więc, rodziców, ze wszystkich sfer, umiejętnych pedagogów, duchowieństwa, i innych pracowników społecznych, którzy tę kwestyę uważają za najważniejszą w rozwoju i odrodzeniu narodu, taka Rada krajowa z siedzibą n. p. w Krakowie, organizowałaby Rady powiatowe po miastach, a te znowu zajęłyby się organizacyą Rad parafialnych.

Zadanie każdej Rady Opiekuńczej byłoby:

1) teoretyczne nauczanie rodziców, opiekunów i innych czynników społecznych o moralnem, fizycznem, narodowem i gospodarczem (o odpowiednich zawodach) wychowaniu młodzieży.

2) Opieka nad podrzutkami, sierotami i dziećmi ubogich rodziców (nie mających czasu ani sposobu na dobre wychowanie dzieci) przez staranie się o fundowanie ochronek, domów wychowawczych i t. d.

3) Opieka nad młodzieżą zepsutą i zaniedbaną, przez staranie się o odpowiednią liczbę domów poprawczych i umieszczenie w nich tego rodzaju młodzieży i czuwanie nad celowością i rozwojem tych zakładów.

4) Również rozpostarły by te Rady Opiekuńcze swą opiekę nad młodzieżą fizycznie czy umysłowo upośledzoną.

5) Skierowanie młodzieży wiejskiej i miejskiej do odpowiednich zawodów, by jak największa i jak najszersza warstwa młodzieży wszystkich kategoryi zdobyła sobie pożyteczne dla siebie i narodu stanowiska.

6) Dalszem zadaniem byłoby Rad Opiekuńczych organizowanie kulturalno-społecznych Towarzystw, po miastach i wsiach dla wszystkich kategoryi dzieci i młodzieży, we wszystkich stanach, sferach, okresach i objawach ich życiowych i t. d.

Jestto tylko naszkicowanie celów. Z biegiem czasu i doświadczenia, same warunki i potrzeby około polskiej młodzieży wskażą, w jakim kierunku i jak szeroko zakreślą sobie zadanie Rady Opiekuńcze.

(Dok. n.).

Ks. Mieczysław Kuznowicz.

W siedmdziesiątą rocznicę Henryka Sienkiewicza.

Wśród dobrych bóstw, które nie przestały czuwać nad całością i siłą naszego ducha, przebywać musi niewątpliwie i troskać się o nas serdecznie jakiś niezłomnie w nas wierzący jakiś wyłącznie nam oddany Apollo polski, bóg Piękna i twórczości. Gdy się wydawało nieraz, że wszystkie inne źródła energi, narodowej wysychały, gdy więc wszystkie inne bóstwa twarz swą, rzekłbyś, od Polski odwracały, on jeden, patron Janów z Czarnolasu, Sępów-Szarzyńskich, Sarbiewskich, on jeden, utajona moc ich lutni i cud ich mowy, nie przestawał schodzić na naszą ziemię i kłaść na serca bierzmo swojej łaski.

A rozmaitymi znakami znaczył w nich to bierzmo. Gdy do jednych z nich szeptał: „Ty będziesz bólem grobów ojczystych", — drugim znowu dopowiadał: „A ty grobów tych mścicielem". „Ty bądź pomrukiem posępnym" — mówił innym. — A ty znowu żelazem, co wypala rany ojczystych grzechów!"

Tak po dniach tragicznego przeważnie bierzmowania dusz polskich, po romantyzmie, po Matejce i Grottgerze, stało się tak, że dobre bóstwo zgarnęło zda się wszystką krasę, jaką odnalazło na polskiej ziemi, wszystką radość, jaka płynie potokiem po dnach naszej rasy, wszystkie pogody przeszłości polskiej, całą godność i chlubę lat minionych i nieuronioną wiarę, pewność polskiego na wieki bytowania — zebrało, słowem, co jest z urody ducha polskiego, uśmiech naszej ojczyzny i to

wszystko w szczodrym darze złożyło w siły twórcze jednego człowieka. Tym szczęśliwym wybrańcem, tą umajoną duszą, osypanym w dębowy liść talentem jest ten, którego siedmdziesiątą rocznicę życia właśnie obchodzimy: — Henryk Sienkiewicz.

Jeśli jednak tak jest, że we władze twórcze Sienkiewicza zbiegło się wszystko, co stanowi dorodność polskiego bytu, jasność i wdzięk ojczystej naszej haźni, jeśli tak jest, to trzeba tutaj zaraz na miejscu powiedzieć, iż talent Sienkiewicza nie okazał się niewdzięcznikiem.

Jakby w podzięce za wyjątkowe obdarowanie, talent ten, od najpierwszych swych poczynań wpatrywał się we wszystkie jasne, budujące strony czy to naszej psychyki, czy naszych dziejów i z niesłabnącym entuzyazmem odziewał je w rycerski strój swojego języka i w pióropusz swojej świetnej wyobraźni. Autor „Trylogii" nie mniej od każdego z nas znać musi wszelkie zło i wszelaki upadek, związany z tem słowem: Polska. Niemniej od każdego z nas dręczyć się musi grzesznością i zbrodniami przeszłości. Ale gdy w dziedzinę jego twórczości wejść ma ten temat: Polska, wówczas umysł jego odrzuca precz wszystkie epoki i wszystkie szczegóły upadku, małości, niefortuny, idzie wprost do ikresów i wydarzeń tych, gdzie wybucha sława, wielkość i piękno Polaków. Jest z tych, których wzrok nie czepia się ran i ropienisk ojczystych. Popod powłoką zła żywie dla nich nieśmiertelne zdrowie plemienne, rzeźkość niewymierających sił i czynna radość narodowej psyche. Te władze wydobyć, ukazać, opromienić w słońcu swego zachwytu, wypowiedzieć w rytmie mowy z Kochanowskiego wprost rodem, wyrzeźbić w nieprzemijający kształt, napełnić dla nich uwielbieniem każde serce polskie — oto co przyniewalało zawsze twórczość pisarza polskiego, którego imię stało się własnością całego cywilizowanego świata. Optymizm owocny, ta władza, która nie wyklucza daru krytycyzmu, która jeno ponad krytycyzm usadza wiarę; optymizm owocny, ten szczegół energii duchowej, bez którego może być negacya, ale bez którego nie może powstać czyn; optymizm owocny: połączenie jasności

myślenia z rozjaśnieniem uczucia, ten błogosławiony dar był i jest pierworodnem wołaniem indywidualności Sienkiewicza. Ten to, owocny, wolny od otumanień egzaltacyi, optymizm sprawia, że uczucie Sienkiewicza bałtycką naszą nizinę stale na Giewontową wyż w górę unosi, a mazowieckim piachom ukrainnymi każe szumieć łany, na znak, że wszelki poziom i wszelka skala — we wnętrzu człowieka, w mocy jego wiary w siebie, spoczywa.

Ten to właśnie optymizm owocny dodajmy do talentu tak wprost olbrzymiego, a jasnem się stanie, dlaczego „Trylogia" w tym momencie czasu, w którym się po raz pierwszy ukazała, stać się musiała nietylko k s i ą ż k ą, ale i faktem dziejowym, jakim się stała naprawdę.

Był to czas, kiedy historya i publicystyka odbywały nieustanny rachunek sumienia z Rzeczpospolitą. Spowiadały dzieje Polski z każdego czynu przodków, z każdej przyczyny, jaka domniemanie doprowadzić musiała nas do niewoli. Nie darowano żadnemu objawowi zła, nie przepuszczono żadnemu błędowi, na stole tortur rozciągnięto widmo przeszłości i sprawowano nad niem sąd. Mistrzyni życia, historya, stała się tu w tym wypadku inkwizytorem polskich serc. Pastwiono się nad świadomością pokolenia, które tego rachunku sumienia słuchało, a które wówczas, po roku 1863, bardziej może niż kiedykolwiek kto w Polsce domagało się kojącej ręki, otuchy, rekonwalescencyjnej pociechy. Generacya popowstaniowa rozumem swym przyznawała słuszność temu piekącemu żelazu, które przykładano do jej świadomości, potakiwała krytycyzmowi, który rozkrawał wnętrze dziejów, ale uczuciem, więcej niż uczuciem, bo instynktem samozachowawczym, więc wolą istnienia, wołało o jakiś ratunek i o jakiś nakaz, któryby przerwał dręczycielską pracę rozgrzebywania ran. Generacya ta podświedomie, ale żywiołowo chciała mieć ową przeszłość zatrzymaną na linii legendy, chciała mieć nienaruszoną wizyę, chciała ją mieć odzianą w purpurę, postawioną przed swojemi oczyma, jako punkt celowy swojego pochodu.

I oto w takim momencie dusz pojawia się „Ogniem i mie-

czem", a po niem ani na piędź nie mniejszy ciąg dalszy: „Potop". Temat jakby wybrany z laboratoryum tego samego historycyzmu, który przeprowadzał z przeszłością rachunek sumienia, temat idealnie inkwizycyjny, bo przypomnienie jakże bolesnych dla naszej samowiedzy czasów: panowanie Jana Kazimierza, Żółte Wody, Korsuń, a potem jeszcze straszniejszy najazd Szwedów, upadek wszelkiej wiary w siebie, w Polskę, zaprzedawanie ojczyzny, sronotme klęski, złowroga konfrontacya archaicznej struktury naszego państwa z nowożytnością urządzeń wojskowych Karola Gustawa, słowem czas, który był jakby generalną próbą rozbiorów. Z całą więc odwagą podjęty temat, z którego duch czasu, duch pozytywizmu wyprowadziłby najczarniejsze obrazy.

I „Trylogia" nic nie tai z prawd dziejowych. Pełnym głosem czyni wyznanie z win i nikczemności epoki. Ale cała jej nowość, nieoczekiwana siła polega na tem, że po wyznaniu i krytyce nie stawia kropki i nie pisze wyrazu: *finis*, jak to czynił duch epoki pozytywistycznej. Po wyznaniu tem stawia przecinek, jakby dla nabrania tchu, poczem z całem przekonaniem, z całą tężyzną wiary wypowiada słowa: „a jednak duch narodu umiał się podźwignąć nawet z takiej otchłani upadku. Wróg posiadał całą nieomal ziemię i wszystkie nieomal dusze Polaków, a jednak Polska nie zginęła".

Ta garstka, co nie utraciła wiary, ten boski sęp Czarniecki, ten w orła przemieniony gołąb Kordecki, te jakieś kilka tysięcy luda, posłuszne im, zdołały przecie w konsekwencyi zwyciężyć, wypędzić nieprzyjaciela z kraju, byt państwowy z odmętu ruiny na poziom historyczny wynieść, o stulecie całe przedłużyć byt niepodległości. Zdołały ten cud uczynić, bo przeciw ufności ufali, niezłomnie wierzyli w moc własną i wmoc narodu, i mocą tą przeciągnęli z powrotem na swoją stronę cały naród.

Ten gromowy pracownik w warsztacie swojej wiary Czarniecki, ten ku niebiosom uniesiony Polak Kordecki i ta cała garść istnych szlachciców niezłomnych, koło nich skupiona, ten drobny liczebnie legion ufności... czy to był tylko dziejowy

przypadek? — pyta utajona myśl „Potopu". Czy mogło się i tak zdarzyć, że właśnie wówczas zabrakłoby Czarnieckiego i Kordeckiego?... Nie!

Utajona myśl „Potopu" mówi do nas, że Czarniecki, Kordecki, Sapieha, Lubomirski, ta dziwna garstka wierzących wbrew rzeczywistości, musiała się znaleźć w Polsce w czasie szwedzkiego czy innego zalewu, bo duch Polski, odwieczne poczucie się w sobie, musiało wydać takich ludzi. Nie może przez kilka potężnych wieków budować państwowej świadomości naród czy plemię, które tak jest słabe, że w jednym dniu potem się rozleci. Musi w społeczeństwie żyć i działać siła, która w godzinę dopustu wyda ze siebie widome znaki woli, hartu, charakteru. Czarniecki czy Kordecki, to nietylko indywidua, jednostki, ale i utajone siły całej ojczyzny. Zarówno też „Ogniem i mieczem", jak i „Potop" malumą nam bogactwem argumentacyi epickiej ten związek między historycznymi bohaterami i bezimienną siłą duchową narodu. Mieni nam się w oczach od tysiąca bezprzykładnych bohaterstw, poświęceń, animuszu i pogardy śmierci. Pod gnębiącymi wypadkami dziejowymi płynie i szumi nieśmiertelna żywotność plemienia. Jaśnieje cnota, lśni męstwo, pieni się kawalerski humor, któremu bitwa jest zabawą, błyszczy nieutrudzona szabla konnego szlachcica, dzwoni swoją za Polskę modlitwę szum skrzydeł husarskich, przewala się przed naszemi oczami istne kłębowisko czynów, a każdy z nich nie na codzienną uciosany miarę. Tak staje przed nami wola Polaków trwania w polskiej formie.

Adam Grzymała-Siedlecki.

Ankieta w „Correspondant".

W dwutygodniku paryskim „*Le Correspondant*" z 25 grudnia 1915 r. umieścił *Alfons Seche*, wybitny znawca literatury, artykuł znamieny dla charakterystyki najnowszej twórczości literackiej Francyi. Jest to rodzaj ankiety, którą rozpisał *A. Seché* do grona najznakomitszych pisarzy na temat: jaką była literatura francuska przed wojną, a jaką będzie po wojnie. Oprócz głosów odpowiedzi zamieszcza autor artykułu własne spostrzeżenia i wnioski, oparte tak na bezpośredniej obserwacyi wydarzeń literackich ostatnich kilkunastu miesięcy, jakoteż będące owocem poprzednich dłuższych studyów i badań.

Wyszukanie i ustalenie cech charakterystycznych literatury przed wojną, a z tego wysnucie wniosków, jakie prawdopodobnie będą jej tendencye i znamiona po zamknięciu krwawej karty — oto cel ankiety. Na wstępie, zdając sprawę z własnych zapatrywań, któremi też kolejno przeplatać będzie zdanie przytoczone swych kolegów, autor artykułu porównuje wrażenia, odbierane przez obserwatora najmłodszej generacyi literackiej, do wrażeń spoglądającego z wysoka na ruchliwy, rozbawiony tłum, w czasie zabawy ludowej na jarmarku, tłum swawolący wśród ogłuszającej kakofonii organków, piszczałek i gwizdków. Obfitość i różnorodność płodów literackich, a dziwna przytem jałowość. Widoczny przesyt buduarową literaturą o chorobliwym nastroju, widoczne szukanie nowych dróg, nowych akcentów wypowiedzenia. Jedni zwracają się do klasycyzmu, nie by naśladować, lecz szukać wskazań — tych obrzucają przezwiskiem „reakcyonistów" naprzekór twierdząc, że „klasycyzm" właściwie nic nie mówi, bo każda miniona epoka staje się

dla następnej klasyczną. Momenta polityczne zyskują zwolenników w szeregach literackich, a poeci i powieściopisarze stają się rzecznikami socyalizmu, rewolucyonizmu, nacyonalizmu i t. d. — Ponad wszystko rozbrzmiewa krzyk za nowością, odrzucenie wszelkich krępujących prawideł, ni rymu — ni rytmu. Zdaje się paradoksem twierdzenie, że w tym chaosie wyczuwało się tęsknotę za opanowaniem i zorganizowaniem, a jednak z poza abstrakcyi anarchistycznych budzi się powiew prawd odwiecznych, dokonywuje zwrot do koncepcyi filozoficznej, w większej części pod wpływem *Bergsona* i *Boutroux*.

Przechodząc do szczegółów bierze pod uwagę powieść i przytacza głos *Emile Faguet'a*; ten stwierdza, że ta gałąź literatury już na kilka lat przed wojną zaczęła zajmować się poważnemi kwestyami socyalnemi, rozważaniem przyczyn rozlicznych nędz i niedomagań społecznych.

Paul Margueritte w odpowiedzi na ankietę nie formułuje opinii swej o powieści, daje natomiast pogląd na różnorodność talentów, w barwny sposób charakteryzując szereg najmłodszych romansopisarzy, laureatów nagrody *Goucourt'ów*, wysnuwając stąd wniosek, że powieść jest zwierciadłem życia, którego zawisłości odbija wedle usposobienia i rodzaju umysłowości twórców.

W sądzie o poezyi zauważają zgodnie *Etienne Lamy* i *Emile Faguet*, że znika wszechwładnie w niej w XIX. w. panujący romantyzm i symbolizm, oraz zatapianie się w uczuciach egoistycznych; cechy te występują jeszcze silnie w utworach kobiecego pióra, choć tu i ówdzie odzywa się i u nich (n. p. poezye hrabiny *de Noailles*) ton poważniejszy i więcej skupienia.

W twórczości najmłodszych poetów przebija zdrowy, naturalny oddźwięk życia czynnego, energicznego. Okno poezyi szczelnie zamknięte na realne życie przez *Guerin'a* otwieraj oni na oścież.

Wolniej niż w poezyi dokonywa się przemiana pojęć i form w teatrze i to kiełkowanie nowinek poczyna się na małych scenkach wtedy, gdy pierwszorzędne tkwią jeszcze na dobre w realiźmie. Młodzi dramaturgowie zwrócili swe usiłowania, by dekoratywność i naśladownictwo realizmu życia zmienić na walory idealistyczne, uwydatniające wielkie tęsknoty serca ludzkiego. Nie jest to dramat tezy, ten umarł z *Dumas'em* (synem) lecz dramat ideowy, który wprowadzają: *Saint-Georges de Bouhelier*, *Marie Lenern*, *Georges Duhamel*, *H. K. Lenormand* i i. Ze starszych pisarzy wymienię *A. Seché-Paul*

Hervien'ge, jako wznowiciela tragedyi klasycznej w świeżej szacie, jeszcze w czasach rozkwitu teatru realistycznego. Satyrę społeczną w wielkim stylu odważył się wprowadzić na scenę *Emile Fabre*. Podziw wyraża krytyk dla utworów *Francois de Courel* i *Eugene Brieux*, także reformatorów sceny nowoczesnej, a jako twórców teatru „uduchowionego" wymienia: *Charles Pegny'ego*, *Paul Claudel'a* i *Francis Jammes'a*.

Kończy 1-szą część ankiety *Saint-Georges Bouhelier* ogólnym rzutem oka na tendencye teatru nowoczesnego. I w tej ocenie wybija się na pierwszy plan, oprócz falangi błyskotliwych widowisk, których jedyną wartością efemeryczne powodzenie chwili, charakter głęboki, niemal mistyczny, stwierdzony na szeregu pierwszorzędnych autorów dramatycznych młodej Francyi. Czemuby wojna nie miała właśnie podsycić tego zarzewia? pyta *Bouhelier* — owszem wstrząsające przeżycia tych wielkich dni bardziej niż inne skłonne są do skierowania prądu myśli narodowej ku tym tajemnie szumiącym borom, gdzie wsiąka krew bohaterów, żywiąc nowymi sokami starą legendę rycerskiej ojczyzny.

Ten głos skierowany ku przyszłości otwiera drugą, o wiele bardziej interesującą część ankiety: literatury francuskiej dziaękaor po wojnie? Krytyk ankiety *A. Seché* uprzedza, że w opi-atb inicy a niach przytaczanych będą sprzeczności, lecz raczej odnoszące się do szczegółów, niż do tła ogólnego i po przeczytaniu poprzedniej części ankiety czytelnik z łatwością powiąże w całość poszczególne zdania. I tak: *Maurice Barres* określa charakter francuzów, jako nadewszystko miłujących wolność, nieznoszących żadnych systemów i entuzyazmuje się dla potęgi sympatyi, którą francuzi niosą światu; wyraża nadzieję, że to współodczuwanie z innymi wzmoże się po zawarciu pokoju i jako wspaniała narodowo odrodzona literatura tryśnie tryumfująco. Unoszony patryotycznym zapałem *M. Barres*, czyni wyrzuty rodakom, że zbytnio ulegali wpływom zareńskim i przez to wytworzyli nastrój duchowy, pozwalający wrogowi zawołać z Mefistem „oddałeś mi swą duszę, przychodzę Cię zagarnąć". Ale pociesza się, że jak w kontrakcie Fausta z dyabłem był warunek „jeżeli potrafisz odwrócić tę duszę od jej źródła pierwotnego", tak w rzeczywistości, gdy dusza narodu wojną z uśpienia zbudzona, zwróci się do życiodajnego źródła: tradycyi narodowej, warunek zatraty nie spełni się, natomiast naród zaspokoiwszy swą godność, upokorzoną po prze-

granej 71 roku honorowym pokojem, będzie mógł pozwolić sobie na swobodną zażyłość intelektualną z swoim sąsiadem.

W odpowiedzi *Louis Bertrand'a* również odzywa się ton wyrzutu do kierowników ruchu umysłowego Francyi za nieznajomość sił i ducha sąsiadów, za falowanie od bezwzględnego podziwu do zaprzeczania im wszelkiej wartości, za złośliwe, groteskowe żarty, bałamucące opinię publiczną, zamiast zdawania sobie sprawy z całej powagi położenia. U *Bertrand'a* przeważają polityczne napomnienia, a kwestyi literackich mało, o tyle tylko, że wiąże on je z omawianemi powyżej w nadziei odnalezienia ich śladów w literackim dorobku najbliższej przyszłości.

Inicyator ankiety przytakuje gorąco tym słowom i spodziewa się, że ten pożądany ton narodowy, to hasło czynu, przedewszystkiem zabrzmi w natchnieniu poetów.

Poczem mówi *E. Verhaeren* — poeta o wielkim wpływie na młode pokolenie braci literackiej. Głos jego jest głosem nadziei, że z wielkich chwil ważenia się losów narodu wytrysną potężne źródła natchnień, obleczone w formę piękną i nową, która zatryumfuje nad bezpłodnymi sporami między zwolennikami klasycyzmu czy romantyzmu, parnasistami czy symbolistami. Wszystko to stanie się przeszłością, bo młodość musi zawołać: „teraźniejszość — niczem, przyszłość — wszystkiem", musi wstrząsnąć się twórczości nowej dreszczem, inaczej dowiodłaby swej bezsilności.

Podobnie formułuje nadzieje co do poetów jutra, mistrz słowa, sam dopiero wstępujący w ich szranki, ale już z laurem na skroni: *Nicolas Baudiun-Cécile Perin*, pieśniarka miłości macierzyńskiej która w 1914 r. uzyskała narodową „nagrodę poezyi"; w odpowiedzi swej na ankietę zwraca uwagę na nowe źródła twórcze i dla talentów otwierające się wśród wrzawy wojennej, na wielkie pole miłosierdzia i współczucia z cierpiącymi.

Szerokim rozmachem kreśli pióro świetnego krytyka *E. Fayuetta'* pogląd na idee: patryotyzmu i humanitaryzmu, które, zdaniem jego, staną się zasadniczemi ideami francuskiej twórczości w najbliższym powojennym okresie. *F.* spodziewa się, że uczucia odświeżą się i zrzuciwszy obce naleciałości, odkryją głębie duszy francuskiej, gdzie zawsze panowały: szlachetność, miłość wolności, wytworny smak, wstręt do trywialności i banalności. Jako nauczycieli prawdziwej wzniosłości wskazuje żołnierzy-bohaterów.

Paul Margueritte ufa, że zetknięcie z trudami i wielkiemi cierpieniami wzmoże zmysł obserwacyjny, wrażliwość i szczerość, a to są owe wielkie przymioty pisarzy, dające rękojmię rozkwitu literatury pięknej.

Autorka zdrowych moralnie i zrównoważonych dzieł jak: *Princesses de science, Les Cerrelines, Le Metier de roi*, w liście swym głosi wiarę w zbogacenie myśli francuskiej w elementa energii, poświęcenia, w zanik sceptycyzmu i partactwa duchowego. Co zaś do stanowiska kobiet w literaturze powiada z humorem, że nie omieszkają skorzystać z ogólnego odświeżenia i odmłodzenia uczuć, by przerzucić się z wrodzoną kokieteryą od literatury o pozorach starzenia się do nowych prądów... rycerskich.

Prócz tych, obszerniej zacytowanych oraz z nazwiska tylko wspomnianych krytyków, którzy zgodnie przeważnie przewidują zespolenie się w melodyę, harmonijną tych tonów, które zapewnią literaturze charakter wzniosły, mistyczny niemal, na wzór gotyckich katedr ku wyżynom strzelających, są i głosy sceptyków, dworujących z tych wzniosłości, twierdzących, że „wszystko zostanie po staremu", a literatura wojenna przemknie na kształt błyskawicy (*Lucian Decares*) zaś odnośnie do teatru zgryźliwą uwagę notuje *Urbain Gohier*: „powinien stać się zdrowym, moralnym, wesołym, wzmacniającym, ale będzie bardziej żydowski niż kiedykolwiek, histeryczno-patryotyczny, a nieszczerość tych wykrzykników urągać jeno będzie subtelnym uczuciom".

Naprzekór tym zgrzytom krytyk „*Temps'a*" *A. Brisson* uważa wojnę niemal za „szczęśliwą katastrofę", tyle przywiązuje nadziei do jej wpływu moralizatorskiego, który też i scenie narzuci sztuki o zakroju bohaterskim lub wesołym, lecz wyświęci z niej dekadentyzm, szarpiący nerwy, które będą zbyt zbolałe, by ścierpieć tego rodzaju utwory, jakimi karmiono w przedostatnich czasach do przesytu publiczność w swem zblazowaniu nieodporną już, stępiałą.

Nowy dyrektor teatru „*La Comedie Francaise*" *E. Fabre* w swej odpowiedzi uzasadnia pogląd na spodziewany wielki przewrót w rozwoju sztuki dramatycznej tem, że wyobraźnia, uczucia, cała umysłowość i wrażliwość młodych musi inaczej ukształtować się w tak wyjątkowych warunkach, jakie stwarza wojna, a ta zmiana wywoła oddźwięk w całokształcie życia, zatem i w sztuce dramatycznej. Zastrzega się przeciw nieomylności sądu, mówiąc, że nic bardziej zwodniczego jak rola proroków, gdyż wywody logiczne mogą być

najściślej zbudowane, jeśli jednak popełniono pomyłkę bodaj w jednym szczególe, runie cały misterny gmach. Drugie zastrzeżenie czyni co do czasu mających nastąpić zmian i przytoczone przypuszczenia odnosi do chwili dojrzenia talentów, obecnie jeszcze bardzo młodego pokolenia, bowiem zmiany takie nie dokonywują się z dnia na dzień. Duży wpływ na przekształcenie wartości scenicznych przypisuje też *E. Fabre* zmianie stanowiska kobiety, bo czyż można przypuścić, by tę, co widziano w tragicznych chwilach rozłąki z ukochanymi: mężną i spokojną, ujmującą ster spraw gospodarczych, handlowych czy urzędowych w zastępstwie walczącego mężczyzny; tę, która stanęła przy łożu okaleczałych i skrwawionych, poniewierano nadal na deskach teatru, jak to czyniono przez pół wieku, odtwarzając ją jako istotę płytką, rozpustną, zdolną do miłosnych awanturek jedynie?

Interesujący dyalog z *Paul Hervien* przytacza także autor ankiety; głównie uderza w nim zdanie, że wojna przyspieszy rozkwit idei demokratyzacyi narodu, a teatr żywiący się obserwacyą życia i rozstrząsaniem problemów socyalnych, odzwierciedli usankcyonowanie praw ludu.

Następują uwagi *A. Seché* o wpływie konfliktu francusko-niemieckiego z 1870 r., oraz wojny wogóle na literaturę, uwagi, oparte o przegląd utworów, zapisanych w bibliografii francuskiej w 71-72 r. Widać z tego, że najwięcej ożywienia duchem patryotycznym przebija w poezyi; wymienia krytyk kilkanaście dzieł pisarzy tak wybitnych jak: *Coppeé, Lecoute de Lisle, Ed. Pailleron, V. Hugo* i i., natomiast w teatrze wena patryotyczna nikłe zostawia ślady; w romansie najsilniej uderza ton satyry mieszczańskiej (*Daudet'a: Tartarin de Tarascon, Halevy'ego: Mr. et Mme Cardinel,* Zola zaczyna seryę swych *Rougon-Macquart*). Uderzającym objawem tych lat jest mnogość dzieł, tłomaczonych z niemieckiego lub wprost studyów o Niemczech. Kilku pisarzy zajęło się kwestyą ogólnego wpływu wojen na literaturę i zauważają, że wojny dostarczają najczęściej tylko tematu do dzieł, ale nie przyczyniają się do wytworzenia nowych pojęć. Najdobitniej uwydatnia się to przekonanie w odpowiedzi *J. Bertant'a,* z której wynika, że ideą przewodnią literatury francuskiej przed 1 sierpnia 1914 r. była idea narodowa z szaloną, niepohamowaną siłą opanowującą wszelkie dziedziny myśli; że ewolucya w tym kierunku wzrośnie jeszcze po wojnie, lecz nie dzięki wojnie, gdyż sztuka raczej wysila się, by ludzkości po krwawych okropnościach jak najrychlej dać zapomnąć — tak więc wojna jest

dla literatury rodzajem kataklizmu w rodzaju trzęsienia ziemi, który może natchnąć do pewnej liczby dzieł, ale decydującego wpływu na nią nie wywiera. W tym samym sensie odpowiada *H. Bergson*; wyznaje, że zawsze zbijał teoryę zależności doktryn filozoficznych od zewnętrznych okoliczności i zdarzeń. Wprawdzie *post factum* można próbować udowodnienia, że ta lub owa myśl spekulatywna wiąże się z danem środowiskiem, lecz tosamo możnaby uzasadniać przy zupełnie odmiennych wynikach!

Przeczy temu autor ankiety dowodząc, że wojny nie można wykluczać z całokształtu stosunków: intelektualnych, ekonomicznych, socyalnych i politycznych, składających obraz życia w danej epoce; skądże więc myśl spekulatywna zapładniałaby się poza nią, skoro czerpie swe soki z ogólnego ukształtowania się stosunków? Jednak uznaje, że jeżeli prawie wszyscy pisarze, wciągnięci w ankietę, zgadzają się na to, że literatura francuska powojenna zmężnieje, nabierze pierwiastków ożywczych, zdrowych, pogłębi myśl narodową i zwycięsko wstrząśnie z siebie zeschłą skorupę dekadenckiego cynizmu, to nie dlatego jedynie, że była wojna, lecz, że już w okresie bezpośrednio przed nią były zadatki w literaturze na rozwój tych idei. Wojna zatem nie zmienia łożyska prądów duchowych, nurtujących dane społeczeństwo, ale przyczynia się wywołanem wstrząśnieniem do szybszego dojrzenia kiełkujących dążeń, do uchronienia ich przed rozpraszaniem się, nadając epoce charakter poważny, przyjazny rozkwitowi głębokich i wzniosłych idei.

Zofia Korczyńska.

Z pamiętnika legionisty.

Gdy Anioł Wojny mieczem płomiennym zaświecił nad polską ziemią, poszli młodzi rycerze w bój.

Był między nimi Stanisław Mitera, młody nauczyciel gimnazyum IV w Krakowie.

Urodzony 10 sierpnia 1890 r. w Skołyszynie, uczęszczał do szkoły ludowej w tejże miejscowości, był uczniem gimnazyum w Jaśle, a później w Podgórzu, studyował w Uniwersytecie Jagiellońskim, oraz w Uniwersytecie w Berlinie.

Kończąc studya, w r. 1913 został odznaczony nagrodą konkursową „Przeglądu Powszechnego" za piękną i pokaźną rozprawę p. t.: „Indywidualność twórcza Skargi". Praca ta ukazała się drukiem w „Przeglądzie Powszechnym", a także w osobnem wydaniu książkowem (Kraków 1913, stron 202 wielkiej ósemki). Tegoż roku 1913 Mitera ogłosił w „Pamiętniku Literackim" rozprawę o „Kazaniach pogrzebowych Skargi".

Życie uśmiechało się młodemu uczonemu. Rozpoczął pracę nauczycielską i jasnemi oczyma z pod wysokiego swego czoła spokojnie, ufnie patrzył w przyszłość.

Jeszcze będąc słuchaczem uniwersytetu, zaciągnął się w szeregi Sokolstwa w Podgórzu i, jako prawdziwy, dzielny druh, nie tylko oddawał się życiu towarzyskiemu, lecz także z wielkiem zamiłowaniem uprawiał ćwiczenia gimnastyczne i ćwiczenia wojskowe.

Wybuch wojny nie zastał go nieprzygotowanym. Wstąpił do Legionu wschodniego, gdy zaś ten został rozwiązany, udał się na Węgry do III pułku Legionów.

Stamtąd wysłano go do Szkoły Podchorążych, a po jej ukończeniu — władze wojskowe wyznaczyły mu pracę w kompanii etapowej w Gorzkowicach.

Zawód spotkał naszego podchorążego. On pragnął jak najprędzej stanąć w pierwszej linii bojowej — oko w oko z Moskalami!... Dlatego starał się usilnie o nowy rozkaz, nowe przydzielenie.

Początek września 1915 r. przyniósł mu szarżę chorążego w V pułku Legionów. Prowadził więc Mitera pierwszy pluton trzeciej kompanii, a następnie, po wyjeździe porucznika J. Z. na dłuższy urlop, otrzymał komendę kompanii.

Żywot chorążego składał się z wielu czynności, wielu działań, wielu niebezpieczeństw. Brał udział w niejednej bitwie i niejednej potyczce, których tyle stoczyli nasi bohaterowie. W kul świście, wśród huku dział, wśród szczęku bagnetów — on, spokojny jak zawsze, nie tracił zimnej krwi, śmiało nadstawiał pierś swą bohaterską.

Ale nie tylko odważnym i śmiałym był komendantem! Był także dobrym i kochanym komendantem, dobrym i kochanym kolegą. Jak w całem swojem życiu, tak i na posterunku wojennym, podbijał sobie serca wszystkich, którzy z nim się zetknęli. Żołnierze chętnie szli za takim wodzem, a w gronie oficerów liczył wielu serdecznych przyjaciół.

Aż przyszedł dzień 22 listopada. Wczesnym rankiem wyruszył na czele patrolu do zgliszcz wsi, położonej przed okopami. Tam zetknął się z placówką rosyjską. Z obu stron padły strzały i jeden z pierwszych — ugodził go w serce samo...

Silne patrole przez dzień cały strzegły zwłok dzielnego komendanta, dwóch ludzi przytem odniosło rany, na szczęście lekkie. Dopiero pod osłoną nocy przyniesiono ciało do okopów i w trumnie złożono.

Trzeciego dnia koledzy-żołnierze o świcie znieśli trumnę chorążego z placu boju, złożyli na wóz, otulili choiną i powieźli na miejsce wiecznego spoczynku do Wołczecka. Na przodzie konduktu postępowała orkiestra legionowa, żałobnemi pieniami głosząc żal za poległym żołnierzem. Przed wozem postępował pluton pierwszy kompanii trzeciej, najbardziej umiłowany przez Miterę. A za trumną kroczyli oficerowie, przyjaciele zmarłego, z komendantem Legionów, eksc. Durskim, na czele.

U wrót cmentarza przyjaciele wzięli trumnę na ramiona. Kapelan modły odprawił i garść ziemi sypnął. Muzyka zagrała, gruchnęła salwa pożegnalna...

W końcu dwaj oficerowie weszli do jamy grobowej i na rękach spuścili trumnę na dół. Poczem ciż oficerowie-przyjaciele jęli się łopat i mogiłę usypali wysoką i krzyż zatknęli sosnowy...

Spoczął w ziemi jeden z najlepszych synów Polski, jeden z bohaterów.

Na ołtarzu ofiarnym Ojczyzny złożył on całopalną z życia młodego ofiarę, wierząc mocno, niezachwianie — że takich ofiar dymy przed tron Boży idą i lepszą przyszłość wyjednają dla Narodu.

. . . . . .

I jeszcze jedno: Mogiła Stacha liliami niewinności kwitnąć będzie...

Michał Bronisław Peter.

* * *

Chorąży Stanisław Mitera zostawił po sobie Pamiętnik (z miesięcy letnich 1914 r.), w którym odbiła się cała Jego dusza kryształowa i serce, pełne idealnych uczuć. Podaję (za zezwoleniem Rodziny) kilka rozdziałów. *M. B. P.*

Oczekiwanie rozkazu. Najwięcej obawiałem się chwili pożegnania, godziny, w której Rodzice mieliby się dowiedzieć, że idziemy. I oto dziś właśnie przed południem powiedział Felek Tatusiowi, że już rozkaz wymarszu wyszedł. Nie wiem, czy to prawda, a nawet mocno wątpię, bo przeróżnych bajek i pogłosek dziś pełno, ale być może... Wiadomość ta podziałała na mego Najdroższego Tatusia, jak grom. Pod pierwszem wrażeniem zagroził, że nie pozwoli mi iść na walkę. Tak! pomyłki być mogą... Mój Boże! czyż powstanie Kościuszki nie było pomyłką? Czyż walka Francyi z Prusami w r. 1870 nie była pomyłką? A któż rzuci kamieniem na tych, co wtedy wypełnili swój obowiązek? To właśnie przeświadczenie, że spełniam mój najświętszy, choć i najtrudniejszy obowiązek, umacnia mię i napełnia otuchą. — Wielką, ogromną osłodą jest dla mnie zachowanie się Tatusia i Mamusi. Ach, jak trudno byłoby mi uciekać z domu bez pożegnania — od zagniewanego ojca, od rozpaczającej matki! To, że Tatuś dał się ostatecznie przekonać, iż tak być musi

że i Mamusia moja Najdroższa okazała bohaterską równowagę i cierpliwość, to wszystko uspokoiło mię ostatecznie, tak, iż po przystąpieniu do spowiedzi i Komunii św. pójdę z lekkiem, z radosnem sercem w bój. Ciężkie będzie jeszcze rozstanie z siostrami Isią, Helą i Mieciunią, ale ufam, że, jako Polki, nie zapomną o męstwie naszych prababek, które same wyprawiały mężów na bój, albo o spiżowej duszy tej Spartanki, która powiedziała synowi, podając mu tarczę do walki: „Z nią wróć zwycięzcą albo trupem na niej!“ — Chwila jest rzeczywiście straszna. Biada narodowi, któryby w takiej godzinie miał serca zajęcze, nie bohaterskie, nie polskie! I oto chwila ta nadeszła! Cofnąć się — to znaczy przekreślić całą naszą pracę nad utrzymaniem polskości, przekreślić wszystkie nadzieje na przyszłość. — Jeżeli w Austryi zgłaszali się tacy ludzie do boju, jak 62-letni ks. Windischgraetz i równie podeszły wiekiem ks. Auersperg, to cóżby można powiedzieć o mnie, gdybym nie stanął, jako polski żołnierz, pod sztandarem z orłem polskim i Matką Boską Częstochowską (4-go sierpnia).

Poczucie obowiązku. Nadeszła chwila, w której dla nas Polaków niema wyboru. Gdy wyjdzie rozkaz zbiorowej woli Narodu, muszą — koniecznie muszą iść ci wszyscy, co dotąd przygotowywali się do swej przyszłej roli. Mierząc wynik świętością sprawy i zapałem, powinniśmy być pewni zwycięstwa! .... A przecież na razie jest mi smutno!

Zaprawdę nie trwożę się o swe własne życie, tylko o Waszą boleść (pisze z myślą o swej rodzinie. Ale należy w takiej chwili zachować wiarę w Boga i hart duszy. Kto wie, czyby było lepiej, gdybym dalej żył . . . Dzisiejsze życie tak często paczy i krzywi dusze nawet najzacniejsze — i może Pan Bóg, zabierając mię wcześniej, zamierzy w swych nieodgadnionych wyrokach ochronić mię od przyszłych niebezpieczeństw duchowych. Gdybym poległ teraz, polegnę z czystą duszą, z nieskalanem jeszcze sercem, z wiarą w Opatrzność Bożą, ze szczerą nadzieją zbawienia. A dalej — mówili dawniejsi Polacy, ci, których serca były wykute ze spiżu, że śmierć za ojczyznę to najpiękniejsza śmierć. Mamy przecież przykłady z dziejów naszych, że osiwiali rycerze tęsknili wprost do tej chwalebnej śmierci na polu chwały. Ja do niej nie tęsknię, ale też życie, które nieraz dało mi się poznać z niezbyt przyjemnej strony, zbytnio nie cenię. — Zresztą największa nawet miłość rodzinna nie mogłaby mnie powstrzymać od wypełnienia obowiązku. Tu nawet niepewny

rezultat nie zmniejsza słuszności sprawy. W razie przeragnej, nie na nas spadnie wina, ale na tych, co wielkiej, wspólnej Matce Ojczyźnie odmówili pomocy. Czytałem niedawno w „Legionach" Sienkiewicza, że Rzym dlatego stał się władcą świata, bo tam każdy obywatel był bez wahania gotów na śmierć *aro aris et focis* — za bóstwa swe rodzinne, za swe pielesze ojczyste. A nam przecież i obowiązek religijny każe miłować Matkę Ziemię, grzechem tedy byłoby porzucać ją w niedoli! Tak uczył Skarga — o! słowa jego głęboko utkwiły mi w duszy. — I cóżby warte było życie, taką hańbą okupione? Jak śmiałbym ludziom spojrzeć w twarz? Wstyd i wieczne wyrzuty sumienia! . . . I czyżby Mamusia lub Tatuś byli szczęśliwi, patrząc na moją mękę? Czyż nie lepiej, tak!? — Bo i, Boże Kochany! czyż nasz pobyt na ziemi wieczny? My wszyscy idziemy do jednego Ojca w niebiesiech i śmierć — to tylko rozłąka . . . Ujrzymy się wszyscy! . . . Ale żeby ujrzeć się wśród duchów światłości, trzeba dobrze przeżyć swój czas próby i obowiązek swój wypełnić. (Bez daty, przed 2 sierpnia).

Rozstanie z rodziną. Dziś właśnie dowiedziałem się, że, powołany częściową mobilizacyą Sokoła, mam udać się z oddziałem druhów do Lwowa. I Tatuś i Mamusia i Siostry — przyjęli tę wiadomość bez łamania rąk, bez próżnych lamentacyi. Bóg Wam stokrotnie za to zapłać! Nie wiecie, wiele dobrego wyświadczacie mi przez to. Jaką dumą napawa mię to, że mam Rodziców i Rodzeństwo, godne dawnych Polaków, co do własnych dzieci nie wahali się strzelać dla Ojczyzny (Głogów)! Ach, jak mię to pociesza. Pół smutku mniej! Wesoło pojadę — o Boże! — aby tylko szczęśliwie powrócić! A jeśli nie . . . , daj Boże Mamusi, Tatusiowi, Siostrzyczkom i Braciszkom Kochanym bohaterskie, wielkie serca, gorącą wiarę i pocieszenie. (7 sierpnia).

Modlitwa przy wymarszu. Daj nam Boże zwycięstwo! . . . Jaśli nie . . . , krew nasza niech okupi szczęście przyszłym pokoleniom! Boże naszych ojców, Jezu Chryste i Ty, Królowo Korony Polskiej, nie opuszczajcie nas! . . . (Bez daty, po 7 sierpnia).

Wiara w nieśmiertelność duszy. Nieraz patrzyłem w gwiaździste niebo, w te miliony światów, wirujących w przestworzu — i podziwiałem wtedy mądrość i wszechmoc Bożą, która ogarnia także ogromy, a równocześnie dziwy tworzy w najmniejszych żyjątkach i roślinach. A jednak naukowo da się uza-

sadnić przypuszczenie, że cała nasza ziemia kiedyś utraci swe bujne życie zupełnie, że nawet cały wszechświat przez wyrównanie sił stanie się martwym, cichym, wiecznie nieporuszonym grobem. A teraz pomyślmy, cóżby za cel miał ten cały, tak mądrze i tak mimo wszystkiego opatrznie urządzony wszechświat? ... Jedynie, gdy się przyjmie nieśmiertelność duszy, uzyska dla nas ten cały, podziwu godny wszechświat cel i sens bytu. — Zresztą wiara nas uczy o nieśmiertelności. — Ja ją czuję, wiem, że jest! — I o cóż tu się trapić? Prawdę mówiąc, ja — gdybym zginął — mógłbym być uważany za szczęśliwego, bo nie będę musiał patrzeć na śmierć Tatusia ani Mamusi, a my wszyscy przecież śmiertelni ... Nie! Wiary tylko trzeba — i to nie takiej, co się, jak nić pajęcza, łatwo przerwie, ale tej wiary pierwszych chrześcijan, którzy ze śpiewem na ustach szli na stos męczeński. Trzeba się, Najdrożsi, uspokoić i wierzyć, że się zobaczymy. Ja będę zawsze koło Was duchem i cieszył się będę, gdy potraficie opanować pierwszy smutek i, zamiast narzekać, powiecie mi wesoło: do widzenia! (Bez daty, przed 2 sierpnia).

Testament Legionisty. Wszystkim krewnym, wszystkim znajomym i druhom — serdeczne pozdrowienie, uściski i pożegnanie i prośba o modlitwę. I wszystkim, wszystkim ... Wedle możności i sił Waszych starajcie się, aby na całym świecie, a przedewszystkiem w Polsce — jak najmniej lało się łez, jak najmniej padało przekleństw, jak najmniej błąkało się sierót i bezdomnych dzieci. Dbajcie o moralne podniesienie Narodu w imię szczytnych haseł chrześcijaństwa. Szerzcie męstwo i wesołość harcerską, która nawet w czasie burzy każe mieć twarz uśmiechniętą. Szerzcie kult siły, ale tylko takiej, która służy ideałom dobra, piękna i prawdy, a dla niezawinionej słabości ma tylko pełną ofiarności i szacunku litość. Ojczyzna niech Wam zawsze stoi przed oczyma — doczesna, Polska — i ta druga, wieczna, o której Skarga tak pięknie pouczał, a gdzie się wszyscy na pewno zobaczymy, co Jezu Chryste nam daj! Amen. (Bez daty, po 7 sierpnia).

Z Księgi Mądrości.[1]

Nie lećcie na śmierć przez życie występne: a nie gubcie siebie sprawami rąk waszych.

Bóg bowiem śmierci nie uczynił: ani się raduje z zaguby żyjących.

Stworzył on wszystko, by żyło: i zdrowem uczynił, cokolwiek zaistniało w tym świecie: w niczem niema jadu śmiertelnego, ani panowania piekła na ziemi.

Sprawiedliwość bowiem wieczna jest, i niezna śmierci.

Ale bezbożni przyzywają ją rękami i słowami: i gdy ją za przyjaciółkę mają, giną: w sojusz z nią weszli, i zasługują, by byli udziałem jej.

Myśląc w sobie przewrotnie, powiadają oni: krótki a smutny jest czas życia naszego, i niema dla człowieka ochłody w śmierci: nie znamy też nikogo, ktoby z piekieł powrócił.

Z niczegośmy się narodzili, i będziemy znowu, jakoby nas nie było: parą jest dech w nozdrzach naszych, i iskrą od uderzenia serca myśl nasza.

Gaśnie iskra, i ciało nasze w popiół się obraca: i duch się rozpływa jak powietrze lekkie: życie nasze przemyka jako ślad obłoku, i znika jako mgła, co się rozprasza od promieni słońca, i opada od gorącości jego.

[1]) Podajemy urywek ze znakomitego przekładu Księgi Mądrości, który Dostojny Autor wkrótce drukiem ogłosi.

Redakcya.

Imię też nasze z czasem idzie w zapomnienie, i nikt pamiętać nie będzie o czynach naszych.

Czas życia naszego przemija jako cień, i koniec nasz bezpowrotny: zamyka się pieczęcią, i żaden nazad nie wraca.

Hejże tedy nasycajmy się dobrami niniejszemi: i używajmy świata nie tracąc czasu, dopókiśmy młodzi!

Nie żałujmy sobie wina drogiego i maści: a niech nas nie ujdzie żaden kwiat wiosenny.

Strójmy się w wieńce z róż, nim uwiędną: niech nie będzie łąki, po której by nie przeszła rozpusta nasza:

Żaden z nas niech nie odejdzie, nie skosztowawszy rozkoszy naszych: pozostawmy wszędzie ślady rozpusty naszej, bo to nasz dział, to cząstka nasza.

Uciśnijmy biednego sprawiedliwego, i wdowie nie przepuśćmy, ani patrzmy na siwiznę starca, poważnego wiekiem.

Siła nasza ma stać za prawo sprawiedliwości: bo co słabe, to do niczego.

Zasadźmy się tedy na sprawiedliwego, bo nam niepotrzebny: sprzeciwia się uczynkom naszym, wyrzuca nam na oczy grzechy przeciw prawu, i rozgłasza grzechy przeciw wychowaniu naszemu.

Utrzymuje, że zna Boga, i nazywa siebie synem Bożym.

Potępia głośno myśli nasze.

Nieznośny jest dla nas i sam widok jego, gdyż życie jego różne jest od życia innych, i odmienne są drogi jego.

Ma on nas za śmiecie: stroni od dróg naszych jak od plugastwa: wysławia koniec ostateczny ludzi sprawiedliwych, i chełpi się, że ma Boga za ojca.

Obaczmyż tedy, czy mówi on prawdę: doświadczmy, co się potem z nim stanie, i jaki będzie koniec jego.

Bo jeśli jest prawdziwym synem Bożym, Bóg go obroni: i wyrwie z rąk nieprzyjaciół jego.

Potwarzą i mękami wybadajmy go, abyśmy poznali cichość jego, i wypróbowali jego cierpliwość.

Skażmy go na śmierć co najsromotniejszą, gdyż według tego, co powiada, ma dostać odpłatę.

Tak oni myślą lecz błądzą: bo zaślepia ich złość.

Nie pojmują oni tajemnic Bożych, nie spodziewają się, by była zapłata świętości, ani uznają nagrody dla dusz czystych.

Bóg bowiem stworzył człowieka nieśmiertelnym: i uczynił go na obraz i na podobieństwo swoje.

Ale przez zawiść szatana weszła na świat śmierć: a w tropy jego wstępują wszyscy, co trzymają z nim.

A dusze sprawiedliwych są w ręku Boga, i męczarnie śmierci nie tkną się ich.

Oczom głupich zda się, że umarli: zgon ich poczytany jest za udręczenie, a odejście od nas za zagładę: lecz oni zażywają pokoju.

I chociaż przed ludźmi cierpieli mękę, atoli nadzieja ich była pełna nieśmiertelności.

Przebolawszy nieco, cieszyć się będą bez miary: bo doświadczył ich Bóg, i znalazł ich godnymi siebie.

Jak złoto w piecu ognistym wypróbował ich, i przyjął ich jako całopalenie: a czasu swego odpłatę mieć będą.

Jaśnieć będą sprawiedliwi, i rozbiegną się jak iskry po trzcinisku.

Będą sądzić narody, i nad ludami panować, a nad nimi Pan królować będzie na wieki.

Arcybiskup Fr. A. Symon.

„Anhelli“ i „Ostatni“.

W maju 1836 r., w Rzymie, poznali się Słowacki z Krasińskim, bardzo prędko przeniknęli się nawzajem i ocenili. Spotkali się w najpiękniejszej porze roku, w maju życia swego: prawie rówieśnicy, obaj ukochanej Muzy polskiej dzieci, już z laurowymi wieńcami na skroniach, rwący się do słonecznych krain fantazyi, patrzyli na siebie z największem zaciekawieniem. Autor trzech tomów Poezyi, Kordyana i niewydanej Balladyny miał zaiste o czem mówić z twórcą Nieboskiej i Irydiona. „Chodziliśmy razem na spacery (pisał z końcem maja 1836 r. Słowacki do Matki swej) i najczęściej przepędzaliśmy wieczory w willi Mills. Jest to ogród, pełny róż i cyprysów, zasadzony na ruinach dawnego pałacu cesarzów rzymskich. Przy świetle księżyca, kiedy kwiaty wydawały dziwne zapachy, kiedy ruiny, otaczające tę willę, przybierały kształt duchów, a Rzym daleki w mgle sinej tonął“ — toczyli obaj poeci namiętne, żywe rozmowy o tem, co było treścią ich dusz, o tem, co było kwieciem ich życia, o poezyi, i tej, co już wydana była, i o tej, co w piersiach młodzieńczych wrzała. Słowacki, jakkolwiek latami trochę starszy, ulegał wpływowi czarującemu młodszego Krasińskiego; nie był to urok przemijający, skoro w półtora roku po tem pierwszem poznaniu, Słowacki w liście do Matki z d. 22 lutego 1838 r. wyrażał tęsknotę do majowych dni rzymskich i tak pisał: „Żal mi, że nie mam tu Zygmunta, którego towarzystwo w Rzymie miało dla mnie, umysłowie mówiąc, lekarskie, uzdrawiające skutki“. Je-

żeli Krasiński pozostawił wrażenia najmilsze Słowackiemu, których nie zatarła ani podróż na Wschód, ani pobyt w Ziemi Świętej — to nawzajem Krasiński z wrodzoną mu przenikliwością poznał się na znaczeniu Słowackiego odrazu; znane są i dawno już do historyi literatury naszej wcielone sądy Krasińskiego, najwcześniejsze o Słowackim. Z Rzymu, 22 maja 1836 r., a więc niemal równocześnie z wiadomością Słowackiego o Krasińskim pisał autor Irydiona do Gaszyńskiego: „Jest tu Jul. Słowacki, miły człowiek, o g r o m e m poezyi obdarzony od niebios. Kiedy ta poezya w nim dojdzie harmonijnej równowagi, będzie wielkim... Mickiewicz nawet sam nie miał (!) tak różnobarwnej i giętkiej wyobraźni. Jednak t r z e b a, by te żywioły doszły w Słowackim do harmonii muzycznej, by sztuczniej jeszcze nauczył się godzić dyssonanse z prawdziwymi dźwiękami. Brak mu czasem p o w a g i, bez której poezya może być miłą igraszką, ale nigdy nie zostanie częścią świata. Tej on nabędzie, bo zdolności tak silne nie ustają, nie słabną, aż odbędą drogę sobie przeznaczoną i wydadzą wszystkie owoce, w nich n a s i e n n i e zawarte“.

W kilka miesięcy potem (20 listopada 1836 r.) uzupełnił Krasiński tę pierwszą charakterystykę p o e t y uwagami bardzo znamiennemi o c z ł o w i e k u: „Słowacki jest w Egipcie... Dziwny to kontrast w tym człowieku: awanturniczy wyobraźnią, tchórz zaś nerwami i całem ciałem. Jest on z tych poetów, którzy nigdy w danej chwili p o e z y i w d z i a ł a n i u mieć nie będą. Zawsze uważałem, że poeci, w których silnego indywidualizmu nie czuć, jak np. w Byronie, są tchórzami: Goethe był nim, Szekspir być musiał; ale za to więcej obejmują, mniej są ludźmi, bardziej są światem. Jest w nich jakiś panteistyczny kunszt, rozlani w cudzych charakterach, w zewnętrznych fenomenach, mniej dbają na godność osobistą; słowem są to s i ł y o g r o m n e d u c h o w e, ale nie ludzie. Tą uwagę jednakowoż o Julku schowaj dla siebie. Ogadywaćbym go nie chciał, tak jakbym w ż a d n y m p r z y p a d k u t a k ż e l i c z y ć n a n i e g o n i e c h c i a ł. Z temi istotami obchodzić się trzeba, jak z morzem, jak z elektrycznością; zważać ich objawy i dziwić się im, jeśli silne, żadnej zaś nadziei ni rachuby na nich nie po-

kładać; w tem ich podobieństwo do kobiet i do sił ślepych natury“.

Co dało powód Krasińskiemu do tak sceptycznej uwagi o rzekomem tchórzostwie Słowackiego, trudno dziś wiedzieć; uwaga ta jest wprawdzie złagodzoną przez wciągnięcie do niej porównania ogólnego z Byronem, Goethem i Szekspirem — nie mniej musiała ona mieć jakiś podkład współczesny, skoro wznosi się aż do przekonania końcowego, że w żadnym przypadku nie chciałby Krasiński liczyć na Słowackiego. Przeczucie, jak w tylu innych razach, nie omyliło tu Krasińskiego: po wielu latach przekonanie powyższe miało się ziścić, a to w takich okolicznościach, że następnie sam Słowacki do pewnej winy wobec Krasińskiego się przyznał.

W r. 1836 i najbliższych przyjaźń, zawarta w Rzymie, trwała jednak w najlepsze, niczem nie zamącona.

W Krasińskim rósł podziw dla twórcy Kordyana. Kiedy po dwuletniem przeszło niewidzeniu spotkali się we Florencyi w drugiej połowie listopada 1838 r. Krasiński oddał wielką przysługę Słowackiemu, który wtedy właśnie dowiedział się o zesłaniu wuja swego do Permy i o prześladowaniu matki, trzymanej przez pięć miesięcy w Kijowie pod śledztwem z powodu sprawy Konarskiego. Wiadomość ta gnębiła czułego i wrażliwego twórcę „Anhellego“; dzięki atoli braterskiej opiece Krasińskiego, Słowacki z przygnębienia moralnego wyszedł zwycięsko, podniesiony na duchu i pokrzepiony. To też wdzięcznem sercem składał Słowacki hołd Krasińskiemu w znanym pięknym wierszu, przy rozstaniu pisanym (4. XII. 1838): „Żegnaj, o żegnaj, archaniele wiary, coś przyszedł robić z mojem sercem czary...“

Krasiński jest tam nazwany wskrzesicielem serc, tym, który stroskane serce przyjaciela wziął na własne łono, ogrzał je i oświetlił. Wdzięczność nie miała pozostać gołosłowną tylko. Krasiński nie przestawał i z daleka czuwać nad przyjacielem samotnikiem.

Z Neapolu pisał do Romana Załuskiego: „Zapoznaj się z Juliuszem Słowackim, pojechał on teraz do Paryża. Znako-

mity to, g e n i a l n y p o e t a i dobry, biedny, o p u s z c z o n y człowiek. Wieleśmy wieczorów przemarzyli razem".

I ponownie 20 kwietnia 1840 r. zapytywał: „Co porabia Słowacki? N i e z n a c i e s i ę t a m n a n i m. To w i e l k i p o e t a. Zupełna sprzeczność z p. Adamem i dlatego właśnie jego następca, zastępca, dziedzic, pod niektóremi względy s z e r s z y c h p ó l w ł a d c a. Krytykę prawdziwie dziecinną „Balladyny" czytałem w „Kronice". Smutno, że taki poeta, takich ma tylko krytyków... Uściskaj Juliusza, powiedz, by mi też odpisał na mój długi list..."

Były to lata najzupełniejszego zaufania wzajemnego obu poetów. Słowacki publiczny oddawał hołd autorowi „Irydyona", poświęcając mu w pięknym liście „Balladynę" i drukując potem drugi list przed „Lillą Wenedą". Oba te listy są ważne w historyi ideowego stosunku obu poetów. Z pierwszego listu można wnosić, że we Florencyi 1838 r. Krasiński odczytywał przyjacielowi „Sen", który z „Herburta" miał potem przejść do „Niedokończonego poematu" Tak rozumiem zwrot następujący: „na spotkanie Twojej czarnej, piorunowej d a n t e j s k i e j chmury prowadzą lekkie, tęczowe i ariostyczne obłoki... twoja chmura większym wichrem gnana i pełniejsza p i o r u n o w e g o ognia — moje wietrzne i różnobarwne obłoki roztrąci i pochłonie".

Miał zatem wówczas Słowacki doskonałą świadomość różnicy wewnętrznej obu poezyi: własnej i Krasińskiego. Odczuwał przytem na sobie lepiej, niż ktokolwiek doniosłość sympatyi duchowej, wiążącej ich obu, kiedy w drugim liście do autora duchowej, wiążącej ich obu, kiedy w drugim liście do autora „Irydyona" zaklinał go w czułej, łzami nasiąkłej odezwie: „tylko ty, Irydyonie, n i e o p u s z c z a j mnie śród zimnego światła słuchaczy, tylko ty mi nie daj uczuć chłodu, który mi na czoło od twarzy ludzkich powiewa... Ile razy z t o b a byłem, zdawało mi się, że wszyscy ludzie mają oczy rafaelowskie, że dosyć jest jednym słowa zarysem pokazać im piękną postać duchową, że dbać nie trzeba o niedowidzenie, a chronić się przesytu, sądziłem, że wszyscy ludzie obdarzeni są platońską i attycką

uwagą...“ Rzuciwszy następnie w liście tym krótki rys „Lilli Wenedy“, tak kończył go Słowacki, mówiąc o jej braciach, dobrowolnie skutych do siebie: „A t y c h d w ó c h w o d z ó w! Czy ty myślisz Irydyonie, że tworząc ów mit jedności i przyjaźni, nie łudziłem się słodką nadzieją, że kiedyś i n a s tak we wspomnieniach l u d z i e p o w i ą ż ą... ty mnie wtenczas umarłego będziesz trzymał na piersiach i mówił mi do ucha s ł o w a n a d z i i i z m a r t w y c h w s t a n i a, albowiem za życia słyszałem je o d c i e b i e j e d y n i e...“

„Słowa nadziei i zmartwychwstania“: czy można trafniej i krócej określić wartość poezyi Krasińskiego, tego poety nadziei i serc wskrzesiciela? Wielki sojusz obu genialnych duchów godzien jest pilnej uwagi. Warto zastanowić się, czem jeden z nich był dla drugiego, czem się wzajemnie wspierać mogli i krzepić, co było im zdrojem wspólnej siły, co ich musiało z sobą, jak Lelum do Polelum, przykuwać, a w czem, niestety, miał być zaród nieporozumienia i końcowego rozłamu. Ileż tu zajmujących i ważnych nasunęłoby się kwestyj?! Stosunek obu do wszechświata — stosunek obu do Polski — do jej przeszłości, teraźniejszość i przyszłość — stopień i rodzaj wiary u obu, jakość nadziei, siła miłości u obu — organizacya poetycka twórcy „Beniowskiego“, a poety „Przedświtu“ — artyzm słowa u jednego i drugiego: zestawień mogłoby być bez liku, a ile kwestyj, tyle rozpraw. Na razie poprzestać trzeba na poruszeniu jednej ciekawej sprawy. Zastanówmy się nad stosunkiem „Anhellego“ do „Ostatniego“.

Gdybyśmy na chwilę wczuć się mogli w to pasmo migotliwe myśli i pomysłów, które obaj młodzieńcy w willi Mills w noce księżycowe rzymskie bez przerwy, bez wytchnienia snuli, gdybyśmy wytężyli dusze nasze, by zasłyszeć choć oddalone echo rozmów przytłumionych florenckich z listopada 1833 r. — o, jakżebyśmy urośli duchem!

W rzymskie księżycowe noce 1836 r. wybierał się odrodzony „Irydyon“ do ziemi mogił i krzyżów i słuchał baśni skrzydlatej o „Balladynie“, o Kirkora rycerskich porywach; w smutne

listopadowe noce florenckie r. 1838 Anhelli z Posielenia wyzwolony, dowiadywał się o Irydyona, wracającego z ziemi mogił i krzyżów, jako Szymon Konarski bohatersko poległ w trudach niezłomny, jako na Litwie i nad Dnieprem przybyło jeszcze mogił i krzyżów, a Sybir nowych podostawał mieszkańców.

Takiemi nowinami obaj wypełniali sobie „wieczory florenckie“ Irydyon z Anhellim; obu hartował srogi los, obu smagały polskie Eumenidy i zagrzewały do czynów: „Idź i czyń, choć serce wyschnie w piersiach twoich... czyń ciągle i bez wytchnienia“. Obaj oddziaływali na siebie samem przeciwieństwem swych darów duchowych. Słowacki bystro dostrzegał kontrasty wzajemne: własną, eteryczną, tęczową rozwiewność przeciwstawiał czarnym, gradowym chmurom myśli Krasińskiego, niosącym pioruny i grzmoty w swem łonie. Poczęty wśród rozmów majowych rzymskich w r. 1836, z z a k o ń c z e n i a „Irydyona“ wysnuty płód, wyjdzie na świat w r. 1838 jako cichy, Chrystusowy „Anhelli“[1], jako wierne odbicie rysów duchowych, osobistych, Juliusza. Na tychże wieczorach rzymskich odczytana z rękopisu „Balladyna“ obudzi w męskiej fantazyi Krasińskiego bardziej rycerski zamysł starcia się lechickiego i germańskiego świata w niedokończonej „Wandzie“.

Czarowna nuta zachwycającej symfonii miłosnej „W Szwajcaryi“ rozbudzi niebawem w rozkochanym Krasińskim tęsknotę do złożenia podobnego hołdu swej Beatryczy w wierszach niedrukowanych za życia, a przepojonych nastrojem Juliuszowym:

Z nad wód, gdzie nigdy nie zaszumią burze,
Z dolin, gdzie nigdy nie więdnieją roże.
Tę, którą kocham, wywiodłem za rękę...

Szedłem z nią razem po alpejskich śniegach
Wśród sosen wielkich, szumiących wichrami...

Przez wieczne śniegi, przez jasne lodniki,
Gdzie skał zamarzłe piramidy stoją,

---

[1]) Pierwszy u nas S p a s o w i c z, Dzieje literatury polskiej, przekł. Bema, widział w „Anhellim“ wpływ Krasińskiego bardzo silny.

Gdzie jaskiń błyszczą kryształowe bramy,
A siatką srebrną rozbiegłe strumyki
Skaczą przez głębin lazurowych jamy...

To były jego dni z Beatryczą, przeżyte „w Szwajcaryi“. Takie wiersze są do złudzenia wiernem echem wierszy Słowackiego, a przecież jeśli forma świadczy o przejęciu się czarem słowa Juliuszowego, o przejęciu się pełnem hołdu wewnętrznego, a zarazem wykrzyków w duszy: „Niech go dyabli porwą, kto po nim potrafi wiersze pisać (13 maja 1840§ r. do R. Zał.) — to treść przecież, na wskróś duszą własną przeżyta, odczuta i namiętniej oddana dowodzi zawsze, że Krasiński nie mógł nawet na chwilę nie być sobą. Jest on pod przemożnym urokiem artyzmu Słowackiego, ale nie poddaje mu się bezwiednie, owszem analizuje go, wnika weń i z prawdziwem mistrzostwem kongenialności doniosłość Słowackiego w poezyi polskiej określa. Nie są to dorywcze uwagi o poezyi przyjaciela, z sympatycznej pobłażliwości płynące, ale wynikły one z pilnego zastanowienia się nad tajnikami przemożnego uroku. Między znanym listem do R. Załuskiego z d. 13 maja 1840 r. a jeszcze więcej znanym i tylekroć przytaczanym artykułem w „Tygodniku poznańskim“ o J. Słowackim z r. 1841 upływał rok czasu. Był to właśnie rok bardzo ważny w twórczości Krasińskiego. Z różnych zeznań w listach i z artykułu wspomnianego widać, że Krasiński między r. 1838 a 1840 był poprostu oczarowany „Anhellim“. Nie podobna mi tu dla braku miejsca przytaczać wszystkich zachwytów Krasińskiego, ale najważniejsze przecież przypomnieć muszę. Zaraz pierwsze wrażenie (7 listopada 1838 r.) jest potężne; w liście do Gaszyńskiego ocenia Krasiński najpierw formę („piękne dzieło, z wielką sztuką wypracowane, styl kryształowy“ i t. d.), następnie treść — poczem idzie konkluzya: „nie znam nic smętniejszego, nic poetyczniej pomyślanego i wykonanego... po przeczytaniu tego utworu zapadłem jakby w sen magnetyczny“. „Gdy czytałem — wzdychałem — tęskno mi było, żal się mnie Boże, do Sybiru! Przez kilka nocy Sybir śnił mi się jakby Eden melancholiczny“ (do Zał.)

Urok niczem nie osłabiony przetrwa zatem lata — a na wieść o śmierci Juliusza radził Krasiński, aby na grobie te tylko słowa wyryć: A u t o r o w i A n h e l l e g o.

Wśród tylu innych arcydzieł Słowackiego, to uwielbienie właśnie i przedewszystkiem „Anhellego“ dawało mi zawsze wiele do myślenia. Zdawało mi się, że aby tak bez zastrzeżeń wszelkich uledz czarowi tego poematu, trzeba było koniecznie obok suggestyi czysto estetycznej, sprowadzającej potem w snach wizyę Sybiru, także innych jeszcze ideowych pobudek, trwalej działających, aniżeli samo piękno formalne.

Pobudki te wymienił sam Krasiński w liście do Gaszyńskiego: „m y ś l jest p r a w d z i w a. „Anhelli“ to pokolenie które przemarnieje w łzach, w boleści, w daremnych żądzach.. Ten Anhelli taki samotny, taki opuszczony... jest doskonałym symbolem poetycznym n a s z e g o p r z e z n a c z e n i a“.

Otóż tą głównie stroną ideową wstrzasnął Słowacki najbardziej Krasińskiego. W Anhellim dostrzegł on symbolu n a s z e g o, t. j. ogólno-polskiego — a zarazem i w ł a s n e g o swego przeznaczenia.

Anhellego powitał, jak drogie sercu wcielenie własnych marzeń i rojeń, jakby spowiedź ducha bliźniego, poetycznie wyrażoną. Czy jednak była mu ta spowiedź zupełnie wystarczającą, czy mogła całkiem zaspokoić? Innemi słowy, czy mógł się Krasiński uważać za Anhellego? Czy mógł z nim na wszystko się godzić, i czy nie miał tam czego ująć lub dodać?

Zdaje mi się ,że Anhelli, podbiwszy go zrazu urokiem stylu i zaczarowawszy go na kilka nocy wizyą Sybiru poetyckiego, ubudził w nim potem całe pasmo własnych, przez lata uśpionych, marzeń, rozkołysał niemi duszę i wywołał ostatecznie utwór, dawno w nim żyjący, ale nie wyzwolony, dawno zamyślony, ale dotąd nie skrystalizowany. „Anhelli“ powołał z mroków twórczości inną ofiarę Sybiru: „Ostatniego“.

Czem był w rozwoju duchowym Słowackiego „Anhelli“, tem stać się miał w ewolucyi Krasińskiego: „Ostatni“: symbolem własnej, duchowej męki. Zestawienie obu tych znamiennych utworów — tak co do analogij, jak i co do różnic ideowych —

stanowić może punkt wyjścia dla porównań twórczości obu poetów, wzajemnego na się oddziaływania i ich stosunku do Polski. Skoro ciasne ramy niniejszego artykułu nie pozwalają na rozwinięcie wszystkich, godnych porównania momentów twórczych — zastanówmy się na chwilę przynajmniej nad stosunkiem „Ostatniego“ do „Anhellego“.

Krasiński myślał o Sybirze od dwudziestego roku życia, jak przystało po upadku powstania w r. 1831. Ale już na kilka miesięcy p r z e d wybuchem listopadowym powstaje w Genewie (22. VII. 1830 r.) francuski utwór p. t. „Le printemps et le prisonnier“ pod świeżem wrażeniem wycieczki do Chillonu i wspomnień o Boniwarze, uwiecznionych w poemacie Byrona. Wrażenie to utrwaliło się i wzrosło, kiedy Krasiński niebawem znowu odwiedzał podziemia więzienne Chillonu, a to w towarzystwie Mickiewicza (1 sierpień 1830 r.) Wtedy to pod urokiem słów wieszcza, co mówił podniośle i wstrząsająco o okrucieństwach ludzkiej przemocy i o potężniejszej nad nią s i l e d u c h a l u d z k i e g o, Krasiński — jak sam zeznaje — o Byronie i Boniwarze zapomniał“. Duch filarecki w więzieniu Chillonu przemówił i przeniósł dusze polskie w inne, straszniejsze jeszcze więzienia Północy...

Obawy zesłania na Sybir — nie wchodzę w to, o ile uzasadnione lub urojone tylko — zaczynają się w r. 1830 i nie opuszczają poety przez lat dziesiątki: będą znikać i znowu powracać, stosownie do stanów jego zdrowia i stanów politycznych narodu. Mógłbym tu stronnicami całemi przytaczać wyjątki z korespondencyi jego, dotyczące przywidzeń zesłania na Sybir. Sam pomysł długoletniego więzienia był w ścisłym związku z faktycznym brakiem swobody jawnego politycznego działania, którego pozbawionym był przez życie całe syn jenerała Wincentego Krasińskiego. Z roku na rok zaciskała mu coraz ciaśniejszy krąg ruchów tyrania Mikołaja: możnaby znowu na poparcie przytoczyć szereg skarg poety na długoletnią jałową jego egzystencyę bez wyraźnego i widocznego pożytku dla Polski. Niech tu wystarczy taki ustęp z listu do Sołtana (z kwietnia 1837 r.), pisany wobec obawy oślepnięcia: „Mnie tak smutno... jeślim przezna-

czony oczne zacząć ciemności jeszcze tu, na ziemi, jeśli mi światło dnia odjęte będzie... jeśli wśród takiej nocy, nagle usłyszę dźwięki trąb, usłyszę rwących się naokoło mnie, a ci jak wicher przelecą, zostawując mnie samym — o Boże Boże, jakiż los mój gorzki i bezlitosny. W tych to myślach grzęznąc, coraz bardziej niszczę się...“ Zwracam uwagę na datę (kwiecień 1837 r.), o rok cały wcześniejszą od „Anhellego“— a zarazem przypominam zakończenie „Ostatniego“.

Ciemności, jakie grożą Krasińskiemu w obawie oślepnięcia, — samotność w razie jakiego nowego powstania, a więc obawa ponowienia się (z innych już, bo fizycznych powodów) sytuacyi z roku 1831 to wszystko na tle przymusowej bezczynności społecznej — czyż nie sprawiały mu wrażenia, że jest więźniem bez woli, bez ruchu, bez pożytku? „Ostatni“ był już wtedy, był może i dawniej — w pomyśle — chociaż od napisania go odwiodły inne utwory, odwiodła zwłaszcza pogarszająca się choroba, i to nietylko fizyczna: „tę chorobę (z listu do S.) sprawiły od lat wielu ciągnące się wewnątrz mnie samego walki, zapasy, trujące mnie zgryzoty“. Pod takiem przygnębieniem powstają wiersze z „Fantazyi życia“:

Już mi czas w tę drogę,
Zkąd Pan nie raczył dać wrócić nikomu,
Wiem, na niej wszyscy, co szukali domu,
Znaleźli tylko wygnanie i trwogę,
Lub śmierć, lub więzy, lub pustynie białe
I zapomnianą od Europy, chwałę.

(Z czasem w epigrafie „Ostatniego“: zapomniani będą).

Na taki nastrój umysłu pada wstrząsające pierwsze wrażenie „Anhellego“, podziw, a zarazem tęsknota do takiego, wyłonionego Sybiru, któryby kres położył stokroć gorszej, bo niezdecydowanej rzeczywistości. Budzi się pragnienie wyższej, chociażby nawet śmiercią okupionej, realizacyi życia. A równocześnie budzi się wobec Chrystusowości Anhellego pewna niechęć do stanu biernej ofiary.

Najtrudniejszą dla Krasińskiego do spełnienia cnotą była rezygnacya; wyraźnie przyznawał się Sołtanowi: „brak mi zupełny cnoty największej wśród chrześcijańskich cnót, rezygnacyi; pod tym względem poganin jest ze mnie“. (To spostrzeżenie objaśnia ex post, dlaczego „Irydyonowi“ tak trudno było doczekać się zakończenia). Ale z tym brakiem rezygnacyi, do której przecież przechylił się ostatecznie „Ostatni“, zmagała się ukryta przed światem, a uporczywa walka o własne, najwyższe dobro, o czystość duszy. „Od dwóch miesięcy — pisze w tym liście do Sołtana — co dzień Boga gorąco o śmierć błagam, bo chciałbym umrzeć przed dotknięciem się świata... Unieśćbym chciał siebie samego niepokalanym stąd do wieczności“.

„Ostatni“ jest właśnie poetyckiem wcieleniem tych zmagań się duchowych i końcowego tryumfu najszlachetniejszych aspiracyj. — W położeniu obu poetów w ich stosunku do ojczyzny było bardzo wiele podobieństwa: bezczynność w ciągu wojny narodowej w roku 1831, bezczynność, która obu paliła wewnętrznym stygmatem bólu i upokorzenia — cień sympatyi moskiewskich, który na jednego padał od ojczyma, na drugiego, co boleśniejsza, od własnego ojca — wszystko to zbliżało ich ku sobie nieszczęściem niezasłużonem, niezawinionem. Wcześnie, może odkąd się poznali, poczęło się między nimi, jakby ciche współzawodnictwo nie o sławę większą (skoro jeden z nich miał pozostać bezimiennym przez całe życie), ale o większą dozę cierpienia polskiego, o szybsze odkupienie moralne. Obu trawiła gorączka czynu, dla którego, niestety, nie było pola w świecie rzeczywistym, którego dopełnić można było na razie tylko w świecie idei.

Czynu takiego dokonał wcześniej Słowacki w „Anhellim“; za nim poszedł niebawem Krasiński w „Ostatnim“, a jakkolwiek poszedł własną drogą, własnym zdobytą cierniem, to przecież „Anhelli“ nie był bez wpływu na „Ostatniego“. Krasiński, który najwcześniej i najlepiej przeniknął główną myśl „Anhellego“, dostrzegł ją bystro w słowach Szamana, co wśród wygnańców szukał człowieka o sercu mocnem, niedającego się podbić

smutkowi: „Wybiorę jednego z nich, a umierając oddam mu ciężar mój i większy ciężar niż mogą unieść inni, aby w nim było odkupienie.

I pokażę mu wszystkie nieszczęścia tej ziemi, a potem zostawię samego w ciemności wielkiej z brzemieniem myśli i tęsknot na sercu".

Ta zapowiedź Szamana daje w kilku słowach zarys planu pierwotnego, który z czasem uległ zmianie, a mianowicie uległ rozszerzeniu. Nie zwrócono dotąd uwagi, że Szaman w poemacie inaczej postępuje, niż zapowiedział. Oto umierając każe Anhellemu iść na północ, ale nie samemu (jak chciał pierwotnie), każe mu wziąść z sobą Ellenai. Nie zostawia go zatem samego, ani nie zostawia w ciemnościach, skoro jest dalej mowa o dniu sybirskim, gdzie straszliwe światło nie kończyło się nigdy. W tem niesamotnem życiu nie pozostaje wreszcie Anhelli z brzmieniem myśli i tęsknot na sercu. Te przychodzą dopiero na krótko przed samą śmiercią w kształcie bluźnierstwa: „Czemużem się targał i męczył dla rzeczy, będącej szaleństwem? Czemu nie żyłem spokojnie?" — Ciemność zaś wielka, zapowiedziana przez Szamana, ciemność, w której miał żyć Anhelli, zapada nad krainą sybirską dopiero po śmierci Anhellego (R. XVII), gdy Eloe nad ciałem jego czuwa.

Stwierdzam tu fakt załamania się pierwotnego planu „Anhellego" — nie mogę dla braku miejsca zastanawiać się nad powodem zmiany pierwotnego pomysłu Szamana. Wracam do Krasińskiego.

Dojrzał on bystro tego rozszerzenia treści, jakiemu uległ pierwotny plan „Anhellego". W streszczeniu, jakie z drogi zaraz po przeczytaniu „Anhellego" posłał Gaszyńskiemu, kładł poeta nacisk na samotność bohatera: „taki samotny, taki opuszczony" — usprawiedliwia poniekąd obecność Ellenai, jako „osłodę ludzką", objaśnia obecność ostatniej towarzyszki, Eloi — i pisze: „Anhelli nareszcie sam, skłoniwszy głowę, ducha oddaje". Owo „nareszcie sam" jest jedyną uwagą, mającą pozory krytycznej obserwacyi, wśród zachwytów nad utworem.

„Nareszcie sam", to znaczy: nareszcie taki, jakim go pierwotnie chciał mieć Szaman. Nareszcie sam, jak mu to zwiastują Cherubiny: Przyszliśmy ci zwiastować ciemność zimową i większą okropność, niż jacy ludzie doznali kiedy: Samotność w ciemnościach. Przyszliśmy ci zwiastować, że bracia twoi pomarli... a ty jesteś ostatni".

Tu był moment decydujący dla twórczości Krasińskiego:

„Samotność w ciemnościach — a ty jesteś ostatni".

W takim momencie błyskawica twórcza odbiegła od pomysłu więźnia z r. 1830 po przez własne tylekroć żywione lęki przed białą pustynią Sybiru, aż do świeżych, strasznych faktów niezliczonego mnóstwa więźniów po sprawie Konarskiego w latach 1838 do 1840 — i „Ostatni" wcielił się w poemat.

Pojęty jako ścisłe spełnienie pierwotnego pomysłu Szamana; „Ostatni" będzie odmiennym typem cierpienia patryotycznego, będzie naprawdę samotnym, bez jakiejkolwiek „ludzkiej pociechy", bez Ellenai, bez Eloi, bez widoku słońca, zieleni i zwierząt tak, jak chciał pierwotnie Szaman: sam w ciemności wielkiej, z brzemieniem myśli i tęsknot na sercu:

„Życiam wiek cały przemarnił w więzieniu, w nędzy, w chorobie, w ciemności, w milczeniu... Duch jego tak osierocieje wśród ścian więzienia, że będzie szukał „w pająku brata" — w tym pająku, którym chciała po śmierci swej zostać Ellenai: „Oto chciałabym byś jaką rzeczą żyjącą przy tobie Anhelli, pajączkiem nawet, który jest miły więźniowi..."

„Ostatni" pozbawionym będzie wszelkiej osłody, jaką przecie miał „Anhelli": „bo gnić mu przyszło pod ziemią bez końca, światłość mu wzięta, wszystkim jaśniejąca".

Został tak z brzemieniem myśli i tęsknot na sercu. Myśli i tęsknoty: z tego dwojga złożony żywot więzienny „Ostatniego" Myśli to niepowszednie:

O myśli moje, czy wy dotąd wiecie...,
Jakiem przeczuciem pierś ludzkości cała,
Gdyście konały, o biedne — już drżała?...

Tęsknoty jego? Czy mamy silniejszy gdzie u nas wyraz tej osobistej, a tak przecie polskiej tęsknoty:

Ach, gdzie rodzinne, majowe obszary,
Gdzie zbóż mych łany, gdzie mych łąk moczary...
Gdzie stary kościół, kędy śpią ojcowie?

Tak po swojemu przeprowadził Krasiński zapowiedź Szamana, nie dopełnioną w „Anhellim".

Ale jest tam jeszcze inny pomysł Słowackiego, który tonem swym pobudził drgnienia współdźwięczne na harfie natchnień Krasińskiego. Oto w końcowym rozdziale „Anhellego" pędzi rycerz na koniu i budzić chce bohatera — po niewczasie!

Anhelli nie dożył dnia wielkiego, w którym zmartwychwstały narody. W tem tragizm jego doli, ale w tem też i ofiara serca, a przez nią odkupienie. Nie dożył — w tem poniekąd i pociecha: z mewami odleciał do ojczyzny. Ale Krasiński osobiście odczuwał na rok przed ukazaniem się Anhellego tragizm jeszcze większy: można było dożyć dnia wielkiego, dnia zmartwychwstania Polski, a mimo to nie być wyzwolonym z kajdan, i zapomnianym pozostać w grobie więziennym! Sam (jak z listu do Sołtana wiemy) odczuwając w myśli podobne katusze tak, a nie inaczej, pomyślał zakończenie „Ostatniego".

W dusznej, podziemnej celi „w najniższem tej twierdzy więzieniu" skuty na zawsze do łańcucha, „który te wrosłe w kość jego kajdany, spaja z tym hakiem wkutym do tej ściany", przeżywał Ostatni w ciemnościach, lampką jedną rozmroczonych, lata całe, lat dziesiątki! I oto w wizyi przedzgonnej, tak wiernie pod względem psychicznych warunków oddanej, a tak znowu po mistrzowsku dla celów poetycznych użytej, w widzeniu zdaje się Ostatniemu, że dożył dnia wielkiego, dożył zmartwychwstania Polski, że i po niego, jak po Anhellego, jadą rycerze rodacy, by go wyzwolić z tyloletnich katuszy... Jakoż nadjadą... ale po to tylko, by go zostawić „w pośród morderców skajdanionych trzody". Tu Ostatni szaleje z rozpaczy i bluźni — bluźni jak Anhelli. Tamten z lodowatym spokojem, od którego mróz idzie po duszy, zeznawał: „obojętny jestem na wieczność" — „o

mnie Bóg zapomniał“, okropności ziemi są niczem, zgryzota moja dla ojczyzny okropniejszą jest“. „Ostatni“ zaś przywtórzy tym tonom gorącej i namiętniej:

Ni Bóg, gdzie ojcem, ni anioł, gdzie bratem,
Ja się wyrzekam mej nieśmiertelności...
Ja chcę nicości...
Zapomnij o mnie o Ty, Stworzycielu...
Duch mój w wieczności niech bez śladu zginie...

Anhellemu przerywają anieli ostrzeżeniem, by nie bluźnił, bo wkrótce ma umrzeć. „Ukorzył się Anhelli, mówiąc: „Anieli, przebaczcie mi! uniosłem się...“ Podobnież „Ostatni“.

Daruj Ojcze, rozpaczy człowieka —
Dzikim uniesion bluźniłem ja szałem,
Przebacz mi Panie, ja Polskę kochałem...

Dosyć zestawień.

Starczą one chyba na to, aby przekonać, że „Ostatni“ jest indywidualnem, na wskróś osobistem przeprowadzeniem głównej idei anhellicznej: możeś jest wybrany na ofiarę spokojną, a chcesz się zamienić w piorun gwałtowny...“. Tę ofiarę przeprowadził Krasiński konsekwentnie, bezlitośnie w „Ostatnim“: uosobił w nim cnotę, którą sam w życiu za najtrudniejszą do spełnienia uważał: rezygnacyą chrześcijańską:

Święta moskiewska ma długa niewola,
Święta okropność mej samotnej śmierci,
Gdy nie rozdarta już więcej na ćwierci
Ziemia mych ojców!...
Dzięki Ci Panie, otoś mi dał w darze
Że ludu mego ja zamknę cmentarze,
Polskim ostatni trup w carskiej pieczarze...

A tak „Ostatni“ staje na świadectwo prawdzie, rzuconej rodakom przyszłych pokoleń: ressurrecturis:

Jedna tylko w świecie
Moc ofiary cicha los gniotący, zgniecie...

Na „Anhellim“ i „Ostatnim“ przeprowadzać można długie, niekończące się porównania dwu potężnych indywidualności, dwu światów myśli, uczuć, pragnień i tęsknot wiekuistych. Można to uczynić dlatego, że i „Anhelli“ i „Ostatni“ są w rzeczy samej wielką spowiedzią dwu geniuszów, korzących się przed ich ojcem, przed Geniuszem Narodu. Najczystsza treść duszy tam przemówiła, tak jak przystało w uroczystej chwili: po prostu a od serca. Smutkiem większym przejmuje Anhelli: bo oto przemawiała za pokolenie całe, co ją określił Krasiński, przemarnieje w łzach, w boleści, w daremnych żądzach. Nikt lepiej od Krasińskiego nie odczuwał tragiczności położenia, w jakiem przeżyło pokolenie z lat strasznych, mikołajowskich i emigracyjnych, kiedy to, jak mówi, „gniło wszystko pod ręką konieczności“.

Na rok przed „Anhellim“ pisał Krasiński te straszne słowa, jakby z ust Anhellemu wyjęte: „Przyjdzie może po wielu latach dusza na świat, która w dzisiejszem położeniu rzeczy się rozpatrzywszy, przejmie się chwil naszych goryczą i tragiczność ogromną z niej wydobędzie. Słuchając jej słów zapłaczą potomki, dowiedzą się, jak marnie życie nam upłynęło, jak gorąco wzywaliśmy czegoś, coby pociechę nam w sercu orzeźwiło, jak stateczną myślą w głębi ducha przeczyliśmy widomej potędze i zdarzeniom otaczającym, jak pozbawieni nadziei, mieliśmy do walczenia przeciw pokusom wielu... Taka tragiczność będzie sto razy straszniejszą i pełniejszą bolów, niż dzisiejsze dramata... W niej męka ducha wystąpi jak otchłań głęboka, a na ustach będą malować się ciężkiego udawania uśmiechy“

Powiadam Ci, płakać będą nad nami!
To jedyna nieśmiertelność nasza!

Ale tak wróżąc sobie i swoim współczesnym, nie przestał ani na chwilę dobrze tuszyć narodowi swemu; widział go na późnej wieków fali jako lud obdarzony wszechmiłości siłą, Polskę zaś jako tę, która „szczęściem narodów szczęśliwa, ponad czasu w dół rwące otchłanie wyżej, niż pokus i pych wszelkich sidła, wyżej, niż ślepe fal losu igranie, utrzyma w górze anielskie swe skrzydła!“

Nie inaczej wierzył twórca Anhellego:

O, Polsko moja! tyś pierwsza światu
Otwarła ducha tajemnic wrota...
Raduj się Polsko,
Anioł twój patrzy w Boga oblicze,
W Bogu panuje...

Wykazałem to, co ich łączyło, co ich spajało, co było im siłą, a z nich na nas siłą spływało i spływa.

Długo zaś i szeroko możnaby także pisać o tem, co w końcu Słowackiego oddaliło od Krasińskiego. Wystarczy tu stwierdzić, że Krasiński nigdy się nie zmienił w uczuciach swych dla twórcy Anhellego, i miał prawo do końca tak myśleć, jak pisał do Słowackiego jeszcze w kwietniu 1843 r.: „widzę w liście twym jakoby kwas melancholijny przeciwko mnie: już nie czujesz sercem serca mego. Czemuż to? przecież te wszystkie lata je czułeś i w niem nic odmiennego; ono zawsze twojem, tak jak w Willi Róż bywało... Julu, kocham Cię, i jestem twój...“

Takim pozostał. Oparł się na granitowej podstawie wspólności ideałów z r. 1836 — i słusznie. Stamtąd, z Willi Róż, tak jak później z listopadowych rozmów florenckich 1838 r. płynęły zdroje pokrzepiające, szły dla nich prądy ożywcze. Tam splotły się w nierozerwalny uścisk bratni dłonie Anhellego i Irydyona. Tak się odtąd zwać będą w dziejach ducha polskiego bracia Wenedzi, silniejszym nad śmierć łańcuchem narodowej miłości przykuci do siebie. Spełniło się nad nimi proroctwo Rozy Wenedy:

„Jesteście jednym rycerzem — mścicielem —
A gdy nie będzie was, to jęk żałosny
Przeleci przez wieki i zwiąże imiona...
Jęk jeden będzie po dwu zgonach waszych,
Jedna zostanie żałość w tej ojczyźnie,
Nie rozróżniona, jako w sercu Matki!

Prof. Dr. Józef Kallenbach.

Powieść dawniej a dziś.

W literackim spadku po XIX. wieku wzięliśmy bogato rozwinięty dział powieści.

A ktoby pragnął śledzić drogi naszej duszy zbiorowej w tym wieku, znalazłby łatwo w powieści obfite wszystkie jej dążenia i wysiłki.

Po listopadowem powstaniu, dzieła literatury emigracyjnej rzucały świetlane smugi ideałów; powieść zaś wskazywała praktyczne cele zbiorowemu życiu. Pod grozą rusyfikacyjnego systemu mikołajewskich rządów w Polsce i skutkiem obaw wynarodowienia, powieść historyczna z miłością i tęsknotą zwracała się ku przeszłości, pragnąc w obrazach jej cnót i bohaterskich wysiłków utrwalić rysy plemienne narodu o szlacheckiem wybitnie obliczu. To czynił Rzewuski, Czajkowski, Kraszewski, Chodźko, nawet Korzeniowski, chociaż ten ostatni piętnował głównie wady społecznej szlachetczyzny, płynące z sobkostwa a uszczuplające moralną i materyalną siłę narodu.

O wiele skrzętniej atoli zabiegała t. zw. powieść ludowa nad wszczepianiem ogółowi naszemu w latach 1830—1860 tej wiary, że w ludzie posiadamy zdrowy rdzeń przyszłego odrodzenia: powinna przeto myśl narodowa dotrzeć do głębin tego źródła życia i, sama się zeń pokrzepiwszy w życiodajnej energii, równocześnie owemu źródłu powinna dać większy rozpęd ku samodzielnemu, świadomemu czynowi.

W tym duchu we formie powieści przemawiał Goszczyński, Krzaszewski, Czajkowski, Berwiński, Łoziński, Wolski, Siemieński, Dzierzkowski, Dziekoński, Romanowski i wielu innych. Ktoby tedy pragnął zająć się oceną naszego dorobku powieściowego do połowy 19 wieku, ten musiałby uważać ją nie ze stanowiska estetycznego, lecz narodowo-społecznego.

Podobnie i w drugiej połowie wieku.

Zarówno stańczycy, jak pozytywiści po katastrofie styczniowego powstania podjęli hasło pracy organicznej, pracy ekonomicznej na wszystkich polach życia zbiorowego; obudzenie żywiołów, dotąd nieczynnych, t. j. ludu i mieszczaństwa, asymilacya żywiołów martwych, t. j. żydów, skierowanie całej energii społecznej w nurt dorobku materyalnego sprawiły, że powieść pozytywistów o formie realistycznej, niekiedy naturalistycznej, stała się tendencyjną propagandą wołania o postęp gospodarczy, o prawa dla ludu, dla robotników, mieszczan i kupców, o zrzeczenie się raz na zawsze nie tylko szlacheckich przywilejów, ale i wszelakich szlachetnych gestów z odwoływaniem się na tradycye niepodległej polskiej przeszłości. Tradycye te dla emigracyi po 1830 roku były jeszcze nietykalnym wzniosłym ideałem. Teraz zaś atakowali je pozytywiści z *Przeglądu tygodniowego*, odtrącali radykalni ludowcy z *Głosu*, zaczepiali stańczycy w *kilku prawdach z dziejów*. Nowela i powieść Świętochowskiego, Konopnickiej, Orzeszkowej, Prusa, Rodziewiczówny i Sienkiewicza jest jaskrawo tendencyjnym wykładnikiem idei demokratycznej, trzeźwo motywującej konieczność wyzbycia się rycerskich i romantycznych mrzonek o mesyanistycznej roli Polski. Ta trzeźwość i to negatywne stanowisko badań historycznych, publicystyki i powieści względem idealizowania przeszłości zrządziły przy współdziałaniu wrogich polskości wpływów wychowawczych, że miłość ku ojczyźnie pokryła się jakby warstwą szarego popiołu. Skurczyły się serca dla Polski i pierś polska zmalała. Prądy kosmopolityczne i słowianofilskie podniosły głowę. Zachwycaliśmy się powieścią francuską realistyczną i naturalistyczną. Więcej nas interesowały *Germinal* Zoli i *Królowie na*

wygnaniu Alfonsa Daudeta, niż dzieła ojczystego piśmiennictwa. Polskę niepodległą traktowaliśmy z naganą lub przekąsem. Gdzieś tam na dnie uczuć tlała iskierka niewygasłej jeszcze doszczętnie wiary i nadziei, gdzieś tam w głębi dusz pełgał mdłem światełkiem wątły promyczek przynależności plemiennej; aleśmy się nie spieszyli wobec obcych manifestować swej polskości tak, jakgdyby to było winą naszą, żeśmy dziećmi polskiej ziemi. W tym smutnym czasie, w dziewiątem dziesięcioleciu przeszłego wieku, dokonali dwaj mężowie wskrzeszenia entuzyazmu narodowego: jeden wielki, śmiały i prawie genialny publicysta, Stanisław Szczepanowski, w licznych artykułach, odezytach i mowach politycznych, w takich dziełach nareszcie jak *Idea Polski wobec prądów kosmopolitycznych*, budził, uzdrawiał i krzepił myśl narodową; drugi, genialny powieściopisarz, Henryk Sienkiewicz, trylogią, *Krzyżakami*, *Na polu chwały*, *Legionami* nakształt wichru rozmiotał szary proch, gniotący wyobraźnię i uczucia narodu, rozpłomienił je i roziskrzył w ognisko, dotąd gorejące. Pierwszy wołał: Literatura dla mnie ma tylko doniosłość o tyle, o ile pokrzepia ducha narodowego. Byłoby na czasie powrócić do rodzimego gruntu po to natchnienie, które było rezultatem wiekowej pracy narodu. Drugi, ironizując w jednej ze swoich mieszanin literackich z powodu *Królów na wygnaniu* Daudeta, pytał: Co nam do tego? My mamy swoje dogmaty, swój ideał, takiego blasku i majestatu, tak święty i ukochany namiętnie, że gdy w niedoli osobistej, w zawodach i rozczarowaniach prywatnego życia, w umęczeniu codziennem myśli wróci się ku niemu, to człowiekowi się zdaje, że jego własne gorycze maleją — i zapomina o nich i płakać mu się chce, i w końcu zdaje mu się, że lepszy jest, że już wniebowzięty, odkupiony i zbawiony.

Pierwszy przekonywał, drugi wzruszał; pierwszy wytaczał niezwalczone dowody na to, że aby stać się narodem, należy egzystencyę i rozwój społeczny oprzeć na rodowej spuściźnie; drugi jakby młotem grzmocił w kowadło uczucia pa-

tryotycznego tak, że sypały się miliony dużych iskier, które miliony serc rozżagwiły.

I znowu powieść spełniła służbę publiczną: powieściopisarze tacy, jak Sienkiewicz, Orzeszkowa, Prus szli w pierwszym rzędzie szeregów narodowych, niosąc pochodnię rodzimej kultury i wiodąc tłumy ku lepszej przyszłości. To działo się w dwóch ostatnich dziesiątkach minionego wieku. Ku końcowi wieku literatury francuska, skandynawska i niemiecka obdarzyły nas t. z. modernizmem. Młoda Francya, młoda Belgia, młoda Skandynawia, młode Niemcy dały modele i pierwowzory dla młodej Polski. Na widowni literatury naszej ukazał się Przybyszewski, wielbiciel filozofii Nietzschego, gorący adept młodych Niemiec i młodej Skandynawii, zdecydowany zresztą kosmopolita. W osławionem *Confiteor* z wielką zarozumiałością, z jaśnie wielmożnym gestem i śmieszną wprost arogancyą wygłosił dogmat, że sztuka i literatura obcą ma być narodowej sprawie, że jedyną jej dziedziną — dusza ludzka i dusza kosmiczna. Równocześnie twierdzeniem, że artysta — to *ipse propheta, daemon, deus et omnia* zastrzegł dla artysty przywileje nieomylności i nieodpowiedzialności. Przybyszewski do naszej literatury obok zasad wymienionych wniósł jeszcze inne czynniki. Sam przejął się pessymizmem filozofii niemieckiej do głębi. Uczynił go swą wiarą, swym filozoficznym na świat poglądem. Skutkiem tego bilans dobra i zła stał się jego ulubionem tematem. Szczęście i radość życia — to złudzenie. Nic nie może zwalczyć zła we wszechświecie. Szatan — to wszechmocna potęga. Zagadnienia bytu nie rozwiążemy. Stąd niedole i rozpacz człowieka, bezsilnego wobec losu i śmierci. Jedyną ucieczką przed ową rozpaczą — samobójstwo. Oto łańcuch fatalnych następstw pessymizmu. Powtóre zaś: za praźródło bytu i sztuki uznaje chuć. Ona dla spotęgowania swej lubieżności stworzyła mózg. Od roli podrzędnej mózg przeszedł do roli buntownika i zaczął pożerać chuć. Powstała walka wrogich sobie sił i trwa dotąd. Mózg jednak, rozum, sumienie są to siły, sztucznie przez kulturę ludzką spotęgowane do miary współzawodników żądzy.

Dnem duszy: głównym impulsem życia jest chuć. Ona też jest krynicą sztuki i sferą artystycznych pomysłów. Sztuka w naszym czasie — utrzymuje Przybyszewski w *Pro domo mea* — przejawia się tylko we wzajemnym stosunku płci do siebie. Stosunek ten tłómaczy się, jako odwieczna instynktowa nienawiść wzajemna. Głęboka jest nienawiść — powiada Przybyszewski za Vigelandem — duszy mężczyzny do kobiety, bo w zbliżeniu się do kobiety dusza maleje i bruka się. Kobieta — wieczna podnieta płciowych popędów, *dulce malum pariter favus atque venenum* była już w starożytności znienawidzona i pogardzana. Stary Testament przedstawia ją, jako bicz, którym Bóg ludzkość smaga, pierwiastek bezwstydu i hańby, zły duch, który wszystko szlachetne w mężczyźnie zabija.

Kobieta — to bajeczny gryf, co pazurami swymi pastwi się nad resztkami mężczyzny; już rozwarła skrzydło do lotu, już wpiła wzrok swój w dal, szukając nowej ofiary; jeszcze tylko jedno spojrzenie na głupią bestyę — mężczyznę, co się pozwolił rozszarpać.

Kobieta — to wampir. Wgryzła się w kark mężczyzny ostrymi zębami, oblała twarz jego krwią swych czerwonych włosów, objęła głowę jego silną ręką rozszalałej chuci i dusi i gryzie...[1]).

Niema mężczyzny, któryby był zdolny uwieść kobietę — to infernalna orgia głupoty: mężczyzna nigdy nie robi pierwszego kroku; to słynne perskie oczko robi zawsze kobieta. A więc co robić z uwiedzionym samcem biednym, który z całej tej sprawy wynosi uczucie ohydnego wstydu i upokorzenia? [2])

Tak wprowadził i tak oświetlił główny bojownik t. z. modernizmu nową treść do naszej literatury, specyalnie zaś do powieści.

Życie zbiorowe, naród i jego sprawy, przeszłość i przy-

---

[1]) Na drogach duszy.

[2]) Synowie ziemi. Chimera I, str. 88.

szłość, odrodzenie, ekonomiczne i społeczne zagadnienia chwili jednem pociągnięciem pióra wykreśliły się z dziedziny literackiej. Społeczeństwo zechce raz wreszcie zrozumieć — pisał Przybyszewski w 1898 r. — iż nasze prawdziwe odrodzenie tkwi w nauce i sztuce.

Powiedzieć dwudziestomilionowemu narodowi, udręczonemu wiekową niewolą, szczyczącemu się dwoma wiekami złotemi rozkwitu literatury, że żadne inne odrodzenie nie wzniesie go na wyżyny prawdziwej wolności, tylko odrodzenie w nauce i sztuce, pojętej w duchu *Confiteor*, był to hazard, obliczony na łatwowierność tych, u których prądy europejskie nie zostały jeszcze zdezinfekcyonowane, jakby się wyraził Szczepanowski.

A jednak młodzież literacka, wielbiąca Przybyszewskiego, jak „wieszcza, demona, boga i wszystko“ przyjęła barbarzyńską wyrocznię bez zastrzeżeń.

Tak wraz z literaturą nasza powieść weszła w nowe stadyum, pod wielu względami zasadniczo odmienne od powieści dotychczasowej *w duchu, treści i formie.*

Duch gorzkiego pessymizmu, jak tłusty gryzący kopeć, osiadł na powieści, wcisnął się we wszystkie jej szczeliny i powlókł mrocznym osadem. Osłoniła się wizya szczęścia ludzkiego nieprzejrzanym całunem. Z lubością przez drobnowidz zaczęto przyglądać się wszelkim zniekształceniom duchowego ustroju człowieka. Rak duszy stał się ulubionym tematem t. zw. psychologicznej powieści. Zaroiły się w niej osobniki zbrodnicze, występne w każdem pomyśleniu i czynie, histeryczne, niby subtelne, w istocie przeczulone, gestem urojonej wyższości usiłujące okryć własne niedołęstwo, nie tylko zbuntowane przeciwko spokojowi, szczęściu i zdrowiu duszy, zasadom chrześcijańskiej etyki, ale naigrawające się z niej, a równocześnie poddane niewolniczo i nędznie jarzmu instynktowości, a zwłaszcza jej zboczeniom.

Z treści znikły bez śladu opisy urządzeń masy ludzkiej, instytucye i stowarzyszenia, zabiegi i skrzętna praca człowieka około zapewnienia sobie uprawnionej i na wartości kultural-

nych zdobyczy opartej egzystencyi. Stępiło się ostrze społecznej satyry. Wygasła potrzeba uwzględniania różnic, wynikających z odmiennego układu życia zbiorowisk, podległych odmiennym warunkom geograficznego i etnograficznego położenia. Zniwelowało się oblicze człowieka: już wszystko jedno — czy to chłop, mieszczanin, inteligent, magnat. Sfera pracy, nawyknień, stosunków nic nie znaczy. Dusza jednaka. Rodzina, ród, plemię, środowisko, naród, rasa — nic nie znaczą. Dusza jednaka. Niezliczone wydziały zawodów nic nie znaczą. Dusza ta sama. Gdyby dzisiejszemu powieściopisarzowi powiedzieć, że w narodzie naszym istnieją ziemianie, urzędnicy, bankierzy, księża, lekarze, fabrykanci, kupcy, szewcy, stolarze, rymarze, kuśnierze, złotnicy, giserzy, woźni i t. d. i że każdy rodzaj pracy zawodowej, długo uprawianej, odmiennie kształtuje jego duszę, — toby się zdumiał, a potem sarkastycznem *he, he, he* zapieczętował rzekomą płytkość podobnego mniemania.

Dawne powieści, dzięki mnogości rysów, znamionujących daną miejscowość i dany czas, gruntownie poznany i dokładnie w powieści przez autora odmalowany, pozostaną dokumentami dla dziejopisa. *Kollokacyi* czy *Komedyantów* nie można przenieść z Wołynia do Wielkopolski i z dziewiętnastego półwiecza we wiek dwudziesty; *Nad Niemnem* i *Chłopów* nie można przenieść z Litwy i Mazowsza na Podhale lub Ruś Czerwoną lub cofnąć z końca wieku dziewiętnastego w jego początek. Ale *Anioły płaczą* Zbierzchowskiego lub *Zawrotne drogi* Konczyńskiego pozostaną dokumentami tylko tej chyba prawdy, że człowiek „sam sobie robi koło i sam się w nie wplata".

Co się tyczy formy powieściowej — dawna wymagała nieodzownie akcyi. Balzac, Dickens czy Dostojewski byli niezrównanymi jasnowidzami duszy ludzkiej. Flora Dombey, Pons lub Raskolników posiadają bronzowo plastyczne, a zarazem mistrzowskim rylcem cyzelowane duchowe oblicza. Wplątane są w tok dużej, jednolicie zwartej, spokojnie rozwijającej się akcyi, ale nie są piłkami przez los fatalistycznie trącanemi, lecz w kłębku ich duszy spoczywa moc, która sprawia, że

akcyę nieraz stwarzają, a nawet nią kierują. W nich coś się dzieje, lecz i około nich coś się dzieje. One są cząstką środowiska. Środowisko wre życiem, do czegoś dąży; one z niem walczą lub idą mu na rękę. To nie są pioruny z chmur, ślepo mogące i obojętnie porazić człowieka, drzewo czy kamień. To pasma zdarzeń, snujące się z woli, kierowanej namiętnością, rozumem, a niekiedy i ową tajemniczą potęgą, którą mdła wiedza ludzka mianuje przeznaczeniem. Już przez samo tęgie zadzierzgnięcie się świadomych siebie dążeń jednostki i środowiska na gruncie szeregu wypadków, logicznie snutych i ku jakimś celom mierzących — akcya może wzbudzić w czytelniku zaciekawienie. Cóż dopiero, gdy wypadki, środki i cele niebanalne, lecz ważne, gdy duch bohatera szybuje szlakiem orła, gdy środowisko blizkie i aktualne! Tymczasem najnowsza powieść zrzeka się akcyi. „U mnie — chlubi się Przybyszewski — niema zazwyczaj żadnej akcyi, gdyż opisuję jedynie życie duszy". Po pierwsze to nie godzi się ze stanem rzeczy, gdyż nawet w powieściach Przybyszewskiego coś się zazwyczaj dzieje; nie można pomyśleć o powieści bez żadnej akcyi. Nie byłaby to powieść, lecz studyum psychologiczne, a studyum wymaga poważnego przygotowania naukowo-filozoficznego — nie zaś talentu. Zupełne natomiast zwolnienie od postulatu akcyi w powieści spowodowało dwa skutki we formie powieściowej ostatniej doby. Powiedziano sobie: nie potrzeba akcyi. Ale natura tego gatunku twórczości nieodzownie naprasza się, aby się coś działo. Zaniedbuje się tedy starannego obmyślania zestrojonej w całość i ku świadomemu końcowemu celowi spiętrzonej akcyi, tak potężnie zazwyczaj wzmagającej zaciekawienie czytelnika, a zamiast tego szpikuje się gęsto tok opowiadania: łatkami drobnych, marnych, banalnych, niedorzecznych, przygodnych wypadków, albo konceptami dykteryjek niby też dowcipnie-słodko-tłusto-pieprznych; albo przeplata się tasiemcowe analizy psychologiczne obrazeczkami z natury; albo snuje się bez końca na zimno przyprawionego węża mazgajskich rozczuleń i podaje się do spożycia czytelnikowi, jako jęki srodze cierpiącej duszy; albo

nareszcie obarcza się tok opowieści fizyologią bez ograniczenia, podczas gdy natura — acz bez fizyologii ostać się nie może — umie wszystko zbędne ociosać, wszystko zbyteczne zamienić w pierwiastkowe resztki, wszystko szkodliwe w życiu neutralizować.

Powtóre — co ważniejsza — skutkiem braku akcyi romans ostatniej chwili przesycił się psychologią. Cały wysiłek skupiają autorowie w tym kierunku, aby przeładować osoby niemożliwą ilością wewnętrznych poruszeń; ponieważ zaś w naturze stanów takich przy normalnym przebiegu wewnętrznego życia się nie spotyka, przeto drgnienia wewnętrzne wymyślają się bez uwagi na to, że życie zbudowane znacznie prościej, choć nieraz o wiele straszniej, choć nieraz miewa wiele więcej treści.

Z tych wywodów wynikają dwa wnioski. Modernizm przyznał powieści zaszczyt należenia do dzieł sztuki, ale poddał ją nakazowi zajmowania się duszą i zamknął przed nią sferę ruchów zewnętrznych zbiorowego i jednostkowego życia. Modernizm wskazał powieści metodę psychologicznej analizy, opartej na fizyologii, a ponieważ równocześnie uznał, że sztuka w naszym czasie przejawia się tylko we wzajemnym stosunku płci do siebie, przeto dał impuls powieściopisarzom do rozrabiania na niezliczone sposoby tematu miłości — w niezliczonych odmiankach jej narodzin, przebiegu i końca.

Antoni Mazanowski.

Religijne znamię miłości ojczyzny.

(Dokończenie).

II.

By nasza miłość ojczyzny nie ograniczała się tylko do słów i uczuć, ale przybrała kształt czynu, dopełniającego naszych względem ojczyzny obowiązków, potrzeba tę miłość podnieść do najwyższej zasady, jaką jest miłość bliźniego, z Bożej wykwitająca.

Jak miłość bliźniego, ze względu na Boga, jest w gruncie miłością Boga: tak miłość ojczyzny, w chrześcijańskiem pojęciu, jest miłością Boga na wielką skalę. Bratniej miłości, więc i ojczyzny, źródłem, podstawą i podścieliskiem musi być Bóg.

Chociaż duch niezgody owładnął ród ludzki, wszelako w głębi serc naszych przechowała się pewna zasada przyjaźni, która zwyczajnie czyni nas dość czułymi, współczującymi z bliźnimi i dość wrażliwymi na objawy przyjaźni. Stąd ta nasza przyjemność w obcowaniu z drugimi, zwłaszcza z członkami tej wielkiej rodziny jaką jest ojczyzna.

Że zaś to wrodzone pożądanie przestawania z drugimi nie jest ani dość szerokie, zwyczajnie bowiem ogranicza się do tych, którzy nam się podobają dla zgodności swego usposobienia z naszem; — ani nie jest dość serdeczne, bo najczęściej wchodzi tu w grę interes, a ten niszczy podstawę wzajemnej przyjaźni; ani nie jest dość silne, dlatego, że usposo-

bienia i interesy — to rzeczy zbyt zmienne, by się stać mogły podwaliną trwałej zgody: przeto Bóg chciał, by nasza wzajemna miłość, nasze wspólne pożycie i obcowanie wyższą miały przyczynę i chciał, by z wyższego miłość ta płynęła źródła. I oto porządek, jaki w tym celu ustanowił: Bóg nakazuje, aby nasza miłość bratnia najpierw zwracała się ku Niemu, jako przyczynie wszechrzeczy, a stamtąd dopiero na wszystkich rozlewała się ludzi; byśmy nasze związki i pojedyncze przyjaźnie czynili zależnemi od wspólnego ich źródła, jakiém jest Bóg sam; inaczej nigdy nie napotykamy przyjaźni prawdziwej, szczerej, stałej.

Cóż ten Boży porządek zachowuje? Te dwa wielkie przykazania, które w myśl Chrystusa Pana, są wielkiego prawa osnową i streszczeniem: Będziesz miłował Pana Boga twego z całego serca swojego... a bliźniego jak siebie samego[1]) Dwa te przykazania wszelaką zawierają chrześcijańską sprawiedliwość; w sprawiedliwości bowiem na dwie rzeczy baczyć należy: pod czyją władzą żyjemy, — i z kim żyjemy. Otóż władzcą naszym najwyższym jest Bóg, który dla Siebie nas stworzył; — zatem istotną naszą powinnością jest: uznać chętnie tą naszą zależność, a przez to jednoczyć się z Bogiem. A kiedy żyjąc wspólnie z drugimi pod najwyższem panowaniem Boga, mamy z nimi żyć w zgodzie i sprawiedliwości — to drugiem dobrem, jakie miłować winniśmy tylko dla Boga, musi być wzajemna nasza miłość, nasze przyjazne z nimi pożycie. Wszystka zatem nasza sprawiedliwość na zachowaniu tych dwóch mandatów polega.

Miłość bliźniego, w logice Bożej, jest koniecznem następstwem i odbłyskiem miłości Boga. Nie można kochać szczerzé i prawdziwie Boga, nie miłując równocześnie człowieka Jego utwór, podobiznę... Nie możliwe miłować Boga, Ojca wszystkich ludzi, nie miłując ludzi jak braci. To też ludzie nie znający dogmatu o ojcostwie Boga, nie znają też dogmatu cywilizacyjnego o braterstwie ludzi. Tam człowiek nienawidzi człowieka; jeden

[1]) Łuk. X. 27.

drugiego wyzyskuje ujarzmia, nim pogardza i tam sprawiedliwem jest to, co pożyteczne. Brak miłości Boga jest zepsuciem i dzikością dusz; brak miłości bliźniego jest skażeniem i dzikością społeczeństw. Nie, ludzie nie mogą kochać się jak bracia, chyba tylko pamiętając, że są dziećmi Boga, braćmi Syna Bożego, tworzącymi jedną wielką rodzinę, której ojcem Bóg.

Chyba tylko siłą i przemocą można utrzymywać w karbach ludzi, którzy się nie miłują. Pozostawmy im wolność, a niebawem zaczną się wzajemnie mordować i niszczyć. Niewolnictwo staje się wtedy koniecznością, sprawiedliwość kaprysem, braterstwo niedorzeczną i niepotrzebną ofiarą.

Czy miłość Boga, ta konieczna spójnia gmachu społecznego, da się zastąpić środkami sztucznymi? Nie, — serca ludzkiego nie zmienią ani szumne frazesy, ani poezye, ani prawa i teorye' zimne jak rozum, niepewne jak zwątpienie, próżne jak nicość. Prawa ludzkie przypuszczają istnienie uczuć, ale ich nie stwarzają.

Bez miłości chrześcijańskiej grozić będzie zawsze społeczeństwu bunt, rozbój, rewolucya, socyalizm, komunizm...

Te ogólne o bratniej miłości uwagi zastosujmy do naszego przedmiotu. Wszyscy jesteśmy członkami społeczeństwa, znającego też cele doczesne i przedstawiającego pewne zbiorowe ciało z właściwym sobie organizmem i poruszającemi go żywotnemi siłami; mamy zatem względem tego społeczeństwa, obowiązki do spełnienia; winniśmy się troszczyć o los ziemskiej ojczyzny, brać czynny udział w społecznych i politycznych sprawach swego kraju. Płyniemy razem z innymi na nawie państwowej, czyż więc może nam być obojętnem, w jakim stanie nawa się znajduje? czy sternik właściwy nadaje jej kierunek? Każdy z nas dbać musi o to, by statek nie zatonął, nie rozbił się o podwodne skały, lub gwałtownym prądem nie został uniesionym w przeciwnym przeznaczeniu swemu kierunku. Czuwać, radzić i współpracować wedle możności, winien nawet ten, co nie przykłada ręki ani do rudla, ani do wioseł, — nietylko z tego względu, że o własne chodzi mu życie, lecz że miłość bratnia nie pozwala mu patrzeć obojętnie na los towarzyszy podróży.

Usposobienie ludzkości nie jest bynajmniej dowolnem dziełem człowieka, lecz koniecznem następstwem woli Stwórcy, który taką obdarzył człowieka naturą, iż wewnętrzną naglony potrzebą, wnet wiąże się w społeczeństwo, skoro znajdzie się w towarzystwie podobnych sobie istot. Począwszy od rodziny, gdzie ojciec stanowi władzę, wola jego prawo, rozdzielone zaś między dzieci zajęcia — ich wzajemne obowiązki; wszędzie gdzie się zbierze pewna ilość ludzi, a tem bardziej rodzin, niebawem ustanawia się władza, ogłasza się prawa i rozdzielają obowiązki.

A nietylko Stwórca uzdolnił człowieka do życia społecznego i wlał w serce jego pociąg do takiego życia, lecz objawił mu wyraźnie cel jaki społeczeństwo zakreślić sobie winno i zasadnicze prawa, na których ma się oprzeć. Celem tym jest służenie Bogu, t. j. wierne spełnienie włożonego przezeń na każdy naród posłannictwa; prawem zaś są Pańskie przykazania.

Warunki uspołecznienia najwyraźniej określił Bóg w urządzeniu ludu wybranego, którego bezpośrednim chciał być kierownikiem dlatego, że ludowi temu dostało się najwyższe między narodami przeznaczenie, mianowicie przechowanie na ziemi znajomości prawdziwego Boga, aż do czasu, kiedy z łona tegoż ludu wyjdzie obiecany całemu ludzkiemu rodzajowi Odkupiciel. W organizacyi i historyi ludu żydowskiego najwyraźniej zarysowuje się myśl Boga w urządzeniu społeczeństw, — tu bowiem widzimy, że społeczeństwa, nie mniej jak indywidua, winny być posłuszne swemu Stwórcy i wiernie wolę Jego spełniać, pod karą ciężkich klęsk publicznych, a nawet w razie ostatecznego nieupamiętania zupełnej zagłady państwa. Widzimy dalej, że piastujący władzę, jakąkolwiek nosiliby nazwę, patryarchów, sędziów, czy królów, są namiestnikami tylko Bożymi, ścisły mającymi obowiązek zgodnie z prawem Jego rządzić i we wszystkiem do Jego upodobania się stosować. Widzimy wreszcie, że lud winien zwierzchność swoją szanować, jako pochodzącą od Boga i być jej uległym we wszystkiem, co się Bożemu prawu nie przeciwi.

Wszelka bowiem władza pochodzi od Boga; ale w jakiem znaczeniu? nie w tem, że wszelkie czyny rządzących społeczeństw

są miłe Bogu i powagą Jego zatwierdzone, tylko że władzę swą dzierżą oni od Boga, a zatem używać jej winni zgodnie z największą Jego wolą, gdyż przed Nim zdać będą musieli rachunek. z włodarstwa swego. Społeczeństwo nie może pozostać bez rządu. Najwyższy bowiem Rządca świata, chce, aby wszelka dusza była poddaną, wyższym zwierzchnościom: albowiem, naucza wielki Apostoł, niemasz zwierzchności jedno od Boga; a które są, od Boga są postanowione. Przeto kto się sprzeciwia zwierzchności, sprzeciwia się postanowieniu Bożemu. A którzy się sprzeciwiają, ci potępienia sobie nabywają. Albowiem przełożeni nie są na postrach dobremu uczynkowi, ale złemu[1]). Ale tenże Apostoł zaraz dodaje, iż wszelki urząd jest sługą Bożym[2]), przeto winien być wiernym Pańskiemu rozkazowi, w razie zaś sprzeciwienia się odpowie przed Tym, co postanowił zwierzchność ku zbudowaniu, a nie ku ruinie społeczeństwa.

Podwładni słuchać winni swych zwierzchników, jako namiestników Bożych. W tem wszystkiem, co się prawom sumienia nie sprzeciwia. Bo sumienie prawe to wiekuisty Chrystusa namiestnik; to prorok, co nam prawdę objawia; Król, co nam rozkazy wydaje; Kapłan, który albo klątwę na nas rzuca, albo nas błogosławi.

*

* *

Przy kształtowaniu bytu naszego narodowego my tylko liczyć możemy na własne moralne siły, z zasad ewangelicznych wykwitające. Nam wyrobienie duchowe to grunt jedynie pewny pod nogami, poza tem wszystko inne jest przypuszczeniem, hypotezą, kombinacyą...

Gdy wojna się skończy, gdy losy Polski ważyć się zaczną, dojrzałość nasza przedewszystkiem będzie wzięta w rachubę i od podstawy naszej godnej a zgodnej, poważnej a dostojnej, wiele, jeśli nie wszystko zależeć będzie.

---

[1]) Rzym XIII. 1—3. [2]) Tamże 4.

Mimo tylokrotne zawody, my niestety wciąż wyglądamy zbawienia tylko z zewnątrz, niepomni, że losy każdego narodu Opatrzność w jego własne złożyła ręce.

To też chwila obecna wymaga od nas napięcia całej energii, wytężenia wszystkich zdolności — ofiar najcięższych — zerwania z zastarzałymi nałogami i błędami, które sprowadziły nasz upadek i stoją na zawadzie powstaniu z grobu miłej Ojczyzny naszej. Chwila obecna żąda od nas wszystkiego! Z nas samych najcięższą ofiarę ponieść winniśmy, by Polska duchowo odrodzona z wiekowej klęski wyszła zasobniejsza w energię, piękniejszą cnotę, aby do tryumfalnego Te Deum w odświętnej mogła stanąć szacie.

Postawmy więc sobie jasno pytanie: czego praktyczna miłość ojczyzny od nas wymaga?

Z wielu myśli, notujemy tylko jedną, w tej chwili najważniejszą: jednoczyć się, chronić od niezgody.

Z miłości ku wspólnej nam matce, Ojczyźnie, uczyńmyż raz rozbrat stanowczy a niezbędny z tym najzgubniejszym rozkładowym czynnikiem jakim jest waśń, partyjna niezgoda, jedna z naczelnych zguby naszej przyczyn. Ten brak zgody stawia tamę litościwym Opatrzności zamysłom wskrzeszenia zespolonego jednolitym duchem narodu. Wszak by wskrzesić umarłego, trzeba powołać do ciała istniejącego już ducha. By więc wskrzesić wielkie Ojczyzny naszej ciało, potrzeba by duch narodu istniał, duch zjednoczenia w bratniej, chrześcijańskiej miłości.

W każdym narodzie mogą być i są partye, stronnictwa, spełniające poniekąd rolę poszczególnych organów w danym ustroju, ale każdy ustrój jest pomimo to całością, którą jedna ożywia dusza: podobnie nasz ustrój narodowy, jeden duch, duch jedności i zgody ożywiać musi, jeśli jednym mamy być narodem!

Budowę więc przyszłej Polski, pod wodzą Opatrzności, od zjednoczenia dusz koniecznie rozpocząć musimy. Bez tego zlania się w jedną, miłującą się rodzinę, Ojczyzną zwaną, wymarzone gmachy rozpryskiwać się będą i staną niby domki z kart,

rozpadające się o byle powiew. Jeśli na szali wydarzeń dziejowych zaważyć mamy, musimy nieodzownie ujawnić jedność wewnętrzną i zadokumentować w obliczu Europy, że tak byliśmy, tak pozostaliśmy jednym zjednoczonym narodem, posiadającym spoistość wewnętrzną, moralną.

Możemyż żądać, by się liczono z nami jak z siłą dwudziesto trzy milionowego narodu, gdy sami dzielimy się kordonem najniesłuszniejszych oskarżeń i zarzutów? gdyśmy rozbici na rozliczne niespojone z sobą strony? Wieży Babel nie zbudowali ci, którym pycha i wyniosłość pomieszała języki... Ojczyzny niezawodnie Bóg odbudować nam nie pozwoli, dopóki będą w nas myśli, uczucia, zamysły rozbieżne, rozstrzelone, niezogniskowane w jedność bratnią narodową miłością.

Tym czasem, cóż się dzieje? wśród nas zawsze stara wrzawa, stary nieład, stare waśnie, nienawiść stara, zardzewiała, jak krew skrzepła, jak rany przegniłe. Wszędzie wciska się ta okrutna żądza niezgody; wszędzie ten pierworodny naszego narodu grzech po tyrańsku panuje. Zamiast dla ratowania ojczyzny, biedz do jedności, uciekamy od niej co sił. Zamiast ścisnąć się choćby z własną niewygodą, każdy chce się rozeprzeć jak najszerzej, bo radby sam jeden, gdyby mógł, czas i przestrzeń ogarnąć. Nie wcielić się w naród, ale naród wcielić w siebie. Nie służyć mu, ale się nim posługiwać. Gdyby tym rozlicznym stronnictwom o naród przedewszystkiem chodziło, nie stroniłyby od siebie jak od zarazy, nie mierzyłyby się mężobójczym wzrokiem, groźniejszym, nienawistniejszym niż wobec wroga! Niedość, że się same podzieliły, jeszcze i naród rozrywają! Mogłyby być zbudowaniem dla obcych, — a są zgorszeniem! Najlepsi z nich, tacy nawet którzy ostro przyganiają nieprawości na nas popełnionej, powiadają: cóż po tem, że mają prawo do istnienia, kiedy istnieć przez się nie potrafią, bo niezgoda, to rana ich nie uleczalna! Jeśli, jak mówi Zbawiciel, wszelkie królestwo rozdzielone przeciwko sobie będzie spustoszone[1]), jakże się podzielone podniesie? Ni Bóg, ni ludzie pomogą.

---

[1]) **Mat. XII. 25.**

Dotychczas Bożego błogosławieństwa nad narodem naszem niema, bo niema jedności, a śród niezgodnych Bóg nie mieszka. Bóg miłosierny nie błogosławi przedsięwzięciom stronniczym wyłącznym, nienawistnym...

Na co użyliśmy w Galicyi długich lat samorządu narodowego? niestety z sromem wyznać trzeba — że nie użyliśmy ich ku naprawie wad i błędów, które zguby naszej były przyczyną, lecz na to, iżby sami się okuć w ciężkie kajdany niesnasek, nienawiści i wojny domowej. Oto co o tem powiedział w swym referacie Tadeusz hr. Łubieński 22 listopada 1915 r na walnem zgromadzeniu Sodalicyi Mar : „Kraj nasz rozbity na tyle stronnictw politycznych, bez żadnej wspólnej dyrektywy, bez jednolitego kierunku pracy stronnictw, z których niejedno, nawet wśród tych strasznych chwil zmagania się całej Europy na polskiej ziemi, nie zapomniało o partyjnych zawiściach, i osobistych porachunkach".

Kto takiego narodu będzie się bał? kto liczyć się z nim będzie? Co naród taki stworzyć jest zdolny?

Przyjęliśmy żywcem błędy przodków naszych, ale wina nasza gorsza jak ongi ; wówczas w zaślepieniu nie zdawano sobie sprawy z tego co się dzieje, nie zdawano sobie sprawy z następstw. Wady społeczeństwa, błędy historyczne widzi się jasno dopiero wtedy, kiedy się widzi ich skutki, nieraz bo dziesiątki lat potem. Myśmy skutki widzieli, odcierpieliśmy je, ale to nic nie pomogło.

W rozebranej Polsce, rozbiory następowały po sobie dalej w stosunku do otrzymywanej wolności narodowej i każda partya polityczna to nowy rozbiór Polski, to nowe rozbicie się na coraz to drobniejsze a wrogie sobie obozy bratobójczej wojny .

Wiele od tego czasu się zmieniło. Znikła ekskluzywność szlachty, choćby dla tego, że wyszło z jej rąk to, co tej ekskluzywności dawało podstawę — ziemia — a za nią władza.

Ale o dziwo, ten błąd, tak słusznie potępiony, zamiast zginąć, przeszedł drogą spadku na lud. Nikt dziś nie może zaprzeczyć ekskluzywności ludowej, tak daleko idącej, że poza wsią nie chce dopuścić nikogo, niewyłączając nawet i te, choć pod strzechą urodzone jednostki, które wybiwszy się charakte-

rem i zdolnościami na najwyższe nieraz w społeczeństwie stanowiska, naturalnymi ludu przewodnikami stać się winne. Ale nie na tem koniec. Ta ekskluzywność staje się jakąś niemożliwą do wytępienia w całem społeczeństwie plagą, bo kiedy równouprawnienie zrównało prawa i obowiązki, zasługi i winy, kiedy na wszystkich szczeblach hierarchii społecznej, stoją obok siebie, bez żadnej różnicy, szlachcic i nie szlachcic, mieszczanin i wieśniak, ekskluzywność klasowa stała się zasadniczą cechą i myślą przewodnią wszystkich stronnictw politycznych, toczących z sobą nieubłagane walki...

Skutek tej polityki na zewnątrz kraju był ten, że rząd centralny z czasem na seryo z żadnem nie liczył się stronnictwem, żadnego nie uznał i uznać nie mógł za decydujące w narodzie; — wewnątrz zaś kraju samorząd i wolność narodowa, zamiast podnieść poziom etyczny społeczeństwa i zorganizować jego siły do wspólnej pracy, jednolitej i celowej pracy, zróżniczkowały społeczeństwo tak dalece, że do samoistnego bytu uczyniły je tak, jak dzisiaj jest, — jakby niezdolnem...

Temu tak głęboko zakorzenionemu złu przeciwstawiać trzeba pracę zorganizowaną... realną... konsekwentną... wytrwałą!... Nowe legiony stanąć muszą do tej walki duchowej, walki ciężkiej, bo mającej przed sobą wroga, którego nam Polakom trudniej nieraz zwalczać, jak poświęcić życie... wroga, co się zowie — miłość własna.

Z miłości ku droższej nad życie ukochanej Ojczyzny zerwijmyż więc raz stanowczo z wszelką waśnią, partyjną niezgodą, uczyńmy rozbrat z tym wylęgłym z pychy i samolubstwa politycznym dogmatyzmem któremu wielu wciąż jeszcze hołduje, który w nich wmawia, że oni tylko lub ich polityczni przyjaciele odkryli środek nieomylny na zbawienie Ojczyzny, albo dogmat jedyny, poza którym wszystko jest herezyą lub przestępstwem. Jakże łatwo a nieoględnie przypisujemy nieomylność własnemu rozumowi, który w polityce chyba cząstkę prawdy odbija. Cóż stąd wynika? To, że bezwzględnie potępiamy tych, co innego są zdania: stąd każdy z nas Polskę na dwa dzieli obozy: na zastęp sprawiedliwych, do których sam się zalicza —

i drugi szkodników, których chętnieby wytępił, gdyby to było w jego mocy. Złóżmy na ołtarzu ojczyzny ofiarę z miłości własnej, a zapanuje wśród nas miłość i zgoda. Każdy rozumny wniosek z prawd życiowych domaga się ofiary i zwycięstwa nad samolubną miłością. Każda prawda życiowa to anioł, który nam przynosi kielich zaparcia się. I dlatego to ułomna ludzkość nie szuka prawdy tej, bo jej niechce, a gdy się tę prawdę jej głosi, to jej przeciwnicy i prawdę i głosiciela — na krzyż przybić gotowi.

Szanujmy przekonania szczere, uczciwość drugich. Nie uwłaczajmy ludziom, którzy bez wątpienia tak samo jak my szczęścia Ojczyzny pragną, jeno inną ku temu dążą drogą. Czyńmy wszystkie możliwe wysiłki, by ta uroczysta i rzewna Boskiego Zbawcy modlitwa nad narodem naszem się wypełniła: Ojcze Święty, zachowaj je w Imię Twoje, któreś im dał, aby byli jedno... poświęć je w prawdzie, aby byli doskonałymi w jedno[1]).

Niestety, w naszych czasach bujnie się rozpleniła nienawiść także na naszym gruncie. Zaczęto rodaka zohydzać jak wroga, kopać w społeczeństwie doły, odgradzające siłę od siły, czyli raczej słabość od słabości. — Zostawmyż to innym; — znamy tych wrogów, którzy potrzebują nienawiści do oddychania i życia. — Nam trzeba miłości do budowy i odbudowy, do opatrywania, leczenia, krzepienia... Żaden naród siły na długo nie zatrzyma, ani osłabły jej nie nabędzie, jeżeli mu niedostaje społecznej równowagi i zgody. Naród podległy potrzebuje jej bardziej, niż wolny. Dlatego wszystko, co w nim tę równowagę i zgodę psuje, burzy, — jest grzechem przeciw jego sprawie, zamachem na jego przyszłość. Naród nie jest kupą piasku, zbiorem jednostek, lecz organizmem, którego każda część jest potrzebna, jeżeli organizm ma być zdrowym i silnym. Jedna część, jedna warstwa społeczeństwa, kiedy mniema lub chce być pierwszą i najważniejszą przez innych, lub ich wyparcie, sprowadza osła-

[1]) Jan XVII. 11.

bienie na całość, a w końcu na siebie samą. Dlatego stronnictwa i pisma, które szerzą nieufność i niechęć jednych części społeczeństwa do drugich, które dla znaczenia i wyniesienia własnego judzą i jątrzą jednych przeciw drugim, szkodzą sprawie a naród psują, bo zaszczepiają lub rozwijają w nim zabójczy pierwiastek nienawiści społecznej. Jest to zakażenie krwi, jest to wciąż grożąca śmierć.

Ks. J. St. Adamski.

Modernizm w książce polskiej.

(Ciąg dalszy).

Nasz Autor nigdzie tej kwestyi nie roztrząsa, a przecież to rzecz zasadnicza. Bo samo imię Kanta nie wystarczy chyba, by wszystkie jego zapatrywania przyjmować bez dyskusyi. Autor wie, że system Kanta ma także wielu przeciwników. Wie, że zwłaszcza „Krytyka czystego rozumu“ wystawiona była na bardzo ostrą krytykę, że wykazywano Kantowi cały stek sprzeczności, że wskazywano na mętne źródła skąd płynie błędność całego systemu — wie to wszystko, a przecież jakby o tem nie wiedział, stawia nadal jako niezbity pewnik, iż rozum nie jest w stanie pojąć „rzeczy w sobie“, że zasada przyczynowości dobrą jest tylko w dziedzinie świata zmysłowego. Jeśli przeciw tym twierdzeniom podnosi się opozycya z wielu stron, to należało wprzód gruntownie rozprawić się z argumentami opozycyi, wykazać ich nicość, dopiero wtedy możnaby na teoryi Kanta dalej budować. Mówię należało przeciwnikom Kanta dać gruntowną, rzeczową odprawę, bo nie może za taką uchodzić taka n. p. obrona systemu Kanta odnośnie do „rzeczy w sobie“: „Choćbyśmy się zgodzili z Jacobim, że ze stanowiska samego Kanta rzecz w sobie niczem innem być w sobie nie może, jak tylko wytworem umysłu nie zachwieje to ogromnej wagi określenia jej jako pojęcia gra-

nicznego *(Grenzbegriff)*. Pojęcie to stawia kres roszczeniom umysłowości, doprowadza do progu podwojów zamkniętego i tajemniczego świata, jest dobitnem przypomnieniem ograniczoności umysłu, działającego w ciasnej dziedzinie empiryi, jest zarazem w tej ciasnocie prądem świeżego powietrza, rzeźwym powiewem, niosącym przeczucie nieskończonych widnokręgów, rozścielającej się poza obszarami wiedzy empirycznej". (t. I. str. 11).

I te wszystkie cudowne skutki ma sprawić jedynie samo nazwanie „rzeczy w sobie" *pojęciem granicznem*, rzeczy o której się nawet na pewno nie wie, czy istnieje w rzeczywistości, czy też tylko jest wytworem umysłu! A jeśli „rzecz w sobie" nie stanowi granicy dla umysłu ludzkiego, to w takim razie określenie jej przez Kanta pojęciem granicznem będzie tylko pięknym frazesem, a budowane na niem piękne nadzieje rozwieją się jak mara senna. A więc trzeba było wprzód rozprawić się z opinią tych, którzy wbrew Kantowi śmią utrzymywać, że o „rzeczy w sobie" przecież coś rozum teoretyczny wiedzieć może. A gdyby się okazało, że przeciwnicy są w błędzie, to nie te wspaniałe horyzonty roztwierałyby się przed okiem ludzkiem, o których pisze Autor, ale raczej temi nadzmysłowemi rzeczami nie byłoby się co zajmować, bo czem je będziemy badać, skoro rozum do nich nie może dotrzeć? Wprawdzie Autor nas pociesza: „Niedostępne to i niepoznawalne, ale od czegóż są orle skrzydła ducha?..." Tylko, że ślepemu orłowi i orle skrzydła nie pomogą — i z nimi o skałę się rozbije. Rozum to jedyny pewny wzrok ducha ludzkiego!

Że świat istnieje, że nie jest tylko wytworem naszej fantazyi, że nie jest tylko postulatem rozumu, ale przez zmysły i rozum bezpośrednio poznaną i doświadczoną prawdą, to wydaje się zdrowym umysłowo ludziom tak pewnem, że tylko sceptyk może w to powątpiewać. Jeśli tu jeszcze mogłaby być pomyłka to w takim razie niby nam nie pozostało jak oddać się kompletnemu sceptycyzmowi, bo już nic lepiej, z większą oczywistością, nie poznamy jak właśnie świat poza

nami istniejący. Niektórym hyperfilozofom się zdaje, że dopiero wtedy mogą coś przyjąć za prawdę co sobie filozoficznymi racyami udowodnią. Zapominają, że niektóre prawdy są tak oczywiste, że udowodnienia nie potrzebują ani ono jest możliwem, bo wszelkie dowody będą słabsze od bezpośredniej oczywistości samych prawd i ostatecznie wszelkie dowody na tych prawdach muszą się oprzeć i do nich dać się sprowadzić. Tam, gdzie nie ma pewników, nie potrzebujących dowodów, tam argumentacya jest niemożliwą. Do takich prawd należy n. p. zasada sprzeczności, tożsamości, przyczynowości, pewność że jesteśmy, że mamy rozum, który może prawdę znaleźć, że zmysły zdrowe w warunkach normalnych nas nie mylą, że świat realny istnieje poza nami itp. Kto powątpiewanie w te prawdy bierze za punkt wyjścia swej filozofii, jak to uczynił Kant, ten pozbawia się podstaw, na których zdrowe myślenie musi się oprzeć i skutkiem tego wpadnie koniecznie w sofisteryę i dojdzie do rezultatów sprzecznych z poglądami całego świata.

Rozum nie tylko może poznać istnienie rzeczy poza nami, ale i istotę tych rzeczy. Wszak mamy pojęcie nie tylko Piotra lub Pawła, ale wiemy, co to jest człowiek wogóle. Rozróżniamy cechy istotne człowieka od cech kamienia lub drzewa. Badając przymioty danej rzeczy, jej objawy w działaniu, w skutkach, jakie wywołuje, dochodzimy do poznania samej natury rzeczy. Badania naukowe coraz więcej docierają nie tylko do poznania objawów ciepła, światła, ruchu, ale i natury tych sił przyrody. Z odmiennych zjawisk, jakie wywołują rzeczy, wnioskujemy na odmienne ich natury. Wszystkie nauki nie są tylko opisem zjawisk i ich ugrupowaniem, ale starają się poznać samą naturę tych rzeczy, które dane zjawisko wywołują. Mamy pojęcie sprawiedliwości, moralności, piękna, dobra. Według tych pojęć osądzamy postępowanie ludzi, oceniamy dzieła sztuki. Są pewne normy etyczne, estetyczne, które niemal cały świat uznaje, więc rozum poznaje nie tylko rzeczy indywidualne poza nami istniejące, ale i naturę tych rzeczy. I tym pojęciom realną wartość przypisuje, bo według

nich urządza swe życie, sądzi, wnioskuje, sprawdza doświadczalnie ich wartość w praktyce życiowej itp. Więc jakżeż można wbrew oczywistości i codziennemu doświadczeniu utrzymywać, że rozum ludzki nie jest zdolny poznać rzeczy w sobie i uznawać to twierdzenie Kanta za wynalazek epokowy, który nas dopiero ma powieść w krainy pozaświatowe! Mnie się ten wynalazek Kanta wydaje całkiem poroniony, zdolny chyba w swych konsekwencyach doprowadzić do kompletnego subjektywizmu, jak się też stało u następców Kanta. W każdym razie, skoro się twierdzeniem Kanta wojuje przeciw scholastyce i zaleca modernizm, należało wprzód to twierdzenie gruntownie uzasadnić, bo tylko oczywiste twierdzenia jak 2 a 2 = 4, nie potrzebują udowodnienia, a do takich owo twierdzenie Kanta pewnie nie da się zaliczyć, jak już wypływa z uwag powyższych, nasuwających się niemal samych przez się, a dałoby się ich daleko więcej przytoczyć, gdyby mojem zadaniem było zbijać system Kanta. Mnie tylko idzie o wykazanie, iż metoda pisania Szanownego Autora, w rzeczy niezmiernej wagi, o konsekwencyach niesłychanie doniosłych, jest nieco powierzchowna, zanadto po literacku prowadzona

Dowody na istnienie Boga opierają się na zasadzie przyczynowości. Kant, a za nim nasz Autor, twierdzi, iż za pomocą tej zasady nie można dojść do Boga. Czemu? Ponieważ Autor nie podaje nowych racyj, dość będzie wykazać, iż racye Kanta są niedostateczne.

Dla Kanta zasada przyczynowości nie ma objektywnej wartości, ale jest tylko pewną dyspozycyą umysłu ludzkiego, która go zmusza do szukania dla zjawiska powstającego innego zjawiska jako jego przyczyny. Służy ona tylko do porządkowania zjawisk w umyśle. Poza świat zjawisk za pomocą tej zasady nie można się wydostać, bo tylko przyczynę, która jest zjawiskiem, tą zasadą dosięgnąć można. Więc ani do poznania duszy ani Boga ta zasada nie prowadzi.

Wszystkie te twierdzenia Kanta nie mogą się ostać wobec zdrowego rozumu.

Gdyby zasada przyczynowości nie miała objektywnej

wartości, to cała nasza wiedza, wszystkie nauki, które przecież na niej się opierają, nie miałyby żadnej objektywnej wartości, a byłyby tylko czysto subjektywnymi poglądami. Temu przeczą fakta i przeświadczenie uczonych, nie wyjmując samego Kanta. Wszak kiedy szukamy przyczyn, a każda umiejętność tylko wtedy na nazwę umiejętności zasługuje, gdy śledzi za przyczynami danej rzeczy czy faktu, to szukamy objektywnych przyczyn poza naszym umysłem istniejących. Jesteśmy przeświadczeni, że żaden skutek nie tylko nie da się pomyśleć, ale i nie może b y ć bez realnej przyczyny, realnie na ten skutek wpływającej. Inaczej cała filozofia Kanta, który przecież w swych rozumowaniach ani kroku zrobić nie może bez posługiwania się zasadą przyczynowości, byłaby bez wartości objektywnej, igraszką myśli, którejby na seryo traktować nie można było.

Na zasadzie przyczynowości wspiera się całe nasze praktyczne życie, według niej nasze sprawy urządzamy od chwili obudzenia się w nas świadomości aż do deski grobowej. Czy chcemy czy nie chcemy, czy myślimy o tem czy nie, sprawy się toczą bez nas i poza nami w ten sposób, że jedna wpływa na powstanie drugiej i nie jest w naszej mocy temu biegowi rzeczy przeszkodzić.

Grzechem pierworodnym filozofii Kanta, z którego wypłynęło jego przeświadczenie o subjektywnej wartości zasady przyczynowości, to jego sądy syntetyczne *a priori*. Zasada przyczynowości jest sądem syntetycznym, bo się opiera na doświadczeniu. Ponieważ atoli jest ogólną, wszystkie zjawiska obejmującą, więc nie jest tylko sądem syntetycznym, bo te są jednostkowe, odnoszą się tylko do jednego faktu lub do pewnej grupy faktów. Z drugiej strony zasada wspomniana nie jest też, zdaniem Kanta, sądem analitycznym, bo z analizy pojęcia „skutek“ nie płynie, że skutek musi mieć przyczynę. A więc konkluduje Kant, musi być w umyśle naszym dyspozycya, która nas zmusza do przyjęcia przyczyny dla zjawiska nowo powstającego, czyli zasada przyczynowości jest sądem syntetycznym *a priori*.

Tym czasem prawdą jest, że zasada przyczynowości jest sądem analitycznym, tylko że analiza jest pośrednią, nie tak wprost widoczną jak n. p. w sądzie: całość jest większa od swej części.[1])

A zatem nie jakaś fatalistyczna konstrukcya naszego umysłu zmusza nas do przyjęcia dla zjawiska nowo powstającego przyczyny sprawczej, ale analiza pojęcia skutku zniewala umysł do szukania dla niego objektywnej, tak jak sam skutek, przyczyny, bo inaczej skutek nie miałby dostatecznej racyi bytu, a wszystko musi ją mieć. Nie potrzeba sprawdzać indukcyjnie, że wszystkie zjawiska nowo powstające mają realną przyczynę, wystarczy zobaczyć jedno zjawisko, którego przedtem nie było, by już przez analizę rozumową dojść do przekonania, że tak jak to zjawisko, tak wszystkie inne, gdziekolwiek powstają, na ziemi czy na słońcu, muszą mieć swego powstania dostateczną, realną przyczynę sprawczą. Możemy tej przyczyny bliżej nie znać, ale musimy ją przypuścić, jeśli nie chcemy zadawać gwałtu naszemu rozumowi i popaść ostatecznie w zupełny sceptycyzm.

Na twierdzenie dalej, że zasada przyczynowości może nas tylko do przyczyn zmysłowych zaprowadzić, ani Kant ani jego zwolennicy dotąd nie dostarczyli dowodu. Zasada przyczynowości jest jak mówiliśmy, sądem analitycznym, przeto jest bezwzględnie prawdziwą, domaga się zatem bezwzględnie zawsze i wszędzie dostatecznej realnej przyczyny dla zjawiska realnego. A skoro takiej przyczyny nie ma i być nie może w świecie zjawisk, zasada domaga się kategorycznie i koniecznie przyjęcia przyczyny nadzmysłowej. Tylko niczem nieuzasadnione przypuszczenie Kanta, iż rozum nie jest zdolny poznać nic nadzmysłowego, bo tylko do świata zjawisk jego poznanie się ogranicza, skłoniło Kanta do twierdzenia, iż przy pomocy tej zasady nie możemy się wydostać ze świata zjawisk. Wprzód trzebaby inną chyba konstrukcyę naszemu ro-

---

[1]) Analizę zasady przyczynowości zob. n. p. u Gutberlet, Allgemeine Metaphysik 3 Aufl. S. 102.

zumowi nadać, zanimby się na seryo uwierzyło, iż zasada przyczynowości nie jest objektywną, lub że tylko w świecie zjawisk ma zastosowanie. Przy dzisiejszej konstrukcyi umysłu dopóty się nie uspokoimy, dopóki nie znajdziemy dostatecznej realnej, poza nami istniejącej, przyczyny danego zjawiska, i jest ostatecznie obojętną rzeczą dla umysłu, czy ta przyczyna będzie zmysłowa czy nadzmysłowa, byle była wystarczająca. Zasada przyczynowości wyklucza tylko niedostateczną przyczynę, ale nie wyklucza nadzmysłowej.

Tylko bojaźń spotkania się z Bogiem u jednych, a apriorystyczna filozofia u drugich są powodem, dlaczego zasadę przyczynowości uważają za subjektywną lub ją ograniczają do świata zjawisk.

Powie kto może na moje wywody, iż jest rzeczą nienaukową przyjmować przyczynę nadzmysłową, której doświadczeniem sprawdzić nie można, gdy nauka nic nie przyjmuje, co się doświadczeniem nie da stwierdzić.

Odpowiadam, com już przy innej sposobności[1]) odpowiedział na podobny zarzut, zwrócony przeciw cudom:

„Jest nadużyciem pojęcia n a u k i, kiedy się tą nazwą oznacza wyłącznie empiryczne dziedziny wiedzy, a więc tylko umiejętności przyrodnicze i historyczne, a potem się tak wnioskuje: N a u k a nie wie nic o przyczynie nadzmysłowej, przyczyna taka naukowo nie da się uzasadnić. To jest sofizmat. Bo jeśli się nazwę n a u k i ogranicza tylko do samego konstatowania empirycznych faktów, w przyczynowym zostających związku, to tego, co poza tymi faktami leży, nie można odrzucać jako nienaukowe, ale tylko zaznaczyć, że to nie jest przedmiotem tej tak pojętej nauki. Z tego jednak bynajmniej nie wypływa, że człowiekowi jest wzbronione, albo, że to jest nierozumne, nie zostawać tylko przy oglądaniu samych faktów, ale szukać dla ich wytłómaczenia odpowiedniej przyczyny, a gdy się ta nie znajduje w obrębie przyczyn zjawiskowych,

[1]) Zob. moją broszurę: Czy teologia jest umiejętnością. Str. 15. — Kraków 1911.

szukać jej poza temi zjawiskami. Wniosek ze skutku na odpowiednią przyczynę zawsze się utrzyma wobec zdrowego rozumu, czy go kto nazwie naukowym czy nie. Tak samo zawsze wolno będzie wnioskować ze skutku, który przyczynami zmysłowymi nie mógł powstać na nadzmysłową przyczynę. Czy taki wniosek nazwie kto naukowym czy nie, mniejsza o to, w każdym razie będzie on rozumnym".

Zresztą kto zastosowanie zasady przyczynowości ogranicza tylko do przyczyn, leżących w dziedzinie zjawisk, ten winien był wprzód wykazać, dlaczego ta zasada ma taki tylko ograniczony zakres zastosowania, a w tym celu winien był zapatrywania odmienne od zapatrywań Kanta poddać dyskusyi i wykazać ich mylność. Autor tego nie uczynił, ale uznając Kanta „krytykę czystego i praktycznego rozumu" niemal za objawienie, na niej dalej buduje, a gdy kto przeciw prawdziwości objawienia głos podnosi, zbywa go uwagą, iż „na stanowisko Kanta nie łatwo jest się wznieść" i że „tylko nieliczni wybrańcy zdołają przejść ciasną bramę" filozofii Kanta.

* * *

Skorośmy się uporali z głównemi zasadami, na których się modernizm wznosi, zobaczmy jeszcze zarzuty, jakie podnosi przeciw intellektualizacyi religii, a z których najważniejsze z książki Autora na początku tej rozprawki przytoczyliśmy.

3. Dowody rozumowe w religii nikogo nie przekonają, bo każdy je przyjmuje według stanu swej duszy, każdy ma swą „personalną logikę". Gdyby rozum był bezwzględnie objektywny, byłaby tylko jedna religia i teologia, nie potrzebaby nadto łaski do wierzenia.

Faktem jest jednak, że dowody rozumowe bardzo wielu ludzi musiały przekonać, bo intellektualistów religijnych było i jest jeszcze bardzo dużo. Nie przeczymy, że rozum w poszukiwaniu prawdy, zwłaszcza religijnej, może napotykać na ogromne trudności. Pomijamy nadzmysłowość i wzniosłość samych prawd, utrudniającą człowiekowi tak bardzo od zmy-

słów i doczesności zależnemu, wspinanie się na niebotyczne wyżyny za prawdą. Jak łatwo tu dla wielu umysłów o pomyłkę! Pomijam także i to, że tak jak w innych dziedzinach wiedzy tak i w religii, gdy idzie o rozumowe uzasadnienie prawd religijnych, potrzeba do zrozumienia dowodów należytego filozoficznego przygotowania i pewnego wyszkolenia w logicznem myśleniu. Kto tego nie ma, łatwo może mimowolnie z drogi prawdy zboczyć. Wielką przeszkodą w bezstronnej ocenie dowodów rozumowych stanowi przylgnięcie do pewnych światopoglądów, wrogich wszelkiej religii i nadprzyrodzoności jak n. p. materyalizm, dalej poglądów, które metodę scholastyczną już z góry uważają za fałszywą, w religii głoszą agnostycyzm, religię uważają za rzecz uczucia itp. Ale tu jeszcze przeszkodom nie koniec. Religijne przekonania pociągają za sobą praktykę życiową. To nie teoremy geometryczne, których uznanie za prawdziwe nie wymaga żadnych ofiar z upodobań naszych, z namiętności, ze sławy, z majątku, z życia. Religijne przekonania wielu z wymienionych ofiar żądają zawsze, innych dość często. Dodajmy do tego kierunek wychowania wrogi religii, uprzedzenia n. p. protestanta do religii katolickiej, przechodzące przez całe wieki z pokolenia na pokolenie, ów stek fałszów i szkalowań, jakie codziennie niemal czyta się w dziennikach, w czasopismach, w książkach naukowych i popularnych przeciw religii, a będziemy mieć odpowiedź na pytanie, dlaczego argumenta rozumowe mało przekonują niektorych, dlaczego wszyscy ludzie jednej nie wyznają religii. Nie żeby rozum nie mógł dojść do prawdy lub żeby argumenta rozumowe nie mogły nań oddziaływać i przekonać, ale bo temu stoją na przeszkodzie wymienione przyczyny. To samo zjawisko spotykamy i na innych polach. System Kopernika, na jak wielkie napotykał trudności — czemu? Bo rozum był więziony systemem Prometeusza. Uprzedzenie do romantyzmu było powodowane wiekowem przylgnięciem do klasycyzmu, jako jedynej idealnej formy wyrażania w literaturze myśli ludzkiej. A przecież po licznych walkach rozum przebił się przez trudności i znalazł prawdę. Tak się rzecz ma i w re-

ligii. Nie trzeba się zrażać, że ludzie mają w religii swą „logikę personalną“ ani uznawać tego za rzecz dobrą, bo widzieliśmy, jakie ujemne czynniki wpływają na wyrobienie takiej logiki, ale te czynniki usuwać, wyrywać chwasty, nie pozwalające się rozumowi rozwinąć, wyrównywać drogi przed rozumem, a on z pewnością wcześniej czy później pójdzie drogą logiki ogólnoludzkiej i do prawdy dojdzie. I oto w tem usuwaniu przeszkód przed rozumem, by mógł zobaczyć prawdę, dzielnie pomaga Łaska boska. Bóg niezliczonymi sposobami, do potrzeb indywidualnych każdego zastosowanymi, pomaga do usunięcia przeszkód, przysłaniających prawdę przed rozumem. Oświeca umysł bądź zewnętrznie, nastręczając n. p. odpowiednie książki, pomoc ludzi religijnie wykształconych, lub okazując słabość lub nicość zarzutów przeciw prawdzie podnoszonych, odsłaniając piękno prawdy religijnej: piękno etyczne dla jednych, estetyczne dla drugich, dając poznać zgodność tych prawd z rozumem itd. a tem samem łagodząc uprzedzenia do prawdy religijnej, usposabiając dobrze wolę dla prawdy. Łaska dalej wlewa odwagę, męstwo do zwalczania przeszkód w dążeniu do prawdy, do poniesienia ofiar dla prawdy, wiedzie niektórych aż do heroizmu męczeństwa za prawdę. A więc łaska nie usuwa rozumu, ani go zastępuje w poszukiwaniu prawdy religijnej, ale pomaga do usuwania przeszkód, zawalających rozumowi drogę wiodącą do prawdy, ona tez ten rozum wzmacnia, by dalej i głębiej dojrzał, niżby to sam o własnych siłach zdołał. Łaska, jeśli wolno użyć z rzeczy ludzkich wziętego porównania, jest w dziedzinie duchowej tem, czem teleskop w dziedzinie zmysłów. Wzmacnia wzrok ludzki, by dalej sięgnął i szersze przestrzenie objął, ale naturalnej siły wzroku nie znosi, ani go czyni zbytecznym — to samo czyni łaska w dziedzinie ducha.

W tych uwagach daną jest też odpowiedź na rozumowanie Modernistów, iż ponieważ racyonalizm w religii nie przemawia do dzisiejszego świata intelligentnego, dlatego oni, Moderniści, szukają innych dróg, dostosowanych więcej do dzisiejszego ducha czasu.

Mnie się zdaje, że zanim katolicy się dostosują do ducha czasu, powinni wprzód zbadać, czy ten duch czasu odpowiada Ewangelii i zdrowemu rozumowi. Tymczasem w kołach w elkiej liczby uczonych na polu religijnem panuje pogląd materyalistyczny, u innych agnostycyzm, panteizm lub pozytywizm nie uznający nic, co wybiega poza zmysłowe doświadczenie, i jakże tu katolikowi dostosowywać się do ducha czasu? Katolik tylko wtedy mógłby to zrobić, gdyby te kierunki dzisiejszej myśli ludzkiej były prawdziwymi, a czy są takimi? Więc nie kompromisy i szukanie w dowodzeniu metod kompromisowych, ale wykazywanie błędów w poglądach nowoczesnych, o ile te dotyczą religii, oświecanie pod tym względem inteligencyi — oto zadanie uczonych katolickich. Gdyby Moderniści swe niezaprzeczone talenta w tym właśnie kierunku zwrócili i zamiast biadać bez końca na zgubność kierunku racyonalistycznego w religii, pogłębili ten kierunek, uprzystępnili go czytelnikom swem nieraz wybornem piórem, gdyby spożytkowali w tej pracy zdobycze naukowe, osiągnięte dziś, zwłaszcza na polu nauk przyrodniczych, to z pewnością zamiast wprowadzania większego jeszcze zamięszania pojęć i odstręczania ludzi od Kościoła, przysłużyliby się religii niepomiernie. W każdym razie nie można metody rozumowej, wypróbowanej wiekami, porzucać, zanim się stanie jasnem, nie to, że się ta metoda wielu uczonym nie podoba, ale, że jest fałszywą. Na taki dowód rzeczowy, ścisły, objektywny napróżno się wyczekuje od zwolenników asymilacyi kultury dzisiejszej, kultury przynajmniej w światopoglądach religijnych zgoła fałszywej i wrogiej religii katolickiej. Nie asymilować, tylko wprzód leczyć ludzkość z fałszywych poglądów, a asymilacya wtedy sama z siebie przyjdzie.

Powiada Autor, że przeciw agnostycyzmowi i wobec pozytywistycznego racyonalizmu naukowego jest bezsilną wszelka dyalektyka racyonalistyczna!

Odpowiadamy, iż ani agnostycyzm ani pozytywizm nie jest wiecznym. Co ludzie wymyślili, inni ludzie zburzyć mogą. Trzeba tylko fałszywość jednego i drugiego kierunku wyka-

zywać, a przedewszystkiem trzeba ujawniać całą nicość podstaw, na których się oba te kierunki fałszywe wspierają — więc oczywiście zamiast faworyzować i zalecać kancyanizm, trzeba się przeciw niemu zwrócić z jak najenergiczniejszym, naukowym atakiem.

4. Intellektualizm w religii prowadzi, zdaniem Autora, do antropomorfizacyi Boga!

Nie intellektualizm jest przyczyną pewnej antropomorfizacyi Boga, ale natura ludzka. Człowiek jako istota zmysłowo-duchowa dąży już z natury swej do uplastycznienia wszystkich swych idei, oderwanych i duchowych. Dopiero przez nadanie tym ideom pewnych kształtów, z przyrody i z życia ludzkiego wziętych, nabiera lepszego ich zrozumienia, a one żywości. Stąd w Piśmie św. pełno jest antropomorfizmów. Kiedy Pismo św. chce powiedzieć, iż Bóg się kimś opiekuje, mówi, że o k o Boże czuwa nad nim, że Bóg go swą p r a w i c ą zasłania od nieprzyjaciół, a przeciwnie, gdy chce powiedzieć, że Bóg grzeszników nie wysłuchuje, mówi, że Bóg o d w r a c a s i ę do nich p l e c a m i, że Bóg ś p i, gdy go wzywają itp. Antropomorfizm taki nie szkodzi czystemu pojęciu Boga, bo katolik wie, że Bóg jest szczerym duchem, nie ma więc ciała, a sposoby ludzkie mówienia o Bogu służą tylko dla naszej wygody. To o antropomorfizmach wogóle i o źródle, skąd pochodzą.

Autor nasz nazwę antropomorfizmu rozciąga do pojęć o Bogu, które wcale antropomorfizmami nie są. Bo nie wszystkie przymioty, przeniesione z ludzi na Boga, są tem samem antropomorfizmami. Inaczej byłoby także antropomorfizmem nazywać Boga mądrym, świętym, sprawiedliwym itp., bo i te przymioty ludzie posiadają i z nich przenosimy je na Boga. Te tylko właściwości ludzkie i czynności przeniesione na Boga są antropomorfizmami, które są wyłącznie tylko człowiekowi właściwe — n. p. byłoby antropomorfizmem przypisywać Bogu oczy, uszy, zastanawianie się przed decyzyą itp. inne, które mogą być tak dobrze przymiotem człowieka, anioła jak Boga, przeniesione na Boga nie są wcale antropomorfizmami. Kiedy

się. Boga nazywa panem naszym lub królem a ludzi jego sługami czy poddanymi, to nazwa taka wcale nie jest antropomorfizmem, ale wyrażeniem właściwem i ścisłem. Bóg jest panem i królem naszym ze stokroć liczniejszych tytułów niż ziemscy nasi panowie i królowie. Wszystkie prawa, które w pojęciu pana i króla do swych poddanych się mieszczą, Bóg ma względem nas i to w daleko wyższym stopniu, a tak samo i my mamy obowiązki poddanych względem niego. Despotą Bóg nie jest. Takiego pojęcia o Bogu katolicy nie mają. Sprawiedliwość Bożą zawsze łączymy z mądrością, dobrocią, miłosierdziem itp. przymiotami, które sprawiają, że nie wyobrażamy sobie Boga. karzącego bez racyi lub wydającego rozkazy według kaprysu, jak to zwykli czynić despoci. To, że Bóg wydaje rozkazy i żąda dla nich posłuchu, to jest nauką religii, ale to nie może być antropomorfizmem, bo wydawanie rozkazów stworzeniu przez Stwórcę godzi się z najczystszem pojęciem o Bogu. Aż do czasów Modernistów nikomu i największym geniuszom ludzkości nie przyszło na myśl, iż nazywanie Boga panem i królem należy uważać za antropomorfizm niegodny Boga. Nie intellektualizm antropomorfizuje Boga, ale modernizm każąc Bogu takie tylko dawać objawienia, jakie leżą w podświadomości człowieka, a więc ostatecznie takie rozkazy, na jakie człowiek zezwoli, czyni Boga od człowieka zależnym, stawia człowieka na pierwszem miejscu Boga poniża a człowieka ubóstwia.

5. Prawda jest nieskończoną, dla tego nie może być „ostatecznie poznaną i zawartą w systemie wykończomym“ (str. 257).

My nie twierdzimy że Bóg, Prawda w sobie nieskończona, nawet w religii tak doskonałej, jaką jest katolicka, jest całkowicie poznany i tem poznaniem niejako wyczerpany. Takiego całkowitego, wyczerpującego poznania Boga stworzenie nigdy mieć nie będzie, bo nawet Święci w niebie, którzy go widzą „twarzą w twarz“, całkowitego poznania Boga nie posiadają. My tylko mówimy i udowadniamy ze słów Chrystusa, że objawienie Boże, jakie ludziom było potrzebne i wystar-

czające, doszło w Chrystusie Jezusie do swego kresu i tak co do swej istoty jak i ilości prawdy pozostanie niezmienione i niepowiększone aż do skończenia świata. Objawienie to, mimo swej doskonałości, ma zakres skończony, nie wyczerpuje oczywiście jeszcze Boga i dlatego „da się ostatecznie poznać i zawrzeć w system skończony". Modernistom ciągle chodzi po głowie, że religia katolicka jest naturalnym tylko rozwojem potrzeb religijnych ludzkości. Z tych potrzeb się zrodziła, w nich jakby w swych korzeniach czerpie pokarm. To nazywają oni objawieniem. W miarę rozwoju kultury rosną i potrzeby religijne, doskonalą się pojęcia o Bogu, słowem odbywa się ewolucya religii. A że ludzkość w kulturze ciągle będzie postępować, więc i z religią katolicką będzie tak samo. Tymczasem taka religia nie byłaby religią objawioną wcale, ale wytworem czysto ludzkim, na równi z poezyą, ze sztuką i innymi szlachetnymi potrzebami duszy ludzkiej. Taka religia, gdyby była możliwą, byłaby najwyżej jakąś religią naturalną. Religia katolicka jest religią bardzo odpowiadającą potrzebom natury ludzkiej, ale nie te potrzeby ją zrodziły. Nasza religia jest pozytywnie objawioną religią, przez objawienie zewnętrzne, i obejmuje oprócz prawd rozumem poznanych, nie bez pomocy objawienia, te tylko prawdy, które Bóg chciał człowiekowi objawić i rzeczywiście objawił, a przez Chrystusa nas pouczył, że już do końca świata nowych prawd objawiał nie będzie. My na te wszystkie twierdzenia dajemy pozytywne dowody z Pisma św. i Tradycyi czerpane, a Moderniści swe zapatrywania popierają apriorystycznymi racyami, które najwyżej mówią, jaki sposób objawienia byłby ich zdaniem lepszy, a tu idzie o to, jak *faktycznie* Bóg się ludziom objawił. Gdy idzie o religię nadprzyrodzoną nie można rozumkiem ludzkim Bogu przepisywać, jak ma się objawiać, ale trzeba brać co Bóg dał, stwierdziwszy oczywiście wprzód pozytywnymi argumentami, nie odczuciami i wewnętrznemi wizyami, bo te mogą być ułudą, że w danym razie rzeczywiście mamy do czynienia z boskiemi objawieniami.

6. Taka z zewnątrz pochodząca religia ma zdaniem Modernistów pozbawiać „autonomii, każdy z nas przestałby być osobą, indywidualnością“ (str. 246), „wywoływałaby w nas zastygnięcie życia, nie budziłaby do siebie miłości“.

A więc jedno z dwojga: albo św. Katarzyna Seneńska św. Franciszek z Asyżu, św. Franciszek Salezy, św. Augustyn, św. Bazyli Wielki, św. Ignacy Loyola, św. Wincenty a Paulo i tylu, tylu innych nie byli wybitnemi indywidualnościami, albo mieli swoją jakąś religię, mniej więcej na zasadach modernistycznych opartą, czyli uznawali dogmaty za symbole tylko, hierarchię kościelną za instytut policyjny i biurokratyczny, papieża za despotę, objawienie zewnętrzne za antropomorfizmy itd. Twierdzić jedno lub drugie byłoby rzucać historyi piaskiem w oczy. Tu się dopiero okazuje jak apriorystycznie moderniści i ich zwolennicy konstruują swe teorye, jak nie oglądają się na fakta.

(C. d. n.)

Ks. Dr. M. Sieniatycki.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Możnowładztwo w Polsce na tle dziejów. *Starczewski Eugeniusz.* I. Do końca XVII. w. Nakł. Gebethnera i Wolfa. Warszawa 1914, str. 665 in 8-vo.

Przeczytawszy całą książkę, ma się wrażenie, jakgdyby Sz. Autor miał za cel pracy „wzgląd na dzisiejszą politykę narodową“ (str. 6, wstęp); już takie powiedzenie tembardziej w książce historycznej nakazuje czytelnikowi pewną ostrożność w przyjmowaniu sądów Autora. Zaraz dalsze słowa „Wstępu“ powiększają to podejrzenie: „Główną uwagę zwróciliśmy na XVII. i XVIII. wiek, a to z powodu, że choć możnowładztwo polskie odegrywa (*sic*) ogromną rolę już w końcu w. XIV., to jednak rola ta nie jest tak doniosłą w znaczeniu skutków, jak rola, którą odegrało możnowładztwo od czasu swego zwyrodnienia, a zwyrodnienie to, przy jednoczesnym wpływie ujemnym na nasze dzieje datuje się dopiero od początku XVII. w. Do tego czasu możnowładztwo polskie stanowiło czynnik normalny w rozwoju państwa“ (str. 8).

W tych słowach A. najlepiej scharakteryzował swą tendencyę: chciał przedstawić tylko okres anormalny naszego możnowładztwa, jego zwyrodnienie. Wobec takiego założenia, możnaby powiedzieć, że tytuł nie odpowiada treści. A. więcej w nim obiecuje, niż daje: treść zaś sama jako monografia, nie daje całokształtu, bo odsłania tylko jedną stronę i to najciemniejszą naszego możnowładztwa. A to może być krzywdą historyczną.

Możnaby jednak sądzić, że A. jest mimoto pod względem politycznym — przeciwnikiem rządów demokratycznych, „bo to zwykle rządów parodya“ (str. 185).

Ale nie przesądzajmy rzeczy: Przeglądnijmy cz. I. w jej trzech rozdziałach.

Całość to jakby refleksye nad dziejami Polski, ze szczególnem uwzględnieniem możnowładztwa, aczkolwiek słusznie mówi o niem A. w osobnych ustępach. Rok 1600, 1648 i początek XVIII. w. oto główne etapy o których wypowiada swoje uwagi i sądy, poczem daje krótki szkic rodów możnowładczych, jakie w tych okresach występują. Wśród takich uwag i refleksyi, rzecz jasna, że musi się wkraść coś zbyt oryginalnego albo sprzecznego z zapatrywaniem lub wnioskiem, postawionym na innem miejscu: nieraz trzeba tylko o tem wspominać, co może się przydać do wniosku, z góry postawionego: niejeden fakt oświetla się zatem *a priori*, toteż dziwnego nic niema, jeśli się później coś niedomówi, niejasno powie. Jestto już prawie nieunikniony los tego rodzaju rozmyślań nad zmienną koleją dziejów.

I tak: „szlachta polska odrazu zaczęła się wyrabiać na demokracyę szlachecką“ (str. 16). A więc już w czasach Piastów? Czy możnowładztwo może istnieć tam, gdzie nie jest oparte — w owych czasach — o wielką własność ziemską? A zdaje się temu przeczyć str. 17, w. 10 z góry i nast. „*Proceres comites* — piastowscy — byli to wyżsi urzędnicy“ (str. 17), których ilość z powodu „podziałów“ wzrasta. Ale znaczenie ich jako rada królewska nie dopiero za Kazimierza W. (Kutrzeba) rośnie — nie można też z tem łączyć twierdzenia, że „możnowładztwo wielkopolskie kurczy się i ginie‘, (str. 17) w XIV. w. Także jeśli się śledzi dzieje zjazdów w XV. w., trudnoby twierdzić, jak A., że „przewaga panów małopolskich nad rozdrobnioną już szlachtą wielkopolską staje się zjawiskiem stałem“ od czasów paktu koszyckiego (str. 19). Nawet w podręcznikach historyi polskiej zwracają uwagę na to, że już pakt koszycki był pierwszym przywilejem danym ogółowi szlachty, a nie przywileje z lat 1422—32, jak chce A. (pg. 23). Inna kwestya, kto najwięcej odczuł dobrodziejstwo tego przywileju — w każdym razie był on powszechnym.

Dość dziwne zapatrywania wygłasza A. na unię z Litwą — poglądy zrozumiałe może — *ex post.* „Z powodu unii zaniedbała Polska swoje granice etnograficzne, pozostawiwszy . . . Ślązk w ręku Niemców“ (str. 28). Przecież sam A. przyznaje na tem samem miejscu, że „wyrzeczenie się Ślązka i zdobycie Rusi dokonane zostało już za Kazimierza W.“ — a więc przed unią. Owszem, przyznaje na str.

26, 29, że świeżo po unii Oleśnicki myśli o zwrocie Śląska: a dodajmy, że ta myśl wraca raz po raz i za Wazów, a nawet za królów elekcyjnych, o czem A. zdaje się nie wiedzieć (str. 211) — boby to może nie przypadło do zrobionego raz założenia o szkodliwości unii, co zamknęła Polsce oczy na rdzennie polski Ślązk, a zwróciła na obce sobie zupełnie kraje.

Przy wywodach Autora o unii kościelnej (z r. 1595) dostały się baty i Polsce i kościołowi; Polska dopuściła do rzeczy dla siebie szkodliwej, a „Kościół stale podporządkowywał swej idei interesy narodowe?" Czy jednak, unia brzeska, jak i wszystkie unie kościelne nie dowodzą tego, że Kościół — przeciwnie jak instytucye państwowe — dba o rozwijanie i odrębność każdej narodowości, że był i jest największym opiekunem tej idei. Co prawda, wobec roznamiętnienia walką narodowościową nieraz trudno zrozumieć głębokość tej prawdy.

Czem zaś unia poparta przez rząd jak się należy, mogła być dla Polski, zdaje się A. dobrze rozumieć, jeśli twierdzi, że przyłączenie do Moskwy patryarchatu Kijowskiego r. 1686 było „dla Polski złowrogie" (str. 587). Moskwa stawała się stolicą duchowną całej Polski dysunickiej. Unia, poparta przez rząd zapobiegłaby temu skutecznie, ale bez unii stałoby się to jeszcze wcześniej. — W swoim projekcie połączenia Rusi z Polską sam A. przyznaje (str. 234), że konieczną rzeczą jest, by głowa Kościoła ruskiego była w kraju. A cóż innego czyniła unia kościelna?

Zdaje się, że właśnie z powodu tego swego, bardzo oryginalnego projektu unii kościelnej, zagniewał się A. na unię Brzeską. Przyznać trzeba, że niektóre uwagi podane tutaj (str. 230, nast.) są bardzo ciekawe i warto je przeglądnąć, niestety cały program zawiera tyle marzeń i niewykonalnych projektów na ówczesne stosunki polskie, że nie trudności tylko, jak unia brzeska wprowadziłby, ale błędne koło, jakie sam zawierał. Najjaskrawszem może jednak jest w tej kwestyi twierdzenie sprzeczne z tem, co mówił na str. 230, że „Kościół stale podporządkowywał swej idei interesy narodowe" (str. 35) i dlategoto, aby doprowadzić do unii kościoła wschodniego, pchnął naród na zgubną drogę unii z Litwą.

Aby nie być jednostronnym, trzeba jednak przyznać, że A. raz po raz daje jednak bardzo trafne refleksye. Tak n. p. stanowisko żydów w Polsce, jako element destrukcyjny odważył się on pierwszy napiętnować tak, jak oni na to zasługują, mimo swych kilku apo-

logetów, historyków ostatniej doby (str. 222, 239, 262, 603—6). Niektóre poglądy polityki wewnętrznej, że wspomnimy tylko sprawę kozaczyzny (str. 222 nast. 234) partykularyzm reprezentacyi sejmowej (str. 254) najazd szwedzki (str. 409—412) i i. przedstawił z bardzo głębokiem uchwyceniem przedmiotu — chociaż nie na wszystkie wnioski A. godzićby się tutaj można. Razporaz też znajduje się krótkie a dosadne ujęcie poglądu na jakieś zjawisko społeczne, rzucone w formie epifonematu, jak to n. p. o umysłowości szlachty naszej w XVII. w. „Najelementarniejsze prawidła logiki przechodząc przez mózgi szlachty ówczesnej, paczyły się, a ogólnie uznane prawdy zamieniały się na jakieś dziwolągi i paradoksy" (str. 494). Świetną jest nieraz charakterystyka kierunku politycznego, jak n. p. u Oleśnickiego (str. 25 nast.).

Pomijając niejasne nieraz wyrażenia tego rodzaju, jak „nietolerancya religijna była przyczyną wojny 30-letniej" (str. 179), albo jakgdyby istniał jaki „katolicyzm jezuicki" (str. 236), różny od rzymskiej, katolickiej wiary, albo stawianie zarzutu szlachcie, że fundowała klasztory i kościoły (str. 253, 618), jakgdyby A. zapomniał, że przecież przy klasztorach szkoły czy szpitale lub inne kulturalne instytucye istniały — zastrzedz się jednak trzeba przeciwko niektórym sądom Autora o stosunkach religijnych w Polsce. O jego potępieniu unii brzeskiej już mówiliśmy. Czy to błędem, że król (Zygmunt III.) popierał katolików? (str. 278), gdy widział zachowanie się innowierców? Albo czy ten, kto zna Szujskiego może spokojnie, jak A., powtarzać za nim, że „Jezuici dogadzali szlachcie we wszystkiem, obchodząc wszystko, byle głównego celu dopiąć" (str. 277), jak to czyni A.? W reszcie Europy już minęły te czasy, kiedy to potępiano szkoły jezuickie, przynajmniej w tej Europie, która w XX. wieku wzorować się chce na szkołach angielskich, opartych przecież o jezuickie *ratio studiorum*! Wogóle czy to było złem, że „Jezuici wychowywali młodzież" (str. 618)? Czy nie jest sztucznem powoływanie się na zelotyzm i nietolerancyę szlachty (str. 279) przy sprawie Sienińskiego w r. 1637, tejsamej szlachty, która uchwalała przed paru laty konstytucye *de dissidentibus in religione* albo o „uspokojeniu ludzi starożytnej religii greckiej". Sprawa t. zw. świętomichalska z r. 1640 nie była taką drobnostką, jak ją A. przedstawia (str. 279).

„Skład rodów" czy „Wybitniejsze postacie", jakie nam w oddzielnych ustępach A. pokazuje, mają również swoje zalety i braki.

Jasna, iż w miarę źródeł mógł A. dać dokładniejszy obraz danej postaci czy rodu — przy niektórych znowu ledwie parę zdań mógł położyć. Tak n. p., gdy mówi o Barbarze Radziwiłłównie Gasztołdowej (str. 1450 albo daje świetną charakterystykę K. Bazylego Ostrogskiego (str. 168), albo opisuje historyę bkpa Paca (str. 509—511), czy Lubomirskich, Wiśniowieckich, Radziwiłłów, Chodkiewiczów, czy innych rodów. Przesuwają się one tutaj nieraz jakby w kalejdoskopie — te postacie dumne, harde, gwałtowne i aż zaślepione temi namiętnościami, tak, że o każdej niemal możnaby powtórzyć słowa, jakie A. powiedział o Radziwille Januszu, zm. 1655 r.: „zgubiła go przedewszystkiem owa straszna choroba ludzka, a tak częsta wśród naszych magnatów, której imię — pycha“ (str. 448).

Ale nasuwają się i tutaj pewne wątpliwości. Czy przedstawienie to jest prawdziwem? Może zbyt powierzchownie traktowana moralność niektórych — n. p. Zbaraskich (str. 366—7); przeglądając te dzieje rodów, nadaremnie szukałoby się jakiejś świetlanej postaci, a przynajmniej jaśniejszych rysów. Czyż ich nie było? Czyż nie miał zalet wielkich taki Sobieski, Chodkiewicz, Jabłonowski, a nawet i Zebrzydowski, ów sławny buntownik? Czyż cała *virtus* i wartość moralna tych ludzi ograniczała się tylko do „coraz powszechniejszego fundowania kościołów i klasztorów“ (str. 253)? — Prawda, że w pomnikach dziejowych raczej uwieczniają się złe, jak dobre czyny — skarżył się przecież na to już i Łoziński, że dlatego więcej o „Lewem“ aniżeli o „Prawem“ musiał pisać — ale z tych pomników, jakie mamy, możnaby u naszego możnowładztwa więcej dodatnich stron znaleść, niż ich znalazł nasz A. Niestety — nie możemy wiedzieć na jakich źródłach się opierał, ale to tylko twierdzić możemy z całą stanowczością, że nawet ta najjaśniejsza u niego postać, hetmana Żółkiewskiego (str. 296—9) gdyby za podstawę miała „źródła“, toby musiała wyjść w kolorach o wiele barwniejszych. Wogóle ma się wrażenie, że kwestya źródeł gotowa nieco szwankować. Tu i ówdzie wprawdzie widać, iż A. posługuje się literaturą poważną, powołuje się na: Szujskiego, Szajnochę, Kubalę, Łozińskiego, Jabłonowskiego — ale to nie nadaje książce téj krytycznej powagi i autorytetu, jakiby mieć powinna rzecz o takim zakroju, mająca pretensyę do książki historycznej. Zresztą literaturę obiecuje A. podać w tomie II. Dobrze tyle przynajmniej, że wtedy też będzie można dokładniej i ten punkt roztrząsnąć.

Ks. K. Konopka.

Księga ubogich. *Kasprowicz Jan.* Lwów 1916.

Kasprowicz w swojej *Miłości* poświęcił kilka rapsodów różnym stanom uczuciowym; a treść i forma tych rapsodów podobną była do bezdennego nurtu, ujętego w kręte łożysko.

W dramatycznym poemacie *Na wzgórzu śmierci* ukazał trzy stopnie ludzkiego świata: najniżej poziome targowisko instynktów, wyżej platoński dyalog o wzniosłych prawdach ducha; najwyżej świat symbolu — wiekuista rozmowa duszy i ciała.

W hymnach *Ginącemu światu* wyśpiewał świata tego szały, męczarnie, tęsknoty i nadzieje.

I oto po tej seryi wzlotów o śpiżowej formie i przejmującem uczuciu Kasprowicz dał nam *Księgę ubogich.*

Pieśni jej powstały w obliczu Tatr, na codziennych samotnych przechadzkach w polu i miały stać się „Ukojeniem dla siebie i innych". Ludziom zmęczonym, nękanym strachem, tęsknotą gnanym, nadzieją żyjącym, bogactwa żądnym, chciwym żywota, prawi poeta o tajemnicach pól i lasów; pól które przez dzień stopa przemierzy, lasów, które nie są puszczami, a przecież jedne i drugie dają widok życia. Zaprasza też prześlicznym i misternym wierszem w gościnę do siebie — pod lśnistą koronę jaworu, do salonu obszernego po widnokręgi z płonącem słońcem u stropu (v). Chwali się swobodą swej duszy, która, gdy musi uchylić czoła, to w podziwie czyni to przed nasturcyą, kwiatem złotogłowia, kretem ... (VIII). Najbliżsi sercu poety maluczcy i przeubodzy; rodzimą ukochał naturę; przestał się wadzić z Bogiem. Daje ludziom te pieśni na nutę niewyszukaną, zebrane w górach, przy stawach, na spadzistej przełęczy, nad zdrojami Radby duszę ludzką wyzwolić, od poziomów oderwać, na skalną pchnąć drogę, gdzie widok wierchów, łoża wymarłych potoków, bezgraniczne przestrzenie, ogrom kopuły niebieskiej, świat niedosięgły Boga. Wówczas uczuliby, jak wolnem jest życie (XXII).

Do tego momentu poeta zaprawdę w myśl swej zapowiedzi „notatnika i ołówka" na ukojenie siebie i innych używał.

Śliczne, proste, kojące i kochane pieśni; nasza wiejska pełna uroku i krasy przyroda: maki, malwy, nasturcye, georginie, nagietki, astry, bratki i słoneczniki; śród tego i ponad tem dusza melancholijna poety. Ale to melancholia — z mocy, która według orzeczenia Słowackiego bywa skrzydłami ludzi wysokich. Odtąd w tę przedziwną tkaninę ze słońca, olch, jaworów i jesionów, z kwiecia

łącznego i poszumu górskich strumieni wplatają się obce zgrzytliwe dźwięki i blaski: krwawe zachody słońca, chmur kłębiska, grzmot armat. Wojna toczy swój rydwan. A z nią nie tylko głód, pożary, powietrze, ale przerażenie, smutek, żałoba wędrują po świecie. Usiłuje poeta krzepić zwątlałą otuchę: może zło się przełamie, może Bóg zamieszka wśród ludzi (XXVI); ale sam głęboko zasmucony nieraz goryczy nie skąpi (XXIX, XXXVII). I tu są elegijne tony poezyi tak czyste i dźwięczne, że choć musimy się zgodzić z poetą, gdy pieśni swej czyni wyrzut:

Zrodzona pod znakiem słońca,
Miałaś być wieścią radosną,
A z ostatniemi kartami
Troski krwawiące rosną, —

to jednak wnet wyraz daje naszym uczuciom w słowach:

Lecz kto się patrzeć nie nuży,
Pod pyłu powłoką suchą
Zieloność zobaczy niezwiędłą,
Z słoneczną się spotka otuchą . . .

Księga ubogich jest przy całej swej prostocie pełna mądrości życia; jest obrazem duszy, która wiele cierpiała i już się wzniosła na wyżyny ukojenia; udziela polskim sercom, znękanym straszliwie ciosami lat ostatnich, kroplę słodkiego napoju pociechy; zachwyca je pięknem myśli, niemniej jak bogactwem symbolów. *Księgę ubogich* czytam i odczytuję po wielekroć zawsze z nową rozkoszą, bo mi ona niesie blaski i dźwięki, moją duszę odrywające od całej ohydy zgiełkliwej potwornego wiru, jakim kłębi się otchłań obecnego świata. *Księgę ubogich* polecam gorąco wszystkim, czującym niedolę czasu, a chorym na poszukiwanie odpowiedzi według metody: *cur? unde? quomodo? quando?* Jeśli ona odpowiedzi nie da, to podpowie kryterya prawd niektórych i kołatanie serca wolniejszem uczyni. — A zadowoleń estetycznych pełni udzieli. *Antoni Mazanowski.*

Lirnik mazowiecki. *Biegeleisen Henryk*. Jego życie i dzieła. W świetle nieznanej korespondencyi poety. Geb. i Wolff. Warszawa. 1913. 8 str. III—350.

Lenartowicz należy do tej nielicznej garstki twórców w naszej literaturze i sztuce, która nie potrzebuje skarżyć się na obojętność krytyki. W lat kilkanaście po zgonie doczekał się obszernej monografii, której autor wylicza na stronach 311—335 nie mniej

jak 428 numerów bibliograficznych książek, rozpraw, artykułów, recenzyi, wzmianek krytycznych o Lenartowiczu. Toć to już pokaźna biblioteka, zwłaszcza gdy się dołączy setki różnemi czasy wydanych z osobna i zbiorowo pism, korespondencyi i przekładów, gdy się dołączy i dwa tysiące mających się wydać przez p. Biegeleisena listów, co zapewne wnet nastąpi[1]). Stąd jasno zupełnie wynika, że krytyka i opinia polska z nią razem zawsze bardzo żywo interesowały się Lenartowiczem, co trwa do chwili bieżącej. Nie mogło być inaczej. Lenartowicz wszedł czynnie w życie narodowe tuż po 1840 roku, kiedy społeczność warszawska budzić się poczęła po dziesięcioleciu terorystycznej likwidacyi mikołajowskiej powstania listopadowego; Lenartowicz od początku oparł się o sztandar demokratyczny t. z. Cyganeryi warszawskiej i swojej miłości ludu, pozostał wierny do kresu życia. Demokratyzowało się społeczeństwo nasze coraz głębiej i szczerzej, demokratą i ludowcem był Lenartowicz. Pomiędzy nim a ogółem istniała tedy oddawna więź sympatyi, niczem nie nadwątlona do chwili obecnej. Tylko że ... tu dziwne nieporozumienie ... „Bywał nieraz nadwrażliwy na krytykę swoich utworów“ ...[2]).

Zacny, prawy i szlachetny poeta miał dla dzieł własnego natchnienia miękkie i wyrozumiałe serce; lubił o nich gawędzić często, długo i szeroko z uznaniem, a bez przygany; gdy zaś na te dzieła księgarze się nie łakomią, gdy krakowskie czterotomowe wydanie z r. 1876 trzeba sprzedać Himmelblau'owi za 1000 fr., gdy dochód z prac literackich do 1859 nie przekroczył sumy 500 fr., poeta się rozgoryczał, sarkał na całe polskie społeczeństwo i „wybuchał zjadliwością“[3]). A jednakże nie było w tem winy ani Lenartowicza ani narodu. Poeta rozstał się z ziemią polską około r. 1850 i przez lat czterdzieści żył w środowisku obcem prawie samotnie. Wyniósł ze sobą miłość tej ziemi i pielęgnował uczucie to żarliwie, aż olbrzymiało w jego stęsknionej piersi do ideału. Wciąż opiewał ziemię i lud, i wieś, i mazowiecką niwę; ale dla narodu, borykającego się w twar-

[1]) To rozważywszy wydziwić się niepodobna ubolewaniu p. Adama Siedleckiego, jakoby rzekome późne pojawienie się monografii p. Biegeleisena świadczyło o zaniedbaniu krytyki względem poety. Ani Krasiński ani Mickiewicz nie doczekali się tak rychło wszechstronnego opracowania. Cóż dopiero mówić o Polu, Syrokomli, Ujejskim, Kaczkowskim, Rzewuskim i innych rówieśnikach poety!

[2]) Biegeleisen str. 178.

[3]) Str. 178.

dem zmaganiu z niedolą, prześladowaniem: — tu germanizacyą, tam rusyfikacyą, tu protestantyzmem lub kulturkamfem, tam schizmą świetlany ideał Lenartowicza był... gwiazdką tylko na chmurnem niebie ciężkiego życia zbiorowego. Wówczas gdy warszawscy pozytywiści w takich artykułach, jak „Praca u podstaw", „Tradycya a rozwój dziejowy" zastanawiali się nad zagadnieniem, czyby nie zerwać z przeszłością, a nowych dróg życia nie szukać w jedni z warstwami nieczynnemi narodu, — wówczas gdy krakowscy stańczycy w „Kilku prawdach" i „Tece" obwiniali przeszłość i wskazywali nowe tory organizacyi społecznej; — wówczas Lenartowicz, niby głuszec, czytający pieśń swoją o zorzy porannej, wydawał: „*Ze starych zbroic rytmy*" (1870) i „*Album włoskie*" (1870). Dzielił też losy Słowackiego w tem, że mimo warunków talentu i przekonań nie umiał do uczuć spółczesnego sobie pokolenia trafić tak, żeby je porwać za sobą. Umiałby, gdyby żył z niem w kraju. Raz Koźmian pragnął ściągnąć go na stałe do Poznania (1870). Nie chciał. Innym razem Kraszewski wzywał do osiedlenia się w kraju na wsi. Odmówił. W ósmym dziesiątku minionego wieku kilka rodzin z arystokracyi miało zakupić na jego imię kamienicę w Krakowie, wyrobić mu obywatelstwo, może nawet postarać się o katedrę. Propozycye te odrzucił [1]).

Zarody gruźlicy i kamienie nerkowe, na które wiele lat cierpiał, wymagały południowego klimatu. Musiał żyć we Włoszech. A tak bez winy poety i bez winy narodu złożyło się, że mimo warunków posyłane do kraju dzieła poety nie budziły echa w sercach.

Wskazałem powyżej jedną chwilę braku wzajemnego porozumienia między dziełami Lenartowicza a narodem: rok 1870. Uczynićby to należało w obrębie pół wieku od wyjazdu poety z kraju do jego śmierci. Że szanowny monografista nie zadał sobie tego trudu, uważam to za najważniejszy brak cennego dzieła. I owszem nawet. Tu i owdzie błyska świadomość potrzeby umieszczenia działalności twórczej Lenartowicza na tle zbiorowego życia narodu; tu i owdzie trafiają się w tym względzie wzmianki; jednakże inaczej wypadłaby monografia, gdyby rozbiór dzieł w momentach ich powstawania mieścił się na tle przeżyć zbiorowej duszy; inaczej wypadłby może i syntetyczny pogląd końcowy.

Jak z tem, tak też i z wpływami literackimi na twórczość Le-

[1]) Biegeleisen str. 182.

nartowicza cokolwiek za mało niekiedy liczył się p. Biegeleisen, z czegobym mu zrobił drugi zarzut.

Jeden przykład.

W r. 1851 napisał Lenartowicz swoje arcydzieło p. t.: „*Zachwycenie*“, a w parę lat potem „*Błogosławioną*“ [1]). Omawiając te utwory, wspomina oczywiście szanowny monografista o „*Komedyi*“ Danta. Ale w literaturze ukraińskiej istnieje utwór p. t.: „*Babusia z toho świtu. Opowiadania pro pomerszi duszi*“. Utwór ten Michał Grabowski przełożył na język polski i wydrukował w rozprawie: „*O gminnych ukraińskich podaniach*“ w 1845 r. Następnie przekształcił to na wiersze Aleksander Proza i wydał p. t.: „*O duszach zmarłych. Powieść gminna*“ w 1848 roku [2]). I to i owo stało się na parę lat przed dziełami Lenartowicza. Monografia p. Biegeleisena nie zawiera ani wzmianki o tych dziełach, choć — mojem zdaniem — było obowiązkiem monografisty zarówno w tym wypadku, jak we wielu a wielu innych przy rozbiorach dzieł Lenartowicza sprawdzić i ustalić zależność ich od źródeł ludowych.

P. Biegeleisen, pisząc książkę swoją, miał pod ręką niezwykle bogaty materyał rękopiśmienny, t. j. parę tysięcy listów poety do różnych osób. Staranne zużytkowanie tych listów sprawiło, że książka p. Biegeleisena w dziale biograficznym przewyższa wszystkie dotychczasowe studya o Lenartowiczu bogactwem szczegółów i wniknięciem w duszę poety-rzeźbiarza. Zwłaszcza lata pobytu Lenartowicza we Włoszech oświetlone są jasno i zajmująco. Końcowe rozdziały na podkładzie listów opracowane uważam za najcenniejsze. Przekonania religijne, polityczne i społeczne poety, rozesnute w rozdziale drugim cz. III; nadzwyczajnie interesujący szereg sądów Lenartowicza o ludziach w rozdziale trzecim cz. III; z ogromną starannością zgromadzony i ułożony przez p. Biegeleisena w części czwartej aparat pomocniczy do dzieła: — oto są ważne zdobycze nowej cennej monografii. Ta część czwarta mieści w sobie dziewięć działów: bibliografię pism poety, korespondencye literackie, przekłady, pisma o życiu i dziełach poety, spis rzeźb, ilustracye do poezyi, muzykę do poezyi, portrety i pamiątki po Lenartowiczu, nakoniec listy i poezye w autografach.

O tych ostatnich tylko końcowa wzmianka (str. 345), że są do druku przygotowane. Z prób, już ogłoszonych, z wyjątków, przez

[1]) Biegeleisen str. 43.

[2]) Lewiathan. Książka składkowa 1848 str. 1—9.

p. Biegeleisena, w monografii wyzyskanych, widać, że korespondencya Lenartowicza prócz treści osobistej bogata i barwna w treść zajmującą czy to oryginalnością estetycznych i krytycznych sądów, czy też rzutami myśli indywidualnych na ludzi i sprawy.

Godzi się wierzyć, że zbiór ten znajdzie wkrótce nakładcę i stanie godnem uzupełnieniem książki lwowskiego uczonego.

Ujmującą cechą dzieła jest objektywizm sądu. Usposobiony dla poety bardzo życzliwie, badacz jego działalności twórczej nie zaślepia się uwielbieniem i nie usiłuje wmówić czytelnikowi tych zalet, jakich poeta nie posiadał. Przedmiotowo i spokojnie podąża od dzieła do dzieła i roztacza przed czytelnikiem czy to dzieje życia czy wywody krytyczne z tą bezstronnością, jaka przystoi prawdzie. Podnieść to trzeba jako zalety wyjątkową, skoro mowa o Lenartowiczu. Za życia poety krytyka pisała o nim wprawdzie wiele, lecz pisała nieraz ujemnie. Na Mickiewicza swego czasu miotał się Gołębiowski, na Słowackiego Ropelewski, na Fredrę Goszczyński, na Pola Ujejski, w Korzeniowskiego a zwłaszcza Lenartowicza dotkliwie godził Klaczko. Nie był ze swym ostrym sądem nawet odosobniony. Dziś po półwieku możemy wznieść się na tę wyżynę bezstronności, żeby *sine ira et studio* rozważyć racye ataku Klaczki i obrony poety. P. Biegeleisen z takiej właśnie wyżyny spogląda na wartość i znaczenie twórczej pracy Lenartowicza. Z jego tedy końcową syntezą wypadnie się zsolidaryzować, a sposób traktowania zapisać na dobro krytycznej metody dzieła. Niewieleby można metodzie tej zarzucić; chyba tylko powtarzanie się zbędne niektórych szczegółów [3]).

Rzecz to drobna. W całości monografia p. Biegeleisena o Lirniku mazowieckim poważnie wzbogaca nasz krytyczny dorobek naukowy, gruntownie pogłębia i rozszerza ocenę twórczości poety-rzeźbiarza, a nawet oświetla niejednym promieniem literacką sferę epoki. *Antoni Mazanowski.*

„Studya na dobie". Nr. II. *Teodor Jeske Choiński.* Seksualizm w powieści polskiej. Warszawa 1914. Nakładem księgarni Kroniki Rodzinnej. Str. 41.

„Przeczytawszy stos najnowszych powieści polskich, należałoby wnioskować, że życie nasze wypełnia tylko miłość płciowa, że kochamy się od rana do wieczora, od wieczora do rana, niczego in-

[3]) Np. o pobycie w Krakowie w 1875 str. 107 i 182; sąd Lenartowicza o Szujskim str. 125 i dosłownie str. 241 i t. d.

nego nie umiejąc, nie chcąc, nie pożądając" — pisze autor na str. 31 i ma — całą słuszność. Należałoby tylko dodać, że owo „kochanie się od rana do wieczora i t. d." przedstawia się w naszej współczesnej powieści nietylko jako ciągłe, ustawiczne, ale jako anormalne — i to wielce — jako chore, chorobliwe, rozpasane, wyuzdane — słowem nie jako miłość prawdziwa, ale jako miłość-rozpusta, ale jako miłość bezwstydu. Na szczęście nie jest takiem życie nasze naogół, jakiem je malują powieści nasze. Ale, że się stać może takiem — w części przynajmniej — pod wpływem właśnie wielkiej ilości naszych powieści — to pewna. Rynki księgarskie zawalone są wprost towarem powieściowym, w którym tętni tylko nuta płciowego rozigrania, a który nosi etykietę „*O czem się nie mówi*", „*O czem się nawet myśleć nie chce,*" nosi nazwę „*Dziejów grzechu*" czy „*Maryi Magdaleny*" i t. d.

Przez polską powieść — rozlewa się drukowana rozpusta po duszach polskich — znajdując wielką pomoc w kooperatywie różnych senzacyjnych filmów Kina i różnych „arcydzieł" pędzla, widokówek i t. d. Słowem: pornografia dziś jest wszechwładną modą; oby tylko przeminęła dziś prędko — boć już dotychczas smutne ma zasługi, ciężkie winy na sumieniu. Dawniejsza nasza literatura nie może się na szczęście poszczycić podobnym dorobkiem.

Było wprawdzie w starych różnych „Fraszkach", „Apophtegmatach" etc. trochę pierwiastku tłustego, zbliżonego do pornografii, zdarzał się tu i ówdzie jakiś ton zbyt erotyczny i w poezyi — ale prądu, pornografii powieściowej — trochę dawniej temu — nie mieliśmy.

Wiek XIX. dopiero i to w II. połowie przyniósł nam owe nowości. Kobieta-pisarz idzie dziś w zawody o pierwszeństwo, o palmę w kolportażu powieściowej rozpusty z mężczyzną-pisarzem.

Nagłówki dzieł i nazwiska — powieściopisarzy: Przybyszewskiego, Żeromskiego, Zapolskiej, Miecz. Srokowskiego i innych — bardzo głośnych i „szanowanych" ludzi „od literatury" — już same przez się stanowią etapy i chwile dziejów naszej polskiej powieści seksualistycznej. Autor idzie w swej pracy — szlakiem powyższych nazwisk.

Przechodzi tedy kolejno powieści Przybyszewskiego („*Homo sapiens*", „*Synowie Ziemi*", „*Mocny Człowiek*" i t. d.); Żeromskiego („*Dzieje grzechu*"); G. Zapolskiej („*Kaśka Karyatyda*", „*Kobieta bez skazy*"); analizuje treść ich, analizuje bohaterów i bohaterki,

ich alkoholizm, neurastenię, nadczłowieczeństwo, ich etykę nową, wyższość i wolność od „starych przesądów“ i t. p. Zestawia podobieństwa i różnice talentu samych autorów, wspólność tworzywa powieściowego, a odrębność ujęcia, obrobienia jego, wydobywa ogólne tło filozoficzne — na jakiem wyrastają czyny owych bohaterów, daje wreszcie syntetyczny rzut oka na całość naszego powieściowego seksualizmu wraz z jego cechami. W końcowym rozdziale szkicuje przejawy seksualizmu w życiu.

Rzecz napisana barwnie, cięto, z poczuciem pewności siebie, pewności „gruntu“ pod nogami, miejscami nie bez ironii, ale tej szczerej — co chce dobra tylko. Dziś, gdy u nas panuje kult ludzi i talentów, przeoczający zboczenia i nadużycia ich — czasem równające się zbrodni — głos podobny — nie powinien zostać odosobnionym z tej prostej racyi, że jest bardzo potrzebnym.

St. G.

Z piśmiennictw obcych.

Come Rack, come Rope. *By Robert Hugh Benson.* Leipzig, Tauchnitz 2 tomy.

W ostatnich dziesiątkach lat położenie katolików w Anglii jest wcale korzystne. Popularni wśród mas z powodu swej przychylności dla biednych, walczących o lepszą dolę; poważani przez arystokracyę, z pośród której liczni, noszący najstarsze nazwiska, należą do katolickiego Kościoła; katolicy posiadający duchowieństwo, którego cnoty wielkie zyskały ogólny szacunek i ceremonie tak majestatyczne i tak pociągające, że nawet kościół anglikański, by módz nadal istnieć, zmuszony jest naśladować je coraz to ściślej; zaledwie mogą uprzytomnić sobie, że nie dalej jak przed pięćdziesięciu laty powszechnie uważano za hańbę, że jakiś człowiek mógł być katolikiem; i że — przypominam to sobie dobrze — ludzie ostrzegili swych sąsiadów, by byli ostrożnymi w mowie w obec tego a tego, „ponieważ on jest katolikiem“! A jeszcze trudniejszem jest dla nich pojąć, że był czas, gdzie wszystko przeciw katolikom się spiknęło; gdzie król i szlachta, odpadłszy od wiary i zyskawszy za to obfitą zapłatę — zwierzchnictwo duchowne i obszerne zienie opackie — czynili wszystko, co w ich

mocy, by wykorzenić z ziemi angielskiej kościół przez nich opuszczony i ścigać na mieniu i posiadłościach, na zdrowiu i życiu tych, którzy jeszcze mieli odwagę wiernymi być Bogu; gdzie niszczące kary pieniężne wymuszano na tych, którzy odmawiali brania udziału w heretyckiem nabożeństwie; gdzie prawo skazywało kapłanów na śmierć za odprawianie mszy i gdzie kat wydzierał serce z każdego jezuity, napotkanego w Wielkiej Brytanii, wyłącznie dla imienia, które nosił.

I właśnie by dopomódz dzisiejszym katolikom angielskim do ocenienia niezmiernej różnicy między „teraz i dawniej" a może także, by wywołać w protestanckich patryotach angielskich uczucie wstydu na myśl, że takie bezlitośne prześladowania były możliwe w „kraju wolności" i pod panowaniem „Dobrej królowej Elżbietki" (*Good Queen Bess*, jak Elżbietę popularnie nazywano), napisano książkę, której podajemy recenzyę, jakoteż i inne, mające za przedmiot tę samą osnowę.

Fabuła tej książki jest bardzo prosta. Młody szlachcic katolicki, zaręczony z dziewczyną tej samej wiary, ma ojca, który z powodu kar pieniężnych, ustawicznie nań nakładanych za wykonywanie katolickich praktyk religijnych, zagrożony zupełną ruiną, postanowił przejść wreszcie na protestantyzm, by ocalić resztki swego mienia. Z tego powodu, jako zadosyćuczynienie, młody człowiek zostaje księdzem, pracuje długie lata dla katolicyzmu w Anglii i wreszcie ujęty przez prześladowców, do czego bezwiednie pomógł jego własny ojciec, po długich torturach oddaje swe życie, zaś jego dawna narzeczona wstępuje zagranicą do klasztoru.

W znakomitej tej książce uderza przedewszystkiem wysoki poziom historyczny, który autor zdołał osiągnąć dzięki niezbyt dawnej decyzyi rządu angielskiego, by otworzyć dla publiczności państwowe akta owych czasów. Opierając się skutecznie pokusie, by ze swych katolików uczynić nie prawdopodobnych, chociaż wzniosłych bohaterów, przedstawił Mgr. Benson sceny i obrazy pełne życia i rzeczywistości. Bohaterowie jego to prawdziwi ludzie, słabi, lecz wspierani łaską bożą, za którą jednak nie zawsze idą; ztąd często narażają się na upadki, a nawet upadają czasami. Zdaje się, że entuzyazm, nawet w męczeństwie, obcy jest temperamentowi angielskiemu; gotowi, co prawda, umrzeć za sprawę Chrystusa, ale gdy się cieszą z tego, małą tylko okazują radość. Była to godzina mocy ciemności,

a czytając tę książkę, zrozumie się częściowo, jak Anglia mogła stać się protestancką nieledwie wbrew swej woli.

M. Dziewicki. [1])

None Other Gods. *By Robert Hugh Benson.* Leipzig, Tauchnitz.

Można to nazwać nowelą psychologiczną, pokazującą działanie Boga w duszy, która szczerze do Niego dąży. Fabuła jest następująca: Student uniwersytetu w Cambridge, o dzikim nieco charakterze i cygańskiej krwi w swych żyłach i z właściwą jej skłonnością do rzeczy niezwykłych, wstępuje na łono kościoła katolickiego, za co ojciec się go wyrzeka i dozwala temsamem, by młody człowiek puścił się na tułaczkę po kraju, zarabiając na chleb powszedni, gdy może, żebrząc, gdy zarobić nań nie może i znosząc wszelkiego rodzaju braki i upokorzenia, on, syn lorda — nawet od kapłanów tego kościoła, któremu się oddał. Opuszcza go pierwsza radość z przyjęcia wiary, przychodzi zwątpienie, znajduje się w okropnych ciemnościach; ale mimo to przetrzymuje wszystko. Przyznaje się do kradzieży, by osłonić rzeczywistego złodzieja i musi iść do więzienia. O swem położeniu daje znać narzeczonej, w której pokładał całe swe zaufanie, a ta natychmiast go odrzuca. Załamuje się jego serce, uważa, że to rzecz straszna, by Bóg, który jest sprawcą tego wszystkiego, był takim, lecz mimo to trzyma się Boga dalej. W dalszym ciągu napotyka na włóczęgę i jego kochankę, biedną, głupią dziewczynę, pragnie wyrwać z takiego życia i w końcu udaje mu się, prawie wbrew jej woli, nakłonić ją do powrotu do domu, za co zbity i zdeptany na śmierć przez jej kochanka, umiera bardzo szczęśliwy, lecz w oczach świata najzupełniej zrujnowany.

Powieść ta, wypracowana znakomicie, jest może jedną z najlepszych Bensona. Widać w niej olbrzymie postępy naprzód duszy, która z prostotą i bez zastrzeżeń oddaje się łasce Bożej. Z płochego młodego studenta, Frank, bohater powieści, przechodząc przez stopnie kolejnego oderwania się od wszystkich rzeczy ziemskich, jak miłość, honor światowy, wygody i t. d., wewnętrznego oświecenia i całkowitego zjednoczenia się z Bogiem, staje się świętym w przeciągu niewielu miesięcy. Czujemy, że chociaż w chwili śmierci jest zupełnym

[1]) Tłómaczył z angielskiego ks. *Feliks Hortyński.*

bankrutem, jednak jest najszczęśliwszym z ludzi. Niegodność dziewczyny, dla której się poświęca, nic nie znaczy: nie czyni to dla niej, lecz dla Boga. Czasami doznaje się dziwnego uczucia, czytając tę powieść, że — jak autor sam podaje w przedmiocie — charakter ten nie jest zupełnie wymyślony. W każdym razie, charaktery mniej lub więcej takie, jak bohatera powieści, można znaleść na liście świętych, kanonizowanych i niekanonizowanych.

M. Dziewicki [1])

Études sur la philosophie de Duns Scot. *S. Belmond.* Dieu: existence et cognoscibilité, Paris, G. Beauchesne, 1913. XVI—362.

W latach 1908—1913 ogłosił Belmond w „*Revue de philosophie*" i w „*Etudes Franciscaines*" szereg artykułów, gdzie na podstawie źródłowych studyów starał się sprostować mylne pojęcia, jakie się z biegiem czasu wytworzyły o filozofii skotystycznej. Artykuły te, zebrane w osobną książkę, zasługują z podwójnego względu na baczniejszą uwagę: raz dla tego, że autor w badaniach swoich odtworzył nam taką samą syntezę myśli skotystycznej, do jakiej w Niemczech niezależnie od niego doszedł Parthenius Minges, a następnie, że praca ta wtajemnicza nas w spory, jakie w literaturze francuskiej ujawniają się między obozem tomistycznym a franciszkańskim. W trzech częściach dzieła omawia autor kolejnie dowody Duns Skota na istnienie Boga, jego naukę o istocie Bożej, oraz tezę o jednoznaczności pojęcia bytu, usiłując ją obronić wobec ataków ze strony neotomistów.

Wychodząc od faktu podporządkowania otaczających nas bytów w ich przyczynowości sprawczej, celowości i doskonałości, dochodzi Skot do konkluzyi, że istnieje Bóg, który jest zarówno najwyższą przyczyną, jak ostatnim celem i nieskończoną doskonałością. Z tego wynika, że zupełnie nieuzasadnionem jest jakiekolwiek zestawianie myśli skotystycznej z poglądami Kanta w teodycei.

W Bogu odróżnia Skot podwójną kategoryę przymiotów, wiążąc jedne z Jego istnieniem, drugie z Jego istotą. Nawet w samych dowodach na istnienie Boga tkwi myśl, że Bóg jest bytem bezwzględnym, niezależnym, koniecznym, zatem bezwzględność, niezależność i konieczność istnienia Boga są jakby konkluzyami bezpośrednio wysnutemi na pytanie, czy Bóg jest. Na tej pierwszej kategoryi przy-

[1]) Tłómaczył z angielskiego ks. *Feliks Hortyński.*

miotów, związanej z istnieniem Boga, opiera się druga kategorya doskonałości, łączących się ze sposobem Jego istnienia, *modus essendi*, ze samą Jego istotą, a na ich czele znajduje się nieskończoność. Pojęcie istnienia ze siebie, wykluczając jedynie zależność od jakiejkolwiek obcej przyczyny, nie wyraża jeszcze samej istoty Bożej, nie wskazuje na tę doskonałość, która przedewszystkiem wyróżnia Boga od jestestw skończonych. Za ten podstawowy i charakterystyczny dla istoty Bożej przymiot należy uznać nieskończoność, gdyż bez niej nie posiadałby Bóg wszelkiej możliwej doskonałości: w niej dopiero, jako w swem źródle, zawierają się inne doskonałości drugiej kategoryi, ona w nie wszystkie wchodzi, ona z nich wyłącza jakiekolwiek możliwe ograniczenia, ona wreszcie uzasadnia transcendentność Boga wobec stworzeń. Z tem wszystkiem sama nieskończoność, a przez nią i inne doskonałości drugiej kategoryi, zależą ostatecznie od istnienia Boga ze siebie, jako od ostatniej swej racyi. Chociaż ten zewnętrzny związek między nieskończonością a istnieniem ze siebie bardzo jasno występuje w nauce Doktora Subtelnego, to jednak wielu późniejszych skotystów, zdaniem Belmonda, moment ten całkiem pomijało, powodując przez to błędny pogląd na myśl samego mistrza. Mimo wszystko nasuwa się tu podwójna uwaga: pierwsza, tą w przedstawieniu Belmonda w pojęciu istnienia ze siebie niemal wyłącznie podkreślone jest przeciwieństwo do zależności, a znika nieledwie sama jego wewnętrzna treść; druga: związek między nieskończonością a istnieniem ze siebie prowadzi w rezultacie do wniosku, że to właśnie istnienie Boga ze siebie jest podstawą wszelkich innych Jego przymiotów, jest Jego istotą metafizyczną.

W trzeciej części wyzyskane są skrupulatnie wszelkie materyały, rzucające światło na naukę Doktora Subtelnego o jednoznaczności bytu. Sumienna analiza dzieł Skota wykazuje, że nigdy w nich nie zachodzi twierdzenie, jakoby byt przysługiwał jednoznacznie i Bogu i stworzeniu; natomiast ciągle powtarza się myśl, że w podożeku realnym, metafizycznym, byt przysługuje i Bogu i stworzeniu w znaczeniu analogicznem, gdyż Bóg istnieje przez siebie, stworzenie przez Boga. Inaczej jest w dziedzinie logicznej: tu trzeba koniecznie tak z bytu stworzonego jak i z niestworzonego, absolutnego, wydobyć przez abstrakcyę jedno wspólne pojęcie bytu, któreby można jednoznacznie odnieść do Boga i do stworzeń, gdyż inaczej trzebaby się zdecydować na agnostycyzm. Cały spór między sotystka mistrzami mia sprowadza się tutaj do pytania, czy można

proces abstrakcyjny posunąć tak daleko, że się pomija wszelkie konkretne sposoby bytowania, *modus essendi*, uwzględniając we wszystkiem tę jedyną jego stronę, że jest czemś, a nie jest niczem. Jednoznaczne pojęcie bytu obejmuje zatem w swym zakresie zarówno Boga jak stworzenie, zarówno substancyę jak przypadłość, gdyż w jego treści nie zawiera się żaden wewnętrzny związek z pewnym konkretnym sposobem istnienia; jeżeli zaś w naszej myśli uwzględnimy zarazem wszystkie rozmaite sposoby bytowania, zależność i niezależność, substancyalność i przypadłościowość, to musimy do bytu odnieść analogię proporcyi.

Można się na myśl Duns Skota nie zgadzać, ale to trzeba przyznać, że w książce Belmonda znalazła ona nowe i źródłowe oświetlenie; zarzucić tylko należy autorowi, że osłabia siłę swych wywodów, powołując się na komentarz rzekomo Duns Skota do metafizyki i fizyki Arystotelesa, gdyż autentyczność tych dwóch dzieł a nawet *De rerum principio* jest silnie zakwestyonowaną. Nieuzasadnioném jest także twierdzenie, że Duns Skot nie wnosi pojęcia materyi do nauki o szczerych duchach.

Ks. Dr. Konst. Michalski C. M.

Die Kulturkraft deś Katholizismus. *Dr. Hans Rost.* Bonifacius Drukerai. Paderborn 1916.

Piętnaście obszernych rozdziałów z różnych punktów widzenia rozważających kwestyę kulturalnej siły katolicyzmu składa się na to poważne dzieło, którem autor, Dr. H. Rost, prof. ekonomii w Augsburgu, oddaje nieocenione usługi badaczom stosunków społecznych. Twierdzenie konkluzywne autora, iż katolicyzm jest potęgą kulturalną, sprzyjającą ludzkości, gdyż wewnętrznie darzy ją odpornością moralną i pogodnym światopoglądem, a jej postęp zewnętrzny, materyalny gruntuje na prawdzie, miłości bliźniego i szlachetności uczuć — oparte jest na analizie porównawczej przejawów życia. Dr. Rost badania swe przeprowadza na podstawie danych statystyki w całem państwie niemieckiem w ostatnich piętnastu latach, uwzględniając różnicę wyznania ludności. Następujące przejawy życiowe bierze pod uwagę: przyrost ludności, ilość samobójstw, stosunek urodzin dzieci ślubnych i nieślubnych, rozwody, rodzaj zatrudnienia, rozwój przedsiębiorstw przemysłowych, twórczość literacką, artystyczną i naukową, ilość i jakość przestępstw kryminalnych, przynależność do wybitnych stronnictw politycznych, udział

w działalności publicznej, dobroczynnej, społecznej i kościelnej, wzrost siły podatkowej. Rozpatrzenie w tych stosunkach uprawnia autora do wniosków, które rozjaśnią niejedno w stosunku idei katolickiego kościoła do ważnych problemów życiowych i jeśli nie wszystkie może odrazu przekonają przeciwników, to przyczynią się w każdym razie do zbijania fałszywych, tendencyjnych twierdzeń, jakoby kościół katol. działał hamująco na wzrost dobrobytu lub był w sprzeczności z wynikami najnowszych teoryi przyrodoznawczych. Owszem, jednym z najbardziej interesujących rozdziałów, niektóre bowiem z powodu właściwości tematu są nieco ciężkie i suche, jest ten, w którym autor rozwija obraz ruchu umysłowego, mając na poparcie żywego w nim współudziału gorliwych katolików dziesiątki nazwisk pracowników o wszechświatowej sławie na każdem polu nauki i sztuki. Przy sposobności wspomina fakt, o którym błędne krążą mniemania w opinii publicznej, może tendencyjnie źle nieraz informowanej, że sekcyonowanie ciał dla studyów anatomicznych było już od 1213 r. wprowadzone w szkole medycznej salerneńskiej, będącej pod zarządem władz kościelnych.

W poglądzie na szczęście, jako najsilniejszy bodziec do postępu ludzkości, i na cierpienie, z którem walka stała się głównym problemem życia, przedstawia autor świetnie pochwyconą utopijność zasad filozofii materyalistycznej, widzącej w ogólnym dobrobycie lek na wszystkie nędze i bóle; wskazując na fakta poświęceń heroicznych, wyzucia się z wszystkiego dla drugich, udowadnia, że istnieją dziedziny najtkliwszych odczuć ludzkich, które nigdy najdoskonalsza kultura i dobrobyt doczesny nie zaspokoją, nie nasycą. Stąd mnogość wypadków samobójstwa wśród najwyżej stojących cywilizacyjnie narodów; stąd galerya cała postaci wśród wielkich świętych katolickiego kościoła, uśmiechem pogody i wesela darzących ludzkość, choćby tylko wymienić serafickiego Franciszka z Asyżu.

Bardzo aktualne są wywody autora, jako ekonomisty, co do przyczyn wzrostu potęgi gospodarczej krajów o przeważającym % ludności protestanckiej; zbija on swą gruntowną analizą płytki utarty frazes o zgubnym wpływie idei katolicyzmu na dążenia do ekspansyi ekonomicznej. — Zestawienie na końcu dzieła literatury, z której czerpał autor materyał do swego studyum, oraz licznych tablic statystycznych, daje wyobrażenie o wyczerpującej pracy, podjętej w imię prawdy i sprawiedliwości.

Zofia Korczyńska.

Der Ahnen wert. *Sebastian von Oer.* Ein Wort an den christlichen Adel. O. S. B. Freiburg in Breisgau 1913. Herdersche. Verlagshandlung.

Książka pod tyt.: „Der Ahnen wert" Sebastyana von Oer, benedyktyna, pisarza bardzo ruchliwego i znanego w Niemczech, ma być niejako, jak to sam autor w swej przemowie wspomina, zwierciadłem, w którem sfery najwyższe powinny rozpatrzeć się dokładnie w swych odwiecznych przywilejach, by sprostać zadaniom i obowiązkom, jakie im w zamian przypadły w udziale. Przystępując do tego zadania, autor zdaje sobie sam sprawę z trudności, jakie napotkać niełatwo mu będzie, znaleźć jasne wytyczne, ująć w pewne stałe reguły potrzeby tak bujnie krzewiącego się życia w dobie obecnej, całego społeczeństwa i wszystkich jego warstw. W traktowaniu tematu, rozłożenia opracowanego materyału znać umiejętną ścisłą rutynę pisarską. W 12 rozdziałach, jakby naukach, z których każdy stanowi do pewnego stopnia zamkniętą całość, von Oer rozpatruje początki rodów arystokratycznych, posłannictwo i konieczność dziejową tychże, stosunek do reszty społeczeństwa, prawa i obowiązki, wybór zawodów i jakość pracy, stanowisko kobiety arystokratki. Udowadnia, że każdemu człowiekowi z powodu jego człowieczeństwa przypada w udziale pewna suma subjektywnych i objektywnych praw, ale tem samem i suma należnych obowiązków, serom zaś wyższym większe, z racyi większego dziedzictwa, staranniejszego wychowania, majątku. Rozdział poświęcony wyborowi zawodu uznaje za właściwie arystokratyczne zawody i zajęcia dyplomacyę, wojskowość, zawód duchowny, choć nie przeczy, że i inne „mogą być uszlachetnione" i w obecnych warunkach piastowane przez arystokracyę, jak n. p. zawód lekarski, profesorski, naturalnie na Uniwersytecie — „nie bądźmy ciaśni w pojmowaniu rzeczy i bezwzględni, nowe czasy przynoszą nowe zadanie". Rozdział jedynasty poświęcony specyalnie kobiecie arystokratce. Głęboko pobożna, cicha, łagodna, literacko wykształcona, powinna znać się na gospodarstwie, zarządzie domu, być wierną towarzyszką swego męża, nie goniąc nigdy za utopijnem równouprawnieniem. „Mężczyzna jest głową kobiety", kobieta musi uznawać zawsze autorytet męża, w dobrowolnem i od Boga narzuconem poddaniu się szukać wypełnienia swych zadań życiowych. Streszczeniem niejako jest zakończenie rozdział 12-ty „*die Adelsprobe*", w którym autor poucza, jak należy pojmować szlachectwo w obliczu wszechpotężnej śmierci, jak się

do niej przygotowywać, jak mężnie i odważnie zachować się w tym decydującym momencie, a tem samem dać dowód i przykład, że arystokracya żyć i umierać potrafi!

Zbiór takich nauk, przeznaczonych dla sfer wyższych, specyalnie w założeniu bardzo pożyteczny, zyskałby jeszcze więcej, gdyby autor ujął rzecz z szerszego punktu widzenia i wskazując nowe drogi pracy i czynu, starał się rozszerzyć a nie zacieśnić pole działania, czerpał więcej i wymowniejszych przykładów z doby obecnej, a nie przeważnie z lat dawnych.

Jadwiga Mayówna.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Misye ludowe w Królestwie.

Okupacya wojenna zaczyna składać daninę Bogu. Tylko dzięki jej stało się możliwem, że po wielu miejscowościach Królestwa Polskiego odbyły się rekolekcye i misye ludowe.

Wielu nie wyda się ten fakt wypadkiem wielkiej doniosłości. Niestety, w tym czasie dwuletniej pożogi wojennej pewne pojęcia, przedtem całej Polsce wspólne, tak zbladły i przyćmiły się, pewne sprawy tak poszły w zapomnienie, że zdawaćby się na pierwszy rzut oka mogło, iż zniknęła u nas nietylko dawna ale wszelka miara rzeczy.

Ponad wszelką wątpliwość, Królestwo Polskie, jako dzielnica największa rozmiarem i jako najdalej na niektórych polach zaawansowana, wybija się ponad dwie inne polskie dzielnice. Wybija się jednak przedewszystkiem męczeństwem całej swojej stuletniej historyi,

Zbytecznem byłoby stwierdzać dowodami tę prawdę zbyt jasną. nie zawadzi jednak przypomnieć, że najcięższe i najuporczywsze ciosy spadały na Kościół. Pisząc to, nie myślimy tyle o jawnych męczeństwach, których było nad miarę, „co raczej o tej kreciej, niszczycielskiej robocie, co, z góry uplanowana, cicho, systematycznie przez całe stulecie dokonywana, do tego tylko dążyła, by siły katolicyzmu polskiego wyczerpać i dusze zatruć. Chyba w pamięci wszystkich powinny być te tajne dokumenta rządu rosyjskiego, te instrukcye jenerał-gubernatorów, w całej prasie polskiej i zagranicznej publikowane, w których mieścił się wypracowany system, jak liczbę duchowieństwa polskiego zmniejszyć, poziom jego obniżyć, zwartość jego rozer-

wać, jak każdego księdza otoczyć murem wyodrębnień tak, by pozostał sam o własnych siłach, by w miarę zmniejszenia się tych sił pozostał w końcu posłusznym urzędnikiem rosyjskim, potulnem narzędziem prawosławnego rządu.

Wiemy dobrze, jak silną i wytrwałą przez długi czas była polska samoobrona; jak później, gdy sił zaczęło braknąć, szukało się pomocy wszędzie, gdzie można było ją znaleść, zwłaszcza u Namiestnika Chrystusowego; jak wreszcie, gdy wszystkie środki ludzkie, wobec perfidyi rosyjskiej, zawodziły, nastała chwila bolesnej bezwładności. Wtedy, o czem mało kto wie, szereg kapłanów, widząc, że tylko jedyna nadzieja w Bogu, codziennie przy ofierze Mszy świętej żądał od Boga, by męczeńską dzielnicę wyrwał z rąk znęcających się łotrów. Zaczęła się ta modlitwa kilka lat przed wojną, zaraz po wypadkach jasnogórskich.

Stulecie takiego systemu musiało wywołać następstwa okropne. Wyłom w życiu religijnem jest zarazem wyłomem w życiu obyczajowem; obniża się poziom moralny i marnieją dusze. Nadzieja, że dusza polska, jako kulturalnie wyższa nie podda się wpływom ducha rosyjskiego, tak długo mogła się iścić, jak długo w tej duszy był moralny hart; bez hartu moralnego kultura jest tylko bezbronnym kwiatem.

Dziś, gdy po wyrzuceniu Rosyi, rozglądamy się po tamtej dzielnicy, z dumą i radością stwierdzić nam przychodzi, że jeszcze dużo zostało hartu i odporności, że jeszcze liczny zastęp wzorowego duchowieństwa może poszczycić się tak uprawionym zagonem pracy religijno-obyczajowej, że i inne dzielnice pozazdrościć mogą, że wreszcie na różnych polach widzi się jeszcze wiele, wprost zdumiewającej żywotności. Ale pozostały i spustoszenia i to straszne. Szerokie warstwy ludności miejskiej stoją daleko od Kościoła, udział zaś wsi w życiu religijnem jest często tylko martwym ceremoniałem. Rozbujał się za tem i chwast obyczajowy; dziś jeszcze palcem wskazuje się wsi, które są rodzicielkami bandytyzmu. Rygor wojenny sprawia, że przycichły inne objawy. Wiemy jednak, że wszystkie kierunki antyreligijne polskie, wszystkie skrajne i fałszywe prądy umysłowe i obyczajowe lęgły się w tamtej dzielnicy — a za podłoże miały stan dusz, który jedni nihilizmem etycznym nazywali, inni zmoskwiczeniem duszy polskiej.

I być inaczej nie mogło — i dziękować Bogu, że odporność jeszcze tak wielka znalazła się w polskiem społeczeństwie. Po wiekowej katuszy staje dziś Królestwo wraz ze stolicą Warszawą, jak królo-

wa-męczennica na zgliszczach, ale z zasobem sił, przy którym da się wszystko odbudować.

Jeżeli teraz po takiem przedstawieniu stanu rzeczy, przypomnimy sobie, że „sprawiedliwość jest fundamentem Królestw", zrozumiemy, jak wielką doniosłość mają te na pierwszy rzut oka niepozorne, wśród wiejskich chat ukryte, misye ludowe.

Są one tak niepozorne, tak znikające na szerszym widnokręgu, że i pisać o nich nie można wiele. Tu przystąpiła cała wieś do Sakramentów Świętych, tam zatamowany nałóg pijaństwa, ówdzie zmniejszone karciarstwo, rozpędzone dzikie małżeństwa, umorzone procesy, pogodzeni nieprzyjaciele. Ale z tych szczegółów wykwita rzecz wielka: odrodzenie dusz, podniesienie poziomu moralnego i religijnego. Jeżeli tak kiedyś uda się przeorać cały kraj, to będzie to całego kraju odrodzenie.

Ludność z początku nieufna, zaciekawiona jednak nowością, wzięła odrazu w misyach liczny udział. Wnosiła w tę misye jedną rzecz wielką, duszę polską, rdzennie religijną. To wystarczało, by nieufność nikła odrazu i działanie na serca i dusze coraz pełniejszy osięgało skutek.

Kaznodzieje misyjni, spotkawszy się z tem zwyrodnieniem, musieli w wielu wypadkach zachować się przezornie, z konieczności samej, ażeby nie utrudniać sobie dostępu do zaufania ludu. Były jednak wypadki, wobec których oględnym być nie wolno było. Naprzykład, wypadek taki. Przed kilku miesiącami, z okazyi powstania styczniowego, miało się odbyć w pewnym wiejskim kościółku uroczyste nabożeństwo, połączone z poświęceniem chorągwi, jaką dwór dla kościoła ofiarował. Z jednej strony chorągwi był obraz

Matki Boskiej Częstochowskiej, z drugiej orzeł biały.

Ale że jednak dusza ludu jest mimo wszystko duszą rdzennie polską, więc, gdy w kilka miesięcy później, przedstawił im misyonarz, jaki jest związek orła białego z Matką Boską Częstochowską, miłości ojczyzny z religią, gdy im w dosadnym zwrocie przedstawił ohydę ich postępku, zerwał się w kościele lament i odezwało się, za przewodem kaznodziei, głośne ślubowanie poprawy.

Oto, co z duszą naszego ludu, co z całą wogóle dzielnicą, zrobiła Rosya. Ten szereg przewrotnych zbrodni i ich skutków, prawie nieprzeliczony, warto będzie kiedyś światu osobno przedstawić. Dziś też, chyba tylko ci marzyciele polityczni, co wywędrowali z Rosyą do Petersburga, łudzić się mogą zbawiennością pożycia polsko-rosyjskiego. Wogóle, żadne państwo jednonarodowe nie znosi dziś obcego żywiołu w swym organiźmie, cóż dopiero państwo prawosławne, cóż, zwłaszcza, tak przewrotne, jak Rosya!

Otrząsnąć się z wszystkich naleciałości rosyjskich, to dzisiaj wielkie hasło w Królestwie. Po zamazaniu rosyjskich napisów, po wyrzuceniu rosyjskich nazw miejscowości, poszła walka z analfabetyzmem, potem walka z oziębłością narodową. Jest w tem wszystkiem rozmach, który imponuje. W walce z bezreligijnością przychodzą z pomocą właśnie misye ludowe. To samo mówi, jak doniosłem jest znaczenie tych misyj ludowych i jak tym ludowym kaznodziejom należy się serdeczne uściśnięcie ręki, jako pionierom prawdziwej cywilizacyi i prawdziwym budownikom zdrowej ojczyzny.

Harnack w Warszawie.

Warszawa jest w tej chwili atrakcyą dla Niemców. Odbywają się już w syrenim grodzie niemieckie zjazdy naukowe i roi się w nim od rozmaitych turystów i nieturystów z nad Sprei, Elby i Renu, kupców, agentów, ludzi wielkich i małych, aferzystów do większych i drobnych interesów. Ostatnio zjechał do Warszawy Harnack z dwoma niemieckimi odczytami o wschodnio-europejskiej i zachodniej kulturze. Cały drugi odczyt poświęcony był Kościołowi katolickiemu.

Zamierzeniem tego odczytu było, przedstawić, poza kulturą poszczególnych krajów, angielską, francuską, niemiecką, jednolity typ całej kultury zachodniej, aż po czasy renesansu i reformacyi. Bieg myśli był następujący:

W czwartem stuleciu, przed wędrówką narodów, nie było żadnej różnicy między wschodnią a zachodnią kulturą. Wewnątrz tworzących się państw germańskich, które, po upadku zachodniorzymskiego cesarstwa, w piątem stuleciu powstają, pozostaje Kościół łaciński. Jest to jedna z tych chwil w historyi, gdzie siły ideału można dotknąć się palcem. Na ten czas przypada działalność św. Augustyna, największego przedstawiciela katolicyzmu po św. Pawle. Gdy wówczas groziło katolicyzmowi, zdaniem Harnacka, niebezpieczeństwo, by się nie stał zanadto jurystycznym, zjawia się człowiek, który w religię najgłębiej się wżył i był najsubtelniejszym psychologiem a zarazem nosił w sobie wysoką ideę społeczności państwowej. Z imieniem Augustyna wiąże Harnack początek średniowiecznego Kościoła. Z pomiędzy szczepów germańskich wybijają się wkrótce na pierwszy plan Frankowie. Król Franków wkłada koło 800 r. cesarską koronę na skronie i czuje się władcą świata i świeckim namiestnikiem Chrystusa. W walkach między cesarstwem a papiestwem widzi Harnack tylko dodatnią stronę, bijące źródło życia i wytwarzanie się ruchu ideowego Zachodu. Jedna z takich idei, to idea pożyteczności społecznej, pod wpływem której zakony oddają się nietylko ascezie ale także różnorodnym pracom, pożytecznym dla społeczeństwa. Gdy obok państwa niemieckiego powstają inne państwa, tym, który w dążności narodowe zaszczepia wspólne poczucie ludzkości, jest Kościół. Płyną stąd, błogie skutki, to zwłaszcza odczucie wartości duszy ludzkiej, którego, zdaniem Harnacka, po dziś dzień na wschodzie niema. Przychodzi wreszcie św. Tomasz i uzupełnia dzieło Augustyna. W ten sposób w wielkich liniach, naszkicowaną jest kultura zachodnia aż po renesans, z pominięciem, oczywiście, nadprzyrodzonej jej strony.

Wobec tradycyjnej zawiści protestanckiej względem katolicyzmu, pewien objektywizm, jaki całą tę prelekcyę cechuje, jest zjawiskiem niepowszedniem. Miłą okolicznością jest to, że do tego dyug w kierunku katolicyzmu poczuł się Harnack zobowiązanym w stolicy Polski.

Drugi list Księdza Biskupa Chomyszyna.

Śmiała i w apostolskim duchu podjęta inicyatywa stanisławowskiego Arcypasterza nie pozostała bez echa. Główny moment tej inicyatywy, wprowadzenie gregoryańskiego kalendarza, znajduje odrazu naśladowców w trzech ruskich biskupach państwa węgierskiego, którzy w swoich dyecezyach zaprowadzają kalendarz poprawny, co już przedtem z innych pobudek uczyniła Bułgarya. Nawiasem zaznaczmy, że w całym tym ruchu kalendarzowym, coraz szersze zataczającym koła, jest bardzo wymowny znak chwili. Echem zaś właściwem listu biskupiego jest polemika, jaka wywiązała się w prasie ruskiej, ogółowi z pism codziennych aż nadto znana. Na tę polemikę odpowiada obecnie Ksiądz Biskup Chomyszyn.

Główny akcent tej odpowiedzi spoczywa w niezwykłej i bardzo prawdziwej myśli, którą ksiądz Biskup tak wyraża: „Gdyby Rosya przyjęła kalendarz gregoryański dawniej lub teraz, czy przyszłoby u nas do takiego oporu przeciw nowemu kalendarzowi?“ „Na to pytanie — pisze dalej Ksiądz Biskup — zrobimy wielkie oczy a odpowiedź zamrze na naszych ustach, bo wstyd i ciężko przyznać się do błędu, który nami zawładnął. Bo trudno nam przyznać się, że gdyby Rosya przyjęła kalendarz gregoryański, wówczas ta reforma znalazłaby i u nas pełne uznanie. Wtedy niktby nie odważył się podnosić zarzutów, że Biskup nie ma kompetencyi, by zaprowadzać ten kalendarz w swojej dyecezyi, że przez to sprawa narodowa narażona jest na niebezpieczeństwo, że naród nie jest jeszcze przygotowany i wszystkie inne wątpliwości i obawy wydałyby się wówczas śmiesznem i i niepojętemi“.

Co w tak postawionej idei kryje się na dnie? Bardzo głęboko i bardzo wymownie wyłuszcza to w dalszym ciągu Ksiądz Biskup: „Aby długo nie rozwodzić się, twierdzę, że bizantynizm jest tą tajną siłą, która nas wiąże z trupem rosyjskim, że wpływ jego, który przeniknął do naszej duszy, pokutuje tam dotychczas i opiera się każdemu zbliżeniu do Kościoła katolickiego, choćby nawet w formie zaprowadzenia nowego kalendarza“. „Ten bizantynizm przejęliśmy już w samym zarodku, przyjmując wiarę z Bizancyum, gdzie religia była już dotknięta zarazą schyzmy. Ten zarodek bizantynizmu wykiełkował potem w jawną schyzmę, która po upadku bizantyńskiego państwa znalazła nowe znaczenie i nowy wyraz w rosyjskiem prawosławiu. Przez to Kościół wschodni utracił do reszty swoje dostojeństwo, wiara zamarła, a miejsce jej zajęła pusta i martwa wschodnia

obrzędowość". „My zaś jesteśmy zrodzeni nie z ducha jasnej, świadomej i żywej wiary katolickiej, ale z bizantyńskiego oryentalizmu, który nie dał nam jasnego zrozumienia zasad żywej i prawdziwej wiary i z drugiej strony odsunął nas od katolickiego Kościoła i nie pozwolił nam odrodzić się życiem katolickiem i nabrać ducha katolickiego. I chociaż teraz nie pozostajemy w schyźmie, jednak czujemy się obcymi duchowi katolicyzmu. Z tego powodu, jakby odruchowo, bronimy się przed wpływami katolickimi i każde nawet najdrobniejsze zbliżenie do kościoła katolickiego wywołuje u nas różne podejrzenia i obawy".

Uzasadniwszy bardzo wymownie swoje twierdzenie, przechodzi Ksiądz Biskup do wyłuszczenia najistotniejszego skutku bizantynizmu, jakim jest poddanie kościoła władzy świeckiej. Na Rusi galicyjskiej, wobec braku własnej władzy, stosunki ułożyły się tak, że Cerkiew została poddaną pod ster partyj politycznych, partyi ukra-

ińskiej i partyi moskalofilskiej. „Kościół i wiara zostały podporządkowane sprawom narodowym i te wyższe czynniki były uznane, jako środki do celów niższych. Słowem, w tym względzie odwrócony został porządek, ustanowiony Boskiem prawem objawionem przyrodzonem. Powaga Kościoła upadła a swoboda jego ruchów została skrępowana. Nałożono nań kajdany i zamknięto mu usta". „Stąd pochodzi obawa, aby Kościół u nas nie odżył i nie zmógł się na siłach, stąd walka przeciw klerykalizmowi, stąd opór przeciw wszelkiej samodzielnej akcyi Kościoła, stąd w końcu opór przeciw wprowadzeniu nowego kalendarza, bez poprzedniego zapytania i aprobaty różnych decydujących kół. Ich zdaniem one mają każdą sprawę rozważyć, naród przygotować a potem dać swoją sankcyę. Biada jednak biskupowi, któryby poważył się zrobić coś bez nich w granicach swojej kompetencyi. Bo wówczas decydujące koła odwołają się do woli narodu, który przez nie przygotowany nie pozwoli sobie narzucić władzy i praw Kościoła".

W końcu wzywa Ksiądz Biskup duchowieństwo, aby wytrwało w walce o święte prawa wiary i wyzwolenie i dostojeństwo Kościoła katolickiego. „Nawet gdyby zrazu nie było powodzenia, gdyby odpadły jednostki lub nawet całe parafie, to i wtedy nie trwóżmy się. Nie na liczbie i masie spoczywa Królestwo Boże, ale na intenzywnej sile ducha. To tylko pokaże nam, wielu mamy prawdziwych wiernych. Odpadną tylko ci, którzy i tak już sercem i wiarą nie należą do Kościoła. Na miejsce tych intruzów siła boża zbudzi wielkie i silne dusze".

Dwa ostatnie listy pasterskie Księdza Biskupa Chomyszyna stanowią moment przełomowy w dziejach Cerkwi unickiej. Pierwsze orędzie wprowadzało doniosłe zmiany zewnętrzne; drugie ujmuje samą istotę wewnętrznego stanu tej Cerkwi a zarazem z pełnią siły apostolskiego Ducha zaczyna wśród bezdroży bić nową drogę duchowego życia. W bliższej lub dalszej przyszłości stwierdzi życie, że tem Biskupiem Orędziem kładła Opatrzność kamień węgielny pod królestwo żywej wiary w narodzie ruskim.

Rusini w Ameryce południowej.

Ostatni zeszyt „*Acta Apostolicae Sedis*" (z 3 kwietnia 1916 r.) przynosi dekret, ustalający kościelne i religijne stosunki wśród Rusinów, osiadłych w Ameryce południowej.

Dekret postanawia, że Rusini, tak świeccy jak duchowni, zależą całkowicie od juryzdykcyi miejscowego biskupa, i to tak, że ksiądz ruski nie może opuścić danej dyecezyi i wracać do rodzinnego kraju

bez wyraźnego pozwolenia miejscowego biskupa, udzielonego na piśmie. Na odwrót, gdyby się zjawił w Ameryce południowej jakiś ksiądz ruski na własną rękę, nie posłany przez Kongregacyę *de propaganda fide*, ani nie powołany przez miejscowego biskupa, pozbawiony jest odrazu wszelkiej władzy duchownej.

Rusini mają uczęszczać do swoich cerkwi i obrządku swego ściśle przestrzegać; w miejscach jednak, gdzie niema cerkwi i ruskiego księdza, lub tak oddalonych od cerkwi że nie mogliby do nich uczęszczać, chyba z ciężką niedogodnością, mają przystosować się do obrządku łacińskiego tak co do obowiązku słuchania mszy jak i przyjmowania Sakramentów. Praktyka taka nie może jednak pociągnąć za sobą trwałej zmiany obrządku. Wogóle, trwałość obrządku wschodniego zawarowana jest całym szeregiem przepisów. Księżom łacińskim zakazanem jest pod szczególnymi karami namawiać Rusinów do zmiany obrządku; na zmianę taką może pozwolić tylko kongregacya *de propaganda fide* i to tylko dla ważnych przyczyn. I wtedy jeszcze, wolno Rusinom, wracającym do rodzinnego kraju, wrócić za pozwoleniem Stolicy Apostolskiej do swego pierwotnego obrządku.

Przy spowiedzi i Komunii św. pozwolone jest wzajemne świadczenie sobie usług obu obrządków: łacinnik może się spowiadać u ruskiego księdza i Rusin u księdza łacińskiego; taksamo Komunię może przyjmować łacinnik we wschodnim obrządku a Rusin w zachodnim, z wyjątkiem Komunii wielkanocnej, którą każdy powinien otrzymać od swego proboszcza, w swoim obrządku.

Posty i święta mogą zachowywać Rusini podług zwyczaju okolic w których przebywają.

W małżeństwie może iść żona za obrządkiem męża; po śmierci jednak męża może wrócić do swego obrządku. Dzieci obojga płci idą za obrządkiem ojca; za obrządkiem matki idą tylko dzieci nieprawego łoża. Chrzest, udzielony z konieczności przez jakiegokolwiek księdza, nie wpływa na zmianę obrządku, ksiądz, który udzielił chrztu ma odesłać świadectwo chrztu właściwemu proboszczowi.

Przepisy te, potwierdzone przez Papieża, mają ważność na lat dziesięć. *Ks. Jan Pawelski.*

Z ruchu naukowego.

Protezy dla ciemnych. — Nowa choroba: febra wołyńska. — Olbrzymi kamień żółciowy. — Nieprawidłowy organizm. — Antropologia na wojnie. — Stan obecny nieprzyjacielskich flot handlowych. — Pancerniki elektryczne. — Udoskonalony telefon bez drutu.

Bezsprzecznie najcięższem kalectwem dla człowieka jest ślepota. Ona bowiem nie tylko czyni go bezradnym wobec najzwyklejszych nawet wymagań i wypadków codziennego życia, a temsamem skazuje na ustawiczną zależność od pomocy obcej, ale nadto należy do tej grupy niedomagań organizmu, która pozbawia zupełnie całego szeregu wrażeń zmysłowych, w tym wypadku wrażeń świetlnych. A te właśnie wrażenia są najbogatsze i zarówno pod względem praktycznym jak i estetycznym najważniejsze. Dlategoteż cisza, która otacza głuchego jest niczem w porównaniu z ciemną, bezbrzeżnie czarną nocą, w którą pogrąża chorego utrata zupełna wzroku.

Nadto jedna jeszcze okoliczność obciąża dolę ślepego beznadziejnym smutkiem. Na utratę innych organów nauka wynalazła pewien łagodzący lub niekiedy nawet prawie całkiem złe usuwający środek w postaci tak zwanych protez, to jest przyrządów, którymi można zapomocą innych organów wykonywać czynności narządu utraconego. Szczególnie szybkim rozwojem cieszą się protezy mechaniczne, zastępujące ręce lub nogi, a wypadki wojenne dały pochop do rozwinięcia ogromnej energii wynalazczej na tym polu; na rozpisany w roku ubiegłym przez Związek niemiecki inżynierów konkurs na protezę, którąby zastąpiła funkcyę ramienia, nadeszło aż 82 projektów, z których 60 zasłużyło na szczegółowe rozpatrzenie, a 15 odznaczono pochwałami i nagrodami pieniężnemi. Nawet taki organ, jak ucho, byle tylko część wewnętrzna, zwłaszcza tak znany narząd Cortiego była nieuszkodzona, można zapomocą odpowiednich urządzeń sztucznie zastąpić i umożliwić choremu odbieranie wrażeń głosowych z zewnątrz pochodzących.

Tylko dla ciemnego niema pomocy. Chociażby siatkówka, to jest warstwa tkanek, wyścielająca dno gałki ocznej, a zawierająca nerwowe narządy wzrokowe, była zupełnie zdrową i nieuszkodzoną, a zwyrodnieniu lub zanikowi uległy tylko części optyczne oka, jak rogówka lub ciałko szkliste, niema sposobu dotychczas, by sztucznie przywrócić wrażenia wzrokowe. Wprawdzie, gdy siatkówka zdrowa, można ciemną noc chorego oświecić na chwilę

sztucznem światłem, wywołanem przez ciała promieniotwórcze jak rad, które sprawiają widocznie fosforescencyą siatkówki, lecz najpierw promienie wychodzące z tych ciał, niewidzialne dla oka normalnego są dla tkanek szkodliwe, więc nie można przez czas dłuższy poddawać ich działaniu tkanek, zwłaszcza tak delikatnych, jak siatkówka, a po drugie postępowanie to wywołać tylko jest zdolne wrażenie świetła, a dalszych żadnych praktycznych zastosowań mieć nie może.

Z przytoczonych powyżej względów senzacyą niejaką wywołać musi wynalazek niemieckiego lekarza Pawła Lazarusa, przedstawiony na ogólnym posiedzeniu lekarzy w Berlinie dnia 23 lutego b. r. Wynalazek ten, który dr. Lazarus osobiście demonstrował na ociemniałym na wojnie żołnierzu, nazwać można słuchawką świetlną, bo zamienia on zjawiska świetlne na głosowe i w tej formie podaje je do wiadomości ciemnego. Wynalazek wychodzi ze znanego w fizyce faktu, którego użyto już w ostatnich latach do przesyłania obrazów w dalszą drogę elektryczną, że selen zmienia opór stawiony przechodzącemu przezeń prądowi elektrycznemu zależnie od tego, czy jest w ciemności, czy też obrzucimy go silniejszymi lub słabszymi promieniami światła. Im światło silniejsze, tem łatwiej przechodzi prąd elektryczny przez selen. Otóż w obwód słabego prądu elektrycznego wstawiony jest selen i telefon i wszystko uregulowane w ten sposób, że w ciemności zmian prądu niema, telefon więc milczy, skoro zaś na selen padnie choćby słabe światłe, przez obwód przemyka się prąd, o czem zaraz daje znać telefon, i im światło silniejsze, tem telefon krzyczy głośniej. Ponieważ ociemniali mają zwykle zmysł słuchu bardzo rozwinięty i delikatny, więc nieznaczne i słabe już zmiany w szmerze telefonu, wywołane słabemi zmianami natężenia światła, padającego na selen, są już dla nich dostrzegalne.

Praktyczne zastosowanie tego niezmiernie ciekawego przyrządu demonstrował Lazarus na ślepym żołnierzu. Ciemny, kierując się głosem telefonu, nietylko z całą pewnością wiedział i pokazywał, gdzie znajduje się zapalona świeca, ale nadto mógł iść za niesionem przed sobą światłem, rozróżniał napewno światło jaśniejsze od ciemniejszego i wskazywał kierunek i miejsce, skąd światło padało. Gdy zaś przed światło postawiło się jakąś ciało ciemne, to przez przesuwanie głową i nadsłuchiwanie określać nawet zdołał kształt jego konturów.

Subtelniejszy jeszcze i daleko więcej obiecujący instrument dla ociemniałych zbudował na tej samej zasadzie oddziaływania światła na własności elektrycznej selenu, dr. Brocou, prof. uniwersytetu w stanie Jowa, w Stanach Zjednoczonych Ameryki. Przyrząd ten, nazwany przez wynalazcę „Phonopticon", dozwala ciemnemu nietylko rozróżniać światło od cienia, lecz odczytywać litery. Urządzenie całe jest stosunkowo bardzo proste. Litery, które się chce czytać, oświetla się zapomocą silnej lampy elektrycznej Nernsta i obraz ich projektuje się zapomocą soczewki, skupiającej na cewki selenu, przez które przechodzi prąd elektryczny, idący następnie do telefonu. Odpowiednio do kształtu litery zmienia się ten ton w telefonie tak, że ucho ociemniałego po pewnym ćwiczeniu po tym tonie rozpoznać może pojedyncze litery. Rezultaty, jakie tym przyrządem osiągnięto, są znakomite. Dr. N. Perry, profesor w szkole ciemnych w Berkeley, który sam także jest ciemny, oświadcza, że średnią inteligencyą obdarzony uczeń może zapomocą fonoptykonu nauczyć się czytać w przeciągu dwu miesięcy. Tak więc elektryczność staje się nowem dobrodziejstwem dla cierpiącej ludzkości, mianowicie okiem ciemnych. Przez odpowiednie przedłużenie przewodów elektrycznych możnaby oczywiście tym samym przyrządem odczytywać druki o setki mil od nas odległe, lub rozmawiać się zapomocą pisma z głuchoniemym, piszącym o wiele mil od nas.

Wołyniacy nasi nie wiedzieli, że piękny ich kraj jest siedliskiem ciekawej choroby, nieznanej dotychczas w medycynie, a odkrytej i badanej dopiero w ostatnich miesiącach przez niemieckich lekarzy, którzy tam przebywają z armią niemiecką. Choroba ta — nazwana przez nich febrą wołyńską (albo powiedzmy raczej wołyńską) *Febris wolhynica* lub naukowo więcej *Febris quintana*, charakteryzuje się według badań i referatów drów Hissa, prof. Müllera, prof. Wernera i innych[1]) peryodycznymi atakami gorączki, dochodzącej nieraz do 40 stopni Cels., a powtarzającymi się regularnie co pięć dni. Kliniczne objawy choroby tej w ten sposób opisuje prof. dr. Werner, który przebywa obecnie na wschodnim froncie jako *Oberstabsarzt* i *Korpshygieniker*: „Chorzy skarżą się na wyczerpanie znaczne, czasami na uczucia trwogi, dalej na bóle głowy, śledziony i rwanie w kościach. Po dreszczach, jakie towarzyszą podwyższeniu temperatury, następuje okres gorączki i potów, jak w malaryi. Powiększenie śle-

[1]) Münchener medizinische Wochenschrift r. 1916 str. 391, 402, 410, 411.

dziony wyczuć można w przeważnej liczbie przypadków, lecz w okresie wolnym od ataku znika ono całkowicie. Chorzy podczas napadu choroby mają wygląd gorączkowo czerwony, w czasach wolnych od ataków blady. Niekiedy występuje żółtaczka. Charakterystyczne są bóle w członkach, które wzmagają się podczas napadów, a i w czasach wolnych od gorączki nie zupełnie ustają. Zresztą jednak nie można wykazać cięższych zmian w funkcyach organów ważnych dla życia“[1]). Prognoza choroby jest wogóle pomyślna, gdyż jak twierdzi dr. Hiss“, ataki powtarzają się wielokrotnie, by w końcu więcej nie powrócić. Wypadków zgonu nie zauważono“ [2]).

W objawach swoich jest więc ta choroba podobna do malaryi i za taką mieli ją podobno polscy lekarze, jak twierdzi Müller, tem bardziej, że według prof. Müllera chinina działa przeciw niej bardzo skutecznie. Jednak okres pięciodniowy napadów, a nadto bakteryologiczne badania krwi chorych, które stwierdziły stanowczo brak plasmodyi malarycznych, wykazują niezbicie, że ma się tu do czynienia i innego rodzaju peryodyczną chorobą. Dla medycyny i hygieny jest rzeczą najważniejszą wykryć drogi i sposoby, jakimi choroba dostaje się i przenosi do organizmów. Naturalnie z największem prawdopodobieństwem za roznosicieli jej uważać trzeba owady, a ze względu na porę roku i inne okoliczności podejrzenie padło i tą razą na najbrzydsze i najwstrętniejsze dla człowieka, bo wszy i pluskwy. Dalsze badania mikroskopiczne wykazały we wszy istnienie spirochety, mającej długości półtorej średnicy czerwonego ciałka krwi, a więc około setnej części milimetra, która prawdopodobnie wywołuje wołyńską febrę. Niemieccy lekarze i bakteryolodzy pilnie czynią dalsze nad tym przedmiotem badania, ale już dziś twierdzić można, że wesz jest winną nowej zbrodni, albo tą razą występkowi przeciwko ludzkości.

* * *

Dziwne zjawiska zdarzają się nieraz w wielkiej przyrodzie; dziwniejsze jednak napotykamy raz po raz w ludzkim organizmie. Do takich zaliczyć można wypadek, jaki opisuje świeżo wedle najściślejszych obserwacyi lekarskich dr. Niewerth[1]), a który przytrafił się 79 i pół lat liczącemu krzepkiemu zresztą staruszkowi. W lutym 1915 r. zawezwał on pomocy lekarskiej z powodu bólu, jaki

[1]) l. c. 402.
[2]) l. c. 391.

uczuwał w prawej części brzucha, który jednak po okładach ciepłych ustąpił. W parę miesięcy ból wzmógł się znowu i przy objawach gorączki i braku apetytu zaogniło się miejsce bolejące i utworzyła się narośl twarda, wielkości gęsiego jaja. Po paru tygodniach rana się otworzyła, a z niej wyszedł kamień żółciowy olbrzymich rozmiarów bo na 11 centymetrów blisko długi i ważący 70 gramów. Kamień ten ma kształt pęcherza żółciowego, którego jest jakgdyby dokładnym odlewem, toteż grubszy jego koniec ma 11 cent. obwodu. Po doznaniu takiej niezwykłej ulgi chory wstał z łóżka jeszcze tego samego dnia, oddał się wkrótce swoim zawodowym zajęciom i prócz małej otwartej ranki cieszy się doskonałem zdrowiem, mimo swych pełnych 8 krzyżyków, które dzielnie dźwiga na swych barkach.

Do dalszych dziwów przyrody zaliczyćby można wypadek, jaki przedstawił dr. Beck na posiedzeniu lekarskiem w Wiedniu zeszłego roku. Jestto anomalia w położeniu wewnętrznem. Znalazł on mianowicie u trzydziestoletniego, zdrowego człowieka niezwyczajne rozłożenie wewnętrznych organów. Serce leży całkowicie po stronie prawej, wątroba po lewej, a śledziona znowu po prawej tak, że całe ułożenie organów jest jak gdyby lustrzanem odbiciem normalnem. Człowiek, o którym mowa, ma dwoje dzieci, zupełnie prawidłowo zbudowanych i sam także jest zdrów o zupełnie normalnej budowie zewnętrznej i co ciekawsze, jest praworęcznym.

* * *

Dział istot żywych, noszących nazwę zoologiczną *Homo saliens*, wcale nie należy do najdokładniej zbadanych z całego królestwa biologii, mimo, że istnieje osobny hufiec badaczy, zwanych antropologami, którzy wyłącznie kierują swe prace naukowe ku zbadaniu właściwości i historyi rozwoju rasy ludzkiej. A prace to trudne i kosztowne, bo z jednej strony trzeba ile możności jaknajdokładniej przegrzebać rozległe cmentarzysko, w którem rozrzucone są szczątki historycznego i przedhistorycznego człowieka, cmentarzysko, obejmujące dzisiaj już całą prawie powierzchnię ziemi, a z drugiej ścisłym i licznym badaniom poddać należy rasy i grupy, żyjące obecnie. Wyprawy naukowe antropologiczne, sięgające w głąb daleko od ośrodków cywilizacyi położonych krajów, nietylko że są niebezpieczne i wielkiego wymagają nakładu środków materyalnych

[1]) Münchener medicinische Wochenschrift r. 1916 str. 385.

i trudów, ale nieraz są zupełnie bezowocne, bo napotykają opór na zabobonnej i ciemnej ludności.

Pomoc walną i zupełnie niespodziewaną przyniosły antropologii wypadki czasów ostatnich. Nahajką carską z olbrzymich przestrzeni i zaułków krańcowych Europy i Azyi pospędzane ludy, walą się masami na oswobodzenie cywilizacyi, zagrożonej przez barbarzyńskich germańców — i masami dostając się do niewoli, znajdują się nagle w ośrodkach pracy naukowej, gdzie do badań gotowe są urządzenia najnowsze i najlepsze przyrządy. — Byłoby to z pewnością zaniedbaniem nie do przebaczenia względem nauki, gdyby z tej jedynej sposobności nie skorzystano. Zrozumiano to odrazu w Wiedniu i zarówno Akademia wiedeńska, jak i tamtejsze towarzystwo antropologiczne wydatną pieniężną pomocą wsparło usiłowania antropologów, a ministerstwo wojny odstąpiło nawet na czas tych badań pewną liczbę wojskowych, którzy mieli pomagać w pomiarach.

A praca to nielada. Dotychczas objęła ona obozy jeńców w Egger, w Reichenbergu i Theresienstadt, lecz już do października ubiegłego roku wymierzono i zbadano dokładnie 230 indywiduów, a prócz tego celem porównania 800 wielko- i 400 małorusów. Uwagę szczególną zwrócono oczywiście na te szczepy, które wogóle dla badań były dotychczas najmniej dostępne, a więc mahometańskie ludy Urali i Krymu, między nimi 388 baszkirów i 330 tatarów, 279 osobników z pośród ludów kaukaskich, a nadto 353 besarabskich Rumunów, 229 ugrów fińskich i 517 łotyszów litewskich. Przez odpowiednie zastosowanie metod doprowadzono do tego, że 35 pomiarów, jakim poddano każde indywiduum, trwało zaledwie 4 do 6 minut. Nadto zwrócono baczną uwagę na części miękkie twarzy, na barwę skóry, oczu i włosów, na rozmaite wreszcie nieprawidłowości indywidualne i na lewo i prawo- ręczność. Lecz i na tem nie koniec. Z typowych przedstawicieli wszystkich grup zrobiono zdjęcia fotograficzne, w łącznej ilości 1725, nadto odciski z powierzchni rąk i nóg, wreszcie 160 odlewów gipsowych z twarzy, głowy, rąk i nóg. Do uzupełnienia obrazu posłużyły zdjęcia kinematograficzne i fonograficzne reprodukcye rozmaitych języków, a więc uwieczniono na płytach języki kazańsko-tatarski, krymsko-tatarski, baskirski, awaryjski itd., przyczem płyty opatrzono odpisami wygłoszonego tekstu.

Dłuższego oczywiście potrzeba będzie czasu do obrobienia i wyzyskania tego olbrzymiego a niezmiernie cennego materyału

naukowego; wojna jednak przynajmniej w antropologii zostawi korzystne po sobie ślady.

* * *

Zawsze tak było w dziejach świata i dzisiaj też się to powtarza, że wojna mniej lub więcej daje się uczuć całemu społeczeństwu wojującego państwa. Niejeden może sądzi, że obecnie kraje nadmorskie wyjęte są z pod tego prawa, bo dowóz z Ameryki i innych zamorskich lądów uzupełnia braki i zaspokoi zapotrzebowanie. Tymczasem i tam niedostatek wchodzić zaczyna już od dawna wszystkiemi szparami; w Anglii występują z agitacyą i z rozporządzeniami przeciwko wszelkiemu zbytkowi, zakazują sprzedaży benzyny dla automobiii prywatnych, prócz pewnych koniecznych i bardzo ścisłych wyjątków, rząd zabrania przywozu wielu towarów z innych krajów. We Włoszech już nie bieda, ale nędza zaczyna zazierać, brak węgla, którego sam transport z Anglii kosztuje 100 lirów w złocie od tony, a więc z górą 10 koron za metryczny centnar i to jeszcze dostać go trudno; w Egipcie płacą za tonę węgla 180 lirów, więc około 20 koron za centnar metryczny; we Włoszech nadto brak mięsa, chociaż starano się dla wojska sprowadzić nieco mięsa mrożonego argentyńskiego, a cukier w handlu dochodzi do liry 80 centymów kilo, więc około dwie korony. Brak tam również chleba, a o tym, który jest n. p. w Rzymie, pisze dosłownie jeden z dzienników włoskich z d. 30 marca b. r.: „Chleb jest zły, jest jak najgorszy. Skargi dochodzą ze wszystkich stron, w sklepach piekarzy jest się świadkiem ciągłych sporów, lecz nikt nie umie znaleść na to środka".

Nie umie i umieć nie może, bo to zło jest koniecznem następstwem światowej wojny, która sprawia, że cały ruch morski handlowy, pomimo nominalnej władzy Anglii nad morzami, doznaje ciągłego i coraz gwałtowniejszego zaburzenia. Do jakich rozmiarów zaburzenie to dochodzi, to poznać można z komunikatu Ajencyi Stefaniego o morskim handlu we Włoszech. W styczniu b. r. wyładowały okręty handlowe w portach włoskich 1,103.000 ton towarów, co w porównaniu ze styczniem roku 1915 oznacza ubytek o 256 tysięcy ton, zaś w porównaniu z grudniem 1915 ubytek ten wynosi 356 tysięcy ton czyli 35.600 wagonów lub 712 wielkich, bo pięćdziesię-

ciowagonowych pociągów. A tu tymczasem zapotrzebowanie z powodu wojny nie zmalało, lecz raczej wzrosło, bo trzeba i amunicyi i leków dla wojsk a i żywności więcej, gdyż jak gdzieindziej czytamy, ludność męska wiejska tak wybrana tam do wojska, że są gospodarstwa o 50 i więcej morgach, na których nie został nikt, prócz kilku kobiet, a więc uprawa roli i jej wydatność musi uledz uszczupleniu.

Na zjawisko to zamącenia światowego handlu na oceanach i morzach składają się wielorakie przyczyny, z pośród których głównie trzy są najwybitniejsze, a właśnie te trzy są ze stanowiska czysto naukowego tak ciekawe, że warto im sie bliżej przyglądnąć. Pierwszą i prawdopodobnie najsilniej oddziaływującą jest konieczność użycia olbrzymiej liczby ton do przewiezienia amunicyi z Ameryki do Europy. Ci, którzy dawniej pisali o tem, jak będzie wyglądała obecna wojna, snuli rozmaite fantastyczne nieraz obrazy o ilości zapotrzebowanej amunicyi, lecz rzeczywistość przeszła wszystko. Oczywiście cyfry dokładne będą może kiedyś przez fachowych zbierane, faktem jest, że państwa ententy zostały zaskoczone tak, iż bez pomocy Ameryki wojna dawnoby się była skończyła[1]). Podawano już nieraz po dziennikach niektóre cyfry, charakteryzujące rozmiary tej pomocy, tutaj przypomnimy tylko niektóre świeższe i mniej może znane.

Suma, na jaką zawarły mocarstwa ententy kontrakty z fabrykantami amerykańskimi, przenosi obecnie 10 miliardów franków.

---

[1]) Gdyby kto miał pod tym względem wątpliwości, to usuną je zapewne słowa, które Austin Harrison pisze w czasopiśmie angielskiem *The English Reviev* z marca r. 1916, a które cytujemy dosłownie za znanym dwutygodnikiem francuskim *Le Corespondant* z d. 10. kwietnia 1916 r. str. 24. Czytamy tam: Czas już, byśmy zrozumieli, że ta wojna jest wojną Anglii. Powinniśmy to uczynić. (Byłoby dobrze, gdyby i u nas w Polsce to zrozumiano! Przyp. tłóm.) Ameryka dostarcza nam wszystkiego, co potrzebne, byśmy byli zwycięzcami. Bez jej pomocy, nadsyłanej z za morza, nasze położenie byłoby w najwyższym stopniu krytyczne. Krytyki Ameryki są nietylko pozbawione zupełnie dobrego smaku, one są wprost skandaliczne; niech ten, kto o tem wątpi, rzuci tylko okiem na ostatni wykaz eksportu amerykańskiego do naszego kraju (Angli) i do krajów naszych sprzymierzeńców. Prawdą jest, że b y l i b y ś m y n i e z d o l n i d o p r o w a d z e n i a d a l e j w a l k i b e z A m e r y k i, którą słusznie nazwać można naszą prawdziwą, ukrytą siłą. Jeżeli mamy skończyć tę wojnę zwycięsko, przez miażdżenie, zwycięstwo zawisłem jest od tej ukrytej siły. Byłoby z naszej strony roztropnie zachować nieco więcej godności w naszem postępowaniu z Ameryką. Pomaga nam ona więcej prawdopodobnie jako mocarstwo neutralne, eksportujące, niżby nam pomogła jako strona wojująca. I nietylko powinniśmy to uznać, lecz bylibyśmy naprawdę niegodni, gdybyśmy nie uznali tego z wdzięcznością z głębi serca.

Nic więc dziwnego, że liczba milionerów w Stanach Zjednoczonych to jest ludzi, mających majątku przynajmniej milion dolarów, wzrosła z 4.100 na 4.600, o całe pół tysiąca. Fabryka prochu Du Point, która sama dostała zamówień na miliard i w październiku ubiegłego roku dała dywidendy 200%, wyrabia dziennie przeszło 300 tysięcy kilo prochu, przyczem robotnicy, narażeni oczywiście w każdej chwili na zniknięcie z powierzchni ziemi, zarabiają 60 do 80 franków dziennie. Fabryka wyrabiająca proch bezdymny, inkasuje dziennie milion 600 tysięcy franków czystego zysku. Największa fabryka broni Bethleem Steel Co. zyskuje w roku na czysto 325 milionów, z czego tytuł m tanty my zabiera dla si bie dyrektor Schnab 10%, więc przeszło stą milionów koron. Fabryka inna w Broocklynie wyrabia dziennie 15 tysięcy pocisków, zarabiając na tem 450 tysięcy franków dziennie.

Obecnie z powodu wytworzenia wielu tysięcy fabryk amunicyi w starym świecie, zamówienia w Ameryce zmalały, lecz już z tych cyfr można sobie wyrobić pojęcie, ile to okrętów potrzeba, by te wytwory najnowszej kultury Ameryki, pałającej świętem oburzeniem na sposób prowadzenia wojny, przewieść na miejsce przeznaczenia. Wobec tego nie ma dziwoty, że na zboże i węgiel i inne artykuły brak okrętów coraz to większy.

A drugi powód tego braku to zmniejszenie znaczne pracy w warsztatach okrętowych mocarstw ententy i niektórych krajów neutralnych. Już w czasach normalnych okręty handlowe niszczą się szybko, wiele ginie w rozmaitych wypadkach, trzeba więc ustawicznego i energicznego wysiłku pracy ludzkiej, by całą tę olbrzymią flotę handlową, pruje powierzchnie mórz świata, utrzymać niezmniejszoną. Według urzędowego spisu Lloyda było w r. 1910 na całym świecie 30.058 okrętów handlowych, przyczem nie wchodzą w rachubę statki całkiem małe o pojemności poniżej 300 ton. Cała ta światowa flota handlowa składa się z 8.050 okrętów żaglowych, o pojemności netto 4,624.070 ton i z 22.008 parowców, mogących pomieścić netto 23.046.122 ton. Z tej liczby trzecia część okrętów a czwarta część pojemności przypada na flotę handlową Anglii wraz z jej koloniami [1]).

---

[1]) Oto krótki wyciąg spisu Lloyda odnośnie do największych mocarstw nieprzyjacielskich z r. 1910—1911.

	Parowców		Żaglowców	
	ilość	pojemność netto	ilość	pojemność netto
Anglia	8.460	10,203.642	957	748.796

Jestto wcale dużo, lecz pamiętać należy, że flota handlowa angielska dowieść musi trzy czwarte części całej żywności dla ludności Anglii, Szkocyi i Irlandyi. Znaczna część tej floty zajętą jest zamiast tego przewożeniem żywności dla wojny i jej narzędzi, wiele zapewne okrętów zajęła wprost do swej służby marynarka wojenna, a tu jeszcze Francya i Włochy domagają się energicznie zaspokojenia swego zapotrzebowania węgla, które dawniej pokrywały bądź w swych własnych kopalniach, jak Francya, bądź w Niemczech. Jasną jest rzeczą, że wobec takich wymagań państwa ententy, a zwłaszcza Anglia, czynią wszelkie możliwe wysiłki, by w przyspieszonem tempie dostarczać flocie handlowej nowych okrętów. Tymczasem Rivista Marittima donosi, że tempo to owszem zmalało podczas wojny i wogóle państwa ententy, nie wyjmując Anglii, mniej okrętów spuszczają na morze z swych warsztatów, niż dawniej, w czasach pokojowych. I tak w Anglii spuszczono w r. 1915 parowców 317, o pojemności brutto 650.919 ton i żaglowców 10, o pojemności 2290. Dodaje ten organ fachowy, że w porównaniu z r. 1914 oznacza to zmniejszenie o 1,032.634 ton. W Stanach Zjedn. Ameryki zbudowano w r. 1915 okrętów o łącznej pojemności 177.460 ton, czyli o 23.302 ton mniej w porównaniu z rokiem ubiegłym. W Japonii zbudowano w r. 1915 49.408 ton, o połowę blisko mniej, niż w r. 1914. Wogóle liczba ton zbudowanych w r. 1915 jest najniższą ze wszystkich od r. 1893, a wynosi tylko trzecią część tego, co zbudowano w ostatnim roku przedwojennym, to jest w r. 1913. W Anglii, która zawsze jest głównym warsztatem okrętowym świata, liczba ton zbudowanych w r. 1915 jest o 1,300.000 niższą od r. 1913.

Oczywiście fakt ten jest oznaką ogromnego wyczerpania przemysłowego tych państw, braku robotnika i surowca i już sam przez się stanowi groźny horoskop dla handlu morskiego. Lecz groza cała występuje dopiero wybitnie wobec trzeciej przyczyny zamieszania

	Parowców		Zaglowców	
	ilość	pojemność netto	ilość	pojemność netto.
Jej kolonie	1.377	756.887	701	204.461
Francya	875	830.386	590	434.108
Włochy	450	598.204	630	333.094
Stany Zjedn. Am.	1.712	2,718.895	1.757	1,231.664
Japonia	846	726.861	5	2.244
Rosya	642	402.616	599	196.797
Belgia	159	194.337	6	3.725
Portugalia	77	48.853	113	31.084

handlu morskiego, to jest wobec łodzi podmorskich. Jeżeli tor zeczywiście jest prawdą, co podają dzienniki, że w samym miesiącu marcu podmorskie łodzie państw centralnych zatopiły okręty handlowe angielskie o pojemności łącznej przeszło 270 tysięcy ton, to znaczyłoby, że w tym jednym miesiącu poszła na dno trzecia część tego, co wszystkie warsztaty okrętowe angielskie całym wysiłkiem pracując, zbudować zdołały w ciągu całego roku. Takie zmniejszenie gwałtowne handlowej floty światowej wywrzeć wpływ musi nie tylko na stosunki chwili obecnej, lecz musi się dać odczuć na dłuższy czas jeszcze po wojnie. Zmniejszony znacznie ruch handlowy z jednej strony i wypróżnienie z niektórych towarów prawie zupełne magazynów Europy, dłuższy jeszcze czas po zawarciu pokoju utrzyma ceny niektórych produktów na znacznej wysokości i będzie stanowić poniekąd rekompensatę dla rolników za poniesione straty, a rządy państw kontynentalnych pilnie, jak dotąd, czuwać muszą nad tem, by niezdrowa spekulacya nie spowodowała większej jeszcze drożyzny, niż mamy ją obecnie. Jestto tem ważniejsze, że w Rosyi, która stanowiła pod wielu względami szpichlerz Europy, wielkie podobno przestrzenie są już teraz nieobsiane, a straszny ubytek w najzdrowszej rolnej ludności Rosyi, rozniesionej po polach Galicyi i Królestwa, w połączeniu może z gwałtowną rewolucyą, tamtejsze źródła żywności zamknie dla Europy.

* * *

Jak przedstawia się obecnie kwestya budowy flot wojennych która przedtem zawsze tak była zajmującą, o tem oczywiście nikt nie wie, bo to tajemnica wojskowa. Tem bardziej zaciekawić muszą niektóre szczegóły, jakie przedarły się do pism europejskich o okrętach wojennych nowego typu, jakie obecnie są w warsztatach i mają wejść w skład floty Stanów Zjednoczonych Ameryki. Jeden z tych olbrzymów, „California", którego budowę rozpoczęto d. 14 października r. 1915, tem się odznacza, że będzie to pierwszy na świecie wielki pancernik wojenny, który będzie poruszany zapomocą elektryczności. Zanim przystąpi ono do jego budowy, robiono przedtem dłuższe, bo dwuletnie próby z okrętem węglowym „Jupiter", także zapomocą elektryczności poruszanym, i przekonano się, że system ten pozwala na znaczne rozszerzenie sfery działania okrętu, to znaczy, może on na dłuższy czas, niż inne okręty tego samego typu, oddalać

się od portów, a nadto wykazuje olbrzymie, bo 50% wynoszące zaoszczędzenie kosztów popędu.

W nowym okręcie „California“ będzie prąd elektryczny, służący do pędzenia śrub okrętowych, wytwarzany zapomocą maszyn, ogrzewanych nie węglem, lecz naftą. Urządzenie to nietylko uwalnia okręt od uciążliwego ładowania węgla, ale zmniejsza znacznie ciężar paliwa i maszyn, tak, że okręt może o dziewięć dni dłużej odbywać podróż niż okręt zwykły, poruszany parą, a w czasie tym odbyć może swobodnie 250 mil morskich. „California“, chroniona przy wodnej linii pancerzem stalowym na 35,6 cm. grubym, nosi na swym pokładzie cztery wieże pancerne, osłonione u dołu takiemi samemi, co okręt, płytami stalowemi, które po bokach wież są nieco cieńsze, bo mają tylko 25,5 cm. Każda z tych wież mieści w sobie po trzy olbrzymie działa, kalibru 35,6 cm., a długości każde po 17 m. 80 cm. Niezwykła ta długość podnosi znacznie skuteczność strzału, tak, że pociski z tych dział przebijają najgrubsze używane w marynarce pancerze. Umiejętne to rozłożenie dział dozwala wyrzucić na przeciwnika od razu 7870 kilo stali! Prócz tej ciężkiej artyleryi znajduje się jeszcze na każdej stronie okrętu po 11 dział kalibru 12,7 cm., służących jako obrona przeciwko torpedowcom, zaś od napadu z powietrza chronić mają cztery specyalne armaty o kalibrze 7,6 cm.

O koszcie budowy takiej pływającej twierdzy można nabrać przekonania z faktu, że gdy obecnie rząd amerykański zamierzał wybudować dwa dalsze okręty tego samego typu, i zarządał kosztorysu od firm prywatnych, nadeszły dwa projekty: jeden od Fore River Shipbuilding Co., żąda 30 milionów 552 tysięcy marek za sam okręt, bez uzbrojenia i przyborów, i zobowiązuje się wykonać budowę w ciągu 34 miesięcy, a drugi, firmy Newport New Shipbuilding Co., żąda 31 milionów 100 tysięcy marek, z czasem budowy 40 miesięcy.

Widać więc z tych opisów, jak płonna jest nadzieja tych, którzy sądzą, że po wojnie obecnej ustaną dalsze, a coraz to nowe zbrojenia. Owszem wojna ta jest próbą i szkołą doskonałą dla konstrukcyi wojskowych, a narody w niej udział biorące, jeżeli nie zechcą paść ofiarą innych, których siły są nie zużyte, muszą przygotować się na dalsze i wielkie pod tym względem wysiłki. I niema mocy na świecie, któraby temu kres położyła, chyba moc duchowa chrystyanizmu, gdyby owładnąć zdołała całą ludzkością.

nowym, niesłychanie doniosłym wynalazku, z dziedziny

elektryczności, zapomocą którego znowu bardzo znacznie skraca się niejako przestrzeń, donoszą z Ameryki Jak wiadomo, od lat już kilkunastu znane są i w czasach ostatnich stosowane dosyć często telefony bez drutu. Miały one jednak jedną bardzo przykrą wadę, mianowicie ich sfera działania była stosunkowo niewielką, najlepsze systemy niepozwalały przemawiać dalej, jak na kilkaset kilometrów. Przed kilku miesiącami wobec *National Academy* w Nowym Jorku amerykanin, rosyjskiego pochodzenia, nazwiskiem M. J. Pupin, wygłosił odczyt, w którym przedstawia swój wynalazek nowego systemu telefonu bez drutu, dozwalający przenosić rozmowy na tysiące kilometrów. Celem robienia doświadczeń oddała *The American Telephone and Telegraph Conoany* swe zakłady do rozporządzenia wynalazcy i próby wykazały, że można było przy pomocy przyrządu Pupina rozmawiać się telefonem bez drutu z Arlington, pod Waszyngtonem, aż do Mare Island przy San Franzisko, a więc na odległość 4500 kilometrów Wkrótce potem jeden z urzędników tego towarzystwa usłyszał rozmowę z Arlington aż na Hawai, na odległość 8800 kilometrów, przyczem jednak dochodziły do uszu szmery i trzaskania w telefonie, jakby strzały karabinowe, co znacznie przeszkadzało zrozumieniu wyrazów. Powstawały te niepożądane zaburzenia, jak się pokazało, pod wpływem elektryczności atmosferycznej, jednak udało się Pupinowi usunąć je zupełnie i obecnie zapomocą telefonu bez drutu Pupina można wygodnie przesyłać rozmowy na odległość 9 tysięcy kilometrów. Ponieważ w obrębie takim od Waszyngtonu mieszczą się wszystkie prawie większe miasta Europy, więc będzie można z Waszyngtonu rozmiawiać się bezpośrednio z całym światem starym. Po wojnie dopiero będzie można odpowiednie próby rozpocząć na wielką skalę.

Ks. Feliks Hortyński.

Kronika ekonomiczna.

Austro-węgierska centrala dla handlu dewizami. — Pożyczki Austro-Węgier w markach niemieckich. — Wywóz z Austro-Węgier cukru, piwa, kapeluszy. — Niemieckie zakazy przywozu. — Rokowania Austro-Węgier i Niemiec o wzajemne ulgi w zakazach przywozu. — Niemiecki monopol przywozu sera. — Wywóz złota z Niemiec. — Szwecya znosi wolność wybijania złota. — Zakaz wywozu srebra z Niemiec. — Angielskie zakazy przywozu. — Nowe wynalazki w Anglii. — Problem sacharyny.

Niemcy, jak już poprzednio wspominałem, zmonopolizowały handel dewizami z początkiem bieżącego roku, gwoli poprawy tym sposobem kursu niemieckiej marki w stosunku do zagranicznych pieniędzy. Wkrótce potem dla osiągnięcia tego samego celu Austro-Węgry wprowadziły w życie podobne urządzenia. Zachodzą pewne różnice, raczej formalne. W Austryi i na Węgrzech zaniechano wydania osobnych ustaw. Natomiast doszło do skutku porozumienie wszystkich większych banków. Powstały dwie grupy banków, jedna w Wiedniu, druga w Budapeszcie, działające w związku ze sobą dzięki kierownictwu i nadzorowi obu grup, wykonywanemu przez bank austro-węgierski. Formalnie banki przystąpiły dobrowolnie. W rzeczywistości były w położeniu na współ przymusowem ze względu na zależność od banku austro-węgierskiego, który im reeskontuje weksle i pożycza na zastaw papierów wartościowych (lombard). Banki zobowiązały się kupować i sprzedawać waluty oraz dewizy wyłącznie za pośrednictwem centrali. Zapotrzebowanie zagranicznych pieniędzy należy uzasadnić. Dewizy mają być sprzedawane tylko wtedy, jeżeli kierownictwo centrali uzna zapotrzebowanie za uzasadnione. Wykluczonem jest dostarczanie dewiz tym, którzy w zamian za nie chcą zakupić zagraniczne papiery wartościowe. Wyjątki dopuszczalne na korzyść Niemiec. W ograniczonej mierze mają być sprzedawane dewizy na wyjazdy zagraniczne, na zakupno towarów zbytkowych.

* * *

Pożyczają od banków niemieckich setki milionów marek. Pożyczki tego rodzaju są znacznie kosztowniejsze niż pożyczki koronowe. Gdy państwo austryackie pożycza korony, zobowiązuje się do zapłaty procentu i zwrotu kapitału koronami. Gdy pożycza marki, musi płacić procent i zwrócić kapitał w markach. Pożyczki w koronach opiewają na dłuższy przeciąg czasu niż wybitnie krótkoterminowe pożyczki w markach. Kosztowność tych długów polega na tem, że marki są obecnie drogie. Cena marek się zmienia, skutkiem czego przyszła kosztowność tych długów jest mało obliczalna. Początkowo rządy austryacki i węgierski pożyczały marki głównie na potrzeby państwa, w pierwszym rzędzie dla zapłaty materyałów wojennych, kupowanych w Niemczech. Obecnie rządy markami uzyskanemi drogą pożyczki, częściowo odstępują kupcom, przywożącym towary z Niemiec niezbędnie potrzebne. Zdaje się, że oba rządy część tych marek zużywają na zakupno innych zagranicznych pieniędzy, guldenów holenderskich, franków szwajcarskich, ponieważ zakupno tych pieniędzy markami wypada taniej, niż kupowanie ich wprost koronami. Austro-Węgry nie próbowały zaciągania pań-

stwowych pożyczek w krajach neutralnych ze względu na bojaźliwość i ograniczone środki tamtejszych kapitalistów.

Chwilowo pożyczka w markach wpływa korzystnie na kurs dewiz. Zachodzi pytanie, czy później nie wywoła wprost przeciwnego skutku? W razie, jeżeliby zapłata procentu i zwrot kapitału doszedł do skutku wśród okoliczności zwiększających ilość koron w obiegu, wówczas zaistnieje niebezpieczeństwo ujemnego wpływu na wartość korony.

* * *

Najkorzystniej na zniżkę nadmiernego kursu dewiz wpłynąłby wywóz towarów, wywołujący albo podaż zagranicznych pieniędzy, ofiarowywanych w zamian za austro-węgierskie towary albo popyt za koronami, potrzebnymi celem ich zapłaty. Wywóz towarów jest utrudniony obecnymi stosunkami. Podobno po zajęciu Serbii wywieziono na wschód z Austro-Węgier znaczniejsze ilości cukru, skutkiem czego zabrakło cukru w kraju. Brak cukru przypisują także innym przyczynom. W roku 1915 rolnicy mniejszą przestrzeń roli obsiali burakami cukrowymi ze względu na trudność uzyskania nawozów, zaprzęgów, robotnika. Rolnicy wiedzieli, że rafinerzy sprzedają znaczną część cukru Anglikom. Wobec utrudnień wywozu w czasie wojny liczyli na mniejszy zbyt cukru, obsiali mniejszą przestrzeń burakami. Zbiory wypadły skromnie z powodu słabszego nawiezienia i późniejszej mniej starannej obróbki buraków, wywołanej brakiem robotnika. Zużycie cukru wewnątrz państwa wzrosło. Ludność spożyła więcej cukru w zamiarze częściowego zastąpienia cukrem innych brakujących pokarmów. Ze względu na drożyznę wytworów zwierzęcych spożywano więcej potraw roślinnych, przyprawianych cukrem. Masło, jako omastę chleba, zastępywano powidłami. Okazał się wielki brak owsa. Podobno konie zjadły dużo cukru. Zdaje się, że przynajmniej częściowo brak cukru łączy się z wywozem cukru do krajów bałkańskich. Kurs dewiz się poprawił, ale w Austryi trzeba było wprowadzić kartę na cukier. W Galicyi rząd przeznaczył na głowę 750 gr. na przeciąg czterech tygodni, a w innych krajach koronnych 1250 gr., powołując się na mniejsze przedwojenne spożycie cukru w Galicyi. Wobec braku innych pokarmów ludność dotkliwie odczułaby skutki tego zarządzenia, gdyby weszło w życie. Na skutek zażaleń przedstawicieli ludności rząd przyrzekł przeznaczyć 1000 gr. na głowę na przeciąg czterech tygodno. Dawki wyznaczonej dla wsi nie podniósł. Przedstawiciele ludności niezadowoleni tem połowicznem

ustępstwem domagają się zrównania Galicyi z innymi krajami koronnymi.

Okazał się także brak piwa. Dzienniki donoszą o ograniczeniu wywozu piwa poza granice państwa. Ograniczenie dotknie w pierwszym rzędzie stosunkowo znaczny wywóz piwa pilzneńskiego do Niemiec. Zmniejszy brak piwa, ale także wywóz towarów wpłynie ujemnie na kurs korony w stosunku do marki.

* * *

Podobny skutek wywrą niektóre zarządzenia niemieckie. Rząd niemiecki poszedł dalej niż rządy Austryi i na Węgrzech w sprawie przywozu towarów zbytkowych. Ogłosił bezwzględny zakaz przywozu z zagranicy, a więc także z państw sprzymierzonych. Austrya wywoziła do Niemiec dość znaczne ilości kapeluszy męskich. Obecnie ten wywóz odpadnie, bo rząd niemiecki uznał kapelusze za przedmiot zbytku.

Zakazał przywozu filmów zagranicznych ku wielkiemu zmartwieniu właścicieli kinoteatrów, a ku uciesze niemieckich przedsiębiorców, trudniących się wyrobem filmów. Właściciele kinomatografów twierdzą, że rząd stanął w sprzeczności z interesami kulturalnymi. Z zagranicy przywożono dużo tanich filmów o znacznej wartości estetycznej, oświatowej. Obecnie trzeba będzie drożej płacić za gorszy towar miejscowy. jzzgoę Naiwyrje djpublicznoś̀ć, bo ceny miejsc pójdą w górę. Przedsiębiorcy wyrabiający filmy wyrażają nadzieję, że potrafią opanować także targ austro-węgierski, ponieważ dzięki zakazowi przywozu zwiększą swoją wytwórczość.

Niemieckie zakazy przywozu towarów t. zw. zbytkowych wywołały niezadowolenie w Austryi, zwłaszcza w kołach wytwórców, sprzedających te towary w Niemczech. Rozpoczęły się rokowania między rządami, które zdaje się, że doprowadziły do obopólnych ustępstw. Niemcy zapewne złagodziły lub złagodzą przepisy o przywożeniu towarów zbytkowych, o ile chodzi o przywożenie z Austro-Węgier. Austro-Węgry zmieniły przepisy o uiszczania cła w złocie od towarów zbytkowych, przywożonych z Niemiec. Wówczas wolno cło płacić nietylko niemieckimi markami złotymi, ale także srebrnymi i papierowymi po kursie, ustanowionym przez rząd. Jest także mowa o innych ulgach.

* * *

Rząd niemiecki zmonopolizował w swoim ręku przywóz serów z granicznych. Zdaje się, że rząd chciał przeciwdziałać zbytniemu

wyśrubowaniu cen na sery zagraniczne. Kupcy niemieccy, zakupujący sery zagraniczne współzawodniczyli między sobą w chęci nabycia jaknajwięcej tego towaru i płacili coraz wyższe ceny, co wpływało ujemnie na kurs marki w Holandyi i w Szwajcaryi. Rząd jest prawdopodobnie zdania, że ceny spadną, gdy tylko jeden nabywca z Niemiec wystąpi na targu szwajcarskim i holenderskim.

* * *

* * *

Przypływ złota niemieckiego do Szwecyi wywołał niezadowolenie w łonie społeczeństwa szwedzkiego. Także i w Szwecyi objawiła się silna drożyzna w czasie wojny. Za jednę z jej głównych przyczyn uznano wzrost ilości pieniędzy, wywołany przypływem złota. Szwedzi woleliby, ażeby Niemcy płacili za towary, kupowane w Szwecyi towarami, a nie złotem. Szwedzi skarżą się na zbyt mały przywóz towarów zagranicznych. Uznali za stosowne chwycić się środków zaradczych przeciwko przypływowi złota. Zawiesili wolne wybijanie złota na rachunek prywatny na przeciąg sześciu miesięcy. Dotąd w Szwecyi, podobnie jak niemal we wszystkich innych państwach wolno było każdemu posiadaczowi złota żądać wybicia prawie że bezpłatnego monet złotych, względnie miał prawo żądać natychmiastowej wymiany złota na odpowiednią ilość banknotów. Niemcy w zamian za swe złoto nabywali banknoty szwedzkie i wykupywali w Szwecyi towary im potrzebne. Rząd szwedzki, zwalniając bank od obowiązku dawania banknotów w zamian za złoto, chce zmusić zagranicę do sprzedawania towarów w Szwecyi w zamian za szwedzkie banknoty, potrzebne zagranicy celem nabywania w Szwecyi towarów. Spodziewa się w ten sposób przeciwdziałać drożyźnie. Postanowienie szwedzkiego rządu należy do najciekawszych zjawisk gospodarczych współczesnej wojny. Brak pewnych wiadomości, pozwalających należycie je osądzić. Można tylko tyle powiedzieć, że prawdopodobnie wpłynie ujemnie na kurs marki w stosunku do szwedzkich pieniędzy, których już obecnie nie można kupić złotem.

Usiłując zdać sobie sprawę z właściwej doniosłości tych wypadków, pamiętać trzeba, że drożyzna w Szwecyi ma charakter wybitnie pokojowy, a nie wojenny, że wywiera inne skutki społeczne i gospodarcze, niż drożyzna w Austryi. Drożyzna wywołana nadmiarem pieniędzy złotych różni się znacznie od drożyzny, wywołanej nadmiarem pieniędzy papierowych. W swych skutkach nie sięga równie daleko.

* * *

Także i Anglia ogłosiła zakazy przywozu towarów z początkiem bieżącego roku. We wszystkich państwach walczących, nie wyłączając Anglii, wybuch wojny wywołał odrazu trwające po dziś dzień znaczne pogorszenie bilansu handlowego, polegającego na zniżce wywozu z nich, przewyższającego znacznie zniżkę przywozu do nich. Obniżył się wywóz i przywóz, ale wywóz silniej. Wzrosła różnica między wartością wywozu a przywozu (czyli *saldo* bilansu handlowego) na niekorzyść państw wojujących, ponieważ ich zapotrzebowanie towarów zagranicznych zmalało mniej, niż zdolność wywozu, krępowana brakiem robotnika, powołanego do wojska i innymi utrudnieniami wojennymi. Wobec znacznej drożyzny w krajach, prowadzących wojnę opłacało się przywozić do nich towary, ale coraz trudniej było utrzymać wywóz, ponieważ drożyzna ich towarów zmniejszała Koło odbiorców. Zły bilans handlowy (stosunek wywozu do przywozu towarów) oddziaływał ujemnie na bilans płatniczy, (ogół wypłat i wpłat zagranicznych), którego jest częścią najważniejszą. Zły stan bilansu płatniczego czyli zwiększony popyt za pieniądzem zagranicznym musiał odbić się na kursie walut i dewiz. Stąd próby poprawy przez zakazy przywozu.

Angielskie zakazy przywozu różnią się od austro-węgierskich i niemieckich tem, że tylko drugorzędnie są wyrazem chęci poprawy tym sposobem kursu dewiz. Inna jest główna przyczyna ich wejścia w życie. Anglii zabrakło okrętów. Coś niecoś zatopili Niemcy. Bardzo wiele rząd angielski zużywa na przewóz wojska i uzbrojenia przez kanał La Manche i na morzu Śródziemnem. Rząd angielski ograniczył przywóz towarów t. zw. objętościowych, które zajmują dużo miejsca. I tak ograniczył przywóz papieru. Ograniczył także przywóz niektórych towarów zbytkowych.

* * *

Z Anglii dochodzą wieści o wynalezieniu nowego, znacznie tańszego sposobu wytwarzania aniliny i innych sztucznych farb. W wielkim przedwojennym rozwoju gospodarczym Niemiec prze-

mysł chemiczny angielski był stosunkowo mało rozwinięty. Po wybuchu wojny zabrakło w Anglii tych towarów. Trzeba było założyć własne fabryki. Gdyby się sprawdziła wieść o wynalezieniu w Anglii gospodarczo bardziej zyskownych sposobów wytwarzania aniliny i podobnych przetworów, mielibyśmy do czynienia ze zjawiskiem ważnym na przyszłość. Przemysł chemiczny angielski nagle i bez należytego przygotowania rozszerzony pod wpływem wypadków wojennych zyskałby trwałe podstawy pomyślnego rozwoju, który uczyniłby znośniejszym olbrzymi ciężar angielskich kosztów wojennych. Przedłużanie się wojny utrudnia niemieckiemu przemysłowi wywozowemu odzyskanie zbytu utraconego podczas wojny. Odzyskanie zbytu będzie szczególnie trudnem, jeżeli w międzyczasie powstaną w państwach obcych zakłady współzawodniczące, technicznie wyżej rozwinięte.

* * *

Brak cukru nasuwa pytanie, czy nie możnaby sacharyną zastąpić cukru? Sacharyna jest znacznie tańsza. Słodzi potrawy i napoje równie dobrze, jak cukier. Niema żadnej wartości odżywczej. Pochlebia podniebieniu, ale nie przysparza sił organizmowi. Rząd, nie chcąc dopuścić do współzawodnictwa między sacharyną a cukrem, zakazał jej sprzedaży. Wolno ją nabywać jedynie w aptekach za receptą lekarską. W niektórych chorobach n. p. w razie choroby cukrowej, polegającej na wytwarzaniu nadmiaru cukru przez organizm, stosowanie sacharyny jest wielce wskazane. Ustawodawstwo niemieckie jest liberalniejsze. W wielu wypadkach t. zw. przemysłowego zużycia cukru wolno go zastąpić sacharyną. Wolno wyrabiać likiery i inne przetwory na sacharynie z zastrzeżeniem wyraźnego uwidocznienia na towarze, że zawiera sacharynę. Obecnie w Austro-Węgrzech coraz częściej odzywają się głosy, żądające dopuszczenia sacharyny conajmniej w wypadkach przemysłowej przeróbki cukru.

Pytanie, czy nie byłoby taniej, a bez uszczerbku dla sił i zdrowia używać sacharyny gwoli podniebienia a nieco więcej chleba i mięsa, tłuszczów, celem zastąpienia wartości odżywczej.

Adam Krzyżanowski.

Gdy cały świat stanie się katolickim.

Z powodu książki R. H. Bensona.

„Historya się nie wraca". To zdanie, które niedawno wygłosił przed parlamentem i przed całym światem kanclerz najpotężniejszego państwa, jest z pewnością streszczeniem historyofilozofii, ale streszczeniem niezupełnem. Ma ono swe uzupełnienie w innej prawdzie, banalnej, a zawsze świeżej: „nic nowego pod słońcem". Najlepszem może uzmysłowieniem dziejów ludzkości daje nasza planeta, owo podłoże, na którem rozgrywa się dramat człowieczeństwa. Powierzchnia jej w ciągłych zmianach i ustawicznych przesunięciach, a jednak krąży wszystko naokół osi wspólnej i wszystko pozornie po pewnym okresie, po tak zwanej dobie, do dawnego wraca położenia. Pozornie — bo zanim jakiś punkt ziemi całkowity zakreślił obrót, już cała planeta posunęła się dalej w swym pochodzie naokoło słońca, a z tym znowu dalej w przestrzeni. Jednem słowem ruch ustawiczny, ruch, złożony z dwóch ruchów składowych: okrężnego, będącego peryodycznem powtarzaniem się i postępowego, dążącego bez przerwy naprzód. A wypadkową tego ruchu jest jakaś spirala, jakaś krzywa, która niesie z nieprzepartą siłą — dokąd? Gdy chodzi o ziemię materyalną, to astronomowie jeszcze na to pytanie odpowiedzieć nie umieją; gdy chodzi o ludzkość i jej dzieje i dążenia duchowe, to bezwątpienia biegnie ona i dąży do czegoś, co jest poza tym światem materyalnym

do jakichś nadziemskich szczytów i ideałów. Jakie zaś są te ideały, lub raczej, jakimi być winny, przez długie wieki daremnie lub bardzo tylko niedołężnie rozstrząsały najpotężniejsze i najgenialniejsze umysły, aż wreszcie nad zrozpaczonem człowieczeństwem ulitowała się Prawda i Dobroć i zesłała na ziemię Światło. A tym światłem, to Chrystus i Jego nauka.

I odkąd ta nauka oświeciła nasze umysły, odtąd wiemy i jasno już widzimy, że ruch postępowy ludzkości to dążenie człowieczeństwa do Boga, do coraz wyższych ideałów, których spełnienie ostateczne leży poza tą planetą i jej materyalnem życiem. Wiemy dalej, że ruch ten nie jest prostolinijny, lecz spiralny, a siłą, która to zboczenie od linii prostej wywołuje, to ta ciągła grawitacya słabej i skażonej natury naszej do tego, co niskie i nikczemne, to ten pociąg do tego, co nazywamy „złem". Tak więc dzieje świata obracają się ciągle około jednej i tej samej osi, którą stanowi walka między złem i dobrem. Historya się nie wraca, bo fakty i ich kombinacye coraz to nowe, a tak zło, jak i dobro, coraz to inną przybiera zewnętrzną szatę. Lecz oś, naokoło której wszystko się grupuje, jest ciągle ta sama, jest nią ciągle walka między złem i dobrem, a więc — nic nowego pod słońcem.

A trzeba sobie jasno uprzytomnić, że przez „dobro", rozumie się tylko jedno jedyne prawdziwe dobro, jeden najwyższy ideał, a nim jest Bóg; pojęcie zaś „zła" obejmuje wszystko, co od Boga odwodzi i od Prawdy najwyższej odwraca. Że zaś stosunek człowieczeństwa do Boga jest właśnie tem, co nazywamy religią, więc nic dziwnego, że umysły najgłębsze chociażby same od Boga odwrócone, badając bezstronnie dzieje ludzkości, uznają, iż na dnie wszystkich wielkich zmagań, dążeń i przewrotów, jakie ludzkością miotały i poruszały, jest zawsze religia.

Wykazywać, że na dnie obecnych strasznych zmagań i przewrotów leżą niesłychanie ważne interesa i spory religijne, byłoby zbytecznem, — nie o tem też obecnie pisać zamierzamy, sprawa ta niema bezpośredniego związku z naszym tematem.

Jest nim kwestya inna, niepokojąca zarówno najszlachetniejsze, jak i najbardziej religii wrogie umysły, a mianowicie pytanie: jak ułoży się z biegiem dalszych ewolucyi stosunek ludzkości cywilizowanej do religii? A jeżeli mowa o cywilizacyi i religii, gdy zestawia się lub przeciwstawia te dwa pojęcia: nowoczesna cywilizacya i religia, to każdy mniej lub więcej jasno czuje i mniej lub więcej szczerze to przyznaje, że mowa tu być może tylko o tej religii, która sama jedna wśród wszystkich opiera się jawnie i wyłącznie na pierwiastku nadprzyrodzonym, to też sama jedna wśród wszystkich czuje się dosyć silną, by spokojnie a zasadniczo zmierzyć się z tą formą zła, które obwarowało się z tryumfem w twierdzy nowoczesnej nauki i cywilizacyi, a nią jest religia katolicka.

Sądziło, a raczej krzyczało wielu, że sprawa ta już przesądzona, że postęp ludzkości potoczy się już niepowstrzymanie po gruzach Kościoła; a to, co z epoki Piotra jeszcze zostało, to tylko resztki, które erozya niszcząca i zarazem twórcza nauki wnet uprzątnie. Myśl ta tak stała się natarczywą i tak głośną, że nawet najgorliwsi katolicy ulegać zaczęli obawie, że już może nadchodzą czasy ostatecznego panowania zła, czasy rzekomo przepowiedziane w księgach świętych. Tymczasem nadeszła wielka wojna — niespodziewanie i wbrew przewidywaniom wielu marzycieli, którzy sądzili, że cywilizacya doszła już do tego stopnia wyżyn, iż spory orężne stają się niemożliwe — i w tej wojnie rolę niszczyciela przybiera nowożytna cywilizacya i nauka, a nad wzburzonemi falami tonącej we krwi cywilizacyi — nie kruszeje, lecz coraz jaśniej i wyżej wznosi się opoka Piotrowa, z ponad której Ojciec i pasterz narodów i kapłan Dobra Najwyższego wzywa do opamiętania i zaprzestania strasznego zniszczenia. A choć głos Jego narazie przygłuszają okrzyki nienawiści walczących, po których następują nowe ofenzywy i nowe huraganowe ataki dział, to przecież w sercach wszystkich znajduje on oddźwięk coraz głębszy i nic chyba lepiej nie uzmysławia różnicy głębokiej między prawdziwem dążeniem do cywilizacyi, jakiemu przoduje duch Chrystusa, a tem, do którego wieść zamierza tak zwana cywilizacya nowoczesna, jak

ci dwaj przywódcy ludów, występujący w roli pacyfikatorów — Papież i Wilson... Ten ostatni, dopiero co chciał wtrącić świat krwawiący w nowe walki i na ciele bolejącej ludzkości nowe otworzyć rany, a teraz, wobec wyborów nadchodzących, wzywa do pokoju, nie wstydząc się tego, że przez dostarczanie morderczej broni nikt tak, jak on, nie podsyca wojny. A wzywa słowami z pewnością nieuspokajającemi, lecz pełnemi gróźb, uroszczeń i ufności we własne, materyalne siły. A z drugiej strony głos Papieża pokorny, cichy, w którym brzmi łkanie zbolałej matki nad nieszczęściem zbłąkanych dzieci, lecz w którym zarazem tkwi siła tajemnicza, chociaż negowana przez wielu, ale niczem niedająca się wstrząsnąć, bo oparta na przeświadczeniu, że za tym głosem jest potęga Tego, który za świat umarł i światem rządzi. A że umie On nietylko kochać, lecz być silnym, tego dowody widoczne w walce obecnej.

Która siła zapanuje nad światem po tym krwawym potopie, czy materyalizm amerykański, czy potęga ducha, Moc Chrystusowa, skupiona widocznie w papiestwie? Jeszcze na dwa lata przed wojną starał się odpowiedzieć na to pytanie sławny powieściopisarz angielski Robert Hugh Benson, w książce zatytułowanej: „*The Dawn of All*“ — Zmierzch wszech rzeczy. Jest to niby powieść, ale raczej jakieś misteryum, studyum psychologiczno-polityczne, lub, jak sam autor niezupełnie może dokładnie określa, parabola, zajmująca się w sposób niby lekki, lecz niezmiernie głęboki, najbardziej podstawowemi zagadnieniami ludzkości i starająca się przeniknąć przyszłość najbliższą i nieco dalszą świata. Stąd też kieruje się ona w swych dociekaniach, nietylko ostrem cięciem logicznego rozumowania, ale i intuicyą. A że intuicya ta nosi tu na sobie miejscami cechy prawdziwie głębszych zdolności, to poczucie nietylko zamie coraz natarczywiej na umysł czytelnika, w miarę jak postępuje w lekturze, lecz znajduje ono już teraz potwierdzenie w przepowiedzianych przez autora, a już spełnionych niektórych faktach.

Zdarza się nieraz, że ludzie u schyłku dni swoich co do niektórych rzeczy posiadają chwile jakgdyby jasnowidzenia,

a odnosi się to zwłaszcza do tych kwestyi, którymi głównie i całą mocą ducha przez lata żywota się zajmowali. Nasz autor umarł po niedługim czasie po napisaniu tej książki. Czy i w tym wypadku mamy do czynienia z takiem jasnowidzeniem człowieka wyższego, a jasnowidzeniem dotyczącem sprawy, w której służbie spędził on pracowicie całe wielkie i piękne życie, o tem sądzić będziemy mogli już może za lat kilka. To tylko dziwne, że wydając swe dzieło jeszcze w r. 1912, a więc w czasie, gdy na prawdę wielu wogóle wątpiło w możliwość światowej pożogi, nietylko swoje opowiadanie opiera na fakcie wielkiej wojny światowej, która wywołuje nietyle zewnętrzne, ile wewnętrzne przeobrażenie państw i społeczeństw, ale nadto kładzie jej datę na rok 1914. I on, członek społeczeństwa angielskiego, w którem, podobnie jak we Francyi, legenda o rzekomej słabości Austryi i jej niechybnym w razie wojny upadku, tak głęboko zapuściła korzenie, on wygłasza pogląd, że w przyszłej wojnie Austrya nietylko wyjdzie zwycięska, lecz tak silna, iż w zarząd cesarza Austryi oddane będą Włochy, które pobite zupełnie, staną się znowu własnością i ojcowizną Ojca św., w imieniu którego administruje krajem cesarz Austryi. Fakta te, jakoteż i inne, jak n. p. znaczne uszczuplenie terytoryalne Francyi i zaprowadzenie tamże królestwa, wzmożenie się socyalizmu w Niemczech, są podstawą akcyi powieści, która cała odbywa się już znacznie później, bo w latach 1970-tych. Lata przedwojenne 1904 do 1912, nazwane są *crest of the wave*, grzbietem czyli górą fali, która spadając podczas wojny, wzniesie się znowu i zastanie świat cały zupełnie katolickim.

Tak w przeświadczeniu Bensona cały materyalizm i wynikające zeń logicznie prądy społeczne końca 19-tego i początku 20-go wieku rozwieją się albo raczej rozprysną w katastrofie „wielkiej wojny z r. 1914“, a nad całym światem zapanuje pogląd idealistyczny, wcielony najdoskonalej w prawdy wiary katolickiej, a uosobionej w postaci następcy Piotra i Chrystusa, papieża rzymskiego. Moc i wpływ katolicyzmu i Papież, zapanuje znowu zwycięsko nad całym światem, jak ongi w wiekach średnich zapanowały po przewalaniach się napół dzikich ludów

— na ruinach zmateryalizowanego Rzymu i Konstantynopola, i spełni się, że *nil novi sub sole*. Ale spełni się też i to, że historya się nie wraca do tego samego punktu. To panowanie obecne, czyli dla nas raczej przyszłe, Papieża, będzie już nieco inne, więcej niż dawniej duchowe, a więc głębsze, niż w wiekach średnich, bo świat, mając już za sobą i naiwny idealizm wieków średnich, złączony z nieokiełznaną pierwotną naturą młodych narodów i gorzkie doświadczenia materyalizmu nowożytnego, jest głęboko przeświadczony, że na świecie wtedy tylko może być ład i postęp i prawdziwa cywilizacya, gdy wszyscy mieszkańcy ziemi zgodzą się nietylko teoretycznie, lecz przyznają praktycznie fakt religii objawionej, i jej niedające się niczem zaprzeczyć nad społeczeństwami i jednostkami prawa. Papież i sfery kościelne natomiast pozostawiają swobodę zupełną społeczeństwom i władzom świeckim w sprawach, do zakresu duchownego nienależących, pouczeni znowu doświadczeniami smutnemi nieraz w historyi, gdzie duchowieństwo zstępując dobrowolnie ze swego wzniosłego stanowiska pierwiastku nadprzyrodzonego, przekształcało się w ciasne ramy stronnictwa politycznego, mieszając się w sprawy zupełnie świeckie i z katolicyzmu robiąc klerykalizm, z duchowej władzy kościoła ciasne nieraz i twarde kajdany kliki, żądnej władzy świeckiej.

Przed kilku laty — w r. 1910 — wyszła książka tego samego autora p. t.: „*Lord of the World*“ — Pan Świata, która zyskała wnet światową sławę i przetłómaczona na wszystkie języki cywilizowanych narodów, przebiegła całą czytającą publiczność. Książka ta ma za przedmiot ostatni akt dramatu ludzkości, koniec świata i sąd ostateczny, a wychodzi z tego założenia, że gdyby panujące obecnie prądy antyreligijne w nauce i polityce doprowadziły do zupełnego zmateryalizowania społeczeństw i do wyeliminowania całkowitego z nich wszelkiego pierwiastku nadprzyrodzonego, to fakt ten w końcu przywieść musi do usiłowań, by zgnieść ostatnie szczątki ukrywającego się jeszcze katolicyzmu wraz z papieżem. Z chwilą, gdy a dokonanie tej zbrodni lecą wysłane przez mocarstwa setki aeroplanów, przebiera się miara złego na ziemi i Ten,

który był, jest i będzie jedynym jej Panem przybywa, by ostatecznie oddzielić kąkol od pszenicy. Utwór ten, artystyczną konstrukcyą i subtelnością a głębią analizy psychicznej znakomity, oddziaływa jednak przygnębiająco na czytelnika, zwłaszcza czytelnika wierzącego. To dało pochop autorowi do napisania obecnej powieści, czyli, jak sam nazywa, paraboli.

Teza, że za lat kilkadziesiąt świat cały stanie się katolickim, budzić musi zaciekawienie pod dwoma zwłaszcza względami: jaką drogą świat cywilizowany dojdzie rzekomo do takiego stanowiska, a powtóre, jak ten katolicyzm, rozwinięty i wyrosły na podłożu najbardziej cywilizowanych społeczeństw, będzie wyglądał. Odpowiedź na te dwa pytania stanowi główną osnowę dzieła „*The Dawn of All*", a techniczny niejako sposób przedstawienia, związany z niezbyt wprawdzie żywą i zawiłą, ale pełną niezwykłych pomysłów i momentów akcyą, jest tak mistrzowski, a tak gruntowny i wyczerpujący, że lektura tego dzieła stanowi prawdziwą ucztę dla umysłów szukających czegoś więcej ponad podniecenie wyobraźni i zmysłów.

By czytelnikowi ułatwić pracę przerzucenia się z naszych stosunków, a wmyślenia się stopniowego w epokę przyszłą panowania katolicyzmu, by nadto obrać go powoli, lecz skutecznie, z tych wszystkich przesądów i mniemań, w któreśmy się bezwiednie wżyli, a które wyrósłszy na gruncie materyalistycznym i antykatolickim, taką siecią nieuchwytnych a silnych sofizmatów i sądów oplotły nasze umysły, że sama myśl „panowania katolicyzmu" wiele osobników do histerycznych niemal zdolna przywieść ataków — autor daje nam przewodnika. Jest nim „*a man who lost his memory*" — człowiek, który stracił pamięć, Monsignor Masterman, sekretarz kardynała londyńskiego i jako taki wplątany bezpośrednio w bieg wszystkich prądów i działań społeczeństw cywilizowanych. Z powodu zbytniego wysiłku w pracy umysłowej stracił on nagle pamięć, ale nie całkowicie. W ostatnich dniach i godzinach przed nerwowem zapadnięciem — rzecz dzieje się w r. 1973 — M. Masterman studyował właśnie historyę lat 1904—1912, napisaną przez sławnego

ekonomistę i członka rządu, Mr. Mannersa, i obecnie zdaje mu się, że żyje w tej epoce, to znaczy w czasach naszych, a o stosunkach współczesnych zapomniał wszystko, nawet, czem jest i jak się nazywa. Toteż pod przewodnictwem ojca Jervis, kapłana a nadto znakomitego psychologa i nowoczesnego (w ówczesnym znaczeniu) psychyatry, musi dopiero powoli uczyć się i dowiadywać o tem, co się dzieje około niego i za jego czasów, a tem samem poucza o tem i nas, przyczem walki i wrażenia, jakie odgrywają się w duszy jego są te same, jakie mniej więcej odniósłby każdy przeciętny dzisiejszy czytelnik, patrząc lub rozmyślając o tych problemach. Więc Mgr. Masterman to nauczyciel, który ma wprowadzić nas w sferę idei, jakie autor w swojej„ paraboli" przed nami pragnie rozwinąć i wprowadzić w nie powoli i bez uprzedzeń.

Na prywatnem zebraniu towarzyskiem, wśród pogadanki przy lunchu, w którem brało udział prócz Mgr. Mastermana i jego opiekuna O. Jerwisa paru jeszcze duchownych, wspomniany wyżej Mr. Manners na zaproszenie Monsignora daje obraz walki, jaką katolicyzm musiał przebyć i kreśli ewolucyę idei, która cały świat cywilizowany doprowadziła do uznania katolicyzmu za najwyższy wyraz cywilizacyi i społecznego ideału. „Przewrót, o ile pomnę, w położeniu religijnem" — mówi Manners — „prawdziwy przewrót upatrywać należy w okresie od 1900 do 1920. Był to okres, jak państwo pamiętacie, straszliwej agitacyi socyalnej. Szerokie zatoczyła kręgi rewolucya w krajach łacińskich, począwszy od Francyi i Portugalii, głównie przeciwko autorytetowi, a najbardziej przeciwko monarchii (bo monarchia jest najżywszem i najrzeczywistszem wcieleniem autorytetu); a w krajach teutońskich i anglosaskich przeciwko kapitałowi i arystokracyi. W tych to właśnie latach socyalizm prawie że opanował świat cywilizowany i rzeczywiście, przypominacie sobie państwo, że przez długi jeszcze czas po tej dacie panował nad cywilizacyą w niektórych miejscowościach."

„Otóż rzeczywistym powodem zamięszania, który leżał na dnie wszystkiego, był stan, w jakim znajdowała się religia.

A przyznacie państwo, że religia zawsze jest i zawsze była u korzenia każdego ruchu światowego. Rzeczywiście tak być musi. Najgłębszym instynktem w człowieku jest jego religia, to znaczy, jego stanowisko do spraw wiecznych; i od tego stanowiska zależeć musi jego stosunek do spraw doczesnych. Tak się rzecz ma ogólnie, nawet w przypadku poszczególnego człowieka; musi zatem być nieskończenie więcej tak w wielkich zgromadzeniach lub narodach; ponieważ każde zbiorowisko kieruje się zasadami, które są najmniejszą wspólną wielokrotną zasad jednostek, w jego skład wchodzących. Oczywiście teraz uznaje się to powszechnie; lecz nie zawsze tak było. Był czas, zwłaszcza w okresie, o którym obecnie mówię, gdzie ludzie usiłowali obchodzić się z religią, jakgdyby była ona częścią życia, gdy tymczasem stanowi ona podstawę każdego i całkowitego, wszelakiego życia. Tak postępować, znaczy to oczywiście oświadczyć, że się jest zasadniczo bezreligijnym — i naprawdę, bardzo ograniczonym i niewykształconym".

W tych słowach streszcza autor swe poglądy na społeczne stanowisko religii, stanowisko, które koniecznie i z nieubłaganą logiką wynikać musi z samego istnienia religii. Najpierw więc, religia leżeć musi na dnie wszystkich ważniejszych wydarzeń społecznych; myśl znana, którą wypowiedział swego czasu niereligijny Goethe, a która swą ilustracyą znajduje i w obecnym krwawym dramacie, chociaż dla różnych powodów mało o tem się mówi i pisze; a dalej, że jak w życiu jednostki, tak i w działaniu społeczeństw, kto idee i wymagania religii spycha tylko na pewne godziny lub pewne funkcye, a w innych działa tak, jakgdyby Bóg i jego władza nie istniała, ten oczywiście albo jest świadomie bezreligijnym, albo też daje dowód najwyższej bezmyślności i ignorancyi w najbardziej zasadniczych kwestyach ludzkości. Że takie usposobienie jest ogólną, można powiedzieć, cechą dzisiejszych społeczeństw i że ono właśnie daje garstkom antyreligijnych fanatyków możliwość do podejmowania ciągłych walk z Kościołem i wrogiego postępowania z religią, o tem przekonują choćby Włochy i Francya, gdzie na tle tak nielogicznie usposobionej większości katolic-

kiej grasują bezkarnie i dowolnie nieliczni a zuchwali duchowi korsarze, którzy pod hasłem oswobodzenia wszystkiego z pod władzy klerykalizmu, usuwają systematycznie duchowy wpływ i zasady katolicyzmu na wszystkich polach.

Przyczyny rozpowszechnienia się takich stosunków podaje autor jasno i bez ogródek, a chociaż dzisiaj dla ucha niejednego katolika, ogłuszonego krzykliwemi poglądami obecnej doby, brzmieć one będą niemile, to jednak dobrze będzie przyjrzeć się im — na zimno i bez uprzedzeń.

„Konstatuję — mówi M. Manners, a przez niego Mgr. Benson — że przyczyny tego stanu rzeczy były następujące:

„Aż do reformacyi religia opierała się na powadze, jak to dzieje się znowu obecnie; lecz niezmierny rozwój rozmaitych nauk i szerokie rozpowszechnienie się popularnej wiedzy, za pierwszym wylewem odwróciło uwagę od tego, co obecnie (t. zn. w 1973) stanowi we wszystkich krajach cywilizowanych poprostu pewnik myślenia, że mianowicie Objawienie Boże musi być wcielone w powagę żywą, zabezpieczoną przez Boga".

A więc pierwszy cios dla religii padł pod wpływem reformacyi ze strony rozszalałego pędu badań naukowych i „uświadomienia", który porwać i obalić chciał wszelki autorytet, nawet powagę nieomylnego Kościoła, przecząc jej faktowi i znaczeniu. A pomaga nauce w tej destruktywnej robocie jej własny stan płytkości i braku refleksyi, na którym w pierwszych swych fazach się znalazła. „W owym czasie — mówi Manners — nauka i wiedza ścisła wogóle nie osiągnęły jeszcze punktu, który osiągnęły później nieco — potwierdzania, szczegół po szczególe, jak to obecnie są one zdolne czynić, objawienia Bożego znanego jako Katolicyzm i poznania swej ograniczoności, gdzie tego uczynić nie są zdolne. Wiele nauk w owym czasie nie doszło dalej, jak do stwierdzenia pewnych faktów, które robiły wrażenie na bardzo niedoskonale wykształconych osobach owego wieku (t. j. naszych czasów), że podają w wątpliwość, a nawet zbijają niektóre fakta i wnioski z Objawienia. Psychologia na przykład, chociaż to dziwnie brzmi w naszych czasach,

rzeczywiście przybierała pozory, że dostarcza innego wytłómaczenia wszechświata, niż to, jakie daje objawienie. (Szczegóły roztrząśniemy niebawem). Nauki społeczne, w owym czasie, również pchały w kierunku demokracyi a nawet socyalizmu. Wiem, iż wydaje się to potwornem, a nawet prawie nie do uwierzenia, że ludzie, którzy rzeczywiście mieli pewne prawa do tego, by ich nazywano wykształconymi, poważnie utrzymywali, że najstalsza i najrozumniejsza metoda rządzenia polega na rozszerzeniu praw konstytucyjnych (*franchise*) — to znaczy na wywróceniu całego wiecznego i logicznego porządku rzeczy i pozwoleniu, by niedoświadczony rządził doświadczonym, a niewykształcony i źle poinformowany, by kontrolował przez swe głosy, to znaczy, przez prostą wagę liczb — wykształconego i należycie poinformowanego. A jednak tak było". Ostra to krytyka powszechnego, czwórprzymiotnikowego prawa głosowania i władzy ludu, która miała dać światu sprawiedliwość i wieczysty pokój! Z owoców ich poznacie je. „A rezultatem tego było — ponieważ wszystkie te rzeczy wzajemnie działają i oddziaływują na siebie — że ideę powagi z góry w rzeczach religii uważano za niedemokratyczną tak, jak w sprawach tyczących się rządu i w życiu socyalnem".

Wszędzie panuje powierzchowność, frazes i płytkość: „Ludzie nauczyli się, mianowicie, odrobinę rzeczywistej prawdy w teoryi o najmniejszej wspólnej wielokrotnej i podobnie jak w psychologii i w innych wielu naukach, przypuszczali, że mały odłamek prawdy, który poznali, stanowi całą prawdę".

Na Monsignora Mastermana słowa te swą pewnością i poczuciem prawdy robiły silne wrażenie. „Takie wyrażenia, jak „wszyscy wykształceni ludzie", „dobrze poinformowany" i inne, te wogóle były mu znane, lecz zaiste w całkiem innym związku. Na dnie duszy uczuwał on rodzaj wrażenia, że to były zwroty, które ludzie bezreligijni i agnostycy stosowali do siebie; lecz oto przed nim znajdował się człowiek, widocznie uczony, i jak wiedział, mąż stanu, przyjmujący spokojnie (zaledwie zadając sobie trud stwierdzenia tego), że wszystkie wykształcone i dobrze poinformowane osoby są katolikami!"

To jest właśnie punkt środkowy całej książki: autor spokojnie, bez miotań obelg i bez paroksyzmu fanatycznych wybuchów, stoi na stanowisku, że prawda jakakolwiek, skądkolwiek ona wypływa, byle iść w ślad za nią bez uprzedzeń i zupełnie objektywnie, doprowadzić musi do źródła, z którego wypływają wszystkie prawdy, a więc przyrodzone i nadprzyrodzone. Stąd stanowisko człowieka prawdziwej nauce oddanego, musi być katolickiem, prędzej czy później, podobnie jak i każda nauka przyrodnicza, społeczna czy inna, gdy należycie się rozwinie i bezstronnie rozstrząśnie swe faktyczne zdobycze i płynące z nich wnioski, dojść musi do stwierdzenia, że materya i jej prawa to tylko cząstka i to cząstka znikomo mała tego, co jest i co stać się może przedmiotem poznania umysłu ludzkiego. Stanowisko to autora, głęboko o prawdzie wiary przeświadczone, a wolne od wszelkiego fanatyzmu, nie jest oczywiście nowe; jest ono cechą wszystkich umysłów głębszych i zdających sobie jasno sprawę ze swych uczuć i przekonań. Fanatyzmowi podlegają tylko umysły płytkie, dusze, które niekochają prawdy, lecz siebie, którym nie tyle leży na sercu jej zwycięstwo i panowanie, lecz to, by wszyscy szli za ich zdaniem; którzy wreszcie nie są do samego wnętrza, aż do dna przekonani o niedającej się niczem zachwiać prawdzie niezbitej swych przekonań. Autor słusznie przypuszcza, że w miarę wzrostu nauki i prawdziwej cywilizacyi, to jest panowania ducha nad brutalną materyą, taki stan dusz, spokojny a głęboki w wierzeniu, stawać się będzie coraz powszechniejszy, aż wreszcie podbije pod swe panowanie świat cały. A nie ulega żadnej wątpliwości, że taki stan jest możliwy tylko w kościele katolickim. Katolicyzm też, według słusznego poglądu autora, do władzy nad światem dojść musi i dojdzie właśnie drogą rozwoju nauki. Lecz posłuchajmy, jak autor tę kwestyę przez usta Mannersa przedstawia:

„Przychodząc tedy — mówi Manners — bezpośrednio do naszej kwestyi, zastanówmy się najpierw, jakie to były stopnie i procesy, którymi prawda katolicka raz jeszcze stała

się religią cywilizowanego świata, jak nią była pięć wieków temu.

„Streszczając się muszę powiedzieć, że zawierały się one pod jednym rozdziałem: łączność idei (*correlation*) pomiędzy naukami i ich zbieganie się ku jednemu punktowi. Przejdźmy je jedne po drugiej. Czas dozwala nam rzucić tylko pobieżne spojrzenie na każdą".

Następują teraz najbardziej może zajmujące karty książki, gdzie autor po mistrzowsku rozprawia się z wszelkiemi prądami i kierunkami, stanowiącymi obecnie w czasach naszych najsilniej bijące źródła, z których czerpią zarzuty przeciwko wierze. Poglądy te swą jasnością i głębią zasługują na to, by się z niemi poznać dokładniej, bo i czytelnikowi wierzącemu nie jedno rozjaśnią, nie jedno zwątpienie gdzieś na dnie duszy leżące usuną, bo wreszcie pochodzą od człowieka wielkiej nauki i niepospolitego umysłu, o którym trzeba pamiętać, że drogę od zwątpienia i od niewiary do gorącości w wierze sam przerobił na sobie.

„Przedewszystkiem — mówi Manners — była psychologia.

„Nawet przy końcu dziewiętnastego wieku zaczęto pojmować, że istnieje jakaś niewytłómaczalna siła, działająca poza samą materyą. Sile tej dawano liczne nazwy — „świadomość podprogowa" u człowieka, a „Przyroda" w zwierzęciu, roślinie a nawet w tworach mineralnych; i stąd zrodził się cały szereg niedorzecznych zabobonów, takich, jak wygasła obecnie całkowicie sekta „Uczonych chrześcijańskich" albo myślowych uzdrawiaczy (*Mental Healers*); a pomiędzy mniej wykształconymi materyalizmu i panteizmu. Lecz siłę uznano i dostrzeżono, że porusza się ona wzdłuż ściśle p[illegible]yidłowych linii. Następnie w wielkim wybuchu spirytualizmu stopniowo zaczęło się światu stawać coraz oczywistszem, że ta siła czasami objawiała się w sposób osobowy, chociaż zawsze nieżyczliwy. Otóż trzeba pamiętać, że nawet to oznaczało niezmierny postęp w kołach, zwanych naukowemi; ponieważ w połowie dziewiętnastego wieku przeczono nawet zjawiskom, tak troskliwie przez Kościół zbieranym. Tym już dłużej nie przeczono, gdyż zjawiska, bardzo

do nich przynajmniej podobne, zdarzały się powszechnie przed oczyma najbardziej sceptycznie usposobionych. Oczywiście, ponieważ badania czyniono sposobami czysto „naukowymi", sposobami, które wówczas niczem innem nie były, jak materyalistycznymi, usiłowano zdać sobie sprawę z tych zjawisk nowemi teoryami anty-spirytualnemi, ukutemi naprędce, by zaradzić potrzebie. Lecz stopniowo zaczęło wyłaniać się niemiłe poczucie, że Kościół był już obeznany z temi zjawiskami przez dwa tysiące lat, i że korporacya, która dostrzegała i notowała fakta z większą dokładnością, niż wszyscy „ludzie nauki" razem wzięci, ma przynajmniej niejakie pretensye, by odnośnie do tych faktów liczono się z jej hypotezami. Następnie zaczęto dostrzegać, (co dla nas obecnie jest całkiem oczywistem), że religia dostarczyła pierwiastku, którego nikt inny dostarczyć nie mógł, że na przykład „suggestya religijna", jak ją nazywano w żargonie ówczesnym, mogła dokonać rzeczy, których zwykła suggestya spełnić nie zdoła".

Z kolei przechodzi autor na inne pole, na tak modną dzisiaj religią porównawczą. Mgr. Benson pokazuje spokojnie i w sposób zupełnie widoczny a przekonywujący, że zarzuty z tych sfer pochodzące, a sprawiające nieraz wiele tajemnych niepokojów duszom wierzącym, nie mają żadnej realnej podstawy. Owszem, zdobycze badań w kierunku tych nauk porównawczych nad religiami uwidaczniają przepaść, jaka dzieli ich fałsze od dogmatów jedynie prawdziwego Kościoła, toteż i one muszą umysły nieuprzedzone doprowadzić do uznania katolicyzmu.

„Następne postępy — są słowa Mannersa — toczą się wzdłuż linii religii porównawczej.

„Badania religii porównawczej była to praktycznie biorąc nauka nowa przy końcu dziewiętnastego wieku, i jak wszystkie nowe nauki, rościła ona sobie pretensye do zniszczenia zarysów wszystkich innych, zanim stworzyła swój własny. Naprzykład znachodziły się wówczas osoby wykształcone, które jako argument przeciwko Chrystyanizmowi przytaczały fakt, że wiele dogmatów i ceremonii chrześciańskich można odnaleść w in-

nych religiach. Z czasem jednak ten argument począł zanikać, wyjąwszy w bardzo elementarnych podręcznikach racyonalistycznych, w miarę, jak coraz widoczniej wyłaniał się fakt, że podczas gdy ta lub owa poszczególna religia ma jedną lub drugą naukę wspólną z Chrystyanizmem, Chrystyanizm ma je wszystkie. To znaczy: Chrystyanizm zawiera wszystkie zasadnicze nauki wszystkich religii, albo przynajmniej wszystkie nauki, które stanowią jakąkolwiek siłę religii innych, a nadto wiele innych, potrzebnych do tego, by owe oddzielne dogmaty spoić w jedną organiczną całość; by, że użyjemy prostej przenośni, Chrystyanizm stał wśród świata jako światło na wzgórzu, i by częściowe i niedoskonałe odbicia się tego światła, odbłyskiwały mniej lub więcej jasno, od rozmaitych systemów ludzkich, które je otaczają. I stało się wreszcie widocznem, nawet dla najmniej inteligentnych, że jedynem wytłómaczeniem tego zjawiska jest teorya, iż Chrystyanizm jest rzeczywiście jedynym i mówiąc najmniej, najdoskonalszym ludzkim systemem wiary — doskonałe ludzkim, w który wcielają się i znajdują swe całkowite zaspokojenie wszystkie dążności ludzkiej rasy — najdoskonalszy system wiary, jaki świat kiedykolwiek widział".

Autor więc przyznaje, że w każdej religii jest coś prawdy, i każda z religii zaspokaja, chociaż bardzo niedoskonale, jedno lub drugie dążenie serca ludzkiego ku górze i ku ideałom, bo inaczej nie znalazłaby ona z pewnością wśród ludzi, nawet najciemniejszych i najgorszych, adeptów i wyznawców; lecz całą prawdę i całkowite zaspokojenie serca znaleść można tylko w Chrystyanizmie. I nie podniósł tu autor, bo w tem miejscu nie było to konieczne. tej jeszcze cechy Chrystyanizmu i tej jego nad wszystkiemi wierzeniami wyższości, że Chrystyanizm podaje samą prawdę, bez domieszki jakiegokolwiek fałszu i błędu.

(Dok. nast.).

Ks. F. Hortyński.

Zagospodarowanie terenów wojennych

i projektowany Zakład odbudowy Galicyi.

Pod datą 20 marca 1916 r., przynosi urzędowa „*Gazeta lwowska*“ następujący pół urzędowy komunikat:

Wskutek wydarzeń wojennych, Galicya, która była widownią bohaterskich walk naszych wojsk przeciw przemocy nieprzyjacielskiej w jesieni i zimie r. 1914, oraz bezprzykładnego pochodu zwycięskiej armii sprzymierzonych na wiosnę i w lecie 1915, jest ciężko dotknięta, a jej rozwój gospodarczy, który właśnie ostatnimi czasy przed wojną wykazywał pocieszające zaczątki pomyślnego rozwoju, został powstrzymany. Skoro więc ogromna część kraju została od nieprzyjaciela oswobodzona, wyłoniła się także konieczność, by za odzyskaniem wojskowem nastąpiła jego gospodarcza odbudowa, by rany, zadane krajowi przez długie krwawe walki i przez inwazyę nieprzyjacielską, zostały zagojone, by przywrócić podstawy gospodarczej egzystencyi ludności i utorować jej drogi do nowego dobrobytu.

Rząd więc musiał uważać także za swój obowiązek poczynić wszystko, by umożliwić odrodzenie kraju i wedle sił je poprzeć.

Są to z pewnością wielkie zadania, które wynikają zwłaszcza dla władz państwowych, zadania, które daleko przekraczają normalne ramy ich czynności. Ogólnie jest obowiązkiem Państwa i jej organów administrować tem, co istnieje i to utrzymy-

wać, regulować granice sił społecznych i gospodarczych, oraz usuwać przeszkody i zaburzenia w naturalnym rozwoju. Tutaj idzie jednak o inicyatywę, o służenie ludności radą i czynem, o odbudowę tego, co zostało zniszczone, o obudzenie nowego życia z popiołów zniszczonej kultury, o wprowadzenie na nowe tory drobnego i wielkiego przemysłu i handlu na drogę produktywnego działania i obrotu.

Aby dać władzom możność jak najlepszego odpowiedzenia tym nadzwyczajnym zadaniom, Rząd powołał do życia specyalną organizacyę gospodarczej odbudowy Galicyi, która ma mieć jednolite kierownictwo i celowo przeprowadzać wszystkie agendy, związane z odbudową Galicyi. Wszystkie te agendy będą mianowicie złączone w specyalnym oddziale Namiestnictwa galicyjskiego pod nazwą: C. k. Namiestnictwo, centrala krajowa dla gospodarczej odbudowy Galicyi.

Dzieli się ona według trzech najważniejszych gałęzi akcyi odbudowy — odbudowy zniszczonych miast, gmin i miejscowości, komunikacyi, wodociągów itd.; rekultywowania rolnictwa i leśnictwa, oraz odbudowy wielkiego i drobnego przemysłu i handlu w kraju — na oddział budowlany, na oddział gospodarstwa rolniczego i leśnego i na oddział drobnego i wielkiego przemysłu i handlu.

Obok przeprowadzenia zarządzeń ogólnych i organizacyjnych, regulujących tę akcyę, centrala ta krajowa ma także obowiązek naczelnego kierownictwa i kontroli nad wszystkiemi poszczególnemi zarządzeniami, naturalnie nie dotykając przynależności państwowych i autonomicznych władz, uregulowawanych ustawowymi przepisami. Także w powiatach utworzono celowe zarządzenie celem przeprowadzenia gospodarczej odbudowy Galicyi. Dla załatwiania spraw, dotyczących odbudowy zniszczonych miast, gmin i miejscowości, komunikacyi, wodociągów itd. utworzone będą odrębne ekspozytury budowlane, których okręgi wedle potrzeby obejmować będą jeden lub kilka powiatów politycznych. Agendy rekultywowania gospodarstwa rolnego i leśnego i odbudowa małego i wielkiego przemysłu i handlu w powiatach, należą do naczelnych władz powiatowych

politycznych, którym w tym celu dodane będą jako organa pomocnicze specyalni fachowcy rolniczy, leśni, przemysłowi itd. Prowadzenie tych rozmaitych urządzeń i organów uregulowane będzie przez specyalne instrukcye, które mają również umożliwić, by prowadzenie wszystkich spraw, dotyczących akcyi odbudowy, dokonywało się jak najspieszniej i w sposób jak najbardziej celowy.

Tak samo ważnym dla zamierzonego celu, jak te postanowienia organizacyjne, jest dobór osób dzielnych, odpowiadających pod każdym względem swemu zadaniu. Potrzebny personal ma być wzięty w pierwszej linii ze stanu władz politycznych, następnie z innych państwowych władz galicyjskich. Przewidziana jest jednakże także możliwość uzupełnienia przez odpowiednio kwalifikowanych zwłaszcza technicznych funkcyonaryuszy autonomicznej administracyi Galicyi, w powiatach zaś nadto przez fachowe kwalifikowane osoby prywatne, które mają być związane kontraktem służbowym. Zwłaszcza wciąganie urzędników krajowych odpowiada zamiarowi możliwego ułatwienia i przyspieszenia znoszenia się z autonomiczną administracyą kraju.

Jako doradcze ciało dodana zostaje centrali krajowej gospodarczej odbudowy Galicyi Rada przyboczna, złożona z 24 członków. Sześciu z tych członków deleguje Wydział krajowy, 18 zaś mianować ma P. Namiestnik przy uwzględnieniu dotyczących kół fachowych, interesentów i stosunków narodowościowych w kraju. Także i ta Rada przyboczna, podobnie jak centrala krajowa, dzieli się na trzy sekcye: jedna doradcza w sprawach dotyczących odbudowy zniszczonych miast itd., druga odbudowy gospodarstwa rolnego i leśnego, trzecia spraw odbudowy małego i wielkiego przemysłu i handlu.

P. Namiestnik ma według potrzeby powoływać w odpowiednich okresach Radę przyboczną. Z tej łona mogą być jeszcze wyznaczeni stali doradcy (doradcze organa zawodowe) i przydzieleni poszczególnym oddziałom centrali krajowej, a mianowicie w liczbie najwyżej po dwu dla każdego oddziału. Statut organizacyjny przewiduje w końcu także możliwość własnych

Rad przybocznych dla powiatów, jeżeli wyłonić by się miała potrzeba tego przy przeprowadzeniu tej akcyi.

W krótkości tu przedstawione zarządzenia umożliwiają poznanie, jaką wagę przywiązuje Rząd do tego, by dążenia do odrodzenia Galicyi możliwie szybko i w jak najszerszej mierze mogły być zrealizowane. Ponieważ mającej być utworzoną organizacyi dano wszelkie podstawy zadawalającego funkcyonowania, można żywić nadzieję, że będzie ona mogła w pełnej mierze zadość uczynić wielkim zadaniom dla dobra kraju, jak też i całego Państwa.

Kategoryczne — stanowczością swą wymowne słowa! Głos moralnego i honorowego obowiązku chrześcijańskiego i kulturalnego Państwa — świadomość konieczności i gojenia ran integralnej części jego organizmu w interesie całości — oto co brzmi w komunikacie Rządu — gotowego wypełnić i w czyn wprowadzić przed rokiem — z górą — wyrażoną *Regis Voluntas — Optimi*!... Że to program konkretny — dowodem szczegóły organizacyi specyalnego Zakładu odbudowy zniszczonego kraju — dla nas: części *Poloniae denastatae* —

Dla tego ważne są one dla nas i zasługują na bliższe analizę i określenie — a może tam gdzie potrzeba — uzupełnienia — zawsze zaś gorące całego Narodu współdziałanie!...

Bo, że z programem odbudowy współdziałać musi społeczeństwo a nie zakładać rąk w oczekiwaniu „odszkodowania“ — by je może w jakich umieścić obligacyach — dowiodło już tym choćby zapałem, z jakim się wzięło — w ziemiańskiej przedewszystkiem sferze — do orki i zasiewów w pierwszej już chwili po wygnaniu inwazyi, a ukarane za ten poryw powtórnem zniszczeniem — jak Syzyf znów podjęło głaz ciężko zwalony, by go znów toczyć w górę, ku zwycięstwu żywotnej siły niespożytej ojczystego zagona.

A faktem jest także, że dawno przed tym głosem rozumu stanu kierujących czynników Państwa, który powyżej czytamy, w czasie inwazyi jeszcze, powstało sformułowanie tego samego, nawet szerzej zakrojonego programu, którego urzeczywistnienie, na

innych obszarach już przedtem zaczęte, wreszcie i w okrojonej przez wroga Galicyi, przychodzi do skutku. Bo nie nowym dla nas program odbudowy: wyszedł on od naszej organizacyi rolniczej, sformułowany w poczuciu solidarności naszej z interesem Państwa, a nawet Europy centralnej, takiem — iż można mu było może zarzucić niedość wymowne naszego własnego interesu zaznaczenie.

Było to „*mane tekel*" pod adresem zwycięskich sfer wojennych Monarchii, ku którym zabrał głos Oddział pokucki Tow. gosp. gal., przedkładając c. i k. Rządowi wspólnemu pod datą 26. I. 1915, memoryał:

Pismo to[1]), udzielone przez c. i k. Ministerstwo spraw zagranicznych, jako prezydyum c. i k. Ministerstwa wspólnego wszystkim c. i k. Ministerstwom, znalazło odpowiedź przedewszystkiem w odezwie c. k. Ministerstwa rolnictwa Dra Zenkera pod datą 14 lutego 1915 r., która, przyjmując wypowiedzianą w niem konieczność maksymalnego zagospodarowania obszarów uprawnych ograniczyła się na apelowaniu „do rolników Austryi" na wielkich, we wszystkich językach Cislitawii porozlepianych afiszach, o najdokładniejsze uprawienie każdego skrawka ziemi, bez podania atoli konkretnych środków, któremi władze państwowe, zwłaszcza zaś wojskowe, w pełni swych prerogatyw prawnych (ustawa o świadczeniach wojennych) i materyalnych (budżet wojenny) — z prywatną inicyatywą w tej pracy współdziałać były zobowiązane.

Doniosłość jednak problemu zniewoliła Prezydyum c. k. Tow. rolniczego wiedeńskiego do zajęcia się nim szczegółowo, o czem wydano następujący komunikat:

[1]) H. W. Zum Sommeranbau im Kriege. Wiener landwirtschaftliche Zeitung 6 lutego 1915.

„Dnia 19 lutego 1915 r., w sali c. k. Tow. rolniczego wiedeńskiego (Schauflergasse Nr. 6) odbyło się pod prezydencyą c. k. Radcy Dworu Dra Daferta I Dyrektora c. k. Stacyi chemiczno-rolniczej, zgromadzenie sekcyi agrarno-politycznej w obecności licznych członków tejże oraz gości, wśród których znajdowali się członkowie Izby Panów J. E. br. Ernest Plener b. minister skarbu i Prezydent austro-węg. oddziału centralno-europejskiego związku gospodarczego, J. E. Karol hr. Lanckoroński c. i k. Najwyższy Podkomorzy, oraz reprezentantów c. k. min. rolnictwa c. k. Radcy Dw. Mikulego i Doc. Wintera, c. k. Sekr. min. handlu L. kr. Haan'a, c. i k. Intendantów Fr. Schmidla i Fr. Steinera i Dr. Heringa jako reprezentantów XII Sekcyi c. i k. Min. wojny oraz c. i k. Sekretarza O. Berecina jako zast. c. i k. ministerstwa robót publicznych itd.

Radca dworu Dafert przedstawiwszy pokrótce wojną spowodowane położenie rolnictwa udzielił głosu Dr. H. Wielowieyskiemu zapreszoszonemu do wygłoszenia referatu p. t. „Zagospodarowanie terenów wojennych jako środek przeciwko dążeniu wygłodzenia państw centralnych"...

Mowca podniósł na wstępie z uznaniem programową, w obu sprzymierzonych państwach podniesioną akcyę racyonalnego i oszczędnego rozdziału środków żywności przy zmonopolizowaniu handlu celem zapewnienia wyżywienia ludności i armii aż do nowego żniwa.

Po odbytej w tej sprawie dyskusyi, w której zabierali głos członek sekcyi ces. radca Boschan, hofr. hr. Romer, hofr. Dafert, prof. Häusler oraz ref. H. Wielowieyski, wybranym został do szczegółowego jej opracowania, subkomitet złożony z hofr. Daferta, prof. Häuslera, hr. Ro-

mera, c. k. radcy skarbu St. Fałata, H. Wielowieyskiego jako referenta oraz dwóch członków centr. komitetu towarzystw rolniczych Galicyi i W. Ks. Krakowskiego.

Przedstawiłem jeszcze w marcu 1915 szczegółowy zarys organizacyi odnośnej, w odpowiednio w 12 paragrafach skodyfikowanym projekcie[1]), zawierającym zarówno plan utworzenia c. i k. centralnego urzędu agrarno-wojskowego (Berichtskriegsagraramt) w rodzaju równocześnie powstałych ministerstw amunicyi w Anglii i Francyi — jak także jasne określenie stosunku tej instytucyi do poszczególnych właścicieli gruntów, oraz udziału tych ostatnich w prowadzeniu odnośnych gospodarstw[2]).

Obejmuje on 12 paragrafów w których kodyfikacyi brał udział c. k. Radca Dworu Dr. Wiktor Korn von Korningen b. Prezydent c. k. Prokuratoryi Skarbu w Czerniowcach i we Lwowie — i brzmi następująco:

„Celem zabezpieczenia wyżywienia ludności i armii podczas obecnej wojny, postanawia się:

1. Na obszarach wojną dotkniętych a leżących bezpośrednio poza frontem bojowym, podejmuje c. i k. zarząd wojskowy na podstawie fakultatywnej umowy dzierżawnej z ich właścicielami na koszt i ryzyko Państwa zagospodarowanie odnośnych gruntów, za umówionym w danej okolicy praktykowanym czynszem.

2. Zagospodarowanie to rozpocznie się wyrównaniem i w ogóle restytucyą dawnego stanu tych gruntów ręką ludzką, z reguły przy pomocy odpowiednio płatnej ludności miejscowej lub jeńców wojennych.

3. Do przeprowadzenia właściwej uprawy tych gruntów będą użyte w pierwszym rzędzie na podstawie ustawy o świadczeniach wojennych za odpow. wynagrodzeniem zarekwirowane narzędzia i maszyny rolnicze (pługi parowe i automobilowe),

---

[1]) H. W. Zur Bewirtschaftung der Kriegsterritorien. Wiener landw. Zeitung 20 marca 1915.

[2]) H. W. Zur Bewirtschaftung des Kriegsschauplatzes. Wiener landw. Zeitung 20 marca 1915.

które już odnośne prace w swoich okręgach wykonały, do obsługi których ewentualnie przydzieleni będą maszyniści i monterzy.

4. Podobnież dostarczone będą na drodze rekwizycyi potrzebne do tego celu zaprzęgi a także i konie wojskowe.

5. Nasiona potrzebne dostarczone zostaną z zapasów państwowych, nawozy sztuczne i materyały opałowe i popędowe będą pobierane na rachunek Państwa w ich miejscach produkcyi i odstawiane podobnież do miejsc ich zużytkowania, gdzie będą utrzymywane w ewidencyi i pod kontrolą użyte.

6. Zarząd tego przedsiębiorstwa państwowego będzie się znajdował w rękach c. i k. Ministerstwa wojny wzgl. c. i k. Najwyższej Komendy armii, które kierować niem będą w przystosowaniu do potrzeb wojennych prawem dysponowania użyciem odnośnych plonów.

7. Jako organ fachowy do prowadzenia i dozoru nad produkcyą rolną odnośnych gruntów działać będzie komisya agrarno-wojskowa przy boku c. i k. Ministerstwa wojny ze współudziałem fachowców stanu cywilnego. Przy każdej komendzie korpuśnej istnieć będą prócz tego filialne urzędy, podobnie jak i przy c. i k. komendach etapowych także ze współudziałem rolników stanu cywilnego danego okręgu.

8. Te komisye okręgowe będą złożone z c. i k. komendanta etapowego wzgl. tegoż zastępcy oraz dwóch z pomiędzy okolicznych rolników zamianowanych ławników. Będą one prowadziły dozór nad pracami wykonywanemi w danym okręgu przez miejscowych kierowników. Będą składały sprawozdanie na ręce c. i k. komisyi centralnej, oraz przedstawiać będą wnioski i postulaty odnośnych poszczególnych gospodarstw.

9. Miejscowy zarząd gospodarski będzie z zasady oddanym w ręce odnośnego właściciela gruntu lub jego zastępcy. Zarządca taki podlegać będzie kontroli c. i k. etapowej komisyi okręgowej — będzie pobierał potrzebne na administracyę kwoty, prowadził wypłaty jakoteż odnośną buchalteryę i raporty składał.

10. Transporty odnoszące się do tego przedsiębiorstwa —

korzystać będą — w ramach konieczności wojennych — z wszystkich przywilejów i gwarancyj jakie przysługują transportom ściśle wojskowym na wszystkich kolejach Cis- i Translitawii oraz linij funkcyonujących na okupacyjnych terytoryach poza granicami Monarchii. Wszystkie korespondencye i posyłki pocztowe i telegraficzne będą traktowane na równi z wojskowemi i będą wolne od opłat.

11. Kwoty przypadające na podstawie odnośnych umów dzierżawnych nie będą podlegały zajęciu sądowemu i będą finansowane przez c. k. pocztową kasę oszczędności wzgl. kasy dzaliczkowe i banki wojenne.

12. Klauzula wykonawcza.

Projekt ten, regulujący jednolicie zarząd całego tego państwowego przedsiębiorstwa, a w szczególności stosunek tegoż do poszczególnych właścicieli ziemskich, przedłożony zarówno komitetowi wspólnemu Towarzystw rolniczych Galicyi i W. Ks. Krakowskiego, a także Kołu poselskiemu we Wiedniu, oraz Naczelnemu Komitetowi Narodowemu do zaopiniowania, czy nie zawiera przypadkiem jakiego, dla Kraju i Narodu naszego niepożądanego szczegółu; spoczął tymczasem w archiwach odnośnych c. i k. Ministeryów, zwłaszcza, gdy ich autor i referent, zaskoczony powtórną inwazyą i powtórnie obrabowany ze wszystkich środków prowadzenia swojego własnego gospodarstwa, uparł się przy jego odbudowie i przez szereg miesięcy sfinalizowaniem ogólnej akcyi zajmować się nie mógł.

Natomiast rozwinął Oddział pokucki c. k. Tow. gosp. gal. to zadanie na swoim własnym terenie i w szeregu zgromadzeń (od marca 1915 do marca 1916 odbyło się ich sześć), sformułował za wczasu, t. j. w kwietniu 1915 wszystkie szczegółowe potrzeby tamtejszego zagospodarowania terenów wojną dotkniętych w ramach swego stosunku do c. k. władz cywilnych i c. i k. władz wojskowych [1]), a uwagi odnośne przedstawił c. i k. Ministerstwu wspólnemu.

---

[1]) H. W. Die Bewirtschaftung der Kriegsgebiete. Oesterreichische Agrarzeitung. Wiedeń 29 stycznia 1916.

Że ten memoryał wysłany w grudniu 1915 r. do c. i k. wspólnego Ministerstwa nie pozostał bez echa — dowodem cała tak wspaniała działalność c. i k. komendy II armii, której, w Osobie J. E. gen. kaw. Böhm-Ermollego Oddział pokucki na Zgromadzeniu d. 25 marca b. r. gorące wyraził uznanie.

Ze względu na powyższe cytaty uważać musimy także i najnowszy projekt stworzenia Zakładu odbudowy Galicyi za skutek owych zabiegow, któremu — prócz słów powitalnych, poświęcić należy parę, z praktyką życia związanych uwag.

Że nie wyklucza on roli c. i k. Ministerstwa wspólnego — w tym wypadku i Komendy II Armii — jest oczywistem. Ta wspólna władza Monarchii wraz z Najwyższą Komendą Armii zachowują swe prawa i obowiązki na całym obszarze ziemi wojną dotkniętych. Że na terenie Galicyi gotowe są oddać znaczną część pracy gospodarczej organizacyi cywilnej (a właściwie cywilno-wojskowej), wynika już z założenia projektu Oddziału pokuckiego, kładącego nacisk na współdziałanie władzy wojskowej z czynnikami cywilnemi, które, wspomagając ją swoją fachowością, wyręczałyby jej militarnych często funkcyonaryuszy w sprawach, ze strategią w dalszym tylko stojącym związku.

Z doświadczeń jednak r. 1915 i tych okręgow, gdzie rozdział ten był kompletnym, z tem jednak, iż władza cywilna i cywilne czynniki gospodarcze, poddane *via facti* pod komendę c. i k. władzy wojskowej, nie partycypowały w pełnej mierze w przysługujących jej środkach, co w znacznym stopniu objawić się w skargach o brak środków do popierania rolnictwa i t. p., wynikają zasadnicze postulaty.

Jest nim przedewszystkiem rownorzędność Zakładu odbudowy kraju na tym punkcie z c. i k. Armią, oczywiście w ramach konieczności wojennych, które przecież zawsze stać muszą

na pierwszem miejscu, zatem pełnia środków prawnych i materyalnych,

Że sam fakt powstania odnośnego projektu zapewnia już spełnienie warunków ze strony czynników miarodajnych Monarchii, nie można chyba powątpiewać, gdyżby się im przezto czyniło krzywdzący zarzut zapoznawania najżywotniejszych potrzeb; czy jednak ten postulat maksymalności produkcyi należycie spełnionym będzie przez dostarczenie mu odnośnych środków, zależnem będzie zarówno od samejże organizacyi, jak od innych państwowych czynników, którym *Salus Rei publicae* ma leżeć na sercu. Że organizacya ma być wszechstronną i obejmować wszystkie potrzeby odbudowy kraju, wyrażono to już w powyżej zacytowanym komunikacie. Oby był tylko wykonanym i należycie wyposażonym zarówno w środki materyalne jak współdziałanie kraju i społeczeństwa!

Jakim jest główny pień powstającej instytucyi — osądzić można z jakości czynników, które już dotąd — w cichości biur c. k. Namiestnictwa czy Wydziału Krajowego w Białej — spełniły ogrom pracy na tem właśnie polu, walcząc ciągle z kontrowersyami kompetencyi, a przedewszystkiem szczupłością odnośnych materyalnych środków.

Że zetknięcie ich ze sferami bezpośrednio interesowanemi, których współdziałanie dla osiągnięcia owego maksymalnego rezultatu konieczne, widzimy to na każdym kroku, odczuwając zarazem ciężar trudności, z położenia już choćby geograficznego, wynikłych z trudności komunikacyjnych, przeciągających każdą szczegółową akcyą w szkodliwy często sposób[1]). Wynika stąd konieczny postulat doprowadzenia do skutku zarówno terytoryalnego zbliżenia siedziby tej instytucyi z krajem, jak wciągnięcia do współudziału odpowiednich zastępców sfer obywatelskich do poszczególnych tejże departamentów, na czem tylko zyska żywotność, skuteczność i działanie tej — dawno oczekiwanej — organizacyi.

H. Wielowieyski.

Zadanie względem przyszłego pokolenia w dobie obecnej.

(Dokończenie).

Jednem słowem, Rada Opiekuńcza krajowa wraz z Radami lokalnymi ujęłaby w całym kraju i całym narodzie całą akcyę ratunku i wychowania młodzieży obojga płci. Rozumie się, jeszcze raz zaznaczyć należy, przy współudziale państwa, kraju, gminy, duchowieństwą, instytucyi prywatnych i publicznych, organizacyi stowarzyszeń miejscowych, humanitarnej działalności tak publicznej jak prywatnej. Oczywiście, że Rada Opiekuńcza krajowa czy miejscowa nie mogłaby krępować inicyatywy i działalności dobrej woli, wytrawnego rozumu, i rzeczywistego poświęcenia poszczególnych jednostek społecznych, a jeszcze więcej nie mogłaby naruszać autonomii poszczególnych instytucyi zakładów, stowarzyszeń, związków, towarzystw i t. d. Dalej należy tu zwrócić uwagę, że nie chodzi nam o nazwę, ale o rzecz. Można już istniejące projekty wziąć za podstawę takiej krajowej instytucyi, czy też w inny sposób ją rozwiązać. Mniejsza o nazwę, byle ją tylko rozwiązać tak, by planowa akcya była zagwarantowana i miała w sobie wszystkie pierwiastki trwałego życia, ciągłego rozwoju i rzetelnego spełnienia danego zadania.

W ten sposób ujęte Rady Opiekuńcze, czy inaczej, jeśli chcemy, nazwane, stałyby się tak w całym kraju i narodzie jak w poszczególnych miejscowościach, r o d z a j e m a r e o p a g ó w czyli najwyższych instancyi, potężnych j e d n o l i t y c h m o t o-

rów całej planowej akcyi ratunku i wychowania młodzieży obojga płci dla całego kraju i narodu.

Krajowa opiekuńcza rada wraz z lokalnymi musiałaby oprzeć się o odpowiednie fundusze. W kwestyi funduszów trzebaby wciągnąć:

1). Państwo, kraj, gminy, udziały, subwencye, wkładki osób prywatnych.

2). Nadto zabezpieczyć każdej fundacyi i instytucyi podstawy trwałe, finansowe, i organiczne. Na przykładzie objaśnijmy. N. p. Rada Opiekuńcza Krakowska mogłaby zamienić się na Radę Opiekuńczą krajową i równocześnie być Radą Opiekuńczą dla Krakowa, lub co jeszcze lepiej by było, Rada Opiekuńcza krajowa osobna, a Rada Opiekuńcza dla samego Krakowa osobno. Otóż n. p. Rada Opiekuńcza dla Krakowa nie tylko jako towarzystwo i organizacya powinna być pojęta, ale tak organicznie i finansowo musi być postawiona, by miała wszelkie pierwiastki w sobie życia, trwania i rozwoju. A więc absolutnie musi dążyć do własnego domu, w którym nietylko by miała, w nim biura wszystkich gałęzi swego zadania, ale także w tym gmachu powinna się mieścić wzorowo prowadzona instytucya, jedna z tych 8-miu kategoryi młodzieży wyżej wspomnianych. Nadto tak powinna finansowo i organicznie być utrwalona, by nie była zależną od jednostek lub krachów finansowych, ale żyła, trwała i rozwijała się własnym zasobem sił żywotnych.

Pomyśli niejeden, na to przecież potrzeba milionów, skąd ich wziąć w naszem społeczeństwie. Mieć tak ze 100,000.000, toby to wszystko można przeprowadzić.

Prawda, że bez odpowiednich funduszów nie wiele zdziałamy. Ale jest na to odpowiedź i rada. A najpierw choćbyśmy mieli sto milionów bez planowej akcyi, ostatecznie nic albo nie wiele zrobimy, bo z biegiem czasu te miliony się rozejdą i gdzieś zapodzieją, jak to już nieraz mieliśmy tego dowody. Z planową zaś akcyą rozpocznijmy z tysiącem koron, a milionowe instytucye i zakłady potworzymy. Tak było i gdzieindziej. Z początku, jak niżej przykłady i wzory stwierdzą,

nie mieli wiele pieniędzy, zasobów finansowych i pomocy w ludziach, a jednak przy planowej i wytrwałej i umiejętnej akcyi doszli do olbrzymich rezultatów.

A zresztą niezgodnem jest z prawdą, żeby nasze społeczeństwo nie potrafiło zbierać milionów. Dzieje nasze stwierdzają, że potrafi. A obecne czasy jeszcze dobitniej fakt ten dokumentują.

Zaprowadźmy nad to *już raz wreszcie planową akcyę w naszej humanitarnej pracy społecznej*, a przekonamy się, jakie miliony będą w rękach naszych do dyspozycyi. Do ostatnich czasów z powodu bezplanowej akcyi, ile set tysięcy rok rocznie idzie nie tylko na marne, ale wprost bezplanowa akcya, zwłaszcza w tych tak zwanych „zapomogach“ każdy na swoją rękę, każda instytucya, czy towarzystwo, czy prywatne osoby w swym ciasnem i ograniczonem kółku, w wielu wypadkach wprost niedźwiedzią przysługę wyświadczają społeczeństwu. Bezplanową tą akcyą nieraz przy pomocy rozdanych wielkich sum pieniężnych wychowujemy sobie w społeczeństwie całe legiony próżniaków, włóczęgów, pijaków; natworzyliśmy dziadostwa i żebraniny i bez końca pasożytów tak, że wobec tej plagi wprost bezradni jesteśmy.

W samym Krakowie, słynnym z miłosierdzia, gdybyśmy od 50-ciu lat zebrali te zmarnowane fundusze, urosłyby nie setki tysięcy, ale miliony, za które *możnaby było kilka domów w samym Krakowie milionowej fundacyi utworzyć dla ochrony i wychowania dzieci i młodzieży, któreby radykalnie i podstawowo zaradzały żebractwu i nędzy*. A ten sam błąd bezplanowej akcyi na polu humanitarnem jest u nas z nielicznymi wyjątkami dotychczas niemal w całym kraju. A więc wszystkie te źródła i źródełka finansowe gdzieś ginące w podziemiach społecznych, uchwyćmy i ujmijmy w jedną wielką cysternę a przekonamy się, ile ona wyda materyału potężnych zasobów finansowych.

Nadto państwo, kraj, gminy i inne czynniki zasobne w pieniądze i majątki w chwili, kiedy się przekonają, że pieniądze i ofiary z powodu śmierci czy zmiany inicyatora lub

inicyatorki, czy z innych powodów, nie idą na marne i nie rozpraszają się po kilku, czy kilkunastu latach, nieraz nawet pożytecznej pracy; a kiedy nabiorą pewności i wiary w trwałość i pożyteczność dla narodu danych instytucyi, zakładów i poszczególnych działów pracy, pójdą intenzywniej w ślady za innymi zagranicznemi społeczeństwami i hojną dłonią z kapitałów i majątków zasilać będą na wszystkich polach planową akcyę, celem ratunku i wychowania dzieci i młodzieży.

Dalej starajmy się na silnych i trwałych podstawach finansowych budować te instytucye, zakłady i wszelkie działy pracy społecznej w ten sposób, by każda z nich miała pewne, stałe, zabezpieczone, same ze siebie wytwórcze źródła finansowe, by nie potrzeba zawsze przez cały czas istnienia wyciągać ręki i uprawiać wciąż dla tej samej instytucyi czy pracy nużącej żebraniny.

To zabezpieczenie trwałych dochodów finansowych nie tylko postawi silne fundamenta finansowe samym tym dziełom, ale nadto pozwoli społeczeństwu tworzyć nowe inne instytucye, zakłady i ogniska pracy humanitarnej.

Jasna rzecz, że państwo, kraj, gminy i t. p. z podatków i dochodów powinny bezwzględnie z wydatniejszą, niż dotychczas, subwencyą rokrocznie przychodzić z pomocą.

A więc nie bójmy się o pieniądze. Skąd je wziąć? Będą, znajdą się, i wciąż płynąć będą, tylko zaprowadźmy raz wreszcie na wszystkich polach planową akcyę.

Jak bardzo u nas w Polsce potrzeba tej planowej akcyi w sprawie ratunku i wychowania młodzieży, to dowodem tego, jak ta niepoprawna bezcelowość naszą akcyę czyni wadliwą, wciąż rwącą się i wydającą ze siebie mierne, a często w zaroku poronione owoce. Dowodem tego *pomimo długoletniej i wielolicznej działalności*, te masy sierot, bez odpowiedniej troski, te tłumy ubogich dzieci, bez domu, dachu i umiejętnego wychowania, te zastraszające masy młodzieży, zaniedbanej, zepsutej, częściowo lub całkowicie zwyrodniałej, zagrażającej wprost moralności, spokojowi, dobru, powadze, godności, honorowi całego polskiego społeczeństwa.

A cóż mówić — wprost jakby dziewiczy las, to dzieci i młodzież fizycznie i umysłowo upośledzone. Dziś, podczas wojny pokazało się, jak wielką stratą jest zaniedbanie tej kategoryi młodzieży. W innych społeczeństwach wychowani dobrze, celowo i umiejętnie, ślepi, głusi, kulawi, garbaci i t. d. obecnie z powodu braku zdrowych rąk, nieocenioną usługę wyświadczają w rzemiosłach, przemyśle i innych pracach produktywnych. U nas zaś tylko są ciężarem te długie szeregi kalek, zamiast nam być pomocą. A bo·też u nas nikt nimi się nie zajął. Rośli jak skarłowaciałe drzewa, zaniedbani, pomiatani, opuszczeni, wzgardzeni. A przecież umiejętną pracą można i z kalek i z matołków wiele wydobyć·produktywności i pożyteczności tak dla nich samych jak i dla całego społeczeństwa.

To samo można powiedzieć o ubogich. Dziadostwo, włóczęgostwo, próżniactwo, żebranina, ma w tem samem, to jest w akcyi bezplanowej także swe źródło. Z powodu także bezplanowej akcyi wiele pożytecznych instytucyi i dzieł społecznych i humanitarnych, na polu wychowania młodzieży (n. p. dzieło i myśl znakomitego filantropa Dr. Jordana) prowadzonych nieraz przez długie lata z wielkiem nakładem pieniędzy, sił ludzkich, poświęcenia, upadło, lub powoli ząb czasu rozsypuje w gruzy.[1])

Stąd dotychczasowe badania i praktyczne doświadczenia, we wszystkich cywilizowanych państwach wykazały, że wszelka rozsądna organizacya ochrony i wychowania dzieci i młodzieży, musi się bezwzględnie oprzeć o planową organizacyę. Wprawdzie w dobrze uporządkowanych społeczeństwach innych narodowości, wiele działają same państwa i środki z funduszów podatkowych płynące, ale na tem nie kończą. Społeczeństwa te same starają się w drodze prywatnych ofiar i publicznych subskrypcyi, subwencyi, zapisów i t. p., zbierać odpowiednie fundusze i starają się rządzić samodzielnie, a do celu sobie

[1]) Jakie są inne błędy w społeczeństwie w sprawie systematycznego wychowania, dokładniej można się przekonać z broszur „*W sprawie pracy w rozstrzygającym okresie*“ i tegoż samego autora „*Fatalny błąd w wychowaniu*“.

wytkniętego, wytrwale, umiejętnie i konsekwentnie dążyć. Ofiary zaś owych społeczeństw na cele ratunku i wychowania osieroconej, biednej, zaniedbanej, przestępnej, upośledzonej, a także na wychowanie produktywne wszystkich stanów młodzieży, płyną ochotnie i planowo, corocznie w krociach tysięcy, bo każdy ofiarodawca miłujący swój naród i kraj, jest przekonany, że one opłacą się sowicie. Praktyczny i doświadczony i wysoko kulturalny zmysł, niektórych tych społeczeństw, pojmuje dobrze, że w ten sposób ratując i wychowując młodzież, zwłaszcza szerokich mas ludowych i robotniczych, działa na pożytek ogółu społeczeństwa. Bo ratując i wychowując planowo i systematycznie młodzież, z jednej strony podnosi się zdrowie, moralność, tężyznę umysłową, chęć do pracy, zdolność do zarobkowania, produktywność wytwórczą rąk ludzkich; z drugiej strony obniża się znacznie, w miarę planowej i wytrwałej akcyi, zastępy osobników złych, zepsutych, rozleniwionych, zbrodniczych, niebezpiecznych i wrogich dla porządku publicznego i bezpieczeństwa życia i mienia. Umniejszają się zbrodnie, przestępstwa, włóczęgostwo, pijaństwo, rozpusta, żebranina i nędza.

Jest to więc akcya nad akcyami. Nie ma po wszystkie czasy, a zwłaszcza w obecnej dobie, a przedewszystkiem dla polskiego społeczeństwa nic ważniejszego nad planową akcyę, ratunku i wychowania młodzieży. Jakto społeczeństwa niektóre rozumieją planową akcyę, na to przytoczę kilka przykładów.

1. W Katolickich Niemczech przed 60 laty młody kapłan Kolping, widząc tysiące zaniedbanej młodzieży rzemieślniczej, będąc sam za młodu rzemieślnikiem, odczuwając jej straszne zaniedbanie i bezdenne poniżenie moralne, poświęca się jej całkowicie. Stwarza planową organizacyę, stawia pierwszy przytułek i dom dla tejże młodzieży w Kolonii. Dziś, z biegiem czasu, akcya ta planowa stworzyła arcydzieło organizacyi. Posiada w Niemczech katolickich przeszło 1000 stowarzyszeń młodzieży rękodzielniczej, przeszło 100.000 członków aktualnych, przeszło 800 domów własnych i wynajętych. Akcya

ta planowa uratowała w Niemczech rękodzieło, a mieszczaństwo niemieckie uczyniła zasobne i wysoce kulturalne.

2. Jak z małych początków przy pomocy planowej akcyi dochodzi się do potężnych rezultatów o tem świadczy wiele kolosalnych instytucyi i dzieł angielskich. Przytoczę wśród wielu dwa wzory.

Pierwsze to „towarzystwo dla ratunku opuszczonej i bezdomnej dziatwy". Twórcą i założycielem tego dzieła jest Dr. Barnardo, głośny także po za granicami Anglii.

Barnardo jeszcze jako młody student medycyny w Londynie brał udział w t. zw. szkołach wieczornych dla ubogich dzieci, gdzie miał sposobność przyjrzeć się z bliska najskrajniejszej nędzy dzieci, pochodzących z najuboższych dzielnic Londynu. Wtedy w myślach i w duszy jego zrodziło się postanowienie poświęcenia całego swego życia i majątku dla ratowania tej nieszczęśliwej dziatwy, a w szczególności dzieci zupełnie opuszczonych i bezdomnych, wałęsających się po ulicach.

Pierwszę przytulisko, na 25 dzieci przez Barnarda założone, nosiło napis: „Żadnemu dziecięciu, tułającemu się bez przytułku, nie powinno się odmówić przyjęcia".

Ze skromnych początków, przy pomocy planowej akcyi powstało wielkie dzieło. Towarzystwo ochrony dzieci i młodzieży wzrosło wszechpotężnie. Stwierdza to 4-milionowy roczny obrót i obecnie liczy setki zakładów i urządzeń dobroczynnych dla biednych dzieci i młodzieży różnego wieku przeznaczonych. A więc Towarzystwo roztacza opiekę nad dziećmi nieślubnemi, utrzymuje żłóbki dla niemowląt, zakłady dla kalek, szkoły rolnicze, urządzenia dla wychowania rodzinnego, stręczenia pracy, pośrednictwa w wychodźtwie. W wiejskiej zaś posiadłości dla dziewcząt, należącej do Towarzystwa, istnieją liczne domki, po których osadzone są matki z 15—20 dziewczątkami na utrzymaniu i wychowaniu. Towarzystwo opiekuje się także dojrzałą młodzieżą w wieku 17—20, osadzając ją w kolonii rolniczej, a pilnym i pracowitym dopomaga Towarzystwo w zakładaniu samoistnych gospodarstw. Zajmuje

się Towarzystwo emigracyą młodych do rozmaitych kolonii angielskich.

O znaczeniu i pożyteczności dzieła tego świadczy przedewszystkiem ta okoliczność, że na dziesiątki tysięcy dzieci i młodzieży, wyrwanych dotąd z czeluści skrajnego zaniedbania i nędzy, tylko w 1·7% wypadkach starania o poprawę i zabezpieczenie ich losu i stanowiska społecznego nie odniosły skutku, i dotyczące osobniki, wpadłszy raz w przepaść rozpusty i zbrodni, zostały raz na zawsze dla społeczeństwa bezpowrotnie stracone.

3. Inne dzieło, tak zwane: Misye przytułkowe i misye dla kalek, Shaftesbury'ego. Powyższe Towarzystwo światowej sławy, a w samej Anglii pierwszorzędnego, społecznego i kulturalnego znaczenia, zostało założone w roku 1844 pod patronatem Królowej Wiktoryi przez słynnego filantropa i opiekuna dzieci, lorda Shaftesbury'ego.

Pierwszem zadaniem towarzystwa było wychowanie najuboższych dzieci, w szkołach codziennych i niedzielnych; odkąd zaś państwo przyjęło na swe barki wykształcenie szkolne dzieci biednych, Towarzystwo wytknęło sobie za cel swej działalności *„ogólną poprawę położenia biednych dzieci“* i zorganizowało t. zw. *misye przytułkowe*, rozmieszczone w 138 budynkach do Towarzystwa należących. Jak to arcypożyteczne dzieło przy pomocy planowej akcyi się rozwinęło, to niech poświadczą daty statystyczne jego działalności.

Obrót roczny w roku 1907/8 — wynosił w dochodach 905·376 Kor. — w rozchodach 898·968 Kor. Misye te przytułkowe zadziwiają wprost różnorodnością działów pracy. I tak Towarzystwo to kieruje 206 szkołami niedzielnemi z frekwencyą 44·502 osób, w połączeniu z 219 t. zw. klasami biblijnemi z frekwencyą 5·334 uczniów. Na specyalne wykłady religijne w rozmaitych miejscach uczęszcza 17·885 osób. Prowadzą osobne szkoły rękodzielnicze, do których uczęszcza 3·029 uczni. Instytutów i klas mają 133 z liczbą członków 4·721.
Towarzystwo posiada 45 bibliotek szkolnych z 11·710 tomami

książek. Bank groszowy z 42 filiami i depozytami 156·312 K. W 28 szkołach istnieją „kluby odzieży i obuwia“ z rocznym kapitałem obrotowym 28 296 Kor., nadto 44 „Kluby gęsi“ mające na celu zbieranie oszczędności na zakupno gęsi na Boże Narodzenie. Nadto towarzystwo założyło w Londynie i po całym kraju niezliczoną ilość tanich kuchni. Towarzystwo zorganizowało 4 brygady chłopców do czyszczenia obuwia. Jedna z tych brygad złożona z 50 chłopców zarobiła w 1907 roku 7·200 Kor. Druga, złożona z 155 członków, zarobiła 41·580 K. Ale może najwięcej i najciekawsze rezultaty działalności tego arcypożytecznego Towarzystwa to są tak zwane „misye kalek“. Towarzystwo utrzymuje osobny dom dla kalek. Nadto poza tem czuwa prywatnie nad przeszło 7.000 dziećmi ułomnymi. Najbiedniejsze dzielnice Londynu i okolicy podzielono na dywizye, wybrano z grona obywateli około 1000 delegatów, z których każdy opiekuje się 6—7 dziećmi ułomnemi. Delegaci donoszą o swych spostrzeżeniach głównemu kierownikowi dywizyi, a ten składa raport do zarządu głównego.

Staraniem Zarządu jest zjednywanie przyjaciół tym nieszczęśliwym istotom i pogodzenie ich ze smutnym swym losem. Dla urozmaicenia ich jednostajnego życia, i podniesienia na duchu biednych kalek, skupiono je razem i podzielono na „klasy“.

Utworzono dla celów opieki nad ułomnymi dziećmi t. zw. „Pomoc chirurgiczną“. Instytucya ta ma za zadanie dostarczyć dzieciom ułomnym potrzebnego mechanizmu, któryby im jakieś zajęcie i stanowisko umożliwił.

Najtrudniejszą było rzeczą wynaleźć później, kiedy dziecko dorosło, zajęcie. Towarzystwo i to pokonało. Stworzyło własny warsztat szewski dla chłopców kalek, i własną szkołę krawiecką dla dziewcząt kalek. Ale przedewszystkiem największą część upośledzonych fizycznie dzieci Towarzystwo musi wychowywać i przygotowywać do życia zabiegami osobistemi, przy uwzględnieniu wszystkich lokalnych warunków. Celem osiągnięcia, ile możności, tej samej wydatności pracy u zdro-

wych i kalek, w czasie nauki chłopcy lub dziewczęta, normalnie rozwinięte, pracują razem z kalekami.[1])

Towarzystwo założyło także wiele kolonii letnich i sanatoryów w rozmaitych nadmorskich kuracyjnych miejscowościach dla młodych kalek.

Celem zaś umieszczania dzieci poza własnemi schroniskami, zostaje Towarzystwo w stosunkach z innymi instytucyami jak n. p. ze szpitalami dla kalek, ze szpitalami dla skrofulicznych, z instytucyami dla dzieci nieuleczalnych od urodzenia, z domem rękodzielniczym dla kalek i t. p. Na szczególną wzmiankę zasługuje tak zwane „Zacisze dla kalek", gdzie dzieci nieuleczalnie chore, w miłem otoczeniu, ostatnie chwile swego życia przed śmiercią spędzają. Towarzystwo ma też dla misyi kalek osobny dział damski, gdzie panie zbierają się dla wyposażenia dzieci we wszelkiego rodzaju bieliznę, ubranie i obuwie.

Wobec tych znanych i dowiedzionych faktów i wzorów, wobec tego cośmy wyżej dotychczas powiedzieli, tem gwałtowniej, dobitniej i wymowniej przemawia do sumienia publicznego i do organów powołanych celem czuwania nad dobrem powszechnem, oraz przyszłością kraju i narodu, głos duszy polskiej i głos Matki naszej Ojczyzny, domagającej się powszechnej planowej akcyi, zorganizowanej ochrony i wychowania dzieci i młodzieży, jako podstawowego warunku normalnego, bezpiecznego, trwałego rozwoju społeczeństwa na wszystkich polach, socyalnego i narodowego współżycia i to zgodnie z słusznemi wymaganiami i potrzebami obecnych i przyszłych czasów.

Od dziecka i nieletniego młodzieńca społeczeństwo pracy

---

[1]) Jak anormalne są u nas stosunki w kraju, na to przytoczę zamiast wielu innych, trzy z ostatnich tylko dni przykłady. Jednego kulawego chłopca i zdolnego i nadzwyczaj uczciwego, chcieliśmy umieścić u krawca lub szewca. Kilkanaście firm obeszliśmy, i kilka tygodni starań nas to kosztowało; ostatecznie musiał powrócić do rodziny, by dalej być sobie i drugim ciężarem. A drugiego ślepego na jedno oko w żaden sposób nie było można nigdzie umieścić. To samo z całkowicie ślepym, dla którego w szczotkarstwie przez kilka miesięcy szukaliśmy miejsca w Krakowie i Lwowie.

produktywnej, dającej podstawę samoistnego bytu, domagać się nie może. Oni przez cały okres swego niemowlęctwa, dzieciństwa i młodości, muszą być chronieni i wychowywani. Obowiązkiem zatem rodziców w pierwszym rzędzie, a zaś innych organów społecznych w drugim rzędzie, jest dołożyć wszelkich możliwych starań, zabiegów i wkładów pracy, pieniędzy, poświęcenia, aby dzieci i młodzież nietylko ratować od zmarnienia, ale przedewszystkiem dzieci i młodzież, przez wszystkie etapy młodości, przygotować do życia i dać im zawarty w nich samych sposób do życia.

Społeczeństwo, które myśli tylko o wychowaniu i przysposobieniu do życia zdrowego potomstwa, będącego w dostatnich i szczęśliwych warunkach życiowych, nawet gdyby ono stanowiło bardzo znaczny i największy procent całej ludności, popełnia zasadniczy błąd i dopuszcza się przestępstwa ze stanowiska religijnego, społecznego i ekonomicznego; wina i błąd, który się mścić musi na życiu ogółu, tak obecnej doby, jak na całym szeregu przyszłych pokoleń, oraz na trwałości ciągłości, świetności, potędze ustroju i bytu narodowego tego społeczeństwa.

Ubóstwo, upośledzenie umysłowe, fizyczne i moralne dzieci i młodzieży jest naturalną przeszkodą w przygotowaniu się ich do normalnego życia i produktywnej pracy, jako obywateli w społeczeństwie, którą to przeszkodę społeczeństwo za wszelką cenę ma obowiązek usunąć.

Stąd jest bowiem rzeczą powszechnie znaną i wszechstronnie dowiedzioną, że w tych okolicach, gdzie wysiłki organów publicznych, a zwłaszcza osób prywatnych zmierzają stale i celowo do poprawienia stosunków opieki i wychowania ubogiej, zaniedbanej, upośledzonej młodzieży, polepsza się i podnosi ogólny poziom umoralnienia i dobrobytu ludności, znika skłonność mieszkańców do popełniania czynów karygodnych, rodzi się zamiłowanie do pracy i poszanowanie cudzej własności, wyrabia się i utrwala poczucie narodowe, rośnie zainteresowanie i chęć ludności do pracy społecznej, zaś ko-

sztа na zaopatrzenie ubogich, i koszta, spowodowane żebractwem i nędzą, maleją.

Jak gwałtownie potrzeba nam planowej akcyi, któraby podjęła pracę systematyczną na wszystkich polach, zadośćuczyniła obecnym i przyszłym w tej kwestyi potrzebom, to na zakończenie niech jeszcze oświetli przedśmiertne wyznanie polskiego młodzieńca, krakowskiego dziecka. Nazywa się Karol Opil, który dnia 14 lutego 1916 roku został rozstrzelany w Nowym Sączu.

Wobec licznych słuchaczy zrobił wyznanie, pełne głębokich myśli społecznych, a którego treść warto, by sobie nasze społeczeństwo na długie lata skutecznie zapamiętało. „Byłem synem przekupki (tak się spowiadał społeczeństwu polskiemu) z Małego Rynku w Krakowie. Za włóczęgostwo w 8 roku życia po raz pierwszy byłem aresztowany, i tam nauczyłem się kraść i jak policyę i agentów w pole wyprowadzać. Potem kilka razy chwytany, siedziałem w areszcie. Czemu się mną podówczas nikt nie zajął, tylko jak dzikie zwierzę mnie traktowali. Zamiast oddawać mnie policyantom, to raczej było się mną zająć, pouczyć, serca mi trochę pokazać. Nie chodziło mi o to, by mi jałmużnę, pieniądze dawali, bo człowiek za młodu nie umie użyć pieniędzy, a mając je, raczej na złe, niż na dobre rzeczy ich użyje. Należało mi dać opiekę i wychowanie. Nie dali. Nikt się o mnie nie troszczył, to też co raz bardziej staczałem się w przepaść rozpusty.

Ach! te kina, kina, ile mi one złego wyrządziły, a najstraszniejsze to te ladacznice, które już zaczepiają młodych chłopców. Mając lat 12 już byłem zaczepiony przez nie. A w 16 roku zawiązałem dzikie małżeństwo. Na początku wojny wzięli mnie do wojska. Kilkakrotnie dezertowałem, chciałem się przekonać co wspólniczka mych grzechów, w czasie mej nieobecności, robi. Zastałem ją już z kim innym. Żandarmi mnie chwycili i osadzony zostałem na Montelupich. Ach! te kobiety, kobiety, największe to nieszczęście w mem życiu one sprowadziły, i one sprowadzają je także na wszystką młodzież polską.

A potem błagał o kapłana i spowiedź, wołając niemal

rozpaczliwie: „Przyprowadźcie mi księdza, bo człowiek nietylko ma piekło na ziemi, ale jeszcze gotów mieć piekło po śmierci.“

Na końcu pięknym i dziwnie rzewnym głosem zaczął śpiewać pieśń do Matki Boskiej:

„Której berła, ląd i morze słucha
Jedyna moja po Bogu otucha!
O Gwiazdo morska, o Święta Dziewico!
Nadziei mojej niebieska kotwico“.

Dnia 13 lutego b. r. został skazany na śmierć i wywieziony do Nowego Sącza, i tam został rozstrzelany wobec wszystkich uzupełniających kompanii 13 pułku. Przed samem rozstrzelaniem zapłakał, a potem zwrócił się do otaczającego 13 pułku, a zwłaszcza do swych krakowskich kolegów i drżącym głosem zawołał: „Obyście nigdy nie szli tą drogą, którą ja szedłem, i nigdy nie znali śladów dróg moich“. Ukląkł, ręce złożył. Za chwilę pod słupem kary padła ofiara zaniedbania wychowania społecznego.

Z całego wyznania, głęboko socyalnego, które wypowiedział w więzieniu wojskowem w Krakowie, a potem na polach sądeckich, znać było, że to młodzian zdolny, utalentowany, a jego pieśń do Matki Boskiej i śmierć, pełna pobożności i rezygnacyi chrześcijańskiej, i szczerego nawrócenia, stwierdziła, że na dnie zwyrodnienia i zboczenia znajdowało się serce dobre. Zginął marnie dlatego tylko, że nie miał nikogo, coby go chronił przed złem, a wychował na pożytecznego obywatela.

Całe więc to rozważanie, „jakie jest najważniejsze zadanie społeczeństwa dla przyszłego pokolenia w dobie obecnej“, niech prawdę w całej pełni stwierdzi, że planowa akcya, zwłaszcza w potrójnym kierunku ratunku i wychowania młodzieży w obecnej dobie, wybija się po nad wszystko.

Planowa akcya organizacyjna stworzy wystarczającą liczbę zakładów, instytucyi, i prac dla wszystkich 8 kategoryi dzieci i młodzieży, podczas gdy ich liczba obecna, w stosunku do

obszaru ziem polskich i ludności, jest wprost znikomą i bezwzględnie niewystarczającą.

Planowa akcya da potrzebne miliony, których obecnie mamy za mało, by stworzyć nowe instytucye i zakłady, a istniejącym zapewnić byt, by nie potrzebowały wciąż walczyć z niedostatkiem.

Planowa akcya wychowa i da społeczeństwu odpowiednią i wystarczającą liczbę apostołów, przyjaciół, obywateli i obywatelek, pełnych zrozumienia i poświęcenia i ofiary na polu ratunku i wychowania młodzieży, a których liczba dziś bezsprzecznie za mała, za nikła, za nieudolna.

Planowa akcya organizacyjna jednem słowem, wprawdzie powoli, krok za krokiem, ale fundamentalnie, wszechstronnie i umiejętnie, rozwiąże kwestyę ratunku i wychowania młodzieży.

A ktoby sądził jeszcze, że można dalej iść bezplanową drogą, że bezplanową akcyą, jakoś to będzie, rozwiążemy tę najważniejszą sprawę, tego rezultatem będzie złudzenie, i społeczeństwo znowu po wielu latach będzie sobie musiało powiedzieć: „Łudziliśmy się, nie wiele plonów zebraliśmy do gumien narodowych".

Zakończmy słowami św. Augustyna: „Mogli ci i tamci, możemy i my". Mogły inne społeczeństwa tyle dokazać za pomocą akcyi planowej, systematycznej, umiejętnej, potrafimy i my na polskiej ziemi i polskiemi dłońmi, tylko chwyćmy się, po tych jeszcze w wielkiej części nieuprawnych ugorach, każdy na swym zagonie, za pług planowej akcyi.

Ks. Mieczysław Kuznowicz.

Współczesna galerya powieściopisarek polskich.

Zagadnienie stosunku dwu płci było oczywiście zawsze pierwszorzędnym motywem twórczości artystycznej. Jednakże w dawniejszej powieści nie było ono jedynym motywem. Powieściopisarzami bywali mężczyźni, o ile zaś kobiety — to takie, jak Orzeszkowa lub Rodziewiczówna — i zagadnienie żądzy zmysłowej wobec tematów zbiorowego życia — nie nęciło ich. Dopiero nowsza sztuka uznała popęd samca i samicy za jakowyś skarbiec sezamu, skąd można czerpać bez braku klejnoty natchnień. I Przybyszewski w *Homo Sapiens*, *De profundis*, w *Androgyne* i licznych dramatach, i Kazimierz Tetmajer w *Otchłań*, *Anioł śmierci*, *Zatracenie*, i Żeromski w *Aryman mści się*, *Dzieje grzechu*, i Daniłowski w *Jaskółce*, *Maryi Magdalenie* czynili chuć osią swej sztuki. Ale wszyscy oni albo uważali ten popęd za stanowiska wyższego, że tak powiem, uogólnionego, albo też oplatali motyw główny siatką pasemek odmiennego, niż zmysłowość ustroju. Dzieła ich nie wyczerpały zagadnienia. Dostarczyły one w każdym razie obfitego zasobu ilustracyi dla stwierdzenia tej modernistycznej zasady, że termin wstydliwość i bezwstyd musi być wyrugowany ze sztuki. Nawet owszem: przekonały, że sceny jaskrawo bezwstydne, malowane wszystkiemi barwami tęczy, odgrywają rolę przynęty dla młodych instynktów i zapewniają powo-

dzenie dziełom. To wcale nie insynuacya — to skonstatowanie faktu. Nikt mnie nie przekona, że dzieła wymienione i setki innych, tym podobnych, pisane są dla starszych ludzi. Akcya w tych dziełach rozwija się, o ile wogóle bywa, w świecie młodocianym; żaden z bohaterów i żadna z bohaterek nie przekroczyła lat trzydziestu. Są to wszystko studenci i studentki, młodzi artyści lub artystki, w życiu zbiorowem zera płonne i nieczynne, zamknięte w sferze instynktowości, jak poczwarki w kokonach. Cóż z nich dla świata starszego? Młódzież odurza się narkotykiem wzruszeń zmysłowych, dawanym w misternych naczyniach i pożąda odurzeń, jak morfinista szalenie pożąda zabójczej trucizny. Rozgłos i powodzenie mistrzów ośmieliły mniejsze talenty, zwłaszcza, że kwestya kobiecości wydawała się polem jeszcze w takim kierunku u nas nierozrobionem. A zresztą francuska literatura nie poskąpiła wzorów, jeszcze śmielej, jeszcze cyniczniej instynkt płciowy traktujących. Nie mam wcale na myśli przestarzałego Zoli, który tak brutalizował sceny miłosne w *Nanie*, *Ziemi*, *Człowiek-zwierzę* i innych; nie mam też na myśli Guy de Maupassanta, który z melancholijnym grymasem podpatrywał tajemnice alkowy, ani nawet Anatola France'a, z wyższością i sarkazmem krzywiącego usta na widok oszaleń erotycznych. Zdystansowali ich Paul Adam, Prevost, Richepin, Gauthiers-Villars. Ci dopiero zbudowali ołtarz ciału.

Czyż nasza literatura ma pozostać w tyle za Paryżem, stolicą świata?

Dezinfekcya prądów europejskich?

To synonim zastoju, leniwej wody, omszałej pleśnią wieków, starczej zmartwiałości. Tu energia i radość życia — tam gnuśne pantoflarstwo; tu krew wrzątkiem kipi i nerwy drgają użyciem, tam blade usta cedzą jakieś mdłe przestrogi niewczesnej cnoty; tu spazm rozkosznych dreszczów wstrząsa do szpiku, tam zaś nieposilne hasła odwiecznych nakazów prawości plemiennej i chrześcijańskiej.

Precz ze spokojem, zdrowiem, cnotą, ojczyzną i religią! *Evoe, Bacche*!

I oto rzecz znamienna. W pierwszym rzędzie wcale licznej falangi artystów lubieży, w poskokach pędzi wysoko podkasane gronko kobiet-autorek.

Na czele Gabryela Zapolska, autorka *Kaśki-karyatydy*, *Sezonowej miłości* i cyklu o Dulskiej od lat trzydziestu, wytrwale zarabia na swoją smutną sławę. W swej wiośnie życia rozmiłowała się we francuskim naturalizmie i dotąd ogrywa jedną strunę. *O czem się nie mówi* [1]) jest powieścią o polskiej prostytutce. Franciszka Wątorek, *vulgo* Irena, *vulgo* Poranek, *vulgo* Promyk, usidliła urzędniczynę podatkowego we Lwowie, udaje szwaczkę i okłamuje go. Naiwny Krajewski, jak kiepski wyżeł, śledzi i myszkuje, czem jego Poranek czy Promyk, a czytelnik odgadł tajemnicę odrazu.

Zapolska maluje Frankę w promieniu litościwych uczuć, jaskrawo oświetla bezdenną nędzę tej egzystencyi, okropny strach o jutro, wdzięczność za każde dobre uczucie, nawet dobre słowo. Celem jej — wzbudzić litość dla niedoli „wesołych dziewcząt"; celem napiętnować ohydę obyczajową, sprawiającą, że oto dziesięcioletnia Franka na wsi z pastuchami stała się już rozpustnicą, napiętnować okrucieństwo urządzeń społecznych, które pociągnęły ją przemocą na szlaki rozpusty, skoro raz dały za 12 centów książeczkę czarną na policyi.

Z drugiej strony — czyż potrzeba, aby koniecznie w poszukiwaniu pereł wszystkie śmietniska rozgrzebywać szeroko, a cuchnącemi ich miazgami zatruwać powietrze? I cóż z tego, że u kilku, kilkunastu, kilkudziesięciu, jak u pani Gwozdeckiej, myśl się rodzi: Biedna Franka, jeżeli równocześnie kilkuset z chciwością nurzać się będzie w plugastwach opisów życia Krajewskiego z Franką i wchłaniać wszystkiemi porami szał zmysłowy. Bo pani Zapolska pisze z temperamentem. Piórem jej nie kieruje wiedza. Lubi nieraz błysnąć kulturą i zacytować tu mądrą uwagę Salomona, ówdzie zdanie Spinozy, myśl św. Cypryana ... słabostka do darowania, jak do darowania są owe patetyczne tyrady o kobiecie i kobiecości. Nie-

[1]) *O czem się nie mówi.* Powieść współczesna. Warszawa. 1909.

kiedy słabostka staje się naiwnością, jak n. p. ów z palca wyssany cytat Masynissy, „stojącego na klasztornym dziedzińcu wśród narcyzów i fiołków“: Bezgraniczne żądanie niewolniczej zależności napawa mnie cierpieniem (str. 102). Masynissa — i na klasztornym dziedzińcu za czasów Heliogabala w Rzymie!

Z tem wszystkiem pani Zapolska pisze z temperamentem. Nie obmyśla ona kompozycyi zamierzonego utworu; nie dba o akcyę lub zawikłanie. Nie zgłębia duszy ludzkiej cierpiącej czy uszczęśliwionej. Natomiast obserwuje dużo i dużo pamięta. A obserwuje śmieszności i podłostki ludzkiego bydlęcia; pamięta gesty, mimikę, drobiazgi zabawnych „wyczupirzeń“, zwłaszcza kobiety. Umie opowiadać o banalnościach i głupocie ludzkiej z poważną minką, jak aktorka, i to powiększa efekt. Dekoracya u niej zawsze plastyczna, psychologia zawsze miałka. Nie krępuje jej ani dyskrecya ani wstydliwość. Z upodobaniem rozgarnia cuchnące gnojowisko i objaśnia bez zawstydzenia plugastwo, jakie zeń bije w oczy, uszy i powonienie. Jest w dosłownem znaczeniu pornografistką. Rwanie się ducha do wyżyn osłonięte przed nią gęstą oponą. Stąd jej powieści są obrazem ścieków i odpadków robaczych. Niczego więcej. Jestto literatura nadpsutych młokosów, poszukujących łatwych zdobyczy śród szwaczek, staniczarek i spodniczarek; wychowawcza literatura kucharek i pomywaczek, niecierpliwie wyczekujących niedzielnego „wychodu“ z kapralami.

Pośród galeryi typów Zapolskiej brak kontrastów, gdyż autorce stępiał zmysł do zrozumienia wyższych polotów duszy. Jej bohaterki — to Dulskie: młode, stare, w bawełnie czy jedwabiu — same Dulskie.

Jej styl nieraz dowcipny — dowcipem półświatka, grubym i ordynarnym. Ale opowiada żywo, z obfitym dodatkiem podmigiwania, półszeptów i domyślników tak, że choć dużo już i trywialnie powiedziała, więcej i obleśniej odgadywać pozwala. Czytelnik po tej lekturze czuje się tak, jakby mu ktoś duszę błotem obryzgał. Trochę w tem uczuciu zawstydzenia, więcej niesmaku, a najwięcej chęci rychłego zapomnienia o sprawach i ludziach poznanych.

Nie dorówna Zapolskiej rozgłosem, lecz rodzajem treści podąża jej śladami Marya-Jehanne Walewska [1]). I w treści zresztą różnica jest ogromna. Twórczość jej dotąd uboga. Zaledwie parę powieści i parę artykułów dają miarę jej literackiej działalności. Jednak brawura i radykalny impet, z jakim głos podnosi, ilekroć ma coś powiedzieć, jednają jej słuchaczy. Dlatego powieściom jej należy się tu słówko. Czy p. Marya-Jehanne Walewska jest Polką? Takby mniemać się godziło z *Kryjaków*, o których będzie niżej mowa. Tak absolutnie nie da się orzec na podstawie *Favness*. W Nizzy schodzi się na seanse osobliwe gronko: jakiś d'Espagnac, niby uczony, komiwojażer całego świata, jakaś rozkosznica Beatryx, która nawet kąpie się w rzadkich, drogocennych koronkach, jakaś markiza de Clinchamps, pałająca ku córce rodzonej nienawiścią, jakaś pani de la Serre, która codzień odmawia bardzo skuteczną modlitwę „do 28.000 kropel krwi Zbawiciela", jakaś para azyatów El-Glaoni i Nissa, rodzeni brat i siostra — narzeczeni, jakiś Falsen, szwed, uznający wprawdzie monogamiczność, ale twierdzący, że „byle kto kochał szczerze, to czystym go nazwie, choćby dziesięć kobiet posiadł; tak samo kobietę czystą nazwie, choćby się dziesięciu oddała" (136). Gronko to na swych seansach rozprawia o samczym i samiczym stosunku dwóch płci, przyczem mężczyzna traktowany jest brutalnie i pogardliwie, jako pożądliwy egoista, kobieta, jako wyrafinowana kłamczyni i oszustka. Dekoracye zebrań zawsze wymyślne: półcienie, odurzające wonie, niezwykły przepych barw. Raz tańczy nago pani de la Serre. Poza tem akcyi żadnej.

Autorka *Favness* w naszej najnowszej literaturze jest przedstawicielką nihilizmu. Najchętniej porównałbym ją z rosyjskim Arcybaszewem, autorem *Sanina*. I jego mężczyzna jest egoistą i brutalem, i jego kobieta w rzeczach miłości — obłudnica i kłamczyni aż do zdechu.

Pani Marya-Jeanne lubi paradoksy i rozsypuje je pełną garścią w postaci błyskotliwych frazesów; lecz w nich rzadko

[1]) Marya-Jehanne Walewska (hr. Wielopolska): *Favnessy*.

trafi się myśl głęboka lub oryginalna. Pani Marya bowiem o sobie mówi: „literatura, we mnie wiecznie błądząca, niosła mi myśli cudze, czytane gdzieś, kiedyś w samotnym przedziale wagonu“ ... (191). Otóż tych jest najwięcej. A ponieważ p. Marya dużo jeździła i podobnie jak owa Starościna Krasickiego z satyry *Podróż pańska*, gruntownie wyzbyła się cech swej przynależności do plemiemia polskiego, przeto jej umysłowość, uczucia, instynkty, zwyczaje, upodobania i język stały się cudzoziemskimi. Wszakże w przedziale wagonu, którym jeździła pani Marya, na szczęście czy nieszczęście czytuje się najmniej po polsku, częściej po francusku, niemiecku lub włosku, czasem po angielsku. Wszystkie tedy bóstwa, na które nauczyła się zaklinać pani Marya, nic nie mają wspólnego z naszem, pełnem łez i łkań, życiem. Jestto wieczna maskarada, zapustna swawola. Wszystkim tym rozigranym i wyuzdanym Faunessom zdaje się, że wnoszą nam one jakieś nowe myśli, zapalają nowe światła; w istocie zaś podrygami swych rozszalałych figurek podobne są do okrytych szminką i bielidłem nędznych tanecznic i budzą jedynie uczucie wzgardy i politowania.

Pani El.... uważa ręce za nieomylny probierz duszy, „Remy de Gourmont bowiem dowodzi, że dusza i włosy kobiety są jednakiej barwy, a ona — pani El — czyta w majaczącej plamie rąk swoich delikatny błękit duszy marzącej, nerwowe fale dreszczu, które długa samotność wytwarza, filigranowość palców dziewczęcych, zakończonych emaliowanym szponem obrończym i stalowość samostarczalności przy jedwabnym naskórku“ (193). Być może, pozwalam — i nic mnie to nie obchodzi. Tylko twierdzę, że nasza rodzina, nasze społeczeństwo i nasza literatura będzie niezawodnie o wiele szczęśliwszą i zdrowszą bez jedwabnego naskórka, obrończego szponu, filigranowych palców, nerwowych fal dreszczu, bez rąk, włosów i błękitu (!) marzącej duszy pani El, a język nasz będzie o wiele poprawniejszy bez jej „samostarczalności, ondulowań, desensemblów i perwersyjnych inwencyjności“...

Całą galeryę fauness oglądać i podziwiać każą młodemu

światu w swych powieściach Zofia Rygier-Nałkowska [1]) i Cecylia Walewska [2]).

Nałkowska sprawiedliwie opatrzyła książkę swoją *Kobiety* mottem: Nie dowierzajcie mojemu ulowi: pszczoły w nim są, ale miodu niema. Jeszcze sprawiedliwiej dałoby się w zastosowaniu do całej galeryi zamienić wyraz p s z c z o ł y wyrazem t r u t n i e; gdyż we wszystkich sześciu ulach roją się swojskie trutnie, opatrzone specyalną etykietą: Warszawa. Jest tu Marta Imszańska, której całe życie, wewnętrzne skupiło się w jednem bezpłodnem uczuciu boleści z powodu przeniewierstw męża, pięknego samca, zajętego syceniem chorobliwej żądzy zmysłowej z coraz inną kobietą — typ, znany nam dobrze z Guy de Maupassanta, d'Annunzia, Gorkiego i Arcybaszewa. Jest tu, mężatka także, Wildenhofowa: co miesiąc inny kochanek, celem życia — psucie małżeństw; pragnie „założyć stowarzyszenie, protegujące wolną miłość pośrod pensyonarek i panien na wydaniu, bo im bardziej upadnie moralność, tem mniej będzie prostytutek" (156). Jest tu Gina — malarka, Idalia — muzyczka, Wieloleska, kokota, Ileska — aktorka, Iscult Lermeux — śpiewaczka; jest Smiłowiczowa — kobieta socyalistka uczona, Helena — szwaczka, Nierwiska — urzędniczka, jest kobieta „porządna" bez nazwiska, bo *irreprochable* wśród zwyrodniałej bandy występuje *incognito*, jest Emma — jedna ze słynnych *étoiles*, modelka, trochę poetka, w seansie bierze udział tylko w zawoju z lekkiej tkaniny — a zresztą naga; jest nareszcie główna postać: Janka Dernowiczówna.

Janka pracuje jako buchalterka, choć z musu, niechętnie, z nienawiścią do pracy. Istota z natury, nawyknień i uczuciowej konstrukcyi niecodzienna i niebanalna.

---

*) Zofia Rygier-Nałkowska. *Kobiety*. Powieść. Warszawa 1906.
Zofia Rygier-Nałkowska. *Książę*. Warszawa 1907.
Zofia Rygier-Nałkowska. *Narcyza*. Powieść. Warszawa 1910.

*) Cecylia Walewska. *Aktor*. Powieść współczesna. Warszawa 1903.
Cecylia Walewska. *Koleżanka Stefa*. Nowele. Obrazy. Warszawa b. r.
Cecylia Walewska. *Flirt. Małżeństwo. Opinia*. Warszawa 1914.

Natura wytworna, artystyczna, o upodobaniach sybaryckich, choć nie pisuje poezyi, nie gra, nie śpiewa, nie maluje. Nie lubi czytać, lecz jest t. zw. mądra. Ma dar obserwowania i analizowania wrażeń. To nazywa tragedyą swego życia, bo to pozbawia bezpośredniości, ale zamiast intenzywności wrażeń drogą s y b a r y c k i e g o rozumowania, osiąga rozleglejszą ich skalę, percypuje także ich odcienie, które uchodzą zmysłów innych.

Zna swoją wyższość, choć nieraz pozuje. „Jestem całą ludzkością — woła za nadczłowiekiem Przybyszewskiego z *Totenmesse* i *Vigilien* — bo ja właśnie jestem życiem. Nie jestem na ziemi, nie jestem Janką Dernowiczówną, nie jestem ładna ani brzydka — jestem wieczna, nieuśpiona świadomość, jestem wszechświat“ ... (23) „Nigdy jeszcze nie czułam tak swej potęgi i nigdy potęga moja nie była taka smutna“ (28).

W Boga nie wierzy, gdyż „niestety — kto zajmował się trochę filozofią, nie może już wierzyć w istnienie Boga“ (148). Szlachetność duszy uważa za głupstwo. Ideałem jej „w zdrowem ciele chora dusza“.

Przedewszystkiem atoli jestto senzytywa o wysoce wysubtelnionem uczuciu zmysłowej rozkoszy. Najszczęśliwsze momenty przeżywa podczas jakiegoś tajemniczego seansu u Radłowskiego, gdzie cztery młódki i trzej mężczyźni narkotyzują się i noce spędzają w szale zmysłów i wyobraźni na wzór energetyków angielskich. Zresztą służy za cel pościgu różnych samców. Szaleje dla niej Janusz, potem Rosławski, potem Imszański, potem Strwiążewski ... Nie staje się chyba niczyją kochanką, choć się pozwala ściskać i pieścić. Lubieżna — nasyca się rozkoszą zmysłów bez zbrutalizowania. Owładnięta „opętaniem czystości“. Roi o życiu chłodnem i wykwintnem we dwoje. Nie wierzy w wiecznotrwałość uczucia. Potępia małżeństwo, bo „zmniejszyłoby w jej oczach wartość zwierzęcia“ (74). „Miłość w małżeństwie przeradza się we wzajemny nawyk, niekiedy przyjaźń. Wtedy ludzie powinni się już właściwie rozejść“ (79).

Kobiety szanujące się poznaje po tem, że są brzydkie, niesmacznie ubrane, pozbawione szyku i wdzięku, nudne, głupie — i w chwili zamyśleń zawsze beznadziejnie smutne. Bardzo jaskrawo występuje tu prawo doboru: w małżeństwie większe znaczenie od warunków fizycznych, urody, zdrowia, ma gwarancya cnoty i wierności. Typy ładne, żywiołowe — bywają wybrakowane, jako niepewne, bardziej uświadomione, więcej wymagające — i zaciągają się do szeregów prostytucyi (94).

Taki jest zasadniczy, główny, powiedzmy: jedyny typ młodej kobiety u Nałkowskiej. Podobna Alicya z powieści p. t.: *Książę*, podobna *Narcyza*. Ta ostatnia jeszcze bardziej wyrafinowana i perwersyjna. We wszystkich jej myślach, uczuciach, słowach poza kłamaną maską elegancyi światowej wyłącznie panuje „objawianie się cudownego, przyświecającego życiu jednokształtu miłosnego“ (123). Pociągają ją „mętne głębiny nieuświadomionych spraw ciała“ (169). Do szpiku chora dusza, histeryczka, którąby należało poddać gruntownej kuracyi — tak samo, jak inne tej autorki kobiety — samokrytycyzmem, niby lancetu, rozcina i obserwuje każde falowanie uczucia i myśli.

Ludzie Nałkowskiej wogóle są pełni pasyi tajemnej a tłumionej; zimni na pozór, wrą w głębi. Kłamią wstrętnie i nikczemnie, a złapani na gorącym uczynku obłudy — śmieją się cynicznie, przyznają do fałszu i znów za prawdę wysuwają nową bateryę — zapewne łgarstwa.

A forma powieściowa tej autorki?

Metoda powieściopisarska Nałkowskiej polega na superanalizie drgnień i poruszeń zwierzęcej duszy ludzkiej pod wpływem miałkich przeżyć i suchotniczo wątłej akcyjki. Metoda zatem naturalistyczna, której ojcem Balzac, Flaubert, Zola, a korrektorami moderniści, u nas Przybyszewski, Żeromski. Tylko u Zoli zbiór drobnych molekuł spojony zazwyczaj doniosłemi zdarzeniami w całość. Tu zdarzeń brak i w pamięci czytelnika po zatarciu się i zniknięciu drobiazgowych cząsteczek analizy — nie pozostaje nic: tak wszystko rozpierzchliwe.

Przytem autorka prawdziwie po kobiecemu dla uzyskania niby psychologicznego materyału czai się ku osobom na scenie, podsłuchuje i podpatruje, bawi się w odgadywanie ich myśli i stanów psychologicznych, skrada się za węgłami, na schodach, po ciemnych kątach, zwłaszcza, gdy ma nadzieję scen romansowych. Wszystko zaprawia ironią czasem niesmaczną, jak ironia Żeromskiego w pierwszych jego utworach, czasem zjadliwą, czasem powleczoną jakimś odcieniem melancholii wyższej i pogardliwej, bez uśmiechu, jakby spoglądała na życie i jego marne zjawiska z wzniesionego ubocza.

Przyrodę lubi, czuje i umie opisywać; zestraja ją na ogół artystycznie ze stanami ludzkich wzruszeń. Rzadko trafi się tu dyssonans, n. p. wówczas, gdy Maurycy, otrzymawszy pożyczkę, wesoło wraca od Cwałoszyńskiego, aż wtem „wyszła kołem znienacka objawiona perspektywa", dusza czyhała niespokojnie na jakieś nieszczęście, oko rozglądało się w ciągłem osłupieniu, bo, oto wyjdzie potwór z nagłej szczeliny rozłupanej skały! Niesamowity ten krajobraz drzew i pól, oblanych blaskiem księżyca zgoła obcy nastrojowi duszy Maurycego. Nałkowska styl swój zdobi suto przenośniami.

Sztuczność ich i wymyślność daleko odbiega od prostoty, jasności i poprawności. Darowałbym to, gdyby nie brak oryginalności. Ale jak w etyce, w pojęciu celu powieści, w metodzie zależna od Przybyszewskiego, tak w stylu wzorem jej Żeromski. Czasem z przykrością czuje się nieco mechaniki w robieniu nastroju. „Oczy nabiegłe młodością" — tak powiedziałby Żeromski, ale dobrze. Na wiosnę „organiczny zapach niziny, bijący szeroką wiosenną zawieruchą w nozdrza rozszerzone, jakiś szept najcichszy jakby pierwszych rozwijających się kwiatów w cieniach trawy i wody, jakby obiecań niewiarogodnych a cudnych": tak powiedziałby Żeromski, ale dobrze. Jednak w tym wieczorze wiosennym „straszliwa i cudna cisza panuje wśród świata"; że c u d n a — dobrze, dlaczego atoli s t r a s z l i w a? — zagadka!

Porównaniom często brak prostoty. Powie: woda w bróżdach podobna do „rzuconych długich mieczy ze stali" — jeszcze

nieźle; ale „ptak mknął wysoko, jak najczystsza idea ruchu w marzeniu człowieka" — cóż to za niedorzeczne porównanie!

A już z językiem obchodzi się Nałkowska, jak rakarz z psem.

„—Cóż papę sprowadza tak po nocy? — zapytał, o b c i ą g a j ą c z p ł a s z c z a w y n i o s ł ą p o s t a ć o j c o w s k ą".

Jakże to można czyjąś postać „z płaszcza obciągnąć?" Co znaczy: odżywiać się bez obstakli, przyjąć na płuca specyficznie wonny ciężar wilgoci, oczy nieopowiedziane, zdegenerował się przez mariaże, zdezoryentowany, aktywny spokój, popadła w zdecydowany smutek, c u d o w n i e dziękuje, człowiek bezodpowiedzialny, wulgarne maniery, emablować, będę wiodła przez swoje życie ładną linię maniery, zrobiłam trochę zdziwienia, rodzaj stuporu, panią szokuje, desinvoltura, tłómaczyła się z minoderyą i t. d.?

Z poza ram powieściowych, z poza kompozycyi utworów p. Nałkowskiej, kompozycyi niesfornej, na kawałeczki porwanej urywkami pamiętników, listów, obrazków, niespojonej nigdy w artystyczną całość czy to głównem zdarzeniem czy szeregiem większych akcyi, wyłania się jasno duchowe oblicze utalentowanej autorki. Jest postępową kobietą, prawie socyalistką ze swych przekonań społecznych; zaleca etykę egoizmu; głosi wiarę w nieodpowiedzialność człowieka w myśl zasady Nietzschego: poza złem i dobrem; uczy hedonizmu nawet wyrafinowanego. Jej bohaterki — to feministki o duszach wykwintnie schorzałych. Małżeństwo i rodzinę pogardliwie potępia, prostytucyę i wolną miłość podnosi, a za ideał uważa jakiś stan upojeń zmysłowych, zaasekurowanych przed możliwością obaw rozrodczych.

Prawda: zagadnienia feminizmu doprowadza niemal do absurdu przez wszechstronne i wyczerpujące światło. Gdyby przypuścić, że wytworzyłoby się u nas pokolenie kobiet w rodzaju typów, wskazanych przez powieści Nałkowskiej, wtedy możnaby już mówić o najzupełniejszym rozkładzie rodziny. Kto wie, może w głębi twórczości autorki tli się właśnie iskierka ostrzegawcza. Ale czy stopień kultury u naszej przeciętnej

kobiety jest już tak wysoki, że nie tylko odczuje, lecz i uświadomi sobie szkodliwość typów? Czy nie da się usidlić ponętom obrazów, artyzmu, piękna takiej feministki, jak Janka lub Narcyza? Czy powieści nie należałoby otoczyć murem ostracyzmu, skazać na wygnanie z publicznych księgozbiorów, dostępnych dla młodzieży? Z narodowego punktu widzenia są one bezwarunkowo — szkodliwe.

Inną seryę warszawskich młodych kobiet na scenę wysuwa rzędem długim w swych obrazkach, satyrach, nowelach i powieściach Cecylia Walewska. Młode panny, zwłaszcza zaś młode panie z towarzystwa w początkowych latach zamężcia. Z poza sfery tylko parę. W obrazku *Pożar więzienia* sylwetki występnych kobiet. O dwóch: Dziembińskiej, fałszerce marek i Mańce, dzieciobójczyni — wyraża się autorka szumnie: obie . . . majestatem bólu w bractwo odradzających się duchów wkupione, obie dojrzałych zrozumień pełne, obie jutrzni przebaczenia blizkie" . . .

W noweli *Koleżanka Stefa* na przykładzie gorącej przyjaźni studentki z kolegą dowodzi, że w bratnim sojuszu mężczyzny i kobiety, złączonych fanatyzmem dla nauki — niema miejsca na t. z. miłość zmysłową. To wyjątkowe portrety w albumie Cecylii Walewskiej. Zresztą tłum młodych warszawskich mężatek, wyzwolonych lub wyzwalających się z niewoli małżeńskiego ucisku.

Pani Klotylda, nasiąknięta moralnym kodeksem francuskich romansideł, nudzi się; mąż już spowszedniał, zajęć niema, flirtuje więc z Bolskim, lecz i to znudziło. (T o w o l n o).

Kocia, zrazu szczęśliwa i wierna, idzie za innemi na schadzkę z Anatolem; na szczęście plotka i anonimy skłaniają męża do zastosowania radykalnego środka: wywozi Kocię na wieś i zaprzęga do pracy. (Z a i n n e m i).

Luta z mężem zapamiętale uprawia sporty; gdy mąż dla sportów i dla niej zobojętniał, zaczęła flirt; znudzona — stała się literatką, pisała wychowawcze ogromnie mądre artykuły, dom i dzieci pozostawiwszy na łasce losu. (D w a o b o z y).

Tola wyszła za malarza; zdradził ją z modelką; z zemsty zaczęła uczęszczać na zebrania Barret-homu, złożonego z cyganeryi zdziwaczałych wykolejeńców; stała się łupem zruszczałego nafciarza i mąż ją wypędził. (Z e m s t a).

Szczęśliwa żona Jurka męczy się w kleszczach finansowych kłopotów, bo nierozsądny mąż wścieka się, ilekroć ma rubla dodać do życia, a na przeprosiny żonie kupuje loże po 16 rubli, brylantowe egretki i wachlarze z piór (S z c z ę ś l i w a ż o n a).

Pani Wanda, społeczna działaczka, broniła na zgromadzeniu p o t r z e b y z a ł o ż e n i a t o w a r z y s t w a o p i e k i n a d p o s z u k u j ą c e m i p r a c y k o b i e t a m i; Ludzki obalił projekt; ona go na miejscu publicznie spoliczkowała; Ludzki w pojedynku zabił jej męża, ona go zastrzeliła. (O h o n o r)

Pani Aniela, żona filozofa, ma niesforne dzieciaki, które wraz z uczonym małżonkiem wychowuje, jak dzikie zwierzątka; one broją, krzywdzą się nawzajem i krzywdę wyrządzają ojcu, a p. Aniela . . . nieszczęśliwa. (K u n d e l k i).

Ludka, znudzona przywiązaniem męża Zenona — rozwiodła się. Wyszła powtórnie za Stanisława, Zenon ożenił się powtórnie z Walą. Lecz Ludka porzuciła Stanisława i wróciła do Warszawy i . . . do Zenona. (S y b a r y t k a).

Oto nadzwyczajna menażerya warszawianek!

Więc to są kobiety wyzwolone czy wyzwalające się? To są pustogłowe wietrznice bez cienia poważnej myśli. O nich można powiedzieć, co o Gustawie w *Ślubach* Fredry Radost powiedział:

> Wróbel się, mówią, pustej strzechy trzyma,
> Ale co w twojej głowie — to i wróbla niema.

Żądza przyjemności i użycia wyłącznym regulatywem pomyśleń, postanowień i czynów. Jedne uprawiają flirt, plotkę i — gdy się sposobność nadarzy — oszczerstwo; inne, jak owa sławna pani Jallibi w *Pustkowiu* Dickensa, smarują artykuły wychowawcze; a własne dzieci do kuchni ślą na wychowanie; inne znowu tworzyćby rade towarzystwa opieki nad ludźmi,

a same ludzi zabijają; inne jeszcze dzieci swe w myśl zasad najnowszej pedagogii wychowują, jak drapieżne zwierzęta i dziwią się, że kundelki stają się kundlami; inne nakoniec frymarczą przysięgą i ślubami dla kaprysu: wszystkie o sumieniu, obowiązkach i polskości nie mają pojęcia. Książki pani Cecylii Walewskiej dają przerażający obraz zepsucia stosunków rodzinnych i towarzyskich w Warszawie. Gdyby uwierzyć, że taki ogół kobiet młodego pokolenia, to stoimy nad grobem. Płochość, moralne zdziczenie, zanik poczucia ładu, zupełny brak wyższych podniet, gonitwa za rozkoszą zmysłową, — to infekcye, zatruwające rodzinę i jej filary: mężów i żony. Książki pomimo lekkiej formy są groźną satyrą. Niestety powieściopisarka maluje tak, jakby sobie nie zdawała sprawy z tego, że pisze satyry. Satyra tak skupia i oświetla rysy ujemne na postaciach, żeby ujemność nie budziła wątpliwości. Tymczasem p. Cecylia Walewska zdobi nie bez upodobania zjawiska kiepskich żon akcentami sympatyi, chcąc widocznie zjednać czytelnika dla idei nowej moralności i dla idei wyzwolenia kobiety od skrępowań małżeństwa i macierzyństwa.

Jako artystka — nie dorównuje ani Zapolskiej, ani Maryi-Jehanne Walewskiej, ani Rygier-Nałkowskiej. Psychologia jej płytka. Kompozycya całości najczęściej pobieżnie obmyślana i w wykonaniu rwąca się na drobne strzępy, podlane gęstym sosem literackich przypomnień z Gyp'a, Prevost'a, Catulle-Mendes'a, Zoli, Żeromskiego, Reymonta, Szandlerowskiego, nawet Spinozy i Bergsona.

Styl pełen przesady zepsutego baroku.

Na przykład.

„Czy przeszłość wraca? ... Czy powtarza się w formach rozbitych na źdźbła kolące kryształowych amfor, które cud chyba wskrzesić może z potrzaskanych na zatracenie drobinek?“ (str. 173: Flirt ...)

Albo:

„Tępe oniemienie: zły wykrot spiorunowanej duszy, wa-

liło we mnie z siłą tych władnych dokonań, których nic już odwrócić nie zdoła.

Jak zwierz w klatce z twardej stali była dusza moja.

Nic nie widziała w mrokach.

Wnętrznym wzrokiem postrzegała tylko kudłaty łeb potwora, który czaił się wolno, ale śmiało ciężkim — nie do odwalenia — swym kadłubem, żeby zdusić i — zostawić w mroku na zawsze. Ślepy, nieubłagany, okrutny z twardą tarczą i jednem okiem Wotana.

Nieszczęście" . . . [1]).

Dzikie obrazy, zimny patos i słowa, słowa, słowa . . . Ale p. Walewska w swoim języku ma ładniejsze ciekawostki, niźli te frazesy. Umie ona szermować gwarą bohemii artystycznej warszawskiej, tej — co to pisze po 200 wierszy dziennie za 100 rubli miesięcznie lub co sypie, jak z rękawa, pokupne „kicze". „Wysiudałem się" w tym żargonie znaczy: uciekłem, grajberów = pieniędzy, kiwać kokosem = nosem, wachlować językiem, fajgli = rubli i t. d.

Malarz Marecki prosi Kazimierza o pożyczkę w takiej formie:

„Wiem, że masz p e k u n i e, m a ł p o j e d n a. Pokaż, że nie jesteś s k r o b k i e m, jak nazywano cię w b u d z i e. Pierwszy mój k i c z dla was. Zresztą na żądanie mogę w y p a c y k o w a ć ciebie, twoją m a g n i f i k ę i dwoje k u n d l i w poduszkach".

Zapewne: język i styl urozmaicony. Czy tylko nie za ozdobny? . . .

Do tej samej kategoryi załączam powieści Natalii Jastrzębskiej i Alicyi Szamoty [2]).

Główne kłamstwo pierwszej powieści polega na tem, że Wiga, mężatka, staje się po zbiegostwie męża kochanką Wła-

---

[1]) Zachowuję układ wierszy, interpunkcyę oryginału, aby okazać, że tak pisane są książki p. Walewskiej, zwłaszcza zaś ustępy, kuszące się o oddanie głębi myśli lub uczucia.

[2]) Natalia Jastrzębska. *Kłamstwo*. Warszawa 1914. Alicya Szamota. *Popielisko*. Powieść współczesna. Warszawa 1914.

dysława, później kochanką Adama... Obok tego na splocie kłamstw opiera się miłosny stosunek Heleny i doktora Zborowskiego, Miniusi i Adama i t. d., słowem w prostym wniosku wynika, że cały układ miłosnych związków między mężczyzną i kobietą jest jednem pasmem kłamstwa, gdyż w istocie w powieści niema ani jednej afirmacyi, przeciwstawionej temu pasmu.

„Gdy się wzajemna zdolność dawania i odbierania rozkoszy stępi, wtedy dwa osobniki zobojętniałe nie mają z sobą nic do roboty. A tymczasem religia, prawo, obyczaj — każą im żyć z sobą do śmierci! Przecież to katorga!“ (45)

Tu przyczyna i usprawiedliwienie zboczeń kłamliwych.

Jeszcze wstrętniejsze *Popielisko* Szamoty.

Powieściopisarka pozuje na t. z. artystyczną duszę. Jak dekoracyę k ł a m s t w a tak i *Popieliska* żywo przypominają zdobienie rozpustnych sielanek 18 wieku. Wieńce na skroniach, koszyki malin blask księżyca i jawory maskowały... chuć; dziś owe bezwstydne panny i mężatki sromotę swą osłaniają gazą zachwytów na temat sztuki, muzyki, śpiewu. To moda wieku.

Niema co mówić o artyzmie dzieł tych. Pisane są krótkimi rozdziałkami. Rozdziałki o paru stronach, czasem stronie, czasem mniejsze; każdy przenosi w inną sferę akcyi, opisów, obrazów i rozmyślań, urywa się i znów mknie się gdzieindziej. Jestto miotanie się bezmyślne i niedorzeczne. Nie ratują p. Szamoty napuszyste tytuły ustępów: Woda letejska. Atena czy Afrodyta? Dąb i macierzanka. Baśń wschodnia... Boże miłosierny! Ani to dąb ani macierzanka — tylko świństwo; ani Atena ani Afrodyta — tylko ladacznica; nie baśń wschodnia — tylko ściek. Całość wielka miernota, dla której jedynem schroniskiem: woda letejska zapomnienia.

Taki jest bilans najgorszych powieści kobiet o kobietach. Nie malują one ani matki, ani pracownicy, ani wiernej żony, ani nauczycielki, ani działaczki społecznej, ani Polki — tylko samicę. Jedyna sfera obserwacyi, analizy, przeżyć. A malują z perwersyą we wszystkich położeniach, gestach, myślach, subtelnych wyrafinowaniach. Przytem w przejaskrawieniu:

zwyrodniałą egoistkę przywyklą do gotowego sybarytyzmu lub podatną lubieżnym instynktom; szczytem jej roztęsknień otchłanny szał zmysłów odsłoniętych, nawet bez figowego listka.

Literatura ta uczyniła kobietę przedmiotem grubego naturalizmu, miłość — zagadnieniem płciowem. Wyzwoliła kobietę od względów na etykę chrześcijańską, od macierzyństwa, pozostawiwszy jej kusy i wątpliwy zaszczyt beznasiennego nałożnictwa. Splugawienie kobiecości, niechlujstwo miłosnych uczuć, psychologia prostytucyi — otó skutki tego posiewu. Za każdą kobietą pełznie gad podejrzeń, zewsząd omotywa ją sieć bezwstydu: kobieta przemyka się z lękiem wieczorami przez ulice, oziera się bojaźliwie naokół, ściga ją strach przed uronieniem ludzkiej godności. I toż ma być wyzwolenie? — Wszystko fałsz. Dawniej była poddaną jednemu, dziś ma bez liku gwałcicieli.

A co gorsza — taka literatura obdarza życie rozkładowymi symbolami i poi lubieżną pianą niewinnych i czystych. Dajcie młodzieńcowi *Dzieje grzechu* do przeczytania: zatraci niezawodnie czysty swój pietyzm dla kobiety; bez śladu zniknie czar słodkich dum o cudzie; brudny potok życia pochłonie poryw do ideału. Dochodzimy do tego, że jeśli trzeba chronić córki nasze przed powieścią Tetmajera, Żeromskiego lub Daniłowskiego, to trzeba na cztery zamki zawierać przed niemi powieści Zapolskiej, Wielopolskiej, Szamoty, Jastrzębskiej, Walewskiej, Rygier-Nałkowskiej, bo to lektura lupanaru.

(Dok. nast.).

A. Mazanowski.

Chronologia życia Chrystusowego[1].

W braku jasnych danych historycznych chronologia życia Chrystusowego przedstawia w niejednym szczególe dość poważne trudności. Przejdźmy po kolei, o ile możności krótko, ważniejsze chwile żywota Chrystusowego[2].

I. Rok i dzień narodzin Chrystusa[3].

Era chrześcijańska, według której obecnie czas liczymy, rozpoczyna się od urodzenia Chrystusa. Narodziny więc Boga

[1]) Niniejsza rozprawka stanowi jeden z rozdziałów dzieła p. t.: *Cztery Ewangelie* (wstęp, nowy przekład i komentarz), którego pierwsza część p. t.: *Wstęp ogólny do Ewangelii* niebawem opuści prasę. Część II zawierająca przekład i komentarz czterech Ewangelii jest obecnie w druku. (*Przyp. Red.*).

[2]) Por. *E. P. Caspari*, Chronologisch-geographische Einleitung in das Leben Jesu Christi, Hamburg, 1869; *H. Sevin*, Chronologie des Lebens Jesu[2], Tubingen, 1874; *Ljungberg*, Chronologie de la vie de Jésus, Paris 1878; *A. Lutterbeck*, Die Jahre Christi nach alexand. Ansatz und neueren astron. Bestimmungen 1878; *J. van Bebber*, Zur Chronologie des Lebens Jesu, Münster, 1898; *J. Belser*, Zur Chronologie der evangelischen Geschichte, Th. Q. S. (1900) I 27 nn; *Levrier*, Clé chronologique des dates exactes de la vie de J. Chr., Poitiers[2] 1905; *K. A. H. Kellner*, Jesus von Nazareth und seine Apostel im Rahmen der Zeitgeschichte, Regensburg 1908; *Boncamp*, Zur Evangelienfrage, Leipzig 1909; *C. Mommert*, Zur Chronologie des Lebens Jesu, Leipzig 1909.

[3]) Por. *A. W. Zumpt*, Das Geburtsjahr Christi, Leipzig 1869; *Fl. Riess*, Das Geburtsjahr Christi, Freiburg 1880; *Id.*, Nochmals das Geburtsjahr Jesu Christi mit Bezug auf eine Streitschrift von Schegg, Freiburg 1882; *R. S. Bour*, L'inscription de Quirin et le recensement

człowieka powinnyby przypadać na 1 lub 0 rok tejże ery. Tymczasem tak nie jest. Twórca bowiem tej ery, mnich Dyonizy Mały (*Exiguus*, VI. w. po Chr.) pomylił się w swych obliczeniach, nazraczając urodziny Jezusowe na 25 grudnia r. 752 od założenia Rzymu (= 2 przed Chr.) i biorąc r. 754 od założenia Rzymu jako pierwszy rok po Chr. (pierwszy rok ery chrześcijańskiej [1]). Ten błąd Dyonizego nie ulega obecnie żadnej wątpliwości, wszyscy chronologowie go przyznają i uczą, że Chrystus narodził się przed r. 754 od założenia Rzymu, chociaż nie godzą się między sobą, na ile lat przedtem to nastąpiło. Pewnem jest tylko to, że Chrystus narodził się z a p a n o w a n i a H e r o d a W. (*Mt* $2^{2\,19}$ *Łk* 1^{5}), a więc przed jego śmiercią, która nastąpiła około świąt paschalnych (przed 2 kwietnia) r. 750 od zał. Rzymu.

Na ile lat przedtem? — By na to odpowiedzieć, chronologowie usiłują zapomocą różnych dat ewangelicznych otrzymać mniej lub więcej zadowalające lub przynajmniej możliwe, a ze sobą zgodne wyniki. Nie wszystkie jednak próby prowadzą do celu. Rozpatrzmy je z osobna.

1. *Wiek Chrystusa przy Jego chrzcie* (*Łk* $3^{1\,23}$). Według *Łk* 3^{23} Chrystus, rozpoczynając chrztem swój zawód publiczny, miał lat *około* 30 (ὡσεὶ τριάκοντα), Jan Chrzciciel zaś (starszy od Chrystusa o 6 miesięcy) wystąpił w 15 roku Tyberyusza (*Łk* 3^{1}). Lata Tyberyusza oblicza Dyonizy (a z nim i inni) od śmierci Augusta († 19/VIII. 767 od założ. Rzymu). Piętnasty więc rok Tyberyusza byłby w tem przypuszczeniu rokiem 782 lub 783 od założ. R., a więc Chrystus (mający wówczas lat o k o ł o 30) urodziłby się r. 752/753 od zał. R. Że takie liczenie nie ma jednak gruntownej podstawy, wynika już z samego

---

de St. Luc, Rome 1897; *W. M. Ramsay*, Was Christ born at Bethlehem? London[2] 1898; *W. Soltau*, Die Geburtsgeschichte Jesu Christi, Leipzig 1902; *A. Mayer*, Die Schatzung bei Christi Geburt, Innsbruck 1908; *E. Schürer*, Geschichte des jüdischen Volkes im Zeitalter Jesu Christi I^{3-4}, 508—543.

[1]) Rok 753 jest według Dyonizego rokiem pierwszym przed Chrystusem; do niego wliczał on zapewne dni od 25 do 31 grudnia 752 r.

twierdzenia Ewangelisty, iż Chrystus miał wówczas (r. 782/783) lat *około* 30; (co mogłoby także, ściśle biorąc, znaczyć 28—32 lat), a powtóre z historycznie pewnej daty śmierci Heroda († przed 2 kwietnia 750 od zał. R.)[1]. Trzeba więc koniecznie narodzenie Chrystusa przyjąć przed Paschą r. 750 od zał. R., i tak daleko iść wstecz, by zostawić należyty czas opowiadaniom ewangelicznym takim, jak ofiarowanie Jezusa w świątyni, przybycie Mędrców ze Wschodu, ucieczka do Egiptu, wreszcie wymordowanie niewiniątek w Betlejemie[2]. Na to wszystko wystarczają w zupełności 1—2 lat. Z wielkiem przeto prawdopodobieństwem można przyjąć rok 749 lub 748 od założ. R. = 6, względnie 5 przed Chrystusem za rok narodzin Chrystusowych.

Jak więc pogodzić z tym wynikiem dane z *Łk* $3^{1}+^{23}$? Prawdopodobnie w ten sposób, że lat rządów („hegemonii") Tyberyusza nie należy liczyć od śmierci Augusta († 19/VIII 767 od zał. R. = 14 po Chr.), ale od współrządów Tyberyusza z Augustem (pod koniec r. 764 od zał. R. = 11 po Chr.) Wtedy 15 rok „hegemonii" Tyberyusza = 780 od założ. R. = 27 po Chr. — Chrystus więc, mający wówczas (w styczniu [?] r. 27 po Chr.) lat „około 30" (*Łk* 3^{23}), liczył w rzeczywistości 26 + 5 = 31 lat[3].

2. *Spis ludności pod* [?] *Kwiryniuszem* (*Łk* 2^{1}) stwierdza trzy historyczne fakta: 1) że cesarz August, około narodzin Chrystusa, wydał rozporządzenie, by dokonano spisu ludności we wszystkich ziemiach, podległych Rzymowi; 2) że ten edykt wykonano w Palestynie pod Herodem W.

[1]) Zob. *Hontheim* w Katholik 1907 II, 18 nn.

[2]) Dziatki te liczyły „*od dwóch lat i niżej*" (*Mt* 2^{16}), mord zaś dziatek betlejemskich, według pozabiblijnego świadectwa Makrobiusza (*Sat* II, 4) wydarzył się niedługo przed śmiercią Heroda W.

[3]) Ten sposób liczenia ma na oku *Tertullian* (Adv. Marc. 1, 15) kiedy wbrew znanej sobie Ewangelii Łukasza twierdzi, że chrzest Chrystusa miał miejsce w 12 roku samowładztwa Tyberyusza. Dwunasty zaś rok samowładztwa (t. j. 767/768 + 12 = 779/780 od założ. R.) odpowiada 15 rokowi współrządów („hegemonii)", bo 764/765 + 15 = 779/780. Jan Chrzciciel *wystąpił* r. 779, a *chrzest* Chrystusa odbył się w kilka miesięcy później (prawdopodobnie w styczniu r. 780).

(por. *Łk* 2^{1} + *Mt* 2^{1nn}); 3) że ten spis był r ó ż n y o d s p i s u dokonanego przez Kwiryniusza, jako wielkorządcę Syryi (*Dz* 5^{37}) po usunięciu Archelausa, a więc dopiero w 10—12 lat po narodzeniu Chrystusa (por. *Józef Fl.*, Ant III 1, 1).

Jak Ramsay (l. c.) dowodzi z Tertulliana, Tacyta i Józefa, w Syryi odbył się spis ludności w r. 8—7 przed Chr., który z początku na Palestynę się nie rozciągał, bo tam panował Herod W., *rex socius*, przyjaciel Augusta. Ale kiedy tenże „przyjaciel" podjął w owym czasie wyprawę wojenną przeciw Arabom bez zgody Augusta, dał mu cesarz odczuć swą niełaskę i gniew, zapowiadając, że go za sługę poczytywać będzie, a nie na przyjaciela (zob. *Józef Fl.*, Ant XVI, 9, 3) i nakazał rozciągnąć spis ludności *także* i na Palestynę. Podwójne poselstwo Heroda do Rzymu tyle tylko zdołało wyjednać, że August zgodził się na propozycyę Heroda, by spisu ludności dokonano na sposób żydowski, a więc pokoleniami (por. *Nu* 1^{2-46} 26^{2-63}) przez urzędników Heroda. List Augusta do Heroda pochodzi z r. 8 lub 7 przed Chr. Odliczając czas potrzebny na cztery morskie podróże owego podwójnego poselstwa i biorąc na uwagę tę okoliczność, że Herod zbyt się z tym niemiłym spisem nie spieszył, przychodzi się do wniosku, że s p i s u t e g o w P a l e s t y n i e n i e r o z p o c z ę t o p r z e d r. 6 p r z e d C h r. Być może, że i wojna z Homonadensami, którą Kwiryniusz jako naczelny wódz rzymski w owym czasie prowadził, wpłynęła nieco na opóźnienie spisu ludności w Palestynie. Wówczas rządcą c y w i l n y m w Syryi był Sentius Saturninus (9—6 przed Chr.), a po nim Kwintiliusz Warus (6—4 przed Chr.); Kwiryniusz natomiast był przez ten cały czas tylko dowódcą w o j s k o w y m i dopiero po Warusie objął także rządy cywilne nad Syryą i Palestyną. On to zdaniem wielu d o k o ń c z y ł w Palestynie spisu ludności, który tamże rozpoczęto jeszcze za życia Heroda (w r. 6 lub 5 przed Chr.) pod Saturninem, a z czem ospały i powolny Warus wcale się nie spieszył. Ponieważ zatem znany i dzielny Kwiryniusz ostatecznie (już po śmierci Heroda W.) d o k o n a ł tego spisu, dlatego przypisywano może w Palestynie tenże spis jemu i jego imie-

niem go nazywano[1]). Łukasz to ludowe i rozpowszechnione nazwanie mógł przyjąć i spis ludności, dokonany około czasu narodzin Chrystusa, mógł także nazwać spisem Kwiryniusza. Przez to jednak bynajmniej nie twierdzi, że Chrystus podczas pierwszego cywilnego wielkorządztwa Kwiryniusza się narodził, ale tylko zaznacza, że Chrystus się urodził podczas owego spisu ludności, którego (częściowo) dokonał i dokończył wielkorządca Kwiryniusz.

To wszystko w przypuszczeniu, że przekład Wulgaty *Łk* 2^2 jest poprawny i *jedynie* możliwy. Jeśli się bowiem wyraz πρώτη (= pierwszy) weźmie w znaczeniu προτέρα (wpierw nim), jak to nieraz zachodzi [w ówczesnej greczyźnie κοινή, w takim razie otrzymamy: *„tego spisu dokonano wpierw, nim Kwiryniusz był wielkorządcą Syryi"*, co usuwa wszelkie trudności historyczne, złączone z przekładem Wulgaty. *Łk* 2^2 chce niejako zaznaczyć, że spisu, w którym brała udział św. Rodzina, nie należy utożsamiać ze spisem Kwiryniusza, dokonanym po usunięciu Archelausa z Judei, o którym sam mówi gdzieindziej (*Dz* 5^{37}).

Nie wspominając już o uczonych, bronił tego zdania już stary Teofilakt: πρώτη τουτέστι προτέρα ἡγεμονεύοντος, ἤγουν πρότερον ἢ ἡγεμόνευε τῆς Συρίας Κυρήνιος (zob. *Wallon* p. 527, cytowany przez Reinolda).

Narodziny zatem Chrystusa — jak z poprzednich uwag wynika — przypadają w każdym razie na czas przed Warusem, a więc pod koniec 6 r., a może z początkiem 5 r. przed Chr.

3. *Astronomiczne obliczenia* narodzin Chrystusa, opierające się na „cudownej gwieździe", która pchnęła Mędrców do nowonarodzonego Chrystusa (*Mt* 2^2 ^{9}), nie posiadają pożądanej ścisłości. Wszak zdaniem wielu egzegetów przez ową „gwiazdę" można raczej rozumieć jakieś nadzwyczajne świetlne

[1]) Jest to dość prawdopodobne jeszcze rozwiązanie tego trudnego problemu o spisie ludności pod Kwiryniuszem. Inni rzecz inaczej pojmują. O trudnościach historycznych, podnoszonych przeciw temu spisowi, tu nie wspominam, gdyż z chronologią narodzin Chrystusa niewiele mają do czynienia. (Zob. krótką a dobrą odpowiedź na nie w *Schuster-Holzhammer*, Handbuch der biblischen Geschichte[7] (1910) str. 110-111)

zjawisko, nie zaś, jak mniemał Kepler (a za nim Wieseler, Lichtenstein i inni) konjunkcyę planet Jowisza i Saturna w gwiazdozbiorze ryb (barana?). Ta ostatnia (według obliczeń Keplera) zdarzyła się r. 747 od zał. Rz. (= 7 przed Chr.) i mogłaby dla Mędrców ze Wschodu być zapowiedzią, że niebawem zjawi się oczekiwany Mesyasz; inna zaś gwiazda (czy kometa) nieco późniejsza byłaby bezpośrednią pobudką do ich wyprawy palestyńskiej i wodzem ich z Jerozolimy do Betlejemu. Tak zdaniem owych uczonych. — Atoli, nawet przyjmując tę „astronomiczną" egzegezę „gwiazdy" Mędrców, nie można dojść do *ściśle* oznaczonej daty. Tego dowodem sami astronomowie. Tak n. p. Kepler podaje rok 747 od zał. R.; Münster, Ebrard i Ljungberg r. 748; Lichtenstein 749; Ideler i Wieseler r. 750; Rosch r. 752 i t. d. [1]).

4. Bliżej już do celu prowadzą może obliczenia matematyczne, oparte na *służbie* kościelnej *oddziału* kapłańskiego *Abiasza*. Z *Łk* 1^5 wynika, że zwiastowanie narodzin Jana Chrzciciela zaszło w czasie, gdy Zacharyasz z oddziału Abiasza sprawował czynności kapłańskie w świątyni jerozolimskiej. Klasa Abiasza była ósmą w szeregu 24 oddziałów kapłańskich, które z kolei po tygodniu urzędowały w świątyni. Przypuściwszy fakt m o ż l i w y, ale nie dający się udowodnić, że owe klasy b e z p r z e r w y i z m i a n y w chronologicznym porządku odbywały służbę swą w świątyni, możnaby w przybliżeniu obliczyć czas poczęcia się św. Jana Chrzciciela, a w dalszem następstwie i czas (miesiąc) narodzin Chrystusowych w p r z y b l i ż e n i u. Dwa te wydarzenia oddziela bowiem przestrzeń czasu około 15 mie-

[1]) Warto zaznaczyć, że na egipskiej tabliczce planetarnej P 8279 (w Berlinie) największe trzy konjunkcye 5 planet (między nimi Jowisza i Saturna) są o b e c n i e już dokładnie oznaczone, mianowicie pierwsza od 1/7—31/8 r. 7 przed Chr.; druga od 27/2—24/6 roku 6 przed Chr., trzecia od 25/11 roku 6 przed Chr. do 27/I r. 5 przed Chr. (Por. *v. Oefele*, Die Angaben der Berliner Planetentafel P 8279, verglichen mit der Geburtsgeschichte Christi im Berichte des Matthaeus, 1903). Biorąc na uwagę jeszcze inne dane (o których niżej), Chrystus prawdopodobnie począł się w roku pierwszej, a narodził się w roku drugiej konjunkcyi, a więc w r. 748 od zał. R. (= 6 przed Chr.), Mędrcy zaś widzieliby w Betlejem już trzecią konjunkcyę tychże planet.

sięcy. Otóż w przeddzień zburzenia Jerozolimy przez Tytusa (9 *Ab* r. 823 od zał. R.) pierwsza klasa Jojariba rozpoczęła swą służbę. Obliczając tedy od zburzenia Jerozolimy wstecz, dochodzi się do wniosku, że klasa Abiasza w r. 747 od zał. R. urzędowała od 16—22/VI i od 31/X—6/XI, a w r. 748 od zał. R. od 17—23/IV i od 3—9/X. Wobec tego, jeśli się przyjmie wiosenną służbę Zacharyasza w świątyni (r. 747, wzgl. 748) za podstawę, natenczas urodzenie Jana Chrzciciela przypadałoby pod koniec marca r. 748, a Chrystusa na sierpień r. 748. W r. 749 narodziny Jana Chrzciciela przypadłyby pod koniec stycznia, a Jezusa pod koniec czerwca lub początek lipca. Przyjmując zaś jesienną służbę (r. 747) mielibyśmy narodziny Jana w r. 748 w połowie sierpnia, a Chrystusa w r. 749 w połowie lutego, gdyby zaś brać na uwagę służbę jesienną w r. 748, wtedy urodziny Jana przypadłyby na połowę czerwca 749, a Jezusa w grudniu 749.

Tak więc na urodziny Chrystusa przypadają jako m o ż l i w e miesiące: w r. 748 sierpień, a w r. 749 albo luty, albo czerwiec, albo koniec grudnia. Tę ostatnią datę (25/XII) przyjął Kościół rzymsko-katolicki już od IV. w. po Chr., opierając się może (?) na jakiemś starem, sobie znanem, podaniu, bo Ewangelie nie zawierają w tym względzie żadnych danych pozytywnych. Najstarsi zaś pisarze Kościoła tylko rzadko i jakby mimochodem wspominają o dacie narodzin Chrystusowych. Po za Rzymem, aż do IV. wieku, obchodzono dzień Bożego Narodzenia nie 25 grudnia, ale 6 stycznia wraz z pamiątką Trzech Mędrców, pierwszego cudu w Kanie i chrztu Chrystusowego. Kościół jednak rzymski w IV. w. (około 330 r.) zaprowadził o d d z i e l n e święto Bożego Narodzenia i wyznaczył mu właśnie dzień 25 grudnia. Fakt ten ma prawdopodobnie w tej okoliczności swe uzasadnienie, iż poganie owych czasów, oddani kultowi Mitry, obchodzili w Rzymie dnia 25 grudnia narodziny słońca, *natalis Solis invicti*, tego „niezwyciężonego" syna bożka słoneczego. Chrześcijanie zaś, słusznie upatrując w Chrystusie prawdziwe duchowe światło świata (*Jan* 8^{12} 12^{48}), światło w ciemnościach (*Iz* 58^{10}) i słońce sprawiedliwości, pragnęli temu pogańskiemu świętu przeciwstawić swoje własne

i w tym samym dniu poczęli obchodzić wschód prawdziwego słońca świata, Boże Narodzenie [1]).

5. *Wnioski.* Z tych wszystkich wywodów wynika, że najprawdopodobniejszą datą narodzin Chrystusowych jest czas między sierpniem r. 748 (= 6 przed Chr.) a czerwcem 749 (= 5 przed Chr.). Data ta jednak pewności naukowej nie posiada, ani też nie cieszy się ogólną i powszechną zgodą między uczonymi.

II. Publiczny zawód Chrystusa Pana [2]).

1. *Różne systemy a teorya 3¼-letnia.* W ostatnich dwudziestu latach koła uczonych i egzegetów na nowo żywo omawiają zagadnienie: jak długo trwała publiczna działalność Chrystusa Pana?

Nie posiadamy w tej kwestyi zgodnego starego kościelnego podania, któreby sięgało czasów apostolskich. Jedynem więc źródłem mogą być tu Ewangelie. Ale i one przy krótkości swego opowiadania nie dają nam bezwzględnie pewnej odpowiedzi. Synoptycy n. p. opisują przedewszystkiem działalność Chrystusa w Galilei, a potem wyraźnie wspominają o podróży Jezusa do Jerozolimy na mękę. Zdawaćby się więc mogło, jakoby Synoptycy przyjmowali tylko jeden rok działalności publicznej Chrystusa. Są to jednak tylko

---

[1]) Tak tłómaczy rzecz także *Grisar*, Geschichte Roms und der Päpste, I 768 i *Keller*, Heortologie² 111—112.

[2]) Por. *Petavius*, Quot paschata Christus obierit? *E. Nagl*, Die Dauer der offentlichen Wirksamkeit Jesu, w Katholik 1900 (II) 200—222, 318—335, 417—426, 481—496, a także w Bibl. Zeitschrift II (1904) 373—376; *L. Fendt*, Die Dauer der offentlichen Wirksamkeit Jesu, München, 1906; *J. B. Zellinger*, Die Dauer der offentlichen Wirksamkeit Jesu, Münster, 1907; *J. v. Belser*, Einjährige Wirksamkeit Jesu, w Tüb. Quartalschrift 89 (1907) 1—58; 93 (1911) 404—449, 568—614; *W. Homanner*, Die Dauer der offentlichen Wirksamkeit Jesu, Freiburg in Br., 1908; *J. Pfättisch*, Die Dauer der Lehrtätigkeit Jesu nach dem Evangelium des hl. Johannes, Freiburg in Br., 1911; *J. B. Nisius*, Zur Kontroverse uber die Dauer der offentlichen Wirksamkeit Jesu, w Zeitschrift für kath. Theologie, Innsbruck (1913) 457—503.

pozory. Gdy bowiem w świetle innych źródeł, z których niewątpliwie wynika, że żywot publiczny Chrystusa trwał dłużej niż rok jeden — będziemy bliżej badali Ewangelie synoptyczne, dojdziemy do wniosku, że Synoptycy takiemu poglądowi nietylko się nie sprzeciwiają, ale, że go nawet potwierdzają [1]).

Liczne przeto naukowe względy nie pozwalają pójść za zdaniem niektórych nowszych egzegetów, co (jak van Bebber, Belser, Fendt) chcieliby działalność publiczną Jezusa ograniczyć do jednego roku. Już św. Ireneusz [2]) zbijał dzielnie podobne zdanie niektórych ze współczesnych sobie pisarzy, co (jak Klemens Aleks., Tertullian, Orygenes, Pseudo-Cypryan, Laktancyusz, Juliusz Afrykański i niektórzy z pomiędzy heretyków [Gnostycy, Alogowie i Walentynianie] przyjmowali jeden tylko rok publicznego zawodu Chrystusa, rozumiejąc

---

[1]) Tak n. p. *a*) zrywanie kłosów w drugi szabat po święcie Paschy (o czem wspomina *Łk* 6^{1}), koniecznością rzeczy domaga się osobnego święta paschalnego, różnego od Paschy pasyjnej. Wszak ta sobota przypada *po* Przaśnikach, uważanych za rolniczą uroczystość dziękczynną; *b*) podobnież wyrażenie *Łk* 13^{34}: „Jeruzalem, Jeruzalem ... *ileż razy* chciałem zgromadzić dziatwę twoją“ przypuszcza koniecznie dłuższą działalność i częstszy pobyt Chrystusa w Jerozolimie, jak okres trzechdniowy przed męką; *c*) uwaga *Mk* 6^{39}, że Zbawiciel przy pierwszem rozmnożeniu chleba rozmieścił lud gromadami „na trawie zielonej“, wskazuje wyraźnie, że zdaniem Synoptyków (podobnie jak i *Jana* 6) ten cud zdarzył się około Paschy, bo na długo przed nią lub po niej w okolicy Betsaidy Julii zielonej trawy już nie znajdziesz; *d*) Łukasz kilkakrotnie wspomina o podróżach Jezusa do Jerozolimy (*Łk* 9^{51} 13^{22} 17^{11}); *e*) ponadto podróże Chrystusa po całej Galilei, Zajordaniu, w Fenicyi, w tetrarchii Filipa, w Dekapolu, obok prac misyjnych Apostołów i 72 uczniów; a w końcu *f*) cały przebieg stosunków między starszyzną żydowską a Jezusem, który się zakończył ukrzyżowaniem Chrystusa, wymaga stanowczo dłuższego czasu, niż jeden rok tylko. Tak więc rozliczne szczegóły, rozsiane w Ewangeliach synoptycznych, wskazują na dłuższą działalność publiczną, niż jednego roku, jakby to na pierwszy rzut oka zdawać się mogło.

[2]) *Contra haereses* II^{32}; *M* 7, 781—783; Po Ireneuszu świadczą za kilkuletnią (dwu- lub trzechletnią) działalnością Chrystusa inni także Ojcowie Kościoła, n. p.: Euzebiusz, Apollinary z Laodycei, Cyryl Jerozolimski, Epifaniusz, Hieronim, Chryzostom, Cyryl z Aleksandryi i inni. Ich liczba w czasach następnych coraz bardziej wzrasta.

błędnie „rok zmiłowania Jahwy“ (*Iz* $61^2 = Łk\ 7^{19}$), jako j e d y n y rok działalności Chrystusowej.

Zdanie to jest naukowo niedopuszczalne, skoro tylko obok Synoptyków bierze się na uwagę *św. Jana*. Nawet nieuprzedzeni protestanci (jak n. p. Beyschlag, Weizsäcker, Zöckler), którzy do św. Jana nie mają zresztą szczególnego zaufania, wyznać muszą, że ustępy *Jana* 2^{13} 6^4 i $11^{55} + 12^1 + 13^1$ wyraźnie wspominają o trzech odrębnych świętach paschalnych[1]), a więc nakazują przyjąć co najmniej dwuletnią (w rzeczywistości $2\frac{1}{4}$) działalność Jezusową. Teoryi dwu- (i $\frac{1}{4}$) letniej działalności nie można odmówić cech wielkiego prawdopodobieństwa. Bronią jej w nowszych czasach: Zellinger, Didon, Le Camus, Weiss, Sanday, Zöckler, Pfättisch, Prat i inni. Przyznać też trzeba, że $2\frac{1}{4}$ lat już *a priori* wystarcza do należytego rozwinięcia bogatej treści opowiadań ewangelicznych i do logicznego uzasadnienia całej działalności Jezusowej i jej następstw.

Wszelako zdanie to nie ma cech pewności bezwzględnej. Dlaczego? — Stoi na przeszkodzie *Jan* 5^1, gdzie Ewangelista wspomina wyraźnie o święcie żydowskiem ἡ [?] ἑορτὴ τῶν Ἰουδαίων. — Jakie to święto? Niema zgody między uczonymi. J e d n i (jak n. p. Hug, A. Maier, Holzmann, Wieseler, Hase, Lange, Zellinger, Prat, Pfättisch i t. d.) widzą w niem święto narodowo-cywilne *Purim*, przypadające na początek marca (na 14 Adar), a które poprzedzało o cały miesiąc uroczystość paschalną. Zarzucićby można, że takie cywilne i hałaśliwie obchodzone święto nie nadawało się na odwiedziny Jezusowe, bo nie odpowiadało Jego mesyańskiemu charakterowi. Prócz tego — a to jest ważniejsze — należałoby *Łk* 6^1—9^{11} umieścić przed *Jan* 5^1 i przerwać stałą działalność Jezusową w Galilei, co z wielu względów harmonistycznych nie jest dopuszczalne.

D r u d z y (jak Ireneusz, Luter, Grotius, a obecnie więk-

---

[1]) Wyraz τὸ πάσχα u *Jana* 6^4 jest krytycznie pewny; przyjmuje go za taki bez najmniejszego wahania także *von Soden*, Die Schriften des Neuen Testaments II (1913), str. 412; inne względy, które przemawiają za autentycznością, zob. w rozprawie *J. B. Nisiusa*, l. c. str. 461—477.

szość egzegetów, n. p. Knabenbauer, Murillo, Schäfer) upatrują w ἡ ἑορτή (*Jan* 5[1]) *Paschę* co jest może najprawdopodobniejsze i najnaturalniej rozwiązuje cały szereg trudności, przedewszystkiem zaś objaśnia wybornie zdarzenie o zrywaniu kłosów (*Łk* 6[1 5]), Które mogło się odbyć między Paschą a Zielonemi Świątkami. Ta zaś Pascha (*Jan* 5[1]) nie może być identyczna z Paschą *Jan* 2[13], ani też *Jan* 6[4], podczas której Jan Chrzciciel już nie żył (*Łk* 9[7 1]), bo tenże *Łk* 7[18–35] (a więc przed trzecią Paschą) wspomina jeszcze o poselstwie Jana do Chrystusa.

Inni jednak (u Jana 5[1]) myślą o *Zielonych Świątkach* w maju (tak n. p. Orygenes, Cyryl Aleks., Chryzostom, Erazm, Kalwin, Beza, Bengel, van Bebber, Belser, Homanner) lub o *święcie Namiotów* we wrześniu (tak n. p. Ebrard, Lichtenstein, Riggenbach, Dalman). Atoli w tych dwóch ostatnich przypuszczeniach, które nietylko nie są absolutnie wykluczone, ale nawet posiadają pewien stopień prawdopodobieństwa, trzeba między *Jan* 4[35] [+*Łk* 6[1]] a *Jan* 5[1] koniecznie przyjąć drugą Paschę[1]) — na której Jezus nie byłby w Jerozolimie — tak, że trzecią będzie *Jan* 6[4], a czwartą Pascha pasyjna *Jan* 11[55]. A więc w każdym razie przynajmniej 3 lata. Do tego należy dodać krótką działalność Jezusową przed pierwszą Paschą (*Jan* 1[35]—2[12]), tak, że otrzymamy prawie 3¼-*letni zawód publiczny Chrystusa.*

To ostatnie zdanie, chociaż nie jest bezwzględnie pewne, to w każdym razie znajduje silne oparcie w samychże Ewangeliach synoptycznych i w kościelnej tradycyi, i najbardziej jeszcze zbliża się do prawdy. W starożytności wyznawali tę teoryę Tacyan, Melito, Hippolyt z Teb, Euzebiusz i wielu innych. Z nowszych uczonych bronią jej: Homanner, Nagl, Fouard, Fillion, Bruneau, Azibert, Nisius, Schäfer i inni. Tego też zdania trzymałem się, jako podstawy, przy harmonizacyi danych ewangelicznych w dziele „Bóg-Człowiek" (1914) i przy

[1]) *Jan* 4[35] wspomina o czterech miesiącach, dzielących od żniwa. Rzecz dzieje się więc w styczniu; w tym miesiącu Chrystus wrócił z Judei do Galilei. Jeśli przeto według *Jan* 5[1] Jezus udaje się do Jerozolimy dopiero na Zielone Świątki lub na święto Namiotów — to musiała Mu w Galilei upłynąć przedtem Pascha (i to druga z powodu *Jan* 2[13]).

podziale opowiadań w pojedynczych Ewangeliach na ustępy i perykopy w dziele p. t. *Cztery Ewangelie* [1]).

2. *Ramy chronologiczne.* Ustaliwszy w ten sposób $3\frac{1}{4}$-*letnią działalność* Jezusową, jako rzecz najprawdopodobniejszą, zobaczmy, czy i o ile można ją wtłoczyć w pewne *określone ramy chronologiczne.* Dwa teksty Ewangelii mogą nam posłużyć w tym względzie za punkt wyjścia, a ubocznie też i za potwierdzenie przyjętego wyżej zdania (o $3\frac{1}{4}$-letniej działalności).

a) *Łk* 3^1 oznacza wystąpienie Jana Chrzciciela na 15 rok „hegemonii" Tyberyusza. Jak już wyżej (str. 333 in.) widzieliśmy, należy tu rozumieć 15 rok „współrządów" [2]) Tyberyusza, które się rozpoczęły r. 764/765 od zał. R. Piętnasty więc rok przenosi nas na 779 od zał. R. = 26 po Chr. Ponieważ Chrystus wystąpił na widownię publiczną dopiero *po* św. Janie Chrzcicielu, gdy tenże przez swą działalność zdobył sobie pewne imię w Palestynie, rozgłos i sławę wśród ludu i gdy pozyskał już uczniów — przeto należy przyjąć, że to nastąpić mogło dopiero po upływie przynajmniej ½ roku, a więc dopiero w s t y c z n i u 780 (=27 po Chr.) mógł się odbyć chrzest Chrystusowy, jak to podaje zresztą stara kościelna tradycya. Trzechletnia zatem działalność Chrystusa obejmowała lata 780, 781, 782 od zał. R. = 27, 28, 29 po Chr. Doliczając zaś nadto $\frac{1}{4}$ roku wymaganego przez Ewangelie, stajemy na początku kwietnia r. 783 = 30 po Chr., przy ostatniem (czwartem) publicznem święcie Paschy Chrystusowej, która też kładzie kres Jego życiu [3]). Ale o tej dacie niżej.

[1]) Komu jednak przemawia raczej do przekonania teorya $2\frac{1}{4}$-letniej działalności, temu wystarczy w mym podziale Ewangelii pierwszy i drugi rok złączyć w jeden (bez wszelkiej porządkowej zmiany ustępów ni perykop). Rok trzeci (dla niego drugi) pozostanie także bez zmiany.

[2]) Już klasycy, jak *Tacyt* (Ann. I 3, 11), *Swetoniusz* (Aug. 97, Tib. 20, 21) i *Velleius Paterculus* (Hist. Rom. II 21) zdają się upoważniać do podobnego sposobu liczenia.

[3]) Dla obrońców $2\frac{1}{4}$-letniego zawodu nie pozostaje nic innego, jak przeznaczyć czas dłuższy (n. p. $1\frac{1}{2}$ roku) dla s a m o i s t n e j działalności Jana Chrzciciela, a chrzest Chrystusowy odłożyć na styczeń r. 781 (= 28 po Chr.). Chrystus miałby wówczas lat 32 życia co ostatecznie można pogodzić ze słowami *Łk* 3^{23}, iż *Jezus rozpoczynając* swój zawód *miał lat około trzydzieści* (około 30 = 28 — 32; zob. wyżej str. 334).

b) *Jan* 2^{20} wspomina, że podczas pierwszej Paschy Chrystusowej (a więc w r. 27 po Chr., jak wyżej widzieliśmy [str. 343] biegł już 46 rok odbudowy świątyni jerozolimskiej. Herod W. — jak wiadomo — rozpoczął przebudowę świątyni w 18 roku swego panowania, a więc 734/735 od zał. Rz. = 20/19 przed Chr. Dodając do tego liczbę 46/45, otrzymamy początek (w i o s n ę) roku 780 od zał. R. = 27 po Chr.

c) Z tymi wywodami stoi wreszcie w zgodzie i wybornie je potwierdza rok śmierci Jana Chrzciciela. Śmierć ta nastąpiła za ż y c i a t e t r a r c h y F i l i p a, przyszłego męża owej Salomy (jedynaczki Herodyady), która jako 12—14-letnia dziewczyna przez swój rozwiązły taniec spowodowała śmierć Jana Chrzciciela. Tetrarcha Filip umarł między r. 786/787 od założenia Rzymu (por. *Józef Fl.*, Ant XVIII 4, 6); Jan zaś nie żył już podczas trzeciej Paschy Jezusowej (t. j. w marcu 782 r.). Poniósł przeto śmierć z początkiem r. 782, a więc 5—6 lat przed śmiercią Filipa, którego żoną została niebawem owa właśnie Salome. Jak wiemy, była ona przy śmierci swego pierwszego małżonka Filipa jeszcze bardzo młodą (około 18—20 lat).

(Dok. nast.)

Ks. W. Szczepański.

Z cyklu »Opowieści Chrystusowe«.

Dwunasty uczeń.

W rozedrganem powietrzu ciepłej, wiosennej nocy snuły się szepty słów urywanych

— Jezu . . .

— Jezu z Nazaretu . . .

— Rabbi!

— Ratuj nas . . .

— Spójrz na nasze nędze, nasze bole i przyjmij je na siebie . . .

— Ty miłosierny . . .

— Ty litościwy . . .

— Ty do którego serca nikt dotąd nie kołatał na próżno . . .

— Jezu z Nazaretu . . .

— Rabbi! . . .

Jasna, smukła sylwetka Chrystusa szła wśród żebrzącego, rozełkanego tłumu, palce Jego dotykały ropiejących, ciekących powiek, oczu ociemniałych, uszu, które słyszeć przestały, kładły się na wyjących ustach obłąkanych, na ich głowach, pokrytych martwym, dawno nie czesanym włosem, a spokojny, łagodny głos Jego o dziwnem, metalicznem brzmieniu, rzucał w przestrzeń nakaz:

— Efata! [1]).

[1]) Otwórz się.

I słuchały zamarłe zmysły rozkazu Twórcy, milknął dziki śmiech obłąkanych, oniemiałe usta drgały szeptem dziękczynienia, zgasłe oczy z zachwytem spoglądały w wizyą młodzieńczej twarzy, wyłaniającej się z mgły wiecznego mroku, w martwą ciszę głuchych, spływał jak mocarna pieśń życia, jasny głos Pana.

O zaiste nikt pomocy Jego nie wzywał na próżno... oto teraz nad ostatnim chorym z okolicy Kapernaum błogosławiące wyciągnął dłonie, dotknął gorączką rozpalonych skroni, a potem Jego błękitne, ku gwiezdnej opońie nocy, wzniesione oczy, spojrzały po tłumie cichym teraz, skupionym, przytłoczonym wprost potęgą wydarzeń, po tłumie, który w radosnym zda się zakamieniał lęku... Smutny pół uśmiech drgnął na dziewiczych ustach Jezusa z Nazaretu, bo oto przyniesiono do Jego stóp wszystkich ułomnych i chorych, błagając dla nich tak natrętnie uzdrowienia, a nikt nie zawołał: Panie... dusze nasze zbłąkane ratuj!

A oto tam, zbliżyły się już dwie ostro zarysowane głowy żydowskich uczonych i zastanawiają się jaką mocą on to czyni?

I tym ozdrowieńcom dziś pełnym wiary i dziękczynienia, rzucą jutro: uzdrowił was mocą szatana!... I w nich nawet zachwieje się wiara... w nich, którym zdrowie przywrócił.

Ból w nim był i smutek bezmierny... jako zawsze tak i dziś, coś obcego a wrogiego zrywało się pomiędzy Jego miłośnie wyciągniętemi ramionami a temi zbłąkanemi dziećmi Jego ducha...

Nie czekając oprzytomnienia milczącego tłumu, wyminął ustępujących mu z drogi, z mieszaniną szacunku i trwogi i szedł wązką ścieżyną, wijącą się w górę, jak wstęga biała, rzucona wśród ciemnej zieleni traw i oleandrowych, w kwiecie stojących gajów. Pragnął ujść dziękczynieniu i owej hałaśliwej radości wschodniego ludu...

Ogarnęła go cisza, migdałowa, upajająca woń oleandrów, zroszonych traw i blado-liliowych, górskich hyacentów. Leciuchny wietrzyk niósł ożywczy powiew od jeziora i muskał

skronie Chrystusa jak chłodna, pieszcząca dłoń. U stóp góry, w rozbłysku miesiąca, lśniła srebrem nieruchoma tafla Tyberyadzkiego jeziora, na kształt łzy, która stoczyła się po świeżem obliczu matki ziemi... w przeczuciu bolu...

Smutek pełznął od dolin, od ciemnych, skalnych rozpadlin... przygasł księżyca blask za czarnych, porwanych chmur zwałem, gdy na białą ścieżkę, po której szedł Jezus z Nazaretu, padł wydłużony ludzki cień, a głos niski zadrżał przestrzenią:

— Rabbi...

Chrystus spojrzał w mrok oleandrowego gaju, z którego szła ku niemu ciemna, wysoka, lekko pochylona sylwetka człowieka i oczy Jego wzniosły się ku tajemnicy nieba pytaniem:

— Zali już... Ojcze mój?

Ukośny promień księżycowego światła padł na twarz nadchodzącego, ostro wystąpiły z ciemni regularne rysy smagłej, rasowej twarzy o nieco za silnie rozwiniętej szczęce dolnej i wązkich, bezbarwnych, kapryśnych ustach. Pod łukami ciemnych brwi płonęły oczy o niepewnej barwie żywe i bystre, ale chąwające się co chwilę pod osłonę zmęczonych błękitnawych powiek, nad sklepionym mrokiem czoła wichrzyła się złoto-ruda czupryna i opadała około uszów w dwa długie, miękkie loki. Kontrast do tej twarzy tworzyły ruchy niedbałe, ociężałe, pomimo smukłej budowy korpusu... było w tym człowieku coś przedwcześnie zwiędłego i zużytego, brudnego i odpychającego, pomimo dziwnie białych rąk wspierających się z siłą na kiju podróżnym i wytwornej niedbałości ruchów.

Wiało od niego tragizmem budowli, która piękną być mogła, ale w ruinę się obróciła przed wykończeniem.

— Nauczycielu... patrzyłem na cuda twoje, tam w dolinie słuchałem uprzednio słów twoich i... przyszedłem...

— Dla słów moich... czy dla cudów?...

Po ciemnej twarzy przybysza przebiegło nerwowe drgnienie, krzywiąc linie ust, smukła ręka, kijem podróżnym wierciła biel piasku.

— Do ludzi Nauczycielu... czyn przemawia zawsze silniej niżeli słowo — odrzucił wreszcie...

— Prawdę rzekłeś...

— Od kilku tygodni byłem w rzeszy, która otaczała cię Rabbi, wreszcie przyszedłem, by cię prosić o wyjaśnienie... — pytające, ciekawością rozbłysłe źrenice wpiły się w twarz Pana spojrzeniem i ukryły natychmiast w cieniu zmęczonych powiek. — Chciałbym bowiem wiedzieć... zali i dusze ludzkie możesz uzdrawiać tak łatwo jako i ciała?...

— Człowiek otrzymał wolną wolę i prawo wyboru wśród dobra i zła... może skarb ducha przy urodzeniu otrzymany życiem powiększyć, może go jako ten skąpiec w ziemi zakopać i może go zmarnować!... — Spokojne, długie spojrzenie objęło pochyloną lekko głowę nieznajomego i jego oczy, błąkające się znowu niespokojnie wśród drzewnych pni i głos Jezusa z Nazareatu zadźwięczał siłą, — A ten kto skarb ducha swego zmarnował, żyjącym trupem jeno jest... Judaszu z Kariotu.

Na dźwięk wymówionego imienia, nieznajomy przystanął, w błysku jego szeroko rozwartych oczu taił się obok zdziwienia lęk...

— Zali... znasz mnie Panie!?...

W mrok nocy padła odpowiedź cicha, przepojona bezmiarem smutku

— Lepiej niżeli ty sam siebie poznać zdołałeś człowieku.

Nastała cisza... Chrystus szedł dalej, ową białą wstęgą drogi, wijącej się ku szczytom, Judasz z Kariotu postępował o kilka kroków za Nim, ogarnął go jakiś olbrzymi, przytłaczający smutek, mimowiednie niemal przeszłość wracała wspomnieniem... Widział się w domu ojca, zamożnego pana stad rozlicznych i niewolników. Jaki młody był wtedy i jaki... szczęśliwy...

Gorzkie uczucie żalu dławiło go w gardle, a gdzieś, z głębin oleandrowych, w kwiecie stojących sadów, zdało się ku niemu snuć pytanie, w szeleście liści, w piosnce słowiczej, w kwiatów upojnej woni:

— Co uczyniłeś ze skarbem ducha twojego człowieku? Zali pomnożyłeś go? . . . zmarnowałeś? . . .

Drwiący uśmiech przesunął się po bezkrwistych ustach Judasza z Kariotu i zgasł w skrzywieniu bolesnem.

Skarb ducha . . .

Było w nim niegdyś tyle energii i siły, taka młodzieńcza myśli potęga . . . gdzież ona dziś? . . . Roztrwonił ją po drogach życia . . . Wspominał teraz ten okres bytu ze smutkiem dziwnym . . . jak żebrak w zatłuszczonych, latami niezmienianych łachmanach wspomina jasną szatę, którą w dzieciństwie przyodziewała go matka.

Dla uzyskania wiedzy i ogłady, wysłał go ojciec, młodzieniaszkiem ledwo dorosłym do Jeruzalemu, na dwór Heroda Antypa.

W świątyni słuchał mów izraelskich uczonych, w pałacu Heroda greckich retorów, a w jego młodą, płomienną duszę waliło zepsucie wieku falą potężną i nauczył się gardzić zanim zrozumieć mógł i mieć dla wszystkiego ironiczny uśmiech wątpienia. Nocne życie stolicy porwało go . . . wchłonęło, wypiło z duszy siłę, z myśli czystość, z kieszeni złoto i wyrzuciło zmięty łachman człowieka bez siły, bez wiary, bez woli . . . Wrócił w on czas do rodzinnego domu, ojciec już nie żył, majątek przeszedł w większości w obce ręce, na pozostałej resztce ciążyły długi . . . jego to była wina . . . Płakał wtedy u kolan matki, przyrzekając poprawę, tulił do ust jej zwiędłe ręce, obiecywał pracą i wytrwałością odbudować co szaleństwem zburzył. Uwierzyła mu . . . kochała go przecież . . . a zresztą w owym mgnieniu, u stóp tej starej kobiety o wypłakanych, zblakłych źrenicach on sam w siebie wierzył . . .

Do dziś nie wie, jak się to stało, iż starczyło mu woli i chęci na kilka tygodni zaledwo a potem . . . potem . . .

Minęło od tego czasu lat dziesięć, a jednak do dziś jeszcze wzdryga się w nim coś wstrętem . . . do dziś słyszy łagodny, trwożny głos matki:

— Czego szukasz Judo? . . .

I swój kłamem przesiąkły:

— Klucz mi spadł za twoją skrzynię matko . . .

Jakże mu wtedy ręce drżały, gdy za koszulę wkładał złotem oszyty naczółek matki i jej wyprawne manele... jakże mu serce biło, a jednak zdobył się na to, że okradzionej ręce ucałował przed odejściem. Echem wraca mu znowu jej głos pieszczotliwy.

— Idź synku . . . idź, a wracaj przed wieczorem . . .

I pali go na skroniach dotknięcie jej dłoni . . .

Wstręt miał wtedy do samego siebie, a jednak . . . nie wrócił . . .

W Jeruzalemie poszły owe manele i monety złote na grę w kości, kobiety i wino. I przyszedł dzień w którym znowu znalazł się w obec wykrzywionej maski nędzy. Próbował pracować, ale pieniądz zarobiony przeciekał przez jego smukłe palce jak woda, a nie nawykłe do trudów bolały kości. Więc zaczął służyć możnym za pomocnika do czynów różnych, kapłanom za szpiega, czepiał się progów bogaczy jak ostryga nadmorskich skał i sprzedawał dowcip swój i spryt, zimną krew i doświadczenie życiowe. Używano go chętnie, umiał bowiem zawsze zachować pozory i jedynie ci, którym służył, wiedzieli co czaiło się za spokojną maską układnego i wytwornego Judasza z Kariotu.

A jednak i w nim odzywało się czasem sumienie . . . głuszył je winem i grą w kości, krwawą nienawiść rozdmuchiwał w duszy dla wszystkiego, co jeno jasne było, dobre a czyste. Sam niezdolny do wyzwolenia się z kajdan winy, pragnął wszystko dokoła zohydzić i zbrukać, by go razić przestało mocą kontrastu . . . Śnił mu się czasem wid posiadania i władzy i do gry w kości zasiadał, męty jego duszy szalały wtedy jak jezioro w czasie burzy, z podniecenia przechodził w niewładnący sobą szał . . . czuł dziwną rozkosz, dotykając gorejącemi palcami chłodnego złota i srebra monety, szczęśliwy był, gdy przed nim wzrastała wygrana . . . drżał bolem, wściekłością, gdy znikała . . .

Bo to jego wyzwolenie . . . przyszłość . . . jego obłędny szczęścia jaw toczył się po stole do rąk towarzyszy . . .

A po dniach szału... przychodziły na niego dnie żalu i samopoznania, męczył się wtedy do szaleństwa, gardził sam sobą, przeklinał ludzi, Boga, życie i siebie, zazdrościł wszystkiego wszystkim i po takich łzach, które czynu nie rodzą, bywał specyalnie giętki, odważny i... podły.

Przed kilku tygodniami wezwał go Kaifasz do swego pałacu, służył mu już nieraz i sprytem swoim zasłużył nie jedną srebra garść w świątyni. Arcykapłan ponury był i gniewny, w jego surowych oczach tliła się pogarda... mówił mu o Jezusie z Nazareatu, synu cieśli, nowym proroku, uczącym właśnie w Galilei, świątynia potrzebowała człowieka, któryby śladami Chrystusa szedł jako cień i donosił o wszystkiem kapłanom.

Judasz z Kariotu podjął się zadania z radością, zabrawszy zadatek, przywdział ciemny płaszcz człowieka z ludu i poszedł do Galilei.

Zdaleka, zmięszany z rzeszą ludu słuchał słów Pana i znikał z jego wązkich ust sceptyczny uśmiech pogardy. Patrzył, na ową młodzieńczą, wysmukłą postać tak pełną mocy jakiejś dziwnej, najpierw z zazdrością, później z podziwem, a w końcu z dziwnem, w pierw mu nie znanem wzruszeniem. To z pod zgniłego nalotu życia, jak błędny ognik błysnął raz jeszcze ów skarb zmarnowany... bo od słów Chrystusa szła moc, która w kamieniach nawet mogła wzbudzić ducha.

I stało się, iż jako niegdyś u kolan matki, tak dziś idąc za Chrystusem Judasz z Kariotu miał silną wiarę w własne postanowienie poprawy.

Kaifasz?... kapłani?..

Cóż jemu do nich... co im do niego... Jedna więcej niedotrzymana umowa. Któż słowa na szali waży?

Biło mu serce niepokojem, drżące dłonie szarpały kraj płaszcza, gdy mówił urywanie:

— Rabbi... wiele jest we mnie ciemnego i złego, aleć nie wszystko i gdybyś mi dozwolił iść za tobą, może byłbym jako ów dłużnik, któremu pan najwięcej darował, więc go ukochał... najsilniej. — Zamilknął... Gdzieś, w głębi ducha zrywał się głos.

— Judaszu — oto do kolan mu padnij i wyznaj wszystko o Kaifaszu, kapłanach, o srebrze, o całej tej podłej roli, którą odegrać chciałeś, dla której przybyłeś do Galilei... Obnaż duszy twojej nędze, jako ów trędowaty w dolinie z wiarą owrzodziałe, odsłonił ciało, a jako on otrzymasz oczyszczenie...

A z mroków jaźni pełznął szept

— Zamilknij Judaszu... zali mógłby zawierzyć ci kiedykolwiek, gdyby wiedział, iż go szpiegować przyszedłeś... odwróciłby się od ciebie, ze wstrętem... a wtedy męty życia zaleją cię już bez ratunku.

I znowu przelewał mu się w duszy krzyk ducha szamocącego się w męce

— Wyznaj wszystko... widziałeś, by On odwrócił się kiedykolwiek od tych, którzy szczerej pokuty przynieśli żal?...

— Zmilknij... wstyd zdławiłby ci słowa w poczęciu... Pragniesz być w Jego oczach na równi z innemi uczniami... więc milcz!

Zimny pot oblał czoło Judasza z Kariotu, otwierały się usta i zamierał na nich niewymówiony szept, w szeroko rozwartych źrenicach czaił się śmiertelny lęk zwierzęcia osaczonego w kniei.

Milczeć?...

Mówić?...

Wybawienie to?... A może jeno przepaść bezdenna... Jezus z Nazaretu zwrócił ku niemu spojrzenie oczekujące, łagodne i rzucił zachęcająco

— Mów dalej.

Wzgardzi tobą... wzgardzi i odejdzie...

O rzuć mu się do stóp i wyznaj wszystko, raz w życiu szczerym bądź!

Milcz... oszukałeś już tyle razy i dobrze ci z tem było zawsze... zrób to i dziś...

Wyznaj... On wie wszystko... Judaszu...

Judasz z Kariotu rozwarł usta, drgało na nich wyznanie prawdy, ból, żal, skrucha, ale w tym samym mgnieniu fala pychy i trwogi schwyciła go za gardło, stłumiła rwący się głos.

Oczy Chrystusa zmierzchłe smutkiem wzniosły się ku zagadce nieba

A jednak . . . za nich . . . za wszystkich . . . Ojcze mój . . .

A w duszy Judasza ciemność potężnemi dłońmi dławiła światło, gdy odwracając oczy ku białemu otokowi drogi, mówił niepewnie:

— Rabbi . . . jeżeli jestem . . . takim, jakim jestem, nie moja to wina wyłącznie . . . Życie porwało mnie, niedoświadczonego młodzika zmięło, wyssało, wypłuło . . . jako fala martwe wyrzuca ciała . . . życie z nich wziąwszy . . . I oto dziś Rabbi . . . jako tonący jestem, który ostatnim skurczem ramion ratunku szuka i chwyciłby się źdźbła z pełnią nadziei i . . . wiary . . .

Cisza . . .

Jezus z Nazaretu przystanął na ścieżce, spojrzenie Jego surowe teraz, a żałosne, spoczęło na szczupłej twarzy Judasza, na jego niespokojnych, powiekami przysłoniętych oczach, gdy rzekł wolno:

— Wierz mi Judaszu z Kariotu . . . źdźbło, wierzącemu belką być może, która ku ocaleniu zaniesie aleć i belka jako źdźbło pryśnie, gdy wiary i wytrwania zabraknie. W duchu i w prawdzie należy czcić Boga . . . bo duchem jest On i prawdą!

Było coś w głosie Chrystusa co zimnym dreszczem lęku przesunęło się po kręgosłupie Judasza i skurczem bolesnym do mózgu doszło . . .

W duchu i w prawdzie . . .

Zali on w duszy ci czyta i wie, że oto kłam w niej masz! Odrzuć go precz . . . czas jeszcze . . .

Nie . . . mogę . . .

A surowe, głębokie oczy Pana pytały:

Gdzie wiara i prawda twoja . . . człowieku . . .

Judasz milczał . . . na piasku bezmyślnie kijem kreślił hebrajskie litery, a gdy wreszcie głowę podniósł, to był na jego zbladłej twarzy ból i upór, pycha i nienawiść prawie, a ochrypły głos obcym się zdał jemu samemu nawet:

— Rabbi . . . gdybym wiary nie miał . . . po cóż przyszedłbym tutaj? Wiara jest we mnie i . . . prawda . . .

Zimny wiew śmierci przesunął się przestrzenią, przygasł księżyca blask... rozłkały drzewa w nagłej wichury poświście, szatańską melodyą śmiechu i łez, gdy z piersi Judasza błagalny snuł się szept:

— Rabbi... dozwól mi uczniem twoim zostać i służyć ci.

Echem od falistych wzgórz Galilei wicher łkał:

— Rabbi... Rabbi...

I zdało się Judaszowi, że biała, smukła postać Pana wypełnia przestwór, potęgą i mocą lśni... i oto jego własne ja niczem się staje, rozsypuje w proch, do ziemi lgnie... jak straszna, wstrętna, zniszczona szata... skazana na zagładę.

W szaleńczym lęku do ziemi przypadł... wpił się drgającemi wargami w ścieżyny piasek... a w sercu dźwięczały mu słowa potężne jak grom:

— Ja, który z kamieni mogę wzbudzić wyznawców, uczniem cię moim czynię Judaszu z Kariotu, pokoleniom przyszłym na wzór... iż kto kłam niesie Bogu zdradza Go!...

Cisza... jeno wichury żałosny jęk... jeno ziemi bolesny dreszcz... Judasz omdlał...

Gdy po długiej, długiej chwili obłędne lękiem otworzył oczy... cisza była do koła a ciepła, wiosenna noc przędła baśni srebrzystej cud i opadały blado-różowe kwiaty oleandru na ścieżki biel...

Judasz drżącemi dłońmi płonące ogarnął skronie.

— Zali śniłem to wszystko?...

Jezus z Nazaretu... zniknął... nie mogą go już dojrzeć oczy Judasza z Kariotu, ale na białym piasku drogi, w rozbłysku miesiąca, czerni się napis, który skreślił mimowiednie w czasie rozmowy z Chrystusem i rzuca mu teraz w twarz pobladłą wyraz pełen wzgardy...

Zdrajca...

Judasz z Kariotu podniósł się i pochylony zaczął z wolna schodzić w dolinę... ku ziemi...

Marya Czeska.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Ewangelie. *Ks. Dr. Józef Kaczmarczyk.* Studyum krytyczne. — Kraków 1915, str. 391.

Kilka lat temu wydał X. Dr. Kaczmarczyk książkę pod tytułem: Bóstwo Chrystusa istotą ewangelii, w której zwrócił się gruntownie przeciwko tezie Harnacka, wygłoszonej w znanej książce: *Das Wesen des Christentums*, że treścią ewangelii nie jest Chrystus, Bóg człowiek, ale Bóg i dusza ludzka, oraz przeciwko całej nowoczesnej krytyce liberalnej w Niemczech i we Francyi, chcącej zrozumieć dzieło Jezusowe bez samego Jezusa, założyciela Kościoła. W książce natomiast obecnej omawia wartość objektywną źródeł, skąd tę naukę czerpiemy, t. j. naszych ewangelii kanonicznych.

Dzieło X. Dra Kaczmarczyka rozpada się na dwie części: w pierwszej części omawia w sposób oryginalny, sumienny bardzo i w naszej literaturze polskiej zgoła nowy, wiarogodność ewangelii i to tak, że czytelnik odrazu nabierze przekonania o pierwszorzędnem znaczeniu historycznem ewangelii, jako dzieł, opartych na bezpośredniej znajomości czasu, środowiska historyi ewangelicznej. Podnieść należy na samym wstępie rozdział o języku N. Testamentu — tu zapoznaje się czytelnik o najważniejszych i tak doniosłych odkryciach ostatniej doby i na podstawie długiego szeregu trafnie dobranych przykładów, dowiaduje się o organicznej łączności języka ewangelii z ówczesnym językiem ludowym. Zaznaczam przytem, jak są ważne te odkrycia filologiczne dla należytej oceny objektywnej wartości ewangelii. Szkoda tylko, że ten rozdział tak interesujący jest tak krótki, i że autor bliżej nam nie przedstawił różnic w języku

poszczególnych ewangelii. W każdym razie po pracy X. Kruszyńskiego w Ateneum ogłoszonej, jestto pierwsze tego rodzaju studyum u nas.

W ustępie drugim omawia autor na podstawie bardzo szerokiej, a zarazem pozbawionej przyjętego powszechnie szablonu, historyę krytyki ewangelicznej od Reimarusa aż do obecnych czasów, nie pominął żadnego wybitniejszego kierunku, przyczem informuje zawsze starannie o odnośnej bibliografii zwłaszcza polskiej. Rozdział ten, oparty na gruntownem studyum, daje zwięzły i dosadny obraz usiłowań racyonalizmu, by zedrzeć z ewangelii ich nadprzyrodzone piętno. Łącznie z tem analizuje Sz. Autor literaturę starochrześcijańską, podkreślając w niej wpływy ewangelii, uwydatniające się stale i z biegiem czasu coraz widoczniej. Odnośne teksty ze względu na brak dostatecznej znajomości u nas języka greckiego tylko w wątpliwych miejscach przytacza w oryginalnem brzmieniu. Nie pominął mojem zdaniem żadnego wybitniejszego momentu i zapoznaje nas zarazem z najważniejszemi zagadnieniami i problemami krytyki historyczno-literackiej starożytnego piśmiennictwa chrześcijańskiego. Rozumie, że niepodobna jest w książce, zakreślonej w ramach podręcznika dla teologów, rozwijać tych kwestyi szeroko, ale ogółem wywiązał się z tego trudnego zadania bardzo szczęśliwie. Ośmieliłbym się jednak wytknąć jedno: mianowicie nieścisłe, mojem zdaniem, tłumaczenie w świadectwie Papiasza o powstaniu ewangelii św. Marka wyrażenia: „ἕνια“ (str. 60). Autor tłumaczy to wszystko „po szczególe“, podczas gdy ono może tylko oznaczać „niektóre szczegóły“. Stąd też poszło, że autor musi potem zbyt szeroko interpretować wyrażenie: οὐ μέντοι τάξει Papiasz nie twierdzi bynajmniej, by wogóle ewangelia św. Marka pozbawiona była porządku w układzie, utrzymuje tylko, że niektóre szczegóły nie są umieszczone u Marka w następstwie historycznem, bo Marek nie był uczniem Jezusowem, ale pisał ewangelie na podstawie dorywczych opowiadań św. Piotra. Przecież Papiasz nie mógł nie zauważyć pięknego układu tej ewangelii, który się przecież aż nadto rzuca w oczy — jeżeli zaś układ go nie zadawalniał, to zdaje się pochodziło stąd, że miał na myśli stosunek układu św. Marka z inną ewangelią, najprawdopodobniej z Janem. Gdyby Autor był ἕνια tłumaczył rzeczowo i ściśle, nie byłby się też musiał powoływać na nieszczęśliwy cytat z Belsera, którego zresztą zwykle osądza krytycznie. Również mojem zdaniem nie należało mówić przy literaturze II-go

wieku o istnieniu *disciplina arcani* — ona wtenczas nie miała jeszcze zastosowania, dopiero później i to w zakresie ściśle ograniczonym (str. 79). Także szkoda wielka, że Autor zbyt pobieżnie się załatwił ze świadectwem Józefa Flawiusza o Jezusie Chrystusie — problem ten nie jest jeszcze dzisiaj tak jasnym, jakby należało sądzić z przedstawienia w tej książce, ale zresztą był on już u nas w Polsce szeroko omawianym przez X. Trzeciaka i X. Dra Szymeczkę. Ogółem rozdział ten jest opracowany sumiennie i gruntownie; żałować jednak należy, że rozdział o wewnętrznych kryteryach autentyczności ewangelii naszych nie opracowany tak, jak poprzedni, tem bardziej, że na tym koniku krytyka racyonalistyczna najwięcej lubi jeździć, ale w drugiej części o niejedno jeszcze z tej dziedziny zagadnienie Autor potrąci. Tu też wkradło się kilka przykrych pomyłek — i tak: Jordan nie był chyba spławnym (str. 109), Heród Antypa nie zginął we wojnie z Nabatejczykami, ale umarł na wygnaniu w Gallii, dokąd go zesłał Kaligula (str. 100). Nazwa ἀρχιερεύς nietylko przysługiwała byłym arcykapłanom, ale także najwyższym urzędnikom świątyni i naczelnikom najwybitniejszych rodów kapłańskich, stąd słusznie synoptycy zawsze piszą „*summi sacerdotes*". Również nie jest po dziś dzień stwierdzonem, kiedy powstała Peszitta, zdaje się jednak być wykluczonem, by ona już istniała w II. wieku — wtenczas powstały dwa inne znane nam dzisiaj tłumaczenia syryjskie.

Pięknie natomiast i gruntownie opracowany jest rozdział o wiarogodności ewangelii; daje w nim Autor dosadną i znakomitą odpowiedź różnym systemom i teoryom nieprzychylnym ewangeliom, jako źródłom i dokumentom zasługującym na wiarę.

Część druga omawia poszczególne ewangelie. Autor chcąc dać naszym teologom do ręki podręcznik, musiał się ograniczyć do zestawienia najważniejszych faktów, które starannie ugrupował, tak, że uczeń z pomocą jego książki nietylko zapoznaje się ze zasadniczymi problemami krytyki ewangelicznej, ale równocześnie uczy się wnikać głębiej w treść i znaczenie ewangelii. Zaletą wielką tej książki jest ta okoliczność, że Autor omawiając treść ewangelii, nie ujmuje jej w powzięty z góry schemat, jak się to czyni jeszcze często w introdukcyach do ewangelii, ale analizuje fakta po kolei, tak, iż czytelnik uważny sam wysnuwa jej myśl przewodnią przy pomocy uwag danych przez Autora, odnośnie do celu, okoliczności i czasu napisania ewangelii. Słusznem jest też zdanie Autora, gdy przy określaniu czasu powstania ewangelii ogranicza się do zacytowania świadectw

najstarszych oraz do stwierdzenia, że ewangelii synoptycznych nie można przesunąć po za r. 70 — i że prawdopodobnie powstały w tym porządku, jaki ma dzisiaj w kanonie.

Również trwałą zasługą Sz. Autora jest, że pierwszy już w swem dziele: Ireneusz i ewangelie podniósł, że świadectwa Ireneuszowego o powstaniu ewangelii w *adverus haereses* III. nie powinno się właściwie rozumieć o czasie, w kórym te ewangelie zostały napisane. Istotnie gen. abs. εὐαγγελιξομένων i θεμελιούντων nie należy tłumaczyć jak powszechnie się utrzymuje, *cum Petrus et Paulus Romae evangelizarent et fundamenta iacerent ecclesiae* — lecz przeciwstawnie. Tak samo dalszy ustęp: *post eorum exitum autem*. Bo św. Ireneusz w sławnym tym swoim tekscie, którym rozpoczyna się jego księga, nie ma bynajmniej zamiaru pouczać nas o czasie napisania poszczególnych ewangelii, lecz, jak dowodnie stwierdził uczony benedyktyn Chapmann, za którym poszedł Harnack, Lagrange i inni, chciał Ireneusz stwierdzić tylko ten fakt, że gdyby Kościół nawet nie miał ewangelii swoich, to mimoto nauka Jezusowa byłaby się w Kościele przechowała wiernie mocą tradycyi. Ireneusz chciał, jak pokazuje cały tok myśli III księgi, podnieść fakt, że lubo Piotr i Paweł nie napisali ewangelii, to jednak nauka i ewangelia ich doszła do nas w kościele rzymskim, przez nich założonym, gdy tymczasem Mateusz jeden z mniej wybitnych apostołów swoją ewangelię nam zostawił na piśmie. Stwierdza jednak dalej Ireneusz, że jednak ewangelia tak Piotra i Pawła do pewnego stopnia po ich z e j ś c i u, t. j. śmierci do nas doszła. Piotrowa ewangelia przechowała się u Marka, a Pawłowa u Łukasza towarzyszów ich. X. Kaczmarczyk jednak niewiadomo czemu stanął w połowie drogi. Zdanie pierwsze u Ireneusza tłumaczy dobrze, zaś *post eorum autem exitum* (str. 204) tłumaczy mylnie po ich wyjściu z Rzymu, kiedy *exitus* tu właśnie może oznaczać tylko po ich śmierci. Widocznie nie zwrócił uwagi Szan. Autor na pracę Chapmana (*Journal of theological Studies* r. 1907, str. 563) i Harnacka: *Neue Untersuchungen zur Apostel-Geschichte* r. 1911, str. 90—92. Szkoda, że swojej teoryi nie wykończył. Tekst Ireneusza ma dla nas wagę niezmierną, ale nie powinno się go używać na określenia czasu powstania ewangelii, bo inaczej trzebaby Ireneuszowi przypisać szereg błędów rażących co do historyi starego Kościoła.

Co do ewangelii św. Marka miałbym do zaznaczenia to jedno, że nigdzie i nikt w tej ewangelii nie wyczyta, by Jezus chciał nau-

czać pogan, lub swoją działalność misyjną przenieść po za terytoryum ziemi Izraelskiej. Działalność Jezusowa w Dekapolu, Fenicyi i w okolicach Hermonu jest taksamo przypadkowa jak u Mateusza. Jeżeli zaś św. Marek nie przytoczył słów Jezusowych, mogących sprawić niemiłe wrażenie na duszach Rzymian lub Greków, wyrażeń takich jak: *in viam gentium ne abieritis*, lub *in civitates Samaritanorum ne intraveritis* nie mogli oczywiście cytować apostołowie wobec słuchaczy, którzy nie byli Izraelitami. Wyrażenia te miały charakter czasowy a nie absolutny, miały znaczenie w zastosowaniu do misyi Jezusowej tu na ziemi i do działalności apostołów początkowej, gdy ta działalność jeszcze nie wychodziła po za obręb ziemi Izraelskiej. Św. Mateusz zaś je przytoczył i to umyślnie, celowo. Św. Mateusz bowiem nietylko udowadnia, że Jezus jest Mesyaszem, przez Boga Izraelitom obiecanym, ale, że ani w jego osobie, ani sposobie działania, ani też w królestwie przezeń założonem nie masz niczego, coby nie zgadzało się z tem, co o Mesyaszu mamy w Biblii. Jezusowa działalność ziemska, mesyaniczno-kaznodziejska obejmować mogła tylko Izraela; właśnie ta okoliczność, że Izraelici nie poszli za Jezusem, a za to tylu za Nim poszło i za Jego nauką i Greków i Rzymian, stanowiła dla wielu Izraelitów ogromną trudność, czy Jezus jest istotnie Mesyaszem, skoro właśnie Izrael nie poszedł za Nim. Jeszcze św. Paweł tak będzie się musiał z tą trudnością borykać *cf. Rom.* IX—XI i on sam zawsze najpierw idzie do Izraela, a potem do Greka — *evangelium est virtus Dei omni credenti — Iudaeo primum et Graeco.* Słowa Jezusowe u Mateusza są autentyczne i prawdziwe, i Marek nie może im się przeciwstawiać, twierdząc, że Jezus działał i apostołował wśród pogan — tego też nigdzie nie mówi. Naturalnie, że P. Jezus zbawił wszystkich i umarł dla wszystkich, ale tu na ziemi działał tylko wśród Izraelitów — co jeszcze z taką emfazą zaznacza ewangelia św. Jana r. XII.

Cała część druga opracowana jest bardzo sumiennie poza tem jednem tylko, że niedość ściśle i jasno określono cele poszczególnych ewangelii, a szczególniej odnosi się to do ewangelii Mateuszowej, tak bogatej w treść, a dla nas katolików szczególniej ważnej. Bezprzecznie najlepiej opracowana została ewangelia św. Łukasza — co do ewangelii Janowej również Autor dobrze wypełnił swe zadanie.

Braki te jednak nie ujmują wartości tej książki; oby ona znalazła się w ręku wielu — odda ona zapewne dużo usługi całemu naszemu młodemu ruchowi biblijnemu. Podniesione zarzuty wskazują

chyba tylko to jedno, jak trudnem jest, tak niezmiernie bogaty materyał krytyczny odnośnie do ewangelii opracować wszechstronnie. Autor już od szeregu lat należy do specyalistów wybitnych w tym zakresie. Możeby też należało sobie życzyć szerszego uwzględnienia historyi tekstu greckiego, kanonu N. Testamentu, ale zapewne Sz. Autor chce te rzeczy traktować jako osobny dział, jak się to dziś powszechnie czyni. Rzetelna ta i sumienna praca zasługuje na najszersze uznanie i poczytność.

X. Dr. Wilhelm Michalski C. M.

Rocznik oryentalistyczny; wydają: *Andrzej Gawroński, Jan Grzegorzewski, Władysław Kotwicz, Jan Rozwadowski.* Część pierwsza. Kraków 1914/15 in 8° str. 224.

Z niekłamaną radością przychodzi nam powitać nowy objaw niestrudzonej pracy polskiego ducha, który nawet w czasie najkrwawszych bojów, klęsk i ciosów daje dowody swej niespożytej siły i żywotności. W ostatnich latach o polskiej oryentalistyce było dość głucho w zagranicznych uczelniach. Ta ze wszystkich może najwięcej w sobie bezinteresowna, a dla swych specyalnych warunków najniedostępniejsza gałąź wiedzy ludzkiej, w której dawna Polska, świetne pozostawiła po sobie wspomnienia (wystarczy wymienić nazwiska: Menińskiego, Otfinowskiego, Macieja Miechowity, W. Majewskiego, Kossowicza, a w wieku XIX.: Sękowskiego, Chodźki, J. Kowalewskiego, Kazimirskiego, Muchlińskiego i innych) — nie miała dotąd u nas wspólnego ogniska, musiała szukać gościny wśród obcych. Pan Jan Grzegorzewski, znany i zasłużony założyciel „Hyacynthaeum" (stacyi naukowej polskiej na Wschodzie), już od kilku lat nosił się z myślą stworzenia dla polskich oryentalistów wspólnego organu. Rzecz napotykała na bardzo poważne trudności; ale w końcu silna wola i odważna przedsiębiorczość wzięły górę — i w chwili, gdy Polska w krwi swej się pławi, — i odmładza, — *Rocznik oryentalistyczny* rozpoczyna swe życie. Witamy nowego bojownika nauki i prawdy, i życzymy mu, jak najpomyślniejszego rozwoju przez długie lata.

Ze względu na wyłącznie informacyjny charakter niniejszego sprawozdania i na szerokie koła czytelników *Przeglądu* ograniczę się do krótkich uwag.

Pierwsza część Rocznika przedstawia się nader poważnie. Zło-

żyło się na nią dziesięć rozpraw (przeważnie dłuższych), których filologiczna gruntowność i przedmiotowość, przynoszą zaszczyt autorom i dają rękojmię, że jeśli Rocznik kroczyć będzie po tej samej linii wytycznej, dorówna bez trudności swym siostrzycom Zachodu. P. Andrzej Gawroński z Krakowa, w dwóch artykułach (1-szy *Gleanings from Aśvaghōsa's Buddhacarita*; 2-gi *The digvijaya of Raghu and some connected problems*) przenosi nas w świat indyjskiej literatury i filologii. Rzecz to dostępna jedynie dla fachowców, a recenzent nie będąc indologiem, musi niestety poprzestać na postej wzmiance. Dr. Franciszek Krček w swym krótkim (2 str.) komunikacie: *W sprawie Rgwedy* 4,18,10 zbija komentarz Prof. R. Pischla do przytoczonego miejsca Rgwedy i stwierdza, że nieoblizanie byka-Indry (po urodzeniu) przez matkę nie należy przypisać brakowi miłości macierzyńskiej, ale raczej przekonaniu, że ten nie w codzienny sposób wydany płód, sam sobie da radę w świecie. Cała rzecz zakrawałaby trochę na farsę, gdyby nie powaga i gorąca miłość prawdy, bijąca z tego drobnego przyczynku.

Jan Grzegorzewski w artykule: *Dzetacyzm perski Kodeksu kumańskiego*, na podstawie porównawczego studyum ortografii trzech kolumn tegoż kodeksu, dochodzi do wniosku, że kodeks wenecki nie jest autentyczny, że język Połowców był dzetacyjny, i że słowa perskie i irańskie wprowadzili do nas (a także do Rusi, Węgier, Wołoszczyzny, Bułgaryi i Bizancyum) dawni Połowcy (Kumanie), dzięki swym osadom i stosunkom wojskowym, politycznym i handlowym.

Świeżo wybrany Rektor Uniw. Krak., Prof. Jan Rozwadowski poświęca dwa artykuły (1-szy *Etymologica*; 2-gi: *Stosunki leksykalne między językami słowiańskiemi a irańskiemi*) dociekaniom leksykograficznym nad językami indoeuropejskimi. Przedewszystkiem zasługuje na baczną uwagę ważny wywód autora, że wyrazy wspólne językom słowiańskim i irańskim mają wyłącznie podkład religijny i moralny, i że niema między nimi żadnych zapożyczań bezpośrednich i pewnych.

Semitologii poświęcone są ostatnie cztery rozprawy. Mojżesz Schorr w swoich *Przyczynkach do frazeologii psalmów biblijnych a babilońskich*, przez trafne zestawienie poetycznych obrazów, które są wspólne obu kreacyom, usiłuje wykazać wpływ starszej literatury babilońsko-asyryjskiej na młodszą wiekiem poezyę staroizraelską. Poeci biblijni żyli bowiem w tej samej duchowej atmosferze

Babilonu, której ulegała wówczas cała Azya Mniejsza, a po części i Egipt; nic więc dziwnego, że mniej lub więcej świadomie posługiwać się mogli obrazami i wyrażeniami, które im były znane z literatury babilońskiej. — Czyby jednak nie można przyjąć, że ten sposób wyrażania się stał się już wspólnem dobrem Semitów zachodnich w ówczesnej epoce? — Z tem wszystkiem autor silnie podkreśla wraz z innymi uczonymi, że poezya religijna Żydów o całe niebo przewyższa twory babilońskie pod każdym względem. — Doniosłe znaczenie posiada druga rozprawa tegoż autora pod tytułem: *Dwa nowe fragmenty kodeksu Hammurapi'ego*. Na podstawie bardzo szczegółowych a trafnych badań, dochodzi P. Schorr do wniosku, że znalezione w Nippur (w roku 1914) dwa nowe fragmenty (wydane przez S. Langdona i A. Poebel'a) przedstawiają starszą redakcyę kodeksu Hammurapi'ego, niż znana stela w Luwrze, ogłoszona przez Scheila, i że na lata 1 do 31 rządów tegoż władcy prawdopodobnie ich redakcya przypada.

Między Arabów, w świat stepu przed islamem, przenosi nas P. Tadeusz Kowalski w artykule *Poezya staroarabska*. Szkic to znakomity; jego gruntowność nie odstraszy nie-specyalisty, a jego lekkość i zalety literackie sprawią, że każdy z przyjemnością i pożytkiem zabierze się do tej arcymiłej lektury. Obfitość jej treści nie pozwala na krótkie streszczenie. Tenże autor zamyka Rocznik artykułem, który nas bezpośrednio już przenosi w chwile dzisiejsze: *O pewnych potrawach spożywanych w Arabii podczas głodu*. Gdy już przysłowiowa cierpliwość arabska i poprzestawanie na małem, wskutek częstych klęsk elementarnych lub zatargów plemiennych, nie wystarcza do podtrzymania życia, wtedy Arab pustyni zaspokaja swój głód: jaszczurką, szarańczą, ziemią okrzemkową, nasionami chwastów stepowych, z których wypieka chleb, a nawet gorzką kolokwintą i mieszaniną z krwi i sierści wielbłądziej, którą praży przy ogniu i spożywa. W czasach wielkiego głodu Arabowie gryźli i połykali nawet spróchniałe kości, korę drzew i rozkopywali jamy susłów i nornic.

Ks. Władysław Szczepański.

Bibliografia ludoznawstwa polskiego. *Dr. Franciszek Gawełek.* Nakładem Akademii Umiejętności. Kraków 1914, 8° str. 328.

Setnej rocznicy urodzin Kolberga nie mogła nasza Akademia Umiejętności lepiej uczcić, jak wydając swym nakładem zacytowane

dzieło dra Gawełka, znanego dotąd zaszczytnie na polu ludoznawstwa naszego tylko z licznych artykułów, pomieszczonych w *Ludzie*, *Ziemi*, w wydawnictwach Akademii Umiejętności i gdzieindziej. Ludoznawstwo nasze pomimo najnieprzyjaźniejszych warunków, wśród których naród nasz się znajdował, kiedy właśnie umiejętność ta powstała i zaczęła się rozwijać, rozrosło się już tak potężnie, że umiejętne zestawienie tego, cośmy na tem polu zdziałali, okazało się rzeczą nieodzowną, a nieodzowną z dwu głównie powodów: żeby się zoryentować, cośmy już w tym zakresie zdziałali i co jeszcze pozostaje do zrobienia i żeby nie marnować drogiego czasu w każdym poszczególnym wypadku na poszukiwania najczęściej daremne dla braku pod ręką źródeł, czy pewien materyał, który chcemy podać, już i skąd znany lub też czy pewna kwestya była już rozbierana, przez kogo i w jaki sposób. Tej potrzebie, ogromnie piekącej, a piekącej tem bardziej, że praca nasza ludoznawcza mieści się nie tylko w wydawnictwach temu celowi wyłącznie poświęconych, jak w *Zbiorze wiadomości* ... Akad. Umiej., jak w *Wiśle*, w *Ludzie* i t. d., ale także w najrozmaitszych innych wydawnictwach, książkach, broszurach i pismach codziennych, których nie łatwo mieć, a nawet o nich wiedzieć, czyni zadość dzieło dra Gawełka i staje się przez to nieocenioną zdobyczą naukową, bez której nie obejdzie się odtąd nikt z pracujących na polu ludoznawstwa (a i krajoznawstwa, gdyż autor tak pojął swe zadanie, że nie pominął i tej gałęzi naszej wiedzy, łączącej się zresztą z tamtą tak ściśle i nierozerwalnie), a z którą praca nasza na tych polach stanie się pewniejszą siebie, systematyczniejszą i niewątpliwie intenzywniejszą i skuteczniejszą.

Bibliografia dra Gawełka objęła czas od r. 1800 do 1910, a więc od początków ludoznawstwa aż prawie do ostatnich lat i rozpada się na 16 działów, jak: I. *A*) Opis wsi, miasteczek i okolic pod względem geograficzno-topograficznym i klimatycznym. *B*) Przewodniki i krajoznawstwo. II. Człowiek. 1) Wzrost, barwa oczu, włosów i t. d. 2) Typy, obrazy. III. Język. Właściwości mowy, próby języka, przezwiska, imiona, etymologia, słowniki. IV. Życie ludu zewnętrzne: 1) Odzież. 2) Ogólny wygląd wsi, zagrody i t. d. 3) Chata. 4) Pokarmy i napoje. 5) Noszenie zarostu. 6) Oświetlanie. 7) Palenie tytoniu, używanie tabaki. 8) Hygiena, lecznictwo, choroby. V. Charakterystyka zajęć i gospodarstwa: 1) Gospodarstwo i narzędzia gospodarskie. 2) Chów bydła i drobiu i t. d. 3) Prze-

mysł domowy. 4) Budownictwo: *a*) Styl ogólny. *b*) Styl zakopiański, sztuka stosowana. 5) Zmysł estetyczny ludu: *a*) Ozdoby sprzętów, malowidła, sztuka zdobnicza. *b*) Rogi jelenie, jako ozdoba kościołów i t. d., i t. d. W każdym dziale wymienieni są autorowie i dzieła podług alfabetu z liczbą bieżącą, a jest tych liczb 7207. Po wyczerpaniu materyału w tych działach, następują dwa indeksy: indeks osób i autorów, tudzież indeks rzeczy, tak, że łatwo wszystko znaleść, co się znaleść pragnie. Szanowny autor podjął pracę olbrzymią i wykonał ją z benedyktyńską iście sumiennością, pracowitością, cierpliwością i ścisłością, a mazurską naprawdę wytrzymałością, boć mazurskie zaprawdę trzeba mieć zdrowie i siły, żeby w krótkim stosunkowo czasie przejrzeć tysiące, tysiące dzieł, przygotować z tego olbrzymi materyał i napisać tak uporządkowane dzieło. Serce rośnie pomyśleć, że tacy młodzi ludzie u nas się rodzą, kształcą się i pracują!

Czy autor nie pominął czego? Pominął oczywiście niejedno, choć chciał być najdokładniejszym, on sam to czuje, i powiada: „Praca niniejsza ma na celu wykazać ważniejsze przynajmniej momenty z dziejów rozwoju ruchu ludoznawczego u nas. Powiadam ważniejsze, bo zebrać wszystkie artykuły z tego zakresu, przechodzi możność jednego człowieka. Co do mnie starałem się, o ile to tylko było możliwe, zebrać jak najdokładniej i ugrupować wszystko, co wchodzi w ten zakres, jednakże jestem przekonany, że dopiéro po kilku latach uzupełnień można będzie mówić o jej dokładności".

Będziemy oczekiwali tych uzupełnień z niecierpliwością, ale i za to, co autor już nam dał, szczerze jesteśmy wdzięczni i życzymy mu z powodu tego dzieła i tej jego benedyktyńskiej pracy jak największego zadowolenia i jak najlepszego powodzenia.

Sz. Matusiak.

Polska pieśń wojenna. Antologia poezyi polskiej z roku wielkiej wojny. Staraniem lwowskiej delegacyi Naczeln. Kom. Narod. wydał *Dr. Stanisław Łempicki i Dr. Adam Fischer.* Lwów 1916.

Pośród kilku zbiorów spółczesnej liryki wojennej — ten największy. Trzysta utworów stu ośmdziesięciu pięciu poetów. Wszystko ujęte w dwadzieścia cztery rozdziały. Znać wysiłek zlepienia całości z drobnych ogniwek nader różnej ceny.

Na czele najpiękniejszy chór z *Lilli Wenedy*; na końcu Konopnickiej: „Przyjdzie, o, przyjdzie wiosna".

Pomimo bogactwa materyału zbiór nie zadowala w tej mierze, iżby metodę jego wydawniczą można za wzorową uznać. Zaletą jej jest uwzględnianie chronologii poemacików; cóż, kiedy większości utworów brak dat powstania. Zaletą byłoby ułożenie rozdziałów odpowiednio do potoku wydarzeń: ta myśl przyświecała wydawcom, ale dzięki przyjęciu wielkiej liczby rozdziałków (24) wiersze pomięszały się gruntownie — bo i jakaż różnica może być między rozdziałkiem: Marsz, marsz legiony, a rozdziałkiem: Szlakami wojny lub: Tak polskie w bój szły legiony. Wadą wydawnictwa okazał się mierny krytycyzm wydawców. Żaden ze znanych mi zbiorków nie obfituje w taką ilość utworów artystycznie słabych, acz o intencyi poczciwej, jak ten właśnie. Nie zaleca się też i wstęp głębokością myśli, choć pragnie olśnić błyskotliwymi frazesami. Kto chce poznać wielką ilość utworów liryki wojennej i kto pragnie dowiedzieć się, kiedy niektóre z nich powstały, ten niech bada antologię Łempickiego i Fiszera.

Antoni Mazanowski.

Z piśmiennictw obcych.

Unseres Herrn Trost. *Dr. Paul Wilhelm Keppler.* Erklärung der Abschiedsreden und des hohepriesterlichen Gebetes Jesu. 2. u. 3. Auflage, bearbeitet von Dr. Simon Weber. Freiburg-Herder 1914, str. VII i 426.

Wszystkie pisma X. biskupa z Rottenburga cieszą się niezmierną poczytnością i popularnością nietylko w Niemczech, ale w całym świecie katolickim. Znakomity i uczony autor umie się wżyć i wczuć najgłębiej w każdy przez się omawiany przedmiot, czy to będzie opis podróży, czy szkic dziejów religijnego malarstwa lub budownictwa kościelnego, czy jakiś problem społeczno-religijny, czy traktat teologiczny, lecz nadto jeszcze każda jego praca jest owiana duchem jego głębokiego geniuszu, oblana ciepłem wielkiego serca i takiem umiłowaniem, że czytelnik czerpie stąd światło głębokie dla rozumu, a zarazem uszlachetnia swe serce zapałem dla ideału, który autorowi przyświecał. Zapewne, że niełatwo znajdziemy w naszej literaturze

teologicznej coś głębiej pomyślanego, a przynajmniej więcej twórczego jak Kepplera komentarz do mów pożegnalnych P. Jezusa we wieczerniku. Nie powiem, by komentarz ten był wszechstronnie opracowany, bo brak w nim wielu rzeczy, którychby oczekiwał egzegeta i krytyk, ale to nie leżało w założeniu tej książki, chodziło bowiem głównie o to Najprzewielebniejszemu Autorowi, by wprowadzić czytelnika w atmosferę wieczernikową, wczuć się w serce Jezusa i uczniów, zrozumieć, że mimo ogromnego idealizmu, wiejącego z tych mów, jednak w całości słowo Jezusowe odpowiada rzeczywistemu stanowi dusz i nastrojowi serc tej największej chwili dziejowej.

W przedmowie po mistrzowsku, krótko i zasadniczo przeprowadzono dowód autentyczności mów wieczernikowych, wykazano bezpodstawność ataków nowoczesnych przeciwko ich pochodzeniu od Jezusa. Podniósł różnicę słów Jezusa u synoptyków i Jana, ale zarazem pokazał na liczne rysy, dowodzące, że to jest ten sam Jezus, który mówi u synoptyków. W piękny sposób też omawia styl ewangelii Jana — skąd się wzięło to, że u Jana wszystkie osoby przemawiają tem samem słowem i stylem — ewangeliści nie tyle starali się o dosłowność, jak raczej o przekazanie treści i myśli.

Komentarz sam wychodzi z tekstu, opracowanego sumiennie na najlepszych wydaniach krytycznych. Nieocenione są też te obfite uwagi tekstyczne, opracowane samodzielnie i na nowo przez wydawcę. Literatura jest w przypiskach omówiona bardzo starannie. Komentarz tchnie ciepłem, udzielającem się odrazu, nie czuje się ogromu wiedzy weń włożonego. Głównie podniesiono w komentarzu te momenty, które są praktyczne dzisiaj. Toteż wdzięczność szczególna należy się wydawcy X. Weberowi, że dla użytku kaznodziei po każdym ustępie zamieścił cały szereg szkiców do homilii i kazań, wskazał w sposób głęboki nieocenioną wartość tych mów, jakie one mają dla humiletyki, umiał te słowa P. Jezusa dostosować i znakomicie do naszych potrzeb duchownych. Widać poszedł w tem za wzorem Niebergalla, który opracował dla pastorów luterskich tego rodzaju szkice N. Testamentu, w Lietzmanna *Handbuch zum Neuen Testament*. Jestto zatem może pierwsza tego rodzaju praca katolicka. Kaznodzieje i katecheci mają w tych krótkich szkicach kopalnię najcelniejszych myśli i uwag. Nie trzeba dodawać, że język prześliczny i staranne wydanie pomnażają wartość tego dzieła. Książka ta zdobić powinna bibliotekę każdego kapłana, bo tam znajdzie podnietę do

rozmyślania, światło i pociechę dla serca i pobudkę do coraz większego umiłowania Jezusa, tak niezmierną miłością kochającego uczniów, a w nich również nas.

X. W. Michalski C. M.

Heiland u. Erlösung. *Dr. Engelbert Krebs.* Sechs Vorträge über die Erlösungsidee im Heidentum u. Christentum. Freiburg-Herder 1914 str. 160.

Jestto 6 odczytów, wygłoszonych w fryburskim uniwersytecie przez znanego i wielce cenionego w Niemczech apologetę. Poruszył w nich sprawę dzisiaj bardzo aktualną, bo w miarę jak społeczeństwa odsuwają się od chrześcijaństwa, tem więcej odczuwają niedostateczność szczęścia, które dać może ziemia. Po mistrzowsku naszkicował pragnienie zbawienia się najpierw w pogaństwie, wykazując jak bardzo narody przedchrześcijańskie tęskniły za zbawieniem, szukano go najpierw w wielkich monarchach, skąd powstał kult królów-bogów w starożytnej Babilonii i Egipcie — najdobitniejszy wyraz znalazł on później w idei Królów Zbawicieli, które nadawano z kolei monarchom Egiptu w czasach Ptolemeuszów, potem Seleucydom, a wreszcie cesarzom rzymskim. Ale wcześnie już ludzkość zaczęła szukać zbawienia w duszy w sobie, zaczęła rozumieć, że źródłem nieszczęścia to wewnętrzny roztrój duszy ludzkiej — myśl ta znalazła swój wyraz w modlitwach i pieśniach pokutnych, oczyszczeniach, a u Greków w poważnych misteryach — w kulcie Isydy, Adonisa i Osirisa, a głównie w czasach starochrześcijańskich w kulcie Mitry. W drugim odczycie w kilku rysach ujął dążność dzisiejszej doby, wskazał na różne formy i próby zbawienia ludzi, czy to na drodze społeczno-państwowej, jak chce komunizm i socyalizm, czy wreszcie na drodze indywidualnej — podnosi dwa kierunki głównie ateistyczno-materyalistyczny, który u Horneffera przybrał formę najradykalniejszą; jedynem złem ma być wiara w istnienie Boga i nieśmiertelność, trzeba ją usunąć, a zato pozwolić jednostce użyć życia aż do zapamiętałości; potrąca o monizm Ortwalda, a kończy krytyka intellektualizmu. W trzecim odczycie wskazuje, że zbawienia szukać można jedynie na drodze indywidualnej, jednostka znaleźć może szczęście tylko wewnątrz siebie, od wnętrza należy zacząć reformę, bo wszystkie biedy jakiejkolwiekby były natury, mają ostateczne swe źródło w wewnętrznej rozterce duszy.

Kościół tylko katolicki w nauce o grzechu pierworodnym i grzechu panującym w nas, daje klucz do zrozumienia tajemnicy naszych nieszczęść. W ostatnich trzech odczytach po mistrzowsku w krótkiej formie, z niezmierną siłą przekonania przedstawia naukę chrześcijańską o zbawieniu, w niej tylko jest ratunek dla jednostki, ale zarazem dla społeczeństwa ludzkiego. Odczyty te tchnące potężną siłą wiary, jasnością, głęboką znajomością duszy ludzkiej, a szczególnie duszy współczesnego człowieka — dalej umiłowaniem nauki Kościoła św., a także prostotą w przedstawieniu stanowią znakomity przyczynek do apologii nauki katolickiej o Zbawieniu i Zbawicielu.

X. W. Michalski C. M.

„Im Gefolge Jesu". *Otto Cohausz T. J.* Warendorf in Westf. Schnellsche Buchhandlung. 1916.

„Nauczycielka — to pomocnica w pracy Boga samego; służba jej i praca równa się obowiązkom dawnego arcykapłana: on miał przechowywać księgi prawa Bożego, miał je wykładać, strzedz ognia świętego w przybytkach, — ona ma służbę tę spełniać w świątyniach serc dziecinnych. Do prac takich sam Bóg powołuje.

Nauczycielka, która godnie odpowiada powołaniu swemu, może wziąć do siebie słowa Jeremiasza (1. 5): „Pierwej niźlim cię utworzył w łonie matki, znałem cię i poświęciłem i prorokiem między narody dałem cię", tak, że najbardziej uznojona, zapomniana, w ciszy samotnej izdebki swej, może z Matką Najświętszą śpiewać hymn radosny: „Wielbi dusza moja Pana . . .", bo ten Najwyższy Król Królów uczynił ją współpracownicą swoją ku zbawieniu ludzi".

Takie jest założenie autora w dziełku pod tytułem: „Drużyna Chrystusowa" Ottona Cokausza S. J. (*Im Gefolge Jesu*), w pierwszych rozdziałach książki (str. 1—17). Tam też zaznacza autor, że powołanie Boże do pracy takiej a nie innej, nauczycielka powinna widzieć w stanowisku i położeniu, jakie jej okoliczności życiowe przyniosły, w zdolnościach, jakimi ją Bóg obdarzył, w losach choćby najboleśniejszych nawet, którymi ją Opatrzność prowadzi.

Całość tej pracy etyczno-pedagogicznej obejmuje 346 stron. Jest to wiązanka 69 rozdziałów rozmyślań czy rozważań rekolekcyjnych dla nauczycielek; składa się z trzech części: pierwsza mówi o powołaniu nauczycielki, druga o jej zawodowej pracy na stano-

wisku, trzecia zaznacza cele wychowania i nauczania, omawia środki pedagogiczne, a przytem radości i cierpienia tego żmudnego życia.

Z wielką znajomością serca ludzkiego, stosunków społecznych, warunków pracy nauczycielskiej zajmuje i zestawia autor bardzo zręcznie po kolei najodpowiedniejsze momenta z Ewangelii, by z nich wyprowadzić naukę, zachętę, pociechę, w razie potrzeby nawet groźbę i upomnienie dla tych, co wychowując obce dzieci, ponosząc ciężar wielkiej pracy i odpowiedzialności, mają otwarte wielkie pole zasługi wobec Boga i społeczeństwa.

Nie jest to pedagogia formalna, obejmuje jednak całość psychologiczno-etyczną — prawd zasadniczych, zręcznie i lekko, choć bardzo gruntownie powiązanych ze sobą.

Zestawienie cytat z Ewangelii bardzo trafne i praktyczne, a przytem bardzo wdzięcznie i ujmująco zestawione. Praca ta przedewszystkiem mimo formy przystępnej nosi na sobie piętno poważnej, umiejętnej ręki kapłańskiej i serca Bogu oddanego. Autor chce pobudzić nauczycielki do pracy wewnętrznej i śmiałej, krytycznej introspekcyi w głąb własnej duszy, bez czego praca ich wychowawcza skuteczną być nie może. *Sebalda Münnichowa.*

„Lexikon der Pädagogik". Vierter Band. Freiburg im Breisgau Herder 1916.

Wyszedł czwarty tom niemieckiego „Lexikonu pedagogicznego", opracowanego przez pedagogów i uczonych niemieckich pod kierunkiem prof. Willmana.

Znajdujemy w nim dalej rozwinięte punkta i szczegóły związane z całością, zarysowaną w poprzednich trzech tomach. Interes tej części dzieła koncentruje się w kwestyi „s z k o ł y" i wszystkiego, co jej dotyczy.

„Szkoła" zajmuje w tym tomie, oprócz z tego zakresu osobno rozrzuconych ustępów, bez mała czwartą część książki, t. j. od 648—935 str. Rozpoczynają „*Schulacten*" prof. Willmann'a, kończy *Schulzucht* prof. Wolff'a. Kto ze szkołą wżyty, nie znajdzie tu właściwie nic nowego dla siebie, ale bardzo dobre i wyczerpujące zestawienie szczegółów pracy szkolnej, rozważanie stosunku szkoły do społeczeństwa, kościoła, narodowości, rodziny i t. p., przegląd warunków jej rozwoju w kierunku wychowania fizycznego, moralnego — środków dydaktycznych, ustosunkowania do władzy; ułatwia oryentacyę

własną, kombinacye, dążące do koniecznego postępu i reform wobec dziś tak bardzo zmieniających się warunków życiowych. Oprócz tego zaznajamia nas Lexikon z nowymi wysiłkami ku podniesieniu zdrowotności i inteligencyi uczniów przez zakładanie szkółek i ogrodów, łaźni, muzeów, wprowadzenie gmin, sądów, kas oszczędności dla uczniów, wycieczek, podróży i t. p.

Sebalda Münnichowa.

Der Mensch, so wie er ist. *Rudolf J. Meyer S. J.* Przekład z angielskiego. Fryburg-Herder, str. XIV+356.

Nie mogąc w dziedzinie ascetyki poszczycić się zbyt bogatą literaturą własną, najczęściej zmuszeni jesteśmy posiłkować się strawą duchową, podawaną nam przez francuskich i niemieckich autorów. A że *varietas delectat* — więc z ciekawością bierzemy do ręki dziełko, pochodzące z innego zgoła źródła, bo ze Stanów Zjednoczonych północnej Ameryki, wydane we wzorowym niemieckim przekładzie i opracowaniu O. Józefa Jansena T. J.

Autor, postawiwszy sobie *adagium* takie, że człowiek, taki jakim jest, — musi wznieść się do Boga, dla którego jest stworzony, — w pierwszym tym tomiku zajmuje się *ex professo* badaniem człowieka i jego natury, oraz środków do poznania tego prowadzących. W logicznym więc rozwoju myśli swej, wykazawszy, jak potrzebną jest znajomość siebie samego, zwraca następnie uwagę na obecność w człowieku zarówno dobrych jak i złych namiętności, oraz na pokusy do złego ciągnące. Główna namiętność ludzka, to miłość własna, a jej zboczenie w kierunku umysłowym — pycha, i w kierunku cielesnym — zmysłowość. O nich więc w dalszym ciągu rozprawia autor, podając zarazem lekarstwa na poskromienie tych namiętności: pokorę przeciw pysze i umartwienie przeciw zmysłowości. Z kolei poświęca autor kilka rozdziałów sumieniu, t. j. owemu wewnętrznemu głosowi, który nam dany jest od Boga dla poznania stanu własnej duszy. A więc tłumaczy, jakiem jest sumienie szerokie lub skrupulatnego i omawia sprawę rachunku sumienia ogólnego i szczegółowego. Wreszcie roztacza autor przed naszemi oczami obraz charakterów ludzkich i ich naturalnej podstawy — temperamentu, których różne rodzaje według znanego podziału wylicza i opisuje. W końcowych rozdziałach zapoznajemy się z niepokojem jako przeszkodą w kształceniu charakteru, oraz energią jako ważnym składnikiem

życia duchownego; wszystko uwieńczone rozprawką o doskonałości chrześcijańskiej, opartej na podobieństwie do Boga, a przejawiających się w miłości ku Niemu.

Wykład naogół jasny i pociągający; opis temperamentów i ćwiczenie charakteru traktowane jakby ze szczególniejszem zamiłowaniem i znajomością rzeczy, rozdział ostatni cokolwiek ciężki w czytaniu. W paru miejscach, pomimo treści natury ogólnej, można jednak poznać Amerykanina, mającego zapewne miejscowe warunki na myśli, choć to co mówi, wszędzie znaleść może zastosowanie. Źródła na które się autor raz po raz powołuje ((Ćwiczenia św. Ignacego, Naśladowanie, Filotea) dają nam rękojmię zdrowej nauki zawartej w omawianem dziełku. *Ks. J. K. Z.*

A. Hartlebens's Kleines Statistisches Taschenbuch über alle Länder der Erde. *Dr. Friedrich Umlauft.* Wien und Leipzig 1916.

Wymowa cyfr jest zawsze krótka, lecz dosadna. Prawda ta spełnia się w zupełności w wertowaniu tej niewielkiej a treściwie i przejrzyście ułożonej książki, dającej w głównych zarysach szkicowy obraz statystyczny ziemi i jej mieszkańców. Liczbę tych mieszkańców podaje autor na miliard 657 milionów 97 tysięcy, którzy rozsiali się po powierzchni ziemi na przestrzeni 145,917.426 kilometrów kwadratowych, przyczem średnio przypada 11,4 mieszkańców na kilometr kwadratowy. Najwięcej mieszkańców ma Azya, bo z górą 871 milionów, jednak gęstość jej zaludnienia nie sięga nawet połowy tego, co napotykamy w Europie. Gdy bowiem w Azyi przypada 19,6 mieszk. na kilom. kwadr., w Europie żyje ich średnio 45,4 na kilom. kwadr. W całej Europie, o powierzchni 9,973.533 km.^{2} przebywa stale 452,379.000 ludzi, ugrupowanych w 26 niezawisłych państw i państewek. Największe z nich obszarem to oczywiście niedźwiedź północy, Rosya, zajmujący swym cielskiem 5,389.984 km.^{2} i żywiący w swem wnętrzu 138,466.900 mieszkańców, następnie co do obszaru drugie państwo w Europie jest Austrya z 676.616 km.^{2} powierzchni i 52,523.254 mieszkańcami, dalej Niemcy (540.857 km.^{2} i 67,810.000 mieszk.), Francya (536.464 km.^{2} i 39,602.258 mieszk.) i tak dalej, aż do maleńkiego, a swym domem gry tyle tragedyi rok rocznie sprawiającego Monaco, tem się jeszcze odznaczającego, że jest ono najgęściej zaludnione. Na przestrzeni bowiem zaledwie pół-

tora km.^{2} żyje 19.121 mieszkańców, a więc średnie zaludnienie wynosi 12.747 na km.^{2} czyli więcej niż 10 razy tyle, co w Niemczech. Pominąwszy Monaco, pierwsze miejsce co do gęstości zaludnienia pomiędzy państwami Europy zajmuje Belgia (257 mieszk. na km.^{2}), czwarta z kolei jest Wielka Brytania z Irlandyą (147 na km.^{2}), piąte Włochy (134), szóste Niemcy (123), ósme Szwajcarya (91), dziewiąte Austro-Węgry (78), dziesiąte Francya (74), dwudzieste drugie Rosya i Finlandya (25), ostatnie Norwegia (7), która obszarem większa jest od Wielkiej Brytanii, posiadającej ludność dwadzieścia blisko razy od niej większą. „Najnowsza cywilizacya" czyni ogromne wysiłki, by ułatwić porozumiewanie się i bezpośredni kontakt wszystkim mieszkańcom ziemi, a zwłaszcza kroczącej na czele cywilizacyi i humanitarności Europy. Rozumie się przez to sieci kolei żelaznych, telefonicznych i telegraficznych, jakimi wielokrotnie podrutowano ziemię. I tak w samej Europie długość linii kolejowych w r. 1913 wynosi 346 tysiące 253 kilometrów, a więc możnaby samym europejskim torem kolejowym opasać ziemię blisko dziesięć razy. Długość linii kolejowych na całej kuli ziemskiej podaje autor na 1,104.235 kilometrów. Europa ma więc więcej niż jedną trzecią część wszystkich torów na ziemi. Siecie telegraficzne Europy wynoszą ponad milion kilometrów, a przesuwa się przez nie rocznie koło pół miliarda telegramów. Ciekawe jest przytem, że podczas gdy w Niemczech długość telegraficznych sieci państwowych wynosi 238 tysięcy km., w Austryi tylko 47 tysięcy, a więc piątą zaledwie część długości sieci niemieckich. W Anglii długość sieci jest 130 tyś. km., lecz na niej ilość przesłanych telegramów rocznie 92 miliony, podczas gdy w Niemczech, na sieci znacznie, bo sto tysięcy km. dłuższej, tylko 64 miliony telegramów. W Austryi przesłano w r. 1913 telegramów 23 miliony, w Węgrzech 14 milionów. Co do telefonów, to najdłuższą sieć ma Wielka Brytania, bo blisko 3 miliony km. (Austrya 557 tyś. km., Węgry 37 tyś. km.), najkrótszą Portugalia (798 km.). Rozmów najwięcej było w Niemczech, bo w r. 1913 naliczono rozmów przeszło półtrzecia miliarda (dokładnie 2.517,952.650), w Austryi 388 tysięcy, na Węgrzech 233 tysięcy.

Ciekawe są również daty co do ruchu pocztowego Europy. By mieć pojęcie o jego rozmiarach, przytoczymy niektóre z nich. W Niemczech w r. 1912 przesłano listów i kart blisko 5 i pół miliarda, gazet zaś i pism 2 miliardy 364 milionów. W Austryi (w r. 1913) było miliard 712 milionów listów i kartek, 330 milionów gazet i pism,

w Węgrzech 644 milionów listów i kart, 233 milionów gazet. W Anglii przeszło cztery miliardy listów i kart, zaś 202 miliony gazet. Listów i kart na jednego mieszkańca przypada najwięcej w Szwajcaryi, bo 136 rocznie, dalej w Niemczech 115 rocznie, w Anglii 115, w Austryi 71, w Węgrzech 37. Gazet i czasopism najwięcej znowu w Szwajcaryi, 61 rocznie na jednego mieszkańca, następnie w Danii (58), w Norwegii (47), w Niemczech 36, w Austryi 71, Węgrzech 11. Najmniej zaufania do pisanego i drukowanego słowa posiadają widocznie w Hiszpanii i Turcyi, w pierwszej bowiem całkowita ilość gazet, listów i pisma na jednego mieszkańca rocznie przypadająca wynosi zaledwie 15, a w drugiej tylko dwa. Wogóle więc komunikacya pocztowa jest między ludźmi olbrzymia, a stoi ona w danem państwie w prostym stosunku do rozwoju przemysłu, a co za tem zwykle idzie, do ilości miast, zwłaszcza większych. Ilości tych miast na świecie autor nie podaje, lecz na końcu dziełka znajduje się spis miast, liczących przynajmniej pół miliona mieszkańców lub więcej. Jest ich 63. Największe z nich Londyn, aż do wojny stolica świata, ma 7,251.358 mieszkańców (w r. 1911), drugie po nim miejsce zajmuje Nowy York (5,333.539 mieszkańców w r. 1914), dalej idzie Berlin (3,702.962 m. w r. 1910), Paryż (2,888.110 m. w r. 1911), Chicago (2,393.324 m. w r. 1914), stolica Japonii Tokio (2,186.079 m. w r. 1908), Wiedeń (2,184.883 m. w r. 1915), Petersburg (2,018.596 m. w r. 1914). W poczecie tych miast znajduje się polskie miasto tylko jedno, Warszawa, 26-te na świecie co do liczby mieszkańców, których w r. 1915 było 789.289. Gdy zadamy sobie trud zsumowania liczby mieszkańców wszystkich tych miast wielkich, otrzymamy w rezultacie, że na całej ziemi blisko 5%, bo około 70 milionów ludzi pędzi stale swe życie w wielkomiejskich mrowiskach.

Przeglądając te przejrzyste karty statystyczne całego świata, mimowoli stanąć muszą przed czytelnikiem refleksye, połączone z obecnym wojennym kataklizmem. Dla wygody czytelnika podaję kilka obliczeń, które na podstawie cyfr statystycznych, podanych w odpowiednich rubrykach przez autora, zestawiłem celem statystycznego porównania obu stron walczących. Dziewięć mocarstw walczących po stronie ententy zajmuje obszaru 70,869.849 km.^{2}, liczy mieszkańców 834,653.376, a ich wojska lądowe na stopie wojennej wynoszą 18,310.651, przyczem jednak uwzględnić trzeba, iż autor armię Anglii podaje na 1,072.615, podczas gdy według orędzia królewskiego z maja bieżącego roku ma tam powstać armia, licząca

5,041.000 ludzi; a więc razem entente rozporządza siłą lądową, liczącą przeszło 22 miliony. Przeciw tej tytanicznej potędze, o jakiej dzieje dotychczas jeszcze nie słyszały, staje liga czterech mocarstw centralnych, zajmująca przed wojną — bo obecnie znacznie więcej — 6,079.350 km.^{2}, o 145,645.161 mieszkańcach i armii lądowej, liczącej 9,097.624 ludzi. Tak więc dosłownie przeszło pół świata powstało przeciwko państwom środkowym, a one nietylko dotrzymują placu, lecz coraz to dalej zwycięsko rozrywają ten pierścień, którym intryga angielska opleść i zdusić je zamierzała. Obecnie ziemia przedstawia widok taki, że przeszło połowa obszaru lądów, bo 80 milionów kilometrów kwadratowych, z miliardem blisko mieszkańców i trzydziestoma milionami wojsk leży w paroksyźmie wyczerpującej, zaciętej walki na śmierć i życie.

Dziełko podaje również dane z innych dziedzin ekonomicznych, jak n. p. o długach państw, o dochodach, obrocie handlowym, monetach, itp., stanowiąc wygodny podręcznik informacyjny w najważniejszych datach statystycznych.

Ks. F. Hortyński.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

25-lecie istnienia Akademickiej Sodalicyi Maryańskiej w Krakowie.

Wśród doniosłych przemian, dokonywujących się w obecnej chwili, cichy i skromny obchód jubileuszu Akademickiej Sodalicyi Maryańskiej nie jest pozbawiony wielkiego znaczenia dla spraw Kościoła w Polsce. Wszak skupia ta właśnie Sodalicya elitę inteligentnej młodzieży Polskiej około sztandaru Królowej Polskiej Korony z zamiarem wychowania społeczeństwu katolickiemu zastępu szczerych z przekonania i życia katolików na ważnych placówkach naukowej i organizacyjnej pracy. Wśród wytężonych usiłowań, podjętych dla materyalnej odbudowy kraju, nie zapomina się o nie mniej koniecznej i doniosłej odbudowie moralnej, która jest niezbędnem podłożem dla wytrwałej i niczem nie dającej się zrażać ofiarności i pracowitości odbudowujących. Raz po raz poważne i głęboko zrozumianą miłością ojczyzny tchnące głosy wskazują na ogrom zadań, które czekają przyszłą generacyę niemal na wszystkich polach narodowej pracy i wołają o ludzi pełnych szlachetnego zapału, czystego i statecznego charakteru, a zwłaszcza bezinteresownej, z poczucia obowiązku płynącej miłości ku narodowi i każdej jego, choćby najdrobniejszej, cząstce. Sodalicya Maryańska, która na sztandarze swym wypisała hasło wyrobienia dusz, na podstawie wzniosłych ideałów katolickich, znajdujących konkretny wyraz w postaci Niepokalanej i jaśniejącej blaskiem cnót chrześcijańskich Matki Bożej, ma zatem zapewnione miejsce w szeregu instytucyj, pracujących nad odbudową, powiedzmy raczej odrodzeniem narodu.

To wrażenie odniosło się na skromnym obchodzie jubileuszowym dnia 28 maja w Krakowie. Sodalicya Akademicka pod niejednym względem może być uważana za wzór organizacyi młodzieży. U nas nie ceni się należycie drobniejszych zrzeszeń, nie występujących okazale na zewnątrz i nie zakreślających sobie odrazu szerokich kręgów działalności. Inaczej Akademicka Sodalicya. Zawiązaną została przed 25 laty wśród szczupłego bardzo grona akademików krakowskich pod kierownictwem ś. p. O. Maryana Morawskiego T. J. Nie myślano zrazu wcale o działalności na zewnątrz. Pierwszem zadaniem młodych sodalisów było przejąć się na wskróś jej duchem i kształcić charakter własny według pełnych pedagogicznej mądrości ustaw sodalicyjnych. Trafnie nazwał ten okres w życiu Akademickiej Sodalicyi dawny jej prefekt, i obecnie prefekt honorowy, Ks. Józef Winkowski, „okresem pracy wewnętrznej i konsolidacyi", czasem gromadzenia sił itworzenia dobrych tradycyi. Ileż to u nas stowarzyszeń, zawiązanych w chwili szlachetnego zapału, wkrótce upadło z powodu braku tej solidnej wewnętrznej pracy i zbyt wczesnego rozpraszania nie ustalonych jeszcze sił na zbyt liczne i rozbieżne zajęcia. Po czterech latach istnienia objął duchowe kierownictwo Sodalicyi O. Stefan Bratkowski, znany powszechnie wielki miłośnik młodzieży i pełen żarliwości kapłan. Aż do śmierci swojej był on dobrym duchem tej sodalicyi, i jak widać było ze wszystkich przemówień w czasie obchodu, jego pamięć i teraz jeszcze wywiera wpływ zbawienny na sodalicyę. Pod światłem przewodnictwem opatrznościowego tego dla sodalicyi zakonnika rozpoczęła się praca na zewnątrz, a była to znowu praca bez rozgłosu, ale rzetelna i doniosła pod względem wychowawczym i socyalnym. Powstały wówczas (r. 1895) dwie sekcye, których zadaniem było pielęgnowanie ducha miłosierdzia chrześcijańskiego odnośnie do fizycznych i duchowych potrzeb bliźnich. Pierwsza sekcya obejmuje działalność akademików w konferencyi św. Wincentego a Paulo pod wezwaniem św. Jana Kantego, druga pracę oświatową i później opiekuńczą nad młodzieżą rzemieślniczą pod kierunkiem „Komitetu wykładowego". O owocnej działalności tej sekcyi świadczą wymownie roczne sprawozdania sodalicyjne, których résumé przedstawił na obchodzie treściwie Ks. J. Winkowski w tych słowach:

„Komitet wykładowy" kształci swych członków w kwestyach społecznych i w wygłaszaniu odczytów, a potem wysyła ich z wykładami do rzemieślniczych zrzeszeń, jużto do

„Przyjaźni", jużto do „Patronatu św. Stanisława Kostki dla terminatorów" i do wielu innych, by zdobytą wiedzą i wykształceniem dzielili się z ich członkami. Z początku skromny, wzrasta szybko ten dział pracy, aż w roku 1907 na nowo zorganizowany staje się zupełnie samodzielną sekcyą, która zakresem swego działania obejmuje już nietylko „Związek terminatorów w Krakowie", dając mu przez parę lat kilkadziesiąt odczytów rocznie, pomoc w nauce języków obcych, śpiewu, w przedstawieniach amatorskich i wycieczkach, pomoc prawno-przemysłową i lekarską, ale pracuje w wykładach popularnych na wsi, rozrzuca setki broszurek, kieruje Grupą czeladników krakowskich, zakłada dla nich „herbaciarnię", kasę oszczędności, nawet klub piłki nożnej i drużynę skautową; pomaga Sodalicyi czeladników, współdziała w miarę sił w młodszej Sodalicyi kupieckiej, w Grupie zawodowej dla praktykantów handlowych, w Sodalicyi uczniów rzeźniczo-masarskich i w domach robotniczych na „Modrzejówce".

Miarą tej pracy, nieraz doprawdy przerastającej siły tych, co ją brali na młodociane barki, niech będzie choćby w jednej tylko gałęzi jej, poważna liczba przeszło 350 samych wykładów i odczytów, do ostatnich chwil przed wybuchem wojny wygłoszonych.

Podobnym duchem owianą była praca opiekuńcza nad młodzieżą szkolną, która również wyrosła z humanitarnej instytucyi „herbaciarni", powstałej r. 1899. Z herbaciarni korzystało od czasu założenia do ostatniej chwili przed wojną 1545 uczniów, którym wydano 284.184 śniadań za sumę 24.182 Kor. 54 hal. Wydawanie tych śniadań dało sposobność do serdecznego zbliżania się akademików do młodszych kolegów gimnazyalnych i doprowadziło powoli do formalnej „Sekcyi Opieki nad ubogą młodzieżą szkolną", która urządzała dla niej uczty wigilijne, wycieczki naukowe i towarzyskie, powołała do życia dwie biblioteki, szatnię, pomoc lekarską, kontrolowała prowadzenie się tej młodzieży przez wywiady szkolne i domowe odwiedziny, udzielała pomocy w nauce i pozyskała dla potrzebujących poparcie zwłaszcza u Pań z Polskiego Związku Niewiast katolickich. „Hasłem tej pracy — powiada wyżej wspomniany Ks. Winkowski w swem sprawozdaniu — było zawsze: „Młodzi dla młodych", sprężyną jej i motorem wielka miłość ukochanego

moderatora, a owocem już dziś szereg uczciwych ludzi, niejednokrotnie kapłanów, pracujących dzielnie w służbie Boga i Ojczyzny".

Musimy przyznać, że wobec ogromu potrzeb licznej, w trudnych warunkach kształcącej się młodzieży wszystko to było małem i na pozór nieznacznem, ale to pewna, że tak pojęte pole działalności Akademickiej Sodalicyi przedstawia dla społeczeństwa katolickiego wprost wzór i program pracy opiekuńczej nad młodzieżą i pracy na wskróś społecznej, opartej na zasadzie szlachetnej miłości i rozumnej dbałości o przyszłość narodu. Idea, którą tu urzeczywistniono, jest płodna w bogate owoce pod względem wyrównania różnic społecznych w duchu miłości, zniżania się do klas uboższych i dźwigania ich z niedoli, wzbudzania wzajemnej ufności do siebie i pojmowania życia nie ze stanowiska samolubstwa, lecz prawdziwego altruizmu chrześcijańskiego. Wojna przerwała tę zbawienną działalność, bo sodalisi, w wielkiej części powołani do służby pod bronią, musieli zamienić dotychczasowe pole pracy na inny teren poświęcenia: — ale ta praca, wspaniała spuścizna po wielkim przyjacielu młodzieży Ks. Bratkowskim, nie powinna upaść, owszem po wojnie winna do nowego się wznieść rozkwitu, bo dotychczasowe jej owoce widocznie wskazują, że w niej palec Boży.

Jak szeroko Akademicka Sodalicya pojmowała swoje zadanie, o tem świadczy też stworzenie nowej sekcyi w roku 1905, mianowicie sekcyi apologetycznej, która miała za pomocą odczytów, połączonych z dyskusyą, dawać sposobność do dalszego kształcenia się we wierze i w filozofii chrześcijańskiej i tem samem utwierdzać we wierze, rozwiązywać młodym adeptom nauki, nasuwające się im w miarę nowych zdobyczy naukowych trudności i obznajamiać ich z liniami zasadniczemi nauki katolickiej.

W rok po założeniu sekcyi apologetycznej powstała pokrewna jej poniekąd Sekcya „Pogadanek środowych", omawiających aktualne tematy z zakresu obywatelskiego, ekonomicznego i społecznego życia, a więc najwybitniejsze przejawy współczesnej myśli polskiej, prawno-polityczne podstawy bytu narodowego w trzech zaborach, programy stronnictw naszych politycznych, kwestyę socyalną, jej stosunek do Kościoła i t. d.

Następstwem tej pracy oświatowej w dziedzinie życia społecznego był żywszy odtąd udział Akademickiej Sodalicyi w ruchu i życiu ogólno-katolickiem i w życiu młodzieży uniwersyteckiej w Krakowie. W ostatniem dziesięcioleciu można śmiało powiedzieć, nie

było sprawy obchodzącej ogół akademickiej młodzieży, w którejby Sodalicya nie zaznaczyła swego stanowiska, nie było pracy — byle czystej i uczciwej — do którejby czyto w komitetach, czy w najpoważniejszych towarzystwach akademickich nie wysłała delegatów i rzetelnych, oddanych obowiązkowi, współpracowników. Ale i poza granicami kraju zaznaczyła się Akademicka Sodalicya, biorąc udział w ogólnem życiu katolickiem przez uczestnictwo w zjazdach katolickich Maryańskich, kongresach, uroczystościach jubileuszowych ostatnich Papieży, wiecach obywatelsko-katolickich, kongresach eucharystycznych i t. p.

Tajną siłą tak wydatnej działalności Akademickiej Sodalicyi była wspólna wszystkim członkom miłość Maryi i miłość Jej Boskiego Syna, uwydatniająca się przedewszystkiem we czci Przenajśw. Eucharystyi, która pod wpływem znów wielkiego czciciela Przenajśw. Sakramentu, Ks. Bratkowskiego, zapładniała rosą z góry wszelkie szczere usiłowania młodych pracowników na niwie pracy katolickiej. Wtajemniczeni wiedzą, że sodalisi Akademicy przypisują wspaniałe owoce swych wysiłków „co miesiąc odbywanym w pierwszy piątek adoracyom Przenajśw. Sakramentu od świtu do nocy oraz adoracyom nocnym, pełnym uroku i pouczającym tak wymownie, że w pracy trzeba na wzór Jezusa-Hostyi być cichym, ukrytym. Sekcya eucharystyczna była w Sodalicyi Akademickiej szkołą czystych charakterów, była dla całej sodalicyi siłą, duchem i życiem wszystkiego, co się w niej robiło".

Minione dwudziestopięciolecie istnienia Sodalicyi napełnia otuchą na przyszłość. Co tu w ziarnie złożono, to powinno rozrastać się bujnie po całym kraju, krzewiąc wszędzie rdzenne życie katolickie ku odbudowie moralnej. Społeczeństwo katolickie powinno wszelkiemi siłami popierać ideały i doświadczeniem już wypróbowane dążności i czyny Akademickiej Sodalicyi.

25-letnia rocznica Encykliki „Rerum novarum".

Mimo wojny światowej, która zwraca na siebie oczy i umysły ludów Europy, nie zapomniano o 25-letniej rocznicy wydania encykliki Leona XIII. „*Rerum novarum*". Niezwykły to jubileusz wobec tego, że niema wcale zwyczaju obchodzenia jubileuszów encyklik papieskich. Że jednak tu uczyniono wyjątek, że zarówno zagranicą jak w naszej monarchii święcono dzień 15 maja 1916, to wskazuje na nadzwyczajną doniosłość tego dokumentu, którego znaczenie wcale nie należy jeszcze

do przeszłości. Owszem można powiedzieć, że właśnie w obecnych czasach encyklika „*Rerum novarum*“ ma szczególnie aktualną i praktyczną wartość. Słusznie powiedziano, że wojna obecna prowadzona jest nie w interesie religijnym lub narodowościowym albo wogóle w interesie jakimś kulturalnym, lecz w interesie finansowym, w interesie kapitalizmu i mammonizmu, czyli nieograniczonego opanowania wszystkich stosunków przez pieniądz i wyzysk. Wszystko podporządkowuje się interesom finansowym, troskę o Kościół i szkołę, opiekę nad nauką i sztuką, kwestyę pokoju i wojny. Marszałek polowy Moltke wyraził się ogólnie w tej sprawie, że wielkie wojny nowszych czasów wybuchały przeciw woli i życzeniu rządów, i że giełda w naszych czasach doszła do tak potężnego wpływu, iż potrafi dla obrony swych interesów zmobilizować armię. Te słowa mają także w dzisiejszej wojnie zastosowanie. Wojna obecna jest gorzkim owocem liberalizmu ekonomicznego, który wytworzył kapitalizm i odsunął na dalszy plan idealne dobra i moralne wartości człowieka, aby wszystko oceniać jedynie ze stanowiska doczesnego i finansowego. Jaskrawo widać to po stronie koalicyi, którą nie wspólne cele polityczne lub kulturalne, ale wspólny interes finansowy ze sobą spoiły. Francya, tak skarżył się Anatole France na swą ojczyznę, nie jest republiką, lecz państwem finansowem. Nie rządzą nią prezydent i ministrowie ani Izby, lecz instytucye kredytowe, całe państwo jest zależne od wielkiego kapitału. O Anglii wiadomo, że miejsce arystokracyi zajęła obecnie plutokracya, że parlament jest w zupełnej zawisłości od kasty bogaczów. W neutralnej Ameryce pojmuje się neutralność w duchu interesów finansowych, jak wymownie pokazują dostawy amunicyi i broni pod adresem koalicyi. Zresztą wszechmoc wielkich trustów amerykańskich jest dość znana: nie zdołał się jej oprzeć dotąd żaden prezydent lub sekretarz stanu. W państwach centralnych silne monarchie i partye konserwatywno-chrześcijańskie zdołały poniekąd osłabić rozpanoszenie się kapitalizmu, ale niebezpieczeństwo przemożnego jego wpływu i u nich istnieje. Wojna obecna powinna otworzyć oczy wszystkim na straszne następstwa wszechmocnego panowania mamony bez poszanowania sprawiedliwości i wogóle prawa moralnego. Przywołał to na pamięć światu całemu z wysokiej Stolicy Piotrowej Benedykt XV. w pierwszej swojej encyklice, w której socyalne niedomagania naszych czasów uważa za właściwe źródło nieszczęść, które obecnie targają ludzkość. Otóż w świetle faktów dziś po 25 latach encyklika

Leona XIII. nabiera nowego znaczenia, wskazuje ona dobitnie, do czego doprowadza lekceważenie wytycznych kierunków w ekonomii społecznej, które znaczył chrystyanizm i Kościół, a nadto wysuwa znów z nieprzepartą siłą naprzód swój program, który jedynie może stanowić trwałą podstawę odbudowy socyalnej i uzdrowienia stosunków. W obecnej wojnie robotnik ponosi same tylko ofiary i czyni to ochoczo w imię patryotyzmu, spodziewając się obrony zagrożonej ojczyzny i nowego jej rozkwitu. Podobnie widzimy, że klasy przemysłowe ponoszą wielkie ofiary, gdyż praca ich zawodowa niezmiernie jest utrudniona i pod niejednym względem skazana na upadek. Stan urzędniczy i nauczycielski w czasie wojny ucierpiał ogromnie wobec drożyzny, która mu utrudnia najskromniejsze nawet utrzymanie. Jednem słowem wszyscy, którzy uczciwą pracą zarabiali sobie na życie, skazani zostali w czasie wojny na niedostatek i na ofiary. Z drugiej zaś strony towarzystwa akcyjne i banki mają do zapisywania olbrzymie zyski czyste, idące w miliony, i wykazujące ustawiczny wzrost dobrobytu, jakiego nigdy nie miały za czasów najlepszego pokoju. Wobec masowego zubożenia całych warstw z jednej strony, mamy niesłychane zyski wojenne z drugiej strony. Leon XIII. jakby proroczym duchem oświecony przewidział wszystkie te konsekwencye liberalizmu ekonomicznego, który ujarzmia proletaryat i uważa warstwy pracujące tylko za środek do pomnażania zysków. Jasno i dobitnie zaznaczył Leon XIII., że „hańbą i nieludzkością jest nadużywać ludzi jakby rzeczy jakiejś dla zysku i oceniać ich tylko według wartości, jaką przedstawiają ich mięśnie i siły". Chciwość, która nie zna hamulca prawa ani naturalnego ani Boskiego, która nie liczy się z krwią i mieniem milionów dla pozbycia się niewygodnego konkurenta, jest tajną siłą przedłużającą tę straszną wojnę. Gdyby głos Leona XIII. był powszechnie uznany, gdyby zrozumiano, że w stosunkach społecznych dla ich uzdrowienia trzeba ożywić na nowo zasady i obyczajność chrześcijańską, krzewić społeczne cnoty, jak miłość i sprawiedliwość, gdyby nie mamona rządziła światem, ale prawo miłości, nie byłoby doszło do tej krwawej wojny, a co najmniej antagonizm interesów ekonomicznych nie byłby prowadził do tak bezprzykładnego krwi rozlewu. Oby wszystkim ta wojna uświadomiła tę prawdę niezbitą, że wolna i niczem nie ograniczona konkurencya, ta zasada liberalizmu ekonomicznego, prowadzi tylko „*ad absurdum*".

Co stanie się po wojnie? To pytanie zaprząta umysły wszyst-

kich patrzących trwożliwie w przyszłość. W czasopismach i dziennikach omawia się niejeden problem przyszłości, jak kwestyę zaludnienia kraju, pracę kobiet i dzieci, zastępujących obecnie z konieczności mężczyzn na licznych polach zarobkowych. Wszystkie te zagadnienia zostały w wiekopomnej encyklice „*Rerum novarum*“ określone na tle chrześcijańskiej filozofii w sposób głęboki i jasny, tak, że i dziś nic ująć, nic istotnego do nich dodać nie można. Polityka zaludnienia, która systematycznie powinna być prowadzona, nie może tylko mieć na względzie liczbowego wzrostu potomstwa, lecz musi koniecznie dbać o moralną zdrowotność i o jakość społeczeństwa. Jak trafnie zauważył na obchodzie jubileuszu encykliki, w sali ludowej ratuszu wiedeńskiego, poseł do sejmu Dolnej Austryi, Leopold Kunschak — polityka zaludnienia bynajmniej „nie jest tylko zadaniem rachunkowem, jakiemś mechanizmem tylko, lecz najświętszą tajemnicą życia ludzkiego, najwyższą potęgą moralną w społeczeństwie“. Polityka taka w prawdziwem i wzniosłem tego słowa znaczeniu może tylko tam mieć miejsce, gdzie się szanuje rodzinę, która jest naturalną komórką organizmu społecznego i państwowego, co więcej jest ona jakby automatycznym rezultatem należnej opieki nad czystością i moralnością ogniska rodzinnego. Encyklika „*Rerum novarum*“ wskazuje z naciskiem na konieczność ochrony węzłów rodzinnych dla osiągnięcia trwałej pomyślności społecznej. Kwestya pracy kobiet i dzieci po wojnie nie zejdzie już z widowni. Wielu już się spostrzegło, że zatrudnianie kobiet w rozmaitych zawodach jest i wygodne i tańsze, ale nie zważa się na to, jak przez to rozluźnia się węzły rodzinne i podkopuje zdrowie przyszłych pokoleń. W tej tak ważnej sprawie encyklika „*Rerum novarum*“ daje nader cenne i dziś bardzo aktualne wskazówki. Żywo zajmuje dziś społeczeństwo kwestya osadnictwa inwalidów wojennych, którym chce się ułatwić nabycie własnych gruntów i stworzenie ognisk domowych. Leon XIII. bez wątpienia nie myślał o osadnictwie inwalidów wojennych, ale proroczym jakby wzrokiem przewidział, że dla uzdrowienia stosunków społecznych państwo będzie musiało się starać o to, aby jak najliczniejsza część ludności mogła nabywać i zachować własność ziemską. Nadmienione powyżej zagadnienia, które encyklika porusza, są tylko drobną cząstką wszystkich tych mądrych i dziś w całej pełni będących na czasie przestróg i wskazań polityki ekonomicznej, które się w piśmie papieskiem z r. 1891 zawierają. Trzeba sobie wielce życzyć, aby powszechnie uświadomiono

sobie, zwłaszcza w sferach miarodajnych, że w encyklice „*Rerum novarum*“ znajduje się program d z i s i e j s z y. U nas w Polsce przeszedł dzień jubileuszowy encykliki prawie bez echa. Sprawa narodowa wysuwa się na pierwszy plan, a zagadnienia społeczne dopiero na dalszem miejscu budzą zainteresowanie. To jednak pewna, że podstawą przyszłości lepszej może być jedynie ekonomicznie i moralnie silne społeczeństwo, które jak największą otacza troskliwością rodzinę i młodzież i dba o zdrowie zarówno fizyczne, jak i moralne narodu.

Patrona Bavariae. Od samego początku wojny, niemal od dnia mobilizacyi skonstatowano powszechny wzrost religijności, a raczej żywsze jakieś uwydatnianie przekonań i uczuć religijnych, drzemiących na dnie dusz niezliczonych ludzi, zobojętniałych przedtem dla praktyk swej religii. W miarę, jak doczesne widoki i punkty widzenia wobec grozy wojny bladły, dusze szukały w głębi swej istoty pierwiastka wyższego, niewzruszonego jakiegoś oparcia, któreby mogło być dla nich źródłem męstwa i siły. Sądzono, że ten objaw religijnego uczucia jest tylko chwilowy, przelotny, co więcej, wobec rozmaitych objawów upadku moralnego w czasie wojny, mniej w ostatnich już miesiącach przywiązywano wagi do faktu religijnego odrodzenia na tle wojennem. Jednakże zaprzeczyć nie można, że czynnik religijny wciąż odgrywa w tej wojnie ważną bardzo rolę tak u walczących, jak u ludności cywilnej, która w religii znajduje swą pociechę niezawodną i pobudkę do przetrwania wśród najcięższych ofiar. Namnożyło się w ciągu tej wojny enuncyacyi mężów najbardziej zasłużonych i rycerskich wodzów, głoszących publicznie potęgę wiary i moralności, i domagających się odbudowy moralnej społeczeństwa w kierunku poszanowania praw religijnych i obyczajowych. Najpiękniejszym jednak hołdem złożonym religii w czasie burzliwym obecnej wojny jest ów na wskróś katolicki czyn króla Bawaryi, który jako przedstawiciel całego ludu bawarskiego wyjednał u Stolicy św. uroczyste ogłoszenie Najśw. Panny Maryi „Patronką Bawaryi“. Cały świat katolicki przyklaskuje temu czynowi, godnemu dawnej świętej tradycyi, według której zwłaszcza w chwilach szczególniejszych niebezpieczeństw monarchowie poświęcali oddane sobie ludy Królowej niebios. Prześliczny dekret Benedykta XV., który dnia 12 maja tego roku doszedł do rąk Nuncyusza papieskiego w Monachium, ustanawia osobną uroczystość „Patronki Bawaryi“, przy-

padającą na dzień 14 maja. Pacierze kapłańskie i Msze św. osobne zostały w tym celu aprobowane, tak, że w tym dniu monarcha i naród łączą się u stóp Najśw. Panny Maryi w pobożności, czci i miłości ideałów, których ona jest uosobieniem. Pismo papieskie podnosi tradycyjną cześć i miłość bawarskiego narodu dla Maryi, liczne Kongregacye Maryańskie w kraju, gęsto po całej ziemi bawarskiej rozsiane miejsca łaskami słynące, i cudowne obrazy Maryi, piękny zwyczaj ozdabiania fasad domów statuami Maryi, wreszcie historyczny w rodzinie Wittelsbachów kult Najśw. Bogarodzicy. Dzień 14 maja jak promienna zorza zapowiada dla narodu poświęconego ponownie Maryi, nową erę rozkwitu religii katolickiej. Gdy za łaską Boga Polska, przeszedłszy próbę grobu, powstanie, wtedy nie w jednej lub drugiej tylko dyecezyi, ale w całej rozległej Ojczyźnie — tak się spodziewamy — uzyska uroczyste zatwierdzenie i święcenie w liturgii święta „Królowej Polskiej Korony".

Ks. Ernest Matzel.

Polski Związek Kobiet Katolickich w Krakowie.

Pół wieku temu zakresem działania kobiety katolickiej był jej dom i dzieła miłosierdzia. Ostatnie jednak 50-lecie przyniosło nam wielkie zmiany w ustroju społecznym, a w szczególności w położeniu społecznem kobiet. Zmiany te powodują, że dzisiejsza kobieta, nie zapominając wcale o swych najważniejszych życiowych zadaniach, wychowaniu dzieci i zarządzie domu, wychodzi jednak poza ścieśnione działanie w swym kółku domowem i do uczynków miłosierdzia, które, jak wspomniałam, zawsze wypełniała, dołącza akcyę społeczną.

Dziś „społeczniczką" pragnie być każda rozumna matka, bo wie, że im społeczeństwo będzie lepsze, zamożniejsze i bardziej oświecone, tem życie jej dziecka w temże społeczeństwie będzie się układało lepiej, piękniej i szczęśliwiej. W ogólnie szczęśliwych warunkach i jednostka łatwiej znajdzie szczęście. To też każda niesie swą cegiełkę, choćby najskromniejszej pracy.

Obecne warunki życiowe wykazały, że tak wykonywanie miłosiernych uczynków jak i działalność społeczna jest wydajniejszą, gdy się zgrupuje pewną ilość jednostek dla jej wykonywania, aniżeli pojedyncze wysiłki każdej jednostki z osobna.

W zrozumieniu tej prawdy ostatnie 20-lecie dało nam szereg stowarzyszeń kobiecych. Dziś chciałabym powiedzieć kilka słów o najwybitniejszem z tych stowarzyszeń o „Polskim związku Niewiast katolickich". „Polski związek Niewiast katolickich", z siedzibą w Krakowie, założonym został przez O. Ledóchowskiego i p. Adelę Dziewicką w roku 1900 w celu wykształcenia i łączenia kobiet do pracy społecznej na gruncie narodowym i katolickim.

Z teoryą pracy społecznej zapoznają się członkowie zapomocą bogatej, w książki treści społecznej, biblioteki stowarzyszenia i przez odczyty, odbywające się prawie co tydzień w sali „Związku".

Prócz sekcyi bibliotecznej i odczytowej obejmuje „Związek" n. p. sekcye: pedagogiczną, tanich kuchni, kuchni akademickiej, ochrony dzieci, stowarzyszeń zawodowych, rozszerzenia działalności Związku na prowincyi, kolonii wakacyjnych seminarzystek, młodzieży, burs kolonii wakacyjnych dla kobiet pracujących, ochrony kobiet, popieranie ruchu kobiecego.

Aby jasno oświetlić działalność Związku, musimy się zająć każdą poszczególną sekcyą.

Tanie kuchnie.

Celem Sekcyi tanich kuchen jest dostarczanie za możliwie najniższą cenę zdrowych i pożywnych potraw dla niezamożnych. Zastąpienie biedakowi kawałka suchego chleba, zakropionego najczęściej wódką w szynku żydowskim, ciepłą strawą. Temu zaś, którego nie stać nawet na 20 hal. obiad, daje go „tania kuchnia" za darmo.

Pierwsza tania kuchnia założoną została w r. 1903 przez hr. Jadwigę Rostworowską. Żywy ruch tej pierwszej kuchni wywołał zaraz w rok potem potrzebę otworzenia II-giej kuchni, a w następnych latach otworzono jeszcze III-cią i IV-tą kuchnię.

O rozwoju i pożytku tych kuchen najlepiej świadczą ilość i jakość wydawanych potraw.

Rok 1905: Obiadów po 103.317; Pół obiadów po 954; Herbat po 89.500; Chleba kromek po 39.604; Bułek po 21.730.

Rok 1913: Obiadów po 384.870; Pół obiadów po 22.496; Herbat po 294.398; Chleba kromek po 230.782; Bułek po 128.675; Kaw po 12.237; Mleka po 47.383.

Prócz tego „tanie kuchnie" urządzają rok rocznie wieczerze wigilijne (po 40 hal.), cieszące się wielką frekwencyą i serdecznym nastrojem.

Do „tanich kuchni“ uczęszcza ucząca się młodzież obojga płci, pracownice wszystkich zawodów i robotnicy fabryczni. Jedna z nich, pod wezwaniem św. Jana Kantego, nosi miano kuchni studenckiej.

Kuchnie przeważnie opłacają się same, ze swoich obrotów, a nawet dają pewną nadwyżkę.

Zarząd sekcyi „tanich kuchni“ stanowią: przewodnicząca z kilku paniami i panie dyżurne wydają kwity i pomagają w czynnościach.

Przewodniczącą przez długi szereg lat była p. Zofia Koźmianówna.

Kuchnia akademicka „Towarzystwa Bratniej Pomocy Uczniów Un. Jagiell.“

objętą została na 6 lat przez Polski Związek Niewiast Katolickich. Radzie kuchennej przewodniczyła p. Janiszowska. W sprawozdaniu rocznem z r. 1911 Tow. Bratniej Pomocy Uczniów Un. Jagiell. wyraziło gorące uznanie Związkowi za jego działalność na tem polu, czego dowodem było zamianowanie p. Janiszowskiej członkiem honorowym Towarzystwa.

Kuchnia wydawała dziennie od 250 do 300 obiadów prócz śniadań i kolacyi. Z nadwyżki Zarząd kuchni udzielał biedniejszej młodzieży od 10 do 15-tu obiadów dziennie bezpłatnie, oprócz tego ofiarował Towarzystwu Bratniej Pomocy jednorazowo na bezpłatne obiady kwotę 1.000 koron.

Z powodu zmian zaszłych w Wydziale Tow. Bratniej Pomocy prowadzenie kuchni akademickiej natrafiało na takie trudności, że Związek postanowił 15 lipca 1913 r. kontraktu nie odnawiać. Przez cały czas zarządu pań, mimo coraz zwiększającej się drożyzny, nie były podnoszone ceny obiadów.

Sekcya pedagogiczna

zawiązana w r. 1905, zaczęła swą działalność od założenia biura informacyjnego dla kobiet, chcących się kształcić w Krakowie. Biuro ułatwiało również umieszczanie uczącej się młodzieży. Fundusz na założenie Biura został zebrany z dochodu za bilety wstępu na kursy, które Związek 1906 r. urządził z dziedziny nauk: medycyny, apologetyki, prawa i katechizacyi. W kursach tych brali udział, jako prelegenci, najwybitniejsi z profesorów Uniw. Jagiell. Kursy obejmowały ogółem 57 godzin; przeciętna liczba słuchaczek od 40 do 50. Bilety wstępu były opłacane po 50 hal., prócz wykładów na klini-

kach, które były bezpłatne. Biuro informacyjne zostało zwinięte, bo podobne biuro przy uniwersytecie uczyniło je zbędnem.

W listopadzie 1907 r. urządził Związek kurs nauk społecznych i pierwszorzędne powagi naukowe przyjęły w nim udział.

Dalszą pracą sekcyi było założenie internatu dla panien, uczęszczających na wyższe kursa naukowe. Przewodnią myślą i celem tego Internatu było gromadzenie panien i utworzenie im rodzaju domu rodzinnego, i to panien ze sfer uboższych, które nie mogą płacić wysokich cen dobrych pensyonatów, ale zwykle mieszkały, a jeszcze gorzej odżywiały się. Niestety po kilku latach względy materyalne zmusiły Związek do zamknięcia Internatu.

Jednym z celów sekcyi jest, zapomocą odczytów, uświadamianie członków o ruchu pedagogicznym w kraju i zagranicą i o prądach, którym podlega i za którymi idzie młodzież. Jeden z tych odczytów, wygłoszony przez p. prof. Zakrzewską, podawał wyniki ankiety, którą sekcya w r. 1909 rozpisała.

Cel tej ankiety był podwójny: *a*) Pobudzenie rodziców do zastanowienia się nad wychowaniem swych dzieci i obowiązkami względem nich. *b*) Zebranie materyału informującego, dla uzyskania obrazu życzeń i wymagań rodziców, dla usłyszenia ich głosu w sprawie wychowania, wykształcenia i szkolnictwa.

Sekcyi pedagogicznej przewodniczyła p. Woźniakowska.

Sekcya Ochrony dzieci.

Do zakresu działania tej Sekcyi należy: 1) informacya o ruchu społecznym, podjętym w kraju i zagranicą w celu ochrony dzieci; 2) urządzanie odpowiednich zebrań i odczytów lub sprawozdań ze stowarzyszeń krajowych i zagranicznych, zawiązanych dla ochrony dzieci i uczęszczanie na odczyty, konferencye i zebrania, traktujące o sprawach, dotyczących ochrony dzieci; 3) opieka pozaszkolna nad dziatwą, uczęszczającą do szkół ludowych miejskich. Dla sprawowania tej opieki Sekcya zakłada i prowadzi ochrony i szkółki popołudniowe, pracownie i warsztaty tak dla dziewcząt jak i dla chłopców przeważnie w lokalach szkolnych. Staraniem Sekcyi powstały: 4 ochrony popołudniowe, w której dziewczątka przepędzają czas na nauce, na stosownych robótkach ręcznych i na godziwej rozrywce pod kierunkiem ochroniarek; otrzymują też skromny podwieczorek.

Szkółka robót ręcznych dla dziewcząt, składająca się z dwóch oddziałów: szycia i koronkarstwa. Na każdym z tych oddziałów

jest po 30 dziewczynek w wieku 7—15 lat. Pracują one pilnie, uczą się także łatania, cerowania i robienia guzików, a wyrabiane przez nie koronki znaczny znajdują pokup.

Szkółka wzięła sobie za zadanie wpajania w dzieci od lat najmłodszych zamiłowania do pracy, daje im możność pomagania rodzinie, a przedewszystkiem chroni przed zgubnym wpływem ulicy.

W pracowniach dla chłopców koszykarskich i naprawy obuwia, odbywa się nauka pod fachowem kierownictwem po 2 razy na tydzień. Korzystają z niej uczniowie 4 klas wydziałowych w liczbie 25 na każdym z tych oddziałów.

Chłopcy wyrabiają drobniejsze wyroby koszykarskie: opałeczki, koszyczki na robótki kobiece, koszyczki wazonikowe i t. p., które znajdują chętny pokup. Część kwoty uzyskanej ze sprzedaży oddaje się uczniom jako wynagrodzenie ich pracy, reszta obracaną bywa na zakupno świeżego materyału. Na kursie szewskim uczniowie wykonują mniejsze naprawki całkiem poprawnie.

Opieka pozaszkolna wpływa umoralniająco na dzieci pozbawione tak potrzebnego w ich wieku nadzoru i zapobiega tem samem w miarę możności zepsuciu dziatwy, która wśród najniższych warstw ludności na najgorsze wystawiona jest wpływy, a pozostawiona bez opieki, padłaby ofiarą demoralizacyi i zepsucia.

Przewodniczącą tej sekcyi była z początkiem jej powstania p. L. Carowa, która jednak wnet ustąpić musiała z powodu słabego zdrowia. Przewodnictwo sekcyi objęła wtenczas p. Gabryelowa Wędrychowska.

Sekcya młodzieży

założona w r. 1909 jest jakby szkołą nauk społecznych dla młodych panien. Celem jej jest przysposobienie młodszego zastępu kobiet do pracy narodowo-społecznej. Teoretycznie kształcą się członkowie tej sekcyi w Kółku samokształcenia — praktycznie ćwiczą się w istniejących już działach pracy społecznej przy Pol. Zw. Niew. Katol. Regulamin sekcyi nadaje jej obszerną autonomię. Kółkiem samokształcenia kierował dr. Caro przez 2 lata. Sekcya młodzieży prowadzi jedną ochronę popołudniową dla dziewcząt. Zajmowała się również schroniskiem dla dzieci więźniów.

Przewodniczącą sekcyi była p. Marya Ruszczyńska, następnie do 1913 r. p. Helena Grottówna.

Sekcya Burs.

Bursa studencka pod wezwaniem św. Stanisława Kostki.

założoną została w r. 1910 staraniem i kosztem Związku i prowadzoną była wspólnie z dwoma sodalicyami panów i akademicką, przez 2 lata. Kierownikiem duchownym był O. Bratkowski. Następnie prefektem bursy był do 30 czerwca 1913 r. ks. dr. Jan Szymeczko, a gdy wyjechał na studya zagranicę, komitet bursy powierzył jej prowadzenie dwom sodalisom akademikom pp. Depowskiemu i Stopie, którzy z wielkiem poświęceniem swą pracę spełniali aż do wakacyi 1914 r. Opiekę duchowną sprawował ks. A. Lang. Ks. Prof. Kulig również często Bursę odwiedzał. W „Bursie" za bardzo niską opłatą naprzód 24 potem 30 koron, otrzymują chłopcy nietylko mieszkanie i utrzymanie, ale też bardzo troskliwą i staranną opiekę.

Bursa seminarzystek

założona przez Związek w rok później w tych samych warunkach. utrzymuje do 40 panienek. Bursą kieruje osobny komitet. Opiekę duchowną objął ks. prof. Masny.

Obie Bursy wypełniają znakomicie tak bardzo ważne w społeczeństwie naszem zadanie, ratowania fizycznego i moralnego młodzieży naszej. Przewodniczącą Sekcyi Bursy jest p. St. Rychłowska.

Sekcya kolonii wakacyjnych seminarzystek

zawiązaną została w r. 1909 na skutek propozycyi ks. prof. Masnego i kooptowawszy członków z grona nauczycielskiego seminaryum żeńskiego, już w tymże roku otwarła dla 24 panienek kolonię w Jaszczurowej ; w roku następnym pojechało już 32 panienek, w r. 1911 — 40, w 1912 — 48, a w 1913 zapisało się panienek 46.

Panienki na kolonii zbierają nietylko zapasy sił życiowych i zdrowia, tak im potrzebnego w ich późniejszym ciężkim zawodzie, ale i przygotowują się świetnie, do swego zawodu, nauczycielek ludowych, bo stykając się na wsi z ludem, uczą się go rozumieć i z nim współdziałać.

Prócz tego otrzymują wskazówki co do prowadzenia gospodarstwa domowego, pomagając przy sporządzeniu posiłków i zajmują się porządkiem w pokojach.

Przewodniczącą sekcyi jest p. Turska.

Sekcya kolonii wakacyjnych dla pracownic.

Ktokolwiek zna życie samo — i życie miasta, zrozumie łatwo czem się stać może i powinna kolonia wakacyjna dla pracownic. Setki zakładów przemysłowych wymagają tysięcy rąk, a owe ręce to narzędzie pracy tylu a tylu młodych dziewcząt, które w trudzie zdobywają chleba kawałek wśród najgorszych warunków. Lokale zimne, źle oświetlone, wilgotne, nie należą bynajmniej do rzadkości; tłumne pomieszczenie nie jest wcale, hygienicznem; całodzienne pochylanie się nad robotą garbi plecy i gniecie płuca; przesiąknięte pyłem drukarskim czy tytoniowym atmosfera wcześnie nabawia choroby i niszczy siły.

Dla tych pracownic, najgorzej wynagradzanych, najciężej pracujących najmarniej odżywianych — chwila odetchnięcia jest nieobliczalną w skutki i błogosławioną.

Kolonie wakacyjne niosą tym strudzonym możność wyrwania się z koła codziennych, mozolnych zatrudnień.

Od r. 1911 do 1914 skorzystało z wakacyi 182 pracownic, umieszczonych bądź na zaofiarowanych miejscach przez dwory prywatne, bądź to w domu wiejskim, wynajętym przez Związek na letnie miesiące.

Co do kategoryi kolonistek, to pierwsze miejsce zajmowały pracownice igły, następnie były tutkarki, nakładaczki w drukarniach, robotnice fabryki cygar, modniarki, introligatorki i pracownice, zajęte w administracyi czasopism.

Kolonie wakacyjne dla robotnic nie są jedynie akcyą filantropijną, ale i akcyą, łączącą się ściśle z pomyślnym rozwojem rodzimego przemysłu.

Przewodniczącą Sekcyi kolonii wakacyjnych dla pracownic jest p. Stanisława Lewkowiczowa.

Sekcya Ochrony Kobiet.

Założona w końcu 1912 roku, ma na celu otoczenie opieką tych kobiet, szczególnie młodych i niedoświadczonych, których warunki życiowe zmuszają do opuszczenia rodziny dla szukania pracy i zarobku wśród obcych.

Ochronić je przed wyzyskiem i zabezpieczyć im możność uczciwej pracy — jest to główny cel Sekcyi.

Sekcya ma również zadanie teoretycznego badania wszystkich warunków ochrony kobiet tak w kraju, jak i zagranicą wobec nie-

bezpieczeństw im grożących, handlu żywym towarem i t. p., oraz zapoznawania z temi sprawami szerszego ogółu.

W styczniu i lutym roku sprawozdawczego Sekcya wydała i rozesłała szereg odezw do księży Proboszczów na prowincyę, za łaskawem pozwoleniem naszego Episkopatu, oraz umieściła w wozach kolejowych 1.500, wspólnych ze Związkiem Lwowskim, ogłoszeń, a 50 wielkich afiszów na większych dworcach.

Na razie Sekcya skupia swą pracę w trzech działach:

I. Misya dworcowa objęła opiekę i dozór nad ruchem podróżnych na dworcu kolejowym i udziela rady i pomocy podróżującym kobietom, szczególnie młodym, bez różnicy narodowości i wyznania. Dwanaście pań opiekunek objęło na zmianę dyżury na dworcu i spełnia swoje zadanie z wielkiem poświęceniem. Oprócz nich są obecne przy wszystkich pociągach od godz. 7 rano do 10 wieczór dwie wysłanniczki Sekcyi z opaską biało-żółtą na ramieniu i odznaką emaliowaną biało-żółtą na piersi z napisem: „Ochrona Kobiet". Wysłanniczki zwracają baczną uwagę na przybywające kobiety, uprzejmie im ofiarują swą pomoc, udzielają wskazówek na dworcu i bardzo często towarzyszą im do miasta i odprowadzają do schroniska, lub udzielają adresów innych, pewnych lokali. W roku 1913 misya udzieliła pomocy 754 osobom. które poniżej wyliczam według ich zajęcia:

163 prywatnych, w tem 2 Francuzki;
27 robotnic, w tem 1 idyotka;
204 służących, w tem 9 Rusinek, 3 izraelitki, 2 Słowaczki,
1 muzykantka;
24 bon, w tem 1 ewangeliczka Niemka, 6 katoliczek Niemek, 1 ewangeliczka Francuzka;
13 gospodyń;
4 seminarzystki;
5 uczenic;
23 nauczycielek;
4 szwaczki;
1 masażystka;
1 fryzyerka Czeszka;
3 sieroty z ulicy do lat 11.

II. Schronisko, które może pomieścić 20 osób w dużych i widnych pokojach.

W r. 1913 udzielono w schronisku gościny 1.014 osobom, które

przebyły w schronisku 3.359 dni, w tem przez 170 dni udzielono niezamożnym mieszkania bezpłatnie, zapewniając im nadto pożywienie.

Według religii było katoliczek 1.007, protestantek 2, izraelitek 5. — Oprócz dorosłych, przyprowadzano często do schroniska zabłąkane, nieletnie dzieci, które oddawano do instytucyi, powołanych do zaopiekowania się niemi.

Według zajęcia były:
nauczycielki 58, bony 72, gospodynie 38, prywatne 392, sługi i robotnice 392 (trzysta dziewięćdziesiąt dwie), panny służące 18, krawcowe i szwaczki 15, zakonnice 14 (w tem 2 nowicyuszki), uczenice 9 (dziewięć) fryzyerka 1, masażystki 3 i artystki 2.

III. Biuro pracy, stara zgłaszającym się do „Ochrony Kobiet" osobom dostarczyć bezpłatnie zajęcia, natomiast od pracodawców pobiera za pośrednictwo niewielką opłatę. Biuro stara się o ile możności zadowolnić pracodawców, a zwraca baczną uwagę, by osoby, poszukujące pracy, umieszczać w domach pewnych o ile można jak najlepiej.

Przewodniczącą Sekcyi jest p. Aleksandra Żuk-Skarszewska.

Sekcya rozszerzenia działalności Związku na prowincyi

ma za zadanie organizowanie Kół związkowych. Statut Związku pozwala je zawiązywać we wszystkich miejscowościach w obrębie monarchii austryackiej położonych. Do końca 1913 r. zawiązano Kół 6 (nie licząc czysto wiejskich dla włościanek).

Koła P. Z. N. K., będąc oparte na tym samym statucie, co krakowski centralny Związek, muszą naturalnie w działalności stosować się do miejscowych potrzeb. Wszędzie, gdzie powstają, rozciągają działalność na o ile możności najszersze sfery kobiet, organizując n. p. stowarzyszenia Matek chrześcijańskich i Dziewcząt katolickich (Skawina), Polski Związek katol. Robotnic (Zakopane), Opiekę nad dziewczętami (Mielec, Zakopane), otwierając szwalnię lub kursa szycia (Czarny Dunajec, Wieliczka, Mielec, Zakopane). Koło w Czarnym Dunajcu ma nawet pod tym względem specyalny charakter, że łączy w sobie przedstawicielki inteligencyi i ludu. Koło w Mielcu prowadziło przez pewien czas kursa gospodarcze dla gospodyń wiejskich. Koło w Limanowej zajmowało się stworzeniem rodzaju kooperatywy spożywczej wśród swych członków. Jedną zaś z pierwszych czynności Kół wogóle, bywa zwykle założenie biblioteki oraz urządzanie odczytów i pogadanek. Wielka ruchliwość

cechuje Koło zakopiańskie; prócz wyżej wspomnianych działów prowadzi ono tanią kuchnię i herbaciarnię, założyło pierwszy u nas w kraju związek dzieci abstynentów pod wezw. Anioła Stróża, rozciąga opiekę nad Pol. Zw. Kat. uczniów rękodzielniczych i nad „Odrodzeniem", domem edrowia dla katol. młodzieży, a nawet zorganizowało „Teatr ludowy", w którym grają siły amatorskie z wyżej wymienionych stowarzyszeń robotniczych.

Sekcya wiejska.

Sekcya wiejska jest najmłodszą ze wszystkich i jako taka nie może się pochlubić jeszcze znacznym rezultatem. Że jednak myśl założenia jej wyniknęła z powszechnie odczuwanego braku organizacyi kobiecych po wsiach, więc według wszelkiego prawdopodobieństwa ma wiele warunków rozwoju.

Dotychczasowa praca dla ludu i nad ludem uwzględniała przeważnie tylko mężczyzn — kobietami mało na ogół się zajmowano. A przecież jeśli się matki rodziny nie uświadomi narodowo; jeśli się w niej nie wyrobi zmysłu społecznego, jeśli się jej nie podniesie pod względem kultury, to praca w tym kierunku nad ludem będzie bardzo utrudniona i kto wie, czy nawet nie pójdzie na marne.

To też Sekcya wiejska ma za zadanie organizować Koła Związkowe po wsiach, aby pracować w ten sposób nad ekonomicznem podniesieniem wsi polskiej i oświaty kobiet wiejskich, oraz nad ich uświadomieniem narodowem. Regulamin Sekcyi zakreśla Kołom wiejskim szerokie pole działania. Jest w projekcie urządzanie szkół i kursów gospodarstwa domowego i wiejskiego oraz wykładów z tej dziedziny, tworzenie spółek produkcyjnych, zakładanie czytelni, urządzanie wystaw robót kobiecych, wieców oświatowych, organizowanie wycieczek celem zwiedzania miejsc historycznych i wzorowych gospodarstw etc., a praca ta ma się dokonywać w danych wypadkach w łączności z instytucyami przemysłowemi, rolniczemi i patryotyczno-oświatowemi.

W r. 1913 zostało założone Koło w Zielonkach, które od samego początku rozwinęło wydatną działalność.

W r. 1913 Wydział powołał do życia Sekcyę popierania ruchu kobiecego, który jest tak ważnym problemem dzisiejszych czasów.

Przewodniczącą Sekcyi Wydział zamianował dr. Maryę Estreicherównę.

* * *

Każda z Sekcyi ma więc swoje cele, a jednak mimo różnorodności działania każda łączy się nicią rad i pomocy z Prezesową i Wydziałem „Związku“ i tak razem zmotane wysnuwają barwne przędziwo jaśniejszej przyszłości narodowej.

Prezesową „Związku“ jest hr. Marya Wodzicka, prezydentka „*Union internationale des ligues catholiques feminines*“, do której składowych części należy i nasz „P. Z. N. K.“.

W r. 1913 członkowie Związku brali czynny udział w pracach Komitetu, organizującego Zjazd kobiet polskich w Krakowie, jako też w czasie obrad. Również przystąpiłyśmy do gościny Związku chrześć. pol. stow. kob., która się w 1913 r. ukonstytuowała w Krakowie. Na zjeździe Londyńskim stowarzyszenie do *Union internat. des Ligues cath. fem.* należących. Związek nasz przedstawił referat o wychowaniu chrześcijańskiem (w szkołach naszych).

Kończąc to krótkie streszczenie szerokiej i wydatnej działalności „Polskiego Związku Niewiast Katolickich z siedzibą w Krakowie“, chciałabym dodać kilka słów objaśnienia, dlaczego piszę tylko o działalności, a nie o działaczkach, dlaczego ograniczam się do krótkiego wymienienia nazwisk, a nie wspominam, ile godzin pracy, trudu i to przez długi szereg lat poświęciły Prezesowa „Związku“ Przewodniczące sekcyi, i grupujące się w każdej sekcyi panie dla osiągnięcia celów, z których dopiero co, tak suchą zdałam notatkę.

Postępowanie moje dyktowała mi wola pań związkowych, myślących z Orzeszkową, że: „Cnota prawdziwa jest cichą, bo brak jej czasu do objawiania się ludziom; nie chełpi się, bo uważa się za konieczność; nie obowiązującą nikogo do pochwał; nie wymaga ludzkich oklasków i uwielbień, bo sama w sobie znajduje dostateczne wynadgrodzenie i ma głębokie wewnętrzne radości, których dać nie może żadna ziemska chwała.

(C. d. n.)

Zofia Krzyżanowska.

Z ruchu naukowego.

Nowy czas. — Mierzenie czasu. — Czas: słoneczny rzeczywisty — średni — strefowy — ustawowy. — Prawdziwa różnica między czasem ustawowym, a rzeczywistym. — Korzyści nowego systemu.

Przed niewielu laty wyłonił się w Anglii projekt, zmierzający do tego, by zmusić ludzi do wyzyskania należytego światła dziennego. Odnosiło się to zwłaszcza do mieszkańców miast, gdzie sposób życia staje się coraz bardziej różny od tego, do jakiego nas nakłania przyroda: pracowania i czuwania w dzień, a szukania odpoczynku w tak koniecznym i dla organizmu zbawiennym śnie w nocy. Nie mówiąc już o karciarzach i hulakach — słyszałem n. p. o jednym, znanym mi osobiście, że pewnego roku przez cały grudzień i styczeń nie widział słońca, szedł bowiem spać o szóstej rano, a wstawał o szóstej wieczór — nawet ludzie pracy i obowiązku coraz dalej ku wieczorowi i ku głębokiej nocy przesuwają godziny zajęć i rozrywek towarzyskich. Cierpieć oczywiście na tem musi system nerwowy, bo mimo nawyknienia i przystosowania przecież organizm ludzki, podobnie jak przeważna część organizmów zwierzęcych, najlepszy odpoczynek znajduje w czasie ciszy nocnej, ale na pierwszem miejscu ponoszą szkodę oczy, dla których najzdrowsze zawsze będzie światło dzienne. Chociaż oczywistość szkodliwości takiego sposobu życia nie ulega żadnej wątpliwości, to przecież zakorzenia się on coraz bardziej i wkrótce stało się jasnem, że tylko chyba jakieś prawodawstwo państwowe mogłoby złemu zaradzić. Tą myślą wiedzeni wybitniejsi mężowie Anglii z pośród rozmaitych zawodów, chwycili się projektu, za którym agitował szczególnie członek parlamentu Wilhelm Willett, by w miesiące letnie przesuwać zegary naprzód o godzinę i w ten sposób całą machinę życia społecznego utrzymywać w ruchu za dnia, przy świetle naturalnym. Mimo gorliwych i wybitnych zwolenników, projekt ten upadł, a główny jego poplecznik, Willet, umarł przed dwoma laty zapomniany i nawet po zgonie jego przeciwnicy nie szczędzili mu uszczypliwych i lekceważących wzmianek w nekrologach.

Nie nawrócą nieraz palacza lub alkoholika rozprawy etyczno-hygieniczne, nie powstrzyma go wzgląd na dobro i pożytek innych, ale i najbardziej pogrążony musi wstąpić na drogę wstrzemięźliwości, gdy braknie materyału do nadużyć. Brak i niedostatek jest twardym, ale dobrym pedagogiem dla jednostek, a niemniej także

i dla społeczeństw. Czego nie zdołały sprawić rozprawy i dowody uczonych, tego za jednym zamachem dokonuje „oszczędność, wskazana ze względu na obecne wydatki wojenne“ i za przykładem Austryi i Niemiec, tych barbarzyńskich i tak bardzo znienawidzonych Niemiec, kolejno Francya, Anglia, Włochy i cała Europa, z wyjątkiem Szwajcaryi, zaprowadza tak zwany czas letni, który wskazówki zegaru przesuwa z dniem 1-go maja o godzinę naprzód. Z nowego porządku rzeczy obiecują sobie państwa znaczne zaoszczędzenie wydatków, bo większe z nich aż do 200 milionów koron, a więc tyle, ile potrzeba na jeden lub dwa dni na wojnę, (Francya wydaje obecnie jak sama przyznaje, 93 milionów dziennie, Niemcy dwa miliardy miesięcznie), a co razem wziąwszy uczyni dla całej Europy koło miliarda.

Argument finansowy był oczywiście rozstrzygającym, i sprawa przeszła we wszystkich parlamentach, z wyjątkiem austryackiego, gładko, lecz nie obyło się całkowicie bez opozycyi, mianowicie z kół, które zawsze prowadzą życie rozumne, związane ściśle z przyrodą, z pomiędzy rolników i ziemian. Kto miał zwyczaj chwalebny wstawania przez cały rok n. p. o godzinie wpół do piątej rano, cieszył się przy końcu kwietnia, że po otwarciu oczu ujrzał pełne światło dzienne; takiemu też przykro się zrobiło pierwszego maja, gdy zamiast dnia jasnego przywitały go cienie nocne i ubierać się i pierwsze czynności dnia wykonywać musiał przy sztucznem świetle. A trudniejsza jeszcze sprawa z zasypianiem wieczorem, gdy słońce prawie jeszcze na niebie. Czyż nie prostszą i słuszniejszą rzeczą było — woła niejeden z takich — by nakazać rozpoczynać śpiochom pracę o godzinę wcześniej, zamiast burzyć cały porządek przyrodzony sztucznym czasem!

Na psychologicznie zupełnie uzasadnione i słuszne takie utyskiwania odpowiedzieć trzeba dwiema uwagami: Najpierw przesunięcie takie jest zupełnie niemożliwe, bo wiele jest zajęć takich, na które państwo ani żadna władza publiczna wpływu mieć nie może, a które mimo to potrzebne są do należytego funkcyonowania całej machiny społecznej. Co się zaś tyczy zarzutu o czasie sztucznem, to pożytecznem i uspakajającem będzie przypomnienie sobie tej prawdy, że i czas poprzednio używany był także sztuczny i z rzeczywistym położeniem słońca wcale niezgodny. Że tak jest, przyznać musi każdy, kto uprzytomni sobie, jakie są wogóle sposoby mierzenia i oznaczania czasu i godzin.

Mierzyć czas! Prosta ta i tyle razy codziennie przez ludzi po całym świecie powtarzana czynność ileż nastręcza trudności teoretyczno-filozoficznych! Bo najpierw cóż to znaczy mierzyć? Znaczy to, jak wiemy z elementarnej matematyki, porównywać, znaczy to przekonywać się i badać, ile razy pewna ilość, którą obraliśmy za jednostkę, mieści się w mierzonej ilości. Więc gdy chcę mierzyć sukno, drogę i t. p., to przykładam metr i badam, ile razy ten metr mieści się w mierzonem suknie lub drodze. Wodę lub mleko mierzę w ten sposób, że czerpię naczyniem, mającem litr pojemności, aż do zupełnego wyczerpania, by przekonać się, ile razy ten litr mieści się w całej ilości płynu. A gdy chcę sprawdzić, czy się nie pomyliłem, to spokojnie powtarzam to samo raz wtóry. Ale mierzyć czas — jak i czem? Oczywiście tylko jednostką jednorodną, a więc znowu czasem. Ale jak mierzyć! Czasu danego nie można ani rozciągnąć i przykładać do niego jednostek, ani też czerpać; a nadto czas mija szybko i nie można sprawdzić, czy w mierzeniu nie zaszła pomyłka, bo nie można cofnąć na nowo czasu minionego, by zbadać, czy dawniej nie popełniono błędu, lub czy jednostka miernicza nie była dawniej inną, niż jest dzisiaj. Widzimy więc, że czas, pojęcie tak powszednie, to coś, w którem żyjemy, które nas przenika i z którem życie zakoń czymy, nietylko filozofom sprawia trudności, ale także i w nauce, w astronomii i w życiu codziennem.

Gdybyśmy zmierzyć chcieli drogę, po której szybko jedziemy, która więc ustawicznie pod nami się przemyka, to trzebaby przykładać do niej ciągle miarę, albo, co prościej, znać obwód koła wozu i liczyć ilość tych obrotów. Coś podobnego trzeba robić z czasem. On ucieka, więc trzeba doń przykładać niejako ciągle taką samą jednostkę znaną. Taką najprostszą i ciągle powtarzającą się jednostką czasu, to doba, czyli czas obrotu ziemi naszej naokoło swej osi. Wyobraźmy sobie, że gdzieś daleko na horyzoncie z okna pokoju widzimy wieżę, a obok nad jej szczytem świecącą w pewnej chwili gwiazdę. Wpatrując się w ten obraz, łatwo dostrzeżemy, że gwiazda powoli lecz stale od wieży się oddala, opisując na niebie łuk koła. Za dnia gwiazda zniknie, pod wieczór mniej więcej o tym samym czasie znowu się okaże i dojdzie znowu do tego samego miejsca. Wiemy dobrze, że ruch ten gwiazdy i jej wędrówka po niebie są pozorne, pochodzą one z obrotu ziemi naszej naokoło osi. Gdy ziemia raz się obróci, to znaczy, gdy gwiazda pozornie do tego samego, co dnia wczorajszego, dojdzie położenia, mówimy, że upłynęła doba. Notując

sobie dokładnie według dobrego zegarka czas, w którym gwiazda była nad szczytem wieży jednego dnia i spoglądając na zegarek w chwili gdy gwiazda zajmie to samo położenie dnia następnego, zobaczymy, że — nie upłynęło jednak dokładnie 24 godzin, jakbyśmy mieli prawo tego oczekiwać, lecz do pełnych 24 godzin braknie prawie 4 minuty. Jak wiadomo, różnica ta pochodzi stąd, że za punkt obserwacyi na niebie, do którego odnosimy ruch naszej ziemi, obieramy w rachubie zwykłego czasu nie gwiazdę, lecz słońce. Podczas gdy gwiazda zajmuje na niebie położenie niezmienne, słońce, jak wiemy, ciągle pozornie wędruje — właściwie ziemia wędruje koło słońca — i opisuje krzywą, zwaną ekliptyką, w ciągu jednego roku. Gdy więc ziemia obraca się koło swej osi, słońce tymczasem przed nią niejako ucieka, toteż gdy ziemia w rzeczywistości całkowitego dokonała obrotu, słońce tymczasem już kawałek dalej ubiegło i teraz ziemia musi je niejako w swym obrocie ścigać, by znowu ten sam punkt ziemi, co dnia poprzedniego, stał na wprost słońca. Jestto właśnie doba zwykła, złożona z dnia i nocy, i z powodu ruchu słońca jest ona o cztery prawie minuty (dokładnie: 3 minuty i 56.6 sekundy) dłuższa do czasu, którego potrzeba, by ziemia raz całkowicie obróciła się koło swej osi.

Czas rzeczywistego obrotu ziemi naokoło swej osi nazywamy dniem gwiazdowym, a czas, potrzebny do tego, by nie gwiazda stała, lecz słońce przyszło na ten sam punkt pozorny nieba, co dnia poprzedniego, nazywamy dniem słonecznym. Dzień słoneczny jestto więc, ściśle mówiąc, czas, który upływa od chwili, gdy słońce przechodzi przez południk danego miejsca, aż do chwili, gdy słońce przechodzi przez ten sam południk dnia następnego. Ten dzień słoneczny przyjmujemy za jednostkę miernicą czasu, dzielimy go na 24 równych godzin, godzinę na 60 minut, minutę na 60 sekund. Czas mierzony temi jednostkami nazywamy czasem słonecznym prawdziwym. Gdy więc słońce znajduje się najwyżej na niebie, czyli przechodzi przez południk danego miejsca na ziemi, w tej chwili w tem miejscu jest południe prawdziwe. Gdy takich dni upłynęło 365 i ¼, słońce opisało całkowity łuk na niebie, minął rok słoneczny. Ponieważ dnie gwiazdowe, jak widzieliśmy, są krótsze od dni słonecznych o cztery blisko minuty, więc w ciągu roku czyni to dzień cały, rok słoneczny ma 366 ¼ dni gwiazdowych, czyli, że w ciągu roku obraca się ziemia koło swej osi nie 365 razy, lecz 366 razy. W astronomii używa się często dni gwiazdowych, w życiu cywilnem natomiast panuje wszech-

władnie słońce, według niego też musi się odbywać rachuba czasu. Byłoby to ostatecznie wszystko jedno, gdyby nie jedna okoliczność bardzo ważna. Oto przy zastosowaniu w pomiarach i obserwacyi zegaru wahadłowego, wynalezionego przez Huygensa, przekonano się, że dzień do dnia nie jest podobny, że mianowicie słońce nieodbywa swej pozornej po niebie wędrówki ruchem jednostajnym, lecz w czerwcu i grudniu porusza się najszybciej, a w marcu i wrześniu ruch jego staje się najwolniejszy. Z tego powodu dzień słoneczny n. p. grudniowy jest o 16 sekund krótszy od dnia słonecznego w marcu. Lecz i na tem nie koniec. Słońce porusza się po niebie nie po równiku, lecz po ekliptyce, nachylonej do równika o 23 mniej więcej stopni i ta okoliczność znowu staje się przyczyną, że dnie słoneczne w różnych porach roku są różne, i różnica stąd pochodząca dochodzi do 40 sekund. Tak więc, dodając tę różnicę do poprzedniej, otrzymamy rezultat stwierdzony doświadczeniem, że dwa prawdziwe dnie słoneczne mogą się od siebie różnić o całą blisko minutę; oczywiście wobec dokładności naszych zegarków dzisiaj i taka różnica sumując się w ciągu kilku miesięcy, dałaby się odczuć nieprzyjemnie.

Żeby tej niedogodności zapobiedz, wymyślili astronomowie fantom, tak zwane słońce średnie, które porusza się rzekomo nie po ekliptyce, lecz po równiku i to ruchem jednostajnym i według tego urojonego słońca oznaczają czas obecnie. Jestto tak zwany czas średni, który od czasu rzeczywistego, czyli od prawdziwego stanu słońca na niebie, znacznie nieraz się różni. Ponieważ bowiem słońce prawdziwe porusza się po niebie drogami od równika odstępującemi, a nadto raz idzie wolniej, raz szybciej, więc też i słońce średnie, stanowiące właśnie miarę naszego czasu, raz je wyprzedza, a raz idzie za niem w tyle. Skutek tego taki, że n. p. dnia 1-go listopada, gdy obserwatorya podają południe, to słońce prawdziwe już dawno, bo 16 minut temu przez swój kulminacyjny punkt przeszło; natomiast n. p. 1-go lutego południe zegarowe uprzedza południe prawdziwe o 14 minut. Fakt ten staje się przyczyną ciekawego zjawiska, że w listopadzie czas od wschodu słońca do południa jest o pół godziny przeszło (o 32 minuty) dłuższy od czasu między dwunastą w. południe a zachodem słońca; w lutym natomiast stosunek jest odwrotny, czas przedpołudniowy jest o 28 minut krótszy od popołudniowego. Taka, chociaż mniejsza nierówność istnieje ciągle wśród roku, wyjąwszy 15-go kwietnia i 1-go września, gdzie południe średnie, zegarowe, nakrywa się z południem rzeczywistem.

Lecz nie na tem koniec. Wiadomo, że czas rzeczywisty w tej samej chwili jest ten sam tylko dla miejscowości, leżących na tymsamym południku, zaś idąc po linii od wschodu do zachodu, gdzie czas ten jest różny. Gdy w Krakowie jest południe rzeczywiste, to w Berlinie jest dopiero wpół do dwunastej, a w Londynie trzy kwadranse na jedynastą. Zmieniając więc miejsce pobytu trzebaby ustawicznie regulować zegarek, bo w każdej miejscowości czas lokalny inny. Wobec dzisiejszych szybkich środków komunikacyi i częstych podróży jestto niedogodność bardzo wielka. Żeby jej zaradzić, wyłonił się jeszcze w ubiegłem stuleciu projekt, by zaprowadzić na całej kuli ziemskiej czas ten sam, tak zwany czas światowy, to znaczy, żeby wszędzie w tej samej chwili była godzina taka sama. Radzono nad tym projektem w r. 1883 w Rzymie na międzynarodowej konferencyi geodetycznej, i w r. 1884 w Waszyngtonie na konferencyi dyplomatycznej. Podniesiono jednak słusznie, że taka rachuba czasu wypadłaby dla wielu miejscowości dosyć dziwacznie, bo w niektórych miejscach słońce wschodziłoby o dwunastej, w innych o drugiej i t. p., co bardzoby się sprzeciwiało odwiecznym zwyczajom i przyzwyczajeniom. Postanowiono więc pójść drogą pośrednią i podzielić całą kulę ziemską na 24 strefy, pasy, obejmujący każdy 15 stopni geograficznych, zaczynając liczenie od południka, przechodzącego przez Greenwich. Tak więc w całej Wielkiej Brytanii, Belgii, Niderlandach i Hiszpanii jest południe w tej samej chwili, co w Greenwich, i jestto tak zwany czas zachodnio-europejski, następny zaś pas ma południe o godzinę wcześniej i obejmuje środkową Europę, t. j. Niemcy, Austryą, Szwecyą, Norwegią, Szwajcaryą, Włochy, Danią, Serbią. Jestto więc czas środkowo-europejski (nazwa średnio-europejski, jest, jak widzimy, nie zbyt właściwą), i stosuje się do południka, przechodzącego przez Stargard na Pomorzu. Następuje dalej na wschód pas wschodnio-europejski, do którego należy Bułgarya, Rumunia, Turcya wschodnia i Egipt. Rozległe Stany Zjednoczone mają w swem wnętrzu aż sześć pasów.

Czas strefowy, dla ruchu kolejowego bardzo wygodny, odstępuje w niektórych miejscowościach bardzo znacznie, bo około pół godziny od czasu lokalnego, w Krakowie n. p. wynosi ta różnica dwadzieścia minut, zegar wskazujący czas środkowo-europejski idzie o 20 minut później od miejscowego średniego. Różnica ta dodana do wytłómaczonej wyżej, pochodzącej z czasu astronomicznego śred-

niego, sprawia, że n. p. 1-go listopada b. r. w Krakowie okres przedpołudniowy, t. j. od wschodu słońca do południa, jest o godzinę i 13 minut dłuższy od okresu popołudniowego, t. j. od południa do zachodu słońca.

Gdy więc ludzkość kierowała się zegarami słonecznemi, w zastosowaniu wszędzie był czas rzeczywisty, lokalny, na ziemi było południe wtedy, gdy i na niebie, to znaczy, gdy słońce stało w punkcie najwyższym. Z zegarami dokładnemi wahadłowemi i chronomerami nastał czas słoneczny średni, różny nieco od poprzedniego, a więc już sztuczny; wzmożony ruch komunikacyjny wprowadził czas strefowy, jeszcze więcej sztuczny — a wreszcie wielka wojna zrodziła obecny czas ustawowy. Czas ten jest od strefowego czyli środkowo-europejskiego o godzinę wcześniejszy, lecz pocieszać się mogą ludzie wczas wstający tem, że między nim a czasem słonecznym rzeczywistym różnica jest znacznie mniejsza. I tak 1-go maja czas słoneczny średni jest o 3 minuty późniejszy od rzeczywistego, czas strefowy jest późniejszy w Krakowie o 20 minut, a więc razem 23 minuty, czyli, że czas ustawowy jest odnośnie do słońca przyspieszony tylko o 37 minut, a więc tylko nieco więcej ponad pół godziny. Natomiast 1-go sierpnia będzie ta różnica wynosiła 46 minut — nigdy jednak całkowitej godziny. W miejscowościach na wschód od Krakowa położonych ta różnica jeszcze jest mniejszą. Natomiast na zachód od Starberga na (Pomorzu) staje się większą i może dojść aż do półtorej godziny.

Pomijając nieprzyjemności i pewne niedogodności z czasu nowego wynikające dla ludzi normalnie żyjących, to jest wstających rano i pracujących w dzień a nie w nocy, trzeba przyznać, że nowy stan rzeczy ma wiele stron dobrych. Co do korzyści finansowych, to właściwie mają one znaczenie symboliczne. Gdy mówimy, że n. p. Niemcy zyskają 240 milionów w jednym roku, to nie znaczy, że państwo te pieniądze zagarnie, bo oświetlenie ulic stoi pod zarządem gminnym, a i gminy, zwłaszcza większe, nie zyskają tyle, gdyż stracą na dochodach konsumpcyi prywatnej gazu i elektryczności. Ale natomiast przedstawiają te cyfry symbolicznie tę prawdę, że mniejsze daleko będzie zapotrzebowanie i zniszczenie w celach oświetlenia nafty i węgla, a więc materyałów, które dla celów wojennych pierwszorzędne dzisiaj posiadają znaczenie, bo bez węgla staną fabryki amunicyi i dowóz kolejowy, bez nafty znikną aeroplany i łodzie podmorskie. Zresztą dla gospodarki społecznej wszelkie zmniejszenie

spotrzebowania tych materyałów zawsze, nawet w czasie pokojowym, jest niezmiernie doniosłe, bo zaoszczędza na pracy ludzkiej, potrzebnej do wydobycia tych skarbów z ziemi, a nadto materyały te pozostawia dla potomności — co jest tem słuszniejsze, że przecież ta potomność przez długie, długie lata musi spłacać koszta obecnej wojny.

Ale ma ten nowy system czasu znaczenie także więcej idealne. Po miastach żyje wiele dziś ludzi, zwłaszcza młodych, zamkniętych dzień za dniem do rana do wieczora po biurach i ciasnych magazynach; są to urzędnicy i ludzie, zajęci w handlu i przemyśle. Wprawdzie na razie ustawodawstwo nie skraca dla nich dnia pracy, nakazuje tylko zaczynać go wcześniej i kończyć wcześniej, ale przecież będzie można z godzin snu urwać jedną lub drugą i ofiarować ją na przebywaniu w śród pól lub ogrodów, używając po znojnym dniu pracy jeszcze paru godzin tyle dla organizmu dobroczynnego ciepła i światła słonecznego. To jest z pewnością największa korzyść z nowej ustawy — ogromnie też przykro dotknąć i zdziwić musiały usiłowania, by przedłużyć dzień pracy o godzinę wieczór handlowcom, a więc właśnie tym ludziom, którzy najbardziej ze wszystkich mieliby prawo oczekiwać korzyści z nowego czasu. Bo zamknięci dzień cały w dusznych, rozmaitymi wyziewami kolonialno-farmacyetyczno-farbiarskimi przepełnionych ubikacyi, przy ustawicznem bieganiu i natężeniu nerwów, przeważnie młodzi ci ludzie potrzebowaliby koniecznie jakiegoś wytchnienia na świeżem powietrzu. Gdy sklep zamknie się późno, to dla handlowca nieopłaci się już wędrować za miasto, a rozrywki szukać się będzie w kino lub knajpie miejskiej. Wiele się mówi o potrzebie podniesienia poziomu handlu i przemysłu; by dojść do tego, trzeba skierować w te strony dzielnych ludzi, a takich znajdzie się tylko wtedy, gdy się im da odpowiednie warunki bytowania.

Ks. Feliks Hortyński.

Kronika ekonomiczna.

Druk ukończono 20 Czerwca 1916 r.

Podstawa trwałego pokoju narodów.

Na ustach wszystkich jest dziś spragnione oczekiwanie pokoju. Poniekąd dlatego, że zagadka losów wojny jest po części rozwiązana i stąd wojna nie przedstawia już wielkiego interesu. Natomiast wielkie oczekiwania wiążą się z pokojem. Kongres pokojowy, po wojnie światowej, obradujący pod bagnetami całej Europy, mający rozstrzygać o losach tylu państw i tyle pierwszorzędnych rozwiązać zagadnień, musi zaciekawiać niemało. Zresztą, pomijając nawet wyniki kongresu, samo ukształtowanie się warunków i form istnienia, po takiem strasznem wstrząśnieniu, interesuje niepomiernie. Czy i jak powstaną syndykaty państwowe, czy wewnątrz państw pozostanie system kapitalistyczny dalej, czy przedwojenne skrajne kierunki filozoficzne i literackie powrócą do życia, czy nastąpi w świecie wzrost religijności — te i tym podobne pytania są dzisiaj bardzo pilnie rozstrząsane.

W tem oczekiwaniu pokoju odczuwa się jednak, przedewszystkiem, potrzebę wytchnienia po nużącej wojnie i jej dolegliwych skutkach.

Cały świat dziś czuje, że czynić zależnymi losy ludzkości od powodzeń miecza i siły nie jest najpewniejszem rozwiązaniem sprawy. Aforyzm „siła przed prawem“, który w dzisiej-

szym świecie cieszył się powodzeniem takiem, że nietylko w praktycznem życiu był miarodajnym, ale i w teoryi naukowej i w samem nawet prawodawstwie znalazł sankcyę, może być wystawiony w niedługim czasie na wielką próbę. Gdyby, przy obecnem śmiertelnem zmaganiu się i wzajemnem wyczerpywaniu się narodów, nadeszła chwila równowagi sił, „partya nierozegrana", to okazałoby się dowodnie, że nad siłę wyższem jest prawo, że najwyższe i ostateczne rozstrzygnięcie do prawa należy. Jakikolwiek zresztą będzie koniec tej wojny, prawo, w każdym razie, musi święcić jakieś tryumfy. Najpierw, już od początku wojny obie strony głoszą, że walczą o prawo w świecie, zwłaszcza o prawo małych narodów. Przedewszystkiem zaś dlatego, że po tak morderczej wojnie każdy zechce jak najdalej odsunąć od siebie ponowną próbę siły — musi więc zapewnić w większym przynajmniej stopniu niż dotąd, należne miejsce prawu narodów.

Cała jednak sprawa w tem, jak to prawo narodów pojąć?

Prawo narodów, lub jak inni mówią, prawo międzynarodowe, jest, w dzisiejszym stanie rzeczy, ilością bardzo niewymierną. Jest to zbiór układów, traktatów, konwencyj, jakie między sobą dwa lub więcej cywilizowanych państw zawierają, przez które układają wzajemne między sobą stosunki. Składają się na ten zbiór układy pokojowe i państwowe, mniej więcej od westfalskiego pokoju, szczególniej zaś od kongresu wiedeńskiego — a więc z bardziej znanych, kongres wiedeński, pokój paryski po wojnie krymskiej, konwencya genewska, kongres berliński, wreszcie dwie pokojowe konferencye hagskie z 1899 i 1907 roku.

Pomijając efemeryczność tak pojętego zbioru, słabość jego tkwi głównie w braku wystarczającej sankcyi. Poczuje się któreś z państw na sile, by nie krępować się niewygodnym dla siebie traktatem, to unicestwia go. Najlepszy przykład tego mamy na kongresie wiedeńskim, ze sprawą polską. Najpierw, debatującym na kongresie państwom nie przyszło wcale na myśl zastanawiać się nad odbudową całej Polski, myśl, którą najprostsze poczucie przyrodzonego prawa narodów dyktować

winno. Wykrojono Królestwo kongresowe i oddano w manda Rosyi. Jak z tym mandatem postąpiła sobie Rosya, już w lat szesnaście, wiemy aż nadto dobrze. Nie tylko w tym wypadku okazała się bezsilność kongresu. Rok przed aktem samowoli rosyjskiej, poszła sprawa belgijska zupełnie inną drogą, jak ta, którą jej wytknął kongres wiedeński. Podobne przykłady, na różnych polach, możnaby mnożyć bez końca. Dziś patrzymy, jak międzynarodowe prawa, mające łagodzić okrutność wojny, są raz po razu deptane; ostatnia sprawa, to interpelacya Tafta o konfiskatę lekarstw przez Anglię, przeznaczonych dla państw centralnych.

Istota trudności nie tkwi w tem, że brutalna siła wkracza w ustalony i uznany porządek i niszczy go; takie katastrofy widzimy w tak ustalonym nawet porządku jaki panuje w przyrodzie. Trudność jest w tem, że to wkraczanie i panowanie brutalnej siły jest dzisiaj porządkiem świata uznanym, jeżeli nie w każdym wypadku wprost, to w założeniach, i to w założeniach samego prawa.

Prawo wszelkie — mówi panujący dzisiaj pogląd — jest tylko utworem państwa. Nakazy sumienia są sprawą wewnętrzną każdego człowieka; w życiu i postępowaniu zewnętrznem należy człowiek do społeczeństwa, które stanowi sobie prawa i przymusem państwowym daje im moc obowiązującą; innej mocy obowiązującej prawa nie uznaje się. W samem już założeniu tak pojętego systemu siła jest wyższą nad prawo. Stąd, w tworzeniu i zmianie praw, państwo nie ma żadnych ograniczeń; nie może mu się przeciwstawiać żadne inne prawo, prawo rodziny, prawo własności, prawo osobiste. A ponieważ państwo jest samo sobie najwyższym twórcą i żadnego przymusu nad sobą nie uznaje, więc o prawie międzynarodowem, międzypaństwowem, właściwie nawet mówić by się dziś nie powinno. Są to układy, które tak długo respektuje się, jak długo interes państwa na to pozwala; w przeciwnym razie, jeżeli w dodatku czuje się swą siłę wobec innych państw, odrzuca się je, jak niewygodny sprzęt. Na prawo przyrodzone, a w szczególności

na prawo przyrodzone narodów w tak pojętym systemie niema miejsca.

Kierunki, które stworzyły dzisiejszy stan prawniczych przekonań, choć szły różnymi drogami, objąć się dają nazwą: sekularyzacya etyki. Czy szuka się ich początków u Kanta, czy u Rousseau'a, czy u Hobbesa, czy u Grotiusa i Puffendorfa, wniosek ostateczny tensam. Gdy raz już, bliżej czy dalej, ode szło się od Stwórcy, który podług prawa wiecznego układał porządek wszechrzeczy, nie można już zrozumieć najwyższego z praw, któremu wszystkie prawa i ludzi i narodów podlegać winny, prawa przyrodzonego, które niczem innem nie jest, jak objawianiem się prawa wiecznego przez głos sumienia.

Gdyby rok przed wojną postawiło się tezę, że tylko bezwzględne uznanie prawa przyrodzonego narodów może być podstawą trwałego pokoju, nie byłoby się przez wielu, szczególniej przez zawodowych prawników, zrozumianym. Pod zacięciem jednak takiego bicza, jak obecna wojna, sprawa ta, bez wywodów i przekonywań, stała się odrazu wielu ludziom jasną. Dziś bez wielkiej przesady powiedzieć można, że cały świat rozbrzmiewa uznaniem tej prawdy.

Czy wszystko to płynie z głębokiego przekonania, czy często nie jest stwierdzanem po to, by wskazać źdźbło w oku przeciwnika, to inna sprawa. Tak jednak czy owak, faktem jest że ruch taki ideowy szeroko się roztoczył, co nie może pozostać bez wpływu na wzrost poczucia prawa w świecie, tak przy końcu tej wojny, jak i w dalszej przyszłości.

Charakterystycznym, jako ilustracya tego ruchu, szczegółem jest los — wydanej jeszcze przed wojną — książki Bernhardiego: *„Deutschland und der nächste Krieg"*. Książkę tę, nie grzeszącą poczuciem prawa przyrodzonego narodów, przetłumaczono w lot na język angielski i na polecenie rządu angielskiego rozrzucono w setkach tysięcy egzemplarzy, ażeby w ten sposób spotęgować antyniemieckie uczucia ludności. Pod wpływem tej kampanii, odezwały się w Niemczech protesty, że przekonania Bernhardiego nie są przekonaniami niemieckiemi. Jeden z publicystów niemieckich pisał, że „książka

Bernhardiego więcej zaszkodziła ojczyźnie, aniżeli przegrana bitwa".

Najobszerniej ten ruch, w kierunku prawa przyrodzonego, roztoczył się we Francyi i Anglii. Mężowie stanu tych państw, widząc przez 20 miesięcy przewagę oręża niemieckiego, nie mogli apelować do siły, musieli zatem apelować do prawa. Wiemy zresztą, że Anglia poprawnością poczucia prawnego nie grzeszyła zanadto, co świeżo tak dobitnie przypomniało światu powstanie irlandzkie. Nie przeszkadza to jednak, by ciągłe enuncyacye historyozoficzne ministrów o prawie narodów, nie wywarły dodatniego wpływu na umysłowość kraju. Co myślą przy tych mowach, to rzecz ich mózgu, faktem jest, że pod wpływem tych mów, cała prasa francuska i angielska, raz po razu, kwestyę prawa przyrodzonego narodów omawia za nią się bezwzględnie oświadcza, a temsamem i poczucie tego prawa szczepi. Stosunki wojenne sprawiają, że utrudnionym jest dziś przegląd literatury poważnej tych krajów, uniemożliwionem stwierdzenie, które wybitne umysły zabrały głos w tym kierunku.

Możemy jednak stwierdzić ewolucyę, pod tym względem, w literaturze niemieckiej. Z wielu głosów, przytoczymy kilka wybitniejszych.

Pierwszy głos oddajmy Lammaschowi, profesorowi uniwersytetu wiedeńskiego, a zarazem członkowi międzynarodowego trybunału w Hadze, zatem powadze w sprawie prawa narodów.

Tezą prof. Lammascha jest idea, że prawu narodów, którego stan obecny przedstawiliśmy powyżej, należy dać etyczną podstawę tak, ażeby to prawo nie składało się tylko z okolicznościowych układów państwowych. Istotną częścią tego prawa winny być etyczne i przyrodzono-prawne zasady, któreby regulowały wzajemne stosunki państwowe w tym stopniu, że gdyby zaszła kolizya między pozytywnem prawem narodów a prawem przyrodzonem, ostatniemu oddaćby należało pierwszeństwo. Jest to też jedynie słuszne rozwiązanie kwestyi.

W ostatniej swojej prelekcyi, wygłoszonej w Salzburgu,

wskazał Lammasch na dodatnie znaczenie filozofii chrześcijańskiej dla prawa narodów. Wskazawszy na św. Augustyna i św. Tomasza i ich następców, jak Suarez i inni, mówi: „Sądzę, że z końcem wojny światowej, mamy przed sobą podwójne zadanie: mamy do spełnienia teoretyczny obowiązek względem przeszłości i praktyczny obowiązek względem przyszłości. Co do przeszłości, cięży na nas powinność wydobycia na światło bogatego skarbu, jaki kryje w sobie katolicka literatura prawa narodów, literatura średniowiecza i czasów nowszych, aż po pokój westfalski... Zadanie zaś przyszłości upatruję w tem, ażeby pokojowego rozwiązania przyszłych konfliktów międzypaństwowych nie pozostawiać wyłącznie innym stronnictwom politycznym i religijnym, ale zainteresować dla tej sprawy także katolików Austryi i Niemiec. Zapewne, pokojowe związki i mowy nie usuną wojny ze świata. Do tego jest potrzebnem, by idee chrześcijaństwa przeniknęły całe nasze życie, zwłaszcza nasze życie polityczne“... Zmiana na lepsze „będzie wtedy możliwą, gdy przestaniemy wogóle upatrywać postęp ludzkości tylko w potędze i bogactwie, gdy pozbędziemy się pojęcia, jakoby państwo stało nad prawami moralności, jakoby przystało mężowi stanu to, coby go bezcześciło, jako człowieka“.

O wiele wymowniej przedstawia tęsamą ideę profesor uniwersytetu monachijskiego, głośny Foerster. Mówił i pisał o tem kilka razy. Na przykład: „Pod naciskiem brutalnych zasad walki o byt, uznaje wielu szlachetnych mężów stanu za obowiązek osobistej ofiary, pozostawić na boku swoje prywatne moralne poczucia, byle tylko jego naród w światowych zawodach nie stracił korzyści zwycięstwa... Szerokie kierownicze koła w każdym narodzie muszą dojść do przekonania, że etyczne siły są także politycznie realnemi, rozstrzygającemi, siłami w życiu narodów. Odłączanie polityki od prawa moralnego musi być uznanem za wielki błąd politycznego myślenia. W chrześcijańskim poglądzie, doszło pojęcie wyższości prawa moralnego ponad cezara do pełnego przełomu. „Macie Bogu być bardziej posłusznymi, niż ludziom“. Ambroży, wzbra-

niający wstępu do portalu kościelnego cesarzowi, dla jego politycznych wykroczeń, jest symbolem powszechnego, przenikającego całe życie, głosu sumienia. Od czasów renesansu bladła z dniem każdym w coraz szerszych kołach aureola tej wyższości, niczem nowem nie zastąpiona. Stąd poszło, że w wielu duszach cele państwowe zdobyły sobie napowrót pełną pogańską wyższość nad etycznymi celami".

Wskazawszy na Machiawela, Napoleona i Bismarka, którzy takiej maksymie hołdowali, przechodzi do dzisiejszych czasów, przyczem z głośnemi książkami Bernhardiego i Treitschkego załatwia się w następujący sposób: „Pragnąłbym, by dzisiejsza moja prelekcya uważaną była za protest, jakoby książki te były ostatniem słowem politycznej myśli niemieckiej". W dalszym ciągu mówi: „Jedno jest jasnem, że ludzkość poza dzisiejszy poziom polityki musi wyjść. Inaczej przyjdzie nowy pożar świata, w którym cała ludzka kultura zatonie. Nie można wątpić, że miarą, jaką wielkość przyszłego męża stanu mierzyć się będzie, będzie to, czy szedł on tylko za krótkowzroczną zasadą siły, czy, przeciwnie, umiał przez mądre i wspaniałomyślne przystosowanie wprowadzić swój naród w rzeczywistość nadnarodowego życia i przez ducha zewnętrznej polityki zapewnić mu na wypadek wewnętrznych trudności jedynie zbawczą siłę moralną".

Po dłuższych poprzednich przytoczeniach wystarczy już krótka wzmianka o dwóch innych profesorach uniwersytetu. Profesor w Bonn, Zitelman, w odczycie swoim: „Czy mamy jeszcze prawo narodów", staje na temsamem stanowisku prawa przyrodzonego. Zbliża się także do tego stanowiska, profesor berliński Kohler w fachowym swoim wywodzie o prawie konieczności.

Idea raz poczęta nie staje, roztacza się coraz bardziej i rośnie w lawinę. Można mieć pewność, że poczet zwolenników tak pojętego prawa narodów róść będzie, że każdy dzień przedłużającej się wojny, urodzonej z podeptania prawa, będzie go powiększał.

Czy idea ta wyda już plon z końcem tej wojny, czy w kodeks prawa narodów wejdzie już teraz zasada prawa przyrodzonego, czy prawa przyrodzone narodów będą już teraz przywrócone i uszanowane? Jeżeli nie, to, podług słów Foerstera, przyjdzie nowy pożar świata, w którym cała ludzka kultura gotowa zatonąć.

Ks. J. Pawelski.

O jedność narodową.

Gdyby w tej chwili jakiś Polak potrafił wnieść w swoje społeczeństwo jedność, stałby się wielkim dobroczyńcą narodu, prawdziwym *pater patriae*. Byłaby to większa zasługa nad wszystkie zasługi, jakie w tej wielkiej a ciężkiej chwili Polak zaskarbić sobie może.

Niech to będzie, kto chce, Królewiak, Poznańczyk czy Galicyanin, arystokrata, czy demokrata, byleby zdołał całą Polskę w duchu zjednoczyć. Chciałoby się każdego Polaka na wszystkie świętości zakląć, by w tej wielkiej chwili, w której cała przyszłość nasza od naszej siły, która tylko z jedności płynie, zależy, odłożył na bok i poniechał wszystkiego, co istotną jedność rozrywa.

A zaklęcie to powinnoby być tembardziej skutecznem, że nie wymaga rezygnacyi z niczego, co jest słusznem i dobrem. Wymaga tylko rezygnacyi z tego, co jest błędem polskiej natury, z przewagi uczucia nad rozumem i wolą.

Mimo to, nie jest to sprawa łatwa.

W ogóle w Polsce o jedność najtrudniej było. Ale to jeszcze pół biedy. W rozstrzygających momentach niezgoda u nas często znikała, przynajmniej cichła do tyla, że przestawała być szkodliwą. I dziś, najpewniej, gdybyśmy byli tylko sobą, bylibyśmy zjednoczeni w duchu.

Ale nie jesteśmy sobą.

Od rozbiorów żyjemy w trzech państwach, jesteśmy pod przemożnym wpływem trzech odrębnych, wprost nawet sprzecznych z sobą, psychologij państwowych. Począwszy od szkoły,

a skończywszy na kodeksie praw, wszystko wszędzie odrębne. Cóż dziwnego, że wynikiem trzech odrębnych systemów są trzy odrębne typy polskie. Że zaś odrębność bywa przyczyną starć, więc między dzielnicami zaczęły się już od dawna różne uprzedzenia, nieporozumienia, niechęci. Rzecz śmieszna, niemniej jednak bolesna: Polacy zaczęli zwalczać siebie wzajemnie za to, czemu żaden z nich nie był winien; jeden zwalczał w drugim to, co było właściwością Austryi, Prus lub Rosyi. Jak daleko posunięte były te wzajemne uprzedzenia, najlepszy dowód w tem, że skrystalizowały się już w literaturze, w powieści i poezyi. Tym smutnym pomnikom bratobójczej waśni i poglądów dzielnicowych nie róbmy tego zaszczytu, by przypominać je pamięci ogółu. Co najwyżej, przypomnieć można czterowiersz któregoś z młodych poetów, który przytaczamy z pamięci, a więc łatwo niedokładnie, czterowiersz mający być hasłem programowem dla wszystkich dzielnic Polski, a streszczający w sobie istotne różnice dzielnic, a stąd i przyczynę wzajemnych między dzielnicami nieporozumień:

upozytywnić tych, co nad Wisłą,
uromantycznić tych, co nad Wartą,

Polskę uczynić Spartą.

Oto lekko zarysowane nagłówki dzielnicowych charakterystyk i płynących z nich nieporozumień.

Nieporozumienia te nie dopomagały do jedności polskiej, nie unicestwiały jej jednak. Ciągle ufało się, że mimo wszystko, gdy przyjdzie wielka chwila, w której padną kordony, brat rzuci się w objęcia brata.

I chwila przyszła, ale nikt nikomu w objęcia się nie rzuca. Całe góry nieporozumień nowych, związanych z obecną wojną, dzielą dziś polskie dzielnice od siebie.

Wypadki są zbyt świeże, ażeby potrzebną była obszerniejsza charakterystyka sytuacyi. Wystarczy krótko zaznaczyć, że istota nieporozumień tkwi w dwu przeciwnych sobie poglądach na rolę Polaków w obecnej wojnie. Jeden pogląd oświadcza się za polityką czynną, drugi za polityką bierną. Politykę czynną zainicyowali Polacy zaboru austryackiego, stwarzając Legiony

i Naczelny Komitet Narodowy, politykę bierną głoszą dwa inne zabory.

Jest zrozumiałem, że każdy pragnąłby, by pogląd jego wyznawali wszyscy. Zwłaszcza w tak rozstrzygającej chwili dla sprawy polskiej, pojąć łatwo, że każdy Polak radby duszą całą przeciągnąć drugich na tę stronę, po której widzi zbawienie dla ojczyzny, i że z animozyą gotów odnosić się do tych, którzy przeciągnąć się nie dają.

Ten okres ścierania się dwu poglądów i prób wzajemnego oddziaływania jest przez czas jakiś zupełnie usprawiedliwiony. Jak długo mniema się, że stronę przeciwną powodują przyczyny nieistotne, tak długo godzi się czynić wysiłki, by ją przekonać. Z chwilą jednak, kiedy zrozumiało się, że przeciwny pogląd wypływa nieodzownie z rzeczywistych warunków życia, wszelka próba oddziaływania, wszelka walka, okazuje się daremną i, co najmniej, politycznie błędną. W takiej chwili zdrowy rozum nakazuje milczenie chęciom własnym i uczuciom i rozpoczyna, odnośnie do strony przeciwnej, korekturę własnych pojęć.

Sądzimy, że taki okres korektury dla obu poglądów nadszedł. Stanęło się w punkcie martwym i im prędzej z niego się wydobędzie, tem dla wspólnej akcyi w sprawie polskiej lepiej.

„Księstwo jest bierne!“ I cóż, pytamy, pozostaje innego do czynienia Księstwu? Państwu pruskiemu oddaje hojnie i lojalnie podatek mienia i krwi, wszelki zaś kontakt realny z polityką innych dzielnic jest zupełnie uniemożliwiony.

„Królestwo jest bierne, Warszawa milczy, Episkopat Królestwa jest niepatryotyczny!“ Dziwne zarzuty! Czyż mogło wyjść z pamięci polskiej to piekło mąk, trawiących aż do szpiku człowieczeństwa, a trwających wiek cały, jakie przeszło Królestwo za wolnościowe ruchy? Czyż trudno pojąć, że wychodzącym z mroków takiej gehenny na światło dzienne wzrok w pierwszej chwili odmawia posłuszeństwa, że oswojonym z myślą o grozie i potędze Rosyi trudno wyznać się w nowem położeniu Warszawa milczy? Czyż Warszawa nie postępuje najrozumniej

idąc etapami, przez szerzenie oświaty, przez stopniową akcyę narodową, na przykład za pomocą jubileuszów, przez podnoszenie siły moralnej i ekonomicznej Królestwa! A Episkopat? Czyż nie wiedzą wszyscy, że lud polski w Królestwie, w znacznej większości, tak przez perfidyę rosyjską jest od narodu oddzielony, że dziś niechce nic o Polsce słyszeć, że każdego księdza, idącego z uświadomieniem narodowem, odtrąca, odsuwając się temsamem od Kościoła i Boga!

Nie, żadną miarą, nie wolno narzucać swoich poglądów, choćby najszczytniejszych, odmiennym warunkom istnienia! Wszelkie doktrynerstwo, wszelka popędliwość uczucia są błędem, mszczącym się dotkliwie i to odrazu na każdem dziele, którego chcą dokonać. Pierwsza mądrość życia jest ta, ażeby brać rzeczy, jak są.

Zapewne, że obóz polityki biernej nie jest jednolitym, że bierność ta nie wynika z samych tylko warunków dzielnicowych, ale i z innych pobudek. Wchodzą w ten obóz różne kategorye ostrożnych, znużonych, zniechęconych, różne gatunki pesymistów, różne odmiany ludzi, powodujących się tem lub innem uczuciem, tą lub inną formułką doktrynerską. Można tych wszystkich kategoryj nie uznawać, a mimo to trzeba się liczyć z rzeczywistymi warunkami dzielnic — a przynajmniej z warunkami życia, gdyby granice dzielnic przestały pod jakimś względem mieć w tej kwestyi swoje znaczenie.

Tęsamą miarę musimy zastosować i do czynnej polityki Galicyi.

Najpierw logika faktów dokonanych. Czyż nie rozumieją ci, co uprawiają opozycyę względem czynnej polityki Galicyi, że opozycya ta już dzisiaj musi pozostać czczą i nieużyteczną, bo raz zaczęta akcya nietylko nie może się cofać, ale musi iść naprzód, i to właśnie w imię dobra narodowego. Czyż nie czują, że sam fakt opozycyi nadweręża dotychczasowy stan posiadania tej dzielnicy!

To jedno. Zainicyowaną zaś została ta polityka czynna dlatego, bo tak być musiało, bo takie były warunki życia. Warunkami tymi to konstytucyjne życie narodowe. I wolność polityczna i ideał narodowy, i całe wychowanie, jakie dawały dom, szkoła i kościół, wszystko to nieprzepartą siłą pchało

młodociane dusze do czynnej miłości ojczyzny, w całem tego słowa znaczeniu. W tym duchu działała na wyobraźnię i serce cała poezya i literatura narodowa, na umysł zaś historya porozbiorowa i cała ideologia polityczna polska. Wszystko to parło do czynnej miłości ojczyzny, do walki za nią i to do walki na froncie antyrosyjskim. Że Polacy innych dzielnic nie mogą się w tej całej psychologii wyznać, wiedziało się dawno, gdy niejednokrotnie spotykało się z przekąsem o demonstracyjnym patryotyźmie galicyjskim. Że takim ten patryotyzm nie był, że był głębszą wartością, świadczą dziś bohaterstwo i poświęcenie legionów. Wobec przelanej krwi i ofiary życia ustać musi wszelki sceptycyzm. To też dzień 16 sierpnia 1914 r., pierwszy dzień legionów, zjednoczył wszystkie stronnictwa tej dzielnicy w pełnej harmonii, co, wraz z zobowiązaniem do karnej jednomyślności, ponowił dzień 29 kwietnia bieżącego roku.

A więc i w polityce czynnej Galicyi należy uznać racyę i słuszność.

Gdzież w takim razie jedność narodowa?

Jedność narodowa będzie w tem, że ustaną niesłuszne wzajemne animozye, że jedna dzielnica rozpocznie się odnosić do drugiej z szacunkiem i z wzajemnem uznaniem dla swoich stanowisk; będzie to jedność w sercu i w rozumie, a ta jest najsilniejszą jednością.

Gdy zaś raz zrozumiemy wszyscy, że przyczyny od nas niezależne kierują nas różnymi drogami do tegosamego kresu, to u tego kresu spotkać się musimy.

W jaki sposób, jakimi środkami, to już życie samo rozstrzygnie. Już dziś stwierdzić można pewną koordynacyę tych dróg różnych ku wspólnemu celowi. Jeden przykład. Polityka czynna Galicyi nie przynosi innym dzielnicom żadnej szkody, bo Galicya za nią sama odpowiada, — w każdym zaś razie przynosi pożytek. W najgorszym wypadku, inną miarę przykładać się będzie do narodu, którego jedną część stać było na bohaterską ofiarę kwiatu swej młodzieży, aniżeli, gdyby cały naród był bierną, nieruchomą masą. Za bierność płaci się biernością, a za bierność słabości lekceważeniem.

Wzajemne porozumienie sprawi również, że coraz częściej będzie możliwem wzajemne zbliżenie. Już dziś, samą siłą zewnętrznych zdarzeń, stwierdzić należy pewne przesunięcie sta-

nowisk i zmianę na lepsze. Cóż, gdy wróci porozumienie i zaufanie.

Pracę w kierunku takiej jedności uważamy dziś za najważniejszą akcyę w Polsce. Byłoby to zadaniem prasy i nowych organizacyj, któreby powstały w tym celu, by usuwać nieporozumienia dzielnicowe, a wprowadzać jedność narodową i wspólność pracy tam, gdzie to, poza różnicami dzielnic, jest możliwe. A możliwem jest na niejednem polu.

Że zaś akcya taka jest nietylko akcyą miłości ojczyzny ale i miłości chrześciańskiej, więc razem z nią otwarłoby się wdzięczne pole pracy przedewszystkiem dla duchowieństwa.

Ks. J. Pawelski.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

	Strona
Religijne znamię miłości ojczyzny. Przez *Ks. J. St. Adamskiego T. J.*	1, 198
Etyka a polityka. Przez *Dr. Maur. Straszewskiego*	23
Cud jozuego. Przez *Ks. Arcybisk. Fr. A. Symona*	31
Teorya rozwoju wojny. (Dokończenie). Przez *Adama Krzyżanowskiego*	37
Z Cyklu „Opowieści Chrystusowe“: Wiara i wiara. Przez *Maryę Czeską*	48
Modernizm w książce polskiej. Przez *Ks. Dr. M. Sieniatyckiego*	69, 209
Civitas dei. (Ciąg dalszy). Przez *Ks. Leonarda Lipkego T. J.*	79
Podstawa trwałego pokoju narodów. Przez *Ks. J. Pawelskiego. T. J.*	1*
Zadanie względem przyszłego pokolenia w dobie obecnej Przez *Ks. M. Kuznowicza T. J.*	139, 301
W siedmdziesiątą rocznicę Henryka Sienkiewicza Przez *Adama Grzymałę Siedleckiego*	151
Ankieta w correspondant. Przez *Zofię Korczyńską*	156
Z pamiętnika legionisty. Przez *M. B. Petera*	163
Z księgi mądrości. Przez *J. E. Ks. Arcybiskupa Fr. A. Symona*	169
Anhelli i ostatni. Przez *Prof. Józefa Kallenbacha*	172
Powieść dawniej a dziś. Przez *A. Mazanowskiego*	189
O jedność narodową. Przez *Ks. J. Pawelskiego T. J.*	1*
Gdy cały świat stanie się katolickim. Przez *Ks. F. Hortyńskiego T. J.*	275

Strona

ZAGOSPODAROWANIE TERENÓW WOJENNYCH I PROJEKTOWANY ZAKŁAD ODBUDOWY GALICYI. Przez *H. Wielowieyskiego* 290
WSPÓŁCZESNA GALERYA POWIEŚCIOPISAREK POLSKICH. Przez *A. Mazanowskiego* 315
CHRONOLOGIA ŻYCIA CHRYSTUSOWEGO. Przez *Ks. W. Szczepańskiego T. J.* 332
Z cyklu Opowieści Chrystusowe: DWUNASTY UCZEŃ. Przez *Maryę Czeską* 345

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa polskiego.

Marcina Kromera Rozmowy Dworzanina z Mnichem. Jan Łoś. *K. Wł. Chotkowski* 92
Możnowładztwo w Polsce. Starczewski Eugeniusz. (*Ks. K. Konopka T. J.*) 224
Księga ubogich. Kasprowicz Jan. (*Antoni Mazanowski*). 229
Lirnik mazowiecki. Biegeleisen Henryk. (*Antoni Mazanowski*) . . . 230
„Studya na dobie". Teodor Jeske-Choiński. (*St. G.*) 234
Ewangelie. Ks. Dr. Józef Kaczmarczyk. Studyum krytyczne. (*Ks. Dr. Wilhelm Michalski C. M.*) 355
Rocznik oryentalistyczny; Andrzej Gawroński, Jan Grzegorzewski, Władysław Kotwicz, Jan Rozwadowski. Część pierwsza. (*Ks. Władysław Szczepański T. J.*) 360
Bibliografia ludoznawstwa polskiego. Dr. Franciszek Gawełek. (*Sz. Matusiak*) 352
Polska pieśń wojenna. Dr. Stanisław Łempicki i Dr. Adam Fischer. (*Antoni Mazanowski*) 364

Z piśmiennictw obcych.

Deutsche Kultur, Katholizismus und Weltkrieg. Georg Pfeilschifter. (*Ks. E. Matzel T. J.*) 103
Unsere Lebensideale und die Kultur der Gegenwart. P. Dr. J. Chrys. Schulte O. M. C. (*Zofia Korczyńska*) 107
An Autobiography. Theodore Roosevelt. (*M. Dziewicki*) 108
Dictionnaire d' archèologiechrètienne et de liturgie. Fernand Cabrol. *Maryan Bartynowski* 110
Come Rack, come Rope. By Robert HughBenson. (*M. Dziewicki*) . 236
None Other Gods. By Robert HughBenson. (*M. Dziewicki*) 238

Strona

Études sur la philosophie de DunsSkot. S. Belmond. *(Ks. Dr. Konstanty Michalski C. M.)* 239
Die Kulturkraft des Katolizismus. Dr. Hans Rost. *(Zofia Korczyńska)* 241
Der Ahnen wert. Sebastian von Oer. *(JadwigaMayowna)* 243
Unseres Herrn Trost. Dr. Paul Wilhelm Keppler. *(Ks. W. Michalski C. M.)* 365
Heiland u. Erlösung. Dr. Engelbert Krebs. *(Ks. W. Michalski C. M.* 357
„Im Gefolge Jesu". Otto Cohausz T. J. *(Sebalda Münnichowa)* . . 368
„Lexikon der Pädagogik". Vierter Band. *Sebalda Münnichowa* . . 369
Der Mensch, so wie er ist. Rudolf J. Meyer S. J. *Ks. J. K. Z.* . 370
A. Hartlebens Kleines Statistisches Taschenbuch über alle Länder der Erde. Dr. Friedrich Umlauft. *(Ks. F. Hortyński T. J.)* 371

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

KWIECIEŃ.

Sprawy kościoła: Orędzie pasterskie Ks. Biskupa Chomyszyna. — Reforma kalendarza w dyecezyi Stanisławowskiej gr obrz. Przez *Ks. E. Matzla T. J.* 114
Kronika ekonomiczna: Drożyzna ogarnęła kraje wojujące i neutralne. Szwecya zawiesiła wolność wybijania złota. — Dlaczego drożyzna środków pożywienia szczególnie wielka. — Czy towary zbytkowe potaniały w czasie wojny. — Ceny i gaże aktorskie w teatrze krakowskim. — Zwyżka nominalna płac roboczych i poborów urzędniczych. — Mieszkania i sklepy nie podrożały. — Kto zyskał, a kto stracił na drożyźnie wojennej? — Miasto i wieś, biedni i bogaci wobec drożyzny. — Przeważają zyski czy straty? Majątek i dochód społeczny w czasie wojny. Przez *Adama Krzyżanowskiego* 122
Z wydawnictw pedagogicznych. Przez *Sebaldę Münnichową* . . 133
Opieka nad wojennemi sierotami. 136

MAJ.

Sprawy kościoła: Misye ludowe w Królestwie. — Harnack w Warszawie. — Drugi list Księdza Biskupa Chomyszyna. — Rusini w Ameryce południowej. Przez *Ks. Jana Pawelskiego T. J.* . . 245
Z ruchu naukowego: Protezy dla ciemnych. — Nowa choroba: febra wołyńska. — Olbrzymi kamień żółciowy. — Nieprawidłowy organizm. Antropologła na wojnie. — Stan obecny nieprzyjacielskich flot handlowych. — Pancerniki elektryczne. — Udoskonalony telefon bez drutu. *(Ks. Feliks Hortyński T. J.)* 254

Strona

Kronika ekonomiczna: Austro-węgierska centrala dla handlu dewizami. — Pożyczki Austro-Węgier w markach niemieckich. — Wywóz z Austro-Węgier cukru, piwa, kapeluszy. — Niemieckie zakazy przywozu. — Rokowania Austro-Węgier i Niemiec o wzajemne ulgi w zakazach przywozu. — Niemiecki monopol przywozu sera. — Wywóz złota z Niemiec. — Szwecya znosi wolność wybijania złota. — Zakaz wywozu srebra z Niemiec. — Angielskie zakazy przywozu. — Nowe wynalazki w Anglii. — Problem sacharyny. *(Prof. Adam Krzyżanowski)* 266

Ze spraw narodowych.

CZERWIEC.

Sprawy Kościoła. 25-lecie istnienia Akademickiej Sodalicyi Maryańskiej w Krakowie. — 22-letnia rocznica Encykliki »Rerum novarum«. — Patrona Bavariae. 375

Polski Związek Kobiet Katolickich w Krakowie. Tanie kuchnie. — Kuchnia akademicka »Towarzystwa Bratniej Pomocy Uczniów Un. Jagiell.« — Sekcya pedagogiczna. — Sekcya Ochrony dzieci. — Sekcya młodzieży. *(Zofia Krzyżanowska)* 384

Z ruchu naukowego. Nowy czas. — Mierzenie czasu. — Czas: słoneczny rzeczywisty — średni — strefowy — ustawowy. — Prawdziwa różnicą między czasem ustawowym, a rzeczywistym. — Korzyści nowego systemu. *(Ks. Feliks Hortyński T. J.)* 389

Kronika ekonomiczna. Sposoby pokrywania państwowych kosztów wojennych. *(Adam Krzyżanowski)* 396